A. B. Guthrie

Droga na Zachód

(The Way West, 1949)

Iskry, 1968
Tłumaczenie: Tadeusz Jan Dehnel

Alfred Bertram Guthrie, Jr., współczesny pisarz amerykański, urodził się w roku 1901 w Bedford w stanie Indiana, skąd jednak wkrótce jego rodzina przeniosła się do niewielkiego miasteczka Choteau, położonego w pobliżu rezerwatu Indian Czarnych Stóp. Indiański folklor, atmosfera i legenda Dzikiego Zachodu określiły w sposób jednoznaczny charakter twórczości Guthriego, który pisze o sobie:

„Zachód jest we mnie i pozostanie na zawsze, nie tylko z powodu otoczenia, w którym się wychowałem, ale również dzięki zainteresowaniu rozbudzonemu we mnie i podsycanemu przez ojca. (...) Jak daleko sięgnę pamięcią, czytaliśmy wspólnie pisma pionierskie, odwiedzaliśmy stare indiańskie osady i bizonie wypasy".

W 1923 roku Guthrie ukończył uniwersytet stanu Montana, by po paru latach zająć się pracą reporterską. Trwająca dwadzieścia lat kariera dziennikarza została uwieńczona wysokim stanowiskiem w redakcji jednego z pism. Powoli dojrzewa jednak w Guthriem powołanie pisarza. Poza licznymi artykułami i reportażami, jest on autorem opowiadań, z których jedno, „Górski lek", prezentowaliśmy czytelnikom w wydanym przez „Iskry” tomie „Dyliżansem przez prerię”. Rok 1947 przynosi pierwszą powieść „The Big Sky”, związaną z życiem Pogranicza w latach 1830-43. „Droga na Zachód" (1949), książka, która otrzymała nagrodę Pulitzera, nawiązuje do tej samej tematyki kolonizacji Dzikiego Zachodu z lat czterdziestych ubiegłego stulecia. Z Missouri prowadzi Guthrie grupę swoich bohaterów do nieznanego Oregonu, stanowiącego dla jednych symbol lepszego życia, dla innych po prostu Wielką Przygodę. Codzienne zmagania z niebezpieczeństwami szlaku, spotkania z Indianami, tragedie i radości tych prostych ludzi, opowiedziane żywo i barwnie, wypełniają karty książki, która zyskała rozgłos nie tylko w ojczyźnie pisarza.

Rozdział I

Brzask był jasny, ale w nocy padał deszcz — nagły ulewny deszcz, jak to w połowie marca. Lije Evans wyjrzał z kuchennych drzwi. Zobaczył ścieżką wiodącą do błotnistego podwórka, pozostawione na niej ślady własnych chodaków i ucieszył się, że pogoda nie dopisała. Miał przynajmniej wymówkę, by się nie przemęczać, gdyby nawet musiał naprawiać uprząż lub porządkować narzędzia. Nie znaczy to, że Lije Evans był leniwy; po prostu nie czuł chęci do pracy tego rana.

— Wiesz co, Rebeko? Chyba wybiorę się do miasta — powiedział zamykając drzwi.

— Żeby znowu rozmawiać o Oregonie — dodała kobieta tonem na poły pobłażliwym.

— Dlaczego? — zdziwił się zmierzając wolno w kierunku stołka. —- Wcale nie myślałem, o czym będę rozmawiał. Pogadam z ludźmi tak sobie, na pierwszy lepszy temat.

Dobrze zdawał sobie sprawę, iż żona go przejrzała na wskroś — jak zawsze.

— Nie mam pojęcia, czemu wszyscy nagle powariowali — podjęła i wytarłszy ostatni talerz powiesiła ścierkę na kołku. — Nic tylko Oregon i Oregon, a to przecież tak daleko, że trudno sobie wyobrazić.

— Nie wszyscy o tym mówią. Wcale nie tak wielu, jak ci się zdaje.

— Rozwieje się to prędko — odparła. — Poczekaj, Lije, sam zobaczysz — sięgnęła po stojącą w kącie miotłę. — Słowo daję ten pies wciąż błoci i błoci.

Evans zerknął w stronę Rocka, który ułożył się pośrodku izby, pozostawiwszy na wydeptanych deskach podłogi mokre ślady łap.

— Rock to dobry kundel — powiedział.

Na dźwięk swojego imienia pies uniósł głowę, dźwignął się leniwie i przyczłapawszy do pana położył mu pysk na kolanach. Starzeje się — pomyślał Evans spoglądając na siwiznę wokół psich nozdrzy i zmętniałe z wiekiem oczy. Rock — mieszaniec gończego z nie wiedzieć czym, w biało-czarne łaty — był jednak ładnym psem i niewątpliwie dobrym.

— Trudno chyba wymagać, żeby wycierał nogi, jak wraca z dworu — powiedział Evans.

Rebeka westchnęła tylko i jęła coś mamrotać zamiatając izbę.

— Ciebie nie mogę zabrać — mówił mężczyzna klepiąc psa po głowie. — Nie mogę, Rock. Zanadto wojujesz z miejskimi psami. Jeszcze mnie kiedy wpędzisz w biedę.

— Ja powiedziałabym: nie — odezwała się Rebeka. — Ale wiem, że i tak nie pojedziesz. Wszystko skończy się na gadaniu.

— Dokąd nie pojadę, Becky?

— Do Oregonu.

— Hm, nie udawaj, że ty rządzisz. A co będzie, jeżeli przyjdzie mi do głowy zabrać się z innymi?

Westchnęła znów i Li je wiedział dlaczego: myśl o sprzeczce wydała się jej bardzo osobliwa. Może ktoś inny nie ceniłby wysoko Becky — kobiety przysadzistej, o zbyt obfitym biuście. Jednakże Evansowi odpowiadała, głównie chyba ze względu na sposób myślenia, a może i dlatego, że znała go na wylot i mimo wszystko uważała za dobrego chłopa. Z biegiem czasu człowiek przestaje dostrzegać to, co dostrzegają inne oczy. Uczy się widzieć poprzez zewnętrzną powłokę tylko wewnętrzną treść.

— Myślę, że Brownie dotrzyma mi kompanii — podjął.

— Słyszałeś przecież, jak mówił, że wybiera się na ryby. Teraz kopie robaki.

— Dobre zajęcie, co?

— Wdał się w ciebie — odparła spoglądając na męża. — Ty też lubiłeś dawniej wędkę i takie rzeczy.

— No i nie cierpię pracy, hę?

— Nic podobnego, Lije. Nieprawda.

Uśmiechnął się dyskretnie, bo ilekroć zaczynał oczerniać siebie, żona protestowała z przekonaniem.

— Oregon — ciągnął podążając za nurtem własnych myśli. — Miło byłoby wiedzieć, że człowiek należał do pierwszych osadników w nowym kraju i w ten sposób pomógł przyłączyć go do Ameryki.

Zastanowił się nad własnymi słowami i wyciągnął wniosek, że nie odzwierciedlają całej prawdy.

Kobieta nie zabierała głosu.

— Ryb i zwierzyny musi tam być co niemiara — mówił dalej. — Brownie byłby zadowolony. W Oregonie myśliwy nie dba o królika, szopa czy oposa. Brownie pojechałby chętnie.

— Poprzednim razem gadałeś o nadzwyczaj urodzajnej ziemi — wtrąciła Rebeka.

— Hm... Ziemia swoją drogą. Też dobra, jak wszystko.

— Skąd wiesz?

— Ludzie tak mówią.

— Dick Summers jest zdania, że Oregon to nic szczególnego, zwłaszcza dla rolnika.

— Widzisz, Dick rozumuje na inny sposób. Dla niego ważne sprawy to Indianie, futra, takie rzeczy. Rolnictwo to nie dla niego.

— Radzi sobie doskonale — wtrąciła kobieta.

— Może, ale i tak rolnictwo nie dla Dicka. Widzisz, drapieżnika można trzymać w klatce, ale to nie dla niego. Nie wyobrażaj sobie tylko, Becky, że uważam Dicka za drapieżnego ptaka.

— Powinieneś odwiedzić ich, Lije. Mattie strasznie źle wygląda.

— Powinienem... Zapewne.

Rebeka przysunęła się bliżej.

— Lije, musimy myśleć o przyszłości Brownie'ego, o wszystkim. Nie decyduj się na ten Oregon pochopnie.

— Decyzja nie byłaby pochopna...

— A jaka? — rzuciła twardo i odstawiła miotłę do kąta.

Evans spojrzał w kierunku drzwi i na widok wchodzącego właśnie syna zapytał:

— Wybierzesz się do miasta?

— Raczej nie, tato — odpowiedział chłopiec. — Dziś dobry dzień na ryby.

— Jak sobie życzysz — podjął ojciec głaszcząc znów psa po głowie. — Myślałem tylko, że znudziła cię samotność — urwał na moment, od stóp do głów zmierzył wzrokiem syna. — Słowo daję, Brownie, musisz trochę przytyć, a będzie z ciebie chłop na schwał.

Cóż... to już prawie mężczyzna — pomyślał — kościsty, muskularny, wysoki. Sypie mu się zarost. Dobry chłopiec, łagodny, nieśmiały, skryty, no i wchodzi w okres, kiedy mężczyźnie najtrudniej, bo jak nigdy potrzeba mu kobiety, a nie potrafi ani obejść się smakiem, ani popuścić sobie wodzy. Jest lękliwy, niezdecydowany...

— Spodziewam się — podjął — że połów będzie dobry. Mam apetyt na rybę po tej samej wciąż solonej wieprzowinie z fasolą — ciężko wstał z krzesła. — Ha! Pora na mnie.

Rebeka przysunęła się, do niego, kiedy otwierał drzwi.

— Pamiętasz, co mówiłam, Lije?

Skinął głową.

— Przecież lat ci przybywa...

— Wszystkim przybywa. Ale trzydziesty piąty rok to nie starość. Najlepszy wiek mężczyzny. Leżeć, Rock. Pies zostanie w domu.

Kobieta nic nie odpowiedziała, tylko wolno zamknęła drzwi za mężem.

Evans poszedł pod szopę i osiodłał muła. Do Independence miał sześć mil. Mógł dotrzeć tam dobrze przed południem, jeżeli się pospieszy, lub nieco później, gdyby pozwolił marudzić wierzchowcowi. Pozwolił mu marudzić.

Po drodze medytował, że wybiera się do Oregonu nie tylko po to, by ochoczo i z dumą przyłożyć ręki do budowy potęgi Wuja Sama, do powstrzymania Anglików. Missouri to ostatecznie kraj nie najgorszy. Ktoś, kto się nie boi pracy, może tu żyć nie obrastając tłuszczem. Może żyć, wojować z malarią, handlować w miejskim sklepie i mieć nadzieję, że kiedyś kupi Murzyna i zyska więcej czasu dla siebie. Naturalnie Lije nie marzył o tłumie czarnuchów, wspaniałym domu, cugowych koniach, bogactwach, jakimi dysponują niektórzy w okręgu bawełnianym, na południu stanu. Może nie chciał nawet i jednego Murzyna. Sam harował niczym niewolnik, ale nie bardzo wierzył, że jeden człowiek ma prawo posiadać na własność drugiego, bez względu na to, czy tamten jest biały, czy czarny. Po prostu pragnął od życia nieco więcej, niż dostawał.

Zapewne wyprawa do Oregonu to niemądry pomysł, ale przyjemnie wyobrażać sobie, że człowiek schodzi z utartych dróg, wyzwala się od miejsc z dawna znajomych. Pewnego razu, mówiąc o żegludze tratwą z biegiem Ohio, ojciec Evansa powiedział, że żaden kraj nie wygląda równie ładnie jak ten, który leży przed nami.

Pora roku sprzyjała myślom o wędrówce. Pola i drzewa, skostniałe jeszcze i nagie, zaczynały jednak odczuwać nadejście wiosny. W człowieku krew krążyła bardziej wartko, mózg pracował żywiej. Niegdyś, kiedy dom jego ojca spłonął od sadzy, co zajęły się w kominie z chrustu i gliny, Lije odczuwał coś podobnego: jak gdyby nie musiał już nigdy robić nic, do czego przywykł od dzieciństwa, jak gdyby mógł zacząć od początku i nowe

życie kształtować według własnych pragnień. Do licha! Ludzie powiedzieliby, że oszalał, gdyby odgadli, co dzieje się w jego głowie.

Z niewielkiego gaju droga wyprowadziła go na szmat otwartej prerii. Zapowiadał się ciepły dzień i przez obcisłe spodnie Lije dobrze czuł na udach promienie słońca. Myszkująca wśród traw siewka przystanęła, popatrzyła na niego i Evansowi przyszło na myśl, że łatwo by upolował ptaka, gdyby miał broń. Ale ostatnio strzelbę zostawiał zwykle w domu, bo była ciężka, a kraj uważał za bezpieczny, jakkolwiek ci i owi byli odmiennego zdania.

Muł ciężko człapał po błocie. Leniwe, tępe bydlę! Nie zna się na porach roku, nie widzi, że szczygły i drozdy zaczynają już budować gniazda, nie dba o piękną pogodę czy pluchę — wszystko mu jedno. A może muł rozumie więcej, niż się człowiekowi zdaje? Może tak ciężko i smutno kroczy właśnie pod brzemieniem myśli?

Stopniowo zaczynało pojawiać się miasto. Pierwsze przydrożne domy na rozmiękłym gruncie. Okrągłe lub ciosane bale, z których były zbudowane, lśniły czernią po nocnym deszczu. Psy obwąchiwały węgły lub uganiały się dokoła z poszczekiwaniem. Nieco dalej dwa namioty połyskiwały biało w słonecznym blasku, a przed nimi trzej mężczyźni siedzieli na zwalonym drzewie i trzymając karabiny pod ręką gawędzili — najprawdopodobniej o wyprawie do Oregonu. W sklepach panował ruch: klienci wciąż wchodzili i wychodzili, czarni wyładowywali towary z wozów, które dostarczyły je z nadrzecznej przystani. Obok hotelu Nolanda spacerowali trzej Meksykanie w wysokich stożkowatych kapeluszach z szerokim rondem; przypominali bandytów, jak prawie wszyscy najemnicy kupców z Santa Fe.

Dwaj mężczyźni stojący przed sklepem Hitchcocka rozmawiali z ożywieniem. Evans poznał jednego z nich. To Tadlock, stosunkowo dawno przybył z Illinois i gadał wciąż o Oregonie, nie przyłączał się jednak do żadnej z organizowanych wypraw i koniecznie chciał stworzyć własną karawanę. Zawsze był zaaferowany i rozprawiał z takim samym jak dziś przejęciem.

Drugi mężczyzna był chudy jak tyka — miał rzadkie, spłowiałe faworyty. Raz po raz z przekonaniem kiwał głową, jak gdyby przytakiwał wszystkiemu, co mówił Tadlock.

— Dzień dobry, Tadlock — odezwał się Evans.

Zagadnięty odwrócił głowę, zerknął nań z ukosa przypominając sobie, kto to taki.

— Aa... Jak się masz, Evans — odpowiedział wreszcie.

Lije zatrzymał muła obok słupka do przywiązywania zwierząt i zeskoczywszy z siodła poczuł, że jest zmęczony i kolana ma trochę sztywne. Wolno zbliżył się do dwu mężczyzn.

— To jest McBee — zaprezentował Tadlock. — Lije Evans.

Podali sobie ręce.

— McBee — ciągnął Tadlock — jedzie do Oregonu. A co z tobą, Evans? Zdecydowałeś się nareszcie?

— Trudno powiedzieć: tak. Trudno powiedzieć: nie. Decyzja prawie gotowa, trzeba ją tylko trochę popchnąć.

— Więc zrób to, Evans. Zrób prędko. Będziemy mieli huk roboty — zawołał Tadlock, któremu żart nie przypadł widać do gustu.

— Skąd jesteś, McBee? — zapytał Lije.

— Z południa Ohio. Można rzec z Cincinnati.

— I przynajmniej wie, czego chce — wtrącił Tadlock.

— Ma się rozumieć, panie szanowny — podchwycił McBee. — Nagle to na mnie przyszło. Wyprzedałem wszystko, załadowałem babę i dzieci na statek, sam się wgramoliłem, no i jestem tutaj. Niech żyje Oregon! W Ohio kiepskawo teraz.

— Tu także nie najlepiej. Napijemy się czego? — zaproponował Evans.

— Pierwszorzędny pomysł, jak Boga kocham! — zawołał McBee i zmieszał się trochę, gdy zerknął na Tadlocka, który przecząco kręcił głową.

— Ja nie pochwalam picia — zaczął Tadlock i dodał po zastanowieniu. — Ale wy pozwólcie sobie. Poszukam tymczasem paru ludzi, z którymi chciałbym was poznajomić. Zaraz ich przyprowadzę.

Evans i ten drugi weszli do sklepu, gdzie Hitchcock z rękami wspartymi o ladę czekał na klientelę. Zwrócił ku nowo przybyłym wyłupiaste, czerwono żyłkowane oczy. Sprawiał wrażenie tęgiego moczymordy, ale mogło to być tylko mylne pierwsze wrażenie.

— Jak się masz, stary rabusiu — odezwał się Lije. — Kropniemy po jednym?

— To pierwsze rozumne zdanie, jakie powiedziałeś od Bóg wie jak dawna — sklepikarz sięgnął po dwie szklanki i wahał się przez moment, nim postawił na ladzie trzecią dla siebie.

— Tak jest, panie szanowny — zaczął McBee i przed wypiciem uporządkował palcami brodę. — Powiedziałem sobie: Oregon jest w tej chwili miejscem godnym człowieka — jego jabłko Adama jęło podrygiwać w takt łyków whisky. — Po kiego diabła przepracowywać się, i to za nic.

Hitchcock pochylił się nad ladą.

— Czysta wścieklizna — powiedział. — Coś skusi człowieka i gotów. Albo jak pies, któremu rzucić dwie kości; tylko jedną może obrobić, ale drugiej nie da innemu. Niech Anglicy biorą Oregon. My i tak mamy dosyć, no nie?

— Nie popiera pan wypraw do Oregonu? — zapytał McBee.

— Nie popiera — wtrącił Evans — póki ma whisky do picia i ladę, której może się trzymać.

Sklepikarz zmierzył go spojrzeniem wyłupiastych oczu.

— Źle ci w Missouri? Przyzwoici ludzie, do żarcia ile wlezie świniny, no i śpi się jako tako bezpiecznie, w wygodnym łóżku.

— Widać, Hitchcock, że nie rozumiesz, w czym sedno sprawy. Nalej no, dobrze? — powiedział McBee, kiedy jednak przyszło do płacenia, długo szperał w kieszeniach spodni i ostatecznie zwrócił się do Evansa: — Bodaj to licho! Zostawiłem pieniądze w furgonie.

Lije zapłacił i powiedział:

— Brak ci pionierskiej żyłki, Hitch. Pozwalasz innym osiedlać się na naszym terenie. Sam ścigasz ich śladem, ze swoimi beczkami, perkalem, chęcią szybkiego dorobku. Prowadzenie sklepu nie licuje z tak zwanym awanturniczym duchem.

— Akurat znasz się na tym, Lije. Właściciel sklepu musi wciąż trzymać palec na cynglu — Hitchcock wyprostował się, by dać do zrozumienia, że jest w pogotowiu nawet obecnie. — No i daleko zaszlibyście wszyscy bez sklepu?

— W każdym razie daleko od długów. Jak Boga kocham! — zachichotał McBee.

Sklepikarz spojrzał nań bystro.

— Wiesz chyba, bracie, że żadna kompania nie przyjmie gościa, co wieje przed wierzycielami.

— Tak sobie zażartowałem — bąknął McBee.

— Prawda — podchwycił Evans. — Bez sklepów każdy mógłby coś niecoś odłożyć.

— Ja się dorabiam. Właśnie! — podjął Hitchcock. — Na kupowaniu zalężonych jaj, kiepskich skórek piżmowców, wszystkiego, co się dla was nie nadaje. Raz jakiś człowiek przyszedł, żeby mi sprzedać zwyczajny kamień. Gadał, że to niezawodny lek na wściekliznę. Zapytałem, czemu go sobie nie zatrzyma, a on, że jest zwinny, więc żaden pies go nie pogryzie. Za to kamień przyda się z pewnością takiemu ociężałemu niezdarze jak ja.

— No i co? Ubiłeś interes?

Sklepikarz przytaknął ruchem głowy.

— Zawsze ubiję interes, jeżeli tamten drugi przyjmie dorzeczne warunki. Za kamień dostał trochę fałszowanej gałki muszkatołowej z drewna, którą wtrynił mi jeden cholerny Jankes; dawno, zanim zmądrzałem tak, by oczy zawsze mieć otwarte. Ubiłem interes. Kamień wyrzuciłem do diabła, bo okazał się taki twardy i gładki, że nawet miód nie przylgnąłby do niego, a co tu gadać o jadzie! Udał mi się handel, hę?

— Niby jakim cudem?

— Dałem nic za nic i pozbyłem się przeklętej gałki muszkatołowej. Rozumiesz, Lije? Wstyd mi się robiło, ile razy spojrzałem na tamto paskudztwo.

W tej chwili skrzypnęły drzwi. Evans obejrzał się i zobaczył Tadlocka w towarzystwie dwóch mężczyzn. Jeden z nich wyglądał bardzo młodo, prawie jak niedorostek.

Sklepikarz zmierzył Tadlocka ospałym wzrokiem.

— Wiem, że nie przyszedłeś na whisky — powiedział takim tonem, jak gdyby niepijących uważał za dziwaków najwyższej klasy; może przypomniał sobie rozliczne okazje, gdy pili wszyscy, nawet kaznodzieja nie wymawiał się od jednego czy drugiego kieliszeczka, by z większym ogniem rozprawiać później o piekle.

— Zgadza się — przyznał Tadlock. — Evans, to są Curtis Mack i Charles Fairman. Podajcie sobie ręce. A to, proszę was, Henry McBee.

Nastąpiło ogólne ściskanie dłoni. Charles Fairman sprawiał wrażenie chłopca. Miał sympatyczną twarz, ciemne oczy, wysokie czoło, ale wyraz powagi świadczył, że widział więcej, niż na pierwszy rzut oka mogło się zdawać.

Curtis Mack był zupełnie inny i bez wątpienia znacznie starszy. Evans oszacował go na jakieś trzydzieści pięć lat i rychło doszedł do wniosku, że to typ, który nie poświęca nigdy całkowitej uwagi temu, co się wokół dzieje; wybiega myślami naprzód lub wraca do przeszłości, jeżeli nie medytuje, jak należałoby postąpić w danej chwili.

— Mack i Fairman przyłączą się do mojej karawany — oznajmił Tadlock.

— Niech żyje Oregon! — zawołał z ogniem McBee.

— Licząc moich ludzi z Illinois — podjął Tadlock, jak gdyby był ich właścicielem — mamy prawie komplet. Niepotrzebny nam zbyt wielki tabor. Lepiej podróżować lekko i szybko.

— Sam wybierasz się w drogę? — zapytał McBee Fairmana.

— Nie. Z żoną i synkiem — odparł młody człowiek.

— Oo... Żonaty jesteś?

— Aha.

— Myślałem, że może nie... Ja mam siedemnastoletnią córkę... A w ogóle jest nas dużo; ta dziewczyna, moja stara i jeszcze pięcioro dzieci.

Po dwu kolejkach Evans miał ochotę na trzecią. Może Becky go zbeszta, ale ostatecznie nie pija przecież często ani dużo.

— Wypijemy po jednym? — rzucił.

McBee wyrwał się, nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć.

— Ja z przyjemnością!

Inni też się zgodzili — wszyscy oprócz Tadlocka.

Fairman uniósł szklankę.

— Za kraj wolny od malarii — powiedział.

— Racja, jak Boga kocham! — podchwycił znów McBee. — I za piekielnie urodzajną ziemię. Posadzisz tam gwóźdź i kłos z niego wyrośnie. Nigdy nie będziesz zbierał siana, bo łąki są wyborne, zawsze, nawet w zimie. No i owoce kocą się dwa razy na rok. Musisz tylko siedzieć spokojnie, patrzyć, jak trawa rośnie, a inwentarz mnoży się i tyje. To na mój rozum prawdziwe gospodarstwo, no nie?

— A na mój rozum — zabrał głos Evans — wszyscy jesteście kąpani w gorącej wodzie. Upłynie miesiąc albo więcej, nim stąd ruszycie.

— Kto pierwszy, ten lepszy — odezwał się Mack. — Dostanie wyborowy grunt i łatwy przystęp do wody, najodpowiedniejszy teren pod budowę sklepu czy warsztatu.

Umilkł, pogrążył się w myślach. Raz po raz marszczył czoło, jak gdyby oczyma wyobraźni widział Oregon, grunty, rowy nawadniające, tereny pod budowę przedsiębiorstw. Ręce miał opuszczone, kciuki tarł pozostałymi palcami.

— Ma się rozumieć — podjął Tadlock. — Czeka nas huk roboty, nim puścimy się w drogę.

Młody Fairman podniósł głowę.

— Im dłużej kombinuję, tym bardziej jestem pewien, że zrobiłem trafny wybór. Nowy kraj bez malarii. Piękne widoki na przyszłość.

— Nowy porządek rzeczy — dodał Evans, bo bez trudności czytał i sumował myśli tamtego.

Fairman odpowiedział miłym uśmiechem i z przekonaniem przytaknął ruchem głowy.

— Oczywiście. Zrobiłeś dobry wybór — poparł go Tadlock. — I ty, Evans, powinieneś przyłączyć się do nas, i to nie zwlekając.

— Co wy, u licha, chcecie od Missouri? — zapytał Hitchcock.

Otarł usta wierzchem dłoni i jak gdyby czekając odpowiedzi, jął przenosić z twarzy na twarz spojrzenie przekrwionych oczu. Niebawem jednak zwrócił wzrok w kierunku wejścia do sklepu, więc Evans obejrzał się i zobaczył na progu dziewczynę. Stała lękliwie — niby ptak gotów w każdej chwili do odlotu — z ręką na klamce uchylonych drzwi. Evansowi przemknęła przez głowę myśl, że podobnych dziewcząt nie widuje się

codziennie. Jej krągłości nadawały kształt nawet bezkształtnej cajgowej sukience, którą miała na sobie. Twarz była bystra, niemal czujnie skupiona, blada, o wyrazistym gładkim zarysie policzków i ustach czerwonych, pełnych, takich właśnie, o jakich mógłby marzyć mężczyzna doświadczony i wybredny. Ogromne, ciemne oczy połyskiwały głębokim tonem; może nie połyskiwały — to zbyt słabe określenie — należałoby raczej powiedzieć: płonęły.

Dziewczyna stała w drzwiach boso. Kontury jej młodych piersi rysowały się wyraźnie pod workowatym odzieniem.

— Tato — odezwała się cicho.

— Czego? — McBee odwrócił głowę.

— Mama kazała powiedzieć, żeby tata przyszedł do furgonu.

Mężczyzna przygryzł wargi nad niechlujną brodą.

— Powiedz mamie, że jestem zajęty.

Dziewczyna przestąpiła z nogi na nogę.

— Mama prosi, żeby tata zaraz przyszedł — bąknęła.

Evans pomyślał, że dziewczyna ma drobne, smukłe stopy i że z pewnością mama poleciła jej nie wracać bez taty.

— Przyjdę, jak będę mógł, nie wcześniej. Słyszałaś?

Evans przeniósł wzrok z córki na ojca, później na resztę towarzystwa i w oczach Macka dostrzegł coś na kształt głodu, a cały wyraz jego twarzy świadczył, że mężczyzna podążał przez moment za nurtem własnych, nie strzeżonych myśli. Inni udawali, nie bez powodzenia, że nic szczególnego nie zaszło. Być może czuli się trochę głupio — jak sam Lije.

— Jazda stąd! — zawołał McBee.

Dziewczyna odwróciła się i cicho, bardzo wolno zamknęła drzwi za sobą.

— Przeklęte baby! — burknął McBee. — Zawsze czegoś chcą od człowieka. To moja córka, Mercy — dodał sięgając do kieszeni po prymkę.

Przez pewien czas pili w milczeniu. Później Tadlock zmienił temat niezręczny dla wszystkich.

— Nie zdecydowaliśmy się dotąd na przewodnika — powiedział. — Mógłby to być Adams albo Meek.

McBee przesunął językiem tytoń w ustach.

— Do diabła z takimi! Trafią nie dalej niż za rogatki.

— Racja — przyznał Tadlock. — Adams był tylko w Forcie Laramie, a tam dojedzie na oślep byle głupiec. Kraj za Laramie. O to chodzi! — A Meek? — zapytał Mack.

— Meek? — powtórzył Tadlock. — Już zaczyna się wykręcać, nie inaczej zresztą niż Adams. Słuchaj, Lije. Może ty znasz odpowiedniego człowieka?

— Czy ja wiem? — bąknął Evans.

— Śmiało! Masz taką minę, jakbyś coś wiedział.

— Zastanawiam się właśnie...

Tadlock czekał cierpliwie.

— Może i znam kogoś, ale czy go będzie można dostać, nie wiem.

— No! Któż to taki?

— Nie wypada chyba powiedzieć, póki z nim nie pogadam. Mógłby mieć urazę.

— Niby dlaczego?

Mack skinął na Hitchcocka, gestem ręki zamówił następną kolejkę.

— Czy ja wiem?... Nie byłby pewno zadowolony — odparł Evans.

— A co mu się stanie? Wymienisz jego nazwisko i to nie zobowiąże go w niczym. A my musimy usłyszeć, o kogo chodzi, nim wystąpimy z propozycją. Czeka na niego gruba forsa; naturalnie nie tyle, ile może dać wielka wyprawa, ale z nami będzie miał mniej zmartwień i zawracania głowy.

Evans sięgnął po pełną znów szklankę.

— Cóż? Chyba mądrze gadasz. Gość sam odpowie tak albo nie — podjął. — To stary Dick Summers. Bywał wszędzie i robił Bóg wie nie co. Łowił bobry w sidła, bił Indian. Poprowadziłby karawanę z zawiązanymi oczami.

— Gdzie mieszka?

— To mój sąsiad.

— Myślisz, że go skaptujemy?

— Trudno powiedzieć. Ma chorą żonę. Ciężko chorą.

— Ale nada się, hę? Jesteś pewien? — napierał Tadlock. — Niepotrzebny nam dziadek, co tylko goli whisky i obnosi mankiet z lat Wojny o Niepodległość.

— Jestem pewien — odparł Lije spoglądając prosto w twarz Tadlocka — że jak żyję, nie spotkałem człowieka odpowiedniejszego na przewodnika niż Dick Summers.

— Zaprowadzisz nas tam, co? Musimy sprawę obgadać.

— Aha... Może jutro, pojutrze.

— Dobrze. Doskonale. Tymczasem pomyślimy o jego wynagrodzeniu — powiedział Tadlock i umilkł na moment, jak gdyby już przemyśliwał nad zapłatą nie zwierzając się wspólnikom. — No, a ty, Evans? Postanowiłeś coś ostatecznie?

— Jeszcze niezupełnie.

— Nie marudź. Tylko patrzeć, a będziemy w komplecie.

— Po co tu siedzieć, jeżeli można wybrać się do Oregonu? — dorzucił Mack. — Powtarzam, Evans: kto pierwszy, ten lepszy.

Lije milczał uparcie.

— Ja mam nadzieję, że pojedziesz z nami — powiedział młody Fairman i wydawać się mogło, iż rzeczywiście mu na tym zależy.

— Posłuchaj — podjął Tadlock, i zaczął wyliczać na palcach kolejne punkty. — Sam wiesz, że dolina Willamette jest żyzna i piękniejsza niż wszystko, co tu można zobaczyć.

— Tak ludzie mówią.

— Jest bogata i łatwo dostępna drogą wodną przez ocean i rzekę.

Evans przytaknął.

— Komitet organizacyjny z Iowy... Kiedy to było? Dwa lata temu, prawda?... Tamten komitet wiedział, co gada.

— A co gadał?

— Że Oregon trzyma prym pod każdym względem; jeżeli chodzi o klimat, wodę, zdrowotność, lasy, glebę, warunki dla handlu.

— Ale twój komitet gadał tak przed odjazdem.

— Słyszałeś później odmienne zdania?

— Prawdę mówiąc, nie słyszałem.

— Uwaga teraz! — Tadlock począł gestykulować zawzięcie, niczym kandydat na stanowisko z wyboru. — Jestem zdania, że istnieją też

znacznie ważniejsze racje — zrobił pauzę, by wzbudzić zainteresowanie. — Czy to ostatecznie nasza ziemia, czy brytyjska? Czy chcesz, by Oregon dostał się Anglii?

— Hitchcock nie miałby nic przeciwko temu. Ja mam.

— Widzisz! A kto o tym zadecyduje? Ludzie. Zwyczajni ludzie, jak ty lub ja, jeżeli oczywiście nie zabraknie nam odwagi, jeżeli osiądziemy w Oregonie.

Twarz Tadlocka poczerwieniała, na jego skroniach Evans zobaczył nabrzmiałe krwią żyły. Słowa dźwięczały spiżem, budziły niezależnie od woli, podniosłe wzruszenie.

— Anglicy kalkulują lub walczą, więc na Boga, unikniemy walki, jeżeli dosyć nas znajdzie się na miejscu! — zawołał Tadlock i efektownie ściszył głos. — Będziesz miał prawo do słusznej dumy, Lije, a także twoje dzieci i dzieci twoich dzieci. Powiedzą kiedyś, że ich tatuś czy dziadzio przyczynił się do opanowania tamtej ziemi. Wolisz coś takiego czy też siedzieć z założonymi rękami, a historię pozwolić budować innym? — dobył chustkę z kieszeni, otarł czoło. — To wszystko, Evans. Mogę tylko dodać, że gorąco pragniemy widzieć cię pośród nas.

— I co ty na to? — zapytał Mack.

Oczy młodego Fairmana wyrażały szczerą nadzieję, że padnie odpowiedź: tak.

— Strasznie mnie naciskacie — bąknął Evans; spojrzał po twarzach kompanów i we wszystkich, nawet w twarzy McBee, dostrzegł wyraz skupionego oczekiwania. — Wiecie, co? — podjął, nim zdążył uprzytomnić sobie, co mówi. — Jeżeli Dick Summers wybierze się z wami, to ja także.

— To wystarczy!

— Jak Boga kocham! Ręka! — zawołał McBee.

Wypili jeszcze wszyscy, prócz Tadlocka i Fairmana. Następnie Evans wyszedł ze sklepu i odwiązał swojego muła. Po drodze myślał, że to whisky przemówiła w jego imieniu, i niby to się zastanawiał, jak właściwie należy postąpić. Chwilami miał wrażenie, że kurs został od dawna wytyczony, a on nadal bawi się w zgadywanie, co ostatecznie odpowie. Oczywiście pojedzie do Oregonu, jeżeli Dick się zgodzi, może nawet, u diabła, pojedzie w przeciwnym przypadku. Wolni ludzie, dzielni ludzie tworzą nowy, wielki naród, nowy porządek rzeczy. Żyzna ziemia, dobre polowanie, przyjemny klimat, kraj wolny od malarii. Niech żyje Oregon! Niech żyje! Li je nie myślał za dużo, dlaczego tam pojedzie. Zmęczyło go myślenie. Pojedzie, bo tak chce z różnych względów. Pojedzie, jeżeli później, kiedy przygaśnie w nim ogień, będzie się czuł podobnie.

Rozsiodłał muła, puścił luzem i zmierzając w kierunku domu przypomniał sobie, że nic nie jadł i że jest okropnie głodny. Nad zachodnim widnokręgiem słońce opadało wlokąc za sobą długie pasmo chmurki. Jutro przyjdzie piękna pogoda i on będzie musiał schylać się i prostować, kopać ziemię, rąbać drewno, dźwigać coś, wlec, popychać, jak gdyby jego życie zależało od tego. A czy nie zależy? Nie tworzy historii ktoś, kto uparcie i twardo trzyma się jednego miejsca.

Stary Rock radośnie powitał pana, jak gdyby pytał o nowiny. Evans otworzył drzwi, zobaczył żonę pochyloną nad kominkiem.

— Szykuj się, Becky! — zawołał. — Jedziemy do Oregonu.

Rozdział II

Kiedy Evans opuścił sklep, reszta towarzystwa wyniosła się również. Tadlock miał coś do załatwienia w hotelu Nolanda, McBee chciał się dowiedzieć, co trapi jego starą. Mack bąknął niepewnie, że chyba pójdzie kupić coś z żywego inwentarza.

Zostawili Hitchcocka spoglądającego posępnie za nimi, a tuż za drzwiami Tadlock przystanął, aby popatrzeć na odjeżdżającego Evansa.

— Takiego kogoś rad widziałbym w swojej karawanie — oznajmił.

Bardzo podobnie myślał w tej chwili Charles Fairman. Przypadł mu do gustu ów dorodny, pogodny mężczyzna, o wesołym wyrazie szerokiej, pełnej twarzy, potężnych barach i ciężkich, dużych rękach dowodzących nie lada siły. Myślał nieco zazdrośnie, że właśnie tak powinien wyglądać ktoś, kto wybiera się w daleką, długą, niebezpieczną drogę. Na pewno okaże się towarzyszom podróży nierównie lepszym niż wygadany Tadlock, trudny do rozgryzienia Mack lub McBee — typowy biały biedak.

— Trzymam zakład, że Evans pojedzie z nami po kazaniu, którym go uraczyłeś — zwrócił się Mack do Tadlocka.

— To była święta prawda.

— Aha. Święta prawda wyrażona językiem Tadlocka — uśmiechnął się Mack, poprawił kapelusz na głowie i nie śpiesząc się odszedł.

Fairman pożegnał kompanów gestem ręki i ruszył w stronę czegoś, co mu zastępowało dom. Były to dwie izby, wynajęte w nędznej ruderze, bądź co bądź lepszej niż namiot. Mały Tod, dręczony przez gorączkę, nie wyżyłby zapewne pod namiotem. Wymaga odpowiedniego schronienia i troskliwej pieczy, lecz przede wszystkim rzeźwego, suchego powietrza, jakie podobno można znaleźć za rzeką Platte, w dolinach pośród gór, w Oregonie, gdzie o malarii nigdy nikt nie słyszał.

Fairman rozejrzał się dokoła, objął wzrokiem nędzne domy sterczące z błota, odetchnął powietrzem przepojonym wilgocią mimo jarzącego słońca i serdecznie zapragnął rychłego odjazdu. Miasto Independence jest równie zakażone, jak niziny Kentucky. Nierzadko dziwił się, czemu jego ojciec wywędrował z Wirginii, aby przez Gap i pola trzciny cukrowej w Kentucky odbyć etapami podróż aż nad Ohio. Przecież Wirginia ma klimat znacznie zdrowszy. Ojciec sam to przyznawał w późniejszych latach, kiedy utracił awanturniczego ducha i z rozczuleniem wspominał dawne lata. Mówił, że w Wirginii człowiek nie musi tylko przeciągać się i ziewać ani tkwić uwięziony w błocku.

Fairman był już blisko rudery, gdzie mieszkał chwilowo, gdy jej właścicielka otwarła drzwi i miotłą rozpyliła śmiecie. Jak zwykle koniec nosa miała zaczerwieniony od ciągłego gotowania.

— A, to pan — odezwała się. — Był jakiś człowiek do pana.

Przerwała zamiatanie i wsparta na trzonku miotły stanęła sztywno, z opuszczonymi rękami. Z lokatora przeniosła wzrok ku zaspanej świni, która dźwignęła się z błota na podwórku i pochrząkując mrugnęła niespokojnie małymi oczkami. Kobieta machnęła miotłą.

— Pójdziesz ty! — rzuciła.

Świnia chrząknęła głośniej i leniwie powlokła, się przed siebie.

— Co takiego? — zapytał Fairman.

— Był jakiś człowiek do pana. Przecież pan mówił, że potrzebuje drugiego parobka.

— Aa... To dobrze. Czy mówił, że chciałby się wybrać na Zachód?

— Tak. Za miejsce w furgonie i wikt.

— Rozmawiał z moją żoną?

— Nie. Powiedział, że każda kobieta gada dużo, ale nie do rzeczy — gospodyni znacząco pociągnęła zaczerwienionym nosem.

— Aha... Dokąd poszedł?

— Czy ja wiem? Dokądś się powlókł. Obiecał wrócić.

— Aha... — powtórzył Fairman.

Miał nadzieję, że tamten rzeczywiście wróci. Przy dwu furgonach i bydle, jakie spodziewał się popędzić do Oregonu, nie mógł się obejść bez co najmniej dwu ludzi. Dotychczas znalazł jednego — spokojnego mężczyznę, co po całych dniach żuł tytoń, a życie spędził w towarzystwie koni, mułów i wołów.

— Miał twarz jakby zgniecioną — rzuciła kobieta śladem lokatora, który zdążył już wejść do domu.

Minął jedną izbę, otworzył drzwi drugiej, gdzie kwaterował z rodziną. Spojrzał na Judytę i całym wyrazem twarzy zapytał, jak się czuje Tod.

— Toddie! — zawołała z uśmiechem kobieta. — Tatuś wrócił.

Z kuchenki wybiegł chłopiec dosiadający kija jak konia.

— Humor ci dopisuje, prawda synku? — powiedział . Fairman. Tod zsiadł z patyka.

— Pojadę na nim do Oregonu — oznajmił.

— Dobry koń — podjął ojciec. — I z ciebie pierwszorzędny jeździec, jak na pięciolatka.

Judyta uśmiechnęła się do synka, położyła mu dłoń na głowie. — Tylko patrzeć, a Toddie wyrośnie na tęgiego zucha. Dobrze mu tutaj.

— Tak — zgodził się Fairman. — Ale widzisz, to wciąż jeszcze okolice malaryczne.

— Nie w tym stopniu co Paducah.

— Zapewne, zapewne... W każdym razie mały wygląda lepiej — przyznał Fairman i gorąco zapragnął uwierzyć, że to prawda; cóż, chłopiec jest nadal wątły, chudy jak kurczę, lecz oczy ma bardziej błyszczące i nieco zdrowszą cerę, z kolorkami.

— Zdrów jestem, tato — podchwycił Tod. — Ale dlaczego zaraz nie jedziemy do Oregonu? Na co czekamy, tato?

— Już niedługo, niedługo. No i pamiętaj mówić do mnie: ojcze.

Judyta pokręciła głową, jak gdyby chciała dać do zrozumienia, że nie warto zajmować się drobiazgami.

— Nie lubię zwrotu „tata" — wyjaśnił Fairman, lecz w duchu przyznał słuszność żonie.

— Jesteśmy po obiedzie — podjęła. — Strasznie długo cię nie było. Na stole zostawiłam zimną kurę, mleko i chleb kukurydzany.

Fairman wszedł do kuchni, czy też do pokoiku używanego w charakterze kuchni, zasiadł przy ręcznie ciosanym stole. Żona i synek pośpieszyli za nim.

— Judie — powiedział odrywając udko z pałką. — Zrobiliśmy trafny wybór.

— Jesteś pewien?

— Tak. Nie chodzi o samą malarię. Ale i o całą resztę.

— Pewno masz rację.

— Człowiek uważa się za naprawdę kogoś, jak pomyśli o... o takiej wielkiej przygodzie. Będziemy mieli dobre towarzystwo. Dziś rozmawiałem z kilkoma ludźmi.

Zajadając kurę puścił wodze myślom. Widział farmę, którą będą mieli w Oregonie, falujące złotem pszeniczne łany, wielkie statki nadpływające od ujścia Kolumbii, by zabierać płody ich ziemi. Widział Toda, zdrowego wreszcie, z krzepkimi mięśniami na kościach — Toda, który wraz z nowym krajem rośnie, nabiera siły i ważności. Był prawie wesół, wolny od rozdrażnienia i niedobrych przeczuć, które nawiedzały go przelotnie.

— Na razie będzie ciężko — odezwał się wreszcie — ale to fraszka. Przezwyciężymy początkowe trudności. Prawda synku?

— Wio! Wio! — zawołał Tod, który dosiadł znów kija.

— Jedno mnie gnębi — podjął ojciec i spojrzał bacznie na Judytę. — Żałuję, że przed odjazdem nie postarałem się o niewolnicę.

— Nie martw się o mnie. Poradzę sobie.

— To dobrze... bardzo dobrze.

Fairman zdobył się na ton przesadnie beztroski, wrócił jednak myślami do Kentucky, kraju gdzie Tennessee i Cumberland wpadają do Ohio. Mieszka się tam w prawdziwym domu, nie w chacie, całą ciężką robotę zostawia kolorowym i pomijając niebezpieczeństwo malarii, życie płynie nad wyraz gładko.

Przez chwilę odczuwał niepokój, zwątpienie, czy Judyta podoła czekającym ich trudom. Nie jest siłaczką, ale nie można też nazwać jej niezaradną. Zawsze pracowała w miarę swych sił, tak że noc zastawała ją blisko omdlenia. Charles odnosił czasami wrażenie, że jego żona ma usta i policzki tak blade, że prawie przezroczyste, więc z tajonym lękiem spoglądał w jej łagodne, jasnobłękitne oczy.

Ona również zapadała często na malarię, przeżywała męki żaru i lodowatych dreszczy, sztucznie wywoływanych wymiotów, kalomelu, synapizmów, chininy. Z obawy o żonę — nie tylko o małego Toda — Fairman sprzedał niewielką plantację wraz z kilkoma niewolnikami i odpłynął parowcem, przez Saint Louis, do Independence. Na pokładzie znajdowała się garść nędznych Indian Kaw, którzy za whisky rozdawaną hojnie przez podpitych białych pasażerów wyśpiewywali gardłowe, nierytmiczne pieśni. Statek był brudny, towarzysze podróży brudni, Indianie niewiarygodnie zawszeni. Wzdłuż brzegów rzeki tłoczyły się liche drzewa walczące o miejsce i powietrze — drzewa o pniach tkwiących w nierozwikłanej gmatwaninie pnączy i krzewów. Fairman odczuwał, prawie widział, groźną chorobę malarię lęgnącą się w tym dusznym gąszczu.

Widział ją również dokoła statku w leniwym, ospałym nurcie żółtawych wód Ohio i Missisipi. Miał szczerą chęć zawrócić.

Obecnie jednak tłumaczył sobie uparcie, że postąpił mądrze. Nie był człowiekiem szczególnie zaradnym — zdawał sobie z tego sprawę — lecz co do Oregonu zrobił trafny wybór. Wiedzieli obydwoje — on i Judyta — że Tod nie wyżyje w nizinnym, nadrzecznym kraju. Malaria tkwiła w nim głęboko, złośliwie i po złudnych okresach poprawy wracała z nieubłaganą regularnością, by wstrząsać ciałem chłopca, trawić je gorączką. Tod doznawał pozornej najprawdopodobniej ulgi po to jedynie, by wkrótce znów ulec chorobie. Rodzice żyli w ustawicznej trwodze, która przeważnie nie znajdowała ujścia w słowach, ale ciążyła na barkach jak brzemię. Często Fairman leżał w bezsenne noce i marzył o synu zdrowym nareszcie, z włosami niby młoda ruń na polu i cerą ubarwioną złotem. Kiedy jednak zapadał w drzemkę, trwoga nabierała realnych kształtów. Śnił o malarii, pod której tchnieniem chłopiec więdnie. Budził się oblany zimnym potem, z sercem kołaczącym w piersi, siadał na łóżku, aby przepędzić groźną wizję.

— O czym tak myślisz? — zapytał Tod.

— O czym? Że warto by pójść i kupić muły.

— Nie za wcześnie? — wtrąciła Judyta.

— Nie. Najprawdopodobniej ceny podskoczą, kiedy zrobi się tu naprawdę tłoczno.

— Mogę iść z tobą, tato?... Chciałem powiedzieć: ojcze.

Fairman spojrzał pytająco na żonę.

— Chyba mu to nie zaszkodzi — orzekła — jeżeli naturalnie nie zabawisz długo. Pięknie dziś na dworze.

— Możesz iść, synku — powiedział ojciec wstając od stołu.

Tod przysunął się doń i ujął go za rękę. Wyszedłszy z domu ruszyli w stronę targowiska, ogrodzonego żerdziami, aby spędzony tam inwentarz nie mógł się rozpierzchnąć.

Dzień był pogodny, zachęcający do natychmiastowego ruszenia w drogę, bo słońce grzało i wiał lekki, naprawdę już wiosenny podmuch. Jedynie błoto przemawiało na korzyść zwłoki — błoto, w które źle byłoby wozom, nawet o najszerszych obręczach. Fairman szukał możliwie najsuchszej drogi, synka prowadził przed sobą.

Własnym furgonom dał nowe obręcze, szerokie na trzy cale, ale koła znacznej większości wozów były okute dwucalowymi sztabami albo nawet węższymi. On miał solidne wehikuły, z dobrze wysuszonego drewna, o elastycznych dyszlach i mocnych stalowych buksach. Zamówił także komplet jednakowych skrzyń na bagaż, aby można było wygodnie leżeć na ich płaskich wiekach. Zgromadził pokaźny zapas uprzęży oraz najniezbędniejszych narzędzi, ponadto zaś kupił karabin, pistolet i śrutową strzelbę na ptactwo. Nie zapomniał też o przenośnym piecu z kotłem do grzania wody, kuchni z żelazną płytą, patelniach, garnkach oraz blaszanych talerzach i kubkach, gdyż fajansowe ważyłyby za dużo i łatwo mogłyby się potłuc. Miał także namiot, dwie dzieże (jedną na słodkie, drugą na kwaśne mleko), dwa stalowe pługi oraz duży zwój powroza do wiązania zwierząt na pastwisku.

Obecnie medytował nad listą ekwipunku i wyliczając kolejne pozycje stwierdził, że jest prawie kompletna. Teraz pora pomyśleć o żywności: o mące, solonym mięsie, boczku, cukrze, soli, suszonych warzywach i

owocach, kawie, ryżu, może też o baryłce octu. No i ważna rzecz: książki, zwłaszcza podręczniki szkolne. O takie rzeczy trudno będzie w nowym kraju, z pewnością trudno. Dwoma furgonami uda się przewieźć więcej, niż zdołają zabrać inni: kuferek z wiśniowego drewna, który Judyta tak lubi, jej najładniejszą porcelanę zagrzebaną w mące, kołdry, lepsze ubranie i obuwie, zapas marmolad i dżemów. Ci, co chcą podróżować lekko i szybko, Fairmanów nazwą wygodnickimi.

Ale najbardziej zasadniczą kwestię stanowi żywy inwentarz: pociągowe woły do furgonów, przynajmniej siedem jarzm albo osiem, muły pod wierzch, dojne krowy i jałówki, które trzeba pędzić. Czy warto zabierać również owce, kury, gęsi? Radzą tak rozmaicie, że doprawdy niełatwo o decyzję.

No i lekarstwa. Należy pamiętać o dostatecznej ilości lekarstw.

Fairman zaczął roztrząsać w myśli tę sprawę, gdy od tyłu dobiegło go wołanie:

— Czy to panu potrzebny człowiek na Zachód? Pan nazywa się Fairman?

— Tak — odparł Fairman spoglądając na dziwną, długą i chudą jak tyka figurę, w zbyt luźnych samodziałowych spodniach do konnej jazdy, grubej koszuli w kratkę i bardzo znoszonym filcowym kapeluszu.

— Moje nazwisko Hig — oznajmiła figura. — Tak mnie wszyscy wołają. To, proszę pana, skrót od Higginsa. Byłem już na pańskim tropie, o czym może i powiedziała paniusia.

Paniusia trafnie zaobserwowała, że Hig miał twarz „jakby zgniecioną". Nie był stary, ale postradał zęby, więc usta mu się zapadły, a mała broda prawie zetknęła się z nosem. Oczy robiły też wrażenie wciśniętych pod krzaczaste brwi. Za to czoło — co Fairman zauważył — było ładnie sklepione, jak gdyby natura zamierzała naprawić popełnione niżej błędy.

— Palę się do wyprawy — ciągnął Hig. — Wystarczy mi byle jakie miejsce do spania i coś niecoś do gęby, a będzie pan miał ze mnie wiernego sługę. O, dzień dobry, mały.

— Masz doświadczenie? — zapytał Fairman.

— Trudno dożyć moich lat i nic się nie nauczyć.

— Chodzi o to, czy potrafisz obrządzać inwentarz, powozić furgonem, pomóc we wszystkim, co trzeba?

— Się wie, proszę pana. Może z wierzchu wydaję się zielony, ale jestem całkiem dojrzały od środka.

— Dlaczego zależy ci na wyjeździe?

— Nie wiem. Chcę dostać się tam, gdzie mnie nie ma.

Fairman pomyślał, że to powód nie gorszy niż każdy inny.

— Ile masz lat?

— Tego, proszę pana, też nie wiem. Jak powiadał mój tata, za młody jestem na umarlaka, za stary na oseska.

Na pomarszczonej drobnej twarzy pojawił się uśmiech nikły, ale pogodny; zapewne byłby bardziej wyrazisty, gdyby mógł znaleźć więcej miejsca.

— Ten, co pojedzie ze mną, nie może bać się pracy — zaczął znów Fairman.

— Nie powiem, że ją kocham, ale harowałem dosyć, by się przekonać, że trudno zdechnąć od roboty. Lubię za to, jak jest wesoło, proszę pana.

Mam nawet skrzypce — zapadłe, małe oczka zerknęły bystro w twarz Fairmana. — A humor diablo się przyda, kiedy zje pan buszel kurzu, muły będą zdrożone i podbite, a pańska żona zacznie pytać, czemu dostał pan fioła i zdecydował się na ten przeklęty Oregon.

— Skąd pochodzisz?

— Teraz czy dawniej?

— Chcę wiedzieć jedno i drugie.

— Teraz z Pittsburgha, Louisville i różnych miejsc po drodze. Dawniej właśnie stąd, z Missouri.

— W podróży musisz być trzeźwy.

— Nietrudna dla mnie sprawa. Chociaż nie powiem, żebym nie lubił czasem zajrzeć do kieliszka.

Fairman zamyślił się, oglądając pilnie Higa, od ładnie sklepionego czoła, przez zmiętą twarz i chudą postać, do stóp obutych w stare chodaki. Bardzo był mu potrzebny drugi parobek. Zastanawiał się, a Hig rozprawiał dalej:

— Niezły też ze mnie majster-klepka. W swoim czasie byłem kotlarzem. Wiem, jak naprawić uszkodzoną strzelbę albo złamane koło. Sam pan zobaczy — umilkł na moment i nie doczekawszy się odpowiedzi wyciągnął przed siebie ręce. — Niech no pan spojrzy! Łapy nie przyzwyczajone do leżenia na kolanach. Chudy jestem, ale silny jak byk, proszę pana, no i nie wymagam wiele. Chcę tylko, żeby pan mnie zabrał z sobą i jako tako żywił po drodze.

— Aha...

Hig pochylił się nad Todem.

— Fajna będzie z nas para, co mały? Ubawimy się jeden z drugim.

Fairman poczuł, że chłopiec mocniej ściska jego rękę, spojrzał nań i zobaczył uśmiechniętą buzię.

— Na imię mi Tod — oznajmił mały — i mam już konia.

— Aa... Tod — podjął Hig i przeniósł wzrok na Fairmana. — No i co? Jeżeli odpowiadam panu, to tak jak gdyby przyjął pan wiernego sługę.

— Aha... — powtórzył Fairman, aby uniknąć pochopnej decyzji. — Teraz wybieram się na targ obejrzeć muły.

— O ile pan pozwoli, ja też pójdę — odrzekł Hig, ujmując Toda za rękę, a Fairman pomyślał bezradnie, że prawdę mówiąc „to tak jak gdyby przyjął wiernego sługę”.

Handlarz mułów stał przy płocie. Paląc cygaro patrzał przez chmurę dymu na spędzone do zagrody zwierzęta. Był krępy, okrągły, brzuchaty. Miał mięsiste wargi przypominające teraz krążek okalający niedopałek cygara. Za jego pasem tkwił sztylet.

— Szuka pan mułów, hę? — zagaił rozmowę.

— Aha... Może i kupiłbym kilka — powiedział Fairman.

— Mam takie, jakie się nieczęsto trafiają.

— Oo... Chyba to cytat z Pisma świętego — wtrącił Hig.

Handlarz zerknął nań spod oka i ciągnął zwracając się do Fairmana:

— Niech pan na przykład weźmie tego draba — cygarem wskazał dobrze wyrośnięte zwierzę. — Zajedzie pan na nim tam i z powrotem. Przyuczony do zaprzęgu, pod siodło i juki, można rzec — wszechstronnie. W sprzężaju bydlak równie dobry jak i w pojedynkę. A nogi! Czyste złoto! Potrafi obrócić się w ptasim gnieździe i nie stłuc ani jednego jajka —

handlarz zaciągnął się mocno, jak gdyby chciał odzyskać utracony dech. — Moje nazwisko Tolty.

— Fairman, a to Higgins.

— Nowi w Independence, prawda?

— Tak. Od niedawna tu jestem.

— Ja również — podjął Tolty. — Przyjechałem akurat w porę, żeby sprzedać coś niecoś tym, co się wybierają do Oregonu. Pan też tam ruszy, co? Piękny kraj ten Oregon, przyjemny.

— I ja nie będą miał gorączki — odezwał się Tod.

— To dobrze, bardzo ładnie. Gorączka bywa zakaźna, malaryczna, powrotna, skórna, z dreszczami, różna, ale zawsze to cholerna bieda. Ale chodźmy do mułów...

Tolty podszedł do zagrody i jął odsuwać dyle zastępujące bramę, lecz zrobił pauzę, aby popatrzeć na jeźdźca, który zbliżył się truchtem, przez moment tkwił nieruchomo w siodle i zwinnie zeskoczył z konia.

— Pan także szuka mułów? — zapytał handlarz nie wypuszczając dyla z ręki.

— Nie. Tak sobie wstąpiłem po drodze. Sąsiad mnie prosił, żeby spojrzeć, czy da się kupić u pana coś niezłego.

Nieznajomy zdjął kapelusz, przygładził dłonią bujną, szpakowatą czuprynę. Ruchy, podobnie jak sposób mówienia, miał opanowane, swobodne. Zdawać się mogło, iż wystarczająco długo żył na tym świecie, by wszędzie czuć się jak we własnym domu.

— Pewno, że da się u mnie kupić coś niezłego! — zawołał Tolty. — Można sprawdzić na własne oczy — zwrócił się znów do Fairmana. — Sprzedaję muły na sztuki albo tuziny, jak klient woli. O, niech pan weźmie tego wielkiego skurwysyna, co? Ciągnie, jak wszyscy diabli, nawet nie poganiany. Stworzenie pierwsza klasa!

— Szukam zwierząt pod wierzch — powiedział Fairman. — Do furgonów myślę kupić woły.

— Nie kupił pan jeszcze, hę?

— Dotychczas nie. Interesuje mnie też bydło hodowlane.

— Zaraz panu coś powiem — podjął Tolty gestykulując żywo ręką z cygarem. — Wołami handluję tak samo jak mułami, chociaż w tej chwili nie mam ani jednego jarzma. Ale gdybym sam wybierał się do Oregonu, z pewnością pojechałbym w muły.

— Dlaczego?

— Muł jest szybszy, bardziej zwrotny, łatwiejszy w obrządku i ogólnie rzecz biorąc, lepszy pod każdym względem. No i przyjemniej siedzieć za nim niż za wołem.

— Ciut więcej wiatru, za to mniej deszczu, co? — wtrącił Hig ze swoim nikłym uśmiechem.

— Ma się rozumieć, wół też będzie harował, póki sił starczy — ciągnął niewzruszenie Tolty — ale kiedy go trud zmoże, uwali się i, jak Boga kocham, nie podniesie go człek nawet widłami.

Tod szarpnął Fairmana za rękę.

— Ojcze! Ja chcę tego wielkiego skurwysyna — szepnął.

— Tak się nie mówi, Tod.

— Jak Boga kocham! — zawołał Tolty. — Dziecko szybko łapie brzydkie słowa. Ale gdzie, u licha, on mógł usłyszeć coś podobnego?

— Ile za sztukę?

— Czterdzieści dolarów albo siedemdziesiąt pięć para. Jak pan woli?

— Niemało — bąknął Fairman.

— Tanio. Taniej niż śmiecie — wykrzyknął handlarz.

Hig jeszcze raz wtrącił się do rozmowy.

— Czy tam, skąd pan pochodzi, śmiecie mają taką słoną cenę?

Tolty zmierzył go nieprzyjaznym wzrokiem.

— A pan serio użyłby do zaprzęgu mułów? — zapytał Fairman.

— Naturalnie. Muła można osiodłać, objuczyć. Wołu nie można. No i w razie czego, jak przyjdzie ustawić furgony kręgiem, bronić się przeciw Indianom, jak będziecie wyglądać z powolnymi wołami?

— Podróżował pan szlakiem do Oregonu?

— Nie. Ale i bez tego wiem, co w trawie piszczy.

— Hm... — bąknął Fairman. — Pańska rada odbiega od innych.

— Możliwe. Różni rozmaicie radzą.

Mężczyzna obserwujący scenę zza płotu, postawił nogę na pniaku i zaczął bawić się wodzami uździenicy. Nie był ani tłusty, ani chudy, lecz, jak wydało się Fairmanowi, zbudowany z samych mięśni. Twarz miał zrytą zmarszczkami, spokojną, jak gdyby doświadczył w życiu wiele, lecz kłopoty znosił cierpliwie.

— A co pan powie? — zapytał Fairman ulegając nagłemu impulsowi.

— Nie mój interes.

— Ale bądź co bądź interes. Proszę o pańskie zdanie.

Nieznajomy zwrócił się do handlarza:

— Jak też Indianie odnoszą się do mułów?

— Indianie? — podchwycił Tolty. — Nie inaczej niż wszyscy. Przepadają za nimi.

Tamten kiwnął głową, jak gdyby uzyskał wyczerpującą odpowiedź, i spuścił wzrok ku wodzom, które obracał w palcach. Handlarz rozdziawił usta. Nagle uprzytomnił sobie, że został przyłapany, lecz nie rozumiał jeszcze, jak się to stało i dlaczego.

— Indianin kradnie to, za czym przepada — wyjaśnił Hig, a nieznajomy spojrzał nań i uśmiechnął się oczyma, chociaż zachował niewzruszony wyraz twarzy.

Tolty odwrócił głowę w jego stronę.

— Ma pan diabelnie długi nos — rzucił.

— Zaraz, zaraz — obruszył się Fairman. — Zadałem pytanie i otrzymałem odpowiedź. Miał pan na myśli, że Indianie kradną muły, ale woły zostawiają w spokoju, prawda?

— Mniej więcej.

Zdawać się mogło, iż Tolty próbuje odpędzić nieproszonego doradcę samym spojrzeniem.

— Niech ten pan kupi to, czego sobie życzy. Nie pańska sprawa.

Mężczyzna zachował spokój, palcami prawej ręki gładził wodze rozłożone na lewej dłoni. Wreszcie odezwał się znów tym samym łagodnym tonem:

— Ten duży muł należał, zdaje się, do Toma Proctora. Tom mówił, że bydlę ma niezawodne nogi, że celniejszych nie widział w życiu.

— A co ja powiedziałem przed chwilą? — podchwycił handlarz.

— Właśnie — ciągnął tamten. — Zdaniem Toma bydlak przyjrzy się z bliska człowiekowi, wybierze ząb, który chce wybić, i jak puści zadem, nie spudłuje. Podobno nie zdarzyło mu się coś takiego ani razu.

— To się nazywa, nogi czyste złoto? — zawołał Hig. — Trzymam zakład, że gdyby został mi bodaj jeden ząb, drań wykopałby go z pewnością.

— Pójdziesz ty do licha! — wybuchnął Tolty. — Jak Boga kocham, mam ochotę cię przepędzić.

Z tymi słowy ruszył stanowczym krokiem ku bramie w płocie i nieznajomemu, który stał spokojnie bez ruchu, trzymając stopę opartą na pieńku, a dłoń na wzniesionym kolanie.

Fairman był ciekaw, czy tamten spostrzegł sztylet za pasem handlarza.

— Spokojnie, stary. Nie ma co się przejmować — podjął nieznajomy tym samym wciąż tonem.

Tolty przystanął, niby pies, który atakuje z ujadaniem, aby w ostatniej chwili opamiętać się, zrozumieć, że nie należy brać do pyska więcej, niż można ugryźć.

— Ee, nic pan nie kupi — podjął handlarz z nutą urazy. — Po co psuć drugim interes?

— Racja — przyznał nieznajomy, zdjął nogę z pniaka i z wolna obrócił się w stronę konia.

— Hej! Co pan za jeden?

Hig uprzedził zapytanego.

— Może Old Hickory, Andy Jackson[1] we własnej osobie.

— Nazywam się Dick Summers.

— Dick Summers? — powtórzył ze zdziwieniem Fairman.

— Zgadza się.

Summers spokojnie dosiadł konia, przez moment pozostał w siodle bez ruchu. Objął wzrokiem handlarza z cygarem w ustach, Higa, Fairmana, małego Toda uczepionego ojcowskiej ręki. Wreszcie zawrócił w miejscu.

Fairman chciał go przywołać, zapytać, czy jest wspomnianym przez Evansa wędrowcem z gór, czy zgodzi się zostać przewodnikiem wyprawy do Oregonu. Milczał jednak, spoglądał za oddalającym się truchtem koniem i wiedział tylko, że spotkał tego dnia drugiego człowieka, w którego towarzystwie chętnie odbyłby podróż.

[1] Old Hickory (również Andy) — potoczne przezwiska Andrew Jacksona, siódmego prezydenta USA (1767—1845).

Rozdział III

Dick Summers siedział na pieńku, palił fajkę. Dni były teraz dłuższe niż zimą, ale zmierzch osiadał już między drzewami, a w domu kobiety zapaliły światła — nie żeby lepiej widzieć, lecz dla dodania sobie ducha. Dick jak gdyby przylepił się do pniaka, chociaż wiedział, rozumiał lepiej niż ktokolwiek inny, że powinien ruszyć się, odnaleźć i wydoić krowę. Mimo wszystko jednak siedział spokojnie, pykał fajkę i myślał, że upora się później z tym wszystkim.

W dolnym biegu strumyka, gdzie wody utworzyły niewielkie rozlewisko i bagienko, żaby stroiły instrumenty. Powietrze pachniało wiosną — dojrzałą już, bliską lata. Kwitły derenie i drzewa judaszowe, a topole i dzikie wiśnie stały w liściach. Koniecznie trzeba wstać, wydoić krowę.

Bardzo daleko, za rozległą równiną nad Platte, wzdłuż Green River lub Popo Agie i jeszcze dalej ku północy w stronie Three Forks pracują zawzięcie traperzy, albo raczej niedobitki traperów. Zastawiają sidła, wybierają z nich zdobycz, liczą dni do czasu, kiedy przyjdzie powędrować na punkt zborny. Tyle że dzisiaj nie ma już punktu zbornego. Został tylko fort Jima Bridgersa przeznaczony bardziej dla włóczykijów niż prawdziwych ludzi z gór.

Ktoś wyszedł z chaty i Dick zorientował się rychło, że to sąsiad, Lije Evans, który postanowił wreszcie wybrać się do Oregonu i od tej pory wszystkim radził, by zrobili to samo.

— Nie przeszkadzam? — zapytał.

Ciężko usiadł na ziemi, dobył z kieszeni zieloną flaszkę, podał Summersowi, który nie miał wątpliwości, że Evans kupił ją ze względu na niego. Pociągnęli obydwaj i zajęli się znów fajkami. Milczeli przez czas pewien; wreszcie odezwał się Lije.

— Po śmierci wygląda pięknie, naprawdę pięknie.

Summers bez słowa skinął głową. Czuł, że alkohol rozgrzewa mu wnętrzności, wspominał krainę bobrów. Pożegnał ją dawno, kiedy poczuł się zmęczony i stary. Jak dawno? Od roku tysiąc osiemset trzydziestego siódmego do czterdziestego piątego minęło tylko osiem lat. Ale wydawały się one długie jak wieczność, więc Dick zastanawiał się nieraz, czy nadal płynie Seeds-kee-dee, czy góry wyrastają błękitem z płaskowyżu i byki bizonów tupią w porze godów tak samo.

Rozstał się z tamtą krainą, by wrócić do Missouri i farmy. Kupił sprzężaj mułów, zbudował chatę, poślubił białą kobietę, zaczął uprawiać kukurydzę, warzywa, hodować świnie. Był przekonany, że od dawnych spraw odszedł na dobre; tyle że zachował je w myślach, że czasami oglądał oczyma wyobraźni słońce, które wzbija się nad rąbek świata i zatoczywszy kolosalny łuk niknie w pożodze łun za górami, a pod tym słońcem bobrową

sadzawkę; słyszał uderzenie ogona o wodę, nagły grzmot wystrzału i ciszę — ciszę taką, jak gdyby tam nigdy nic nie żyło.

Czasami wracał myślami do indiańskich wiosek. Patrzał na stare kobiety spowite w czerwone chusty i młode, piersiste dziewczęta, które zdają się odpowiadać mu wzrokiem: tak, tak, tej nocy; on łowi ich spojrzenia, tłumacząc wodzowi oraz starszyźnie, jak szlachetne i prawe jest serce białego człowieka, a fajka w krąg obiega. Przybywali też doń starzy towarzysze: Jed Smith, Dave Jackson, Jim Deakins; inni pomarli od dawna, a nad jeziorem Jackson samotnie strzelały w niebo szczyty Grand Teton. Nagle zalatywał skądś smród świńskiego nawozu albo stary muł, Jack, dawał o sobie znać rżeniem i Summers wracał do rzeczywistości świadomy, że jest tylko zapracowanym farmerem, który powinien lepiej dbać o swój inwentarz.

— No i co? Postanowiłeś już coś, Dick? — podjął Evans.

Summers przecząco pokręcił głową.

— Nie powinienem się dopytywać... Hm, wiem, że to niestosowna chwila...

— Nie szkodzi, Lije.

— Ale widzisz, czas nagli. Musimy wreszcie coś wiedzieć.

— Aha... — mruknął Summers.

Sąsiad podał mu butelkę, a on pociągnął drugi tęgi łyk. W dorzeczu górnej Sweetwater i jeszcze dalej, za przełęczą Southern Pass nad Sandys i Green River, widywał dzikie kozy, lub antylopy, jak je teraz nazywają, umykające z młodymi, które były lekkie niczym nasiona przekwitłego ostu. Oto nadciąga noc, słońce już zaszło, gasną wieczorne zorze; pośród wzgórz zaczynają ujadać kujoty, gwiazdy rozbłyskują na niebie, przyjemnie pachnie dym z osikowych szczap na ognisku... Stanowczo trzeba zaraz wydoić krowę.

Evans pociągnął nosem, jak gdyby i on zwietrzył woń biwakowego ogniska. Ale powiedział tylko:

— Ładnie pachną dzikie jabłonki.

Człowiek traci coś i wnet zaczyna myśleć o innych, dawniejszych, stratach. Może dlatego właśnie Dick Summers wspomina dzisiaj Jackson's Hole i Wind Mountains, i dziewczęta indiańskie z lat, kiedy gorąca krew w nim kipiała. Może dlatego właśnie wspomina bizony z równin nad Laramie, stada bizonów tak ogromne, że, na Boga, człowiek tracił głowę próbując je przeliczyć. Może dlatego właśnie wspomina starego przyjaciela wodza Indian Szoszonów, Białego Jastrzębia, i klarowne, wartkie potoki, i kępy osiczyny o białych pniach i rozedrganych liściach.

— Tadlockowi diablo zależy na rychłej odpowiedzi — zaczął znów Evans. — I wiesz co, Dick? Wcale mu się nie dziwię.

— Po co tam jedziesz, Lije? Szukać, czegoś nie zgubił?

— Mówiłem już. Musimy zdobyć Oregon, a ja chcę przyłożyć do tego ręki.

— Nie tylko o to chodzi.

— Może nie tylko. Widzisz, nie byłem w Oregonie, ale tutaj mi ciasno. Nie myślę wciąż tylko harować i harować. Chyba od życia można dostać więcej.

— Nigdy nie uważałem cię za leniwego.

— Bo nie jestem leniwy. Chodzi o to, Dick, że w Missouri robi się za ciasno.

Summers przytaknął ruchem głowy.

— Posłuchaj, Dick — ciągnął Evans. — To wisi w powietrzu niby malaria nad bagnem. Brownie chce jechać, ja również. Nawet Becky nabrała ochoty. Do licha! Nie zastanawiam się dlaczego. Po prostu chcę — i tyle!

Summers zebrał się w sobie, jak gdyby zamierzał wstać z pieńka.

— Muszę wydoić krowę — powiedział.

— Ty, Dick? Wydoić krowę? — zdumiał się Evans i zawołał donośnie. — Brownie! Hej, Brownie!

Summers spojrzał w stronę swojej chaty i zobaczył nadchodzącego chłopca. Brownie składał się z samych rąk, nóg i długiej szyi. Niedorostek. Prawdopodobnie uważa się za mężczyznę, ale nie czuć go jeszcze chłopem.

— Co, tato?

— Zapomnieliśmy o krowie: twoja matka i reszta kobiet. Poszukaj prędko skopka, złap krowę Dicka i wydój zaraz.

Brownie przestąpił z nogi na nogę.

— Zostaw go, Lije — powiedział Summers. — Żaden mężczyzna nie lubi babskiej roboty.

— Widzisz, Brownie — przemówił ojciec do wyrostka — dziś jest inaczej niż zwykle. Nie wolno się przejmować drobnymi sprawami w dniu żałoby. Idź, zrób, co ci powiedziałem.

— Dobrze — odparł chłopiec nieoczekiwanie chrypliwym głosem cielęcia, które dorosło wieku byczka; odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku domu.

— Ile ma lat? — zapytał Summers.

— Skończone siedemnaście.

— Wygląda na młodszego.

— Wolno dojrzewa, jak zwykle wybujałe dzieci. Nie szkodzi. Zmężnieje z czasem.

— Dobry chłopiec, spokojny — podjął Summers i w twarzy sąsiada wyczytał zadowolenie.

— Zdecydowałem się na wyjazd głównie przez wzgląd na niego. Dzieciak powinien zobaczyć coś więcej niż samą tylko harówkę i harówkę.

Napili się raz jeszcze.

— Słuchaj, Dick — podjął Evans. — Czy to piekielnie trudna droga?

— Łatwa konno albo piechotą. Nie wiem, jak będzie z furgonami. Dawniej myślałem, że na kołach niepodobna ujechać za Green River. Ale udawało się to czasami.

— Nie powinienem dziś naprzykrzać ci się pytaniami — Evans zmienił pozycję, usiadł wygodniej na ziemi. — Można ci w czymś pomóc, Dick?

— Nie... Chyba nie...

Jak zwykle, sąsiedzi wyręczali we wszystkim męża okrytego żałobą. Kupili mu mięsa, chleba, ciasta więcej niż przy najlepszym apetycie zdołałby zjeść w ciągu tygodnia; posprzątali w domu, zbili bukową trumnę, wykopali dół, a kobiety gorliwie zajęły się ciałem. Tłumnie będą stali dokoła — mężczyźni gawędząc o nierogaciźnie i spodziewanych plonach, kobiety o własnych, babskich sprawach. Nie rozejdą się, póki ciało nie

spocznie w ziemi, nie zostanie przysypane. Radzi byliby nawet zbudować murowany grobowiec, by zabezpieczyć je od wilgoci i robactwa.

— Nie najgorzej udał się Tadlock — zaczął znów swoje Evans. — Bardziej wykształcony od innych. No i prawdziwy amerykański patriota. Jak Bóg na niebie, chce zostać kapitanem wyprawy.

— Skąd on pochodzi? Jak mówiłeś?

— Z Illinois, z nadrzecznej okolicy. Ale nie widzę go jakoś w roli farmera. Bardziej nadawałby się na urzędnika. Dziś rano spotkałem go w mieście. Radziłem mu, żeby się nie przemęczał. Ale co z tego. Jest uparty, jak muł.

Summers milczał, bo nie miał wyrobionego zdania o Tadlocku, który nie przypadł mu do gustu bez wyraźnej przyczyny.

— Chcesz ją zobaczyć? — podjął po pauzie Evans i ruchem głowy wskazał drzwi domu. — Kobiety sądzą chyba, że powinieneś to zrobić.

— Tak... Naturalnie — odparł Summers, jednakże nie wstał z pieńka, nie chciało mu się ruszać już w tej chwili.

Był smutny, lecz w szczególny sposób, czuł się swojsko w towarzystwie smutku. Tylko młodzi buntują się przeciwko śmierci i zawodom, dlatego zapewne, że liczą na więcej, niż Bóg wszechmogący zwykł dawać. Z biegiem lat człowiek zaczyna z rezygnacją przyjmować straty — w każdym razie mężczyzna bliski pięćdziesiątki, przywykły do rozstań.

W takim nastroju Dick Summers żegnał swoją żonę. Od czasu gdy ją poznał, nigdy nie była zupełnie zdrowa. Żółta, trawiona malarią, raz mało nie umarła poroniwszy płód, który on zasiał w jej łonie. Ale chociaż niełądna, bardzo rzadko wesoła, na pozór oschła, była kobietą dobrą, ciężko pracującą, pełną najlepszych chęci wobec męża. Gdyby żyła obecnie, rano poszłaby za krową, aby poszukać młodego szczawiu i ugotować dla Dicka garnek pożywnej zupy na tłustym mięsie. Prawdę mówiąc, nie malaria zabiła Mattie. Zdawać się mogło, że po prostu siły ją opuściły. Położyła się do łóżka i w ciągu dwu dni umarła. Przez cały czas wiedziała, co ją czeka, spoglądała na męża oczyma błyszczącymi od gorączki, lecz żadne z nich nie potrafiło się zdobyć na rozmowę o czymś więcej niż błahostki: że tego roku jest wyjątkowo piękna wiosna albo że Lije Evans sprzedał już chyba farmę i serio myśli o wyprawie do Oregonu. Dick widywał podobnie umierające stare konie: kładły się spokojnie i gdy wyciekało z nich życie, spoglądały na człowieka mętnym wzrokiem.

Niełądna kobieta o poczciwym sercu. Dick myślał, że powinien boleśniej odczuwać jej stratę, całkiem inaczej, gdyż obecny jego nastrój może uchodzić za brak szacunku dla zmarłej. Niepotrzebnie wspomina młode Indianki i dawne piękne czasy w krainie gór. Jednak o tamtych latach medytował często, nawet gdy Mattie żyła, więc jej zgon po prostu nic nie zmienił.

Uczucia mieszają się, jak wszystko inne. Człowiek może się martwić, wiedzieć, że tak być powinno, zarazem jednak odczuwać dziwną lekkość, jak on w momentach, kiedy przestawał uważać na siebie. Czuł się wtedy tak, jak gdyby odzyskał swobodę, jak gdyby świat odemknął się raz jeszcze. Oto jest wolny, wokół panuje wiosna, góry natrętnie zapełniają wyobraźnię i oczywiście on, Dick Summers, może zostać przewodnikiem wyprawy do Oregonu równie dobrze, a nawet lepiej niż ktokolwiek inny. Czasami wydawał się sobie starym durniem, lecz w głębi serca wierzył, że

potrafi rozpocząć od nowa lub odzyskać to, czemu młode lata zawdzięczają swój urok. Był smutny, oczywiście, ale zarazem pewien siebie. Czuł już zachodni wiatr na twarzy, widział kwitnące kaktusy. Był kontent, że wobec nikogo — nawet wobec Boga — nie musi usprawiedliwiać stanu swoich uczuć.

Zrobiło się tak ciemno, że Summers nie mógł dojrzeć ludzi wokół chaty, chyba tylko wtedy, kiedy czyjaś głowa rysowała się na tle oświetlonego okna. Za to słyszał głosy — grube, ochrypłe głosy mężczyzn gawędzących na świeżym powietrzu przy butelce oraz utrzymany w wyższej tonacji gwar kobiet dobiegający z wnętrza domu. W głębi podwórka, w chlewie, świnie kręciły się i chrząkały głośno w sposób, jaki zdaniem niektórych zapowiada burzę.

— A jeszcze jedno — podjął znowu Evans. — U Tuckerów nocuje jakiś kaznodzieja. Tucker rozmawiał ze mną. Prosił, żeby cię zapytać, czy chcesz jego modlitw i kazania na pogrzebie?

— Przecież wszystko zostawiłem Tuckerowi.

— Ale o tym nie było mowy, bo kaznodzieja dopiero co się zjawił. Podobno metodysta. Tak przynajmniej powiada Tucker.

— Metodysta czy nie metodysta, to na mój rozum jedno. Hm... Chyba ona chciałaby mieć kaznodzieję.

— Pogrzeb odbędzie się rano — powiedział Lije; nie było to pytanie, po prostu informacja.

Summers skinął głową.

— To najwłaściwsza pora — dorzucił Evans.

Wdowiec ponownie zgodził się bez słowa.

— Widzisz, Dick, kaznodziei trzeba będzie coś zapłacić. Może obejdzie się bez niego? Odśpiewamy stosowne pieśni. Harry Barlow przeczyta Ewangelię, odprawi modły.

— Niech kaznodzieja przyjdzie. Wiesz, Lije, myślałem, że i tak Tucker pojedzie do Independence, sprowadzi kogoś, pewnie campbellitę[1], bo to wiara najbliższa jego sercu.

— Pogadam z Tuckerem. A ten kaznodzieja wybiera się do Oregonu. W każdym razie ludzie tak gadają.

— Aha...

Summers wstał z pieńka.

— Cóż, Lije, trzeba popatrzeć, co zrobiły kobiety — zaproponował i wraz z Evansem ruszył w stronę chaty.

Zasiadający kręgiem mężczyźni przerwali pogawędkę, gdy ich mijał. W domu kobiety umilkły i rozstąpiły się, by zrobić przejście wdowcowi. Były ruchliwsze, bardziej niż zwykle podniecone, więc pomyślał, bez urazy, że widok i majestat śmierci najskuteczniej ożywia kobiety. Powitały go przyciszonym głosem lub milczącym skinieniem głowy — wszystkie prócz pani Evans — a jemu przyszło na myśl, że być może są cokolwiek zawstydzone, bo dotychczas paplały za głośno, i z zaciekawieniem czekają, co też on powie. Na kuchennym stole zobaczył pokaźną ćwierć mięsa, trochę zieleniny, placek, bochenek kukurydzanego chleba, stos innych wiktuałów. Przez otwarte drzwi izby sypialnej widać było ciało w

[1] Campbellici lub uczniowie Chrystusa — sekta założona w Ameryce w 1809 r. przez Tomasza 1 Aleksandra (jego syna) Campbellów, duchownych pochodzenia szkocko-irlandzkiego..

trumnie zbitej przez Evansa, a obecnie ustawionej na dwu krzyżakach, którymi Summers posługiwał się przy domowej ciesiołce.

— Spójrz na nią i wracaj, Dick, żeby coś przekąsić. Wszyscy już jedli. Ty też musisz. Trudna rada — odezwała się Becky Evans mocnym, stanowczym głosem.

Była piersista, masywna, ale mimo ciężkiej wagi weszła z Summersem do izby sypialnej krokiem nadspodziewanie lekkim. W palcach trzymała stoczek, więc po ścianach zaczęły pląsać cudaczne cienie. Po chwili oświetliła trumnę, aby wdowiec mógł wszystko zobaczyć wyraźnie.

Sąsiadki umyły Mattie, uczesały, ułożyły z dłońmi splecionymi na piersi, toteż wyglądała nie inaczej, niż Dick oczekiwał — dokładnie tak, jak powinna wyglądać starszawa kobieta zmarła na malarię. Przez długą chwilę stał, słuchał sapania Becky Evans, myślał, że kobiety niecierpliwie oczekują jego słów. Patrzył na nową, kupioną przez nie suknię, dłonie poczerniałe od wżartego brudu mimo szorowania, dobrze znajomą, malarycznie żółtawą cerę. Włosy wydawały mu się bielsze, znacznie bielsze, niż je zapamiętał. Patrzył i medytował, że już nigdy nie zobaczy żony zajętej farbowaniem w korze dębowej, koperwasie czy indygo ręcznie przędzonej wełny. Nie zobaczy jej, gdy szyje, odlewa świece, rozciera na mączkę twarde niczym krzemień kukurydzane ziarna albo zerka w kierunku słonecznych plam na podłodze kuchni, by zorientować się, która godzina. Pozostały z niej tylko nieruchome, wychudłe zwłoki, a gdy nadejdzie ranek, znikną również one i będzie tak, jak gdyby Mattie nie istniała nigdy; tyle że pamięć zachowa jej obraz.

Była jego kobietą. Dzieliła z nim łoże, utrzymywała dom w porządku, we wspólne życie wkładała więcej niż należny udział pracy. Pod każdym względem stanowiła wzór żony dobrej, jeżeli nawet niezbyt pociągającej; nie powinien więc pragnąć ucieczki od tego, co pozostało z Mattie: pożółkłej cery, zapadłych oczu, skupionego, zatroskanego wyrazu, jaki jej twarz miewała często również za życia.

Summers wytrwał jedną i drugą minutę. Nie dotknął ciała, nie chciał go dotknąć. Później odwrócił się, pochylił z wolna głowę i ruszył do kuchni.

— Dziękuję. Z całego serca dziękuję — powiedział zgromadzonym kobietom. — Nikt nie mógłby... nie mógłby zrobić tego lepiej... ładniej.

— Mattie wygląda naturalnie, prawda? — odezwała się Becky Evans. — Właśnie mówiłyśmy, że wygląda całkiem jak żywa. No, chodź, zjedz coś wreszcie.

Lije Evans wsunął głowę do izby.

— Przyszedł ten kaznodzieja, Dick — oznajmił. — Jest także Tadlock. Chcesz porozmawiać z kaznodzieją?

— Nie ma potrzeby, ale... — zaczął Summers, lecz nim dokończył zdania, duchowny wtargnął do kuchni.

Był wysoki, stary, chuderlawy. Skronie miał zaklęsłe, twarz naznaczoną zmianami pogody i trwałą troską z przyczyny ludzkich grzechów. Wystąpił tego wieczoru uroczyście, w czarnym surducie, dziwnie rażącym przy spłowiałych brezentowych spodniach do konnej jazdy. Wyciągnął rękę i przemówił głosem starczym, nieco ochrypłym — zapewne, jak pomyślał Summers, od nawoływania grzeszników, by wrócili do Chrystusa.

— Bóg dał, Bóg wziął — powiedział.

Wdowiec uścisnął mu dłoń bez słowa.

— Witam, bracie Summers. Moje nazwisko Weatherby, Joseph Weatherby. Przybywam z Indiany.

— Aha...

— Czuję, że Pan nad pany wiódł mnie tu, abym na czas zdążył do domu żałoby.

Słowa płynęły z pełnych, wydatnych warg kaznodziei, jak gdyby składane w ofierze Panu nad pany.

— Nie bolej, bracie Summers, albowiem drogi Stwórcy są niezbadane.

W innych okolicznościach Summers nie potrafiłby powściągnąć uśmiechu. Pomyślał, że duchowni i lekarze są ulepieni z jednakowej gliny. Zausznicy Wielkiego Ducha! Udają, że widzą coś, czego nikt widzieć nie może. Ale nie uśmiechnął się tym razem. Spojrzał tylko w steraną wiekiem twarz i wyblakłe, jasnobłękitne oczy i nabrał przekonania, iż Weatherby istotnie wierzy w to, co mówi.

— Brat Tucker wspomniał, że życzysz sobie, bracie, abym odprawił żałobne obrzędy.

— Aha... To sąsiedzka przysługa.

— Czy masz, bracie Summers, jakiś ulubiony psalm lub tekst Pisma? A może ona miała?

— Nie przypominam sobie.

— W takim razie odczytam fragment Listu do Efezjan.

— Sam zrobisz wybór.

Kaznodzieja przytaknął skinieniem kościstej głowy, później zadarł ją, by powiedzieć:

— Słyszałem, że masz być przewodnikiem wyprawy do Oregonu.

— To się może zdarzyć.

— Ja także się wybieram. Czuję, że Pan wzywa mnie do nowego kraju, abym poniósł błogosławieństwo wiary poganom.

— To długa podróż, szczególnie dla osób starszych i nie nawykłych do trudów.

— Pokładam ufność w Bogu.

— Łatwo ci będzie znaleźć karawanę furgonów. Moc ludzi chce jechać do Oregonu z Independence i Saint Joe.

— A twoja wyprawa, bracie?

— Nie będzie moja, jeżeli nawet z nią ruszę. Widzisz, wyprawy same stanowią sobie prawa. Niejedna z chęcią przyjmie kaznodzieję.

Pani Evans pociągnęła wdowca za rękaw.

— Chodźże, Dick. Zjedz coś wreszcie. — Chyba najprzód pomówię z Tadlockiem — odrzekł. — Za moment wrócę.

Tadlock czekał w pobliżu drzwi.

— Chcielibyśmy pogadać z tobą parę minut, jeżeli naturalnie wybaczysz, że zgłaszamy się w takiej chwili.

— Kto to jest „my"?

— Kilka osób, przedstawiciele naszej grupy.

— Słowo daję! — nadpłynął od strony drzwi głos pani Evans. — Moglibyście zostawić człowiekowi czas na posiłek.

Tadlock poprowadził swoich towarzyszy i gospodarza pod dąb, który w południe ocieniał chatę albo też miał ocieniać, gdy obrośnie liśćmi. Przybyszów było czterech wraz z Evansem, i on przemówił pierwszy, kiedy zasiedli.

— To nie był mój pomysł, Dick.

— Ktoś musi wziąć na siebie odpowiedzialność — powiedział Tadlock; dźwignął się, stanął pewnie, przeniósł wzrok z Evansa na gospodarza. — Zechciej uwierzyć, Summers, że dzisiejsza rozmowa nie sprawia mi przyjemności. Ale blisko przed miesiącem wystąpiliśmy z propozycją, a do dziś nie udzieliłeś odpowiedzi: tak czy nie. Obecnie wolno nam sądzić, że nic specjalnego nie trzyma cię na miejscu. Czas umyka. Musimy usłyszeć coś stanowczego. Chcemy ruszyć w drogę pierwsi. Zostaniesz naszym przewodnikiem czy nie zostaniesz? Jeżeli nie, trzeba znaleźć kogoś innego.

— Rozejrzyjcie się za kimś innym. Może tak będzie lepiej.

— Jak już wspomniałem — podjął Tadlock — chcemy ruszyć w drogę pierwsi, żeby nie łykać kurzu poprzedników, mieć dobre pastwiska dla zwierząt.

— Całkiem niezły pomysł — przyznał Summers.

— No i, Dick, pragnęlibyśmy jednak ciebie — dodał żywo Evans.

— Tyle że nie pozwolimy wystrychnąć się na dudków — podjął Tadlock.

Jego postawa, sposób mówienia zdawały się zachęcać, by mu w twarz napluć. W każdym razie Summers odniósł takie wrażenie.

— Wolno wam postąpić, jak chcecie — odparł szorstko.

Odwrócił się i zmierzając ku chacie myślał o swojej odpowiedzi i że ostatecznie mógłby już dzisiaj przyjąć propozycję. Nie zrobił tego, gdyż Tadlock go uraził — to zapewne tylko pozory, ale nikt nie lubi, by go poganiać, naglić.

Summers nie wątpił już, co odpowie, i gorąco pragnął mieć wreszcie pogrzeb za sobą. Sprzeda wszystko oprócz gruntu, do którego może kiedyś wróci, i zwierząt potrzebnych w podróży i w nowym kraju. Przepiłuje pień, w którym, nie ufając bankom, przechowuje pieniądze — w dziurze wywierconej sekretnie i troskliwie zabitej kołkiem. Przepiłuje pień i rychło będzie gotów.

Myślał, że wiatr, co mu twarz chłodzi, przybywa z gór i bezkresnych równin, z odległych miejsc, bardziej dlań wciąż realnych niż ziemia, po której stąpa.

Rozdział IV

Furgon, podstawiony tyłem do drzwi kuchni, był prawie pełny, lecz mógł jeszcze pomieścić resztę rzeczy pozostałych w domu. Patelnie i garnki w skrzynkach, tłumoki z pościelą, co lepsze naczynia zagrzebane bezpiecznie w baryłkach mąki, starannie opakowana odzież i nieliczne meble — wszystko to spoczywało już pod plandeką wielkiego pojazdu.

Evansowie niewiele mieli do roboty przed momentem, kiedy zamkną drzwi, odjadą i dom ich stanie się domem obcych ludzi. Rebeka uwijała się skrzętnie, jak to w ostatnich minutach — tutaj znalazła zapomniany ręcznik, tam nie zapakowaną warząchew; jeszcze raz zamiotła izbę, by zostawić po sobie porządek. Próbowała dorównać radosnemu pośpiechowi mężczyzn, którzy na drugi furgon ładowali zakupione prowianty, pługi, uprząż, żarna, kowadło, przeróżne ciężkie przedmioty, o które, jak przewidywał Evans, może być trudno w Oregonie. Kiedy przyczłapali z szopy, by do reszty opróżnić wnętrze domu, Brownie zapytał:

— Co teraz, mamo? Za co się brać?

— Nieważne, co i jak dziś załadujemy — mówił Lije. — Wszystko można będzie poprawić na punkcie zbornym.

Ach ci mężczyźni — myślała Becky Evans. — Są zaaferowani i w podnieceniu nie odczuwają żalu, tak jak kobiety, przy pożegnaniu z domem. Kobiecie dom, w którym długo mieszkała, przypomina dotknięcie rąk, odgłos kroków, szmer przyciszonych nocnych rozmów. Przypomina jej zgony i narodziny dzieci, i wesołe gawędy świeżo poślubionej pary.

— Możecie teraz wziąć orzechową komodę — odparła, popatrzyła na męża i syna, którzy z wysiłkiem dźwignęli ciężki mebel, a następnie, z przykrością, na pozostawioną pustkę.

Lije zbudował ten dom — cały, do najdrobniejszych szczegółów — a wszystko, co w nim ładne, zostało obmyślane i stworzone przez jedno albo drugie z małżonków. Wszystko ma w sobie coś z nich. Przybyli tutaj młodzi, pewni siebie, aby później oglądać mijające lata, doświadczać wielu strapień i wielu radości. Kobieta znowu ujęła miotłę, pomyślała, że dom współżył z nimi przez czas długi, dzisiaj zaś doznaje zbliżonych uczuć: ciszą nagich ścian, smutkiem opróżnionych pomieszczeń zdaje się wspominać przeszłość, wyrażać lęk wobec spodziewanego najazdu nieznajomych.

Na podwórku mężczyźni mówili coś, myśleli głośno, jak najwłaściwiej pomieścić bagaż w furgonie. Głos Evansa dźwięczał mocno, tonem nadziei, pewności siebie, nutą, jakiej Rebeka od lat nie słyszała. Więc wszystko dobrze — myślała, przekonywała się z uporem. — Decyzja była trudna, ale słuszna. Oregon wróży pomyślną przyszłość, zapowiada możliwości większe niż Missouri, rozmach, którego Lije tak bardzo potrzebuje już obecnie, a Brownie będzie potrzebował wkrótce. O to właśnie chodzi. Lije

powinien nabrać zaufania do siebie, przekonać się, ile jest wart naprawdę. Ślamazarny jegomość, zanadto układny. Tak sądzą ludzie i nie rozumieją, że Lije sam się pomniejsza, bo brak mu śmiałości, dzięki której stać byłoby go na wszystko lub prawie wszystko. Rebeka nigdy o tym nie wątpiła i gdyby nie żal z racji porzucenia domu, byłaby szczęśliwa, że Lije zdobył się na niezwykły dlań stanowczy krok i postanowił ruszyć do Oregonu.

Kobieta wymiotła śmiecie za drzwi, zdjęła fartuch. Wszystko było już na furgonie. Wszystko! W domu nie zostało nic poza próżną przestrzenią, miotłami, ulatującymi w powietrzu drobinami pyłu i bezbrzeżnym smutkiem.

— Stary Rock już gotów, mamo. Co z tobą?

Głos chłopca zabrzmiał echem w wymarłych izbach, w sypialce, gdzie Brownie przyszedł na świat, gdzie leżał w kołysce, którą Lije zbił z wiśniowego drewna.

Evans przyczłapał od furgonu, wszedł do sieni, rozejrzał się wokół.

— Wygląda na to, że wszystko zabrane — powiedział. — Chyba że chciałabyś załadować i dom.

— Szkoda, że to niemożliwe.

— Mnie też przykro, Becky — bąknął i pogłaskawszy żoną po ramieniu wyszedł znów na dwór, skąd zawołał: — Gotowa jesteś?

— Zaraz. Tylko włożę kapturek na głowę — odkrzyknęła i stanęła na progu, w oślepiającym blasku porannego słońca.

— Tata mówi, że ja mam pilnować pędzonych luzem stworzeń, a on i mama będą powozić furgonami — oznajmił Brownie.

— Aha... Dobrze... Jeszcze jedną chwilkę...

Rebeka odwróciła się, bo przyszło jej na myśl, że nie potraktowała domu z uczuciem i respektem należnym komuś, kto służył wiernie przez lata; na pożegnanie nie objęła go długim, serdecznym spojrzeniem.. Stała teraz bez ruchu i przez parę minut wdychała pustkę, w wyobraźni ustawiała na dawnych miejscach wyrwane stąd meble i przedmioty.

— Pośpiesz się, mamo!

Podniosła głowę, przestąpiła próg i sprawdziła starannie, czy zasunęła tylekroć używany rygiel.

Rozdział V

Lije Evans bywał w swoim czasie na nie byle jakich zgromadzeniach politycznych i religijnych, podczas których ludzie popadali w uniesienie i wrzeszczeli w niezrozumiałej mowie. Obecnie wspominał to na tak zwanym punkcie zbornym, gdzie miał się odbyć obiór władz wyprawy, przegląd sprzętu i zasobów, przysposobienie karawany do dalekiej drogi. Ogólny zgiełk wypełniał uszy: kobiety paplały, mężczyźni pokrzykiwali na woły i muły lub w małych grupkach wiedli rozmowy, dzieci darły się przeraźliwie, a ujadaniu psów wtórował od czasu do czasu ryk krowy albo rżenie muła. Widok był równie urozmaicony. Wędrowcy stawiali namioty, wypędzali bydło na pastwiska, przeładowywali bagaż, jeżeli w czasie jazdy z Independence czy Westport przekonali się, iż rozmieścili go niewłaściwie. Dzieci biegały pośród furgonów krytych białą plandeką, przewracały się o namiotowe kołki, tarzały w pokrytej kurzem trawie; od czasu do czasu nadciągał z miasta nowy ciężki wehikuł, z którego wysypywały się kobiety i dzieci, a mężczyźni przystępowali do wyprzęgania zwierząt.

Niezależnie od wszystkiego brat Weatherby myszkował pośród ciżby i przystawał, ilekroć zdołał nakłonić kogoś do słuchania. Pod koszulą z żaglowego płótna miał przygarbione plecy, a jego stara twarz wyrażała namaszczoną powagę, jak gdyby dumę z racji rozległej wiedzy. Evans łowił chwilami zgrzytliwy głos sposobiący się zapewne do wieczornego kazania na typowy dla metodystów temat: „Jeden Bóg, jedna wiara, jeden chrzest”. Brat Weatherby lubił „napominać”, jak się wyrażał. Zapał krasomówczy mógł w nim chyba wyzwolić nawet muł, co zwolni tempo pochodu przystanąwszy na chwilę, by podnieść ogon. Po każdym „napomnieniu” kaznodzieja puszczał w obieg kapelusz i raz po raz powtarzał: „Pomnijcie, iż Pan darzy miłością skorego ofiarodawcę”. Evans podejrzewał, że jedną z przyczyn tak częstych wystąpień stanowiło ubóstwo kaznodziei, który nic nie miał. Gdyby mu jednak wytknąć, że „napomina” dla zysku, tak samo jak ktoś inny dla zysku uprawia role. albo pracuje w sklepie czy warsztacie, brat Weatherby obruszyłby się mówiąc, iż pieniędzy potrzebuje dla zbożnych czynów. Może naprawdę potrzebował ich w tym celu. Tak czy inaczej, słuchając kaznodziei niepodobna było wątpić w jego niezachwianą wiarę, że właśnie on został wybrany przez Boga, by głosić słowo prawdy.

Evans postawił nogę na dyszlu furgonu. Patrzał i słuchał. Obok przemknęła suka w okresie cieczki, a za nią sznur psów nie wyłączając starego Rocka; jeden po drugim zadzierały nogę pod lichym krzakiem leszczyny i sunęły dalej. Każdy z nich, nawet najmniejszy, żywił również przekonanie, że właśnie on został wybrany.

Nie inaczej niż brat Weatherby, polityk Tadlock odbywał swoje rundy, chociaż w rychłych wyborach nie mógł mieć kontrkandydata. I on posiadał dar wymowy, a ponadto nie rozstawał się z książką opisującą Oregon, by

dać do zrozumienia, że o drodze na Zachód wie nierównie więcej niż reszta kompanii, z wyjątkiem może Dicka Summersa.

Daleko, poza polem widzenia Evansa, jakiś mężczyzna przeklinał muła lub wołu. Brat Weatherby przystanął, nastawił uszu — niewątpliwie medytował o ciężkim grzechu plugawej mowy.

Słońce żeglowało cicho po niebie, wiatr łagodnymi podmuchami szeptał wśród traw, a w obozowisku głosy ludzkie przybierały na sile, upodabniały się do wrzasku stada przestraszonych gęsi. Ujechali ledwie dwadzieścia mil od Independence i na oczy nie widzieli Indian, nie licząc Szawnisów i obdartusów Kaw, których mieszkaniec Missouri spotyka każdego dnia, a już ci i owi bali się, jak gdyby popadli w niebezpieczeństwa i między wrogów, z jakimi nie zetknęli się dotąd nigdy w życiu. Niejaka pani Turley — tchórzem podszyta — wciąż rozglądała się lękliwie oczekując widać, że lada moment zobaczy wyłaniającego się skądś Indianina-olbrzyma z tomahawkiem w ręku. Do podobnych należała pani McBee — sucha jędza o ciętym języku, która koniecznie chciała wrócić do Ohio, a także sam McBee maskujący wielkimi słowami swoją małość. Również innych — Evans nie wiedział, ilu — oblatywał strach, gdy zaczynali wybiegać myślami naprzód, do rzeki Platte i Pawnisów, Czarnych Stóp oraz Siuksów.

Rebeka siedziała w cieniu furgonu i w braku czegoś odpowiedniejszego wachlowała się blachą do pieczenia ciasta, bo słońce przygrzewało mocno, chociaż nie minął jeszcze kwiecień. Brownie był poza obozem. Pilnował inwentarza na pastwisku wraz z nowo przyjętym parobkiem Fairmana, Higiem, i innymi mężczyznami, przeważnie nieżonatymi młodymi ludźmi. Trudno przewidzieć, kiedy Indianie Kaw mogą wpaść na pomysł, by zwędzić konia lub krowę, chociaż zdaniem Dicka Summersa są to na ogół tchórze nie dorastający do pięt takim plemionom jak Pawnisowie, Węże lub Czarne Stopy. Ale tak czy inaczej, nikt nie będzie im pozwalał na kradzież bydła.

Spoglądając na żonę Evans powiedział od niechcenia, po to jedynie, by zagaić rozmowę:

— Ja tam ledwie czuję, że ruszyliśmy w drogę. Ale popatrz na tych wszystkich — jakby biwakowali już gdzieś daleko, w górach.

Rebeka wachlowała się bez słowa.

— Cóż, mógłbym zawrócić i pieszo zdążyć na dawne miejsce na czas wieczornego udoju — podjął Lije.

Zastanowił się i dziwnie mu się zrobiło na myśl, że farmę nazwał dawnym miejscem. Dopiero co rozstał się z nią, dopiero co uścisnął dłoń obcego, który za prawo korzystania z domu zapłacił czterysta dolarów gotowizną. Niedawno obejmował wzrokiem zieleniejące młode konopie i podrosłe już na grzędach liście tytoniowych sadzonek. Ostatni raz obejrzał się ku polu kukurydzy, gdzie rychło zaczną pojawiać się włochate kaczany, ku chacie, w której on i Becky poznali się naprawdę, w której Brownie ujrzał światło dzienne. A teraz farma zyskała miano dawnego miejsca i Evans poczuł lekkie tchnienie smutku, gdy uprzytomnił sobie, że została tam cząstka jego, żony, syna. Ale uspokoję się, zapomnę — medytował. — Z czasem będzie mi całkiem dobrze. Niech no tylko zostaną za nami Kaw, Little Blue i Platte. Już dzisiaj spoglądając ku wzgórzom i ledwie widocznym lasom wyobrażał sobie rozległe, swobodne pastwiska ciągnące się wzdłuż brzegów Platte. Później przyjdzie Oregon i nowy porządek rzeczy —

Oregon amerykański, do stu diabłów! On wraz z innymi osiedli się tam i będzie, no i co mogą wówczas zrobić Anglicy? Evans snuł podobne myśli i prawie widział się już jako starego, zasiedziałego Oregończyka.

— Mniej się martwisz, Becky? — zapytał. — Niby dlatego, że wyjeżdżamy, co?

Kobieta zdobyła się na nikły uśmiech. Twarz miała teraz rozgrzaną, ale nie zapłakaną. Po rozstaniu z dawnym miejscem płakała trochę; później zwróciła wzrok ku zachodowi, przestała spoglądać wstecz. Evans miał wtedy niemiłe wrażenie, iż póki życia nie pojmie, czym jest dla kobiety porzucenie domu. Widać są subtelniejsze od mężczyzn, myślą w bardziej złożony sposób, trudno zatem przeniknąć to, co może dziać się w ich głowach. Potrafią wzbraniać się przed odjazdem dlatego tylko, że musiałyby zostawić swoje nagietki.

Jednakże w pewnym sensie rozumiał swoją żonę. Wiedział, że Rebeka nie zacznie biadać w drodze, że jej słowa będą krzepiące, a zręczne, pracowite ręce zrobią wszystko, co trzeba.

— Czuję się dobrze — odpowiedziała. — Tyle że mi gorąco. A czemu pytasz? Może sam zaczynasz się rozmyślać?

— Ja? Skąd znowu! My dwoje dojedziemy do Oregonu, jeżeli dojedzie tam ktokolwiek z tej wyprawy.

— Okropnie jesteś niemądry, Lije — odparła cicho, łagodnie.

Lije dobrze wiedział, co jego żona ma na myśli. Oto dziwi się wciąż, że właśnie on wbił sobie do głowy Oregon, a obecnie, im bliżej celu, tym bardziej jest pewien, że postąpił rozumnie. To rzeczywiście dziwne. Stara szkapa nieczęsto przecież bryka.

— O, Dick! Jak się masz? — powiedziała nagle Becky i Lije zobaczył nadchodzącego Summersa.

Przewodnik miał na sobie stare spodnie z kozłowej skóry i koszulę w czerwoną kratę. Od razu widać było, że to ktoś: srebrnowłosy, postawny, o krzepkich nogach i ramionach, różnił się znacznie od wszystkich znanych Evansowi mężczyzn, zwracał uwagę i nie przypominał wcale wędrowców ze szlaku do Santa Fe, Meksykanów, którzy stroją się do efektu. Dick Summers nie robił nic na efekt. Po prostu był sobą.

— Czy ty się nie roztopisz? — zapytała Rebeka spoglądając na spodnie z kozłowej skóry.

— Hm... Chyba rzeczywiście pośpieszyłem się trochę.

— Nie — podchwyciła. — Pośpieszyło się słońce.

— Okropny zamęt — powiedział Evans wskazując szerokim gestem furgony, namioty, rozgadanych ludzi, konie, woły, cały rozległy biwak. — Niejeden wróciłby chętnie.

Summers nabił fajkę tytoniem.

— Cóż, Lije. Sprawy ułożą się z czasem.

— Tadlock to gruba ryba — bąknął Evans.

— Na to wygląda. Ruszył z miejsca z rozmachem, na jaki mało kto by się zdobył.

— Myślę, że będzie z niego niezły kapitan.

Summers przytaknął skinieniem głowy, ale minę miał taką, jak gdyby niezupełnie się zgadzał.

— Będę go musiał mieć na oku — powiedział i pyknąwszy z fajki objął spojrzeniem duże obozowisko.

— Podobno chce pozabijać wszystkie psy, nawet mojego starego Rocka.

Dick nadal palił w milczeniu.

— Tak ludzie gadają po cichu — ciągnął Lije — ale moim zdaniem Tadlock nie postawi sprawy otwarcie. Coś takiego mogłoby go kosztować niejeden głos — zmienił ton na pytający. — Mówi się, że psy i tak nie wytrzymają długiej drogi. Prawda, Dick? Chodzą też słuchy, że mogą nas zdradzić przed Indianami.

Summers zerknął na Rebekę, uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie.

— Za to w braku prowiantu doskonałe z nich mięso — powiedział.

— Fuj!

— Siuksowie jadają pieski. Ja też nieraz próbowałem. Pieczeń smakuje jak wieprzowina.

— Słuchaj, Dick — podjął Evans. — Czy istotnie myślisz, że należy psy pozabijać?

— Diablo śliska sprawa.

— Wiem. Ale chciałbym poznać twoje zdanie.

— Gdzie krowa przejdzie, tam i pies sobie poradzi.

— Właśnie! Nie przyszło mi to do głowy.

— No i psy mogą nas ostrzec przed Indianami nie gorzej, niż zdradzić — przewodnik zrobił krótką pauzę. — Piekielnie trudno zakraść się do indiańskiego obozu — właśnie z przyczyny psów.

— Tadlock powinien wiedzieć o tym wszystkim, a jeżeli nie wie, naprowadzi się go na właściwą drogą.

Evans sięgnął po fajkę, lecz nim ją zdążył nabić, zgiełk wzmogły chrapliwe dźwięki trąbki, wzywające mężczyzn na zgromadzenie i wybory władz wyprawy.

Evans i Summers ruszyli w stronę środka obozu, gdzie mężczyźni zaczynali się już zbierać. Po drodze Lije zobaczył znów łańcuch psów, za którymi podążał mały chłopczyna, mizerny i chudy, i usłyszał wołanie:

— Toddie! Chodźże tu, Tod!

Głos należał do pani Fairman, smukłej, długonogiej, młodej kobiety o piaskowych włosach i oczach jasnych niby jeziorka czystej wody. Pani Fairman dogoniła Toda i ujęła za rękę.

Na wybory przybył prawie cały obóz. Mężczyźni stali na pierwszym planie; żuli tytoń, spluwali. Dalej tłoczyły się kobiety i młodzież przysłuchująca się ciekawie. Obrady zagaił Tadlock, który sprawował tymczasowe rządy, i rad był, gdy go nazywano funkcyjnym kapitanem. Wspiął się na drewniane wiadro i nakazując spokój zabębnił łyżka o blaszany talerz. Gdy hałasy przycichły, ustawił się mocniej na wiadrze i rozpoczął mowę. Wszystko było w nim mocne: postawa, cała postać, twarz. Ciekawa rzecz, czy od wewnątrz okaże się równie mocny — pomyślał Evans, lecz musiał przyznać, że Tadlock prezentuje się imponująco: białe, połyskujące zęby, ogorzałe policzki, podbródek niebieskawy od kiełkującego zarostu, bystry wzrok, ręce gestykulujące swobodnie. Może to w gruncie rzeczy solidny człowiek — osądził Lije. Nie lubił myśleć źle o nikim.

— Według wiadomości, jakie posiadam — mówił Tadlock — nasza kompania powinna pierwsza rozpocząć podróż. Podobno tabory z Saint Joe będą gotowe dopiero za kilka albo kilkanaście dni. Jak stąd wynika, czeka

nas przecieranie szlaku, w związku z czym unikniemy kurzu spod kół poprzedników, znajdziemy świeże pastwiska dla zwierząt i przed innymi będziemy w dolinie Willamette.

Część mężczyzn zawtórowała mu okrzykami, więc Tadlock umilkł, aby pozostawić czas na wiwaty. Wreszcie gwar ucichł, ale ktoś wołał nadal:

— Przewodniczący! Panie przewodniczący!

To brat Weatherby siłą przeciskał się ku prezydialnemu wiadru. Miał na sobie wypłowiały, brunatny surdut, w którym musiało mu być bardzo gorąco.

— Nie odmówiono modlitwy — mówił skrzeczącym głosem. — Nie rozpoczęliśmy zgromadzenia z Bogiem.

— Cicho, na miłosierdzie boże! — zawołał ktoś za plecami kaznodziei, a inny głos dodał:

— Mój tata gadał często, że niedziela nie trafia za Missisipi.

Evans rozejrzał się dokoła. Mężczyźni przeważnie burczeli albo przynajmniej uśmiechali się ironicznie, lecz kobiety kiwały głowami na znak aprobaty.

— Bardzo przepraszam, bracie Weatherby — odezwał się Tadlock, bynajmniej nie zbity z tropu. — To istotnie było niedopatrzenie. Zechciej rozpocząć modlitwy — dodał i pobożnie schylił czoło.

Kaznodzieja również opuścił głowę i po chwili jął z wolna unosić ręce. Prosił Boga o zmiłowanie nad biednymi grzesznikami. Mówił, iż zdają sobie sprawę z niebezpieczeństw oraz trudów długiej podróży, wszelako pokładają ufność w Panu...

— Błagamy, Boże, abyś raczył uchronić nas od pogan i drapieżnych bestii, od chorób i nieszczęśliwych przygód, abyś raczył wzmóc nasze siły i pozwolił nam zachować w drodze serca niezłomne wbrew wszystkiemu, co stać się może... Abyś też raczył, Panie, natchnąć nas wdzięcznością za wszelkie Twoje łaski oraz zrozumieniem Twojej chwały, abyś zbudził w grzeszniku przystojną skruchę, temu co miota przekleństwa pozwolił ocenić należycie własną słabość, a mężowi i niewieście żyjącym w cudzołóstwie dał ich grzech zrozumieć i nie popełniać go więcej... Modlimy się, o Boże, abyś owionął nas mądrością Twojego Ducha i uczynił prawdziwymi chrześcijanami... Błogosławione niechaj będą małe dziatki, które Jezus przyzywał do siebie... Oby nawałnice utrzymywały w ryzach swoje szaleństwo, jako wiatr, co posłuch daje Barankowi Bożemu, i oby ziemia szczodrze przynosiła plony... Uczyń nas, Panie, pełnymi bojaźni Twojej i pozwól nam śpiewać Twoją wieczną chwałę... Amen... Amen!

Na podobną modłę brat Weatherby rozmawiał z Bogiem tak rozwlekle, że mrówka, która zeszła z mokasyna Summersa, zdążyła oddalić się dwie długości trzonka topora, nie licząc cofnięć i bocznych wypadów na źdźbła trawy. Podczas kazania Evans zerknął z ukosa na przewodnika i zauważył, że ów prawie nie pochylił głowy i oczyma bez wyrazu spogląda w przestrzeń. Zadał sobie pytanie, czy też Dick Summers w ogóle wierzy w jakiegoś Boga? Nawiasem mówiąc, nie przejmował się zbytnio tą kwestią, był bowiem zdania, iż każdy Bóg wart, by modlić się do niego, pozna w Dicku dobrego człowieka, jeżeli nawet Dick nie molestuje go, nie obsypuje pochwałami, nie poniża samego siebie błagając o błogosławieństwo i łaski. Nie! Summers nie błagałby o nic nigdy i nikogo, nawet Pana nad pany.

Kiedy Weatherby skończył ostatecznie, głos zabrał Tadlock:

— Teraz musimy ustanowić prawa i dokonać wyboru stałych władz kompanii — zaczął, lecz jął mu przeszkadzać inny głos, tak natrętny, że przewodniczący nie mógł go przekrzyczeć ani uciszyć wymownymi gestami rąk. — O co chodzi, Turley? — zapytał wreszcie.

Evans odwrócił głowę, aby spojrzeć na Turleya, chuderlawego mężczyznę, który pochodził z pagórkowatych, porosłych sosną okolic Meramec, a do wyprawy przystał dosyć późno. Z jego zaciśniętych ust o wąskich wargach dobył się głos wysoki i piskliwy:

— Według mnie, przede wszystkim musimy się namyślić, czy już należy ruszać, czy też poczekać trochę na innych, co nie są dotąd gotowi. Chwilowo mamy niewielki tabor i, na mój rozum, za mało dorosłych mężczyzn. Co się stanie; pytam, kiedy napotkamy Pawnisów czy Siuksów? Dobrze wiemy, że podobnie jak my, wybierają się tłumy, setki ludzi. Doc Welch z Indiany mówi, że moglibyśmy przyłączyć się do niego. Rozmawiałem z nim. Słyszałem to na własne uszy, no i powiadam, zaczekajmy lepiej, aby zebrało się chociaż sto furgonów.

Wokół powstał znów zamęt, gniewne okrzyki, wyzwiska — więcej zresztą gniewnych okrzyków niż wyzwisk.

— Cisza! Spokój! Cisza! — nawoływał Tadlock tłukąc łyżką w metalowy talerz, a następnie, gdy gwar przycichł nieco, ciągnął surowszym niż uprzednio tonem. — Sprawa została dawno przesądzona. Każdy, kto do nas przystał, wie, że postanowiliśmy wyruszyć wcześnie, aby na miejsce dotrzeć przed innymi. Kompania jest wystarczająco duża: dwadzieścia dwa furgony, blisko trzydziestu uzbrojonych mężczyzn — Tadlock podniósł rękę, wskazał na Dicka Summersa. — Jego zapytajcie. On zna się na rzeczy i z pewnością odpowie, że za duża kompania jest powolna i trudna do zarządzania. — Przenikliwym wzrokiem zmierzył Turleya. — Ten, komu strach — może czekać. My wyruszamy. Sprawa przesądzona.

Znów powstał harmider. Turley stropił się, zaczął przestępować z nogi na nogę. Evans pomyślał, że bez wątpienia pani Turley podbechtała męża.

Tadlock odzyskał ton rzeczowy, wrócił do porządku dziennego.

— Czy komitet organizacyjny przygotował zalecenia? — rzucił, jak gdyby nie wiedział.

— Tak jest — odpowiedział Mack występując przed krąg mężczyzn i marszcząc czoło z wyrazem głębokiego skupienia. — Komitet organizacyjny zaleca, by kapitanem został obrany Irvine Tadlock, porucznikiem Charles Fairman, a Henry Shields komendantem straży przy inwentarzu. Każdy z nich musiałby pełnić swoje funkcje aż do końca podróży.

Niemiec z Illinois nazwiskiem Brewer wystąpił z wnioskiem, by zalecenia przyjąć, poparł go zaś mocnym głosem Hank McBee, z rzadką, zmierzwioną brodą. Tadlock zrobił taki ruch, jak gdyby zamierzał zejść z prezydialnego wiadra.

— Może ktoś inny zechce przewodniczyć? — powiedział. — Mnie nie uchodzi...

Ale przerwały mu liczne głosy.

— Uchodzi!

— Tak! tak!

— Niech Tadlock przewodniczy dalej.

Wobec tego cofnął stopę zestawioną już z wiadra i zapytał:

— Czy mam rozumieć, że to jednogłośny wybór?

Odpowiedzią były znów donośne okrzyki.

— Dziękuję! — podjął Tadlock. — Z serca wszystkim dziękuję i przyrzekam starać się w miarę sił i możności. Czy komitet organizacyjny przygotował również inne zalecenia?

— Tak jest — powtórzył Mack i ponownie zabrał głos w imieniu komitetu.

Evans słuchał go połowicznie. Od czasu do czasu łowił uchem urywane zdania.

— ...Nazwać tabor Pionierem Oregonu... Zaleca się dokonać wyboru sześcioosobowej rady starszych... Zaleca się opodatkowanie na wspólne koszty, obejmujące również dwieście dolarów zapłaty dla przewodnika... Zaleca się nie zabierać napojów wyskokowych z wyjątkiem nieodzownych dla celów leczniczych... Zaleca się, aby furgony mogły pomieścić, a sprzężaje uciągnąć ładunek o jedną czwartą większy od początkowego... Kara śmierci za morderstwo... Za gwałt po trzydzieści dziewięć batów przez trzy kolejne dni... Trzydzieści dziewięć batów na goły grzbiet za cudzołóstwo lub nierząd — (Szumne określenia spraw bardzo prostych, pomyślał Evans)... — Rada starszych wyznaczy kary za nieobyczajną mowę... Zaleca się, by tabor ruszał każdego rana o godzinie siódmej i robił od dziesięciu do piętnastu mil...

Podczas odczytywania sążnistej listy zaleceń Summers raz mruknął gniewnie, a Evans tracąc stopniowo zainteresowanie, spoglądał na Macka, Fairmana, McBee, Brewera, by wreszcie sięgnąć wzrokiem dalej, poza grupę mężczyzn, ku córce McBee, Mercy. Dziewczyna miała na głowie czerwony kapturek, tak zwaną pasterkę, pod którym policzki zdawały się jeszcze bielsze; patrzyła wprost przed siebie, ogromnymi wilgotnymi oczyma, jak młoda łania spłoszona nagłym hałasem. Jej twarz wyrażała smutek lub może tylko pustkę, ale tak czy inaczej, widok tej twarzy chwytał człowieka za serce. Trzydzieści dziewięć batów za nierząd... Oczywiście jest to napomnienie rzucone przez żonatych mężczyzn wolnym, najętym do pomocy w czasie drogi.

Brat Weatherby zaproponował, by listę uzupełnić zdaniem, iż kompania winna postępować „zgodnie z kodeksem moralnym, jaki Bóg wyrył w każdej ludzkiej duszy”.

Tadlock uśmiechnął się dyskretnie. Był zbyt rozumny, aby zarechotać głośno, widocznie jednak sądził, że dyskretnym uśmiechem wolno odpowiedzieć kaznodziei, dając wyraz pobłażaniu dla zapewne nieco zbyt jawnej przesady.

Ktoś za Evansem mruknął:

— Niechże ten stary dureń zamknie gębę. Chce stanowić prawa, a nie stać go na nocnik, w którym mógłby się wysikać.

Mack czytał dalej:

— Pożądane są następujące zapasy żywności: dwieście funtów mąki na głowę, nie licząc drobnych dzieci, siedemdziesiąt pięć funtów solonego mięsa, pięćdziesiąt funtów bekonu. Zaleca się wybór trzech inspektorów celem przeprowadzenia kontroli pojazdów i prowiantu. Komitet organizacyjny prosi o przyjęcie zaleceń i...

Evans odniósł wrażenie, że propozycje komitetu nie są zbyt szczegółowe. Wcale nie było tam mowy o ilości bydła i zwierząt

pociągowych na jednego strażnika łub woźnicę. Niektórzy — w tej liczbie sam Tadlock — prowadzą stosunkowo liczne stada, inni mają tylko sprzężaj i jedną albo dwie dojne krowy. Czy wszyscy, bez względu na stan posiadania, będą kolejno pełnić służbę? To wydało się Evansowi niesprawiedliwe. Chciał zabrać głos w tej kwestii, lecz uprzedził go Tadlock.

— Wiele spraw — powiedział — wyniknie w czasie podróży i wtedy rozpatrzy je rada starszych. Dziś chodzi głównie o wstępną organizację, by karawana mogła wyruszyć bez zwłoki.

Evans pomyślał, że to słuszne stanowisko i rozumne słowa. Nawet zawstydził się trochę. Nie ma przecież powodu wątpić o wartości Tadlocka. Trzeba się tylko do niego przyzwyczaić. To człowiek, który lubi ujmować ster wydarzeń w swoje ręce, ale czy to źle? Przecież w noc przed pogrzebem ten sam Tadlock powiedział Summersowi, ze ktoś musi wziąć na siebie odpowiedzialność. Jest bez zarzutu lub byłby bez zarzutu, gdyby nie idiotyczny pomysł z psami. Ale na ten temat nikt dotychczas nie puścił pary z gęby.

— Są jeszcze jakieś sprawy? — zapytał kapitan.

Wówczas stało się. McBee wystąpił z wnioskiem, by wszystkie psy zostawić lub pozabijać. Evans słuchał jego słów, patrzał na usta poruszające się w twarzy kudłatej niby pysk teriera i nie wątpił, że McBee został w porę podmówiony. Zdawał też sobie sprawę, że człowiek takiego pokroju zawsze będzie trzymał z najsilniejszym. Niech Tadlock padnie, McBee stanie natychmiast u boku tych, co Tadlocka obalili.

Czy ktoś poprze wniosek? — pomyślał Evans.

Tak. I tym razem głos zabrał Brewer, Niemiec z Illinois. Powiedział, że psy nie wytrzymają podróży do Oregonu, że mogą zdradzić tabor wobec Indian. Powiedział, że gorąco popiera wniosek. Języki poszły w ruch.

Tak. Nie. Nie. Tak! Na Boga, chciałbym widzieć zucha, który odważy się zabić mojego psa. Głupi Niemiec. Nie słyszał chyba nigdy, że pies może być stróżem. Po diabła komu pies?

— Trzeba omówić sprawę! — zawołał Tadlock bębniąc znów łyżką w talerz.

Kilku uczestników zebrania wystąpiło kolejno. Mówili głośno, próbowali zagłuszyć rozpętane dokoła spory: McBee, Fairman, znów Brewer, Jankes z Północy nazwiskiem Patch, Evans. McBee powiedział:

— Wystrzelać psy, jak Boga kocham! Nie ma z nich żadnego pożytku, a może być mitręga i zamęt w podróży.

Fairman był zdania, że każdy winien postąpić tak, jak uważa za stosowne, bo to nie sprawa do zbiorowej decyzji.

— Zapytajcie Summersa! — krzyknął gromko Evans. — Niech powie swoje.

Dick rozumie więcej niż cała reszta razem. Jeszcze raz rozległo się bębnienie w talerz.

— Zgoda! Hej, Summers! Powiedz swoje!

Summers czuł się niepewnie przemawiając do tłumu. Raz po raz podciągał skórzane spodnie.

— Według mnie sprawa jest błaha. Co za różnica. Niektóre psy poradzą sobie w drodze, inne nie wytrzymają. Tak czy inaczej, pies, który zdechnie z trudów, może obchodzić tylko właściciela.

Słusznie, zupełnie słusznie — pomyślał Evans. — Ludzie zakładają, że podróż jest zbyt ciężka dla psa, i rozprawiają o tym jak o innych ważnych kwestiach, póki nie znajdzie się ktoś pokroju Dicka, nie wytłumaczy, że to w gruncie rzeczy nic ważnego.

— Psy ostrzegą obóz, dadzą znać o bliskości Indian równie dobrze lub lepiej, niż nas mogą zdradzić. Nie spodziewam się zresztą, by Indianie mieli nam sprawić poważniejszy kłopot. Będą zapewne żebrać i może trochę kraść. Nieskorzy oni do napadu na gromadę tak liczną jak nasza; w każdym razie nie ci Indianie, których napotkamy po drodze.

Podczas debaty Tadlock gładził się palcami po brodzie. Wreszcie zastukał znowu łyżką o talerz.

— Ja myślę — podjął — o kłopotach z samymi psami. To straszne utrapienie. Będą opóźniać pochód, każdego rana pętać się pod nogami. Będą chorować, gdzieś się zawieruszać, tak czy inaczej powodować zwłokę. Tego się głównie lękam. Ale nie chodzi o moje zdanie. Wniosek trzeba przegłosować.

Z gwaru nie wyniknęło zwycięstwo ani jednej, ani drugiej strony, ale Tadlock przeliczył podniesione ręce i po zastanowieniu oznajmił, że wniosek przeszedł. Dalej nie popchnął sprawy. Nie wspomniał, kto ma zająć się mordowaniem psów ani kiedy. Evans pomyślał, że miałby parę słów do powiedzenia temu, co przyszedłby zastrzelić Rocka. Nie cieszyła go jednak taka perspektywa, bo z natury był usposobiony pojednawczo.

Medytował jeszcze o psach, gdy Tadlock przeprowadzał wybory rady starszych i mianował inspektorów. Zdziwił się nawet trochę znalazłszy własne nazwisko na obydwu listach. Zgromadzeni wybrali go do rady, kapitan wyznaczył inspektorem. Ale po zastanowieniu zrozumiał, że to nic osobliwego. Przecież Tadlock politykuje, stara się pozyskać każdego, aby tak czy inaczej mieć wszystkich w swoim orszaku. Niech będzie. W każdym razie sprawa załatwiona.

Evans rozejrzał się dokoła, zobaczył swojego syna nadjeżdżającego wierzchem na mule. Później wybiegł wzrokiem dalej, ku skrawkowi prerii i zwierzętom na pastwisku, wylegującym się wołom, mułom i koniom spętanym lub uwiązanym przy kołkach. Pomyślał z przyjemnością, że Brownie to chłopak, na którym można polegać. Objął go znów spojrzeniem. Brownie siedział w siodle nieruchomy, zapatrzony w jedno miejsce, a jego oczy wyrażały pragnienie, jak gdyby nagle uprzytomnił sobie, że jest sam, jak gdyby odkrył istotę męskich tęsknot. Evans wiedział, komu przygląda się Brownie, nim jeszcze zdążył odwrócić głowę. Kiedy to zrobił, zobaczył znowu tamtą dziewczynę — Mercy McBee. Zobaczył jej pełną smutku i skupienia twarz, czerwoną pasterkę, dwa drobne wzgórki piersi rysujące się pod sukienką z cajgu. Przez długą chwilę spoglądał to na nią, to na swojego syna. Byli mniej więcej rówieśnikami, jedyną parą siedemnastolatków w całej kompanii. Wyrazem twarzy Brownie przypominał nieco starego chłopa, Macka, gdy po raz pierwszy zobaczył tę dziewczynę. Był to wyraz podobny, a jednak bardzo różny — łagodny, młodzieńczy, nieświadomy, wywołany nie tylko myślami o łóżku lub może nawet całkiem wolny od podobnych skojarzeń, za to pełen tkliwości, piękna, szczęścia.

Evans odwrócił się na pięcie. Bodaj to licho! Co tu budować zamki na lodzie. A może to wspomnienia własnych uczuć z czasów dawno minionej

młodości. Na Boga, przecież to hołota. Ładna historia wżenić się w taką rodzinę. Hanka McBee nazywać tatą, a jego babę mamą. Mieć ich na karku do końca życia. Ładna historia! A znów za nierząd grozi chłosta. Trzydzieści dziewięć batów.

Rozdział VI

Dick Summers medytował leniwie, iż trafił pośród ludzi zupełnie różnych od jego dawnych kamratów z gór. Ci nie potrafią czerpać radości z przemijającego czasu; chcą coś wycisnąć z życia, dojść do czegoś, jak gdyby można było ująć życie w ręce, nadać mu kształt według własnych pragnień, jeżeli człowiek pracuje ciężko i kombinuje wystarczająco sprytnie. Ci nie prowadzą rozmów o bobrach, whisky, indiańskich dziewczynach, nie lubią moknąć na deszczu. Mówią o zbiorach, nawadnianiu, interesach handlowych, a słońce albo jasną zieleń młodych liści widzą jedynie jako zjawiska występujące po drodze do miejsc, gdzie się chcą znaleźć, do czegoś, co chcą posiadać. Może później, w przyszłości, zwrócą spojrzenie wstecz, przynajmniej niektórzy. Może zdziwią się, że przemknęło obok nich niepostrzeżenie tyle przeróżnych spraw i rzeczy. Może wspomną dawne świty i dymy nad ogniskami biwaków, słońce wytaczające się wspaniale z mgieł wczesnego ranka i powietrze, rzeźwe i ostre powietrze, co uderza do głowy jak trunek. Może zatęsknią do tamtych dni i pożałują, że nie wycisnęli zeń radości. Ale oglądanie się za siebie nie da człowiekowi nic — nic, do wszystkich diabłów. Niepodobna przecież cofnąć czasu.

Z dala od obozowiska, w mniej hałaśliwym miejscu, Summers siedział na ziemi. Nogi miał skrzyżowane, patykiem kreślił coś na piasku. Gdyby podniósł wzrok, zobaczyłby Evansa i pozostałych inspektorów, którzy krzątali się pośród furgonów sprawdzając, czy wszystko jest w porządku i zgodnie z przyjętymi regułami. Część kobiet brała się już do przygotowywania kolacji. Te, co nie miały przenośnych kuchenek, rozpalały zbyt duże ogniska i próbując ustawić saganki wśród płomienia, raz po raz ocierały z oczu łzy wyciśnięte dymem. Upał zelżał pod wieczór, więc zwierzęta na pastwisku wstały i spokojnie skubały trawę pod zboczem pagórka. Na biwaku przycichło trochę: dzieci były głodne i zmęczone figlami, mężczyźni poświęcali czas przygotowaniom do jutrzejszej drogi, kobiety zaś rozproszyły się szeroko i pilnowały każda swojego ogniska. Gdzieś w stronie lasu pokrzykiwał lelek.

Nie wiedzieć czemu nawoływanie lelka przypominało Dickowi Mattie — Mattie, która leży teraz pod piachem, zimna, i po ostatnim pożegnaniu ma przed sobą jedynie długi, nieskończenie długi sen bez marzeń, chociaż brat Weatherby sądzi, że jest inaczej. W trakcie pogrzebowego kazania, brat Weatherby odmykał wrota niebios i wprowadzał do raju duszę pewną bożej miłości i łaski. Przyjemnie było nawet wyobrażać sobie coś takiego — wieczny spoczynek i serce spokojne na zawsze. Co to odczytał kaznodzieja? „Łaska niech na cię spłynie i pokój Boga, ojca naszego i Pana nad pany Jezusa Chrystusa. Weatherby mówił, że przytoczył tekst „Listu do Efezjan". Być może. Przecież jest wielkim znawcą tego „Listu".

Przez wzgląd na zmarłą żonę Summers chciałby wierzyć, że brat Weatherby wiedział, co gada. Mattie rzetelnie zasłużyła na wieczny spoczynek i serce spokojne na zawsze. Powinna być wreszcie wolna od ataków malarii i innych utrapień. Tyle, że śmierć kłóci się z pojęciem spoczynku i piękna. Żywe istoty umierają brzydko: bluzgają krwią i kałem jak ów Indianin postrzelony w dół brzucha albo schną na skórę i kości jak Mattie. Oby niepokój nie trapił twojego serca...

Summers był przekonany, że wśród towarzyszy podróży on najmniej cierpi z racji niepokoju serca. Jest, a w każdym razie był niegdyś, człowiekiem z gór. Odbywał wędrówki w towarzystwie łowców, którzy nie myślą nigdy o uprawnej ziemi, drewnie, rozlicznych chwytach zmierzających do gromadzenia pieniędzy, lecz pędzą życie z dnia na dzień, przyjmują, co los zdarzy, uważają, że każdy poranek jest dobry, a jutro starczy czasu, by troskać się o jutro. Coś zbliżonego odczuwał dotychczas Summers, ale jego towarzysze byli zupełnie różni. W podróży, nie inaczej niż w życiu, mają wytknięty cel i zapewne nie potrafią cieszyć się kobietą i łóżkiem, nie myśląc jednocześnie o tym, co muszą robić później. Rozprawiają, mędrkują. Czy na preriach da się uprawiać zboże? Do diabła! Nic nie wyrośnie dobrze na gruncie, który nie wydał drzew. Jest tylko jedno wyjście: karczunek, jak zawsze. Musisz, człowieku, powycinać drzewa i spróbować siać ziarno między pniakami. Summers oglądał oczyma wyobraźni swoich towarzyszy już za Rzeką Niedźwiedzią czy Boise. Oto podnoszą szczypty ziemi, wąchają, smakują, a dziatwa swawoli wokół nich. To ludzie rodzinni, mocno związani z żonami, łagodni i wyrozumiali dla potomstwa. Wygładziły się ich ostre kanty, cała pierwotna dzikość podporządkowała jarzmu. Przed sobą widzą farmy, szkoły, legalne władze, starannie uregulowany tryb życia.

Podobnie myśli Lije Evans, który nadchodzi pewnym krokiem, depcze trawę pokrytą pyłem. Podobnie myśli jego pies, stary Rock, trzymający się nóg swojego pana. Lije chętnie mówi o wielkim nowym kraju, Stanach Zjednoczonych Ameryki, rozprzestrzenionych od jednego oceanu do drugiego. Ustawicznie wraca do tego samego. Nie ma powodu, by oddać Oregon Anglikom. Jego tatuś bił się z Anglikami, kiedy przeklęci Jankesi z północy jęli knuć zdradę, zmierzając do oderwania się od reszty stanów. On także będzie walczył, jeżeli zajdzie konieczność.

Nie znaczy to wcale, by Lije Evans należał do ludzi szczególnie wojowniczych. Nic podobnego. Jest aż nazbyt łagodny, przyjacielski, lubi pomniejszać własną wartość, jak często rośli, krzepko zbudowani mężczyźni, którym wstyd trochę, że rozmiarami przewyższają innych. Chce tylko, aby w Oregonie osiedli Amerykanie, i przyłączyli ów kraj do Ameryki. No i Lije Evans nie jest podobny do reszty. Nie śpieszy się, nie pragnie, by szybciej mijał czas, co dzieli go bądź co bądź od grobu. Summers podejrzewał, iż mimo wszystko, mimo nawet tak zwanego patriotyzmu, Lije Evans, podobnie jak on sam, wybrał się w drogę na Zachód głównie dla przyjemności. Jest obłaskawiony, jednakże dowiódł, że pozostało w nim trochę dzikości, że może przesadzić płot, wyrwać się na swobodę, pomknąć ku nowym pastwiskom. Zapewne to najlepszy powód, bo istnieją znikome szanse, że wędrowcy zaczną się spiesznie dorabiać, kiedy wreszcie oznaczą kołkami działki swoich gruntów w Oregonie.

Evans przystąpił do kontroli szczupłego bagażu Summersa. Niewiele tego było, znacznie mniej, niż wymagano: jeden koc, schowana pod starą skórą bizona baryłka whisky, trochę solonego mięsa (nie więcej, niż można unieść w podołku koszuli), kawa, tytoń, kociołek, dwa noże, dwie strzelby, w tym jedna dwururka z dolną lufą kalibru stosownego dla ptasiego śrutu. Co więcej? Nieco towarów łakomych dla Indian: błękitne paciorki, haczyki do wędek, specjalny tytoń, sztuka szkarłatnego materiału na chusty, trochę czerwonej farby. Wszystko to łatwo mogły unieść dwa juczne konie, ale i tych skąpych zapasów było za wiele dla Dicka Summersa, który potrafił wędrować tylko z koniem i strzelbą, a niewątpliwie zdążyłby w porę dokąd trzeba nawet bez konia.

— Mało tego, Dick — powiedział.

— Myślisz, że za mało? Mnie więcej nie trzeba.

— Tobie nie trzeba. Naturalnie.

— Jak żyję, nie widziałem ludzi z podobnym bagażem. Niegdyś podróżowaliśmy inaczej.

— Cóż, czasy się zmieniły — powiedział Evans.

— Często przez wiele mil drogi miewałem do jedzenia tylko tyle, ile może zapewnić proch i kula.

Summers rozumiał, że inspektor czuje się nieswojo lawirując pomiędzy życzliwością i zdrowym rozsądkiem a regułami, których przestrzegania winien pilnować. Za to go właśnie lubił. Podobało mu się, że Evans zawsze pragnie postępować sprawiedliwie i słusznie, że na takim człowieku można polegać. Przyznawał jednak w duchu, że obecna sytuacja jest nieporęczna.

Lije podniósł skórę bizona, odsłonił baryłkę whisky.

— Reguły są dobre, tylko ja do nich nie całkiem pasuję — powiedział Summers. — Nie mógłbyś mnie pominąć, Lije?

Evans skinął głową, jak gdyby nagle powziął decyzję. Obdarzył nawet Dicka nikłym uśmiechem.

— Nie będę sobie tobą zawracał głowy. Rozumiesz? Jesteś zupełnie dorosły. Ostatecznie w baryłce może być ocet, prawda? Tylko żebyś nie wydał mnie, Rock, ty stary łobuzie.

— Ja nie obejdę się bez octu. No i tobie nie zaszkodzi pewno łyk w drodze.

— Bardzo być może, Dick. A dobry masz ocet?

— Lepszy niż z jabłek. To pewne. Ja tam wolę ziarno niż owoc i chyba mam rację.

Po przeciwległej stronie biwaku, w miejscu, którego nie było widać, rozległ się huk wystrzału.

Evans zerknął na Rocka.

— Widać McBee zaczyna robotę. Awansował na hycla i puszy się z tej racji.

— Co myślisz zrobić?

— Jedno wiem: Rocka nie zastrzeli. Leżeć, stary! — Lije pogłaskał psa po owłosionej mordzie. — Widzisz, ci McBee mają braki w prowiancie i innych rzeczach.

— W takim razie nie powinni jechać z nami.

Evans pokręcił głową.

— Pomógł im trochę Mack, no i sam Tadlock. Nie da się odprawić Hanka McBee. On nie ma i pieniędzy, ani centa na uchwaloną składkę. Za to chyba ty zapłacisz, Dick.

— Nie dbam o pieniądze. Ale dlaczego popierają go Tadlock i Mack?

— Czy ja wiem? — Lije wzruszył ramionami. — Na mój rozum McBee wieje przed wierzycielami. Pewno jest winien tyle, że zliczyć nie zdoła. Przeciwko takim są uchwalone prawa.

— Ale jak sprawdzić, Lije? Jedyny sposób, to wysłać kogoś do Ohio.

— Właśnie. A on powiada, że jest czysty.

— Ma ładną córkę, co?

— Nawet za ładną.

— Czujesz coś do niej?

— Skąd znowu. Nie zawracam sobie głowy kobietami.

Ponownie huknął karabin i tym razem rozmawiający zobaczyli oprawcę z dymiącą bronią w ręku. Opodal, już za obozowiskiem, słaniał się czarny pies z przetrąconym krzyżem, Przeciągle, rozpaczliwie wył w przedśmiertnej męce. Upadł na trawę, spróbował dźwignąć się, znów upadł, a jego zawodzenie przycichło, było coraz cieńsze. McBee ruszył w stronę swojej ofiary, po drodze znalazł odpowiednią pałkę. Pies przyglądał mu się, jak gdyby oczekiwał pomocy, lecz dostał tylko potężny cios w głowę. Tymczasem nadbiegł rozszlochany mały chłopiec, za nim kobieta. Zaczęła wymyślać oprawcy, chłopiec pochylił się nad psem. McBee odpowiedział coś krótko, odwrócił się na pięcie i pośpieszył w stronę Evansa i Dicka. Zdawać się mogło, że ma zbyt ważne sprawy na głowie, by marnotrawić czas na wysłuchiwanie bredni.

Rock podniósł się ciężko.

— Leżeć, stary! — skarcił go Lije.

McBee przystanął, by naładować karabin. Następnie ruszył dalej. Jego twarz uroczysta, pokryta zarostem, przypominała sowę.

— Trzeba, żebyś się pozbył jakoś psa — zwrócił się do Evansa. — W przeciwnym razie będę go musiał zastrzelić.

— Nie zastrzelisz mojego psa, McBee.

— Nie ma wyjątków od reguły.

— Za to ja mam gdzieś regułę.

— A ja muszę pilnować, by się do niej stosowano. Zrób coś z tym psem albo go zabiję.

Summers pomyślał, że Evans nie jest raptusem. Zbyt rzadko wpada w gniew, by dobrze sobie z nim radzić. Oto teraz z trudnością szuka słów.

— Zastrzel mojego psa, McBee — powiedział wreszcie — a słono za to zapłacisz.

McBee splunął na trawę.

— Nie ma wyjątków od reguły — powtórzył.

— Zrezygnuję z wyprawy. Rozumiesz. Za mną pójdą inni właściciele psów. Powiedz to ode mnie Tadlockowi.

Dać durniowi strzelbę i szczyptę prochu — pomyślał Summers — a tak urośnie, że niepodobna się z nim dogadać.

— Powiedz mu sam — obruszył się McBee. — Ja mam co innego do roboty.

— Ale nie z Rockiem. Słyszałeś?

Evans patrzył z góry na McBee, chociaż przygarbił się trochę, jak gdyby wstyd mu było, że jest o tyle wyższy i silniejszy. Nad miarę wyrośnięty, łagodny, niezdecydowany olbrzym, który lęka się, że mógłby postąpić niewłaściwie.

— Lije — odezwał się Summers — czemu nie utrzesz mu nosa?

— Myślę, że trzeba będzie — odparł Evans.

Nie zdawał sobie sprawy, że McBee z karabinem w ręku i poczuciem własnej ważności może być niebezpieczny. Summers zrozumiał to, wstał zwinnie.

— Słowo daję, McBee — powiedział — dziwię się, że nikt cię dotąd nie zakatrupił.

McBee podniósł broń, wytrzeszczył oczy.

— To reguła! — zawołał.

— Jak Boga kocham, wypełnię obowiązek.

— Powtórz Tadlockowi, co mówiłem — podchwycił Lije.

Summers zauważył dziwaczny grymas na twarzy McBee. Spostrzegł, że muszka karabinu, zwrócona zupełnie w jego stronę, zatacza niewielkie kręgi. McBee zląkł się, ale był dotknięty, poniżony. Huczało mu w głowie, palec drżał niecierpliwie na cynglu.

— Posłuchaj, McBee — zaczął Summers łagodnie. — Nikt nie chce awantury. Spójrz na to poczciwe, stare psisko.

Podstęp się udał. McBee odwrócił wzrok. Summers skoczył błyskawicznie, wyrwał mu z ręki karabin. McBee zatoczył się, omal nie upadł. Odzyskał jednak równowagę, odstąpił parę kroków. Wśród gmatwaniny niechlujnego zarostu widać było prawie po gardle jego otwarte usta.

— Nie ujdzie ci to na sucho! — wrzasnął wysokim, niemal kobiecym głosem.

— Słyszałeś, co mówił Evans? Jazda stąd. Powiedz wszystko Tadlockowi.

— Jakbyś wiedział, że powiem — warknął McBee i raz po raz oglądając się przez ramię poczłapał ku środkowi obozowiska.

— Teraz musimy się go wystrzegać — bąknął Evans.

— Aha.

— Nie trzeba się było narażać, Dick. Sam poradziłbym sobie, tyle że nie tak prędko.

— Nie wątpię. Ale sprawę wolałem zakończyć z miejsca. Widać tamten czarny pies zalazł mi za skórę.

Evans umilkł, więc Dickowi przyszło na myśl, że pewno nie chce rozmawiać o McBee. Może czuje się trochę głupio? By zmienić temat, zaczął z innej beczki.

— Jak się miewa stary Efezjanin?

— Kto?

— Weatherby.

— Czemu, Dick, pytasz o niego?

— Bo ciekaw jestem, jak z jego bagażem.

Evans pokiwał głową.

— Okazało się, że nie ma nic. Dwie nędzne szkapy i byle jaki garnek mięsa. Muszę zameldować o tych brakach.

— Gadałeś z nim?

— Aha. Powiada, że i tak pojedzie, jeżeli mu nie pozwolimy ruszyć z nami. Rozumiesz, Dick? Tylko Weatherby i jego Bóg. I o tym trzeba będzie zameldować.

— Nie śpiesz się, Lije. Zostaw McBee czas na rozmówkę z Tadlockiem — powiedział Summers i objąwszy spojrzeniem rozległy biwak, zobaczył grupę mężczyzn i zmierzającego ku niej McBee.

— Zgoda — odparł Evans i zerknął na słońce. — Mnie tam niepilno. Zdążę.

Zapalili fajki i niebawem wstali, aby pośpieszyć w stronę zgromadzonych mężczyzn.

— Becky mówiła, żebyś przyszedł do nas na kolację — podjął Evans. — Dziękuję, sam sobie poradzę.

— Zdaniem Becky nie poradzisz. Mówi, że nie masz odpowiedniego prowiantu, że od dziś powinieneś stale jadać z nami.

— Bardzo to ładnie z jej strony... i z twojej, Lije. Niepotrzebnie się o mnie martwicie, bo w moim rondlu nigdy nie zabraknie mięsa.

— Dzięki broni McBee? — roześmiał się Evans spoglądając na dwie strzelby, które Summers dźwigał.

— Aha, nasz kaznodzieja — zaczął znów Dick po chwili. — Diabli mnie biorą na myśl, że za pogrzeb Mattie domagał się pieniędzy.

— Do nogi, Rock! Myślę, że taki gość nic — tylko podstawia kapelusz.

— Nie zawsze. Czasami gębę ugada przy kazaniu i nic wziąć nie chce. Ale powiada, że kazanie to jedna sprawa, a pogrzeb inna.

— Bodaj go licho!

Mijali ogniska, przy których kobiety gotowały, namioty, furgony. Evans pilnował, by Rock szedł przykładnie za nogą. W przyszłości, jak ustalono, biwak będzie wyglądał zupełnie inaczej. Kręgiem staną furgony powiązane łańcuchami, aby na wypadek ataku Indian stanowić prowizoryczną fortecę. Na razie były rozrzucone szeroko, na wszystkie strony.

Tadlock, można by rzec, udzielał audiencji. Kolejno przyjmował meldunki inspektorów, marszczył się gniewnie albo z uznaniem kiwał głową, na arkuszu papieru notując podawane mu liczby. Obok kapitana stali Fairman i Mack. Inni mężczyźni cisnęli się wokół: brat Weatherby, Brewer, Higgins oraz tacy, których nazwisk uczył się dopiero — Gorham, Carpenter, Byrd, Daugherty, Patch, Holdridge, Martin. Ogólnie biorąc, prezentowali się dobrze, z wyjątkiem McBee i paru jemu podobnych. Summers podszedł do McBee, zwrócił mu broń i odstąpił zaraz.

Słońce urosło do rozmiarów ogromnej szkarłatnej piłki zawieszonej nad mglistym widnokręgiem. Przed zachodem podniósł się wiatr, szarpnął płomieniami ognisk, zmusił kobiety do odwrotu z kłębów dymu. Rozpoczynał się gwar nocnych owadów, jeszcze nie jednostajny, natrętny chór świerszczy, koników polnych, cykad — na to miała przyjść pora później. Ale raz po raz Dick Summers łowił uchem szelest nowej pary skrzydeł. Żaby drzewne kumkały cienko, skądś, z bardzo daleka począł znowu nawoływać lelek.

Tadlock oderwał wzrok od arkusza papieru, zobaczył Evansa i Summersa.

— Oo... Dobrze, że was widzę. Nie chcemy awantur z powodu psów — powiedział.

— Prawdę mówiąc, żadnej awantury nie było — odparł Summers.

— Porozumiałem się z tu obecnymi i za ich zgodą zawieszam sprawę psów do czasu następnego zgromadzenia ogólnego, które zwołam później, podczas drogi. Czy to wystarczy?

— Naprawdę wystarczyłoby odwołanie zarządzenia — powiedział Evans.

— O czymś takim może zadecydować tylko cała kompania — Tadlock zrobił krótką pauzę. — Spodziewam się, że to nastąpi. W każdym razie nikt nie myśli dopuścić do rozłamu z racji podobnej błahostki.

Stłoczeni wokół mężczyźni jęli kiwać głowami lub przytakiwać głośno.

— Wszystkim będzie wygodniej — wyrwał się McBee. — Bo i ja nierad załatwiałem tamtą robotę.

Summers wywnioskował ze słów kapitana, że psia kwestia została pogrzebana i nie zmartwychwstanie nigdy.

— Zakończyłeś kontrolę? — zwrócił się Tadlock do Evansa.

— Tak.

— I co?

— Wszystko w porządku. Oto dane liczbowe... Chodzi tylko o to, że... jak by tu powiedzieć? Brat Weatherby ma pewne braki. Bardzo mi przykro, bracie Weatherby, ale sam dobrze wiesz, że tego i owego ci brakuje.

Kaznodzieja zwrócił pomarszczoną twarz ku Tadlockowi, który zapytał.

— Czy to prawda, Weatherby?

— Materialnie, tak.

— Znasz nasze reguły, co?

— I tak pojadę, z brakami czy bez braków, z wami lub sam.

— Nie byłbym taki hardy.

— A ja ufam, że Bóg zaopatrzy mnie jakoś.

— Posłuchaj — wtrącił parobek Fairmana, Hig. — Jak Bóg będzie cię zaopatrywał, weź także dla mnie nowe portki — roześmiał się, podciągnął bardzo sfatygowane spodnie.

Tadlock zmarszczył brwi. Sądził widać, że to żart niesmaczny.

— Bardzo pięknie pokładać ufność w Panu, ale sama ufność nie wystarczy, w każdym razie nie w naszej kompanii — powiedział ostro, jak gdyby miał dość liczb i meldunków, jak gdyby chciał zakończyć prace wstępne, nareszcie ruszyć w drogę.

Wyblakłe oczy kaznodziei rzuciły wyzwanie czarnym Tadlocka. Następnie padły słowa:

— Dożyłem sześćdziesiątego czwartego roku, więc zdążyłem się nauczyć, że Bóg dba o ludzi.

Nikt nie zabierał głosu, więc Summers był pewien, że mężczyźni są usposobieni życzliwie wobec kaznodziei, lecz rozumieją również, jak niedorzecznie brzmi jego mowa.

— Czy nie pojmujesz, bracie Weatherby? — podjął Tadlock tonem łagodnej perswazji, jak gdyby zwracał się do małego dziecka. — Czy nie rozumiesz, że nie możemy pozwolić na takie ryzyko, przez wzgląd zarówno na ciebie, jak na nas? Ja także wierzę w Boga, nie wierzę jednak, że On pochwala lekkomyślność. Bóg chce, aby ludzie dbali o siebie sami.

Zebrani jęli kiwać głowami, spluwać, przytakiwać, przenosić wzrok z Tadlocka na kaznodzieję i z powrotem.

— Jaki byłby ze mnie kapitan, gdybym pozwolił ci jechać, bracie Weatherby? — podjął Tadlock. — Dobrowolnie szukałbym biedy.

Kaznodzieja nadal patrzał mu w twarz wyzywająco.

— Jezus Chrystus rzecze: „O wy, ludzie małej wiary”.

— Nie chodzi tutaj o wiarę — rzucił kapitan szorstkim znowu tonem. — Chodzi o zdrowy rozsądek.

— Przecież to ja podejmę ryzyko, nie ty.

— Nie myślimy podróżować w pojedynkę. Nie zgodzimy się, bracie Weatherby, abyś umierał z głodu. Będziemy musieli dzielić między siebie nawet najskromniejsze zapasy. A jeżeli osłabniesz albo zachorujesz, na pewno cię nie opuścimy — Tadlock umilkł na moment, zdawał się szukać w myśli stosownych słów. — Musielibyśmy utrzymywać brata i towarzysza podróży.

— I tak pojadę — oznajmił kaznodzieja.

— Nie z nami, u diabla! Nie chcesz słuchać rozumnej perswazji, więc powiadam wyraźnie: Nie z nami! Zrozumiałeś?

Weatherby objął wzrokiem krąg mężczyzn. Twarz miał zatroskaną, lecz nadal stanowczą i trochę smutną, jak gdyby zabolało go kapitańskie „u diabła”.

— Czuję, że Pan raczył mnie powołać — przemówił. — Pojadę sam.

— Tego nie możemy ci zabronić. Ale pamiętaj: nie przyjmujemy żadnej odpowiedzialności.

Daleko w cieniu drzew lelek krzyknął raz jeszcze. Summers zdziwił się nieco, usłyszawszy własny głos:

— Nie martw się, Tadlock. Ja zabiorę go z sobą.

— Jak to? Co to właściwie znaczy?

— Będę się martwił o niego. Ja sam, nie wy.

Tadlock poszukał spojrzeniem Evansa.

— Ty jesteś inspektorem w jego sekcji. Czy Summers ma zapasy wystarczające dla dwu ludzi? — zapytał.

— Dick powiedział, że się nim zajmie, więc zrobi to z pewnością. Niczyja więcej sprawa.

— Zaraz! Pytałem o coś zupełnie innego.

— Powiedziałem, że go zabiorę — wtrącił Dick Summers. — Czy to nie dosyć?

— Dla mnie tak — rzucił Fairman.

Weatherby zwrócił w stronę przewodnika twarz nierównie pogodniejszą niż dotąd.

— Niech cię Bóg błogosławi, bracie Summers — powiedział i dodał wielkim głosem: — A nie mówiłem, że Pan zadba o mnie jakoś.

Na zapadniętych ustach Higa pojawił się uśmiech.

— A gdzie moje portki?

Summers dziwił się później samemu sobie. Przy kolacji z Evansami siedział milczący, siedział i medytował. Poręczył za kaznodzieję! Wziął na swoją odpowiedzialność kogoś, kto wierzy, że Bóg — starszy jegomość z długą brodą — jeździ wierzchem na pierwszej lepszej chmurce, w jednej ręce ma piorun, a cukierek w drugiej.

— Trudno przewidzieć z góry, co człowiek może zrobić — powiedział głośno.

Rozdział VII

Powoź, haruj, popychaj, ciągnij, podpieraj i obracaj kola. Łykaj kurz, bodaj cię licho! Łykaj błoto. Pław się w pocie. Lodowaciej nocą. Pracuj o wschodzie słońca. Pracuj o zachodzie. Byle dalej i dalej.

Pilnuj stad. Naprawiaj furgony. Wyładowuj bagaż, ładuj, wyładowuj. Śpij niby kłoda, kiedy koła kręcą się nieustannie w twojej głowie, a później wstań i wędruj. Powoź, haruj, popychaj, ciągnij. Przeklęte robactwo. Przeklęta droga. Przeklęte jary, strumienie, drzewa. Byle dalej i dalej. Niech żyje Oregon! Po trzykroć niech żyje!

Padaj wieczorem na posłanie, czuj ciepło kobiecego ciała i wiedz, że żona odwraca się plecami. Wiedz i nie dbaj o to, chyba w tajnikach serca, gdzie przechowujesz swoje nienawiści. Niechaj wiotczeją obolałe mięśnie, niech myśl topnieje. Niech wyobraźnię zapełnią dziewczyny — jak Mercy McBee. Człowiek jest dokładnie taki, jakim w skrytości ducha ogląda siebie. Tak, właśnie taki. Najlepiej pozwól, aby sen cię spowił — pozwól, jeżeli potrafisz.

Curtis Mack nie mówił do Amandy jak mąż do żony, nie zachęcał jej, by mówiła do niego. Nie rozmawiali ostatnio i, jak spodziewał się, nigdy nie mieli już rozmawiać. Powiedzieli wszystko, co mogli mieć sobie do powiedzenia. Czasami tylko Amanda próbowała zagadywać o codziennych sprawach — stanie pogody, kurzu, błocie — a on odpowiadał szorstko, dostrzegał urazę w jej twarzy, był kontent z tego i nic więcej.

To już koniec — powtarzał sobie, gdy karawana zmierzała ku Little Blue, a w nim napięcie rosło. Nie poniży się znowu, niech się co chce dzieje. Amanda może chować to, co ma, on o nią nie dba. Nie będzie jej już błagał tak jak wówczas, w noc po przeprawie przez rzekę Kaw.

Pachniała wtedy wiosna. Za namiotem nawoływał jakiś nocny ptak. Wiatr swawolił z naciągniętym płótnem, a on pragnął Amandy, jak wielokroć pragnął jej uprzednio.

— Nie, Curt — powiedziała. — Proszę cię, nie!

— Od dawna nic nie było.

Kobieta odepchnęła natrętną rękę męża.

— Proszę cię, nie.

— Dlaczego?

— Strach mi.

— Strach ci?

— Tak.

— Czego?

— Ty wiesz.

— Dawniej nie byłaś taka.

— Możliwe... Teraz nie miałabym doktora, niczego.

— To zwyczajna wymówka, pretekst — powiedział Curtis i nie otrzymał odpowiedzi. — Nigdy naprawdę nie chciałaś.

— Wiem, że tak ci się wydaje.

— A tobie się wydaje, że coś takiego nie przystoi prawdziwej damie. Prawdziwa dama nie przejawia takich skłonności.

— Curt!

— W domu także nie chciałaś. Nigdy. Za każdym razem to był gwałt.

— Nieprawda!

— Ale to bliskie prawdy — Curtis milczał przez długą chwilę, później uległ pragnieniu, zaczął błagać. — Proszę cię, Amando. Przepraszam. Tak mi przykro. Proszę cię, bardzo proszę.

— Nie mogę.

— Byłem cierpliwy, ale to trwa za długo. Bardzo cię proszę.

— Nie mogę. Boję się.

— Jak to? — głos Macka zabrzmiał znów ostro. — Myślisz, że tak ma zostać do końca podróży?

— Nie wiem.

— Na Boga! Nie będziesz nawet półżoną, bo na nic więcej nie zdobyłaś się nigdy. Tak?

— Nic nie poradzę, Curt.

— Bo nie chcesz.

Amanda płakała, płakała cicho, jednakże wstrząsały nią łkania. A on pragnął jej bardziej niż kiedykolwiek dawniej. Pragnął wilgotnego, ciepłego policzka przy swojej twarzy i zbolałych ust, i ciała, które ulega, by znaleźć zaspokojenie. Tyle, żeby go i tak nie znalazło.

Ktoś inny wziąłby ją przemocą nie troszcząc się — tak czy nie. Ostatecznie żona, nawet niechętna, ma obowiązki. Ktoś inny mógłby tak postąpić, ale nie on, Curtis Mack z Buffalo, New York, człowiek ulepiony z miękkiej gliny, który uznaje na przekór własnemu gniewowi, że wstrzymuje Amandę coś dlań niepojętego. Uznawał to i popadał w tym sroższą pasję. Bóg daje kobiecie piękną twarz, pełne, krągłe piersi, kształtne uda. Czemu skąpi jej ognia?

— Gdybyś naprawdę była żoną, zostalibyśmy w Buffalo.

Amanda nie próbowała nawet odpowiadać.

— Jak sądzisz, czemu rzuciłem wszystko i postanowiłem jechać na Zachód?

Milczała nadal.

— Żeby nie kisnąć dłużej. Oto czemu! Żeby to wypędzić z głowy!

— Przesadzasz, Curt.

— Nie. W gruncie rzeczy taki był powód.

Odpowiedziała jedynie gwałtowniejszym szlochaniem.

— Tobie potrzebny na męża cholerny mnich.

— Po co to mówisz?! — krzyknęła. — Kochamy się przecież. Tyle mamy spraw, dla których warto żyć.

— Nie będę cię już prosił. Nigdy — powiedział i poczuł wstręt do siebie, nie z powodu samego kłamstwa, lecz słabości, co mu je narzuciła.

Nie pierwszy raz groził podobnie, jednakże później, gdy odzyskiwał równowagę, przemijała uraza, łagodniał gniew; ciepła, zgnieciona pościel dawała ukojenie i Mack nie szczędził znowu żonie słów miłości. Prosił o

przebaczenie, siebie obwiniał za nieporozumienia takie jak tamtej nocy. Miękki facet z tego Curtisa Macka, bezwolny, niezrównoważony i — powiedzmy otwarcie — nazbyt zmysłowy. Ale czy jest coś złego w zmysłowości? Nie. Cała bieda w jej władzy nad nim, w jego bezradności, w tym, że jest rozdrażniony, to znów przesadnie radosny — zależnie od odmowy albo nieznacznego przystępu łaski.

— Popychasz mnie do innych kobiet — powiedział tamtej nocy.

— Nie rozmyślnie, Curt.

— Trudno wymagać, abym nie patrzył na kobiety, nie myślał. No i, zobaczysz, znajdę sobie kogoś.

— Jeśli ci tylko o to chodzi...

— Tobie nie zależy. Ty mnie nie chcesz.

— Jeśli ci tylko o to chodzi...

— Chodzi mi o to, do diabła! — krzyknął zrywając się z posłania. — Ale ty powinnaś wydać się za wałacha!

Później leżał bez słowa, słuchał tłumionego płaczu, z okrutną uciechą wyczuwał spazmatyczne drgania ciała żony, raz po raz mówił sobie, że znajdzie inną. On chce dochować małżeńskiej wiary. Uniemożliwia to Amanda, sama daje mu wolną rękę. Niech będzie! Trzeba wyrwać się z form, w jakie go wtłoczyli rodzice, ostrzegający nieustannie przed grzechem, kaznodzieje — taki na przykład brat Weatherby — ukazujący zło, ludzie zbliżonego pokroju, chociażby ci emigranci, co grożą trzydziestu dziewięcioma batami za cudzołóstwo i nierząd. Wszyscy są rozpustni i bojaźliwi; to co ich, chcą zachować dla siebie, zarazem jednak myślą, czy nie da się uszczknąć trochę na boku. A jeżeli ktoś nigdy nic nie miał lub prawie nic?

Znajdzie sobie kobietę. Odetnie się od zaszczepionej w nim moralności. Przyrzekał to sobie i starał się zagłuszyć tajone obawy, że pod wpływem wyrzutów sumienia stchórzy.

Nocny ptak nawoływał nadal. Wiatr swawolił z płótnami namiotu. Curtis usłyszał kichnięcie konia i odległy ryk krowy. Wyraźnie, uporczywie dochodził go plusk i szeptanie wody w Kaw.

Za dnia odbyła się przeprawa przez tę rzekę i wędrowcy posunęli się w górę jej biegu nadbrzeżnym pasem otwartej prerii. Curtis Mack wspominał nocą tamte sceny, które miały posłużyć za balsam. Postanowili nie korzystać z promu, gdyż mieli pośród siebie zbyt wielu biedaków. Mieli też Dicka Summersa, który mógł przecież znaleźć bród. Tak się też stało. Przewodnik śmiało wjeżdżał wierzchem do wody, szukał dobrego miejsca. Gdy na nie trafił, furgony ruszyły przez bród. Szczelniejsze pojazdy, na przykład Macka, posuwały się bezpiecznie. Słabsze — jak McBee — Dick Summers i woźnice wzmacniali palami, skrzynki wiązali łańcuchem; robili z nich zaimprowizowane tratwy. Indianie Kaw, ciekawi i natrętni jak kozy, biegali na brzegu, brodzili w płytkich miejscach. Ich chusty, pióra, błyskotki, perkalowe koszule grały żywymi barwami na tle świeżej zieloności prerii. Niektórzy przewozili w prymitywnych czółnach kobiety, dzieci, bagaż, który trzeba było wyładować, by ulżyć wozom. Zapłatę stanowiły paciorki, tytoń, używana garderoba i, jak okazało się później, wszystko, co przy okazji zdołali ściągnąć.

Mack przyglądał się kobietom, medytował. Oto Judyta Fairman — ładna, młoda osoba o bladej cerze, wysoka, długonoga, może trochę za

płaska; przybyła z Nowej Anglii pani Patch, która może coś kryć pod maską twarzy o wyrazie powagi i skupienia; pani Tadlock, spokojna, milcząca i na swój cichy sposób nieładna; Rebeka Evans, usposobiona towarzysko i życzliwie dla ludzi, pogodna kobieta, z przodu przypominająca kopę siana; pani Brewer, która urodziła dziesięcioro dzieci i wyglądała na to. Na deser Curtis chował to, co najlepsze: Mercy McBee — jej białą cerę i ciemne włosy, dziewczęce piersi, dziewczęce usta, oczy, które mówią wiele o smutku głód przypominającym i głodzie podobnym do smutku; ta wie zapewne mało o miłości, ale można by ją nauczyć.

Mack nie potrafił patrzeć na Amandę jak obcy mężczyzna. Nie potrafiłby jej opisać. Mógł tylko powiedzieć, że jego żona jest jasnowłosa, średniego wzrostu, ma dobrą figurę, owalną twarz i szeroko rozstawione oczy, na pozór piwne, lecz kiedy spojrzeć z bliska, raczej zielonkawe. Czy obcy widziałby ją inaczej, gdyby wiedział, że jest zimna?

Czy tamte są również zimne? Czy ich mężowie mają podobne myśli, gdy zasypiają niezaspokojeni, pełni uraz? Czy kobiety typu pani Brewer są tylko bardziej uległe, posłuszne, czy też naprawdę mają więcej ognia? Nie pożądaj żony... Jednakże Curtis snuł nieskromne myśli, wyobrażał sobie, że ta czy tamta ulega mu namiętnie i tkliwie, w skrytości, w pościeli lub na zielonym brzegu rzeki, pod osłoną wierzb. Tkliwie... Oto właściwe słowo. Chyba mężczyzna pragnie tkliwości bardziej niż czegokolwiek innego. Amanda nie umie być tkliwa, w każdym razie nie na zewnątrz. To niezgodne z jej naturą. Wiadomo, że kocha, ale wiadomo tylko dzięki jej nie wymówionym na głos słowom, gestom połowicznie zaznaczonym, wzruszeniom okazywanym pośrednio, łaskom udzielanym z rezerwą. A to, u licha, zbyt mało!

Za dnia Curtis odpędził myśli o Amandzie, wrócił nad rzekę, by zobaczyć, co się dzieje. Uporano się już z furgonami, kobietami i dziećmi, bagażem wyładowanym dla ulżenia wozom. Z brzegu schodziło teraz bydło i prowadzone luzem zwierzęta pociągowe, otoczone wokół i przynaglane przez białych i czerwonoskórych jeźdźców, którym przewodził Dick Summers. Pierwsze sztuki zanurzały się już w wodzie, za nimi inne. Niebawem całe gromady zwierząt jęły płynąć walcząc z niezbyt wartkim prądem.

Była to łatwa przeprawa, w czasie której nie utracono ani jednego zwierzęcia, ani jednej baryłki, skrzynki, sakwy, nie licząc drobiazgów ściągniętych ukradkiem przez Indian Kaw. Po tak udanym przedsięwzięciu mężczyzna może być radosny, skory do zabawy, ma prawo pożądać własnej żony.

Curtis Mack wysunął się z posłania odkrywając żonę.

— Nie ma co biadać — mruknął do siebie. Wyprostował się, naciągnął spodnie. Nie był w stanie usnąć tamtej nocy. Ruszył wzdłuż namiotów, które otaczały kręgiem zagrodę z połączonych wozów. Raczej wyczuwał, niż widział, konie spętane lub uwiązane do kołków wewnątrz tej zagrody. Na biwaku panowała cisza. Czasami tylko ktoś zaczynał pomrukiwać przez sen, rozlegało się chrapanie leżącego na wznak mężczyzny lub nagły krzyk przestraszonego dziecka. Ogniska już wygasły. W górze jaśniały nieliczne, lecz wielkie gwiazdy. W ich blasku wysokie, okryte plandekami furgony rysowały się na tle czarnego nieba. Z dala dobiegło wycie wilka. A może to był Indianin? Mack słyszał, że Indianie naśladują wilki albo okrywają się

skórami wapiti, gdy próbują wtargnąć do obozu, żeby coś ukraść. Kolbę karabinu podniósł do ramienia, ale w tej chwili dobiegł go głos:

— Spokojnie, człowieku.

Zorientował się zaraz, że to Dick Summers, jakkolwiek widział w mroku tylko widmowo biały zarys spodni z kozłowej skóry. Przewodnik siedział na odkrytym miejscu, stanowiącym dobry punkt obserwacyjny.

— Czy ty nigdy nie sypiasz? — zapytał Curtis.

— Wyspałem się dosyć, kiedy byłem farmerem. Starczy mi to chyba do końca życia.

— Myślałem, że farmerzy wstają bardzo wcześnie.

— Tak. Ale umysł wypoczywa najlepiej, gdy człowiek lezie za mułem.

Mack odniósł wrażenie, że umysł Dicka Summersa nie wypoczywa obecnie. Przewodnik gawędził z nim, lecz ustawicznie nasłuchiwał, rozglądał się wokół, jak gdyby rozmowa interesowała go jedynie na pozór.

— Spodziewasz się kłopotu?

— Chyba nie. Chociaż ci biedacy Kaw są zwykle przemarznięci i głodni. No i lubią kraść dla czystej przyjemności.

— To straszna plaga — rzucił od niechcenia Mack i zdziwił się po trosze, kiedy dobiegła go odpowiedź:

— Tak samo jak my mają własne obyczaje. No i zapewne my stanowimy dla nich znacznie cięższą plagę.

— Co? Jakim cudem? — zdziwił się Mack, chociaż zrozumiał doskonale sens zdania; umilkł na moment, by podjąć bardziej stanowczym tonem: — Będą musieli przystosować się do nas.

Przez chwilę czekał na reakcję, ale Summers bąknął tylko:

— Tak mi się zdaje.

— Pójdę rzucić okiem na bydło — powiedział Mack i odwrócił się szybko.

Pod nogami miał młodą, puszystą murawę, tak miękką, że nawet w butach fabrycznej roboty mógł poruszać się zwinnie, niby Indianin. Szedł ku północy, dokąd wypędzono bydło, na pastwisko położone z dala od rzeki. Co pewien czas sprawdzał kierunek, od niechcenia przeciągał w myśli linię prostą łączącą bok Wielkiego Wozu z Gwiazdą Polarną. Niebawem dostrzegł ruch przed sobą, głośno oznajmił, kto idzie, postąpił naprzód i stwierdził, że ów ruch to chłopiec — Brownie Evans, którego najął do pomocy przy bydle.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

— Stworzenia jakby się ciut niepokoją.

Mack zmrużył oczy i zobaczył „stworzenia”, nieco ciemniejsze plamki na ciemnym tle łagodnego stoku.

— Ciekawym dlaczego — bąknął.

— Pewno wietrzą Indian.

— A ty zauważyłeś coś podejrzanego?

— Nie. Chyba że Indianie udają głos wilka.

— Prawie czas na zmianę, co?

— Ee, jeszcze trochę.

— Kto stróżuje przy bydle prócz ciebie?

— Holdridge. McBee, Patch czuwają. Summers kazał dobrze pilnować tej nocy.

— Aha.

— Powiadał, że indiańscy złodzieje nawołują się czasem jak wilki.

— Musisz dobrze uważać.

— Summers powiadał jeszcze, że na własne oczy widywał takie rzeczy, chociaż nie wie, czy Indianie Kaw coś podobnego stosują. Podobno brak im sprytu i odwagi.

— Tak czy inaczej, musisz się mieć na baczności.

— Naturalnie. Dick powiadał też, że z tymi Kaw zawsze trzeba się mieć na baczności. Zresztą niedaleko już do kraju Delawarów.

— Delawarów?

— Aha. Ale najpilniej trzeba się strzec Pawnisów.

— Widzę, że ten twój Summers wie wszystko.

— Wszystko?... Ee, chyba nie. W każdym razie dużo — odparł chłopiec.

Curtis lubił zarówno młodego Evansa, jak Dicka, mimo to jednak podkusiło go coś, by parsknąć.

— Z twojego gadania wynika, że prócz Summersa nikt nie ma ani odrobiny oleju w głowie.

Brownie nic nie odpowiedział. Z chłopięcym szacunkiem dla starszych milczał, lecz Curtis zdawał sobie sprawę, że — tak jak chciał — uraził go boleśnie.

Na zachodnim nieboskłonie spadła gwiazda, więc młody Evans, kontent z okazji do zmiany tematu, zapytał spiesznie.

— Jak pan myśli, czy ona trafi do Oregonu?

Nim Mack zdążył odpowiedzieć, po przeciwległej stronie trzody huknął karabinowy wystrzał. Trzask umilkł, rozpłynął się w natarczywej, dającej do myślenia ciszy. Brownie podniósł strzelbę.

— Indianie! — wrzasnął. — Indianie!

— Cicho! Posłuchajmy.

Od strony obozu dobiegł gwar: krzyki wśród ciemności, brzęk łańcuchów, tupot szybkich kroków. Wkrótce drugi wystrzał zagrzmiał na tle tych odgłosów — daleko za rozrzuconymi bezładnie na stoku ciemniejszymi plamkami. Woły jęły dźwigać się ciężko. Widać było najbliższe, które powstawszy znieruchomiały i sapały głośno: Dalej panował również nieokreślony ruch.

— Brownie! — odezwał się donośny głos Evansa. — Gdzie jesteś? Brownie!

— Tu, tato! Tutaj!

Zdyszany Evans nadbiegł wyprzedzając kilku mężczyzn. Z dala rozległ się jeszcze jeden wystrzał. Mack usłyszał go, a później głuchy tętent kopyt. Ciemne plamki zbiły się, utworzyły węża, którego głowa ruszyła z miejsca, pociągnęła za sobą resztę ciała.

— Cholerny świat! — ktoś krzyknął. — Bydło ucieka!

— Gdzie konie? Sprowadzić konie!

— Nic z tego! — Mack poznał głos Summersa. — Nie dogonicie stada.

— Sprowadzić konie, powtarzam!

Głowa węża zniknęła już w mrokach.

— Nie! Stać! Czekać!

Przewodnik zatrzymał się przed Curtisem.

— Czy to Indianie? Widziałeś Indianina?

— Nie.

— Tyle że stworzenia jakby się niepokoiły — wtrącił Brownie.

Mack nie widział już stada. Tętent kopyt przycichał na stoku. Natomiast odezwali się inni strażnicy.

— Czy to Indianie? — powtórzył Dick Summers.

— Jak Boga kocham, tak! — zawołał McBee.

— Pewien jesteś?

— Nie — odpowiedział Patch.

— Ja widziałem jednego — podchwycił Holdridge. — A może to był wilk.

Tadlock utorował sobie drogę łokciami.

— Sprowadzić konie, do wszystkich diabłów!

— Zaraz! Pomału!

— Co z tobą, Summers? Chcesz zwołać zgromadzenie ogólne?

Przewodnik nie odpowiedział. Wyręczył go Lije Evans.

— Najlepiej dać Dickowi wolną rękę.

— Nie on jest kapitanem. Prędzej! Sprowadzić konie.

W tym momencie przemówił Summers, a ton jego głosu podobał się Mackowi i zarazem budził pewien opór.

— Nie zapominaj się, stary.

— Nie zapominam się! — krzyknął Tadlock. — Pamiętam też o bydle.

— Bo to jest przeważnie twoja własność — wtrącił cicho Patch.

— A cóż to ma do rzeczy? Chcesz stracić swoje?

Mężczyźni zbili się ciaśniej. Zabrzmiało naraz kilka głosów, nad którymi zapanowały wnet słowa przewodnika:

— Wystawienie patrolu bojowego to według uchwalonych reguł moje zadanie.

— Więc rób, co powinieneś — rzucił mu w twarz Tadlock.

Mack zabrał głos bez zastanowienia — jak sam osądził później tylko ze złości i czystego pragnienia walki.

— Do diabła z uchwałami, jeżeli nic z nich nie wynika!

Summers zwrócił się doń łagodnie, ale tak dobitnie, że wszyscy mogli usłyszeć:

— Mack, przecież to mogą być Pawnisi. Ale tak czy inaczej, nie poprowadzę nocą zupełnie zielonych ludzi nawet przeciwko Indianom Kaw — zrobił krótką pauzę, by jego słowa zdążyły wywrzeć zamierzony efekt. — Przy dziennym świetle na pewno odzyskasz więcej sztuk, niż zdołałbyś odzyskać teraz — odwrócił się, przemówił głośno do wszystkich mężczyzn. — Ja sam będę patrolem wojennym. Reszta niech pilnuje taboru.

Nie dodał słowa więcej. Rozpłynął się jak cień. Mack widział go przed sobą i w tejże chwili zamajaczyła dalej widmowa biel jego spodni, aby niezwłocznie zniknąć wśród mroku, przerażającej pustki, niewyraźnie zarysowanego krajobrazu.

Po chwili gwar odżył, lecz Mack nie słuchał dłużej, nie chciał zwlekać. On także będzie patrolem bojowym, całkiem zielonym, jednoosobowym patrolem bojowym. Pojedzie jak głupi, na ślepo. Pojedzie, aby stępić ostrze swojej pasji, a może spotka Indian i w utarczce z nimi wyładuje energię inaczej niż z kobietą. Mężczyzna już taki jest... Ale tego on nie wytłumaczy Amandzie. A gdyby nawet? Na nią nie ma rady.

Kilka kobiet wybiegło zasypując Curtisa pytaniami, prośbami o pomoc, okrzykami lęku. Ciągnęły go za rękawy, próbowały zatrzymać, dogonić.

— Wszystko w porządku — powtarzał. — Wszystko w porządku. Nic się nie stało.

Inne pozostały w zagrodzie, lecz także chciały się czegoś dowiedzieć.

— Wszystko w porządku. Nic się nie stało — odpowiadał tym również i odchodząc nie patrzył na kobiety, bo czuł do nich nienawiść dlatego tylko, że są kobietami.

— Mówiłam, że nie warto jechać — zawodziła pani Turley. — Wiedziałam, jak będzie.

Mack przeskoczył dyszel furgonu, aby od niej umknąć.

Wokół zagrody ponownie rozpalono wygasłe ogniska. Jasne płomienie poczęły tańczyć, zapalając iskry w wielkich oczach koni, które stały w zagrodzie z wysoko zadartymi łbami, wylęknione niezwyczajnym zgiełkiem. Curtis znalazł swojego wierzchowca, odprowadził go na bok i, by osiodłać, uwiązał do kola jednego z dwu własnych furgonów. Później opuścił łańcuch między wozami, odepchnął dyszel i wyprowadziwszy konia na zewnątrz, umocował wszystko z powrotem.

Wówczas odwrócił się i zobaczył Amandę.

— Dokąd się wybierasz, Curt? — zapytała.

— W pościg za Indianami — odparł i przy blasku ogniska dojrzał na twarzy żony bladość i bolesny grymas.

— Sam? — szepnęła trwożnie i gdy nie odpowiedział, dodała: — Przecież wcale nie znasz Indian.

— Nie bój się. Poznam, jak zobaczę — sięgnął nogą do strzemienia.

— Nie pojedziesz.

— Co takiego?

— Proszę. Bardzo proszę.

Do diabła z prośbami — pomyślał Mack. — „Proszę” Amandy przyniesie jej tyle, ile ja dostałem za swoje „proszę”. Odwrócił konia i usłyszał jeszcze:

— Proszę, Curt, bądź ostrożny.

Wtedy uprzytomnił sobie, że wymyślił całą tę szaleńczą wyprawę po części... nie... tylko na przekór żonie. Oczywiście nie powstrzymało go to, nie mogło powstrzymać. Koń potknął się, gdy ścisnął go piętami i pognał w ciemność luźno puściwszy wodze. Nie kierowane zwierzę okrążyło zagrodę i nad brzegiem rzeki pochyliło głowę, aby unieść ją zaraz, posmakować wody i parsknąć głośno.

W zaroślach było mroczniej. Mack czuł tylko, że ociera się ramieniem o drzewo. Rzeka płynęła również ciemnym nurtem, rozpościerała się aż po czarną wstęgę przeciwległego brzegu. Na środku wody lśniła piękna gwiazda. Mack zwrócił wzrok ku górze i na niebie zobaczył ją również. W myśli przemknęły mu słowa Pisma świętego: „A gdy ujrzeli gwiazdę, wielce uradowali się w sobie”. Czytywał je jako dziecko, w kościele, któremu zawdzięczał nie zagojone do dziś blizny w świadomości.

Ściągnął wodze, odjechał znad rzeki i zostawiwszy za sobą gaj ruszył ku zachodowi, mniej więcej w kierunku, który obrało umykające bydło.

Nie zachodziło nic godnego uwagi. Wielka Niedźwiedzica rozpościerała się na niebie. Raz spadła gwiazda. Zawyły gdzieś wilki. Od czasu do czasu koń potykał się, więc Curtis mocno szarpał wodze. Nic się nie działo, tyle że koń dyszał coraz ciężej i ciężej. Niech sapie. Niech się męczy, zdziera serce i płuca. Naprzód! Amanda miałaby pretensję, bo wierzy przecież w dobroć dla niemych zwierząt. Naprzód! Wciąż naprzód!

Mack był daleko, gdy słabo, jakby to była złuda, usłyszał strzały niżej nad rzeką, od strony biwaku. Przeraził się, zdarł wodze. Bezwiednie pomyślał o Indianach, obozie, Amandzie pozostawionej bez jego opieki. Dopiero później uprzytomnił sobie, że zapewne dochodzi czwarta, więc straż strzela, by podnieść obóz przed porannym wyruszeniem w drogę. Ścisnął wierzchowca piętami, zmusił do galopu.

Nadal nic się nie działo. Mack ujechał milę, później zawrócił i zygzakami jął zmierzać w kierunku biwaku. Rychło niebo pojaśniało, następnie rozgorzało łuną, która odsłoniła za rzeką niewysokie pasmo łysych wzgórz. Obóz leżał daleko, w dolnym biegu rzeki... Mack śpieszył w tamtą stronę.

Był niedaleko — tak blisko, że dobiegały go echa ludzkich głosów, dziwnie przenikliwych w porannym chłodzie — kiedy zobaczył Indianina na drzewie. Zrazu wziął go za dużego szopa albo niedźwiadka. Dopiero z bliska dostrzegł ogoloną głowę z czubem włosów, chustę otulającą ramiona. Z punktu wyniesionego nad podszycie niskich zarośli Indianin obserwował obóz. Tkwił w górze, uczepiony gałęzi i patrzył.

Mack zatrzymał swojego wierzchowca, pilnie obejrzał Indianina i nie zobaczył strzelby ani łuku. Oczywiście Indianin mógł chować pod fałdami chusty zarówno jedno, jak drugie.

Mack zeskoczył z siodła, uwiązał konia i dalej ruszył pieszo, jak najciszej. Czuł teraz tętno w skroniach, oddychał szybko, niespokojnie. Z tak bliskiej odległości nie można spudłować. Trzeba tylko podnieść karabin, wziąć Indianina na cel, przycisnąć spust. Tak! Z pewnością nie chybi, jeżeli zdecyduje się na strzał.

Bacznie rozejrzał się dokoła, lecz nie wypatrzył innych Indian. Nastawił uszu; prócz własnego tętna i oddechu usłyszał tylko gwar kobiet, które gotowały śniadanie, usłyszał grubsze głosy mężczyzn chwytających zwierzęta pociągowe.

Niepodobna chybić, jeżeli nawet krew pulsuje i brak tchu. Lufa się wznosi, muszka trafia w szczerbinę, palec spoczywa na spuście, czeka.

Indianin porusza głową, odwraca ją, by przebiec wzrokiem okolicę. Twarz ma spokojną, choć czujną. Mack widzi jego oczy, rozszerzone nagłą zgrozą, gdy go dostrzegły. Te oczy, zmartwiałe usta, cała twarz zdaje się wołać: „Proszę! Bardzo proszę!”

Indianin spadł z drzewa jednocześnie z hukiem wystrzału. Nie krzyknął, nie próbował się utrzymać. Zwisnął na moment, błagalny wyraz zniknął mu z twarzy i ciężko runął na ziemię.

Mack podbiegł do niego. Indianin nie żył. Leżał wśród zarośli, zwinięty, otulony swoją chustą. Na głowie miał dumny czub włosów. Twarz zwrócił ku niebu, rozdziawił usta. Wynędzniały, drobny człeczyna naznaczony bliznami po czyrakach i śladami głodu, Kaw, który prosił i otrzymał odpowiedź, a teraz o nic nie będzie musiał prosić, bo mu nic nie trzeba.

Zabójca stał bez ruchu przez dobrą minutę. Słyszał, że obóz zaniepokojony jego wystrzałem przycichł, aby wybuchnąć wnet tym większym gwarem. Łagodny wietrzyk igrał z indiańskim czubem włosów, pośród których gramoliła się wesz. Mack patrzył i czuł, że ogarnia go zmęczenie, niewczesny żal, męka osamotnienia, tęsknoty. Nie wiedzieć czemu, zapragnął gorąco szczerej rozmowy z Amandą.

Powoź, haruj, popychaj, ciągnij, podpieraj i obracaj koła. Łykaj kurz, bodaj cię licho. Łykaj błoto. Pław się w pocie. Lodowaciej nocą. Pracuj o wschodzie słońca. Pracuj o zachodzie. Byle dalej i dalej.

Rozdział VIII

Wędrowcy zostawili za sobą Kaw — Wakarusę i Kaw, Little Vermillion, Big Vermillion, Big Blue. Wszystkie te rzeki stawały w pamięci, gdy tabor piął się pod górę, zjeżdżał stromym stokiem, sunął zboczem między drzewami. Każda przeprawa coś kosztowała — czas, pot, umęczenie, złamany dyszel, uszkodzoną uprząż, czasem nawet zamoknięcie bagażu w furgonach o mniej szczelnym pudle.

Rzeki stanowiły wspomnienia poniekąd drogie. Były to kamienie milowe w kraju nie posiadającym innych drogowskazów. Trwały w pamięci budząc wzruszenie, gdyż po przeprawie rozbijano zazwyczaj obóz i bezdomni mieli znów złudzenie domu. Rebeka Evans medytowała o tamtych chwilach i wśród podmuchów surowego wiatru słyszała krzyki dzieci, czuła dym biwakowych ognisk i miłą woń kawy, widziała furgony bielejące w blaskach przedwieczornego słońca.

Miała czas na rozmowę z mężem i synem tylko przed nocą, kiedy zdjęto jarzmo wołom, związano łańcuchami ustawione w krąg wozy. Przysiadali wtedy na krótko, aby pogawędzić o nowym domu — może nawet o dawnym — i Lije zastanawiał się, jak wyglądają teraz sprawy w Missouri.

Rebeka również wracała tam myślami, lecz nie do zbiorów ani inwentarza. Myślała, że źródlana woda jest nierównie lepsza od rzecznej, że drzwi domu zamykają obecnie inni ludzie, dzieci tych nieznajomych nawołują z drzew, na które zwykł wdrapywać się Brownie. Myślała też o siostrze z New Madrid — dla niej wciąż małej dziewczynce, bo we wspomnieniach nie pozwalała jej dorosnąć. Widziała ją zawsze małą i tak ubraną, jak za dawno minionych lat: w sukience z fabrycznego materiału ofiarowanej przez mamusię na szóste urodziny, z mysimi ogonkami, które zdobiły kokardy z czerwonej wstążki — prezent od starszej siostry Becky.

Biwak poprzedniej czy przedwczorajszej nocy łączył się ze starym domem. Ledwie tabor furgonów zdążył ruszyć w drogę, miejsce chwilowego postoju zlewało się z dawniejszymi wspomnieniami, stawało się czymś znanym, co umyka, budziło smętną tęsknotę, pragnienie powrotu do przyjaznego ogniska, wieczornej ciszy, szmeru wody w rzece, swobodnych gawęd. Wędrowcy nie znali przecież niczego przed sobą, w kraju nie ogrzanym ciepłem uczucia i wspomnień.

— Hej, hej! — zawołała Rebeka przynaglając woły i szczelniej otuliła się starym paltem.

Szła pieszo obok furgonu, tak zmęczona i obolała, że nie chciało jej się siąść na koźle. Gdyby ktoś spytał czemu, odpowiedziałaby, że od podskakiwania na wybojach ciało ma w sińcach bolesnych przy lada dotknięciu.

Przed nią Lije obejrzał się, uśmiechnął i zwrócił znowu wzrok w stronę swojego sprzężaju i porywistego wiatru, co zawodził żałośnie targając płótnami wozów. Stary Rock dreptał jego śladem. Taki już miał zwyczaj, że nieustannie szedł za nogą męża albo syna Becky, blisko, jak gdyby wiedziony na smyczy.

Spróbowała przepędzić z głowy myśli o dawnych czasach. Jej chłopcy są obecnie zadowoleni. Czy to nie starczy? Szczęśliwa rodzina — czegóż więcej można wymagać? Nie wolno smucić się, gdy człowiek ma aż tak wiele.

Wszystko idzie jak najlepiej. Karawana posuwa się szybko — nawet zdaniem Dicka Summersa — no i dotychczas nie napotkała trudności, o których by warto mówić. Był popłoch w stadzie i Indianin zastrzelony przez Macka, prawdę mówiąc nie wiedzieć czemu; później przyszli Kaw, by się poskarżyć z tej racji, i Tadlock odprawił ich gładko. Mężczyźni odnaleźli rozpierzchłe zwierzęta — wszystkie, prócz jednej sztuki. Dick nie sądził, by popłoch wywołali Indianie, chyba o tyle, że zwierzęta zwietrzyły ich zapach. Podobno niedoświadczone stworzenie płoszy się zawsze, jak poczuje Indian. Tak przynajmniej mówił Dick Summers.

Rebeka prowadziła najczęściej drugi furgon. Czasami zastępował ją Brownie, czasami zaś, na pewnej, odkrytej drodze można było zaufać wołom podążającym tępo za jucznymi końmi Dicka, które przywiązywano do tyłu pierwszego wozu. Rebeka szła więc obok furgonu albo siedziała na koźle, zawsze jednak śledziła wzrokiem męża i syna, a także Dicka Summersa. Tyle że przewodnik rzadko znajdował się w polu widzenia, gdyż szukał śladów Indian, wybierał najlepszą drogę dla taboru albo polował. Dzięki niemu garnki Becky były pełne. Z początku, jeszcze w pobliżu osad ludzkich, Dick przynosił dzikie kaczki, gołębie, słonki, obecnie jednak dostarczał grubszej zwierzyny. Poprzedniego wieczoru wrócił z polowania obarczony dwoma indykami i jakimś nieznanym zwierzęciem; Dick mówił, że to dzika koza, inni że antylopa. W każdym razie garnki były zawsze pełne, a ich zawartość starczała dla Evansów i przewodnika. Starczała również dla brata Weatherby, który wygłaszał płomienne kazania przeciwko podróżowaniu w dni świąteczne, co nie powodowało zresztą przerw w postępach karawany.

Dick to zuch chłop i dobry, a jej Lije jest nie gorszy i z pewnością wszyscy się o tym przekonają. Silny, rozumny i co najważniejsze, ma idealne usposobienie, bo jest spokojny, łagodny, nie upiera się nigdy.

Rebeka patrzy przed siebie na ciężki furgon zaprzężony w dwa jarzma wołów. Patrzy na męża, który idzie obok pociągowych bydląt i od czasu do czasu trzaska z bata. Niekiedy tabor przystaje i wówczas Lije śpieszy na czoło, by pomóc innym w przeprawie przez potok lub w pokonywaniu stromego zbocza. Kiedy wraca, ubranie ma zabłocone albo pokryte kurzem i mokre od potu. Nie gada dużo, nigdy nie przybiera rozkazujących tonów Tadlocka, jednak do każdej pracy rad przyłoży rękę.

Brownie znajduje się najczęściej w tyle, za kolumną wozów, przy stadzie pędzonego luzem bydła. Matka widuje go czasem, oglądając się z położonego wyżej miejsca. Pozdrawia go wtedy gestem ręki, a on odpowiada nieśmiało, bo jest jeszcze chłopcem i nie lubi okazywać uczuć. Tak, to jeszcze dzieciak, ale haruje niczym dorosły mężczyzna. Przecież nie musiał poświęcać tyle czasu bydłu — ojciec miał tylko piętnaście sztuk.

Jednakże Brownie chciał zarobić trochę, więc przyjął pracę u Macka, który prowadzi czterdzieści krów, może więcej. Z pewnością Mack nie mógłby znaleźć człowieka bardziej godnego zaufania.

Rebeka popędziła kijem najbliższego wołu, bo zapragnęła znaleźć się bliżej męża. Często pozwalała leniuchować sprzężajowi, lecz tego dnia dął zimny wiatr, a ona była zmęczona, obolała i, nie wiadomo czemu, pełna smutku. Tutaj nad Little Blue tumany pyłu wiałyby prosto w oczy, gdyby nocą nie przeszła ulewa. Dla ostatnich furgonów kurz stanowił nie lada udrękę, więc każdego dnia zmieniano miejsca — jedne wozy przesuwały się ku czołu kolumny, inne cofały.

Rebeka rozejrzała się, z zaciekawieniem objęła wzrokiem okolicę. W czasie wędrówki krajobraz ulegał zmianom. Z początku były lasy i wzgórza, następnie prerie takie, jak wedle wyobrażeń Becky winny się ciągnąć po wschodniej stronie Gór Skalistych. Później przyszły znów lasy, wapienne skałki i wysokie wzgórza wzdłuż brzegów Big Vermillion. Teraz jak gdyby zaczynała się znów otwarta przestrzeń, o czym świadczyły rozległe panoramy; wzrok sięga dalej, drzewa rosły w mniejszych, bardziej rozproszonych grupach. Ale co tu wiadomo? Jutro może się znów wszystko zmienić.

Wiatr dął zupełnie inaczej niż w dawnym kraju — bardziej uporczywie, zajadle, szatańsko; nadciągał od zachodu i nadciągał, jak gdyby nie było mu końca. Przyginał drzewa, świstał pośród łysych wzgórz, zdawał się rozmyślnie atakować tabor. Ludzie mówili, że to nic w porównaniu z tym, co przyjdzie później. Warto poczekać, zobaczyć. Jednakże Becky uważała, że ma dosyć, bardziej niż dosyć.

Z zadowoleniem powitała postój. Odetchnęła głęboko, dłonią roztarła obolały zadek nie dbając wcale, czy ktoś patrzy. Później postąpiła naprzód, chcąc dogonić męża, nim pójdzie sprawdzić, co się stało.

— Popilnujesz stworzeń — powiedział — dobrze Becky?

— Zaraz, Lije. Poczekaj. Nie musisz robić wszystkiego. Może porozmawiałbyś ze mną?

Zawahał się tak, jak się spodziewała, następnie podjął:

— Tak... Naturalnie. Co się stało, Becky?

— Nic. Chcę z tobą pogadać.

— O czym?

— Tak sobie... Pogadać.

— Coś zmieniłaś się, Becky. Zmęczona jesteś, prawda?

— Nie. Całkiem dobrze się czuję.

— Czemu nie wsiądziesz do furgonu zamiast maszerować?

— Nie słyszałeś? Całkiem dobrze się czuję... Pewno to tylko wiatr i... i w ogóle.

— Smutno ci?

— Trochę.

— Nie widzę powodu Wszystko idzie doskonale. Trzeba sobie powtarzać że jest dobrze, trzeba w to wierzyć, a sama się przekonasz, naprawdę będzie lepiej.

— Gdyby nie ta ciągła wichura...

— A ja właśnie myślałem, że mamy dziś piękny dzień na drogę.

Rebeka nie odpowiedziała. Postąpiła krok i odwróciła się, by rozmawiając stanąć plecami do wiatru. Była silna, ale w tej chwili potrzebowała mężowskiego wsparcia.

— Liczysz, że wszystko gładko się ułoży? Serio tak myślisz, Lije?

— Ma się rozumieć, skarbie — uśmiechnął się Evans używając tego rzadko stosowanego słowa, jak gdyby odczuł, do czego Becky tęskni. — Nie ma się czym przejmować. O, słyszysz?

Złowiła uchem tętent, a gdy się odwróciła, spostrzegła nadjeżdżającego konno Tadlocka.

— Postój — oznajmił z odległości dwu skoków konia. — Trzeba będzie ustawić zagrodę.

— Dobrze — zgodził się Lije.

— Summers powiada, że to ostatnia okazja, by zaopatrzyć się w drewno na zapasowe osie i dyszle. Wierzę mu. Nie mam wyboru, muszę wierzyć.

— Dick wie, co gada.

— Niektóre kobiety mówią też o postoju — zaczął znów kapitan tonem takim, jak gdyby miał im to za złe. — Podobno muszą zrobić pranie.

— Aha...

— Nie podobają mi się zbyt częste przystanki.

— Cóż, do końca podróży nie obejdziemy się przecież bez zapasowych dyszlów i osi.

— Tak — przyznał Tadlock — zapewne... Po prostu irytuje mnie nowa zwłoka.

Kiedy odjechał, Evans zwrócił się do żony:

— Widziałaś i słyszałaś. Cały Tadlock.

— Ważny, pewien siebie.

— Właśnie. Zaczyna mnie to mierzić.

— Dotychczas stałeś po jego stronie.

Lije przytaknął powolnym ruchem głowy.

— No i nadal nie myślę, żeby go zmienić. Jeszcze nie.

— Ale niektórzy są innego zdania, podobno Patch i Gorham, i Daugherty. Czy to prawda, Lije?

Ponownie skinął głową.

— Widzisz — podjął — nie chodzi tylko o te tony. Nic podobnego. Tamci mówią, że Tadlock nas popędza, a to jego inwentarz głównie opóźnia pochód. Brak mu rąk do pracy. Rozumiesz? Korzysta tylko z pomocy, dorywczej pomocy Martina i McBee.

— Czy mają rację, Lije?

— Jak by tu powiedzieć... — bąknął Evans i ciągnął spokojnie, z namysłem, troskliwie ważąc słowa. — Im dłużej będzie kapitanem, tym wyżej urośnie. A znowu z drugiej strony ma swoje zalety. Stara się, robi, co może. To niełatwa pozycja, bo jednym pilno, inni woleliby marudzić; albo boją się Indian, albo żałują pochopnej decyzji, albo z natury są przekorni.

— Podejrzewam, Lije, że on nie utrzyma się do końca drogi.

— Pytanie, kto byłby lepszy?

— Ty.

— Ja? — Na szerokiej twarzy Evansa pojawił się uśmiech. — Oszalałaś?

— Zawsze jesteś taki sam. Nie potrafisz ocenić właściwie, na co się możesz zdobyć.

Nim zdążył odpowiedzieć, tabor ruszył z miejsca. Na czole kolumny zgrzytnęły osie, zakołysały się plandeki na furgonach.

— Lepiej ci teraz, Becky? — zapytał Evans.

— Czy ja wiem? Według ciebie oszalałam.

Cofnęła się, odwróciła twarzą w stronę wiatru, przemówiła łagodnie do wołów przy swoim furgonie. Dobrze zdawała sobie sprawę, że nie jest szalona. Wiedziała, na co stać jej męża gdy się go trochę zachęci. Obecnie jednak wolała nie myśleć o tym, lecz o nowym obozie. Cóż, zrobi pranie, upora się z kolacją, później odpocznie. Pozwoli sobie na nieróbstwo, będzie gawędzić z mężem i synem i w tym pozbawionym domów kraju dozna na krótko złudy zadomowienia w miejscu osłoniętym od przeklętego wiatru.

Skrzyżowała ramiona, wygodnie ułożyła na okazałym biuście. Przyszło jej na myśl, że niewiasta z takim biustem nie powinna harować w drodze do jakiegoś tam Oregonu.

Rozdział IX

— Jak staniemy nad Platte, będzie można powiedzieć, że to naprawdę początek — odezwał się Dick Summers.

— Aha — bąknął Evans i uprzytomnił sobie, że w oczach przewodnika widać już Platte, bezkresne przestrzenie, obraz rzeczy i spraw niezmiernie dalekich, lecz oglądanych niegdyś i zachowanych w pamięci.

Wytężył wzrok, przebiegł spojrzeniem odległy widnokrąg szukając wzgórz, które, jak słyszał, wytyczają granicę Nebraski.

— Nigdy nie byłem w takiej podróży — podjął. — Człowiek tłucze się blisko miesiąc, a tu mówią mu, że dopiero zrobi prawdziwy początek.

Wiedział jednak, co Dick miał na myśli. Chciał dać do zrozumienia, że po osiągnięciu Platte wędrowcy trafią do istotnie odmiennego kraju, naprawdę ruszą w kierunku dalekich gór i Oregonu. On sam odczuwał coś bardzo zbliżonego, chociaż nie był uprzednio na tym szlaku, nie widział nigdy Platte, tylko wyobrażał ją sobie na podstawie ludzkich opowieści. To rzeka płytka, szeroko rozlana, upstrzona piaszczystymi ławicami; drzewa nad nią nie rosną, pokrywają jedynie wyspy, a wody są mętne, bo muł dna depcą stada bizonów, większe, niż człowiek policzyć zdoła.

Wraz z Evansem i Dickiem Summerem jechali Patch, Daugherty i Martin. W piątkę stanowili straż przednią: wypatrywali Indian i znaczyli drogę dla podążającego za nimi taboru. Dick miał przy sobie dużą szmatę, z której raz po raz oddzierał strzęp i jak gdyby proporcem wytyczał szlak dla orientacji woźnicy czołowego furgonu, wskazując tym sposobem dogodne przejścia i brody.

— Platte to trochę więcej niż początek drogi dla kogoś, kto wyruszył z Massachusetts — zwrócił się Patch do sąsiada.

— Nigdy bym nie przypuszczał — odparł Lije — że oregońska gorączka aż tak się rozpęta.

Na twarzy Patcha pojawił się nieokreślony, pytający uśmiech.

— Wiesz, kto to jest Kelley[1] albo kapitan Wyeth[2]? Słyszałeś kiedy o nich?

— Nie słyszałem, przyznaję — odrzekł Lije.

— Znałem tego kapitana — podchwycił Summers. — Tam w górach nazwano jego imieniem jeden potok.

Evans liczył, że dowie się coś więcej, ale Dick dodał tylko:

— Zuch z niego i porządny człowiek.

Najprawdopodobniej wrócił myślami do dawno minionych czasów i jakichś swoich spotkań z tym kapitanem.

---

[1] Hall Jackson Kelley (1790-1874), podróżnik, propagator osadnictwa w Oregonie.

[2] Nathaniel Jarvis Wyeth (1802-1856), podobnie Jak Kelley pochodzący z Nowej Anglii, podróżnik, odkrywca i propagator kolonizacji w spornym z Anglikami dorzeczu Kolumbii.

— Kelly i Wyeth, szczególnie Kelley, rozdmuchali sprawę Oregonu bardziej niż ktokolwiek inny. Dlatego nas dotknęła oregońska gorączka wcześniej, niż do innych stanów dotarły wiadomości o niej — powiedział Patch i również umilkł.

Jego długa twarz o wydatnym, cienkim nosie przybrała zwykły wyraz czujności. Typowa gęba Jankesa z Nowej Anglii — pomyślał Evans — ale ogólnie biorąc nie najgorsza. Odwrócił się w siodle, spojrzał na Rocka, który zakończył pościg za jakimś stworzeniem i wyłoniwszy się z zarośli począł znów dreptać za końskimi kopytami. Porządny, stary kundel z tego Rocka, zmyślny i nie bez godności.

Daleko, znacznie niżej na kolejnym z trudnością pokonywanym zboczu — mniej więcej o milę — wił się i sunął ciężko wśród obłoków kurzu białoszary tabor wozów. Nadchodziło południe, koniec pierwszego w tym dniu etapu drogi. Za wozami szły luzem prowadzone konie, za końmi bydło w otoczeniu jeźdźców, którzy utrzymywali je w zwartym stadzie i popędzali. Obok furgonów, z podwietrznej, wolnej od pyłu strony, szły grupkami kobiety i dzieci. Prawdopodobnie śmiały się, gawędziły, szukały dzikich kwiatów rosnących skąpo na suchym grzbiecie między Little Blue i Platte. Znajdowały przeważnie kaktusy, osty, karłowatą szałwię, srebrzystą w gorącym świetle słońca, a z kwiatów chyba jedynie stokrotki — drobne krążki o żółtych serduszkach, krzewiące się nawet na kamieniu — no i niekiedy dzikie róże, które zaczynały właśnie kwitnąć.

W blasku wysoko stojącego słońca połyskiwały wśród tumanów pyłu jaskrawe barwy: białe plandeki na furgonach, czerwone i biało-czarne krowy, szafirowa suknia jakiejś kobiety. Evans dostrzegł mężczyznę maszerującego wzdłuż kolumny wozów. Pomyślał, że to prawdopodobnie Tadlock dodaje ducha podkomendnym, zaleca pośpiech, pilnuje porządku. Tak, Tadlock lubi pilnować porządku, a otwarcie mówiąc, lubi też podporządkowywać sobie innych, rozkazywać. Ale nietęgi z niego jeździec, więc do wysuniętej szpicy trafia nierównie rzadziej, niż kapitanowi przystoi. Ciekawa rzecz — medytował leniwie Evans — czy on myśli czasami o psach, które chciał pozabijać? Oto jeden idzie teraz jego tropem, kilka ugania się wokół kobiet i dzieci, robiąc często wypady. Psy pokonały drogę dłuższą niż konie i woły, a przecież żyją jakoś.

Evans wypatrzył dwa, jak mu się zdawało, swoje wozy i przy jednym z nich drobną figurkę — prawdopodobnie Rebekę. Brownie z pewnością powozi drugim furgonem siedząc na koźle. Nie bez tajonej dumy Lije pomyślał, że Becky szuka go wzrokiem tak samo jak on jej — niespokojna, czy wszystko w porządku.

Powędrował myślami do syna. Brownie nałyka się dziś mniej kurzu, gdyż Mack namówił jako Shieldsa na pomoc i tego dnia Shields uwija się przy krowach, w tyle karawany.

Mack nie zaprzątał uwagi Evansa, który myślał tylko czasami o popłochu bydła i zastrzelonym Indianinie. Niewiele wiedział o tym wydarzeniu, jednakże sądził, że było to zbędne okrucieństwo, chociaż ci i owi śmieli się twierdząc, że Kaw dostał ataku padaczki. W oczach takich ludzi Indianin nie różni się od niemego bydlęcia. Ale Mack to niezły człowiek, tylko trochę dziwny.

Lije odwrócił się w siodle.

— Tadlock uważa, że nie spisujemy się najlepiej — powiedział.

— To facet szpakami karmiony — rzucił Patch takim tonem, jak gdyby jego głęboko przemyślane zdanie było nie do obalenia.

— Porządny chłop. Nic mu zarzucić nie można — obruszył się Martin, który razem z Tadlockiem przywędrował z Illinois.

Teraz patrzył na Patcha tępym wzrokiem. Miał twarz, która zdawała się wiedzieć, że nie otrzymała najlepszej cząstki wówczas, gdy twarze rozdawano. Zawsze chodził i siedział na koniu skulony, niby w mroźny dzień.

Patch nic nie odpowiedział. Nie szukał widać zwady, chociaż jak sądził Evans, łatwo by sobie poradził w razie potrzeby.

— Może to i dobrze mieć kogoś, kto nudzi wciąż i popędza — zaczął znów Lije.

— Właśnie! — podchwycił Martin. — Jak sam Tadlock mówi, ktoś musi wziąć na siebie odpowiedzialność.

Dick Summers uśmiechnął się tak, że jego słowa nie sprawiały wrażenia złośliwych, chociaż powiedział:

— Ale nie musi brać jej niby Bóg Ojciec — z własnego powołania. Prawda, Daugherty?

Daugherty nie uczestniczył dotąd w rozmowie. Z natury był małomówny, chociaż irlandzkie pochodzenie miał jasno wypisane na twarzy. Błękitnooki, barczysty, o jasnej cerze milczał zazwyczaj i pracował. Jego policzki nabierały opalenizny od słońca, traciły ją niby wąż skórę i opalały się znowu. Zawsze nosił na grzbiecie starą czerwoną koszulę myśliwską i miał skałkową strzelbę, z którą prawdopodobnie jego dziadzio polował jako wyrostek w zachodniej Wirginii.

— Od dawna przestałem wierzyć — zabrał znów głos Dick — że to co pędzi i nudzi, czyści lub mdli, dobrze robi duszy czy ciału.

— Lepiej niech tego nie słyszy brat Weatherby — uśmiechnął się Evans.

— A wyleczyła mnie ze złudzeń indiańska mikstura — ciągnął przewodnik gawędziarskim tonem.

— Indiańska mikstura? — zainteresował się Patch.

— Aha. Warzy się ją z korzeni, a smakuje tak, że zaparłaby dech nawet wieprzowi. Matka ściskała mnie za nos, a kiedy otworzyłem usta, żeby chwycić powietrze, wlewała niezłą porcję, cały blaszany kubek. Była święcie przekonana, że takie piekielne paskudztwo musi skutecznie leczyć.

— A leczyło? — zapytał znów Patch.

— Jak doktorzy. Wyobrażają sobie, że im mniej w człowieku życia, tym mniej choroby, tym łatwiej wykaraskać się z biedy.

— Masz na myśli takich, co krew puszczają?

— Takich i innych. Wart jeden drugiego.

Patch uśmiechnął się, jak gdyby podejrzewał, że stary wyga nie mówi serio.

— A indiańska mikstura jest skuteczna?

— Aha. Nawet bardziej niż skuteczna. Po jej przyjęciu trzeba tylko patrzyć, gdzie są najbliższe krzaki.

— Tak chyba być powinno, no nie?

— Na mój gust — nie. Raz połknąłem monetę, a że z pieniędzmi krucho było w domu, matka nakopała korzeni jakich trzeba, wygotowała i uraczyła mnie naparem. I wiesz co? Moneta wyszła taka chora, że nie można jej było wydać.

— Jak to? — zdziwił się Patch.

— Sklepikarz powiedział, że jest fałszywa. Głucho dźwięczała, jakby była pusta w środku. Wiedziałem, że tak będzie. Indiańska mikstura potrafi wypruć flaki ze wszystkiego.

Daugherty roześmiał się nareszcie, a Patch zmierzył przewodnika takim spojrzeniem, jak gdyby nie spotykał w życiu podobnych ludzi.

— Niby powiadasz, że metody Tadlocka to jak indiańska mikstura?

— Nic nie powiadam. Po prostu rozmowa przypomniała mi tamto paskudztwo.

— Bez Tadlocka mielibyśmy niejeden trudny orzech do zgryzienia — wtrącił Evans.

Nie zamierzał przeciąć rozmowy, lecz stało się to jakoś samo przez się. Nikt nie napomknął nawet o groźbie Indian i że lepiej zawrócić albo poczekać na następny tabor. Na każdym biwaku byli tacy, co by robili wszystko, tylko nie jechali dalej, tak jak to zostało postanowione.

Cała piątka posuwała się w milczeniu. Pod jasnym niebem słychać było tylko cichy tupot końskich kopyt Od czasu do czasu skrzypnęło siodło.

Dick wybrał miejsce na południowy postój. Miał to być suchy biwak, na dziale wodnym, więc zapas wody wieziono w napełnionych z rana baryłkach. Na ogół sądzono, że obszar pomiędzy Little Blue a Platte jest kompletnie bezwodny. Jednakże Dick wiedział o źródle położonym na uboczu, mniej więcej dwie mile od szlaku, tam też poprowadził karawanę na poprzedni nocleg. Evansowi jeszcze raz przyszło na myśl, że Dick Summers to naprawdę wielkie szczęście. Bez niego trzeba by podróżować sucho całe dwadzieścia pięć mil.

Wozy zajeżdżały kolejno i, jak zwykle w południe, formowały kolumnę po cztery jeden obok drugiego. Woły wyprzęgnięte z łańcuchów pozostały w jarzmach. Kobiety pracowicie zajęły się prowiantem.

Rebeka sprawiała wrażenie przemęczonej; kiedy więc sprzątnęła naczynia po obiedzie, mąż zaproponował:

— Może byś tak odpoczęła do wieczora, co Becky? Ja poprowadzę sprzężaj.

— Jedź naprzód, Lije — odparła. — Chcesz przecież jak najwcześniej zobaczyć Platte, a Brownie nie użera się dziś z krowami.

Evans nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko do niej zdziwiony, że i tym razem przejrzała jego myśli. Przecież słowem nie pisnął, że pilno mu zobaczyć rzekę.

Wszyscy jedli szybko, rozmawiając niewiele, przeważnie o Platte. Później odezwał się dźwięk rogu, uprzątnięto biwak, tabor jął sposobić się do drogi. Tego dnia nikt nie był senny ze zmęczenia i upału, jak zazwyczaj w poobiedniej porze. Można by rzec raczej, że panowało ogólne podniecenie.

Nim furgony ruszyły, Lije dosiadł konia i pokłusował ku czołu kolumny, aby dogonić Dicka, Patcha i resztę szpicy. Rock — ociężały, lecz jak zawsze wierny — dźwignął się i poczłapał śladem pana. Jadąc wzdłuż taboru Evans spostrzegł brata Weatherby przemawiającego z zapałem do dwu niewiast. Pomyślał, że nawet droga do Platte nie zdołała sprowadzić kaznodziei z drogi zbawienia. Tadlock stał obok swojego furgonu. W ręku trzymał bykowiec — jak gdyby był gotów podnieść każdego opieszałego lub lenia.

Przed szpicą leżała rozległa równina, na której wzrok nie miał się o co zaczepić. Czasami tylko pojawiała się antylopa z czujnie, wysoko zadartą głową. Nagle zrywała się do biegu i umykając migała białym zadem, aby po chwili przystanąć znów, odwrócić się, bacznie popatrzyć na jeźdźców. Patch palił się do strzelby, lecz Dick powiedział, że nad rzeką będzie moc dzikich kóz, nie warto więc wieźć byle czego taki szmat drogi.

Jechali prawie nie rozmawiając. Było ich teraz czterech, bo Daugherty został przy furgonach. Niebawem tępy koń Martina począł się ociągać i tętent jego kopyt słychać było tylko wtedy, gdy Martin dawał mu ostrogę i na krótko doganiał czołową trójkę.

Oczy Summersa nie próżnowały ani przez moment. Strzelały spojrzeniami w lewo i na prawo, w przód i do tyłu i, jak sądził Evans, mało co mogło ujść ich uwadze.

Gdy przecinali szlak wiodący ku południowi i północy, Dick zerknął na niego przelotnie, lecz Lije nie miał wątpliwości, że krótki rzut oka wyjaśnił staremu wydze, kiedy ostatni raz tamtędy podróżowano.

— Droga Pawnisów do Arkanzasu — rzucił krótko Dick.

— Nie widzieliśmy jeszcze ani jednego Pawnisa.

— Nic dziwnego. Są teraz dalej na zachód, w kraju bizonów.

Słońce obniżało się i obniżało, by wreszcie zajrzeć pod rondo kapelusza, promieniem musnąć twarz Evansa. Pod wieczór było mniej skwarne, przyjemnie głaskało skórę. Lije zaczynał drzemać, pochylać się w siodle. Dickowi pozostawił całą troskę o bezpieczeństwo karawany, sam zaś bawił się leniwie myślami o rozmaitych sprawach bez znaczenia.

Obudził go Dick, który stanął w strzemionach mówiąc:

— No, to zdaje się już brzeg Platte.

Evans zobaczył jak gdyby łańcuch wzgórz wysokich i zębatych, wyraźnie rysujący się błękitem na północno-zachodnim widnokręgu.

— Góry! — zawołał Patch.

— Nie, wydmy piaszczyste o wiele niższe, niż się stąd wydaje.

Jak się okazało, Dick miał słuszność. Kiedy szpica podjeżdżała bliżej, omijając nieprzeliczone nory borsuków, wzgórza kurczyły się stopniowo. W istocie były to piaszczyste fałdy, wysokie od czterdziestu do sześćdziesięciu stóp. Usypał je wiatr, a trzymały jakoś kaktusy, osty i delikatna trawa, którą koń Evansa począł szczypać łakomie. Tu i ówdzie miałka sól znaczyła teren białymi plamami.

Evans słyszał o Platte, wyobrażał ją sobie, oczekiwał więc, że zobaczy coś znanego. Kiedy jednak zatrzymał konia na grzbiecie pagórka, nie był w stanie uwierzyć własnym oczom. Nie podejrzewał nigdy, że równina może być tak płaska, odległości tak niezmierne, świat pusty, a niebo podobnie bezkresne. Patrzył na Rocka, który zapędził borsuka do nory, na umykające stado antylop, leniwą rzekę, kępy drzew porastające wyspy, na niebywale rozległe, szare, piaszczyste łachy i nie potrafił znaleźć na to wszystko stosownej nazwy. Miał wrażenie, że dotąd nie oglądał świata, nie znał prawdziwej przestrzeni, bo żył pomiędzy drzewami, w krainie o rozmiarach właściwych dla lalek, gdzie największą odległość stanowiły trzy wołania, a niebo było nie dalej niż sięgnie karabinowa kula.

— Wielki Boże! Dick! Na Boga! — powiedział Evans, a Summers skinął tylko głową, dając do zrozumienia, że wie, co się z nim dzieje, jakby wszelkie słowa gwałciły tutejsze niepisane prawa.

Tymczasem Martin nadjeżdżał doganiając czołową trójkę. Lije tkwił nieruchomo na grzbiecie konia. Z jednej strony miał Dicka, z drugiej Patcha. Przepełniały go dziwne uczucia — takie, od których dreszcz przebiega i występuje gęsia skórka.

— W głowie mi nie postało, że tutaj tak wygląda — powiedział na głos, lecz do siebie.

Był poniżony i wyniesiony zarazem, i dumny w sposób niemożliwy do wyrażenia słowami, że mimo wszystko ruszył do Oregonu. Nie będzie łatwo, nie będzie fajno, jak mówią niektórzy — ale będzie wspaniale... Tak! Wspaniale. Lepszego określenia znaleźć niepodobna.

Odczuwał własną wspaniałość spływającą nań z powszechnej wspaniałości, nieco może wstydliwą z racji Tadlocka i jego władczych tonów, lecz bądź co bądź wspaniałość.

Dick cmoknął na swojego wierzchowca, po drodze zawiesił proporzec u wlotu do piaszczystej rozpadliny i we czwórkę zjechali stromym zboczem, by przez nadbrzeżną płaszczyznę dostać się do rzeki.

Rozdział X

Higgins nie mógł powstrzymać uśmiechu. Ludzie bawili go czasami — szczególnie mężczyźni, jeśli w grę wchodziły sprawy kobiet. Na przykład tu nad rzeką Platte, kiedy ustawiono zagrodę z furgonów i mężczyźni odeszli na bok, aby dyskretnie omówić sprawę tego, co Byrd nazywał obornikiem — czyli odchodów albo jeszcze prościej łajna bizonów. Niektórym, nawet tym, co posługiwali się najbardziej potoczną nazwą, wyraz ów zdawał się niestosowny, ponieważ panie, chociaż nieobecne, miały swoje miejsce w dyskusji. Podobnie pewni ludzie starają się wyrażać wytwornie w obecności zwłok.

Powstało pytanie, czy wobec nieuniknionego braku drewna wypada, by płeć piękna gotowała przy ogniskach z bizoniego nawozu. Prostaczek pokroju Higa sądziłby zapewne, że głos rozstrzygający winny mieć kobiety. Ale skąd znowu! Mężowie powezmą decyzję, a następnie godnie i rozumnie obwieszczą jej treść żonom. Jak to uczynią? Hig miał wrażenie, że słyszy Byrda informującego swoją panią: „Żono, z przyczyny niedoboru drewna jesteśmy zmuszeni do posługiwania się nieczystościami bizonów”.

Było to zgromadzenie, które nie zostało zwołane formalnie, lecz wyniknęło samo z siebie. Jego uczestnicy przeważnie stali. Dick Summers trochę na uboczu podpierał się strzelbą, słuchał i patrzył — to na obradujących, to w kierunku słońca zachodzącego nad milionem mil prerii. Higgins był ciekaw, co może się dziać w głowie przewodnika. Zapewne myśli, że i tutaj działają pewne prawa — na przykład, że trzeba się obywać tym, co jest — w danym razie łajnem bizonów.

— Ogólnie biorąc, mnie się to wcale nie podoba — mówił właśnie Byrd.

Hig znał go bardzo mało i widywał rzadko — tylko wtedy gdy okrągławy, jasnowłosy jegomość o wargach spękanych boleśnie od wiatru siadywał godnie przy obozowym ognisku albo w drodze popędzał swój zaprzęg jak ktoś nie przywykły do zwierząt. Byrd był średniego wzrostu, pochodził skądś ze Wschodu, trzymał się prosto, damy traktował z układną powagą i zawsze mówił „amen” po modłach kaznodziei. Cóż dziwnego — pomyślał Higgins — że w kwestii łajna ten ma do powiedzenia więcej niż w jakiej bądź innej.

— Nikomu się nie podoba — podchwycił Tadlock tonem jak zazwyczaj nie podlegającym dyskusji. — Masz pewne informacje? — zwrócił się do Summersa.

Przewodnik skinął głową. Nadal błądził wzrokiem po ciągnącym się wokół milionie mil równiny. Zdaniem Higa był trochę zły i trochę rozbawiony tym, co bez wątpienia poczytywał za pustą gadaninę.

Higgins podążył za wzrokiem Tadlocka w dół rzeki. Zobaczył skąpe zarośla nadbrzeżne, coś niecoś pniaków, trzy uschnięte drzewa, ponadto zaś Bottera, młodego Evansa i kilku innych chłopców, którzy zawzięcie

wymachiwali siekierami starając się o opał do rozniecenia ognisk. Tadlock przeniósł wzrok ku górnemu biegowi, gdzie, nie licząc jednej zalesionej wyspy, Platte płynęła sennie pośród olbrzymich, zupełnie nagich fałd piasku.

— Lasów tam nie ma — powiedział Tadlock tonem stwierdzenia, nie pytania. — Wcale nie ma.

— Są, ale mało — poprawił Summers.

— No a bizonie odchody?

— Nieprzebrany zapas. Stanęliśmy u granic królestwa bizonów.

— A może i tego braknie? Może wyczerpał się zapas?

— Nie ma obawy. Łajno szybko rośnie.

Zdaniem Higa odpowiedź była bystra, lecz Tadlock nie zareagował uśmiechem.

— Nic nie rozumiem — podjął kapitan. — Czemu na wyspach są drzewa?

Fairman — sympatyczny chłop i przyzwoity pracodawca — schylił się, podniósł szczyptę ziemi, roztarł ją między kciukiem a palcem wskazującym.

— Na czymś takim nie wyrośnie nic, oprócz trawy i kaktusów — powiedział. — Najszczerszy piasek.

— Widocznie tamta wyspa ma żyźniejszą glebę — odparł Tadlock, jak gdyby dawał wyraz głębokiej myśli.

Zgromadzeni z uznaniem przytaknęli głowami, jednakże Dick powiedział:

— Indianie palą prerie. Ogień nie sięga wysp.

Tadlock wzruszył ramionami. Zdawać się mogło, że zdania przewodnika nie potraktował poważnie.

— Tak czy inaczej, nie w tym sedno sprawy — zaczął znowu. — Wynikła kwestia, czy w czasie podróży znajdziemy dosyć drewna opałowego, faszyny, chrustu i takich rzeczy.

— Bardzo to nas opóźni — odparł Summers trafiając kapitana w czułe miejsce.

Tadlock zasępił się, spochmurniał.

— A czas nagli — dodał.

— Więc musimy korzystać z tego, co jest pod ręką — podchwycił Lije Evans.

Stał tuż obok Tadlocka, więc Hig pomyślał, że prawdę rzekłszy, obydwaj są jednakowej miary; tyle że kapitan poszedł w szerokość, a ten drugi w długość.

— Na mój rozum, powinniśmy rozważyć kwestię szczegółowo i wszechstronnie — zabrał głos Byrd, uroczysty niby stara sowa. — Trudno o coś gorszego niż pochopna decyzja. Co masz do powiedzenia, bracie Weatherby?

Kaznodzieja, ubrany w spłowiałą niebieską koszulę i cokolwiek dziurawe spodenki po kolana, stał pośród mężczyzn. Nie udzielił bezpośredniej odpowiedzi, lecz uniósł wzrok i nad głowami spojrzał w niebo, jak gdyby przeprowadzał pogawędkę z Bogiem.

— Nie chciałbym sam zabierać dzisiaj głosu — ciągnął Byrd oblizując spękane wargi — lecz muszę dodać, że projekt wydaje mi się niestosowny.

Nie uchodzi prosić pań, by robiły coś tak dla nich niewłaściwego, gdyby można tego uniknąć w jakikolwiek sposób.

— Zawracanie głowy! — obruszył się Evans i nim zdążył powiedzieć swoje, Byrd spojrzał nań zaskoczony, że ktoś może być odmiennego niż on zdania. — Moja żona nie myśli wcale o tym, czego używa do rozpalania ognia.

— Mimo wszystko jednak — podjął Byrd — to pomysł odrażający.

Higgins usiadł wygodnie na ziemi. Zdumiewał go fakt, że Byrd oraz garstka jego stronników hołdują cudacznemu poglądowi, że kobiety nie są istotami z krwi i ciała, posiadającymi żołądek i trzewia, lecz górują nad wszelkim innym stworzeniem, nie uchodzi więc, by zdawały sobie sprawę, iż zwierzęta miewają wypróżnienie. Higgins nie uważał się za znawcę kobiet, lecz był niegdyś kotlarzem i druciarzem, więc przy pracy miał możność poznać je trochę i z tej racji nie wątpił, że ich zdaniem cała historia z paliwem zakrawa na niedorzeczną i czczą gadaninę. Kobiety — zapewne nawet pani Byrd — są nierównie mniej wrażliwe niż mężczyźni to sobie wyobrażają.

McBee milczał dotychczas, co w pewnym stopniu było dlań niezwyczajne, lecz w tym punkcie dysputy splunął i pierwszy wymówił głośno straszliwy wyraz.

— Nikomu nie zaszkodzi trochę gówna, i to całkiem suchego. Szkoda gadania. Niech kobiety gotują przy ogniu z gówna bizonów.

Patch stanął po stronie Byrda. Jego surowa twarz o ostrych rysach przybrała wyraz niesmaku.

— Właśnie z racji takich wyrażeń i takich zapatrywań cała sprawa robi odrażające wrażenie.

McBee zerknął na Tadlocka i nie otrzymawszy żadnego znaku najeżył się jak zły pies.

— Myślę, że twoja żona zna to na tyle przynajmniej, żeby nie wdepnąć — rzucił gniewnie.

— Naturalnie. Ale jako prawdziwa dama — nie pod tą nazwą.

McBee szykował się do odpowiedzi, lecz Tadlock warknął nagle:

— Stul pysk! Wtedy McBee zawahał się, splunął powtórnie i bąknął:

— Tylko tyle miałem do powiedzenia.

— Tak czy inaczej, możemy to nazywać paliwem — podjął kapitan, jak gdyby chciał przywołać do porządku McBee i jednocześnie uspokoić innych.

Higgins nie zabrałby głosu w dyskusji, gdyby nie spostrzegł, że Byrd z zapałem przytaknął ruchem głowy.

— Nie lepiej nazywać to leguminą albo ciastem? — zapytał.

— Niby dlaczego?

— Jeżeli dzięki nazwie łajno przestanie być łajnem, to deserowa nazwa może je osłodzić.

Summers i Evans wymienili znaczące uśmiechy, natomiast Tadlock zastanowił się na moment i burknął szorstko:

— Nie pora teraz na żarty.

Z góry spojrzał na Higginsa, jak gdyby uważał, że pozycja siedząca dowodzi lekceważeniem sprawy serio.

— Nie bardzo się przejmujesz, co? — dodał.

— Jak mam coś do roboty, pracuję ciężko, ale jak nie mam, wolę się nie przejmować.

— Ty nie musisz się martwić o żonę.

— Kiedy ostatni raz byłem żonaty, o siebie się musiałem martwić.

Brat Weatherby na tyle już oddalił się od nieba, że zmierzył McBee surowym wzrokiem, nie najsurowszym jednak, bo, jak zauważył Hig, kaznodzieję szczególnie gorszyły przekleństwa.

— Co ty powiesz, Curtis? — zapytał kapitan.

— Ja? Nic — odparł Mack zapatrzony w kierunku rzeki, nad którą kręciły się kobiety.

— A zatem uwzględnijmy wszelkie ewentualności — podjął Tadlock tonem, jakim tłumaczy się coś dzieciom, i jął wyliczać na palcach kolejne punkty. — Po pierwsze: możemy zabiegać w drodze o zebranie wystarczającej ilości drewna. Po drugie: możemy ugotować dzisiaj dosyć, by przez parę najbliższych dni obywać się bez ognisk. Po trzecie...

— My, mężczyźni, możemy gotować — odpowiedział Evans. — Po co dalsze gadanie?

— Żeby dojść do ogólnego porozumienia.

— Ale ja nie chcę gotować — rzucił znów Lije.

Mack odszedł nagle, bez słowa, niby ktoś śmiertelnie znudzony. Ale powód był inny, bo niebawem Hig zobaczył go opodal zagrody z furgonów, zajętego żywą, wesołą rozmową z Mercy McBee.

Tymczasem Evans próbował pozyskać zebranych.

— No a wy? — podjął. — Macie ochotę gotować?

Byrd i Patch niechętnie odnieśli się do konieczności stanowczego wyboru — zwłaszcza Byrd. Spuścili wzrok, zaczęli przestępować z nogi na nogę, kręcić głowami. Higgins był zdania, że Patch góruje rozumem nad Byrdem, chociaż w tej chwili stoją obydwaj po jednej stronie. Naturalnie i on posiada pewne właściwe Jankesom cechy, ale ta twarz coś wyraża. Tymczasem o Byrdzie wiadomo tylko, że jest obłudnie skromny, nie potrafi obchodzić się ze zwierzętami, ma liczne potomstwo i wargi popękane od wiatru.

— Bóg chce tego, czego chce — przemówił brat Weatherby powróciwszy na ziemię.

— To znaczy? — zapytał Tadlock.

— Skoro nie dał nam opału innego niż nawóz bizona, chce, abyśmy gotowali na ogniskach roznieconych z tego.

— My?

— Ci pośród nas, których obowiązek stanowi regularne przyrządzanie strawy.

— Mądre słowa — powiedział McBee zapominając, że został skarcony przez kapitana.

— Co w oczach Boga nie jest odrażające, nie może być odrażające i w naszych.

Wszyscy jęli przytakiwać gorąco — nawet Byrd, który poczuł się pewniej usłyszawszy, że sam Bóg wypowiedział się w dyspucie.

Po kaznodziei zabrał głos Holdridge, milczący dotąd na skraju gromadki. Hig sądził, że to człowiek nieśmiały, co okazało się omyłką, gdyż Holdridge zwrócił w stronę kapitana twarz prawie czarną od słonecznego skwaru oraz dymu ognisk i zapytał rzeczowo.

— Kto będzie zbierał ten nawóz?

— Kto? Dzieci, młodzież — odparł Tadlock.

Oczywiście — pomyślał Higgins. — Dzieci i niedorostki zajmą się zbieraniem opału, kobiety będą gotować, mężczyźni udawać, że nic nie widzą. Całe gadanie to tylko ukłon w stronę dobrych manier. Rezultat wszyscy znali od początku.

W powrotnej drodze do furgonów usłyszał, jak Evans rzucił pod adresem Summersa:

— I co?

— Nic. Stanowczo zbyt wiele przesady z tym krowim gównem — odparł przewodnik.

Rozdział XI

Nazywa się Brownie Evans, ma siedemnaście lat i... ciężkie nogi bydła podnoszą kurz, który osiada na skórze i nos zapełnia, a przez tę warstwę promienie słońca prażą niby bliski płomień i chociaż lato dopiero nadciąga, opalają na brąz ciemny jak barwa siodła na końskim grzbiecie. Pył zaflegmia gardło, trzeszczy między zębami, wilgotnieje w uszach i miękko ustępuje pod palcem. Ale Brownie Evans musi pilnować stada, jechać dalej, wciąż dalej, zapatrzony w fale skwaru drgające na linii bezchmurnego widnokręgu.

Nazywa się Brownie Evans, ma siedemnaście lat, odbywa wielką podróż do Oregonu i... dłoń, która trzyma wodze, należy do niego, jest posłusznym woli narzędziem z kości, stawów, połamanych paznokci. Do niego też należą stopy w starych chodakach, ramiona pod koszulą, nogi okryte porciętami z samodziału. I Brownie Evans żyje w swoim wnętrzu, pod żebrami i kośćmi czaszki, posiada własne myśli i uczucia, może takie, jakich nikt uprzednio nie posiadał, może trochę szaleńcze... Czasami deszcz pada z nieba szarego jak popiół, zrywa się wiatr, napędza stada chmur, a skóra kuli się pod odzieżą tak samo, jak kuli się i zbija smutna, wylękniona trzoda. Naprzód! Uwaga! Niech diabli wezmą pędzone luzem konie!

Dzień wlecze się i będzie wlókł się niezmiernie długo — czas wstawania, postój południowy i rozbijanie obozu na noc, gdy myśl błądzi swobodnie, oczy spoglądają w lewo i na prawo, szukając Indian, bawołów, rozmaitych mniejszych stworzeń. Niedawno karawana napotkała pieski stepowe, widuje się też pustynne sowy, tkwiące nad norami, a raz ktoś zastrzelił dziwne zwierzątko — ludzie mówili, że to porkupina, Dick Summers twierdził, że jeżozwierz, a dzieci dokładnie oskubały je z kolców.

W przodzie widać krętą kolumnę taboru. Mężczyźni podążają przy zaprzęgach, kobiety i dzieci idą opodal korzystając z pięknej pogody; chwieją się brzuchate pokrycia furgonów bardziej już popielate niż białe. Na czele pochodu ukazują się niekiedy jeźdźcy ze szpicy: Summers, ojciec Patch, Fairman, Tadlock i inni na zmianę; lufa tej lub innej strzelby chwyci czasami promień słońca i rzuci odblask nad rozległą płaszczyzną, ponad taborem, aż do miejsca, gdzie Brownie Evans pogania bydło. Krótko przed południem jeźdźcy zeskakują z koni, na brzegu rzeki zaczynają kopać doły, by zaczerpnąć wody mniej zamulonej niż w leniwym nurcie. Według słów Higa całe zmartwienie z Platte polega na tym, że płynie dnem do góry.

Higgins, Martin, Botter, pan McBee — w pełnym brzmieniu Hank McBee — jadą często wśród eskorty stada; inni zmieniają się raz po raz w ciągu dnia. Hig mamrocze do siebie ustami, które ledwie mieszczą się między nosem a podbródkiem, jeżeli zaś wymyśli coś wesołego, popędza konie, mówi swoje i uśmiecha się pogodnie, a jego usta wyglądają wtedy, niby cięcie nożem w pomarszczonej twarzy. Martin siedzi w siodle zgarbiony,

rzadko się odzywa albo uśmiecha i minę ma zazwyczaj taką, jak gdyby życie uważał za ponurą sprawę i nie znajdował na to żadnej rady. Botter ma na ogół opinię spokojnego uparciucha, mówi niewiele i tylko o koniach, mułach lub bydle rogatym.

Takie mają nazwiska, są pod nimi znani, ale znajomość nazwiska nie równa się bynajmniej znajomości człowieka. Człowiek spoczywa głęboko pod nazwiskiem, za osłoną swoich słów i uczynków nie inaczej niż chłopiec, który nosi miano Brownie Evans, mówi i porusza się jak każdy inny, mimo to jednak pędzi samotne, tajemne życie. Ludzie zapewne mówią, że to zanadto wyrośnięty, grubokościsty drągal albo że jest poczciwym, pełnym dobrych chęci chłopcem, tylko bardzo nieśmiałym, lecz mimo wszystko prawdy o nim nie znają, a on nie chce, by poznali, bo miałby wtedy wrażenie, że stoi nagi i bardzo różni się od innych ludzi, gdyż jest dziwaczny jakiś i nieprzyzwoity. Ciekawa rzecz, czy wszyscy inni wyglądają od podszewki tak samo jak Brownie Evans, czy też, co chyba bardziej prawdopodobne, są solidniejsi, uczciwsi, nie ulegają równie szalonym myślom.

On za nic nie wyznałby nikomu, jak to z nim bywa. Nie zdradziłby nawet, jakie czasami przepełniają go uczucia, kiedy stanie na wzgórzu, rozejrzy się po szerokim świecie; nie powiedziałby, że jego serce wzbiera od woni dymu obozowych ognisk, od żałosnego pokrzykiwania dzikich gęsi, co gnieżdżą się wzdłuż Platte. W podobnych chwilach wie, że czeka go wiele dobrych, pięknych rzeczy, którym niepodobna dać nazwy ni oprawy z konkretnych myśli. Ale Brownie Evans niejedno rozumie popędzając trzodę pod słonecznym skwarem albo gwałtownym wichrem, albo ulewnym deszczem, kiedy droga zamienia się w błoto, w którym mlaskają kopyta i racice zwierząt; niejedno rozumie, kiedy prowadzi sprzężaj, pomaga przy zdejmowaniu wołom jarzma, idzie po wodę, smaruje osie furgonu czerpiąc smołę z wiaderka dyndającego pod rozworą. Myślenie o przyszłych dobrych rzeczach to jego tajemnica, która niewątpliwie wywołałaby ironiczne uśmiechy, gdyby się komuś zwierzył, niekiedy jednak, gdy budzi go wycie wilków lub poświstywanie wiatru, czuje swoją dobrą przyszłość tak blisko, że mógłby ją objąć, przytulić.

Chociażby jutro karawanę mogą zaskoczyć Indianie — Pawnisi o strzyżonych w czub włosach, albo Czejenni, Arapaho, Siuksowie — horda malowanych czerwono i czarno Indian na ścieżkach wojennych. Jak strumień wyłaniają się w prerii, ściągają wodze, przez moment spoglądają na furgony, które zajeżdżają pośpiesznie, by stanąć kręgiem, na wystraszone, zapłakane kobiety, mężczyzn opatrujących broń. Później ruszają do szarży; pióropusze kołyszą się w pędzie, okrzyk wojenny dźwięczy groźnie, chrapliwie.

— Spokojnie — mówi Dick Summers.

Leży pod furgonem, karabin wspiera o szprychę koła. Brownie Evans leży obok niego. Na obwodzie kręgu inni mężczyźni zajmują posterunki. Za ich plecami blade, przerażone kobiety i dzieci zerkają trwożnie zza zwalonych z wozów skrzyń i rozmaitych rupieci. Dick patrzy wzdłuż lufy szarymi, czujnymi oczyma.

— Tak nie poradzą — mówi. — Spróbują nas oskrzydlić.

— Ma się rozumieć — zgadza się Brownie, a stary wyga uśmiecha się z uznaniem, bo chłopak ma również spokój w oczach i strzelbę trzyma pewną dłonią.

Indianie robią wrażenie nawały lśniących tarcz, wrzeszczących ust, donośnych w cwale kopyt końskich. Nagle odzywają się dwa wystrzały, strącają z koni dwu Indian, reszta załamuje się, rozpierzcha niby klucz spłoszonego ptactwa. Formują przestronniejszy krąg wokół zagrody z furgonów. Tu i ówdzie pojawia się pióropusz, ręka lub noga albo napięty łuk. Wnet zaczynają świstać strzały.

— Strzelba! — Brownie rzuca za siebie broń bez ładunku; jego głos brzmi sucho, ostro niczym wystrzał.

— Proszę.

Ktoś wsuwa nabitą broń do wyciągniętej w tył ręki, on zaś zerka za siebie i widzi Mercy McBee zajętą karabinem,. z którego co dał ognia.

— Padnij! Na ziemię, Mercy! — woła, ale dziewczyna dalej ładuje karabin, nie zważa na indiańskie strzały, co wokół niej padają gęsto jak grad.

— Dwaj — liczy Dick.

— Moi też dwaj. Strzelba!

— Trzej.

— Trzej. Strzelba!

Indianie nie wytrzymują. Zapewne nie widzieli nigdy tak celnego ognia. Cofają się z wyciem, by niebawem stopnieć w oddali. Dick Summers mówi:

— Do licha, Brownie! Wyborny z ciebie strzelec.

I tak Brownie upodabnia się coraz bardziej do Dicka Summersa. Równie swobodnie siedzi w siodle, spogląda na świat równie bystrym okiem, uśmiecha się tak samo, trochę smutno, w sposób nie zdradzający wcale, co może myśleć. Stopniowo staje się Dickiem Summersem, tyle że jest młodszy. Mężczyźni i kobiety gapią się nań, kiedy przejeżdża opodal, słuchają pilnie jego słów, gdy opowiada wsparty niedbale na strzelbie. No i szepcą między sobą, że to zuch chociaż tak niedawno był chłopcem, i że kubek w kubek wdał się w Dicka Summersa.

Innym razem może się pojawić stado bizonów, spłynąć brunatną plamą po zboczu na północnym brzegu rzeki. Mężczyźni spoglądają na zwierzynę gorejącym wzrokiem, zaczynają mierzyć proch, liczyć kule. Jednakże Dick Summers powiada:

— Lepiej mnie to zostawcie i młodemu Evansowi. Później nastrzelacie się do syta. Dzisiaj diabelnie potrzeba nam mięsa. Brownie! Weź łuk i strzały.

— Łuk i strzały? — dziwi się pan Tadlock, który o polowaniu na bizony nie ma pojęcia.

— Ma się rozumieć.

— Hm... Łuk i strzały!

— Właśnie! Łuk można napiąć szybciej, niż naładować broń palną.

— Jeden wystrzał i do widzenia — dodaje Brownie zwracając się do kapitana. — Zanim pan zdąży nabić broń po raz drugi, bizony będą daleko.

— Patrzcie ich... Łuk i strzały... — mamrocze nadal pan Tadlock, gdy Dick Summers i Brownie ruszają z miejsca wierzchowce.

Wpław przebywają Platte i pod wiatr zbliżają się do stada, nad którym ulatuje chmura pyłu podniesionego przez tysiące racic w biegu oraz

rozgrzebujące ziemię byki. Niżej, szeroko wzrok sięga, suną fala po fali garbate grzbiety. Rychło odwraca się z fal tych ostatnia; widać połyskujące oczy, widać opuszczone nisko łby o pękatych, krótkich rogach.

— Gotów jesteś? — pyta Dick.

Konie ruszają cwałem, łowcy milczą nadal. Ostatnia fala kołysze się, zatrzymuje, a po chwili widać, że to straż tylna niezmiernego nurtu, który odpływa szparko, niby wody po zerwaniu tamy. Stare byki patrzą na jeźdźców groźnie przekrwionymi oczyma, odwracają się, galopują przez moment i znowu stają, jak gdyby zamierzały skoczyć do ataku.

Brownie wydaje okrzyk, cudaczny i dziki niby wojenne wycie Indian. Dick wtóruje mu, bębni obcasami po końskich żebrach, jest coraz bliżej stada. Wreszcie rzuca się w wypatrzoną lukę i mknie dalej, ponieważ byki nie zdążyły nastawić rogów — trafiły w próżnię. Pył podnosi się gęstym tumanem, pochłania Dicka, przesłania stado z wyjątkiem podrygujących najbliżej garbatych grzbietów krów. Niby grom dudni w uszach łoskot racic.

Brownie opuszcza luźno wodze, sięga po strzałę, którą trzyma w zębach, kładzie ją na cięciwie. Naciąga łuk mierząc do tłustej krowy i krowa niebawem potyka się, zatacza i pada. Tak zabija pięć sztuk w czasie, gdy rozprasza się stado. Później ściąga wodze, rozgląda się dokoła, pośród obłoków kurzu wypatruje Dicka.

Dostrzega go wreszcie w pościgu za krową umykającą z dwiema innymi krowami, bykiem i cielęciem. Nagle koń ślizga się przednimi nogami, roluje, a Dick ciężko pada na ziemię. Leży, nie wstaje. Tymczasem byk robi obrót, z wściekłością rozgrzebuje grunt racicami, rusza do szarży.

Brownie nie ma czasu myśleć. Ściska boki konia piętami, zmusza go znów do cwału, sięga po strzałę, łuk napina mocno, siedząc pewnie w siodle mierzy prosto w serce bestii. Niewiele brakowało! Byk był bardzo blisko, prawie na Dicku, kiedy cięciwa zadźwięczała niby struna skrzypiec Higa.

O krok od leżącego człowieka pada groźny zwierz, krwawa piana ciecze mu z pyska. Dick nie jest ranny po upadku z konia, tylko oszołomiony, wyczerpany. Mówi:

— Odpowiedni dobór towarzysza to gwarancja bezpieczeństwa.

Wracają do obozu, gdzie mężczyźni i kobiety gapią się na nich szeroko otwartymi oczyma. Jedna para tych oczu należy do Mercy McBee, która trzyma się nieco na uboczu. Do niedawna tańczyli na biwaku — Mercy, Patch z żoną, Byrdowie, Mack, Botter — a Hig przygrywał na skrzypcach i wśród pustkowia muzyka rozbrzmiewała cichutko, lecz pięknie. Teraz stoją wszyscy, patrzą. Na widok nadjeżdżających łowców Mercy McBee puszcza rękę Macka. Na jej ustach pojawia się nikły uśmiech podziwu oraz dumy. Jednakże Brownie nie odpowiada uśmiechem. Mija dziewczynę z powagą, jaka przystoi mężczyźnie w podobnych warunkach. Jednakże podejrzewa, że Mercy McBee już odgadła, co dziać się zaczyna w jego sercu.

— Brownie! Trzeba iść po susz bizonów. No i pomóż trochę mamie. Zajmij się dojeniem.

— Nie zawracaj mu głowy dojeniem — powiedziała matka spoglądając gniewnie na ojca.

— Chodzi o to, Becky, żebyś się nie zapracowywała.

— Dojenie to nic. Najbardziej daje mi się we znaki trzęsionka na wybojach.

— Dobrze — powiedział Brownie kładąc obok furgonu siodło zdjęte z grzbietu starej Nellie.

Rock obwąchał przepocony czaprak i zadarł głowę, jak gdyby pytał: „no i co dalej”?

Wozy stanęły na noc kręgiem. Uwolnione z jarzma woły popędzono na pastwisko. Wokół furgonów krzątali się mężczyźni i kobiety. Wyładowywano skrzynie, sposobiono się do rozniecania ognisk, stawiania namiotów.

Evans zbliżył się do syna.

— Nie chcę cię wykorzystywać, Brownie — powiedział. — Ale widzisz, wszyscy mamy dość roboty.

— Przecież już nieraz doiłem.

— Głupstwo dojenie. Chodzi o zbieranie suszu.

— Powiedziałem już, tato, że pójdę.

— Przykro ci — ciągnął Evans — bo nie przywykłeś do czegoś takiego. Ale niedługo będzie ci wszystko jedno.

Ojciec położył wielką łapę na ramieniu chłopca. Była ciężka, masywna. Uśmiech na jego twarzy zdawał pytać: „Co myślisz rzeczywiście, Brownie?”

— Wcale mi nie przykro — odparł Brownie spoglądając nie na ojca, lecz na matkę dobywającą garnki ze skrzyni.

— Jeżeli wolisz, ja pójdę po susz. Mógłbyś tymczasem postawić namiot.

Brownie przecząco pokręcił głową. Nie miał innego wyjścia, musiał nazbierać łajna bizonów. Wstydził się trochę, ale zdradzenie tego uważałby za wstyd nierównie gorszy. Najlepiej wziąć linkę i poprowadzić klacz na pastwisko, a po drodze zebrać trochę bizonich placków. W takich warunkach mało kto będzie widział.

Nieprzyjemny jest wstyd i skrępowanie z jego racji, a w grę wchodzi przecież nie tylko kwestia łajna na opał. Naga równina nad Platte nie miała drzewa ni krzaka, za którym można by przykucnąć lub stanąć. A niepodobna budować wszędzie osłonę z gałęzi tak jak na punkcie zbornym ani oddalać się znacznie wobec nieustannej groźby Indian. Ludziska radzili sobie rozmaicie. Niektóre kobiety miały nocniki w furgonach. Inne nie miały, a po drodze czasem kogoś przypiliło. Niekiedy jeździec zeskakiwał z siodła i stojąc na uboczu, za osłoną konia, udawał, że przez moment odpoczywa albo rozgląda się po okolicy. Ale charakterystyczne pochylenie ramion oraz głowy zdradzało go niechybnie.

Kobiety miały nawet stały system. Rano, w południe i wieczorem wybierały się na przechadzkę, aby z dala od taboru przystanąć ciasną grupką. Stojące służyły wówczas za parawan, a mężczyźni udawali, że są tak zajęci majstrowaniem przy uprzęży lub wozach, że nic nie widzą.

Brownie sięgnął po linkę i odszedł wiodąc Nellie. Może — myślał — inni się tak nie wstydzą, i to nie tylko swoich spraw. Jego raziło, że kobiety potrafią załatwiać to grupami, że mężczyźni przystają za koniem, dzieci kucają gdzie i kiedy popadnie. Kiedy myślał o tym, opuszczało go poczucie dobra.

Puścił Nellie na paszę. Koniec długiej linki okręcił wokół przegubu ręki i, aby mieć swobodę ruchów, związał na supeł.

Odchody bizonów gęsto leżały dokoła i wysychając odstawały od zwiędłej trawy. Pod nimi roiło się robactwo — drobne czarne i szare żuczki, które utraciwszy dach nad głową umykały szukając drogi pomiędzy suchymi źdźbłami. Brownie chętnie popatrzyłby na nie, ale lękał się, że go ktoś zobaczy. Odpędzał nawet starego Rocka, który mógł go zdradzić, gdyż po usunięciu każdego placka nadbiegał i gapił się, ciekawy jak kura.

Gdzieniegdzie inni pracowali tak samo — przeważnie młodzież: mała Brewer o włosach barwy słomy i jej dwaj bracia, Joe Turley, Jeff Byrd, John Shields, Harry Gorham oraz kilkoro młodych Daughertych. Mężczyźni bez rodzin musieli radzić sobie sami — na przykład stary brat Weatherby, który powiada, że nie należy sarkać, lecz chwalić Boga, iż raczył dać bizonie placki w braku lepszego opału. Kaznodzieja zbierał susz powoli, z rozwagą i być może mamrotał przy sposobności pacierze.

Dokoła zalegała cisza. Brownie słyszał tylko nieokreślony szept bezkresnej przestrzeni, odległy pomruk biwaku i raz po raz zgrzyt przy odrywaniu placków od murawy. Słońce ukryło się w połowie za widnokręgiem i wyglądało tak, jak gdyby podglądało, co się wyprawia na prerii. Dzieci zaczęły się bawić, obrzucać okruchami wyschniętego łajna, wrzeszczeć przeraźliwie, aż od strony furgonów zabrzmiały głosy starszych, zapędzające młodzież do roboty.

Brownie podniósł jeden placek, drugi, trzeci. Leżały gęsto, a odchody bizonów świadczą nieomylnie, że zwierzęta muszą być bardzo niedaleko. To samo twierdził Dick Summers. Od dwu dni tabor przecinał raz po raz szlaki wiodące z wydm piaszczystych nad brzeg rzeki. Były proste, szerokie na dwa męskie ramiona, wydeptane na dobrą piędź głęboko, a gładkie tak, jak nie wyrówna ziemi żadna łopata. Przy ścieżkach leżały kości — czaszki, piszczele, żebra. Czasami były ułożone w koła lub półksiężyce i pochlapane farbą — przez Pawnisów, jak powiadał Dick Summers.

Brownie zbierał placki nie patrząc na nikogo; wyprostował się, kiedy miał ich całe naręcze. Wówczas zobaczył nagle Mercy McBee, która dotąd nie widziała go również i teraz stała w odległości niespełna pięciu kroków, zaskoczona, spłoszona. Pod naręczem bizoniego suszu widać było jej drobne zgięte palce.

Nie odezwała się, nie odwróciła głowy, tylko krew ubarwiła jej policzki.

Brownie nie potrafił wymyślić nic, co dałoby się powiedzieć. Czuł, że palą go policzki, niewątpliwie też zaczerwienione. Ale patrzył na dziewczynę, miał przed sobą jej ciemne oczy, twarz w obramowaniu włosów przez wiatr rozwianych. Nagle odczuł szalone, nieopanowane pragnienie, by dotknąć Mercy tak, jak dotyka się delikatnym ruchem ręki istoty małej i przerażonej. Wydało mu się, że takie dotknięcie zespoli ich, napełni zrozumieniem, pokonującym wstyd, tkliwością nie wymagającą słów.

— Chyba dosyć zebrałem — powiedział.

Dziewczyna spuściła wzrok, przygarbiła się trochę. W tym momencie okruch suchego łajna wypadł spomiędzy jej palców, przylgnął do wypłowiałej sukni i tak pozostał.

Wypowiedziane słowa jak gdyby wróciły do chłopca — puste, nieporadne słowa — iw tejże chwili zobaczył siebie, niby ktoś stojący obok. Zobaczył niezdarnego wyrostka o zbyt dużych stopach i dłoniach, o jasnej

runi młodego zarostu na twarzy, niemrawego tchórza ulegającego czasami wariackim marzeniom.

Postąpił dwa kroki, odwrócił się, bąknął:

— Mogę ci pomóc.

Odpowiedziała szybkim, wilgotnym spojrzeniem, którego sensu Brownie nie był w stanie pojąć.

— Z przyjemnością — dodał.

— Poradzę sobie sama.

Mercy McBee odwróciła się bez podziękowania. Odeszła kilka kroków, przystanęła i nachyliwszy się ujęła palcami krowi placek. Wyglądała przy tym trochę żałośnie, a zarazem godnie.

Brownie Evans odważył się na spojrzenie spod oka i nieoczekiwanie zrozumiał los tej małej. Oczyma wyobraźni zobaczył niechlujne faworyty starego Hanka McBee, zobaczył sprzężaj przy jego furgonie — chudego wołu i kościstą, poszerszeniałą szkapę — a na furgonie panią McBee w otoczeniu wrzaskliwego potomstwa i stadka mizernych kur. Zaczął znów marzyć. Oto wielki wąż, grzechotnik, który nie wiedzieć czemu nie grzechocze, jest tuż-tuż obok Mercy. Nad murawę podnosi się ohydny łeb, plugawe zwoje prawie .dotykają kostki dziewczyny. Bez zastanowienia Brownie rzuca się naprzód, miażdży obcasem groźną głowę.

Podbiegł kilka kroków i ocknął się niedaleko biwaku. Jeden obcas miał głęboko wbity w piasek. Rock stał opodal, ze zdziwieniem spoglądał na młodego pana. Ale w marzeniach Brownie mówił do ocalonej dziewczyny.

— Mercy! Mercy! — woła, a ona podchodzi doń, czuła, nieśmiała, z oczyma błyszczącymi od łez; ustami dotyka jego warg, miękko spoczywa w ramionach, a on uprzytamnia sobie, że budzi się w nim bestia nienasycona, zachłanna i ogarnia go wstyd z powodu własnego prostactwa.

Rozdział XII

Tadlock przystanął i zaglądając pod swój drugi furgon rzucił ostro:

— Martin! Hej, Martin!

Wyprostował się czekając odpowiedzi; podejrzewał coś niedobrego. Nieraz w czasie miesięcznej z górą podróży Martin nie ruszał się z posłania, chociaż salwa wartowników oznajmiła pobudkę o czwartej z rana.

— Martin!

Na wschodzie, gdzieś daleko w dole rzeki, brzask gorzał nad szeroką, płytką doliną Platte. Leniwy nurt połyskiwał tu i ówdzie odblaskami, niby kałuże w poświacie księżyca. Jednakże biwak tonął w mroku nocy, rozjaśnianym jedynie nikłymi ogieńkami, które wędrowcy zaczynali rozniecać za pomocą hubki, krzemienia, krzesiwa i prochu. W nozdrzach wiercił dym z chrustu i bizoniego suszu.

— Martin! — zawołał jeszcze raz kapitan.

Widział niewyraźny zarys jego ciała pod kawałkiem furgonowej plandeki, który, zależnie od pogody, zastępował Martinowi koc albo namiot. Nachylił się znów, szarpnął za róg grubej płachty.

— Co się stało? — zapytał głośno.

Bezkształtny kłąb poruszył się i ponownie ułożył pod furgonem.

— Mój Boże! Chory jestem — dobył się słaby głos.

— No to wyłaź, do diabła! — obruszył się Tadlock. — Trzeba ci będzie zrobić posłanie na wozie.

Nie otrzymał odpowiedzi, pomyślał więc, że Martin waha się, zastanawia jak niedysponowana kobieta, czy zdoła wytrzymać trudy dnia.

— Wieczorem nic ci nie było — podjął rozdrażnionym tonem. — W nocy odstałeś swoją zmianę.

Bykowcem, który zawsze miał przy sobie, uderzył o ziemię. A to pech! Karawana stoi biwakiem naprzeciw Wyspy Brady'ego, o dzień drogi od rozwidlenia Platte, droga jest dobra, bizonów nie brak, pogoda sprzyja i akurat taki musiał zachorować! Świt jaśniał, a Tadlock umacniał się w podejrzeniu, nabierał niemal pewności, iż Martin udaje ciężej chorego, niż jest rzeczywiście. Niektórzy bywają skłonni do przesady z racji jakiejś drobnej niedyspozycji — zwłaszcza jeżeli mają ochotę wracać, bo nasłuchali się za dużo lękliwych szeptów o Indianach i trudach nie do zniesienia. Na każdym postoju ten czy ów — na przykład Turley, jego żona lub ktoś z rodziny Byrdów — zaczynał biadać z powodu grożących niebezpieczeństw.

Gadanie! Do tej pory nie napotkali żadnych niebezpieczeństw. Raz rozbiegło się spłoszone bydło i Mack, jak skończony głupiec (co Tadlock powiedział mu otwarcie) zastrzelił indiańskiego nędzarza. Później zgłosiła się deputacja obdartych Kaw ze skargą w sprawie morderstwa, ale on, jak przystało kapitanowi, potraktował ich stanowczo, odprawił i nie dał bodaj szczypty tytoniu na ukojenie zranionych uczuć. Nie pokazał się dotąd ani

jeden Pawnis, Siuks lub Czejenna, wszystkie przeprawy odbyły się pomyślnie i nikt nie zapadł na zdrowiu, nie licząc bagatelnych przypadków bólu zęba albo niestrawności.

— Przygotujemy ci posłanie, Martin. Wyłaźże nareszcie.

Tadlock odwrócił się, ruszył dokoła furgonów. Od czasu do czasu zatrzymywał się i podnosił bykowiec, gdy zagadywał do kogoś. Jego furgony były przepełnione i żaden nie pomieściłby wygodnego posłania bez kłopotliwego przeładunku. Tadlock zamierzał pogadać z Mackiem, lecz ulegając nagłemu impulsowi zatrzymał się przy ognisku Evansów, skinął głową im i Dickowi Summersowi. Od niechcenia zauważył, że syna Evansów nie ma — zapewne pomaga przy porannym spędzie bydła.

— Chłodny dziś ranek — powiedział Evans kuląc się wymownie.

— Jest jeden chory.

— Kto?

— Martin.

— Co mu dolega?

Tadlock bezradnie rozłożył ręce.

— Bardzo chory? — zapytał Lije.

Kapitan powtórzył gest, ale tym razem dodał:

— Trzeba zrobić posłanie na wozie.

Summers wyjął fajkę z ust, zważył ją w ręku, otoczył się kłębem dymu. Zirytowało to Tadlocka. Obrzydliwy typ? Zachowuje się w typowy dla siebie sposób, jak gdyby cała karawana miała czas zastanawiać się nad jednym chorym. Szukał właściwych dla Summersa epitetów. Niezdyscyplinowany. Lekkomyślny. Przywykły żyć z dnia na dzień bez planu i celu jak jaki dzikus.

— Ruszymy o czasie — rzucił szorstko zwracając się do Dicka. — Nie stać nas na zwłokę z powodu jednego człowieka.

Rebeka Evans zerknęła w stronę męża znad rondla, który szorowała po śniadaniu.

— Lije, nie poszedłbyś zobaczyć, co się stało?

Summers spojrzał na nią z uznaniem i zrozumieniem. Jego szare oczy wydawały się w mdłym świetle brzasku prawie białe.

— Słusznie, Evans — powiedział Tadlock. — Poszedłbyś sam zobaczyć.

— Aha — przyznał łagodnie Lije.

Podniósł się, wyprostował niby wielki, bardziej realny cień pośród cieni umykających ku zachodowi. Tadlock był zły na niego tak, jak się człowiek złości na dziecko. Ociężały drab o leniwym umyśle z tego Evansa — niegłupi, ale pozbawiony energii. Czy potrafi zirytować się lub postanowić coś bez suflerki żony albo Summersa?

— W takim razie chodźmy — przynaglił kapitan.

Dick wystukał popiół z fajki. Podniósł się również.

— Weźmiesz lekarstwa, Lije? — zapytała Rebeka, a mąż skinął głową, zniknął pod plandeką furgonu i — jak zdawało się Tadlockowi — po bardzo drugim marudzeniu wrócił z pudełkiem pod pachą.

Martin leżał pod furgonem jak uprzednio. Tyle że było widać jego włosy w strąkach i zmierzwioną szczecinę siwego zarostu.

Trzej mężczyźni pochylili się nad nim, niczym (pomyślał Tadlock) trzy kury oglądające nieznanego robaka.

— Co z tobą, stary? — zapytał Summers.

— Rusz się, Martin! — zakomenderował kapitan. — Trudno cię tam leczyć. Rusz się! Zrobimy ci posłanie.

Ponownie szarpnął gniewnie róg płachty.

Chory otworzył oczy, zapatrzył się w górę, na dno furgonu. Później oblizał wargi i jęknął:

— Mój Boże.

— Wstawaj! — rzucił rozkazująco Tadlock, jakkolwiek spostrzegł, że Martin ma rozognioną twarz i oczy błyszczące, mętne. — Przecież nie jesteś ciężko chory.

— Myślę, że on wie lepiej — powiedział Summers.

— Poradzę sobie z nim — warknął Tadlock.

Tymczasem chory poruszył się, odwrócił plecami do góry, a następnie wypełznął na czworakach spod furgonu, wlokąc za sobą plandekę. Po tym wysiłku ułożył się na brzuchu.

— Kiepsko wygląda — mruknął Evans.

— Nie będzie mu gorzej w furgonie — obruszył się kapitan.

Summers przyklęknął, pomógł choremu przewrócić się na wznak, dotknął dłonią jego czoła.

— Nie przejmuj się, stary. Wszystko będzie dobrze — powiedział, a następnie zwrócił się do Tadlocka i Evansa.

— Pewno to gorączka obozowa.

— Co takiego?

— Gorączka obozowa. To świństwo nie ma innej nazwy.

— Mój Boże! — westchnął znów chory i opuścił powieki.

Dick jeszcze raz spojrzał na towarzyszy, pokiwał smutno głową. Z biwaku poczęli nadciągać ci i owi, zwabieni widokiem trójki stojącej nad kimś leżącym na ziemi.

— Co się stało? — szeptali.

Tadlock czuł ich za sobą, lecz nie oglądał się, nie odpowiadał. Stanowczo wolał, żeby sobie poszli. W przeciwnym razie wszyscy zaczną gadać swoje. Jedni będą chcieli ruszać bez zwłoki, inni poczekać trochę, jeszcze inni powiedzą, że nie wiadomo co robić. Niektórzy zalecą jakiś niezawodny lek albo puszczenie krwi, albo kataplazmy. W rezultacie wyniknie nieskończona paplanina, gdy tymczasem rozsądek każe załadować Martina na furgon i zaraz jechać dalej.

— Gorączka obozowa — odrzekł Evans właśnie tak, jak należało oczekiwać.

— Czy to się udziela? — zapytał kobiecy głos.

— Nie! — podchwycił żywo kapitan.

Martin otworzył oczy; przenosił spojrzenie z twarzy na twarz, jak gdyby miał nadzieję, że ktoś wreszcie udzieli mu pomocy.

Tadlock odwrócił się na pięcie.

— Do roboty wszyscy! — zakomenderował. — Za pięć minut ruszamy. Evans, jeżeli weźmiesz trochę mojego bagażu, przygotuję posłanie w furgonie. Kuracją zajmiemy się w drodze.

— Ja nie wiem, Tadlock — odezwał się niepewnie Lije.

— Czego nie wiesz?

— Nie wiem, czy tak będzie dobrze.

— Ja jestem kapitanem. Na siebie biorę odpowiedzialność — rzucił Tadlock i wnet poznał za sobą suchy głos Patcha:

— Wszyscy poniekąd odpowiadamy za wszystkich, nie wyłączając twoich najemników. Jesteśmy razem.

— Ma się rozumieć. Jesteśmy razem i nic się nie zmieni, kiedy on będzie leżał w furgonie.

— Nie to Patch miał na myśli — wtrącił Evans.

Tadlock zgryzł słowa cisnące mu się na usta. Głupcy! Przeklęci durnie! Postępują tak, jak gdyby było w bród czasu na próżne spory. Surowym wzrokiem zmierzył kolejno Evansa, Summersa, Patcha; chciał ich onieśmielić, podporządkować. Ale we wszystkich oczach znajdował tylko wyraz tępego uporu; zrozumiał, iż nadchodzi rozstrzygająca chwila. Trzeba zająć stanowisko, rozsądne stanowisko, rzucić kilka stosownych zdań. Niebawem może być za późno. Stawką jest autorytet, prestiż kapitana, który popędza i popędza tabor. Ustępstwo równałoby się przyznaniu do porażki.

Tadlock poczuł jakiś ruch obok siebie, odwrócił głowę i zobaczył panią McBee — drobną, licho odzianą jędzę.

— My mamy, panie Tadlock, żydowski plaster króla Dawida — powiedziała kobietą. — Bardzo skuteczny na prawie wszystkie choroby.

Kapitan odprawił ją niecierpliwym gestem ręki.

— Niech będzie, Evans — powiedział. — Zabaw się w lekarza.

— Jedno nas obowiązuje — odparł Evans, w którego głosie Tadlock odczuł nutę lekkiego zdziwienia. — Musimy dopilnować, by w razie potrzeby, każdy z nas miał właściwą opiekę. Dziś opieka należy się Martinowi. Jestem przeciwko wytrząsaniu go na wozie.

— Widzę, Evans, że chcesz, aby nasz tabor znalazł się za innymi.

— Chcę, aby Martin zaznał właściwej opieki, tak samo on, jak każdy inny chory.

Tadlock panował jeszcze nad sobą.

— Trawy zaczyna być skąpo z racji bizonów — podjął. — Będzie znacznie gorzej, jeżeli pozwolimy wyprzedzić się innym.

— I tak nie jesteśmy pierwsi — wtrącił Dick Summers. — Mamy przed sobą trochę ludzi.

— Nie wiem, czy mamy. W każdym razie bardzo niewielu — z lekkim taborem i małymi stadami. Dlatego pozwolić, by nas wszyscy prześcignęli?

Summers przygryzł cybuch fajki. Mówił prawie sennym głosem:

— Widzisz, Tadlock, przy gorączce obozowej diabelnie bolą kości.

— Jestem za pozostaniem na miejscu, póki Martinowi nie będzie lepiej — podchwycił Patch.

Tadlock usłyszał pełen uznania pomruk niewielkiej grupki, która zdążyła zebrać się podczas dyskusji. Odniósł wrażenie, że wszystkie oczy spoglądają nań z wyrzutem. Dlaczego? Przecież zależy mu jedynie na korzyści dla całej kompanii! Powodzenie zapewnić zdoła tylko system. O ustalonej porze należy wstawać, ruszać w drogę, kłaść się na spoczynek, każdego dnia przebywać wyznaczony etap. Każdy powinien robić, co doń należy, i uznawać autorytet władzy. W takich warunkach kompania może trafić do Oregonu szybko i sprawnie, uprzedziwszy innych. Jednakże głupcy nie potrafią cenić systemu, organizacji, dyscypliny. Nie zdają sobie sprawy, ile zyskują mając takiego kapitana.

Tadlock myślał tak i stopniowo tracił władzę nad sobą.

— Ruszamy zaraz! — wybuchnął wreszcie. — Słyszycie? Ruszamy w drogę!

Nie odniosło to skutku. Wszyscy stali w milczeniu, z tę- pym uporem spoglądali na kapitana. Po chwili głos zabrał Evans.

— Nie wiem, Tadlock, czy ruszymy. Na mój rozum powinna zadecydować o tym rada starszych.

— Rada starszych?

— Właśnie. Ponieważ nie jesteśmy zgodni.

— Dobry Boże!

— W każdym razie ja nie pojadę wcześniej.

— Ani ja — podchwycił Patch i ponownie zawtórował mu pomruk uznania.

Tadlock postawiłby się niezawodnie, gdyby nie przyszło mu na myśl, że poradzi sobie jakoś z radą starszych. Będzie tam Brewer i Mack, i Fairman; ci poprą go z pewnością. Nastąpi pewna zwłoka, ale za to w przyszłości uparte barany nie będą lekceważyć jego rozkazów.

— Słusznie — powiedział i parsknął śmiechem. — Przegadamy podróż do Oregonu.

Evans pochylił się nad chorym.

— Nie śpiesz się — podjął Tadlock. — Czas nie nagli. Co za droga nas czeka: tylko do Oregonu, sąsiedniego miasta — urwał na moment i dodał. — Rada zbierze się za godzinę.

Począł obserwować samozwańczych doktorów, którzy układali Martina na wygodnym posłaniu pod namiotem i wmawiali sobie nawzajem, że kalomel jest najwłaściwszym środkiem. Jak gdyby on, zdany nawet na własne siły, nie potrafił zadbać o chorego, i to nierównie lepiej. Teraz wtrąca swoje trzy grosze zbyt wielu, zbyt wielu ordynuje pigułki z sarsaparilli, balsam życia, emetyk, kalomel, upust krwi.

Tadlock medytował odchodząc, czy przed spotkaniem rady nie pomówić z Mackiem i Fairmanem, ale rozmyślił się, gdyż na odkrytej równinie poufna konferencja byłaby niepodobieństwem, a spotkanie z Patchem lub kimkolwiek innym nasuwałoby podejrzenie zmowy. Najlepiej polecić McBee zawiadomienie starszych o zebraniu.

Załatwiwszy to, kapitan jął przechadzać się po biwaku — pewien siebie, lecz nadal rozdrażniony. Od czasu do czasu machał energicznie bykowcem i ścinając pędy trawy doświadczał niejakiej ulgi. Nie bez uznania spoglądał na kobiety, które wykorzystywały wolny czas najlepiej, jak się dało. Pięć lub sześć z nich zebrało się nad rzeką przy praniu odzieży w mulistej wodzie. Dwie miały tary. Reszta miętosiła szmaty w rękach i tłukła o kamienie wygrzebane z piasku, Bogu tylko wiadomo jak i gdzie. Mężczyźni nie zajęci pielęgnowaniem Martina stali grupkami tu i ówdzie, gawędzili, a dzieci uganiały z piskiem pomiędzy nimi. Z pewnością rozmawiali o nim, o Martinie i radzili, jak należy postąpić. Cóż — on, kapitan, mógł udzielić odpowiedzi na to pytanie.

Nieco później, na krańcu obozu, z dala od namiotów i gwaru, Tadlock zobaczył Summersa. Przewodnik stał bez ruchu, samotnie niby stary buhaj i patrzył ku zachodowi.

— Ciebie, Summers, nie mogę zrozumieć — zaczął kapitan przystając obok niego.

Stary wyga oburącz ściskał lufę strzelby, której kolba spoczywała na ziemi. Odwrócił się powoli.

— Po prostu liczę bizony — odparł.

— Nie o to chodzi — odparł Tadlock pewien, że tamten wie dobrze, co miał na myśli. — Powinniśmy być w drodze.

Przewodnik spojrzał na słońce zawieszone już wysoko nad widnokręgiem.

— Aha. Zrobilibyśmy trzy, może cztery mile — powiedział.

Twarz miał poważną, lecz w oczach wesoły błysk, który irytował Tadlocka.

— Do wszystkich diabłów! To nie temat do żartów!

Wesoły błysk zniknął z oczu przewodnika.

— Wcale nie powiedziałem, że to temat do żartów. Nie chcę też myśleć o nie przebytych milach zamiast o Martinie.

— Jeden człowiek mniej znaczy niż cały tabor.

— Nie wiedziałem, Tadlock, że jesteś takiego zdania.

— Jak to?

— Czy siebie nie uważasz za ważniejszego niż cały tabor?

— Ty, Summers, jesteś tylko przewodnikiem. Nie zapominaj o tym.

Tadlock rzucił ostatnie zdanie rozmyślnie. Chciał rozdrażnić Dicka, może nawet sprowokować bójkę i w niej znaleźć odprężenie. Czekał. Mocno ściskał rękojeść swojego bykowca.

Summers odwrócił się w kierunku rzeki i zalesionej wyspy.

— To jest Wyspa Brady'ego — powiedział tak od niechcenia, że kapitan nie mógł spodziewać się wymarzonego dalszego ciągu. — Jeden gość, nazwiskiem Brady, dat się tam zakatrupić. Stało się to w trzydziestych latach.

Summers spojrzał znów na kapitana, a ten wyczytał w jego oczach śmiertelnie lodowaty wyraz dzikiego zwierza gotowego do morderczego skoku. Uprzednio nie zdawał sobie sprawy, jak niebezpieczny mógł być przewodnik. Nie zląkł się, lecz odczuł znaczną ulgę, kiedy Dick dźwignął karabin, odwrócił się i odszedł. Miał lekki, swobodny chód Indianina, na kark opadały mu dość już długie włosy — również na indiańską modłę.

Do diabła z nim! — pomyślał Tadlock. — Niech licho porwie jego pożegnalne spojrzenie, pełne pogardy, niechęci czy co tam miało wyrażać! Wzrok nie zabija, nie rani, a poważny człowiek nie musi chyba zwracać uwagi na półdzikiego faceta.

Wewnętrzny niepokój zachęcał do działania, więc kapitan ruszył ku zachodowi. Jego wzrok błądził po rozsłonecznionej okolicy, myśl pracowała. Przed sobą miał szlak wyznaczony koleinami: trop emigrantów z 1844 roku i wcześniejszych. Oni również mieli swoje kłopoty, zmartwienia. W tamtych kompaniach z pewnością też nie brakowało głupców niezdolnych do przewodzenia, lecz skorych do buntu przeciw przywódcom.

Na przeciwległym brzegu rzeki zobaczył bizony i starał się określić, jak mogą być daleko. Tutaj, w czystym powietrzu nad Platte, łatwo nie docenić przestrzeni. Mielizna lub zakręt rzeki, punkt odległy na pozór o godzinę drogi, może znajdować się w istocie o dzień albo więcej. Można się łudzić, że wrona przelatująca o pół mili jest w zasięgu łatwego strzału. Ostro występują szczegóły: fałdy i grzbiety piaszczystych wydm, ławice wzdłuż rzeki, woda spieniona w miejscach, gdzie tworzą się wiry, garby bardzo

dalekich bizonów, nawet źdźbła trawy. Dzięki tej przejrzystości powietrza — myślał Tadlock — świat jest mniejszy i większy zarazem. Mniejszy, bo wzrok dostrzega wszelkie drobiazgi. Większy, bo dostrzega je ze znacznego oddalenia. Dźwięki są też łudzące. Nocą każdy hałas zdaje się wyraźny, bliski. Za dnia wystrzał z karabinu brzmi niby stłumione klaśnięcie pośród ciszy, od której szumi w głowie jak po chininie. To dziwny, groźny świat, nakazujący szybką, stanowczą decyzję i system przygotowany z góry, narzucony stale.

On — Tadlock — wykazał niezbędne cechy charakteru. Utrzymywał tabor w regularnym marszu, narzucał system. Ludzie winni mu wdzięczność, a płacą krytyką. Na przykład tamten dzień po ucieczce stada, kiedy to Mack zastrzelił Indianina. O świcie Summers zmobilizował garstkę jeźdźców i ruszył z nimi na poszukiwanie bydła. Później, korzystając z prawa organizowania patroli bojowych, Tadlock wysyłał dalsze grupy, jedną po drugiej, póki nie ogołocił taboru z mężczyzn. Mimo to jednak odbywał się pochód. Sprzężaje wołów popędzały kobiety i starsze dzieci.

Rano nadciągnęła burza z całodzienną obrzydliwą pluchą, która zamieniała ziemię w bagno tak, że końcowe wozy grzęzły po osie. Przejmujący wicher niósł ukosem strumienie lodowatego deszczu. Woźnice kryli się w furgonach, gdzie z braku ruchu marzli jeszcze bardziej, więc wracali na szlak, by człapać pracowicie, wyciągając z błocka oblepione buty. Jednakże pochód trwał. W tym sedno sprawy! Kobiety powoziły, dzieci powoziły i karawana sunęła wciąż dalej.

Summers wraz z innymi tropił rozpierzchłe trzody, więc Tadlock wybierał i wskazywał drogę. Ale nierzadko zawracał, by udzielać pomocy i otuchy. Jedno potrafił z pewnością i nie taił tego przed sobą. Wiedział, jak wołu zmusić do ciągnięcia, toteż wielu sprzężajom dał tamtego dnia nie lada naukę.

Udzielił też lekcji Indianom — sześcioosobowej deputacji, która dogoniła karawanę w drugiej lub trzeciej godzinie marszu. Byrd — jeździec tak kiepski, że kapitan nie wyprawił go z resztą mężczyzn — pierwszy spostrzegł Indian, wdrapał się na luźnego konia i poczłapał do czoła kolumny, aby ostrzec kapitana.

Niepodobna było ustawić w zagrodę taboru rozciągniętego na dużej przestrzeni i grzęznącego w błocie. Nie nadawał się do sprawnego manewrowania. Po prawej stronie szlaku wznosił się pagórek. Po lewej widać było kępy drzew.

Całą tę sytuację Tadlock ocenił w czasie, gdy zasapany Byrd mówił swoje. Widział ją jasno. Wiedział dokładnie, jak postąpi.

— Uzbroić kobiety! — rzucił rozkazująco. — Ty, Willie Brewer i kaznodzieja do straży tylnej, z karabinami. Ilu może być Indian?

— Nie wiem. Tylko mi mignęli.

— Jak są daleko?

— Całkiem blisko.

— Rób, co kazałem! — zakomenderował kapitan i ścisnąwszy konia obcasami, pogalopował w stronę taboru, zostawiając za sobą Byrda.

Niebawem podniósł rękę, by zatrzymać tabor. Nie widział jeszcze Indian pośród mgieł i drzew dość gęsto rosnących przy szlaku.

Cwałem mijał furgony. Spoglądał na pobladłe twarze kobiet, wystraszone miny dzieci, wyraz zaniepokojenia i troski w oczach swojej żony. Nie tracił nadziei, że jego widok podnosi ducha w zalęknionych.

Był sto jardów za ogonem kolumny, gdy zauważył Indian wyłaniających się z zarośli. Powstrzymał konia. Stępa ruszył na spotkanie. Naliczył sześciu Indian — sześciu Kaw. Ich upięte w czub włosy ociekały deszczem, do ciał lgnęły łachmany. Jeden, zapewne wódz, miał na ramionach mokrą chustę. Tadlock objął jeźdźców szybkim spojrzeniem, zauważył czarny błysk wilgotnej lufy, wyraźny kabłąk łuku. Nędzna banda, ale być może niebezpieczna — pomyślał i jechał dalej, póki Kaw nie zdarli koni.

Wtedy zatrzymał się i on, popatrzał na Indian, naśladując kamienny, obojętny wyraz ich twarzy. Nie bez dumy osądził, że nie tylko nie odczuwa strachu, ale rzuca wyzwanie, jak gdyby rozpoczynał od spojrzeń zawziętą, nieubłaganą walkę.

— Czego chcecie? — zapytał wreszcie.

Długo milczeli. Bez wątpienia nie spodziewali się takiego przyjęcia. Liczyli na uświęcone zwyczajem wymowne słowa, uprzejmości, fajkę. Nikt nie przyjmował ich nigdy w podobny sposób.

— Indianin zabity — przemówił wreszcie Kaw okryty chustą i gestem ręki wskazał kierunek, z którego przybył tabor, miejsce, gdzie Mack zestrzelił z drzewa ofiarę.

— Tak. Indianin zabity — powiedział Tadlock. — Kradł. Dlatego zabity.

— Indianin nie kradł.

— Kradł. Dlatego zabity.

— Indianie lubią podarki.

— Nie będzie podarków — krzyknął ostro Tadlock i w oczach przeciwników dostrzegł wyraz zastanowienia.

Z pewnością sprawił im zawód odmawiając nagrodzenia krzywdy darami. Nadeszła przełomowa, niebezpieczna chwila, lecz on nadal nie lęka się wcale. Patrzy na bandę niedożywionych obdartusów i czuje wzbierającą w sobie moc, odwagę, świadomość, że tych ludzi załamie, potraktuje według własnej woli. Jest niemal pewny, że jednym zamachem ręki potrafiłby ich zmieść z powierzchni ziemi.

Bystro spojrzał w oczy wodza, a kiedy ten spuścił wzrok, Tadlock nabrał błyskawicznie pewności siebie.

— Jazda stąd! — podniósł strzelbę i dodał jeszcze bardziej stanowczym tonem. — Ale już!

Dotknął piętą konia, pchnął go krok naprzód.

Udało się! Indianie jęli zawracać jeden po drugim. Ich wzrok unikający jego oczu, wyrażał tchórzliwą nienawiść. Odjeżdżali tam, skąd przybyli, on zaś bez ruchu siedział w siodle, odpędzał groźbę siłą woli i wytrwał do czasu, gdy ostatni Kaw zniknął z zasięgu wzroku.

Następnie uspokoiwszy kobiety ruszył znów z miejsca karawanę; jeźdźcom wracającym z pościgu za bydłem powiedział, że nie czas jeszcze na południowy biwak. Deszcz, błoto, Indianie, rozhukane bydło — trzeba przejechać jaki taki etap — z osiem mil albo dziesięć. Wynika stąd, że system nie jest zły, odrobina energii potrafi wiele zdziałać. Tadlock nie wyolbrzymiał swojego czynu, chociaż słyszał, jak żony opowiadają o nim mężom. Spełnił jedynie obowiązek kapitana wobec załogi. Drugi raz zachowa się podobnie, na przekór Summersowi, który powiedział:

— Dziś dobrze poszło, ale nie próbuj, Tadlock, takiej sztuki wobec Pawnisów czy Siuksów.

Wieczorem kapitan zalecił, by straż przy bydle zachowywała się przytomniej. Popłoch i ucieczkę wywołała strzelanina do urojonych Indian — niewątpliwie urojonych! Odnaleziono przecież całe stado, z wyjątkiem jednej sztuki, a rzekomych złodziei nikt nie napotkał. Tadlock nie taił też niezadowolenia z racji postępku Macka. Oczywiście nie dbał o jednego Kaw. Nic podobnego! Obawiał się tylko możliwych następstw. Mężczyźni gładko przełknęli wówczas gorzką pigułkę. Bez wątpienia przewidywali, że do czegoś takiego dojdzie.

Dziś buntują się, bo kapitan jest zdania, że jeden chory nie może być przyczyną zwłoki, a Martinowi na razie nic się nie stanie. Machnął bykowcem, ściął jeszcze jeden pęd trawy.

W tym momencie przypomniał sobie o terminie zebrania rady, ale przez chwilę stał nadal w miejscu, rytmicznie uderzając batem o ziemię. Ponownie spojrzał z uznaniem w kierunku większej już grupy kobiet zajętych praniem. Ktoś z mężczyzn rozpalił dla nich ognisko nad brzegiem rzeki; woda grzała się w miednicy i dwu wiadrach — w powietrze, chłodne dotąd po nocy, ulatywały smugi pary. Ku południowi pasły się rozproszone szeroko zwierzęta. Trzej jeźdźcy przebywali w bród rzekę; popędzali konie, by nie ugrzęznąć w ruchomych piaskach łożyska. Tadlock poznał Summersa, Gorhama i tego niedorostka, syna Evansów. Domyślił się, że chcą zapolować na bizony, liczne na prerii po północnej stronie Platte.

Zirytowała go myśl o łowach na terenie odległym od szlaku karawany. Widocznie tamci są pewni — jeszcze przed decyzją rady — że tabor zostanie na miejscu. W warunkach właściwej dyscypliny coś takiego uznano by za objaw niesubordynacji. Ale cóż — ludziom podobnego pokroju obce jest nawet brzmienie wyrazu „subordynacja”.

Kapitan miał pretensje głównie do Summersa, i to nie tylko z racji tego drobnego wykroczenia. Odniósł wrażenie, że Summers zaraził kompanię swoim lekceważącym tonem, niezależnością, typowym dla dzikusa z lasu brakiem posłuchu. Summers zna szlak. Jest dobrym przewodnikiem, wytrawnym myśliwym, czujnym zwiadowcą, wartownikiem, który nie śpi nigdy. Niepodobna odmówić mu tych zalet, zarazem jednak to człowiek trudny do pokierowania lub zastraszenia, a jego „indiański” wdzięk i nabyte od Indian rozliczne umiejętności budzą podziw i skłaniają do naśladownictwa.

Spiesząc na zebranie rady Tadlock przyłapał się na tym, że z zazdrością myśli, iż dobrze byłoby połączyć własną skłonność do rozkazywania z opartą na doświadczeniu wiedzą Summersa, Nad Little Blue przewodnik doradzał, by konie wiązać do gałęzi drzew, nie pni, bo, jak powiadał, nie będą wtedy mogły zerwać wodzy. On potrafił przywabić bizonią krowę naśladując beczenie cielęcia, a następnie zranić ją kulą lub strzałą z łuku tak, że pozwoliła zapędzić się w sąsiedztwo obozu, co rozwiązywało kłopotliwy problem transportu mięsa. On wpadł na pomysł, by w czasie oprawiania upolowanego bizona przywiązywać konia do rogów tuszy. On radził sobie świetnie z mułem, koniem, wołem i węchem zdawał się wyczuwać zwierzynę, wodę, Indian. On najcelniej strzelał z broni palnej i łuku, najsprawniej krzesał ogień, a wieczorami ustawiał zagrodę z furgonów spiesznie i łatwo, jakkolwiek w sposób całkiem niewojskowy.

Tadlockowi odpowiadała bardziej metoda, o której słyszał, polegająca na tym, że wozy podzielone na kolumny — każda pod odpowiednim dowództwem — zajeżdżają na postój tak, by utworzyć regularny kwadrat. Jednakże musiał przyznać, że i sposób Summersa nie jest zły. Bodaj go licho! Chłop potrafi sobie radzić, chociaż na pozór jest skromny, cichy — może tylko trochę bezczelny — no i niezależny jak ryba w wodzie. Czemu ktoś bardziej światły i wykształcony nie może posiadać pierwotnej wiedzy półdzikiego człowieka? Niezbyt wysokie to kwalifikacje, lecz niewątpliwie ułatwiłyby sprawowanie władzy.

Starsi, zebrani w komplecie, czekali w odległości mniej więcej pięćdziesięciu jardów od taboru. Kapitan przeliczył ich wzrokiem: Evans, Fairman, Mack, Brewer, Daugherty. Zajął miejsce w ich kręgu i spytał:

— Jak tam Martin?

— Niedobrze — odparł Brewer gardłowym niemieckim akcentem. — Ani chybi umrze.

— Mocny z niego chłop — powiedział Tadlock.

— Czuwa nad nim moja stara z bratem Weatherby i innymi — zabrał głos Evans.

Kapitan skinął głową. Mniej myślał o Martinie niż o zebraniu rady i problemie, który przerósł sam siebie, ponieważ stanowił wyzwanie rzucone władzy. Prawie żałował, że nie nakazał postoju. Ostatecznie jednak nic mu nie grozi. Z pewnością może liczyć, że Brewer go poprze — tak samo Mack i Fairman. Wraz z nimi stworzy zdecydowaną większość. Zerknął ku słońcu.

— Do tej pory — podjął — mielibyśmy za sobą dziesięć mil. A każda mila się liczy.

Nikt nie odpowiedział. Tylko Brewer, który siedział na skrzyżowanych nogach, z obwisłym, wielkim brzuchem, skinął głową ledwie widocznie.

— Martin stracił przytomność — odezwał się wreszcie Daugherty z nutą jak gdyby lekkiej przygany.

Tadlock zmierzył go wzrokiem od stóp do głów i nie po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czemu tępy Irlandczyk jest mu przeciwny? Może doszły go jakie złośliwe plotki, słowa krytyki?

— Krzyczy tylko „Mój Boże” — uzupełnił informację Evans — i czasami dodaje: „Modlę się do Ciebie”.

— Wcale stąd nie wynika, że stracił przytomność.

— Nigdy nie był bardzo pobożny — bąknął Daugherty.

Tadlock odniósł wrażenie, że twarze starszych kryją coś za wyrazem pozornej obojętności. Przypatrzył im się bacznie, później przeniósł wzrok w stronę biwaku, gdzie tabor stał bezczynnie, a wyprana odzież powiewała na sznurach przeciągniętych od furgonu do furgonu. Zobaczył namiot, wzniesiony dla Martina, i stojącego obok namiotu brata Weatherby, który wdział wyrudziały surdut, by okazać należny respekt ciężkiej chorobie. Kobiety i dzieci krzątały się pośród wozów i dogasających ognisk. Niewiasty są na ogół bardziej ruchliwe — pomyślał Tadlock i spojrzał na leżących opodal furgonu Patcha czterech mężczyzn, z których jeden raz po raz bezmyślnie kłuł murawę nożem. Później wydało mu się, że słyszy głos Martina, jak gdyby zawodzący: „Mój Boże!”

— No cóż — odezwał się — musimy coś postanowić.

Jeszcze raz odpowiedziało mu milczenie. Starsi czekali siedząc bez ruchu. W słonecznym blasku mrużyli oczy. Dzień zapowiadał się gorący i

oślepiająco jasny, pełen refleksów słonecznych promieni na piasku i pokrywających go tu i ówdzie płatach soli.

Tadlock spojrzał Evansowi w oczy.

— Będziesz posłuszny decyzji rady? — zapytał.

— A ty?

— Ma się rozumieć — powiedział Tadlock mierząc wzrokiem pozostałych mężczyzn. — Pamiętajmy, że sekret powodzenia to sprawny pochód. I tak nie będziemy w Oregonie przed późną jesienią.

Evans jął trzeć policzek szeroką dłonią, jak gdyby mu to pomagało przy myśleniu.

— Nie przeczę, Tadlock — powiedział. — Ale dotychczas jechaliśmy dobrze. Możemy zaryzykować dzień albo dwa zwłoki.

— Nie zapominaj, że czekają nas inne postoje.

— Bardzo być może.

— Dni zwłoki, której nie da się uniknąć.

Evans zmienił pozycję, wygodniej zasiadł na ziemi. Gdy zaczął mówić, spoglądał wciąż na innych członków rady.

— Myślę, że nie powinno nam tak piekielnie zależeć na prześciganiu wszystkich. Z całą pewnością, zanim skończy się ta zabawa, i my będziemy wyprzedzać, i nas będą wyprzedzać.

— Wyścigowiec z ciebie, Irvine — podchwycił Mack. — Zawsze i wszędzie musisz być pierwszy. Widocznie tak cię wychowano.

— Racja! Kto pierwszy, ten lepszy — wtrącił Brewer.

— Gdyby was nie popędzać, cała kompania siedziałaby na tyłku — rzucił cierpko Tadlock, zaskoczony i urażony wystąpieniem Macka.

Głos zabrał Fairman:

— Gdyby który z nas zachorował, życzyłby sobie na pewno, by tabor poczekał na niego.

Aha. Mam przeciw sobie wszystkich — pomyślał z niedowierzaniem Tadlock — wszystkich prócz Niemca z zakutą głową. Wiodłem ich, organizowałem, poganiałem, harowałem ciężko, a dziś mam wszystkich przeciw sobie. A może się mylę? Chyba Mack i Fairman staną po mojej stronie, kiedy przyjdzie do ostatecznej decyzji.

— Głosujmy — powiedział. — Mack, Fairman, spodziewam się, że popieracie mój wniosek.

— Nie! — rzucił krótko Mack, a Fairman pokręcił głową.

— Nie?

— Nie! — powtórzył Mack.

Fairman nadal przecząco poruszał głową.

Evans rzucił grudką bizoniego łajna w kierunku swojego starego psa o posiwiałej mordzie, który zawzięcie kopał jamę.

— Wygląda na to, Tadlock, że będziesz musiał zaczekać — powiedział.

Kapitanowi krew uderzyła do twarzy.

— Cóż, mogę tylko wyrazić zdanie, że to decyzja diabelnie głupia — wybuchnął.

— Muszę cię zawiadomić o czymś więcej — podjął spokojnie Mack.

— Słucham?

— Dziś wieczorem odbędzie się zgromadzenie.

— Zgromadzenie?

— Aha. Ogólne, całej kompanii.

— W jakim celu?
— Chyba się domyślasz.
— Czy gramy w zgadywankę?
— Posłuchaj, Irvine, ludzie chcą cię usunąć.
— Łgarstwo! Podłe łgarstwo!
— Gotów jestem poczekać na przeprosiny.

Sens słów Macka, pełne ich znaczenie, przeniknęły powoli do świadomości Tadlocka. Przeżuwał owe słowa, ważył w myśli. Więc dadzą mu kopniaka. Wybiorą innego kapitana. Dobrze rozumie, jak do tego doszło. Patch — ten ważniak z Nowej Anglii — Daugherty, Gorham, Carpenter, dobrze znani przeciwnicy, jęli politykować, grać na niepopularności samej zasady porządku i systemu, rozdymać błahą kwestię choroby jednego człowieka.

— Zobaczymy, co stąd wymknie — powiedział. — Ja nie zmienię stanowiska w sprawie Martina.

— Nie rozumiesz, Irvine, że nie o to teraz chodzi? — zapytał Mack.

— Rozumiem. Nazwałem cię głupcem. Chyba słusznie?

— Tobie się zdaje, że świat to sami głupcy — wtrącił Irlandczyk.

Mack zarumienił się mocno.

— Słusznie, Irvine. Postąpiłem głupio. Nie w tym sęk i nie mam żalu. Chodzi o twoje wyniosłe tony i miny.

— Przecież to twoje stado opóźnia pochód — podchwycił znów Irlandczyk. — Masz za dużo bydła, za mało rąk do pracy, a nas wciąż naglisz. Drażnisz nas z tą swoją niecierpliwością. To święta prawda.

— Powiedziałeś, że nie masz do mnie żalu — zwrócił się Tadlock do Macka. — Więc do czego zmierzasz?

— Jestem zwolennikiem harmonii.

— A ty, Fairman?

— Tak samo — padła odpowiedź.

— Nie wiem, czy poradzicie sobie na ogólnym zgromadzeniu.

— Wytłumaczże mu, Brewer — podchwycił Daugherty.

— Ja będę za tobą — zabrał głos Niemiec. — McBee także. Ale nas nie starczy.

Więc to prawda. Uknuli przeciw niemu spisek i teraz trzeba ustąpić dobrowolnie lub narazić się na przegłosowanie. Brewer nie skłamał z pewnością.

— Taką zapłatę — powiedział — otrzymuje ktoś, kto harował dla was, planował, nadstawiał karku...

— Dlatego, Tadlock, sprawa jest bardzo przykra — powiedział Evans, a Mack przytaknął.

— Mogę rozbić tabor na dwie części. Mam przyjaciół — obruszył się Tadlock.

— Tracisz ich minuta po minucie — odparł Evans, gorąco, jak na siebie.

Tadlock dźwignął się raptownie.

— Do diabła z wami!

Ruszył z miejsca i dopiero po kilku krokach potrafił zdobyć się na jedno słowo:

— Ustępuję.

Wróciwszy do swojego furgonu powiedział żonie:

— Przed chwilą zgłosiłem rezygnację.

Kobieta siedziała na skrzyni. Cerowała mężowskie spodnie rozdarte przy ładowaniu bagażu. Bez słowa spojrzała na Tadlocka.

— Musiałem ustąpić. Inaczej bym dostał kopniaka — ciągnął, jak gdyby wyznania były dlań perwersyjną przyjemnością.

Kobieta milczała nadal, więc pomyślał, nie bez zadowolenia, że w ciągu dziesięciu lat małżeństwa nauczył ją nie dopytywać o jego sprawy. Sam mówił, co uważał za stosowne. Teraz czekał niemal z nadzieją, że żona zapyta o coś i że będzie mógł wyładować na niej złość.

— Z Martinem gorzej — odezwała się wreszcie.

— Pewno z mojej winy, co?

— Nie myślałam o niczyjej winie.

— Gdybyśmy rano ruszyli w drogę, wszyscy winiliby mnie. Byliby nawet radzi.

— Zadowolona jestem, że ustąpiłeś.

— Aha! Zadowolona jesteś!

— Tak się przejmowałeś, przepracowywałeś.

Tadlock mruknął łaskawszym tonem. Rozbroiła go. Przynajmniej ona potrafi ocenić, jak wiele z siebie dawał.

Przez parę minut szyła w milczeniu, jak gdyby rozmyślała o mężu i jego rezygnacji. Kiedy jednak zabrała znowu głos, powiedziała:

— Martin zawsze liczył na ciebie. Chyba nie miał innej życzliwej duszy.

— Nie wiem, co teraz mógłbym dla niego zrobić.

— Tak, ale bądź co bądź...

Przed namiotem Martina Tadlock zobaczył kaznodzieję ze starą Biblią w ręku.

— No i co? — zapytał.

— Modliłem się właśnie. Wola boża niechaj się spełni.

— Jest nieprzytomny?

— Tak. Od niedawna.

Tadlock wsunął głowę do namiotu. Martin leżał na wznak, usta miał otwarte, pod niedomkniętymi powiekami gałki oczne połyskiwały bielą. Oddychał niezbyt głośno, ale szybko, chrapliwie, jak to przy wysokiej gorączce. Tadlock cofnął się, jak gdyby odtrącony widokiem, odgłosami, zaduchem choroby. Nic nie mogę poradzić — myślał — absolutnie nic. Co oni sobie wyobrażają? Że jestem lekarzem?

— Spodziewam się, że on ujrzał światło — powiedział brat Weatherby.

— Kalomel podziałał?

Kaznodzieja twierdząco skinął głową.

Tadlock wrócił do swojego furgonu. Dzień spędził niemiło, bezczynnie. Przemyśliwał o tym, co zaszło, i odczuwał coraz to głębszy zawód i urazę. Zbadał i poreperował furgony i rozmaity sprzęt, a ponadto dwukrotnie odwiedził Martina. Drugim razem zastał go w namiocie samego. Był nieprzytomny i brudny, więc Tadlock powiedział sobie, że, na Boga, zrobi coś pożytecznego. Przynajmniej nikt mu nie zarzuci, że był obojętny, leniwy, zaniedbywał dyscyplinę, której przestrzegania żądał od innych. Umycie Martina to już coś. Kto zdobył się na taki pomysł? Kiedy skończył zadanie, do namiotu wszedł Byrd z lancetem w ręku. Był zwolennikiem teorii, iż upust krwi pomoże choremu. Zrobił swoje, a Tadlock pomógł mu chętnie.

Ogólne zgromadzenie mężczyzn zwołane na wieczór było takie, jak należało oczekiwać: jeden wielki zamęt spotęgowany jeszcze przez kobiety i dzieci, którym pozwolono tłoczyć się w pobliżu. Wspominając później przebieg obrad Tadlock nie posiadał się ze zdziwienia, że jego następcą został obrany Evans, nie Patch. Przysiągłby, że ten ostatni prowadzi agitację we własnym interesie. Natomiast Evans był bezinteresowny i rzeczywiście zdziwił się, gdy Mack postawił jego kandydaturę. Obejrzał się, zerknął na żonę i wystąpiwszy nieporadnie parę kroków, powiedział.

— Ja, panie przewodniczący? Przecież ja się całkiem nie nadaję.

Tadlock usadowił się trochę na uboczu, aby widzieć i słyszeć wszystko, nie zaszczycając zgromadzenia swoją obecnością. Dostrzegł stamtąd twarz pani Evans i jej wzrok wyrażający uczucia macierzyńskie, niepokój, dumę, pewność siebie, zaspokojoną ambicję i Bóg wie co jeszcze. Pomyślał, iż warto zasłużyć na takie spojrzenie, lecz zmienił zdanie formułując wniosek, że kobieta może patrzeć tak jedynie na rosłego, tępego, niezaradnego mężczyznę.

Wieczorem, po zamknięciu obrad, Tadlock wspominał je siedząc obok swojego furgonu i myślał, że zamęt podczas zebrania wróży to, co ma nastąpić w przyszłości. Nie przegłosowano jeszcze kandydatury Evansa, kiedy, wbrew obowiązującym zwyczajom, wyrwał się Turley, a Patch nie przywołał go do porządku.

— Ja wracam z moją starą i dziećmi — zawołał Turley. — Słowo honoru, wracam!

— Amen! — zawtórowała mu żona stojąca pośród kobiet. — Amen!

Tadlock usłyszał jej płacz, bardzo podobny w tonie do wybuchów histeryczek w czasie zebrań religijnych.

— Wracamy do Meramec — ciągnął Turley — bo ten tabor nie myśli czekać na innych, jak się okazuje; wszyscy potracili głowy. Każdego, kto przyłączy się do nas, radzi powitamy.

— Co ty na to, Summers? — zapytał Patch.

Przewodnik, który stał po jego prawej stronie, odpowiedział tylko jednym słowem:

— Niebezpiecznie.

Wśród ciszy, jaka nastała, słychać było jedynie szlochy pani Turley.

— Kto więcej myśli o powrocie? — odezwał się wreszcie Patch i zawiesił na chwilę głos. — Byrd?

Tadlock osądził, że to pierwsze trafne zagranie. Niech ktoś opowie się wyraźnie. Niech padnie: tak lub nie.

Byrd odparł krótko, że zostaje, a przewodniczący mówił dalej:

— Jeżeli ktoś ma zamiar odłączyć się od taboru, wolelibyśmy wiedzieć o tym zaraz.

Patch nie spojrzał ku byłemu kapitanowi, lecz zrobili to inni. Tadlock odpowiedział chłodnym wzrokiem. Odłączyć się od taboru? Jak? Pogróżkę rzucił pod wrażeniem chwili. Ale kto z nim pójdzie? Brewer, McBee, zapewne Martin, jeżeli wyżyje. Biedacy! Mają zbyt mało wołów, i to przeważnie już podbitych. Tadlock siedział sztywno, w milczeniu, ale miał ochotę zerwać się, podnieść głos i zgodnie z prawdą nazwać zgromadzonych niewdzięcznikami. Chętnie smagałby batem wszystkich razem i każdego z osobna, aby nareszcie pojęli prawdę. Jego bydło?

Niedobór ludzi do pracy? To pretekst, nie istotny zarzut. Przecież najął Martina i długo szukał w Independence drugiego parobka; wreszcie Hank McBee zgodził się pomagać mu przy stadzie liczącym sto dziesięć głów. Robił, co mógł, i to nie pod naciskiem dzisiejszej opozycji.

Po skończeniu obrad Tadlock długo siedział bez ruchu. Widział i zarazem nie widział krzątających się wokół ludzi. Wiedział, że jego żona poszła dokądś, i medytował niechętnie, jak ona może zadawać się z tymi, co go nikczemnie potraktowali.

Gwar w obozie przycichał do stłumionych, przednocnych tonów, lecz i te zamierały stopniowo. Szmer ludzkich głosów dobiegał od namiotu postawionego dla Martina, z przeciwnej strony zagrody, w bliskości rzeki. Ogniska dogasały jedno po drugim. Wschodziły gwiazdy — jasne i czyste, niby bardzo dalekie słońca. Na południu widnokrąg kreślił w poprzek nieba falistą linię. Pod jednym z namiotów dziecko pochlipywało słabo, tak słabo, że zalegająca wokół niezmierna cisza płacz pochłaniała.

Były kapitan starał się myśleć o sobie jako o Tadlocku, odłączywszy nazwisko od osoby. Oto Irvine Tadlock, który w Peorii zostawił dobrze prosperujące przedsiębiorstwo, aby na rozleglejszym polu wypróbować swoje zdolności, i został sponiewierany przez emigrancką hołotę. Jest zwolennikiem dyscypliny, metodycznego działania, systemu, wie, jak organizować ludzi. Gdyby nie głupie plotki, które bez wątpienia poniesie dalej ten tabor, mógłby zostać naczelnikiem nowego terytorium, gubernatorem przyszłego stanu.

Co teraz, kiedy mogą go oczerniać ci tępacy? Teksas? Być może. Wiosną Teksas przystąpił do Unii, będzie potrzebował gubernatora, senatorów, deputowanych do Kongresu. Albo Kalifornia? Niektórzy twierdzą, że jest lepsza niż Oregon. To kraj wielkich możliwości, a brak w nim zdolnych, przedsiębiorczych ludzi.

Na ramieniu poczuł dłoń żony.

— Nie poszedłbyś spać, Irvine?

— Sam wiem, kiedy czas do łóżka. Nie musisz mi tego mówić.

— Bardzo późno, Irvine.

— Co z tego? Muszę jeszcze zajrzeć do Martina.

— Byłam tam. Nic więcej nie zrobisz. Teraz próbują mu dawać musztardę.

— Połóż się. Odpocznij.

Tadlock marudził jeszcze kilka minut, by uspokoić się, ochłonąć. Wreszcie podniósł się, wszedł do namiotu i jął zdejmować kapelusz, kurtkę, buty. Teksas? Kalifornia? Wszędzie potrzeba odpowiednich ludzi. Wszędzie potrzeba przywódców.

Boso wyszedł na murawę, podniósł zapomniany bykowiec, wrzucił go do furgonu i wróciwszy pod namiot położył się obok żony.

Zapadał właśnie w drzemkę po, jak mu się zdawało, wieki trwającej bezsenności, gdy brat Weatherby przyszedł z wiadomością, że Martin umarł.

Rozdział XIII

Evans umocował kabłąk jarzma, które przed chwilą założył wolu na kark, oburącz je podtrzymał, cmoknął na drugiego od pary i ten postąpił, by stanąć, gdzie trzeba. Miło mieć dobrze ułożony sprzężaj. Oszczędza to kłopotów i czasu.

Woły były pod jarzmem, gotowe. Należało już tylko przyczepić je łańcuchami do furgonu. Evans spojrzał na pożyczony od Macka zegarek. Szósta czterdzieści. Zdążył w samą porę, jak kapitanowi przystało. Niektórzy zwijali ostatnie namioty lub kończyli załadunek bagażu. Wewnątrz zagrody, gdzie stał Evans, mężczyźni jarzmili i zaprzęgali woły dopiero co przygnane z paszy; na zewnątrz inni wyciągali kołki namiotowe, kładli pale, rolowali płótna i wszystko to dźwigali w kierunku wozów. Spieszyli się, lecz postękiwali z wysiłku, jak zazwyczaj ludzie zaspani jeszcze, o mięśniach zesztywniałych po nocy. Kobiety wyczyściły naczynia zabrudzone przy śniadaniu, obecnie zaś stojąc pod plandekami furgonów pomagały rozmieścić właściwie ładunek. Te i owe, same lub z pociechami, odchodziły dalej, aby przed wyruszeniem w drogę załatwić naturalne potrzeby.

Poranek — myślał Evans — nim furgony złamią krąg zagrody i odjeżdżając rozciągną się w łańcuch na szlaku, to niespokojna, hałaśliwa pora. Mężczyźni burczą, odpowiadają gniewnie i równie szorstko odzywają się kobiety, senne też i przytłoczone spodziewanym brzemieniem całodziennych trudów. Młodsze dzieci krzyczą i płaczą, bo są rozkapryszone lub zbyt podniecone. Klekoczą ustawiane na furgonach skrzynie, a od czasu do czasu wół prowadzony pod jarzmo wyciągnie szyję i zaryczy przeciągle. Tło dla innych odgłosów stanowi jednostajne bzykanie komarów, które chmarami unoszą się nad każdą głową.

Evans schylił się, poklepał Rocka po głowie; wyprostował się zaraz, przeciągnął i głęboko odetchnął przez usta. Czul się świetnie mimo całego rwetesu. Powietrze tu smaczne — lekkie i ożywcze niby wysokoprocentowy trunek.

— Ładny będzie dzień, Becky — odezwał się zaglądając pomiędzy swoje furgony, gdzie krzątała się kobieta; zamknęła właśnie wieko i dopinała rzemienie skrzynki przeznaczonej na sprzęt gospodarski.

— Wiatr mógłby trochę powiać, przegonić komary — odpowiedziała.

— W drodze będą mniej dokuczliwe. Tutaj powietrze ani drgnie.

Chłodno było, ale Evans czuł już słońce. Na wschodzie widział skałę zwaną Courthouse, odległą lecz wyniosłą, fioletową po zacienionej stronie. Po prawej stronie rysowała się rdzawo smukła, strzelista sylwetka innej skały, Chimney. Na tle jednostajnego krajobrazu rozmaitość kolorów sprawiała niespodziankę: fioletowa skała, rdzawa skała, szare wydmy piaszczyste, rozległe płaszczyzny pod ukośnymi promieniami słońca żółtawe jak masło, niebo bez jednej chmurki tak szafirowe, że aż oczy bolą.

— Nigdy nie jestem równie pewien, jak w pogodny ranek — odezwał się znów Evans.

— Pewien czego?

— Wszystkiego — dźwignął skrzynkę z przyborami kuchennymi, wrzucił na furgon, dokładnie zasznurował plandekę. — Gotowe! Tylko zaprzęgać i jazda!

Wszedł do środka zagrody, rozejrzał się wokół, by sprawdzić, czy ktoś nie potrzebuje pomocy. Hig i Fairman szarpali się z opornym wołem. Pierwszy trzymał powróz nawiązany na rogach, drugi usiłował założyć jarzmo. Spostrzegłszy kapitana dali za wygraną. Hig uśmiechnął się doń na swój mało widoczny sposób.

— Wolałbym mieć bizona zamiast tego piekielnika — powiedział.

— Czemu nie uwiążecie go do koła?

— Na coś takiego się zanosi, chociaż diablo mi to nie pasuje. Założyłem się z bydlakiem, że dam mu radę. — Hig mocno ścisnął powróz jedną ręką, drugą zarzucił luźny koniec na szprychę koła, zaciągnął pętlę. — No i, jak widać, przegrałem.

Evans klepnął wołu po grzbiecie, a kiedy ten ciężko postąpił naprzód, Higgins zarzucił jarzmo.

Fairman zmarszczył czoło, energicznym zamachem ręki zgarnął komary z karku.

— Strasznie mi brak dobrych zwierząt — powiedział. — Wszystkie podbite. Ten piach w mig ścina kopyta.

— Wszyscy mamy to samo. Podobno z czasem kopyta hartują się, twardnieją. Ja czyszczę i szczeliny zalewam smołą — odparł Evans i ruszył dalej.

Dick Summers zapinał na dwu koniach juki ze szczupłym dobytkiem własnym oraz kaznodziei. Brat Weatherby stał opodal i, jak zawsze, dawał do zrozumienia wyrazem twarzy, że z serca rad by pomóc, gdyby potrafił. Evans zagadnął ich życzliwie, na co Dick odpowiedział spokojnym uśmiechem; kaznodzieja pełnym godności pochyleniem głowy.

— Gotowe — powiedział Dick; przywiązał jednego konia do kółka przy jukach drugiego i sięgnął po linkę wiodącą. — Pewno i tak poszłyby przyzwoicie, ale jeżeli pozwolisz, Lije, uczepię szkapy za twoim furgonem. Na wszelki wypadek.

— Zaraz tam wrócę.

Wszyscy byli, zdaje się, gotowi, nawet rodzina McBee, która nigdy nie może zdążyć w porę, albo raczej nie mogła do bardzo niedawna. Z dumą, trochę jak zwykle wstydliwą, Evans stwierdził raz jeszcze, że jego pomysł działa skutecznie. Niedługo pełnił funkcję kapitana, gdy pewnego wieczora zwołał wszystkich mężczyzn chcąc się dowiedzieć, jakie mają plany, na co się skarżą, a przede wszystkim zaradzić jakoś zwłoce i zamieszaniu przy porannym starcie. Zwierzył się Mackowi, a ten pochwalił projekt i podczas zebrania zaproponował, by ten, co się spóźni, tracił miejsce w kolumnie i szedł na koniec. Wszyscy myśleli, że to projekt Macka, więc głosowali za nim, i ostatnio spóźnień nie było. Jednakże Evans czuł się po trosze winny, doszedł do wniosku, że takie pokierowanie zebraniem zakrawa na podstępną machinację. Tyle że to coś znacznie lepszego niż narzucanie reguł z góry, trzaskanie batem.

— Jak się miewasz, Evans? — powiedział McBee, a jego żona wyjrzała spod plandeki furgonu i życzliwie pozdrowiła kapitana.

Trzej synkowie państwa McBee urządzali wyścigi, lecz na widok Evansa przystanęli i jęli gapić się nań spod nie tkniętych grzebieniem czupryn. Mercy nie było nigdzie widać.

— Na co czekamy? — zapytał gotów do drogi McBee i w uśmiechu poruszył niechlujnymi faworytami.

Kapitan dobył znów zegarek:

— Już prawie pora.

Wszedł między furgony, spojrzał na konie wyprowadzone na krótką poranną paszę, na stado bydła, które Brownie i inni przypędzili blisko taboru.

— Chciałbym z tobą pogadać — odezwał się McBee z taką miną, jak gdyby miał do zakomunikowania coś bardzo ważnego.

— O czym?

— Później się spotkamy. To sprawa raczej osobista.

— Dobrze. Pogadamy przy okazji — zgodził się Evans i bynajmniej nie uradowany pomyślał: Aha, znalazła się już sprawa „raczej osobista”.

Wrócił do swoich wozów, zaprzągł woły, pomógł Rebece wspiąć się na jej grzędę i jeszcze raz spojrzał na zegarek. Do siódmej brakowało około minuty. Summers siedział na koniu tuż przed furgonem, który za moment miał zrobić wyłom w kręgu i ruszyć pierwszy. Nieco dalej czekała w siodle reszta dzisiejszej szpicy: Shields, Carpenter i Brewer. Obok przewodnika stał Tadlock ze swoją srebrną trąbką w ręku. Evans poprosił go, by z rana dawał sygnał odmarszu, nie inaczej niż w czasach, gdy był kapitanem. Zrobił to wnet po wyborach. Współczuł trochę Tadlockowi i sądził, że taka funkcja sprawi mu przyjemność, no i trąbka stanowiła jego własność. Teraz uśmiechnął się, bo nie bardzo wiedział, który z powodów był rozstrzygający. Tak czy inaczej, były kapitan zgodził się — jak zwykle ostatnio — oschle.

Tadlock spojrzał wymownie na Evansa, a gdy ten podniósł rękę, trąbka zabrzmiała. Zawtórowały jej głosy woźniców. Trzasnęły baty. Ruszyły woły w jarzmach. Zgrzytnęły osie. Pośród obłoków kurzu, rżenia, gwaru, słów komendy wozy formowały łańcuch, zaczynały się znów toczyć w stronę Oregonu.

Tego dnia Evansowi przypadło miejsce niedaleko ogona kolumny. Idąc przy swoim pierwszym sprzężaju widział Summersa pośród grupki jeźdźców oraz trzęsące się za nimi furgony, między którymi odstępy rosły w miarę formowania szyku. Nim ranek minie, rozciągną się jeszcze bardziej. Na to trzeba zwrócić uwagę — uprzytomnił sobie Evans. — Zbyt duże rozproszenie to niebezpieczeństwo w razie napaści Indian. Obejrzał się ku luzem pędzonemu bydłu, które w tyle również tworzyło kolumnę.

Indianie mogliby narobić nie lada bałaganu, gdyby zechcieli, ale Evans nie bardzo się tym przejmował, szczególnie od czasu, gdy karawanę wyprzedził oddział kawalerii. Żołnierze powiadali, że to dragoni: pierwszy pułk dragonów pod dowództwem pułkownika Kearny'ego, który z kolei mówił, że za zadanie mają nastraszyć Indian, ostrzec ich, by dali spokój emigrantom. Dragonów było około trzech setek. Prowadzili także furgony zaprzężone w muły, dwukołowe działa, a za kolumną ciągnęło rzeźne bydło i owce. Spiesznym pochodem zmierzali do Laramie i dalej, aby zawrócić do

Southern Pass. Evans patrzył na złoto i błękit mundurów połyskujących dumnie w blasku słońca i kapitańska funkcja mniej mu ciążyła.

Inne sprawy też wyglądały pomyślnie. Ludzie byli zadowoleni i zdrowi, nie licząc przypadków rozstroju żołądka, wywołanego przez wodę z rzeki lub nadmierną ilość świeżego mięsa. Udała się przeprawa przez południową odnogę Platte. Za radą Dicka Summersa furgony wiązano ze sobą linami i do każdego zaprzęgano dwa jarzma wołów, aby w ten sposób szybciej przebrnąć ruchome piaski. Przez pewien czas karawana sunęła północnym brzegiem rzeki, a następnie ruszyła na przełaj do Ash Hole i rozwidlenia North Fork. Wszyscy dobrze zapamiętali ten postój, gdzie nie brakło cienia, świeżej wody ze źródeł i bujnej trawy. Zjazd z pasma wzgórz w zagłębienie był udany, bo wywrócił się tylko jeden furgon.

W przewidzianym czasie wędrowcy osiągnęli skałę zwaną Courthouse. Zatrzymali się tam i rozbili obóz nad małym strumieniem. Wszyscy byli zdania, że należy urządzić skromną uroczystość, ponieważ znajoma nazwa potwierdza niezbicie, że nie zmylili drogi. A może tak się czuli, jak gdyby byli bliżej domu i oglądali zachowane w pamięci widoki. Uroczystość przebiegła spokojnie, poważnie. Brat Weatherby odprawił modły i nikt nie weselił się zbytnio ze względu na Martina i Turleyów.

Kiedy pierwszego rana po objęciu funkcji kapitana przez Evansa tabor ruszył w drogę, Turleyowie byli widoczni długo, bardzo długo. Tkwili na miejscu, przy swoim starym furgonie i kilku nędznych sztukach inwentarza. Nie chcieli pójść z innymi, lecz nie zawracali w przeciwną stronę, jak gdyby na rozstanie zużyli całą energię i obecnie czekali biernie, co los zdarzy. Turley, jego żona i para chuderlawych dzieci siedzieli tak od świtu, spoglądali na świat tępym wzrokiem i krótko dziękowali za cukier, mąkę, bekon, które Rebeka, pani Mack i pani Tadlock kładły obok nich, by mieli zapasy na etap drogi uboższy w antylopy i bizony. Patrząc na nich, słuchając skąpych słów, co padały z ust do niedawna bardzo wymownych, można było pomyśleć, że kompania źle potraktowała Turleyów. Nie było tak, lecz wszyscy odczuwali pewne skrępowanie.

Nie inaczej niż inni Evans oglądał się często i uprzytamniał sobie, że tamci — mężczyzna, kobieta i dzieci z nędznym dobytkiem i byle jakim sprzętem — są dziwnie mali na tle niezmiernej pustki, która napiera zewsząd, lub raczej każe im zagubić się pośród bezkresnych równin i łysych piaszczystych pagórków.

Wreszcie — jak się zdawało po bardzo długiej zwłoce — Turleyowie ruszyli z miejsca. Nikła smuga kurzu malała i malała, póki nie pochłonęła jej odległość. Kapitan wypatrywał wędrowców, lecz nie był pewien, czy to, co widzi, nie jest tylko ułudą strudzonego wzroku. Nigdy nie cechowała go przesadna pobożność, lecz czuł się lepiej wiedząc, że brat Weatherby modlił się za Turleyów — błagał Boga, by raczył chronić ich od Indian, burz i nieszczęśliwych przypadków w podróży.

Krótko przed odjazdem i rozstaniem z Turleyami kaznodzieja powierzył Martina Panu nad pany. Evans, Summers i sam Tadlock wykopali dół. Przy pracy milczeli; każdy snuł własne myśli, a gdy grób był gotowy, złożyli w nim zwłoki. Nadszedł Weatherby i jeszcze raz odwołał się do swoich „Efezjan”. Oczywiście nie można było zbić trumny, więc owinęli zmarłego w koc, pod którym sypiał za życia, spuścili do dołu i przysypali piaskiem. Następnie Dick spalił trochę prochu na mogile i kazał przegnać przez nią

trzodę bydła. Mówił, że dzięki temu Indianie czy wilki nie znajdą trupa. Evans pomyślał, że nie odnajdzie go nigdy żaden zwierz ani człowiek. Grób przestanie istnieć w momencie, kiedy karawana ruszy. Kości Martina spoczną w nim do dnia sądu ostatecznego — będą nad nimi cwałować bizony, truchtem przebiegać wilki, a koła wozów przyszłych emigrantów znaczyć koleiny. I nikt nie odgadnie, że tam właśnie leżą szczątki człowieka — pospolitego człowieka o tępych oczach i kabłąkowatych plecach, posiadacza własnych spraw, trosk i pragnień — który wybrał się do Oregonu, zachorował w drodze i przed skonaniem wzywał Boga.

Przed pogrzebem Evansowi przyszło na myśl, że warto ogolić Martina. Rebeka była tego samego zdania. Twierdziła, że człowiek winien wyglądać przyzwoicie idąc na wieczny spoczynek. Wobec tego Evans zeskrobał z twarzy nieboszczyka szczeciniasty zarost, inni ubrali go w to, co miał najlepszego (nic nadzwyczajnego zresztą), i Martin prezentował się po śmierci całkiem schludnie.

Gdy tabor ruszył wreszcie, Evans był przygnębiony i w nowej roli kapitana wydawał się sobie bardzo mały, zagubiony bez Summersa, który wyjechał na czoło kolumny, gdzie rozkiełznał konia i wędrował pieszo.

Evans cenił wysoko przyjaźń Dicka. Miał w nim podporę i to krzepiło go wewnętrznie. Może z tej właśnie racji nie nadaje się na kapitana? Może kapitan winien być człowiekiem wystarczająco mocnym, by radzić sobie we własnym zakresie, obywać się bez cudzej pomocy, nie licząc normalnych obowiązków przewodnika: wskazywania szlaków oraz brodów i strzeżenia taboru przed Indianami. Trudno, taki już jest. Nigdy zresztą nie starał się przewodzić. Będzie szukał podpory w Dicku, a jeżeli wyniknie jakaś trudna sprawa, zwoła radę starszych. Inni też miewają trafne pomysły. Niestety jednak — uprzytamniał sobie z przykrością Evans — czasami trzeba będzie działać samodzielnie. Od kapitana wymaga się czegoś więcej — nie tylko szukania w drugim podpory i zwoływania rady. Kapitan powinien dodawać ludziom odwagi, wzmagać ich wiarę we własne siły. Tak czy inaczej, musi dbać, aby w kompanii panowała jedność i pochód trwał nieprzerwanie. Musi przewodzić, jeżeli mu to nawet nie odpowiada, bo inaczej rozlezie się wszystko. Evans medytował tak i żałował, że obecnie ma na głowie nie tylko swoją rodzinę.

Wysmarknął pył z nosa i dłonią przetarł oczy. Dolina była tutaj głębsza i węższa, zarośnięta nie spotykanymi dotąd roślinami. Wokół widać było cierniste kępy czegoś, co Dick nazywał hiszpańskim bagnetem, a brat Weatherby igłami Adama. Wzdłuż szlaku pieniły się bezimienne kwiaty — jedne przypominały lilie, inne stokrotki — purpurowe, białe i żółte. W pogodne dni kobiety i dzieci zbierały całe bukiety. Ale musiały uważać, bo grzechotniki trafiały się coraz częściej.. Szczęście, że do tej pory nikogo nie ukąsiły. Kapitan zasępił się na myśl o grzechotnikach pomnażających jeszcze jego brzemię.

W pewnym stopniu wszyscy złożyli przyszłość w jego ręce, ufając, że wystarczy mu sił i rozsądku, aby pomyślnie doprowadzić karawanę, dokąd trzeba. A przecież wielu ludzi prawie nie zna — tyle że przy spotkaniu wymienia z nimi „dzień dobry”. Są parobcy — Botter najęty przez Fairmana i Moss, który służy u Macka — Shields, Carpenter, Insko, Davisworth. Ci zapewne też głosowali na niego, a w każdym razie nie przeciwko niemu. Trzeba zbliżyć się do nich, nie, jak dotychczas, trzymać

się z dala tylko dlatego, że to ludzie nieokrzesani albo nieskorzy do zażyłości. Kapitan winien znać swoją kompanię, do ostatniego ciury.

Odwrócił głowę. Zobaczył, że Rebeka wygramoliła się z furgonu i maszeruje obok sprzężaju. Uśmiechnął się do niej. W podróży schudła trochę, lecz wyglądała z tym lepiej. Była mniej przygnębiona, obolała, zmęczona. Wyraz twarzy miała żywszy niż kiedykolwiek dawniej.

Ponownie oczyścił nos, mocno naciskając go palcem naprzód z jednej strony, później z drugiej. Pomyślał, że do Oregonu przywiezie nieco piasku z Platte, którego nie zmywa przecież zapiaszczona woda.

Nie było wiatru, więc kurz podnosił się, wolno osiadał na wszystkich i wisiał ciężką chmurą, wlokącą się daleko za ostatnimi sztukami pędzonego luzem bydła. Za to słońce odbywało swoją drogę, grzejąc życzliwie, tylko tak, że robiło się miło i sennie. Na niebie jęły się pojawiać nieliczne białe obłoki. Zrzedły roje komarów. Może gromadzą się przed wieczornym oblężeniem?

Evansów poprzedzały furgony byłego kapitana. Tadlock szedł skrajem szlaku. Nadal miał na sobie kurtkę o wielu kieszeniach, którą wdział wczesnym rankiem, gdy było chłodno. Maszerował energicznym, miarowym krokiem, głowę trzymał wysoko. Dzielnie zniósł swój upadek i Evans widząc to doznawał znacznej ulgi. Zamknął się w sobie, nie kręcił się po biwakach, nie wypatrywał uchybień. Odstawał swoje godziny na straży i z ludźmi rozmawiał uprzejmie, jakkolwiek szczędził słów oraz uśmiechów. Po śmierci Martina porozumiał się z Brewerem i od tej pory dwunastoletni syn Niemca pomagał mu przy obrządku stada i powoził drugim furgonem na zmianę z panią Tadlock.

Evans skierował woły w lewo, aby nie zjechać z łukowatego szlaku. Furgony skrzypiały podskakując na wybojach, grzęzły w piasku. Od czasu do czasu kapitan łowił uchem klekot obręczy, którą Hig, majster do wszystkiego, musiał naciągnąć na koło. Najemnik Fairmana świadczył rozmaite usługi na postojach, chociaż wolny czas wolał poświęcać grze na skrzypcach. Jego umiejętności musiały starczyć do czasu, kiedy w Laramie będzie można kupić miech oraz inne narzędzia kowalskie i fachowo naprawić uszkodzenia. W Laramie uzupełni się też zapewne prowiant mąką i wędzonymi ozorami bizonów. Chyba będzie tam żywność. Niektórzy mówią też o kupnie wołów albo zamianie podbitych na zdrowe. Jak daleko do Laramie? Dick twierdzi, że od skały zwanej Chimney jakieś sześćdziesiąt mil. Przy jakim takim pośpiechu to cztery dni drogi, najwyżej pięć. W przodzie i po lewej stronie wzgórza stawały się coraz wyższe, bardziej zębate, Chyba to już zapowiedź łańcucha Scott’s Bluffs? Bliżej kilka dzikich koni pasło się na zboczu. Przestały szczypać trawę i obserwując karawanę wysoko zadzierały głowy.

Evans przyglądał się im, gdy od strony pędzonego luzem bydła nadjechał McBee z faworytami pokrytymi szarą warstwą pyłu. Splunął i przemówił z uśmiechem:

— Stworzenia dobrze idą, jak się je ma na oku. Zaraz tam wrócę.

Evans potraktował te słowa jak zbędny meldunek złożony przez podwładnego kapitanowi po to jedynie, by dowieść własnego zdyscyplinowania. Nie przypadł mu do gustu ani sam fakt, ani ton raportu.

McBee zsiadł z konia i począł maszerować u boku Evansa.

— Piękny dziś dzionek — podjął. — Jak Boga kocham.

— Aha. Niezły — przyznał krótko Evans i bezwiednie spojrzał na Rocka trzymającego się jego nogi.

W myśli zadał sobie pytanie, czy jest nieprzychylnie usposobiony wobec niego tylko z tej racji, że McBee chciał niegdyś zabić Rocka. Odpowiedź brzmiała: nie. Niezależnie od tamtej sprawy nie potrafiłby czuć sympatii do brudasa, lenia, cwaniaka, człowieka, który nic sobą nie reprezentuje. Nie potrafiłby czuć sympatii do McBee ani jego żony i nadziwić się nie mógł, że tacy ludzie mogą mieć córkę o urodzie i wdzięku Mercy. Musiał przyznać, że to dziewczyna nie tylko bardzo ładna, lecz również skromna i uczciwa — przynajmniej sprawia takie wrażenie. Ale pochodzi z takiego gniazda, że w gruncie rzeczy nie może być wiele warta. Kilka lat więcej, kilkoro dzieci i kubek w kubek będzie podobna do taty i mamy — pomyślał Evans i skarcił się w tym momencie. Pan Bóg ma prawo karać za grzechy ojców, lecz nie Lije Evans. On, nie inaczej niż każdy inny człowiek, nie powinien odmawiać tej dziewczynie szansy lepszego życia. Ale tak czy owak, zadowolony był, że Brownie nie umizga się do Mercy McBee.

— Właśnie dziś powiedziałem mojej starej: „Jak Boga kocham, teraz wiem, że się uda. A z początku nie wiedziałem, słowo daję” — zaczął znów natręt.

Evans usiłował wyobrazić sobie, jak wygląda jego twarz pod zarostem: dolna szczęka zapewne słabo zarysowana, usta bez wyrazu. Niedojda! A jednak ma w sobie jakąś odporność, coś, co go utrzymuje na powierzchni. Z pewnością jest silniejszy niż Turleyowie.

— Tak, panie szanowny, musi się udać — ciągnął McBee; uśmiechał się odsłaniając zęby, powyszczerbiane i nieprawdopodobnie brudne, przytakiwał sam sobie ruchami głowy.

Evans patrzył na niego i wiedział, o co chodzi. Słowa, uśmiechy, gesty mają być przymilne, mają wyrażać uznanie. McBee umizga się do nowego kapitana, zabiega o względy, pragnie ważności stanowiącej cień cudzej władzy. Chce powiedzieć coś istotnego, ważnego, chce się zasłużyć.

— Od początku byliśmy przekonani, że musi się udać — odrzekł chłodno Evans.

— Właśnie, właśnie. Tak być powinno. Ale dopiero teraz mamy pewność.

Kapitan nie podjął tematu. Dobrze wiedział, co powinien zrobić: posłać McBee do wszystkich diabłów. Ale to przychodzi niełatwo. Przecież niektórzy cenią komplementy, nawet rozmyślnie wyławiają je z cudzych ust. Nie w tym jednak sedno sprawy. Evans nie nabrałby się na pochlebstwa, nie dał ogłupić. Po prostu nie był w stanie potraktować surowo życzliwości — nawet takiej na pokaz.

— Już dawno chciałem ci powiedzieć, Evans — podjął McBee — że nie chowam urazy z powodu psa i w ogóle.

— Ja też. To dobrze. Przeszło, minęło.

— Moja stara miała rację, że ty, Evans, dochrapiesz się kapitana.

— Wcale się nie dochrapywałem.

— Aa... tak... Naturalnie, że nie — podchwycił McBee.

Evans spojrzał na niego i rzucił mocniej, niż zamierzał:

— Słuchaj, McBee, lepiej trzymałbyś nadal z Tadlockiem.

McBee zaciął usta. W jego piwnych, głęboko osadzonych oczach Evans dostrzegł nagły błysk nienawiści.

— Ma się rozumieć. Będę z nim trzymał — powiedział.

Przez chwilę szedł obok kapitana. Prowadził konia. Milczał.

— Chyba wrócę do stada — bąknął wreszcie, wspiął się na siodło i odjechał.

Evans patrzył czas pewien jego śladem. Później odwrócił głowę, spojrzał na uśmiechniętą porozumiewawczo Becky i poczciwego, starego Rocka, który dreptał między nimi. Przyszło mu na myśl, że należy teraz strzec się McBee — nie jego jawnej wrogości, ale podstępnych, chytrych machinacji. Trzeba dobrze uważać na bydło i to samo przykazać synowi, chociaż trudno uwierzyć w czyjąś złą wolę, póki brak dowodów.

Rozdział XIV

Ze stoku od południowego wschodu widać było zabudowania fortu, połyskujące biało w blasku przedwieczornego słońca w miejscach, gdzie nie padały na nie długie cienie drzew. Opodal, nieco niżej, rysowały się stożki indiańskich namiotów, również białe lub lekko brunatne — zależnie od wieku. Pomiędzy wigwamami panował ruch. Kręcili się mężczyźni, kobiety, dzieci. Chude indiańskie psy snuły się tu i tam, węszyły poszukując resztek strawy. Dalej szczypały trawę konie wypędzone na paszę o chłodzie późnego popołudnia.

Summers tkwił w siodle, patrzył, myślał o wielkich zmianach, które tu zaszły. Gdy ujrzał tę krainę po raz pierwszy, była jak on młoda, jak on szalona, nie zastanawiała się nad własnym wiekiem. Nie istniało tu żadne osiedle, żadna oswojona Indianka nie błagała o perkaliki, Były jedynie bobry i bizony, i wysokie trawy falujące w dolinie Laramie. Wiatr dął smutno, dźwięczał pustką, bezkresem, echami miejsc nie tkniętych stopą białego. Człowiek mówił sobie, że nazajutrz zobaczy, skąd ów wiatr wieje, układał się do snu otulony skórą bizona i był samotny, silny, zadowolony.

Teraz w promieniu pięćdziesięciu mil nie ma bizonów ani bardzo już rzadkich bobrów, a wiatr niesie ludzkie głosy, postukiwanie młotków, zapachy osiadłego życia. Tamten odległy punkt u zbiegu Laramie i Platte to niewątpliwie Fort Platte, zbudowany już po rozstaniu Summersa z górami. Bliżej leży Fort Laramie (czy też Fort William, jak mówią niektórzy), ale i tutaj zaszły znaczne zmiany. Dick pamięta Fort Laramie z roku trzydziestego szóstego (a może to był trzydziesty siódmy?) — zwyczajne zabudowania z drewna, jak każda inna osada. Cóż, jedne zmiany przynoszą ze sobą inne. Teraz widnieją pobielane mury uwieńczone wieżą, niby jaki zamek; handlują tu skórami bizonów, towarem, którym nigdy nie zawracałby sobie głowy prawdziwy traper z gór.

Na dalszym planie ciemnieje łańcuch Black Hills, czarny od sosen i cedrów, ukoronowany szczytem Laramie Peak. A za tymi wzgórzami i zasięgiem wzroku są Red Buttes, Sweetwater, Southern Pass i Green River — miejsca, pośród których Dick Summers roztrwonił młode lata jak trwoni skórki bobrów traper, pewien, że znajdzie ich więcej tam, skąd przybył. Po tej stronie przełęczy, ku północy, jest Popo Agie. Popo Agie. Dick kształtuje te słowa ustami, wspomina, że miały w sobie szelest bieżącej wody, gdy wymawiała je młoda Indianka z plemienia Crow. Ashia znaczy potok w języku Crow. Popo Ashia — płynny dźwięk, ciepło dziewczyny u boku Dicka; obydwoje byli wtedy nasyceni, pogodni, ona śmiała się słuchając jego ćwiczeń w języku Crow. A teraz uleciało z pamięci nawet imię tamtej dziewczyny; ona nie żyje już albo jest stara i nie pamięta zapewne Długiego Noża, z którym dzieliła posłanie. Nie mógł sobie przypomnieć jej twarzy, pamiętał tylko ciepło i okrągłości ciała, i młodą skórę jędrnych ud. Wszystko to odpłynęło, jak Popo Agie o wartkim błękitnobiałym nurcie, jak

zieleń wyniosłych drzew, jak wyższe jeszcze góry Wind Mountains i bogaty połów bobrów u tamy, co nigdy dawniej nie widziała pułapek.

Dick Summers zdawał sobie sprawę, że powinien wrócić do taboru, ale nie ruszał z miejsca i w pamięci budził rzeczy dawno widziane. Laramie — ongi wrota gór, a jeszcze dawniej ich część składowa. Wędrowiec musiał mieć tutaj czujny wzrok i rękę w pogotowiu. Musiał uważać, czy zachowanie konia nie wróży bliskości Indian, i ściskając stary karabin Hawkena, pilnie wypatrywał bizonów. Oczywiście i dzisiaj Pawnisi, Siuksowie, a nieco dalej również Czarne Stopy grożą pewnym niebezpieczeństwem, ale jest to niebezpieczeństwo inne — błahe. Zagon kukurydzy — nawet tak nędzny jak tamten w pobliżu fortu — nie godzi się z wojennym okrzykiem i nożami do skalpowania. Zagon kukurydzy to domki farmerskie, kobiety, dzieci, które bez strachu swawolą w słonecznym blasku: symbol nudnych przyjemności, obrosłego tłuszczem kałduna, wzroku przytępionego wśród bezpieczeństwa.

Dawniej, w Missouri, Dick Summers nie zastanawiałby się, jak wiele z tych starych gór zostało w nim nadal. Zarzynał wieprze, uprawiał zboże, handlował wołami i mułami, nocą legiwał obok Mattie i odpędzał wspomnienie bobrowych strumieni, kanionów otwierających nagle miłą dla oka perspektywę, Indianek, które dawały mu przelotną radość, by odejść wnet do świata rzeczy utraconych i pożądanych. Popo Ashia. Te słowa mają w sobie szum bieżącej wody.

W gruncie rzeczy on jest i będzie zawsze człowiekiem z gór, chociażby musiał znowu orać, grzebać motyką w ziemi, oprawiać wieprze, a dla człowieka z gór w dzisiejszym świecie brak miejsca i coraz go mniej z upływem czasu. Jeszcze kilka lat i szaleniec rozmiłowany w traperce będzie coraz natykał się na piknik — chce czy nie chce. Bizony giną, chociaż rozmaici fryce twierdzą, że trzy cielęta rodzą się za każdą upolowaną krowę. Wkrótce ludzie z gór będą żarli świninę i nie poznają zapachu ani smaku tłustego garbu bizona. Nie będą też wiedzieli, jak groźnymi przeciwnikami potrafili być Czarne Stopy albo Indianie Rees. Dick Summers chwilami prawie tęsknił do dawnych Czarnych Stóp i Indian Rees, dziś wyniszczonych ospą białego człowieka. Dzięki nim życie miało niezrównanego ducha, bo każdy dzień przetrwany był dniem wygranym.

Oto ruszył w drogę, w pogoń za żywymi wciąż wspomnieniami. Chce je tropić, szukać zadowolenia w ich budzeniu, słuchać bicia własnego serca na myśl, że te góry, lasy, rzeki stanowią dowód, iż zabawiał się tu niegdyś, stawiał pułapki, liczył złowione bobry, spieszył na punkt zborny, oglądał wschody dzikiego, pierwotnego księżyca. Ale czy tak naprawdę nie ściga tylko swojej młodości? Czy wyrazy „bóbr”, „potok”, „Indianka”, „niebezpieczeństwo" nie są rozmaitymi imionami tamtych odległych lat?

Otrząsnął się. Na Boga, człowiek potrafi zmienić własne życie w widmo przeszłości. Czy nie lepiej radować się tym, co pozostało? Nie warto rozczulać się nad sobą.

Dick Summers zawrócił konia i pokłusował w stronę taboru.

— Nie mogę już doczekać się tego fortu — powiedziała Rebeka Evans.

Dogoniła męża i szła teraz obok niego pewna, że pojedyncze jarzmo wołów przy jej furgonie będzie człapało dalej bez popędzania.

— Już całkiem blisko — odrzekł Lije, odgadując, co Becky ma na myśli. — Niedługo tam będziemy.

— A ile czasu zostaniemy?

— Nie więcej niż będzie trzeba. Półtora dnia, może dwa. Pilno nam przecież.

— Czy Laramie to już pół drogi?

— Nie, Becky, a wmawianie sobie czegoś takiego nic nie pomoże.

— Ile ujechaliśmy dotąd?

— Z górą sześćset mil. Tak Dick powiada.

— Ile zostało?

— Mniej więcej tysiąc trzysta.

— Mogłoby być gorzej, prawda?

Lije nie odpowiedział żonie. Szedł dalej z pogodną twarzą, żuł cybuch próżnej fajki, patrzył na rząd furgonów w przodzie, od czasu do czasu oglądał się, by sprawdzić, czy u ogona kolumny również wszystko w porządku. Karawana odbiła nieco od rzeki i sunęła po równej wyżynie, gdzie trawa chrzęściła pod kołami furgonów. Woźnice mieli głowy pełne Laramie, więc trzaskali z batów lub puszczali w ruch kije. Sprzężaje nie zwracały na to uwagi, jak to zawsze podbite i zdrożone woły.

— Stworzenia tak kuleją, że chyba trzeba będzie zrobić dłuższy postój — zaczęła znów kobieta, ale mąż przygryzł mocniej cybuch fajki i przecząco pokręcił głową.

Westchnęła bezgłośnie, bo przyszło jej na myśl, że z rozkoszą spędziłaby w forcie resztę życia. Dość miała brudu i niewygód uciążliwej podróży, oczu załzawionych od dymu, grzbietu obolałego od pochylania się nad ogniskami, nóg zdrętwiałych od przesiadywania na ziemi. Dobry Boże! W forcie nie drażniłby jej ustawicznie piasek w butach!

— Ładnie dotychczas jedziemy — odezwał się Evans.

— Aha. Bardzo ładnie. — przyznała.

Dziwaczni są mężczyźni, nawet tacy jak jej Lije. Niewymyślną radość sprawia mu wysiłek mięśni i skrzypienie kół. Im więcej mil zostawia za sobą, tym jest weselszy — jak gdyby najważniejszy cel w życiu stanowiło żłobienie kolein, a najlepsze dni upływały w drodze. Wcale mu nie przeszkadza jedzenie jakiejś brei przyprawionej piaskiem.

Oczywiście i ona wiedziała, że muszą odbyć nie byle jaką podróż, by dostać się do Oregonu. Wiedziała z góry, ale wieczorami nie potrafiła cieszyć się na myśl, że znacznie oddalili się od poranka. Wieczorami była zmęczona i smutna, nie radowała się nadziejami jutra i nieraz zadawała sobie pytanie, czy Oregon jest naprawdę taki, jak fama głosi.

Lije lubi słońce — ba! — nawet wiatr, a wśród tumanów kurzu maszeruje tak, jak gdyby nie przyjmował ich do wiadomości, ponieważ nic poradzić na nie niepodobna. Tymczasem jej słońce wydaje się okrutne, bezwzględne i okrutne mimo olśniewających blasków, wiatr przejmujący, a skrzypienie piachu w butach obrzydliwe.

— Jest Dick — powiedział Evans.

Rzeczywiście, Rebeka zobaczyła Summersa na koniu i w skórzanych spodniach. Ręką dawał jakieś znaki taborowi, ale żeby popatrzeć na Dicka, musiała schylić głowę, odciąć się daszkiem pasterki od słońca świecącego prosto w twarz. Przy sposobności pomyślała, że ta twarz przedstawia opłakany widok, że — poczerwieniała od słońca, spękana od wiatru —

przypomina raczej męską niż kobiecą. Przykro jej się zrobiło, bo chociaż z woli bożej była rosła, tęga, pozbawiona lekkości i wdzięku, chciała czuć się kobietą, chciała mieć czystą, gładką skórę i czasami coś ładnego na sobie — nie tylko dla męża, lecz również przez wzgląd na siebie samą jako kobietę. Wiedziałaby wówczas, że jest na właściwym miejscu. Myślami wybiegała naprzód do Fortu Laramie, gdzie zapewne znajdzie przyjemną gorącą wodę i czas, by umyć się porządnie, i może pozbędzie się nareszcie uporczywego bólu w kościach. Wracała też do Missouri, do domu, stałego miejsca wypełnionego chłodem, i do mleka stojącego w dzieżach pod kożuchem śmietanki. Wspominała cień dębów, owocujące drzewa, spiżarnie, zapasy żywności i naczynia stołowe, skrzynie na odzież, zapach pieczonych ciast nieodłączny wówczas, jak dzisiaj zapach obozowych dymów. W Missouri miała dom, coś na dobre przytwierdzonego do ziemi, a spoglądając przez okno albo drzwi wiedziała dobrze, co zobaczy. Czuła się tam swojsko patrząc na bardzo niedalekie pagórki i drzewa, i niebo jakieś mniej wyniosłe. Jeżeli zaś ogarniało ją zmęczenie, wiedziała, gdzie i jak odpocząć.

Ostatnio zebrała się w sobie, sprawniej funkcjonowały jej ciało i umysł, obecnie jednak miała wrażenie, że dalej nie pójdzie za nic. Lije nie Lije, Brownie nie Brownie, nie przestąpi Laramie. Zostanie tutaj, na prerii. Niech toczy się tabor, wiatr dmie, słońce praży; niech ustępuje stopniowo bydlęce zmęczenie, niepokój ducha, niech kurz oddala się, rozprasza, niknie.

Przystanęła, by mąż nie zobaczył jej twarzy, przez moment obejmowała spojrzeniem jego oddalające się plecy, czekała na swój sprzężaj przy drugim furgonie. Później ruszyła znowu naprzód medytując, że Lije bez reszty zajął się Oregonem i chce, by obchodził ją wyłącznie furgon powierzony jej pieczy. Schylała głowę chroniąc wzrok przed blaskiem słońca, patrzyła na swoje stopy — najpierw na jedną, potem na drugą — i dziwiła się, że stać ją jeszcze na podobny wysiłek. Rock przybiegł skądś, otarł się o łydkę Rebeki, spojrzał jej w twarz, jak gdyby za tą maską wyczuwał wewnętrzną troskę. Pogłaskała stare psisko i w tym momencie usłyszała głos Dicka Summersa, który nadjechał i zawróciwszy konia ruszył obok Evansa.

— Przy rozwidleniu Laramie teren nisko położony — mówił przewodnik. — Dobre miejsce na biwak będzie tuż koło fortu.

Kapitan skinął głową.

— Warto, Lije, żebyś odwiedził naczelnika fortu.

— Ma się rozumieć. Kto to taki?

— Ktoś mi mówił, że Jim Bordeau. Jak zdrowie, pani Evans? — Summers zwrócił się do Rebeki. — I co? Stary Rock wciąż jakoś żyje.

— Właśnie znalazł się przed chwilą. A moje zdrowie nie najgorzej, wcale nie najgorzej.

— Cieszę się. No, Lije, wyjadę trochę naprzód.

Czołowe furgony kolumny poczynały niknąć za grzbietem zasłaniającym, jak przewidywała Rebeka, widok na Laramie. Zdawać się mogło, że koła grzęzną para po parze, później pudło, później chwiejący się dach okryty plandeką.

Lije zatrzymał wozy znalazłszy się na grzbiecie wzgórza. Rebeka zrównała się znów z mężem, spojrzała na sunącą zboczem kolumnę

furgonów i położony niżej Fort Laramie: jasne, świeżo bielone mury, drzewa, długie cienie na murawie, rzekę pośród zarośli.

— Nie wyobrażałam sobie, że widok zabudowań może tak ucieszyć.

— Nic dziwnego, Becky. To przecież Fort Laramie.

— Nie w tym rzecz. Wzrusza mnie to, że mam przed sobą budynki.

— Aha. W każdym razie to Fort Laramie.

— Jak myślisz, Lije? Są tam krzesła? Prawdziwe krzesła?

Evans uśmiechnął się oczyma.

— Z całą pewnością! — powiedział i podskoczywszy lekko tanecznym krokiem, zaśpiewał:

Czy pojedziesz ty ze mną, dziewczyno,
Nad daleki Pacyfiku brzeg?

— Bardzo chce mi się usiąść na krześle — odpowiedziała.

*

Mercy pomyślała, że nigdy jeszcze nie była równie szczęśliwa. Muzyka miała skrzydła, noc oddychała marzeniami, ogromne gwiazdy — uśmiechnięte, pełne obietnic — zerkały ku niej z góry, więc dziewczyna nie wątpiła teraz, że ojciec postąpił słusznie. W Oregonie wszystko będzie całkiem inaczej. Jak pan się czuje, panie Mack, w białej koszuli z rękawami podtrzymywanymi na gumkach? Widzę, że wyraz troski zniknął z pańskiego czoła. Nie odgadnie pan, jak często myślę o panu, chociaż wiem, że nie powinnam, jak często rozglądam się, wypatruję pana wśród obłoków kurzu nad taborem. Czy w tańcu ociera się pan o mnie celowo?

Muzyka jest dokoła, muzyka jest i wyśpiewuje słowa, których Mercy wstydziłaby się wymówić, bo jest nieśmiała — obce słowa o sprawach, co na zawsze winny pozostać w sekrecie. Ciepłą noc rozjaśnia wielkie ognisko, które połyskuje drobnymi ognikami w oczach Indian stojących wokół pierścieniem. Muzyka posiada rytm, Brownie. Czas, żebyś się tego nauczył. Niech rytm muzyki prowadzi twoje nogi.

Zmiana miejsc, Mercy! Krok w prawo i zmiana. Ręka w rękę. Piłuj, Hig, piłuj skrzypce, ty i śniady Metys, który uzupełnia kapelę. Przygrywaj nocy, przygrywaj gwiazdom. Przygrywaj małej McBee, co bawi się z dorosłymi, lecz jest tak onieśmielona, że nie może dobyć z siebie słowa.

Patrzcie wszystkie oczy. Patrzcie gwiazdy. Patrz nocy oddychająca marzeniami. Mercy ma na sobie sukienkę z falbaniastym kołnierzem, a nikt nie musi wiedzieć, że te trzewiki nosiła stara pani Brewer i Mercy dostała je za pomoc przy dzieciach.

Mercy potrafi tańczyć. Ma dobry dzień. Z pewnością nie zobaczysz tu lepszej niż ona.

Ramię dotyka ramienia — może trochę za mocno. Dłoń ściska dłoń. Mężczyźni zwracają uwagę na Mercy — poważni, dorośli mężczyźni o gładko wygolonych twarzach i godnym sposobie bycia, właściciele furgonów, sprzężaju, bydła pędzonego luzem za karawaną. Mężczyźni — nie żadni tam chłopcy! Chociaż chłopcy także nie szczędzą spojrzeń; oczy mają pełne młodocianej lękliwości i młodocianych pytań.

Dobry wieczór, panie Byrd. Świetnie pan tańczy. Dobry wieczór, Botter z zatabaczoną brodą. Dobry wieczór, panie Fairman. Ma pan bardzo rozumną żonę. Nie, ja nie jestem taka. Daleko mi do jej mądrości. Dobry wieczór, panie Gorham... Oo, jest znowu pan Mack. A gdzie pańska żona? Czy nie lubi tańczyć?

Ukłon partnerowi, zmiana miejsc i posuwisty krok. Uśmiechają się gwiazdy, noc jest coraz głębsza, serce bije mocno w takt muzyki, nogi chodzą same, płynnie porusza się całe ciało, a w Oregonie będzie z pewnością wspaniale. Mercy McBee! Ma szesnaście lat, jest szczęśliwa, lecz tak onieśmielona, że ledwie stać ją na nikły uśmiech. Nie wie, co mówić, nie wie, jak odpowiadać na zbyt mocne dotknięcie ramieniem lub uścisk ręki. Dotychczas uczono ją posłuszeństwa, więc z przyzwyczajenia wierzy, iż wyrażona słowem albo gestem ręki wola dorosłych równa się rozkazom. Trudno coś wiedzieć, panie Mack, bardzo trudno, skoro ktoś ma szesnaście lat i do tej pory robił tylko to, co mu polecono. Nie znaczy to wcale, że pan mi się nie podoba, panie Mack. Podoba mi się pan, i to bardzo. Jest pan mądry, bogaty i dotąd nikt podobny do pana nie zaszczycił nigdy spojrzeniem takiej jak ja dziewczyny, i bardzo chciałabym odgarnąć z pańskiego czoła ten niesforny czarny lok. Chodzi o to, że wiem bardzo mało. Dorosłam ciałem, ale nie umysłem. Pan, panie Mack, powinien zdawać sobie sprawę, jaka jest Mercy...

Muzyka umilkła. Hig złożył na kolanach skrzypce i smyczek, uśmiechnął się do Mercy bezzębnymi ustami. Odpowiedziała uśmiechem, bo wobec Higa nie czuła onieśmielenia. Był zwyczajny, nie taki ważny jak inni, chętnie dowcipkował i nigdy nie traktował serio tego, co ona mówi albo robi.

Pośród tłoku i gwaru złowiła uchem stłumiony, ciepły głos pana Macka. Czy zechciałaby pójść z nim na spacer? Spotkać się z dala od blasku ogniska, gdzieś bliżej rozbitego przed wieczorem obozu? Pan Mack mówił to z nikłym uśmiechem i trochę przypominał chłopca, który pod lękliwością kryje nie ubraną w słowa decyzję. Dodał jeszcze, że noc jest bardzo piękna. Nadal mówił cicho przy wtórze licznych, bardziej donośnych głosów. Muzyka nie zagra rychło, bo skrzypkowie są zmęczeni. Może Mercy zechce przejść się z nim trochę?

W skrytości była pewna, że zechce, lecz serce zmartwiało w niej na moment, jak gdyby z niepokojem czekało odpowiedzi. Bała się odrzec „tak”, a „nie” trwożyło ją jeszcze bardziej. Czuła się prawie dorosła, bo smarkuli nie proponowałby przecież spaceru pan Mack, dojrzały mężczyzna o ciemnych oczach i pociągłej twarzy z interesującym wyrazem troski. Będzie przechadzać się z godnością, rozmawiać z godnością i nie pomyśli nawet o ciemnym loku, który tak chciałaby odgarnąć z czoła pana Macka.

Bezwiednie przytaknęła gestem głowy i w tejże chwili pan Mack odwrócił się, przepadł w tłumie. Mercy powzięła decyzję i teraz nie mogła doczekać się, co będzie dalej. Krew krążyła w niej żywiej, oddech dławił w gardle, a cała jej istota zdawała się powtarzać: „Przyjdę. Tak, panie Mack. Obiecałam, że tam będę. Przyjdę, proszę mi wierzyć”.

Brownie Evans zaczepił ją, gdy wymykała się z tłoku, jak gdyby właśnie teraz miała czas dla niego.

— Wracasz do obozu, Mercy? — powiedział. — Może cię odprowadzić. Tak będzie bezpieczniej.

Na chłopięcej twarzy miał niepewny uśmiech. Zdawać się mogło, że z trudnością przychodzą mu słowa. Dziewczyna spojrzała nań i zrozumiała nagle, co się z nim dzieje. Ubawiło ją to odkrycie i sprawiło pewną satysfakcję. Zapewne umknęłaby bez słowa, gdyby w oczach chłopca nie wyczytała nagiej szczerej prawdy o jego uczuciach. Nieoczekiwanie ogarnął ją smutek, więc odpowiedziała cicho i łagodnie:

— Dziękuję, Brownie. Nic mi się nie stanie.

Z tymi słowy uskoczyła w przyjazną ciemność, lecz do chwili spotkania z panem Mackiem wspominała, jak wyraźnie twarz chłopca rozpromieniła się od tonu jej głosu.

— Przyszłaś — szepnął Mack, jak gdyby nie bardzo wierzył własnym słowom.

Później ujął Mercy za łokieć i poprowadził w kierunku odwrotnym niż obóz, w górę rzeki, gdzie ludzie nie przechodzą krążąc między biwakiem a fortem.

— Bardzo piękna noc — dodał raz jeszcze.

— Tak — przyznała słabo, bo głos jej dławił przyśpieszony oddech i gwałtownie bijące tętno. — Czy tu aby bezpiecznie?

— Zupełnie. Fort blisko. Zresztą mam przy sobie pistolet.

Ręka zsunęła się z łokcia, sięgnęła niżej. Mercy była bierna, pozwoliła, by jego palce gładziły wnętrze dłoni, igrały z jej palcami.

— Zapewne, Mercy, wydaję ci się stuletnim starcem?

— Nie.

— Ale nie czuję się staro. A dzisiaj, Mercy, mam wrażenie, że jestem równie młody jak ty.

— Ja tam nic nie wiem, proszę pana.

— Nikt nic nie wie.

Zatrzymał ją pod drzewem czerniejącym tuż nad wodą i podjął, jak gdyby z tłumionym gniewem:

— Nikt też nie chce wiedzieć.

Rzeka szemrała w mroku, wtórował jej wiatr, który zerwał się i jął poruszać liśćmi. Bardzo daleko odezwała się znów muzyka — muzyka i stłumiony gwar ludzkich głosów. Ognisko sprawiało stąd wrażenie jednej z wielu gwiazd — tyle że połyskiwało na ziemi.

— Nikt też nie chce — powtórzył Mack, uwolnił rękę Mercy i raptownie przygarnął ją do siebie.

Krzyknęła bezgłośnie, gdy na wargach poczuła jego łakome usta. Czy tak można, panie Mack? Pan jest starszy. Pan powinien wiedzieć. Mnie się wydaje, że tak nie można, że to nie w porządku. Ale pan powiada, że nikt nic nie wie... Lękliwym ruchem odgarnęła niesforny lok z jego czoła.

Nagle czuje pod sobą murawę i ręce — natrętne, starsze, rozumne, kochane ręce. Łoskot wzburzonej krwi tłumi dalekie echa muzyki i tańca. Huragan gorącego oddechu zasnuwa gwiazdy mgłą. I ból ostry niby klinga w ciele, ból gwałtowny, coraz gwałtowniejszy. Milkną skrzypce, ciemnieje niebo, niknie wszystko. Pozostaje tylko to i nic, nic więcej. Gwiazdy wirują i osiadają w miejscu, aby zajaśnieć znowu.

Potem Mercy chce tylko płakać, leżeć i płakać, słuchać powracającej nocy, muzyki, gwaru, który dobiega z oddali. I czuje na sobie jego rękę, rękę przynaglającą, by się podźwignęła.

— Przepraszam, Mercy. Strasznie mi przykro... Skończony głupiec ze mnie.

Głos Macka zadźwięczał nutą rozpaczy tak wielkiej, że i dziewczyna odczuła jej brzemię.

— Nie martw się — szepnęła. — Jeszcze mi gorzej, kiedy wiem, że ci przykro.

— Kochana jesteś.

Spragniona tkliwości, stęskniona do pieszczoty wsparła głowę na jego ramieniu.

— Wiedziałam, że tak nie można.

— Moja wina.

— Nie powinnam tego mówić, ale ja także chciałam.

Mocniej objął ją ramieniem, lecz odpowiedział:

— To nie powinna być miłość. Rozumiesz, Mercy? To nie może być miłość.

— Wiem.

Długo — zdawało jej się, że bardzo długo — siedziała przytulona do niego, ważyła w myśli nabrzmiałe grozą pytanie. Kiedy odezwała się wreszcie, głos jej był cichy, zdławiony strachem.

— Czy coś mi będzie od tego, proszę pana?

— Nie sądzę — odparł skwapliwie. — Nie, Mercy, nic ci nie będzie.

— Na pewno?

— Na pewno.

— Nie mam nikogo. Tylko pana.

— Na pewno nic ci nie będzie — powiedział Mack i z wolna cofnął rękę obejmującą ramiona dziewczyny. — Trzeba wracać, Mercy.

— Nie chcę już tańczyć.

— Pójdę za tobą. Dopilnuję, żebyś bezpiecznie trafiła do swojego namiotu.

— Nic nie chcę. Siedziałabym tu tylko i siedziała przy tobie.

Delikatnie położył dłoń na jej ramieniu.

— Lepiej już iść, Mercy.

Podniosła się, obciągnęła sukienkę z falbaniastym kołnierzem, przytuliła się do Macka, głowę złożyła na jego piersi, oburącz uczepiła się białej koszuli.

— Mercy — szepnął przygarniając ją znów do siebie. — Maleńka Mercy.

I tym razem głos mężczyzny zabrzmiał tonem rozpaczy, było w nim jednak coś więcej, co niosło pewną otuchę.

— Szalony jestem, Mercy, nie dla ciebie. Odpowiedz „nie”! Dla własnego dobra odpowiedz „nie”! Ale słuchaj... Czy spotkamy się jutro wieczorem?

W bębnach indiańskich była szczególna moc, która przytłaczała kaznodzieję. Szatan nie próżnuje — myślał patrząc na tancerzy, a bicie pałką o wysuszoną skórę zdawało mu się czymś więcej niż podawaniem taktu, gardłowy chór więcej niż przyśpiewką. Kryła się w tym zachęta do

gwałtu, grzechu, podnieta namiętności. Wprawa, z jaką tancerze naśladowali bizony, przywodziła na myśl bałwochwalstwo.

Słońce zaszło niedawno i światłość nie zdążyła jeszcze spłynąć z nieba, więc brat Weatherby mógł śledzić wszystkie obroty, podskoki, gwałtowne ruchy głowy młodych Indian. Spowici w bizonie skóry, od których nie odjęto rogów, podrygiwali w takt bębnienia, gestykulowali rękoma, porykiwali głucho. Kaznodzieja stał na uboczu, w gronie swoich towarzyszy, z frontu przyglądał się popisom i wątpił, czy tym prymitywnym dzikusom zdoła objawić cud słowa bożego.

Mocniej wierzył we własne siły zaraz po nabożeństwie, które odprawił dla Siuksów w topolowym lasku. Oczywiście nie był to dom boży, gdzie czułby się bardziej swojsko i działał sprawniej mając podporę w znajomym aparacie obrzędowym. Pod gołym niebem, bez otoczenia ścian, bez kazalnicy i pulpitu pod Biblię miał wrażenie, że przypomina dawnych proroków wołających na puszczy. Mimo wszystko jednak zgromadzenie religijne wypadło dobrze. Indianie — kobiety i mężczyźni — zachowywali się przystojnie, byli skupieni i jak mniemał brat Weatherby z zainteresowaniem słuchali jego modłów, napomnień oraz śpiewu „Obwołajże nam noc, strażniku”, chociaż nie pojmowali oczywiście treści słów.

Na prośbę kaznodziei Dick Summers był obecny, aby tłumaczyć pytania i odpowiedzi. On również słuchał z powagą, jak Indianie, tylko od czasu do czasu zdradzał go filuterny błysk w szarych oczach. Bezbożnik z tego Summersa, przyzwoity, dobry człowiek, ale bezbożnik; daje do zrozumienia, że na prywatny użytek posiada własną, szerszą wiedzę. Kaznodzieję drażniło to, gdyż uznawał tylko jedną wiedzę — miłość Boga — jednakże musiał przyznać, że Dick Summers nie ma w sobie nic z zadufanego mędrka. Przeciwnie! Jest zgodny, uczynny, nawet do przesady szczodry i zaradny tak, że każdej wyprawie śmiało można życzyć równie doskonałego człowieka. Brat Weatherby dobrze pamiętał, by często dziękować Bogu, iż raczył obdarować kompanię owym grzesznikiem, chwilami zaś niemal wierzył, że utoruje sobie drogę do królestwa niebieskiego, jeżeli uda mu się sprawić, aby Summers przejrzał wreszcie.

Zakończył ostatnią modlitwę, gestem przyzwał Dicka i polecił mu przełożyć pytanie: „Czy Siuksowie pragną poznać drogi Pana nad pany? Czy pragną być zbawieni?”

Summers zaczął mówić gardłowo, na indiański sposób; pomagał sobie tym, co nazywał językiem ruchów. Siuksowie płci obojga zgodnie kiwali głowami, a następnie sędziwy wódz powstał, aby gestykulując również wygłosić przydługą orację. Zachował przy tym godność i taką swobodę, że brat Weatherby zazdrościłby mu szczerze, gdyby zazdrość nie była uczuciem nikczemnym.

— Co on powiedział, bracie Summers?

— Dobra nasza! Powiedział, że Siuksowie pragną poznać wielki lek białego człowieka.

Lek — pomyślał Weatherby. — Lek? Pod wpływem pierwszego wrażenia chciał przemówić surowo, zganić Indianina za opaczne rozumienie rzeczy wielkich i świętych. Nagle jednak zrozumiał, że wódz ma rację. Pan nad pany to przecież lek, jedyny lek skuteczny na niedomagania duszy. Brat

Weatherby zanotował w myśli, by wobec zgromadzenia białych wykorzystać przy sposobności tę metaforę.

— Co więcej, bracie Summers?

— Wyraził nadzieję, że Księga Boża napełni mięsiwem spiżarnie Siuksów i chronić ich będzie od nieprzyjaciół.

— Powiedz, że Księga Boża zbawi ich nieśmiertelne dusze.

— W mowie Indian nie ma słowa „dusza”.

Brat Weatherby ogarniał wzrokiem skupione, kamienne twarze, lichą odzież, nędzne błyskotki uchodzące za ozdoby i myślał, że zarówno dusze, jak ciała tych ludzi są surowe, pozbawione łaski. Odczuwał gwałtowny przybór smutku, współczucia dla prostaczków, pobłażliwej miłości, z jaką sam Bóg musi spoglądać na niedoskonałe stworzenia tej ziemi. Racz, o Boże, być wyrozumiały i cierpliwy. Pomnij, błagam, że owi biedacy nie mieli sposobności Cię poznać. Owioń ich tchnieniem Swojego Ducha i uczyń, o Panie, chrześcijanami. Niech Twój gniew dosięga mędrków, deistów, bluźnierców, karz tamtych, jeżeli taka Twoja wola, lecz ulituj się nad nieświadomą dziatwą.

Kaznodzieja odczuwał czasami pełne podziwu uwielbienie, czasami występną urazę na myśl, że Bóg jest tak cierpliwy i wyrozumiały wobec białych, którzy mając swobodny wybór między cnotą a grzechem piją, klną i oddają się rozpuście. Teraz patrząc na poważne, nieruchome twarze brat Weatherby zwrócił się do swojego Boga:

— Niechaj tamtym, o Panie, przypadnie właściwa zapłata. — Jednakże zmienił pogląd i po zastanowieniu jął modlić się znowu: — Nie pozwól mi, o Panie, sądzić pochopnie i spraw, abym pamiętał, że wyrokowanie to sprawa Twojej wszechmocy i sprawiedliwości. Niechaj za wolą Twoją wspominam czas własnych pokus i własnego grzechu, i składam Ci korne dzięki, iż czas ów minął, a Duch Twój okrzepł we mnie. Spraw, abym z pokorą i mądrością czynił dzieło Twoje. Okaż mi, Boże, łaskę wyrozumienia i cierpliwości.

Po wymianie pytań i odpowiedzi Indianie podchodzili kolejno do kaznodziei, jeden po drugim ściskali jego dłoń, więc biedak umacniał się w przekonaniu, że nigdy ziarno nie trafiło na podatniejszą glebę.

Ale obecnie, gdy młodzi wojownicy zaczęli skakać i porykiwać, wracało zwątpienie. Oto dorośli ludzie naśladują dzikie bestie! Inni przyśpiewują w takt szatańskich werbli, czerpiąc zachętę z tłumu białych, co stoją wokół, aby się przypatrywać!

— Ależ oni to paradnie odstawiają — dobiegł go z boku czyjś głos.

Brat Weatherby odczuł świeżą falę zniechęcenia. To straszne! Dokoła chwała boża, w górze jawi się cud nocnego sklepienia niebios, przed nimi dzień śmierci i sądu. Tymczasem Indianie nie mają nic lepszego do roboty tylko udawać zwierzęta, a biali gapią się na to i radują! Słyszał, że wielka spółka, American Fur Company, patrzy ostatnio złym okiem na handel alkoholem, mimo to jednak poczuł obok siebie plugawy odór whisky.

Taniec ustał i wnet rozpoczął się drugi, tym razem był to taniec psów. Przez pewien czas Weatherby tkwił na miejscu, patrzał, mało co widząc; później odwrócił się i ruszył w mrok ściskając pod pachą Biblię, która była mu ostoją i pociechą.

Zapadła wreszcie noc i z dala od ognisk leżała gęsta i miękka. Kusząca — pomyślał z żalem brat Weatherby, wspominając dni własnej słabości. Z

Bogiem i tylko z Bogiem dusza może zatriumfować nad ciałem, a to, że im potężniejszy żar krwi, tym chwalebniejsze bywają zwycięstwa cnoty, stanowi tylko dowód nieskończonej mądrości Pana nad pany. Ach, gdyby można otworzyć niewidzące oczy ludzi zarówno białych, jak czerwonych! Brat Weatherby zna drogi zbawienia, na razie jednak przygniata go świadomość grzechu i ogrom zadań. Powołany przez Boga, by udać się daleko, nie odmawia posłuszeństwa, lecz czyni swoją powinność, choć słaby jest i niegodny. Oby Pan wybaczyć mu raczył wahania. Oby słowa jego rozpalił ogniem, co nawet najgorszym odsłoni światło prawdy.

Odnajdując w gwiazdach potwierdzenie boskiej mocy i wszechobecności, kaznodzieja radował się, że jego Bóg — Bóg prawdziwy — nie jest odległy, niedostępny, że nie wymaga, by na katolicką modłę zjednywać Go liczeniem paciorków różańca, ani trafiać doń drogą wątpliwych pośrednictw, w które wierzy Daugherty. Jego Bóg jest bliski, łaskawy, gotów w każdej chwili wysłuchać modłów pokutnika. Dobry człowiek znajdzie Go we własnym sercu, skoro tam poszuka.

Po prawej stronie, z dala od szlaku wędrówek między obozem a placem gdzie tańczono, ktoś poruszył się i zatrzymał, jak gdyby wolał uniknąć spotkania. Weatherby przystanął również.

— Kto tam? — zawołał.

— Mack — odrzekła ciemna postać występując z mroku. — Dobry wieczór, bracie Weatherby.

— Dobry wieczór.

— Widziałeś tańce?

— Tak. Obrzydliwe.

— Ciekaw jestem, czy Bóg je pochwala?

— Nie żartuj z Boga, bracie.

— Nie żartuję. Zastanawiam się tylko.

— Miej wiarę. To jedyna odpowiedź na wątpliwości.

— Ale nie na zagadkę życia — powiedział Mack, a treść i ton jego słów tym bardziej przygnębiły kaznodzieję.

— W to też musimy wierzyć.

— Bez względu na wszystko?

— Tak. Bez względu na wszystko. Nie zawsze potrafimy zrozumieć Boga, bo Jego wielkość przerasta nasze pojmowanie.

— Czegoś takiego uczono mnie w kościele metodystów.

— Nie wiedziałem, Mack, że jesteś metodystą.

— Byłem.

Weatherby pokręcił głową. Drażniło go poczucie własnej bezradności i ból na wieść o lekkomyślnym odtrącenia wiecznej prawdy.

— Miej wiarę — powiedział. — Troski, kłopoty, pokusy to tylko próba.

Mack roześmiał się krótko, posępnie.

— Wszystko złe przychodzi z naszej winy. Wszystko dobre zawdzięczamy Bogu.

— Mówisz jak deista.

— Nie znam tego wyrazu.

Weatherby był zbyt zmęczony, by podjąć dysputę, zbyt załamany, by odpowiedzieć, jak należy.

— Wrócisz do metodyzmu — bąknął. — Będę modlił się za ciebie.

— Lepiej, bracie Weatherby, proś Boga o pomyślność dla całej kompanii. Podobno kraj przed nami roi się od bizonów tak, że podróżować niebezpiecznie nawet w gromadzie. No i nie brak Indian.

— O to wciąż błagam Pana, ale za ciebie chcę modlić się specjalnie. Powrócisz do nas, bracie.

— Kto raz uwierzy, wierzy — powiedział Mack. — Albo inaczej: kto raz uwierzy, kiepskim będzie niedowiarkiem. Może masz słuszność.

— Dobrej nocy, Mack.

W swoim namiocie brat Weatherby odmówił jeszcze jedną modlitwę.

— W ręce Twoje oddaję się, Boże Wszechmocny. Racz obdarzyć mnie siłą i rozumem, abym mógł pełnić służbę Twoją. Bądź mi pomocny wobec grzeszników, dzikich oraz wątpiących jako brat Mack, aby zdołali dostrzec bezmiar dzieł Twoich i padłszy na kolana, wielbili Cię kornie. Pozwól mi pamiętać, o Panie, że słuszne jest wszystko, co czynisz. Racz błogosławić nasze szczupłe grono i szczęśliwie przywieść je do Oregonu. Amen.

Łagodne tchnienie nocy przyniosło do uszu kaznodziei łoskot bębnów wystukujących rytm tańca psów.

Rozdział XV

Bizony — myślał Evans. — Tysiące, miliony bizonów z lewej i prawej strony, przed i za nami. Zdaje się, że cała ziemia od nich skudłaciała. Osaczają tabor, racicami podnoszą tuman pyłu, co snuje się nisko niby mgła. Człowiek żyje za krótko, aby je przeliczyć, jeżeli nawet potrafiłby rachować do tyłu. Nie zdoła też rozpoznać poszczególnych głosów, bo krowy ryczą, buhaje dudnią głucho, cielęta meczeniem wzywają matki, lecz wszystko to zespala się i łączy w jeden potężny, ogłuszający łoskot.

Gdyby nie widok nagich, jałowych wzgórz pasma Red Buttes, sterczących z lewej strony, oraz żałosnych, pół- wyschłych sadzawek w oprawie solnego osadu, Evans sądziłby, że ziemia ożyła nagle i niby ze skorupy jaja wykluwają się z jej wnętrza garby, rogate łby, kudłate skóry.

Bizony nie umykały przed kolumną, cofały się tylko opornie. Może niezmiernej liczbie zawdzięczały śmiałość, może były słabe z przyczyny braku trawy. W każdym razie spoglądały spode łba na furgony i odchodziły, by dalej szukać paszy, oczyściwszy swój szlak tak dokładnie, że kury nie umiałyby lepiej. Zostały tylko wysokie kępy szałwii pachnącej terpentyną czy kamforą w miejscach, gdzie została stratowana.

— Bez skrupułów nazwałbym cię łgarzem, Dick, gdybyś mi o tym mówił — odezwał się Evans.

Summers odwrócił się w siodle, przebiegł spojrzeniem kolumnę furgonów, którą wyprzedzali o jakieś pół mili.

— Mięsa w bród, prawda?

— Za to trawa jak wygolona.

— Cóż — w oczach starego wygi błysnął uśmiech — dopytywałeś się o bizony, Lije.

— Piekielny kraj! Z jednej ostateczności w drugą. Albo nie ma bizonów, albo są wyłącznie bizony.

— I wilki — dorzucił Summers.

Naturalnie, wilki! Jak psy za suką włóczą się gromadami za każdym stadem bizonów. Wywieszają mokre ozory, żółtymi ślepiami wypatrują zabłąkanego albo chorego cielęcia czy też sztuki zbyt starej, by reszcie dotrzymać kroku. O, tam na prawo dopadły krowy, która ugrzęzła w błotnistej słonej kałuży; już ją rozszarpują, chociaż próbuje jeszcze wydostać się z matni. Para jastrzębi spływa cicho z góry i ląduje tuż obok, by czekać.

Bizony i wilki — myślał Evans — i koniki polne, którym zabrakło trawy, by po niej skakać. Wokół poniewierają się bizonie żebra, piszczele, czaszki ogołocone do cna, gładkie i czyste niczym polerowany metal. Tu i ówdzie, w miejscach gdzie skała przenika warstwę gruntu, grzechotnik z drgającym ogonem układa w zwoje ohydne cielsko.

Nie spodziewał się, że zobaczy kiedyś podobny widok — dziki, bogaty, srogi, pełen mocy — widok, który przejmuje grozą i jednocześnie podnosi

ducha: bezkresne równiny wspinające się wyżej i wyżej ku łańcuchom górskim, drzewa rozsiane z rzadka, lecz wyniosłe i krzepkie, kopuła nieba tak lazurowego, że oczy łzawią, rzeczy odległe zbliżone, zarysowane ostro, niby w lunecie i bizony, pokrywające ziemię, i głuchy ich pomruk, co przesyca powietrze.

Pośród ogromu tych pierwotnych bogactw Evans wyczuwa znów wielkość — wielkość i małość zarazem. Spogląda ku wijącym się za nim furgonom i myśli z dumą o nieugiętym uporze, o wspaniałym włóczęgostwie ludzi, z którymi się związał. Ich włóczęgostwo to sprawa serca, nie rozumu. Tak, sprawa serca i jego sekretów powikłanych i ukrytych głęboko. Pieniądze? Ziemia? Nowe możliwości? Patriotyzm? Wszystko to razem wzięte nie wystarcza lub raczej nie wystarczało na początku. Jednakże człowiek idzie dalej i dalej, uprzytamnia sobie, jak rozległą i bogatą ma ojczyznę i duma, o której zrazu gadał, staje się tak realna, że nie znajduje słów, by ją wyrazić.

To dobrze — medytuje dalej — że popaśliśmy dwa dni w Laramie. Można było przejrzeć i naprawić wozy, wymienić sprzężaj, uzupełnić prowiant. Tyle że ten handel nie bardzo się opłacał — żywność była na wagę złota. Mąka — i to piekielnie gruba — czterdzieści dolarów beczka! Ale tak czy inaczej wszyscy są teraz zasobniejsi, nawet golec McBee, któremu Mack pożyczył na kupno kawy, cukru, mąki oraz dopłatę przy zamianie wołów. Evansowi zaimponowała taka hojność, nie wątpił bowiem, że Mack stracił te pieniądze.

Bądź co bądź tabor prezentował się wybornie — suto zaopatrzony, wyremontowany, gotowy do dalekiej podróży. Obecnie szlak z Laramie znaczyły przenośne kuchnie, kowadła, kamienie żaren, meble powyrzucane z furgonów, które wspinały się na piaszczyste zbocza, aby okrążać miejsca nie do przebycia z racji głębokiej lub zbyt wartkiej wody. Dick mówił trochę od niechcenia, że to najtrudniejszy odcinek drogi po wschodniej stronie wielkiej przełęczy.

Ogólnie biorąc, pochód odbywał się coraz składniej. Bardziej przestrzegano teraz rozkładu czasu oraz kolejności zmian przy rozlicznych zajęciach, lepiej działo się bydłu. Ludzie mądrzeli stopniowo — na przykład w sprawie broni. Karabiny ładowano nadal, ale nie nakładano spłonek ani nie podsypywano prochu na panewki od czasu, kiedy Botter wypalił przypadkiem i zadrasnął Higa w siedzenie. Hig potraktował sprawę z humorem i pogodą. Zapewnił towarzyszy, że z tyłu ma coś niecoś do zbycia — byle nie z przodu. Przy sposobności Evans zaproponował, aby zdjąć spłonki, a panewki podsypywać prochem tylko w razie potrzeby. Wszyscy orzekli, że to dobry pomysł, bo inaczej trudno ustrzec się od wypadku.

Nawet Indianie budzili obecnie mniej obaw i w razie czego nie zaskoczyliby nieprzygotowanych. Za Laramie karawana spotkała gromadę Czejennów zmierzających do fortu z ładunkiem bizonich skór, więc sprawnie stanęła obronnym kręgiem, a Dick wyjechał na rozmowy. Trochę tytoniu, paciorków, stara czerwona koszula, proch i kule załatwiły sprawę, jednakże później Indianki z dziećmi, a także młodzi chłopcy zaglądali pod plandeki furgonów chcąc obejrzeć i obmacać bogactwa białych. Przy sposobności zginęło kilka noży, Davisworth stracił siekierę, a Shields starą strzelbę. Ale Dick był zdania, że zdarza się to każdej wyprawie.

Evans nie przypisywał poprawy własnym zasługom, sądził bowiem, że ludzie nauczyliby się z czasem wielu rzeczy bez względu na osobę kapitana, ale był zadowolony widząc dokoła pogodę i dobrego ducha. Nawet sam Tadlock przestał się stroszyć i zachowywał się normalnie.

Summers zmącił tok myśli kapitana:

— Zanosi się na burzę. Popatrz ku zachodowi.

Dopiero wtedy Evans zauważył chmurę podnoszącą się nad wzgórzami.

— Burze przychodzą tutaj od zachodu?

— Czy ja wiem? W Laramie słyszałem, że deszcz przynoszą wschodnie wiatry.

W ciszy, która nastąpiła, począł znów dudnić przeciągły ryk bizonów.

— O ile sobie przypominam — podjął przewodnik — do wody stąd niedaleko.

— Chcesz powiedzieć, że wcześniej powinniśmy zrobić postój?

— W tych stronach widywałem bizony, które wędrowały masowo za Laramie i diabli wiedzą dokąd.

— Nie podoba ci się to, Dick?

— Przypomina dawne czasy.

— Ale nie podoba ci się? — Jednej zimy nad Powder było od bizonów tak gęsto, że musieliśmy palić ognie, by utrzymać je z dala od obozu. Na szczęście nie było popłochu.

— Rozumiem, chociaż myślałem głównie o zniszczonych pastwiskach, no i o Indianach, którzy znajdą się pewno tam, gdzie jest tak wiele zwierzyny.

— Ty, Lije, nie widziałeś nigdy popłochu i szaleńczego biegu bizonów?

— Nie.

Evans odczuł trwogę w momencie, kiedy Dick wyraził słowami to, co dotychczas stanowiło tylko mglistą wizję. Nigdy nie widział takiego popłochu, lecz spoglądając na burzową chmurę i równinę oraz stoki wzgórz ciemne od bizonów, mógł sobie coś podobnego wyobrazić. Wyobraził też sobie, iż w nocy budzi go ogłuszający tętent. Zrywa się pełen lęku o Rebekę, Brownie'ego, resztę kompanii, jest nieruchawy, bezradny, niby w złym śnie, a łoskot trwa i z mroku wyłaniają się pierwsze nisko pochylone łby, pierwsze racice, co rychło stratują wszystko dokoła.

— Nawet myśleć się o tym nie chce — powiedział.

— Nie przejmowałbym się, Lije, gdyby nie kobiety i dzieci — odparł Summers.

— Nie spłoszy bydlaków nawet kolumna wozów?

Dick rozłożył ręce, nie mówiąc: tak ani nie, i zerknął ku zachodowi, na słońce, które zrobiło już mniej więcej pół drogi od zenitu. Odwrócił się znów w siodle.

— Krowy dobrze wyglądają — powiedział. — Konie również.

— Zastanawiam się nad cielętami bizonów — podjął kapitan snując nić własnych myśli. — Jak sądzisz, Dick, może niektóre pociągną za naszymi krowami?

— To się zdarza. Ale lepiej pilnować własnego bydła, żeby nie pociągnęło za bizonami.

— Właśnie. Wyprawiłem do pilnowania stada kogo się dało. Chyba i sam powinienem tam wrócić zamiast z tobą badać drogę. Jeżeli mamy

zapas soli, warto by wieczorem rozsypać trochę, żeby utrzymać bydło blisko.

— Nie wiem, czy to pomoże. Stworzenia są okropnie wymizerowane. Będą szukać trawy. A zresztą soli nie brak. Wszędzie leży płatami.

— Strułyby się taką solą. Wiesz dobrze.

Umilkli i, jak sądził Evans, obydwaj myśleli o tym samym. Błądzili wzrokiem po stadach bizonów i chmurze

pęczniejącej wciąż nad zachodnim widnokręgiem. Wreszcie zatrzymali się nad czymś, co słońce pozostawiło z niewielkiego jeziorka: mętną kałużę w obramowaniu białej skorupy, z której gdzieniegdzie sterczały kości. Dick zeskoczył z konia, przebrnął słone bajorko, zanurzył palec w wodzie, oblizał i pokiwał głową.

— Czyste szczyny — orzekł.

— Zostawimy proporczyk — powiedział kapitan — żeby tabor nie zbliżał się zanadto. Stworzenia są spragnione, mogłyby tu zboczyć.

Odjechali od wody i uwiązawszy szmatę na wysokiej kępie szałwii zaczekali czas jakiś, by się upewnić, że woźnica pierwszego furgonu dostrzegł znak.

— Podejrzewałem, że to kiepskie jezioro — zaczął znów Summers — ale ostatecznie mogło okazać się jakie takie. Brak też drewna na opał, a widzisz, zawsze woda jest na nic tam, gdzie nie rośnie wierzba ani topola, tylko szałwia i oset.

Przez następną godzinę Summers i Evans jechali w milczeniu przeganiając ze szlaku bizony, tak jak farmer przepędza własną trzodę. Nie było końca cielętom, krowom, wojowniczym buhajom, nie było końca tumanom kurzu i ogłuszającemu pomrukowi.

— Jak się nazywa miejsce, gdzie staniemy? — zapytał kapitan.

— U diabła! Nie wiem, Lije, Ludzie z gór rzadko nazywają miejsca, prócz bobrowych strumieni, niektórych wzgórz i, czasami, wodopojów.

Evans zamknął usta, bo doszedł do wniosku, że Dick nie ma ochoty na rozmowę. W milczeniu począł obserwować chmurę. Była wzdęta, złowróżbna, lecz stała nadal w miejscu, jak gdyby niepewna, w którym kierunku ruszyć. Raz jeden przekreśliła ją błyskawica.

Dick podniósł się w strzemionach, wyciągnął rękę przed siebie.

— Zdaje się, mam — oznajmił. Evans wytężył wzrok i poprzez obłok pyłu nad grzbietami bizonów zobaczył jasną smugę strumyka i niewyraźny kontur grupy drzew. Jadąc w tamtym kierunku medytował: punkt bez nazwy. Widać go teraz, rychło rozłożymy tam biwak, z rana ruszymy dalej, jeżeli szczęście dopisze. Punkt bez nazwy, jak dziesiątki innych miejsc postoju, brodów, wzgórz, kotlin — na całym szlaku od Independence. Trudno ustawić je w jakiej takiej kolejności, trudno nawet pamiętać, gdzie tabor obozował wczorajszej lub onegdajszej nocy. Punkty bez nazwy giną na tle długiego niby wieczność pasma minionych dni, rozpływają się wśród niezliczonych mil, przestronnych równin nad Platte, wzgórz na zachód od Laramie. Kaw, Big Blue, Little Blue, Platte, Ash Hole, skała zwana Courthouse, Horse Creek, Laramie, Big Spring, Deer Creek, bród przez północną odnogę Platte. A wszystkie miejsca między tymi drogowskazami? Scott’s Bluffs, Wyspa Brady'ego, Wakarusa, gdzie przed wiekami Lije Evans odczuwał mętnie, że jest daleko, bardzo daleko od domu. Punkty bez nazwy, bezimienne mile wzdłuż rzeki, parów, gdzie pękła oś furgonu,

biwak na płaszczyźnie nagiej niby kość wyschła na słońcu. To i owo można wyłowić z pamięci, ale głąb świadomości zapełnia tylko dzień po dniu trwające skrzypienie kół, kurz, spiekota, wicher, deszcz, błoto i chłód, i Turleyowie, co zawrócili z drogi, i Martin, który wzywał zmiłowania bożego. Dawniejsze życie wydaje się cudzym, zupełnie różnym. W tym, co upływa teraz, Lije Evans od początku poganiał sprzężaj, rozpoznawał szlak, czuwał nad pędzoną luzem trzodą. I nie zna teraz innej drogi, prócz drogi na zachód.

Czuł się z tym dobrze. Miło mu było, pogodnie, tyle że dziś zaczyna odczuwać niepokój.

W rozlewisku źródła i nad wodą stało kilkanaście bizonów, maruderów gromad, co nadciągnęły tutaj, by napić się i ochłodzić, a następnie ogołociwszy do cna brzegi ruszały dalej w poszukiwaniu świeżej trawy. Gdyby coś pomogło porykiwanie i grzebanie racicami, wszystkie miałyby brzuchy pełne od samego rana.

Dick puścił luźno wodze. Spod oka zerknął na spłonkę założoną, jak trzeba, obok panewki jego karabinu.

— Warto położyć jedną czy dwie krowy, póki są blisko — powiedział odjeżdżając stępa, by Evansowi zostawić czas na przygotowanie broni; później ruszył galopem.

Przez minutę bizony stały bez ruchu, zdziwione i wyczekujące. Następnie przeszły nagle w niezdarny cwał; te, które były w wodzie, wygrzebywały się z niej ciężko i pozostawały w tyle. Krowa trafiona przez Dicka padła o niespełna dziesięć kroków od sadzawki. Evans był mniej szybki, lecz nie spudłował również. Jego krowa zgarbiła się jak gdyby usiłowała biec, ale przewróciła się na bok i zaczęła wierzgać rozpaczliwie. Ledwie zdążyła upaść, a już dwa wilki zjawiły się w pobliżu i zza nierówności gruntu jęły wytrzeszczać łakome oczy.

Evans spuścił krew upolowanym sztukom, a następnie prowadząc konia za uzdę podszedł do Dicka, by przyjrzeć się źródłu i sadzawce. Stary wyga zajął się ładowaniem strzelby, lecz nieustannie spoglądał na wilki, które mogły przecież dobrać się do mięsa. Nadciągające tu od dawna i odchodzące stada bizonów zmąciły sadzawkę i zapaskudziły tak, że Evans zerknął na nią i powiedział:

— Woda na nic. Prawda, Dick?

— Hm... Jest mokra.

— Ale niewiele lepsza od krowiego moczu.

— Ustoi się. No i sporo bieżącej daje źródło.

— Od takiego czegoś człowiek skudłacieje jak bizon, jeżeli nie wyciągnie kopyt.

— Furda — mruknął Summers wtykając na miejsce stempel karabinu. — Pijałem wodę z kałuż tak gęstą, że lać się nie chciała.

— Pewno to racja. Ale wiesz co? Zaczynam żałować, że nie wybraliśmy szlaku w lewo od rzeki.

— Byłaby ta sama historia. Przy takiej masie bizonów nie odczepisz się, Lije, od piachu, błota i tego, co te stworzenia narobią. Tutaj mamy słodką wodę, a ostatecznie mocz bizona to nie trucizna.

Dick rozejrzał się dokoła, by wybrać miejsce najdogodniejsze pod zagrodę, a kiedy nadciągnęła kolumna furgonów, konno pojechał na czoło i, jak zwykle, zatoczył regularny krąg.

Evans musiał zostać przy zabitych krowach, pilnować, by ich wilki nie ruszyły. Myślał, że noc będzie ponura, czarna, pełna wilczego wycia i ryku bizonów — daj Boże, żeby się na tym skończyło. Słońce opadało ku nabrzmiałemu krańcowi chmury, rozpłomieniało go ciemnopurpurowym blaskiem.

Nadszedł Dick Summers.

— Będę potrzebował pomocy przy ćwiartowaniu.

Evans twierdząco skinął głową i powiódłszy konia ku swoim furgonom uwiązał go do koła.

— Jak tam, Brownie — zwrócił się do syna.

Za nim i przed nim, dokoła zagrody, trwała krzątanina przy wołach. Przeważnie wyprzęgały je kobiety i starsze dzieci, gdyż prawie wszyscy mężczyźni czuwali przy stadzie. Evans zwrócił uwagę, że na biwaku panuje wyjątkowa cisza, jak gdyby wszyscy, nie tylko on, czuli się zagubieni w bezkresnej przestrzeni, na oświetlonej szkarłatno równinie rojnej od dzikiego zwierza.

— Gdzie Rock? — zapytał Evans.

— Okulał trochę, więc zapakowałem go do furgonu — odparł Brownie.

Rebeka, obolała i zesztywniała, zsunęła się ze swojej grzędy w drugim furgonie.

— Słowo daję, Lije! — westchnęła. — Ile tych stworzeń... Okropny widok.

— Pękałem ze śmiechu — podchwycił Brownie — mama bała się iść pieszo.

— Bała nie bała, po prostu trochę nijako. Chyba nic dziwnego. Zresztą sól na ziemi całkiem zżera buty. Myślę, że do końca życia nie pozbędę się z uszu bizoniego ryku, zwłaszcza buhajów.

Odetchnęła głęboko, a Evans pomyślał z niewysłowioną dumą, że jego żona czuje się teraz lepiej, ponieważ on jest blisko.

— Ja tak przywykłem, że prawie nic nie słyszę — powiedział i zabrał się do odpinania łańcuchów przy furgonie.

Pracował szybko, z nadzieją, że inni też się uwijają, bo czuł nacisk zapadającego mroku i złowróżbne brzemię chmury czatującej za jego plecami na zachodzie.

— Napoisz woły, Brownie — zaczął znów — i wypędzisz na paszę. W tamtym kierunku — wskazał kciukiem — powinna być najlepsza. Po zmroku wpędzimy do zagrody ile się zmieści wołów, nie same konie. Z dojeniem damy spokój. Z żadnej krowy nie wyciągniesz teraz więcej niż kubek mleka.

— Wezmę konia, tato — powiedział Brownie i niebawem odjechał poganiając przed sobą trzy jarzma wołów.

— Coś cię trapi, Lije — odezwała się Rebeka tonem stwierdzenia, nie pytania.

— Nic wielkiego. Zaraz wrócę.

Evans zostawił żonę i obszedł krąg furgonów zagadując po drodze do mężczyzn. Dobrze wytrzeć konie, nim na godzinkę pójdą na paszę. Najlepsze woły trzymać w pobliżu i po zmroku zapędzić do zagrody razem z końmi. W tamtej stronie zostało chyba trochę niezłej trawy. Kto się upora ze stworzeniami, niech wraca rąbać drzewo. W nocy może się zdarzyć popłoch bizonów. Mężczyźni kiwali głowami nie kwestionując rozkazów

kapitana, a on raz po raz łapał się na tym, że zaczyna przemawiać stylem Tadlocka.

Wkrótce konie wróciły z pastwiska gromadą, która wydłużyła się koło pierścienia furgonów, aby przeniknąć do zagrody specjalnie pozostawioną lukę. Evans powtórzył to, co uprzednio mówił innym, i dodał jeszcze:

— Botter, daj znać tym przy krowach, żeby je pogonili na południe, byłe nie za daleko. Niech woły pasą się osobno — oszacował wzrokiem strumyczek wyciekający ze źródła. — Wody powinno starczyć — dodał i osądziwszy, że wydał wszystkie zarządzenia, ruszył w stronę swoich furgonów.

Po drodze zebrał nieco chrustu i przybywszy na miejsce, rozpalił ogień dla Rebeki. Następnie wziął siekierę i poczłapał w kierunku zarośli, gdzie po obrządku inwentarza nadciągali kolejno mężczyźni. Ustawili się szeregiem na skraju kępy, od strony wody, wywlekając ile się da suchych gałęzi i rąbiąc większe sztuki.

Obok kapitana pracował Holdridge.

— Zanosi się na piekielną burzę — powiedział podpierając się toporem, by odetchnąć chwilę.

Evans pomyślał, że z posępnych ust sąsiada dobywają się posępne, złowróżbne słowa.

— Czy ja wiem? — odrzekł. — Chmura nie drgnęła nawet od przeszło godziny.

— Brak przyzwoitego drewna. To zielone świństwo piekielnie trudno rozpalić. — Holdridge wziął się znów do pracy i niebawem pomiędzy nim a kapitanem wyrósł niewielki stosik.

Niebawem nadszedł Dick. Skórzane spodnie miał upaprane krwią po ćwiartowaniu bizonów. Evans pomyślał, że Summers ściągnął z tusz skóry, bo nieraz powtarzał, że by się bardzo przydały w dalszej drodze.

— Myślę — powiedział Evans — że rozpalimy ogniska na północ i południe, wschód i zachód, nie dalej od biwaku niż ćwierć mili.

Dick nie odpowiedział, potarł knykciami palców dolną szczękę.

— W porządku?

— Chyba tak.

— W którą stronę ruszą bizony? Jak ci się zdaje, Dick?

— Trudno powiedzieć. Może ku północy. Na to wygląda, że w tamtym kierunku ciągną.

— Krowy wyprawiłem na południe, trochę dalej niż chcę rozpalić ognisko.

— To nie ma większego znaczenia. Gdzie by nie były krowy, uciekną, jak się zacznie popłoch wśród bizonów.

— W takim razie największe ognisko rozpalimy od południa. Jeżeli czas pozwoli, natniemy trochę szałwii, bo to świństwo podobno łatwo się zajmuje.

— Przyda się furgon do przewiezienia opału — wtrącił Holdridge. — W moim jest trochę miejsca po wyładunku tego, co potrzebne do gotowania.

— Więc postaraj się o zaprzęg, Holdridge, i sprowadź furgon.

— A ja tymczasem zobaczę, czy uda się wyżebrać trochę soli — powiedział Summers.

Evans zaczął znów rąbać, kiedy zaś Holdridge wrócił z furgonem, pomógł przy załadunku drewna z jednego i drugiego stosu, aby następnie

poprowadzić ku miejscom, które obrał pod ogniska. Przy każdym nacięto trochę szałwii, przy każdym też miał stać jeden strażnik. Evans objął posterunek od strony południa.

— Postarajcie się o pomoc, jeżeli to możliwe — polecił. — No i zabierzcie broń. Gdyby bizony ruszyły, strzelanina pewno je odstraszy — oszacował wzrokiem niebo, ziemię tonącą w rudym odblasku, stada widoczne jeszcze dzięki ukośnym smugom nad wybrzuszeniem chmury. — Nie warto jeszcze rozniecać ognisk. Zdążymy pojeść.

Wróciwszy do swoich furgonów zastał Dicka przy kolacji, którą Rebeka zdążyła przygotować.

— Brownie już zjadł? — zapytał.

— Przyjechał, przełknął kąsek i zaraz wrócił do bydła. Lije, on zbyt ciężko pracuje.

— Trudno — odparł Evans. — Dziś wszyscy harujemy. Muszę też skoczyć do stada, powiedzieć straży, żeby nie tkwiła w miejscu, jak bizony ruszą. Namiot postawimy później.

Odsunął talerz, podniósł się i w tej chwili przypomniał sobie, że warto wziąć więcej prochu i kul, a także sześcio-strzałowy pistolet colta; normalnie nie nosił go przy sobie, więc broń była nabita, ale bez spłonek.

Kiedy wrócił po niejakim czasie, Dick Summers siedział na skrzyżowanych nogach, w pobliżu kotła.

— Tu i ówdzie zebrałem trochę soli — powiedział — ale diabli wiedzą, czy się na co przyda.

W tej chwili nadciągnął pierwszy podmuch od zachodu.

— Znowu ten wiatr! — westchnęła Becky, lecz mąż odczuł, że nie wiatr ma na myśli, tylko zapowiadającą się burzę i morze bizonów wokół, i syna, który jest daleko, przy stadzie.

Nie mogę go niańczyć — pomyślał gniewnie. — Brownie to dorosły mężczyzna, prawie dorosły. Niech się naraża, jak wszyscy.

Znów powiał wiatr. Dick zrobił taką minę, jak gdyby czegoś oczekiwał.

— Dobry początek, Lije — rzucił krótko.

Kapitan zaniepokoił się, wstał raptownie.

— Trzeba zrobić obchód straży — powiedział.

Wiatr porywał słowa z ust. Jego zawodzeniu wtórowało głuche porykiwanie bizonów, to dalekie, to znów jak gdyby bardzo bliskie. Na ziemi leżała jeszcze szkarłatna poświata, trochę podobna do kręgów rzucanych przez obozowe ognie. Smuga błyskawicy rozdarła niebo na zachodzie. Zahuczał grzmot.

Po drodze Evans zobaczył brata Weatherby'ego i garstkę stojących półkolem ludzi, którzy przybyli na wieczorne modły. Dobiegły go słowa:

— Połóżmy ufność w Bogu, On bowiem jest władcą ziemi, morza i gór, on rządzi pogańskimi plemionami i dzikim zwierzem, a srogie burze...

— Patch! Brewer! Tadlock! Insko! Wszyscy do ognisk. Zaraz!

Wszystko ogarnęła nagle wichura, nieokiełznana wichura, co dławi słowa i krtań wypełnia piaskiem.

— Mack! Gorham!

Chmura na zachodzie drgnęła pochłaniając ciemną purpurę wieczornej zorzy, strzeliła błyskawicą, która oślepia. W nieprzeniknionej ciemności, jaka nastała, widać było jedynie iskry z obozowych ognisk.

— Fairman! — Evans nie zdawał sobie sprawy, od kiedy biegnie. — Patch! Za mną!

Pędzi ku południowi. Ładownica obija mu się o udo, pistolet obciąga pas. Drobny deszcz zaczyna siec z ukosa po twarzy, błyskawica znów razi oczy, grzmot dudni w uszach.

Evans chwyta ze stosu garść chrustu i szałwii, osłania od wiatru, posypuje prochem, sięga po krzemień i krzesiwo. Nagle odczuwa czyjąś bliskość i przy świetle nowej błyskawicy poznaje Patcha, który stoi pochylony, z przyborami do rozniecania ognia w ręku. Proch zajmuje się i gaśnie, więc Patch wyciąga z kieszeni szmatę, naciera prochem, powtórnie próbuje podpalić. Płomień wykwita opornie, liże pędy szałwii. Wiatr szarpie go, przytłumia, lecz płomień zwycięża, pełga nisko, chyli się znoszony ku wschodowi.

— Pilnuj ognia! Muszę zajrzeć do tych przy krowach.

Evans biegnie znów w stronę południa, walczy z wichurą, co próbuje zepchnąć go z drogi.

— Śmiało, Brownie! Śmiało! — woła do siebie, jak gdyby jego głos mógł dosięgnąć chłopca.

Wyrzuca sobie, że nie miał dość oleju w głowie, by wziąć osiodłanego konia. Nagle wybucha noc, Błyskawica rozdziera niebo, miota na ziemię pożogę i łoskot, po którym zapada niesamowita cisza, Evansowi wydaje się, że słyszy bardzo piskliwe, odległe zawodzenie wilków. Wnet jednak zapomina o złudzeniu, bo poświst wiatru przywiewa inne dźwięki — dudniące, głuche, jak daleki werbel. Evans zwalnia kroku. Nie ma już wątpliwości. Milion bestii oszalał, uległ popłochowi. Od łoskotu ich racic świat zaczyna drżeć tak, że cichną nawet grzmoty.

— Brownie! — wrzeszczy przy akompaniamencie wichru i przybierającego wciąż na sile tętentu. — Straż! Już biegną!

Znowu grom, znów zygzak przekreśla niebo, Evans widzi bydło sunące w jego stronę, bez wątpienia pod naporem bizonów. Rzuca się w tamtą stronę, potyka, pada, wstaje. Następnie strzela do zachowanej w pamięci ciemnej plamy. Słyszy słaby trzask wystrzału, widzi nikły błysk u końca lufy. Koniec. Nie ma żony, syna, koniec wszystkich dobrych związanych z nimi wspomnień. Lecz biegnie dalej, w biegu wyciąga pistolet zza pasa i strzela, strzela, póki nie uprzytomni sobie, że nie może już zrobić nic, tylko czekać na pochylone łby i dudniące racice, które długo, bardzo długo tratować będą jego ciało. Nie zdąży do ogniska. Nie zdąży nabić powtórnie broni. Będzie stał prosto i padnie — i taki będzie kres. Niech żyje Oregon! Niech żyje!

Hałas ogłusza, pochłania myśli i uczucia. Hałas, i tylko hałas. Grzmot wstrząsa rozdygotaną, rozchwianą ziemią — niewidzialny, pełen grozy grzmot. Wszystkie stworzenia boże popadły w obłęd, a Bóg kryje się pod osłoną nocy. To dziwne, że w takiej chwili człowiek czuje kamforowy zapach zmiażdżonej szałwii.

Evans uprzytamnia sobie, że pierwsze bestie cwałują tuż obok. Widzi czarniejszą od ciemności smugę ich szlaku, czuje gorący oddech, prawie go słyszy. Sztywnieje cały, zastyga w bezruchu.

Nowa błyskawica oświetla ciężko galopujące bydło, a za bydłem bizony, garb przy garbie i nic tylko same kudłate garby — jak okiem

sięgnąć. Evans myśli beznamiętnie, że być może ogarnięte popłochem trzody miną krąg furgonów.

Zdaje sobie sprawę, że mógłby teraz wrócić do ogniska. Ale tkwi w miejscu, sam nie wie jak długo, drży na całym ciele w takt wstrząsów ziemi i obliczając czas co przestał istnieć, zaczyna kształtować w wyobraźni twarz syna.

Wreszcie pojmuje, że już po wszystkim. Nieprzeliczone stada przeciągnęły w pobliżu, odeszły. Dudnienie racic cichnie, rozpływa się w przestrzeni. Złagodniał wiatr, ulewa straciła na gwałtowności. Evans ogląda się, widzi płonący stos Patena i nieco dalej ogniska biwaku.

Powracają uczucia — radość, niewysłowiona ulga i zarazem niepokój. Evans biegnie i znów bezwiednie nawołuje:

— Brownie! Gdzie jesteś, Brownie?

Nie ma odpowiedzi, więc biegnie nadal, chociaż słyszy głos Patena. Potyka się o stratowane kępy szałwii, wrzeszczy. Może za moment napotka bezkształtną bryłę, co była koniem, albo coś zupełnie płaskiego, jak cień.

— Gdzie jesteś, Brownie?

Patch chwyta go za ramię i wówczas dopiero kapitan uprzytamnia sobie, że nie jest sam.

— Wracajmy do obozu, Evans — słyszy. — Jeżeli go tam nie ma, pójdziemy szukać, zwołamy ludzi.

Kapitan wyrywa się, jest wzburzony i przerażony tak, że nie może wymówić słowa. Patch podchodzi doń znowu, podejmuje cicho, łagodnie:

— Brownie może być w obozie. Opamiętaj się, stary.

Evans pozwala się prowadzić, prawie nie dostrzega deszczu i błyskawic zapalających się teraz na wschodzie. Myśli, jak zdoła spojrzeć Rebece w oczy.

Od przodu dobiega mlaskanie kopyt w rozmokłym gruncie.

— Kto tam? — woła Patch.

— To ty, Patch? — odzywa się głos Dicka.

— Ja.

— Nie widziałeś Evansa?

— Jest tutaj.

— Tato! Nic ci się nie stało, tato?

Młody głos rozbraja Evansa, oszołamia, wyobraźnia ukazuje mu chłopięcą twarz, pełną nadziei i wesela.

— Nic. Bałem się o ciebie, synku.

— A nie mówiłem mamie, że tato sobie poradzi! Dick przyszedł po nas. Był cały czas przy bydle. Jak zaczęła się burza i zrobił się popłoch wśród bizonów, pojechaliśmy wszyscy na oślep, co koń wyskoczy. Słowo daję, ale było fajnie.

Nagłe odprężenie załamało Evansa, do cna wyczerpało.

— Aha. Było fajnie — powiedział i dodał w myśli: Znowu Dick! Dick wymyślił sposób, kiedy ja błądziłem jak dureń, potykałem się wśród ciemności. On nie myli się nigdy.

— Gdyby nie Evans — powiedział spokojnie Patch — te bestie stratowałyby biwak. Evans pobiegł naprzeciw nim, strzelał.

— Na niego zawsze można liczyć — podchwycił Summers.

Kapitan zdobył się jedynie na nieokreślony pomruk i pomyślał, że winien przeprosiny za to, czego nie zdążył wypowiedzieć. Nie ma dostatecznych słów pochwały dla Dicka.

— Stracimy lekko licząc pół dnia na pozbieranie bydła — mówił tymczasem stary wyga — no i podejrzewam, że wszystkich sztuk nie znajdziemy.

Rozdział XVI

Judyta Fairman wyprostowała się i mocno przycisnęła do boków opuszczone ręce chcąc złagodzić ból w plecach.

— Toddie, nie odchodź daleko.

Westchnęła spoglądając na skałę zwaną Independence i mężczyzn, którzy uprawiali tam wspinaczkę, szukając najlepszych miejsc do wyrycia nazwisk. Pranie to ciężka praca, nawet w tak piękny dzień i nad uroczym strumykiem. Nie lżej też trząść się w furgonie lub maszerować obok niego, a najprzykrzejsze bywają poranne przebudzenia, jakkolwiek nudności nie bardzo dokuczają Judie. Jest tylko przygnębiona, nerwowa i czasami w środku nocy strach wyrywa ją ze snu. Siada wtedy na posłaniu, czka z głębi trzewi, lecz kiedy Charles zapyta półprzytomnie: „Co się stało, Judie?" uspokaja go i kładzie się z uczuciem ulgi i lekkiego obrzydzenia do samej siebie.

Nie ona jedna jest w odmiennym stanie, co stanowi dla niej pewną pociechę. Pani Brewer godzi się z ciążą tak, jak ze zmianą pory roku. Pani Patch niewiele ma do powiedzenia. Pani Byrd stara się traktować sprawę lekko i wierzyć, że gdy przyjdzie jej czas, będzie miała dach nad głową i prawdziwe, porządne łóżko. Zapewne jest więcej takich, które chowają swoją tajemnicę jak płód. A co robią inne, aby się ustrzec? Na przykład pani Mack, kobietka o kształtnej figurze i rozstawionych szeroko zielonych oczach?

Podobne pytania nasuwały się i przemijały, pozostawiając jedynie myśl, że dzień dzisiejszy przyniósł odprężenie i zabawę wszystkim z wyjątkiem kobiet. Mężczyźni i podrostki wspinali się na skałę, dzieci swawoliły dokoła, nawet woły przepędzone na wschodni brzeg strumienia mogły dać wypoczynek zdrożonym nogom. Charles odjechał konno z Summersem i Evansem. Powiadali, że zapolują trochę, odświeżą zapas mięsa i niewątpliwie zdążą na czwartolipcową mowę, którą Tadlock ma wygłosić nieco przed czasem, gdyż jest dopiero pierwszy.

Judytę cieszył dzień postoju, chociaż nie brakowało jej roboty. Powinno być więcej takich. Czemu mężczyźni wmawiają sobie, że to źle, gdy ich inni wyprzedzają? Czy stało się coś dlatego, że dziś minęła ich kolumna — pierwsza od początku? Szła szybko wiodąc lekki tabor i niezbyt liczne stado bydła. Ludzie krzyczeli, wymachiwali rękami, lecz zbyt im było pilno do pierwszego miejsca w pochodzie, by mieli tracić czas na odwiedziny. Ich kapitan powiedział tylko Evansowi, że w podróży czterej z kompanii umarli. Cóż, niech jadą dalej. Niech się śpieszą, niech i zostawiają za sobą opuszczone mogiły.

Judyta czuła, że ból w grzbiecie łagodnieje. Stała wyprostowana medytując, że wszystkim dobrze zrobi wypoczynek, chociaż od przeprawy przez Platte wyścig z czasem przedstawia się słabo. Półtora dnia stracili na poszukiwanie bydła rozproszonego przez masowy cwał bizonów. Wybrani

przez Evansa mężczyźni uganiali konno po okolicy, a inni zrzędzili przy naprawie uprzęży i wozów, klęli bezczynność i wciąż pytali, kiedy nareszcie zajdzie słońce i skończy się piekielny upał. Kobiety gotowały, szyły, tęsknie wzdychały do odrobiny cienia i chłodnej wody i karciły rozkapryszone dzieci czepiające się spódnic. Jeźdźcy odnajdywali trzodę po trochu, to tu, to tam, i wracali kolejno. Siedzieli w siodłach skuleni, zanadto wyczerpani, by zmienić pozycję, kapelusze ściągali głęboko na czoło osłaniając spieczone twarze. Trochę bydła ugrzęzło w bagnistych sadzawkach, trochę okaleczyło się ciężko, niektórych sztuk nie można było odszukać. Trzy z dwudziestu zaginionych krów należały do Charlesa.

— Nie zbliżaj się do wody, synku. Uważaj!

Miło popatrzeć na lenistwo, nawet nie leniuchując — pomyślała Judyta Fairman.

Furgony stały rzędem dyszel przy tylnej osi, wzdłuż zielonych brzegów Sweetwater. Raz po raz łagodny powiew unosił plandeki, igrał z nimi. Bydło i konie pasły się nieco dalej pod strażą mężczyzn, którzy leżeli lub siedzieli na murawie, kontenci, że ziemia i wietrzyk wyciąga z ich ciał przemęczenie. Na zachodzie tkwi szara, naga skała, co od wieków oczekiwała ich na tym miejscu. Chłodna, świeża woda. Cień. Wypoczynek. Tylko nad strumieniem, po jednej i drugiej stronie Judyty trwa krzątanina kobiet, które trą szmaty, gniotą, wykręcają, rozwieszają na sznurach do suszenia. Czy inne kobiety odczuwają też brzemię codziennej harówki, nawału tego, co musi być zrobione? Pani Tadlock? Pani Daugherty? Pani Gorham? Pani McBee? Rebeka Evans? Wszystkie mają wilgotne, czerwone dłonie, które na wietrze spierzchną jeszcze bardziej. Czy również przygniata je powszednie brzemię? Czy podzielają mroczne niepokoje, smutne przeczucia nawiedzające Judie Fairman? Czy i tamte dręczy lęk niemożliwy do wyrażenia słowami, od którego troski stają się jeszcze cięższe?

Judyta wiedziała, że roztkliwia się nad sobą, ale w tej chwili było jej wszystko jedno. Pochyliła się, namydloną koszulę zaczęła trzeć o deskę sterczącą ukosem z balii i jeszcze raz przypomniała Todowi, że ma się trzymać blisko. Charles ustawił balię na kołkach, lecz i tak Judyta musiała się schylać, od czego naturalnie wracał ból pleców. Podkoszulki, koszule, rzeczy Toda, inne łachy, wełniane majtki, które zbiegną się z pewnością pomimo wszelkich starań. Wszystko to pierze się, nosi, znowu pierze i tak na zmianę tydzień po tygodniu, do Oregonu i chyba do śmierci. Przez moment pomyślała, że ona cierpi bardziej niż inne kobiety, ponieważ zna łatwiejsze, wygodniejsze życie. Niegdyś miała do pomocy czarną służbę, miała czas, by haftować i grać na fortepianie. Łza spłynęła jej z oka, spadła na tarę, zniknęła pośród mydlin.

Judie stłumiła płacz, zła na siebie, pełna poczucia winy. Praca jest uciążliwa dla wszystkich, a ona zawsze chciała pracować, jakkolwiek nie miała na myśli tak żmudnej harówki. Zawsze chciała pracować, a teraz jest tylko przemęczona i niepotrzebnie ulega złym przeczuciom.

— Tod! Nie odchodź, proszę cię! Mama jest zajęta.

Chłopczyk zadarł głowę, spojrzał w twarz matki oczyma tak samo jak jej błękitnymi. Jego policzki i usta zdradzały jeszcze ślady niemowlęctwa.

— Mogę pobrodzić w wodzie, mamo?

— Później. Teraz bądź przy mnie.

W tym momencie nadeszła Rebeka Evans, która skończyła rozwieszać własne pranie.

— Swoje zrobiłam — powiedziała. — Pomogę ci trochę. Wyglądasz, Judie, na strasznie zmęczoną.

Sprawnie jęła płukać i wyżymać szmaty mocnymi, czerwonymi rękami. Judycie przyszło na myśl, że to kobieta stworzona do takiej podróży: silna, pewna siebie, zręczna, odważna. Jeżeli miewa troski, nikt o nich nie wie. Jeżeli przytłacza ją brzemię niezliczonych mil, sekret zatrzymuje przy sobie.

Mile. Przestrzeń. Wróg to przestrzeń — nie Indianie, przeprawy, niepogoda, pragnienie, góry, ale przerażające, tępe oblicze przestrzeni, mile po milach równin i wzgórz, jarów i wydm piaszczystych, nie do pokonania dla obracających się wolno kół i dla ciężkich wołów. Nie widać kresu przestrzeni, nie widać nawet jej ubytku. Z rana i wieczorem niezmiennie linia wzgórz, obłoki, i widnokrąg nieosiągalny, nie do pojęcia nawet. Dziwić się trzeba szalonej, upartej odwadze mężczyzn, którzy wierzą, że dzień dodając do dnia ujrzą Oregon.

— To tak daleko — odezwała się Judyta.

— Rzeczywiście, daleko — Rebeka Evans wyżęła i rzuciła do koszyka sztukę garderoby. — A wiesz, co pomaga? Zapomnieć, że tak daleko, Myśleć tylko o jednym dniu, dzisiejszym.

— I o jednych kalesonach, jednej koszuli, prawda?

— Słowo daję, Judie, jesteś strasznie przemęczona.

Judyta poczuła łzy cisnące się do oczów, zdławiła jednak szloch, zawstydzona. Odwróciła się, spojrzała na Toda, który patykiem grzebał w ziemi.

— Szkoda, Rebeko, że nie jestem podobna do ciebie.

— Do mnie?

— Niczym się nie przejmujesz.

— I nigdy nie widać, że mogę być przybita, smutna czy coś podobnego?

— A czy to ci się w ogóle zdarza?

— Pytanie! Czasami tak mam tego wszystkiego dosyć, że ledwie lezę.

— Nikt by się nie domyślił.

Rebeka sapnęła głośno.

— Nie wyobrażaj sobie, że tego, co ty czujesz, nie odczuwają inni. Kiedy mi źle, myślę, że mam dobrego syna, dobrego chłopca, więc powinnam dziękować Bogu. Ty także masz dobrego męża.

Judyta twierdząco skinęła głową. Rzeczywiście, Charles to troskliwy mąż, pracowity, pełen najlepszych chęci, choć nie tak silny może jak spokojny Evans. Ale z wiekiem — kto wie.....

— Nie mam pojęcia, czemu tak sposępniałam.

— Wszystkie zmieniłyśmy się w czasie drogi mniej albo więcej — podjęła Rebeka nie przerywając pracy. — Ja na przykład mniej. Przeważnie trzymam się mocno. Oczywiście z tobą jest całkiem inaczej. Może podczas ciąży kobieta czuje się chora i słaba, bo zbiera siły dla dziecka.

— Czy ja wiem? Może.

— My bardzo różnimy się od chłopów. Jesteśmy mniej awanturnicze, ciekawe, wolimy tkwić na miejscu, ale tak czy inaczej, ciągniemy wszędzie za nimi.

Rebeka parsknęła ochrypłym, trochę posępnym śmiechem i rzuciła do kosza kolejną wyżętą sztukę. Judyta pomyślała, że to najbardziej męska spośród znanych jej kobiet: ma szeroką twarz, jak mąż, i cień wąsów na spalonej słońcem górnej wardze.

— Twój mały raźny dziś jak wiewiórka — podjęła pani Evans.

— Tak. Obydwoje z mężem mamy nadzieję, że pozbył się malarii — odparła Judyta.

Powinna szaleć z radości, sławić śpiewem tę wyżynną, pierwotną krainę i ostry zapach szałwii, zdaniem Dicka Summersa leczniczy. Powinna być szczęśliwa patrząc na ogorzałą, zdrową dziecięcą twarzyczkę pochyloną obecnie nad patykiem i rozgrzebanym piaskiem. Ale opadały ją wciąż dawne złe przeczucia, wspomnienie tygodniami wlokącego się oczekiwania katastrofy. Nadal chwilami pragnęła zawrócić, umknąć do plantacji w Kentucky. Rada odwiedziłaby matkę żyjącą dostatnio w Lexington, siostrę bezpieczną i szczęśliwą w Vicksburgu. Spodziewała się, że listy, które napisała i zostawiła w Forcie Laramie z poleceniem, by zabrał je pierwszy zmierzający na wschód wędrowiec, tchnęły taką pogodą, jak zamierzała.

— Z pewnością pozbył się malarii — przyznała Rebeka. — Robi wrażenie całkiem zdrowego.

Tod podniósł głowę.

— Mamusiu, mogę iść do innych dzieci? Wszyscy się bawią.

Rzeczywiście. Jedna gromadka, pod niezbyt zresztą czujnym okiem starszych brodziła na płyciźnie w dolnym biegu strumienia. Inna uganiała się pośród ustawionych w zagrodę furgonów; dzieci, wolne nareszcie od trudów podróży, były figlarne, jak małe pieski; dokoła dźwięczały radosne okrzyki i śmiechy.

— Później pochlapiemy się w wodzie — powiedziała Judyta.

— Ale ja chcę się bawić zaraz.

— Wiem, synku. Nie nudź.

Rebeka zapytała wzrokiem, czemu dziecku nie wolno pobiegać.

— Myślę, że jestem przesadnie ostrożna — odpowiedziała matka Toda. — Ale widzisz, on tak ciężko chorował. Ciężko i bardzo długo — zwróciła się do synka. — Nie porobiłbyś babek z piasku?

— Mnie się nudzi, mamusiu.

— A nie porobiłbyś babek z piasku? — zapytała drugi raz Judyta i pomyślała, że czas strasznie dłuży się dziecku.

Z własnego dzieciństwa pamiętała, jak beznadziejnie rozwlekła potrafi być godzina. Próbowała postawić się na miejscu Toda, wyobrazić sobie nieustające skrzypienie kół, palące słońce znieruchomiałe na pustym niebie, morderczo nudną codzienną rutynę, całą kipiącą energię ujarzmioną, ograniczoną tylko do grymasów i skarg. Mamusiu, daleko jeszcze do South Pass? Kiedy będzie postój? Ile mil do tego Oregonu? Nie ma czym się bawić. Można tylko trwać w czasie, który nie upływa. A dzisiaj, kiedy jest sposobność do zabawy, ona bezsensownie trzyma biedaka przy sobie.

— Przyniosę ci wody, synku.

Judyta dobywa ręce z balii, sięga po czerpak, idzie nad brzeg strumyka i przynosi chłopcu wodę.

— Robienie babek z piasku to śliczna zabawa, prawda Toddie? A ja już kończę — mówi Judyta. Nachyla się, całuje nadąsaną buzię.

Pranie skończone. Trzeba tylko powiesić łachy. Judyta zwraca się do Rebeki:

— Dziękuję, Becky. Bardzo mi pomogłaś. Teraz poradzę sobie sama.

— Nie martw się. Wszystko pójdzie dobrze. Będziemy nad Willamette długo przed twoim czasem.

— Wcale się o to nie martwię, ale... Ja nie wiem... Strasznie jestem głupia.

— Pamiętaj, Judie, że to, co człowieka ma spotkać, jest najczęściej mniej groźne od przedwczesnych obaw.

Rebeka powiedziała ostatnie słowa z uśmiechem, otrząsnęła dłonie z wody i zaczęła zbierać swoje graty. Poruszała się żwawo, pewnym, elastycznym krokiem. Pozostałe kobiety też opróżniały balie i zabierając sprzęt ciągnęły w kierunku namiotów.

Judyta podnosiła właśnie koszyk, gdy nadszedł Hig.

— Dzień dobry — powiedział i pogładziwszy ostrożnie miejsce zranione przypadkowo przez Bottera, usadowił się obok Toda.

— Co słychać, zuchu?

— Mamusia nie pozwala mi się bawić.

— Teraz z pewnością pozwoli. Wiesz co? We dwóch zbudujemy fortecę. Skocz no po tamtą gałąź.

Judyta odczuła potrzebę dziwnej, trochę oschłej pogody Higa. Postawiła koszyk na ziemi.

— Myślałam, że jesteś na skale — powiedziała.

— Ja? Po co?

— Żeby wyryć swoje nazwisko.

— To nie dla mnie zabawa.

Hig łamał gałąź i wtykał patyczki w piasek. Tod obserwował go z zaciekawieniem.

— Dlaczego? — zapytała Judyta.

— Nie będę udawał, że potrafię pisać — odpowiedział z uśmiechem.

— Oo...

— Ale nie w tym sęk.

— A w czym?

Hig zamyślił się, przymrużył oczy.

— Widzi paniusia, ten kraj zostawia ślad na człowieku, taki ślad, że człowiek nie wie, kim jest właściwie, bo maleje od wielkości kraju.

— Nie bardzo rozumiem...

— Więc człowiek też chce zostawić po sobie ślad, jak tamci na skale, żeby powiedzieć: „No, chwała Bogu, to naprawdę ja. Swoje nazwisko wyryłem w kamieniu”.

— I co?

— Ojej, zuchu, zapomnieliśmy o bramie — zwrócił się Hig do Toda i dalej mówił swoje. — Bo ja jestem człowiek prosty. Nie będę ryły swojego nazwiska, nie będę się później zastanawiał, czy to rzeczywiście ja je wyryłem i czy naprawdę tak się nazywam.

— A ja myślałam, że tamci chcą zostawić pamiątkę dla innych.

— Ci na skale przypominają mi konia, co się dziś do nas przybłąkał. Pewno zginął zeszłorocznej karawanie i od tej pory włóczył się i wciąż kombinował, czy naprawdę jest koniem, a jeżeli tak, to jakim, koniem i jak się nazywa: Shorty, Pete czy Blue. A może jest tylko myślą, którą wiatr

unosi? Kiedy nas zobaczył, aż podskoczył z uciechy. Jak żyję nie widziałem weselszego konia. A dlaczego? Bo mógł się nareszcie pozbierać. A teraz, zuchu, ustawimy armatę w fortecy, żeby Indian trzymać z daleka.

— Myślisz, że oni nie ryją swoich nazwisk dla innych? — zapytała Judyta.

— Po co? Przecież znajomi i tak wiedzą, jak się nazywam, a nieznajomi nie dbają o to wcale. Ba! Mogliby nawet mieć kłopot, gdyby próbowali połączyć moje nazwisko z jakąś osobą.

— Dziwne myśli chodzą ci po głowie, Hig.

— Każdemu to się czasem zdarza, proszę pani.

Słusznie — pomyślała — przecież moje uporczywe przygnębienie jest nie mniej dziwne niż cudaczne pomysły Higa.

— Bardzo cieszymy się, Hig, że jesteś z nami — powiedziała.

— Ja także. Tod, masz śliczną fortecę na postrach czerwonoskórym. Pilnuj jej. Słyszysz? Idę już. Muszę nałożyć jedną obręcz.

Hig podciągnął długie nogi, wstał i odszedł beztrosko, a Judycie przyszło do głowy, że to istny strach na wróble — tylko że myślący.

Dźwignęła znowu koszyk.

— Baw się przy fortecy, Tod — powiedziała. — Zaraz skończę robotę i pójdziemy brodzić.

Przy sznurze rozciągniętym zawczasu między dwoma drzewami postawiła koszyk na ziemi i zaczęła roztrzepywać i wieszać swoje pranie.

Myślący strach na wróble. Osobowość pod maską twarzy przypominającej zwiędłe jabłko. I coś więcej: niezależny duch, pełen pogody i fantazji, który w wolnych chwilach szuka rozrywki grając na skrzypcach, nie poddaje się przestrzeni ani trudom podróży, ani złym przeczuciom zrodzonym z ponurych rozważań.

Szkoda, że ona nie jest podobna do Higa. Pozbyłaby się niepokoju. Nie zadręczałaby się zawczasu myślą o biedzie. Uśmiechnięta i odporna, byłaby niewątpliwie lepszą żoną i matką. Spróbowała zanucić fragment jakiejś piosenki i z dumą poczuła przypływ siły i woli. Cieszyło ją to, bawiło, więc Judie wieszając wypraną garderobę nie myślała o niczym prócz swojego nowego nastroju. Kiedy skończyła robotę, obejrzała się i ze zdziwieniem spostrzegła, że Toda nie ma.

Chłopiec nie myślał o ucieczce. Chciał pokręcić się trochę, bo miał już dosyć fortec, babek z piasku, tkwienia na miejscu i nie był w stanie wytrzymać dłużej. Odchodząc od matczynej balii nadepnął kępę zeschłej trawy, z której ogromny szary konik polny spojrzał nań nieruchomymi oczyma i poderwał się z chrzęstem czerwonawych skrzydeł. Tod pobiegł za nim śledząc ciekawie obłędną ucieczkę, zmagania z lekkim wietrzykiem i lądowaniem owada. Później podchodził z dłonią gotową do chwytu, którego bał się trochę. Konik polny zwrócił znów ku niemu oczy, wyprężył długie nogi i szaro-kamienne ciałko poczerwieniało znowu, z chrzęstem uniosło się w powietrze.

Chłopiec podniósł dwa kamyki, skoczył śladem zbiega licząc, że zabije go w kępie gęstej trawy, gdzie ostatni raz błysnęła purpura. Kiedy utracił już nadzieję, że go odnajdzie, konik wzleciał raz jeszcze, więc Tod pobiegł

za nim wznosząc kamyki w obu rękach. Rzucił i chybił, więc pogonił za konikiem — raz, drugi, trzeci — przejęty, rozgorączkowany polowaniem.

Wreszcie konik polny przepadł. Nie było go wśród murawy, którą Tod przestrząsnął kilkakrotnie. Przykro zrobiło się małemu, że zabawa trwała tak krótko. Dał jednak za wygraną i rozejrzał się dokoła. Nie było widać matki, schowanej za furgonem zasłoniętym do połowy przez wzgórze; nie było widać nikogo — dorosłych ani dzieci, których krzyki docierały tu z oddali. Boleśnie odczuł samotność i pustkę, podreptał ku bezpiecznemu schronieniu w ramionach matki, do jej miękkich piersi i ust, co jednocześnie całują i karcą.

W tym momencie usłyszał znów konika polnego, nerwowe ćwierkanie dobiegające od strony kilku rozrzuconych bezładnie kamieni. Znajomy odgłos wzmógł jego odwagę, więc Tod zboczył z drogi w kierunku kamieni.

Przystanął, kiedy zobaczył tuż przed sobą, nisko, ledwie widoczną na tle odłamka skały i piaskowo-brunatnej trawy głowę małego człowieczka: złe oczki, dwa otwory w miejscu nosa, zacięte, wąskie usta, z których szybko, raz po raz, wysuwał się szkarłatny języczek.

Twarz małego człowieczka! Twarz węża grzechotnika, a za nią zwoje podobne barwą do zakurzonej skały i drgający nieustannie ogon!

Chłopiec, sparaliżowany trwogą, nie myślał o ucieczce, stał w miejscu, zmętniałym wzrokiem spoglądał na ów rozdygotany ogon i twarz, co rozpływa się w błyskawicznych ruchach szkarłatnego języka.

— Toddie! Och, Toddie!

Odwraca się, umyka, lecz czuje ból w łydce; przez moment wloką się za nim wężowe zwoje.

Lije Evans ściągnął wodze, gdy objechawszy skałę Independence znalazł się w miejscu, skąd dobrze było widać obóz.

— No, mamy biwak. Wszystko tam w porządku, cicho, jak makiem zasiał.

Dick Summers i Charles Fairman zatrzymali się również. Swobodnie siedzieli w siodłach patrząc z góry na lekko sfałdowaną równinę i odległe o pół mili kryte furgony,. Za nimi cztery obładowane mięsem juczne konie ustawiły się wygodnie i zaczęły skubać trawę.

— Mają co dźwigać, hę? — podjął Evans mierząc spojrzeniem dwa konie, które prowadził na lince.

— Głupim szczęście sprzyja... jak dotąd.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Dick? — zapytał Fairman. — Ze zdrowie wszystkim dopisuje?

— Nie. Miałem na myśli Indian. Prawieśmy ich nie widzieli.

— Mamy jeszcze czas — wtrącił Evans.

— Za górami są bardziej przyjacielscy.

— I nie ma tam bizonów.

— Mało. Za dzień, dwa, Lije, trzeba wziąć się do suszenia mięsa. Wygląda na to, że stada zaczynają rzednąć — mówił Dick nie odrywając wzroku od obozowiska.

Evans spojrzał również w tę stronę, później na słońce.

— No, wrócimy w porę, zgodnie z obietnicą. Wysłuchamy mowy, którą Tadlock przygotował na dzień niepodległości — powiedział.

Myśl o Tadlocku wzbudziła w nim pewien niesmak. Facet wciąż gadał, że pod skałą Independence należy urządzić obchód Czwartego Lipca[1], ale udawał, że nie zależy mu na wygłoszeniu mowy. Dopiero jak ktoś zapytał, czemu nie miałby wystąpić w roli oratora, Tadlock odrzekł, że w głowie mu to nie postało, ale trudno, zrobi się, skoro wszyscy o to proszą. Tak by chciał być ważny i może właśnie dlatego mu to nie wychodzi.

Evans zapomniał o byłym kapitanie i spojrzał na Dicka zapatrzonego nadal w pobliski biwak.

— Co ci się nie podoba? — zapytał.

Wokół pierścienia furgonów sterczały namioty. Dalej ku wschodowi bydło pasło się nad rzeką. Widać było przy stadzie paru strażników. Wszystko sprawiało wrażenie bezpieczeństwa i spokoju.

— Może i nic — odparł stary wyga. — Tyle że nie ma nikogo po tej stronie zagrody.

— Wszyscy są nad rzeką.

Przewodnik odpowiedział nieartykułowanym pomrukiem, a Evans, jak już nieraz uprzednio, pomyślał ze zdziwieniem, że Dick ma wyjątkowy dar dostrzegania rzeczy niewidzialnych dla innych i wysnuwania z nich trafnych wniosków.

— Coś się dzieje po tamtej stronie biwaku — powiedział Summers.

— Pewno brat Weatherby napomina

— Być może.

— Tam są moje furgony — wtrącił Fairman; wyraz niepokoju pojawił się na jego twarzy.

— No, jazda! — rzucił Dick i szarpnął linkę, na której wiódł dwa juczne konie.

Evans zrobił to samo. Ścisnął piętami swojego wierzchowca i poczuł w ramieniu gwałtowne szarpnięcie, ponieważ zaparło się pierwsze z jego jucznych zwierząt. Przyszło mu na myśl, że do końca życia nie nauczy się władać linką, wodzami, bronią tak swobodnie i sprawnie jak Dick.

— Nuże! Wio!

Konie ruszyły truchtem, aby niebawem przejść w ciężkawy galop. Za każdym krokiem mięso z mlaskaniem tłukło o ich boki. Fairman nie miał kłopotów z linką i bagażem, więc cwałem pomknął pierwszy.

Dick miał rację — pomyślał kapitan, gdy dojeżdżając do zagrody zobaczył, że koń Fairmana stoi pod siodłem i nie wytarty. — Nikogo nie ma z tej strony. Wszyscy zebrali się za furgonami.

Obydwaj zeskoczyli z siodeł, konie uwiązali do szprych i przestąpiwszy najbliższy dyszel minęli pustą zagrodę, aby zatrzymać się obok namiotu Fairmanów.

Evans chwycił za ramię pierwszego z brzegu mężczyznę.

— Co się stało? — zapytał.

Pomarszczona twarz Higa sprawiała wrażenie jeszcze bardziej zoranej bruzdami

— Mały... Wąż ukąsił małego.

— Toda?

— Grzechotnik.

[1] Independence (ang.) — niepodległość. Czwarty Lipca — święto narodowe USA. Tego dnia 1776 roku została proklamowana Deklaracja Niepodległości.

— Na miłosierdzie boże! Kiedy?

— Już kawał czasu. Przed południem.

— Dick!

— Chyba to koniec — Hig zniżył głos niemal do szeptu.

— Dick! Słyszysz?

— Tak. Słyszałem — Summers bezradnie rozłożył ręce. Utorowali sobie drogę do namiotu, przed którym stał brat Weatherby, jeszcze starszy, przygarbiony bardziej niż zwykle. Evans odsunął go, szarpnął płótna zasłaniające wejście, zajrzał do środka. Naprzód zobaczył Rebekę. Siedziała na ziemi obok posłania, w ręku trzymała miskę. Nie powiedziała nic, tylko spojrzała na męża.

— Przed chwilą... dowiedziałem się — bąknął kapitan.

Chłopczyk leżał na posłaniu okryty tak, że widać było tylko zarys ciała pod kocem i spoczywającą na czystej poduszce bladą twarzyczkę o przymkniętych oczach.

Evans przeniósł spojrzenie z Toda na jego matkę. Siedziała naprzeciw Rebeki i oburącz trzymała dłoń chorego.

— Jak się czuje?

Fairman, który dotąd klęczał obok Judyty i wpatrywał się w synka jak urzeczony, raptownie odwrócił głowę.

— Na Boga! Czy będziemy wszyscy stać, gapić się na niego?!

Tod drgnął, począł coś mamrotać, więc matka nachyliła się, by lepiej słyszeć. Potem otarła mu czoło i usta ręcznikiem, który wzięła z leżącego stosiku świeżej bielizny.

— Chcesz pić, Toddie? Chcesz pić?

— Dick! — zawołał Evans.

Summers stał dotychczas na dworze. Teraz przecisnął się przez tłum, wszedł do namiotu. Pokiwał głową i popatrzył na posłanie.

— Chyba obejrzymy go, Charlie — szepnął Evans.

— Zimno mu. Mówił matce, że mu zimno — odrzekł Fairman cicho, niemal półgłosem, jak gdyby chciał przeprosić za uprzednią gburowatość.

Odwinął koc; czujnie spoglądał w twarz Summersa i Evansa.

Kapitan wzdrygnął się wewnętrznie na straszny widok: noga obrzmiała była aż do uda, dwa razy grubsza niż normalnie, skóra napięta, błyszcząca, na łydce pocętkowana czarno i sino przez krew zakażoną jadem.

Chłopczyk zakwilił słabo, kiedy Fairman ujął ostrożnie piętę i odwrócił tak, by odsłonić ukąszone miejsce. Ktoś zrobił tam nacięcia, niestety jednak ciekły z nich strumyki brunatnej mazi i na pokrytej pyłem stopie zostawiały bruzdy.

Przez pewien czas wszyscy milczeli przejęci grozą. Wreszcie odezwała się Rebeka:

— Byrd naciął nogę lancetem. Później wcieraliśmy sól i proch. Nikt nie wie, co jeszcze można zrobić.

— Może wy wiecie? Może wiecie? — Judyta milczała dotąd, a teraz słowa jej zabrzmiały jak zduszony szept. Było w nim tyle prośby, ile przerażenia w wyrazie zbolałej twarzy, więc Evans nie miał serca wyznać prawdy. Próbował właśnie wymyślić jakieś kłamstwo, gdy usłyszał głos Dicka.

— Wyssał kto ranę?

Judyta zaprzeczyła wolnym, bardzo wolnym ruchem głowy, jak gdyby przytłaczało ją brzemię straszliwej winy dlatego, że nie pomyślała w porę o wyssaniu rany.

Evans nie był w stanie patrzeć dłużej na rozpacz tej młodej, sympatycznej, ładnej kobiety, na walkę nadziei ze zwątpieniem. Spojrzał ku Rebece, która siedziała bez słowa. Przyszło mu na myśl, że kobiety umieją cierpieć głębiej, bardziej wytrwale od mężczyzn, że lepiej rozumieją cierpienie. Mężczyźni w strapieniu przypominają nieporadne dzieci jak on obecnie, muszą szukać oparcia we wszystkich Rebekach świata.

Tod poruszył się, błysnął oczyma spod opuszczonych powiek, wzdrygnął się spazmatycznie i zwymiotował. Rebeka podsunęła miskę. Judyta wytarła go ręcznikiem.

— Mamusiu,. Boli — jęknął z cicha.

— Mówi całkiem przytomnie — powiedział Evans wymuszając nutę optymizmu.

— Wiem, kochanie, wiem. Chcesz pić?

Twarz Judyty nie płakała. Tylko z oczu ciekły łzy, ściekały po policzkach lśniącymi kroplami.

Chłopczyk nie odpowiedział. Ułożył głowę na poduszce, opuścił powieki. Evans przeraził się; odniósł wrażenie, że pod oczyma i na skroniach zobaczył sine piętno śmierci. W skupieniu począł nasłuchiwać oddechu Toda.

Fairman wybuchnął powtórnie, jak gdyby wszystkich obarczał winą.

— Czy mamy tylko stać i czekać?

— Spokojnie, Charlie, spokojnie — powiedział Evans i przygarbiony ruszył ku wyjściu. — Może która z kobiet nagotuje mleka, dobrze? A mały niech leży spokojnie, jak najspokojniej. Dick!

Brat Weatherby stał na dawnym miejscu.

— W razie potrzeby będę gdzieś niedaleko — oznajmił.

— Dziękuję. Chodźmy, Dick — rzucił kapitan i poprowadził Summersa z dala od ludzi, którzy stali w drobnych grupkach i rozmawiali stłumionymi głosami, jak w pokoju ciężko chorego.

— Niech to grom spali, Lije. Nie można nic pomóc, absolutnie nic — powiedział Dick beznadziejnie smutnym tonem.

— Owszem. Można przekonać Judie, że zrobiliśmy wszystko, co w ludzkiej mocy.

Summers zastanowił się, spojrzał na Evansa.

— Dobry z ciebie chłop, Lije — podjął ciepło. — Znam korzeń zdaniem Siuksów pomocny na wszystko. Nic z tego nie będzie, ale poszukam, nakopię.

Evans zawrócił i gdy mijał oczekujące gromadki, poczuł na ramieniu dłoń i usłyszał skrzeczący głos pani McBee.

— Gdyby tak znaleźć ropuchę z dużymi brodawkami. Nie ma skuteczniejszego leku.

— Niż ropucha?

— Tak. Trzeba ją posadzić na ranie. Póki żyje, wyciąga truciznę, jak zdechnie, sadza się drugą.

— Więc idź, szukaj ropuchy — odburknął Evans i uwolniwszy się ze szponów wiedźmy wszedł znowu do namiotu. — Dick poszedł po taki jeden lek dzikich. Mówił też, że wyssanie rany może pomóc nawet teraz.

Fairman spojrzał mu w oczy.

— Dobrze — powiedział i odwinął koc.

— Ja to zrobię, Charlie.

— Nie. To mój syn.

Tym razem chłopczyk nie drgnął, gdy ojciec ujął go za piętę. Leżał bez ruchu — on, jego cienka noga i ta druga, opuchła, która miała stać się przyczyną śmierci.

— Później zrobi się okład z korzeni i gotowanego mleka — podjął kapitan. — Wszystko będzie dobrze.

Judyta zaczęła głaskać dłoń synka, ujęła ją znów w obydwie ręce.

— Mało miał radości, zabawy — powiedziała nie zwracając się do nikogo, jak gdyby z nieśmiałą nadzieją na przyszłość. — Chorował ciężko, ciężko i długo.

Łzy ciekły jej nadal z oczu, osiadały na kamiennej twarzy.

Fairman uniósł głowę, splunął, pochylił się znowu.

— Powinnam bawić się z nim dzisiaj — ciągnęła matka. — Powinnam rozumieć, jak bardzo się nudzi.

— Nie rób sobie wyrzutów, Judie — powiedziała Rebeka. — Proszę cię, nie rób sobie wyrzutów. Nie twoja wina.

Evans pragnął gorąco, by pani Fairman wybuchła wreszcie, zaczęła krzyczeć, szlochać jak inne kobiety w podobnych momentach. Przyniosłoby to ulgę jej i wszystkim.

Do namiotu wszedł Dick. W jednej ręce trzymał garnek parującego mleka, w drugiej jakieś rosochate korzenie. Zaczął je żuć przysiadłszy na ziemi u wejścia. Po chwili splunął w garść, wsunął do ust następną porcję.

— Wszystko będzie dobrze, Charlie.

Fairman uniósł znów głowę, splunął kilkakrotnie. Dokoła jego ust osiadły ziarnka prochu.

— Co to takiego?

— Korzenie. Używają ich Siuksowie.

Dick podszedł do posłania i oblepił ranę garścią przeżutej papki.

— Daj jaką szmatę, Judie — powiedział Fairman.

Kobieta wzięła czysty ręcznik z leżącego obok niej stosu i nad posłaniem podała go Evansowi. Lije odszedł, zanurzył płótno w mleku, zwinął i przyłożył nim maź. Fairman nakrył chłopczyka.

— Whisky pomoże? — zapytał.

Summers pokręcił głową, usiadł na skrzyżowanych nogach. Milczał, a jego twarz miała jedynie wyraz cierpliwego oczekiwania.

Evans usiadł również, dłonią począł rozcierać kark zesztywniały od nachylania. Przez długi czas w namiocie panowała cisza. Dick żuł znowu korzenie. Lije moczył szmaty w gorącym mleku, które pani Mack raz po raz dostarczała. Z zewnątrz dobiegał szmer wielu głosów.

Nagle zabrzmiał głos Judyty, jak gdyby z bardzo daleka.

— Przez wzgląd na niego wyjechaliśmy do Oregonu. Był dla nas wszystkim.

— Był! — zawołał Fairman.

— Jest. Jest, Charlie. Chciałam powiedzieć: jest.

Evans popatrzał na swoje dłonie i w tej chwili Judie wybuchła płaczem takim, jakiego pragnął, a teraz nie był w stanie słuchać. Spojrzał na Toda.

Spod jego opuszczonych powiek wyciekała gęsta maź. Nie ulegało wątpliwości, że to koniec.

Poderwał się i wybiegł z namiotu.

— Źle, bardzo źle — odpowiadał na pytania, a gdy odnalazł brata Weatherby'ego i poprosił, by szedł do namiotu Fairmanów, pomyślał, że czasami sam Bóg zsyła kaznodziejów.

Rozdział XVII

Dzień zapowiadał się suchy, wietrzny. W taki dzień człowiek idzie tępo przed siebie, oblizuje spękane wargi, traci stopniowo siły żywotne. Słońce wzniosło się nie więcej niż piędź nad widnokrąg, a Evans czuł już na grzbiecie jego dotknięcie. Niedługo zacznie palić, zachodni wiatr będzie wysuszał skórę na twarzy i z pewnością stan obolałych warg Byrda nie poprawi się tego dnia.

Evans wraz z wszystkimi stał oczekując, by brat Weatherby rozpoczął obrzęd. Kaznodzieja był w swoim surducie, bez kapelusza i Biblię trzymał pod pachą. Obok siebie miał jamę, ziemię wybraną z niej na plandekę i orzechową skrzynkę z Todem Fairmanem. Kapitan nie miał pojęcia, na co Weatherby czeka — chyba na odpowiednie hasło z niebios.

Wreszcie odezwał się zgrzytliwy głos i Evans wrócił myślami do dnia wczorajszego, kiedy to zbijał skrzynkę z orzechowego kuferka jakoby niepotrzebnego Rebece. Trumna była porządna — nie gorsza od tych, jakie można dostać w Missouri — i Lije odpoczywał przy jej zbijaniu. Mierzył deski, piłował, postukiwał młotkiem i na jakiś czas tak go pochłonęła praca, że prawie wyzbył się smutku. Ulgę przynosiły mu ruchy rąk i widok gładkiej skrzynki o solidnych złączach i wieku pasującym doskonale. Coś podobnego musiał odczuwać Dick, który poszedł z Patchem i Fairmanem, aby wybrać stosowne miejsce na grób. Patch mówił później, że darń zdejmowali ostrożnie, troskliwie, jak gdyby odzierali ze skóry cenne futerkowe zwierzę. Dick i Patch wykopali dół głęboki, żeby wilki nie mogły się dobrać, a całą ziemię zsypali na plandekę.

Evans uniósł głowę, gdyż brat Weatherby dał na razie spokój modłom, ograniczając się do stwierdzenia faktu dość oczywistego, a mianowicie, że ścieżki boże są niezbadane. Usiłował podążać za tokiem słów kaznodziei, ale błądził myślami, zadawał sobie przeróżne pytania, wspominał widziane sceny i obrazy. Rebeka i pani Brewer obmywały drobne ciałko i owinięte w prześcieradło, złożyły do skrzynki. Siedziały nad nim prawie całą noc, a towarzystwa dotrzymywali im na zmianę Evans, Patch i inni — kobiety i mężczyźni — którzy do rana przychodzili z mięsem, chlebem, cukrem i zwykłymi w takich razach zająkliwymi słowami pociechy dla rodziców, którzy nie kładli się również i przeważnie milczeli, przytłoczeni żałobą i rozpaczą. Ostatecznie Rebeka zdołała skłonić Judytę do drzemki, lecz odpoczynek trwał krótko i Evans podejrzewał, że biedaczka nie zmrużyła oka.

Noc była długa, męcząca. Na zewnątrz słyszało się tylko odległe wycie wilków i westchnienia łagodnego wiatru, który od czasu do czasu znajdował namiot, aby przez moment poszeptać o śmierci i ulecieć dalej. Evans słuchał łkania Judyty, która chwilami uprzytamniała sobie bolesną stratę, uginał się pod brzemieniem smutku i myślał, że żałoba wydaje się tutaj dziwnie mała. Trzeba ją trzymać między płótnami zamkniętego

namiotu, bo w przeciwnym razie rozwieje się w proch, uleci i nikt nigdy nie odnajdzie jej śladu pod wyniosłym niebem i na bezmiarze ziemi.

— Uspokójcie się w sercach waszych, bo wy, co w Boga wierzycie, wierzycie takoż i we mnie, a w domu Ojca mojego są mnogie pałace...

Pałace! Po co małemu chłopcu pałace? Matka była dlań najlepszym domem i pałacem. Ale niezbadane są ścieżki boże. Należy zdać się na Boga. Zresztą nie ma wyboru. Należy zdać się na Boga.

Evans odczuł zmęczenie, smutek i siłę Rebeki, która stała obok niego z dłońmi splecionymi luźno pod wydatnym biustem. Oczy miała otwarte szeroko, pełne smutku, zmęczone z niewyspania. Niewątpliwie wspominała drugiego syna, co od urodzenia niedomagał i umarł po roku, ograniczając wszystkie nadzieje rodziców jedynie do Brownie'ego, bo Becky nie mogła więcej zajść w ciążę.

Po drugiej stronie Evansa stał Brownie. Jego twarz wyrażała chłopięce przygnębienie, chłopięce zdumienie nad okrucieństwem tego świata. Jak wytłumaczyć to własnemu dziecku, które oczekuje od życia dobra i uciechy nie tylko dzień po dniu, lecz również przez wszystkie swoje dni aż do kresu? Można powiedzieć, że Bóg tak chciał, co jest zapewne prawdą. Lecz równie dobrze można powiedzieć, że dziecko nic nie rozumie, co także jest prawdą. Podobne wyjaśnienia byłyby mądre, niegodne dobrego ojca, jednakże Evans pocieszał się myślą, że młodość poczytuje śmierć za przypadek, co wydarzył się, minął i nie wróci albo też wróci w przyszłości tak odległej, że nie warto zaprzątać nią sobie głowy.

Brat Weatherby modli się o ukojenie dla okrytych żałobą. Niechaj poddadzą się Twojej woli, o Panie. Niech w Tobie znajdą pociechę i siłę we wszechpotędze Twojej miłości.

Przed Evansem, bliżej trumienki, Fairmanowie nabożnie schylają głowy. Są cokolwiek osamotnieni, bo inni cofają się, aby pozostawić ich samych z ich własnym bólem. Tłumione łkanie lekko wstrząsa przygarbionymi plecami Judyty.

Modły skończą się rychło. Po nich nastąpi śpiew i sakramentalna formuła: z prochu powstałeś... Tak myślał Evans i zdziwił się trochę, gdy brat Weatherby uniósł głowę, kościste ręce wyciągnął ku niebiosom i przemówił wielkim głosem, jak gdyby nagle dał porwać się uczuciom:

— Dobre jest wszystko, co Bóg raczył stworzyć, wszystko prócz ciebie, wężu. Więc bądź przeklęty, po stokroć przeklęty — ty i jad twój trujący!

Cytat z Pisma świętego? Czy Adam tak wyklinał węża? A może to tylko słowa, pod wpływem których, zdaniem zabobonnych, wąż odpełznie i skona? Brownie zatłukł tego grzechotnika albo innego bardzo podobnego. Dowiedziawszy się o wypadku Toda, uległ pragnieniu niezwłocznej pomsty, chwycił motykę, odszedł, aby wyrównać rachunki, i wrócił z grzechotnikami w ręce. Evans z aprobatą skinął głową, aby upewnić syna, że zabijając węża postąpił ładnie i rozumnie.

Po klątwie kaznodzieja rozpoczął dalsze modły. Znów skłaniał głowę, znów błagał o ukojenie i pociechę. Albowiem Pan zna drogi sprawiedliwych, a bezbożnikom gotuje zgubę. Nawet w czasie pogrzebowego kazania brat Weatherby nie mógł powstrzymać się od napomnień pod adresem tych, co klną lub nie szanują świąt.

Następnie przyszła kolej na dziwną pieśń. „Dzień odszedł i minął”. Weatherby zaintonował ją starczym głosem. Inne głosy podchwyciły

niepewnie melodię i słowa, lecz wydawały się drżące, kruche, małe w obliczu niezmiernej przestrzeni i pasących się wokół dzikich bizonów, i wiatru, który znikąd dmie donikąd.

Evans, Summers, Patch i Mack podeszli do skrzynki, opuścili ją w dół na sznurach. Weatherby sięgnął po szczyptę ziemi i wyrecytował:

— Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.

Judyta załamała się raz jeszcze.

Później tłum zaczął topnieć. Uczestnicy pogrzebu wracali do swoich furgonów, sposobili je do dalszej drogi. Lije i Dick zasypali grób, resztki ziemi ponieśli nad rzekę, wytrząsnęli do wody.

— Jeżeli Bóg jest taki miłosierny, jak gadają — powiedział Dick otrzepując plandekę — to objawia miłosierdzie na dziwną modłę.

— Cóż, Boga trzeba chyba odstąpić albo przyjąć bezwarunkowo takim jaki jest.

— Przyjmij go więc i zatrzymaj dla siebie. Temu dziecku na nic się już nie zda.

Ostatnie słowa Summersa wyjaśniły Evansowi coś, czego dotąd nie wiedział o nim. To człowiek wrażliwy i mocny zarazem. A jak się zastanowić, to jedno wypływało z drugiego.

Dick zwinął plandekę, wsunął pod pachę.

— Możesz już iść, Lije — powiedział. — Zostaw mi trochę czasu, a zamaskuję grób tak, że nie dojrzy go żadne indiańskie oko.

— Dobrze, Dick. Daj mi plandekę.

Ruszył ku biwakowi i w pół drogi spotkał syna, który wyszedł mu na spotkanie.

— Tato — odezwał się Brownie z odległości kilku kroków.

— Co powiesz, chłopcze?

— Zwinąłem namiot tato. Oba furgony też załadowane i woły zaprzęgnięte.

— Dobrze. Co więcej?

— I dzisiaj nie na mnie kolej pilnować bydło.

— Do czego zmierzasz, Brownie?

— Chyba mógłbym zostać i wyskrobać moje imię na skale?

— Miałeś cały wczorajszy dzień.

— Nic podobnego, tato. Stałem na warcie, zatłukłem węża. Tyle było zajęcia.

— Niebezpieczna historia.

— Bardzo proszę, tato. Tu zupełnie bezpiecznie. Przecież wszyscy będą mnie widzieć przez kawał drogi.

— Co cię napadło? Czemu koniecznie musisz wyryć swoje imię?

— No... muszę, tato.

Evans zauważył, że syn unika jego wzroku. Widać coś kryje, zapewne jakiś niedorzeczny pomysł: swój pomysł i swój sekret, o którym nie powinien wiedzieć nikt z dorosłych, takich mądrych we własnym mniemaniu. Evans spojrzał z uśmiechem w pełną oczekiwania twarz chłopca.

— Pracujesz, synku, za starego chłopa. Myślę, że wolno ci decydować o sobie — powiedział. — Tylko pospiesz się, nie marudź długo.

— Dziękuję, tato — zawołał radośnie Brownie. — Zostanę tu, póki nie odjedziecie.

— Tylko uważaj na Indian.

— Ma się rozumieć, tato.

Evans ruszył w stronę namiotu Fairmanów. Tylko on stał jeszcze i tylko ich woły nie były w jarzmie. Nachylił się i wszedł do namiotu. Judyta siedziała na posłaniu, twarz miała ukrytą w dłoniach. Mąż stal nad nią, jak skamieniały.

— Nie ma tu Becky? — zapytał kapitan.

Nikt nie odpowiedział.

— Może ci pomóc, Charlie?

Upłynęła minuta, nim Fairman się odezwał.

— Ona przyjdzie do siebie. Zaraz będę gotów.

— U mnie już wszystko zrobione. Chętnie zajmę się teraz twoim sprzężajem.

Chwila ciszy. Lije usłyszał tłumione szlochanie Judie.

— Poradzę sobie.

— Pora w drogę, Charlie. Trudno, musimy ruszać.

— Wiem.

— Jeszcze nie! Proszę!

Błagalny krzyk dobył się z wykrzywionych ust Judyty, która oderwała dłonie od twarzy przedstawiającej żałosny obraz.

— Nie możemy go jeszcze porzucić. Nie rozumiesz? Nie możemy go zostawić — zawołała.

— I nie wiedzieć nawet, gdzie leży! — wybuchnął Fairman. — Nigdy nie wiedzieć.

— Toddie — szepnęła kobieta zwracając się do grobu. — Biedny Toddie.

— Nie rozumiesz? Nie widzisz? — rzucił szorstko Fairman.

Evans rozumiał i widział, widział bardzo dobrze. Zobaczył też Dicka Summersa, który wsunął głowę do namiotu, a następnie wszedł i stał schylony pod płótnami. Twarz miał pełną powagi, zniknęły swawolne błyski w jego oczach.

— Odnajdę ten grób zawsze. Kiedy zechcesz, Judie — powiedział.

Rozdział XVIII

Summers ruszył, furgony potoczyły się za nim łańcuchem — dwa należące do Fairmanów tuż za czołowym sprzężajem, jakkolwiek w kolejności nie im przypadało dziś miejsce najbardziej osłonięte od kurzu. Za wozami ludzie przy jucznych zwierzętach i bydle gwizdali, krzyczeli, szarpali wodze i linki wiodące, a konie i muły chwytały spiesznie ostatnie szczypty stratowanej trawy i formowały kolumnę między skałą Independence a Sweetwater. Dalej tłoczyło się bydło.

Brownie siedział w siodle, przyglądał się odjazdowi karawany i dołączył na końcu, by pomóc przy poganianiu krów w czasie przeprawy. Później ściągnął wodze, pożegnał jeźdźców gestem ręki i skręciwszy w prawo zatrzymał się przed gładkim zachodnim stokiem skały. Nietrudno było wspiąć się, należało tylko uważać, gdyż poślizgnięcie groziło połamaniem kości.

Zeskoczył z konia i przywiązując go do wysokiej kępy szałwii klął w myśli muchy, które zdradzały nie lada ożywienie, chociaż słońce wzeszło dopiero przed dwiema godzinami. Były pośród nich małe żółte, co kłuły niczym pszczoły, i szare o dziwnie wyłupiastych oczach, i lśniące czarne z białymi skrzydłami, których bzykanie przywodziło zwierzęta do szaleństwa. Całe chmury much podnosiły się z wilgotnych nadrzecznych zarośli i spowijały konia oraz jeźdźca, chociaż dość silny wiatr i tak je przerzedzał. Brownie ustawił karabin pod skałą, położył obok dłuto i młotek, a następnie przesunął dłonią po skórze Nellie i od delikatnego nieowłosionego wymienia odjął palce czerwone od krwi wyssanej przez zajadłe owady. Wytarł rękę o spodnie, sięgnął po dłuto i młotek. Pomyślał, że broń nie przyda mu się na nic, będzie stanowić tylko zbyteczny balast, najlepiej więc zostawić karabin na miejscu.

Podejście było ostre, lecz mniej niebezpieczne, niż wyglądało z dołu. Brownie piął się na cętkowaną szaro i brunatno ścianę i wpół drogi przystanął, by odsapnąć nieco. Poniewczasie przypomniał sobie dobrą radę Dicka, iż na trudnym zboczu należy posuwać się wolno, krok za krokiem i bez potrzeby nie tracić tchu. Odwrócił się, usiadł, dobrze pilnując narzędzi, które mogły mu się wyniknąć i stoczyć do stóp skały.

Tabor ciągnął w szyku, jaki obrał do dziennego etapu, Zmierzał ku Devil's Gate — Diabelskiej Bramie, która z daleka przypominała nie bramę, lecz wnękę w podwyższonym raptownie i bardzo stromym paśmie gór. Jak zawsze, Dick Summers jechał na przedzie, truchtem, aby utrzymać właściwą odległość między sobą a czołowym furgonem. Łatwo było odróżnić starego wygę, bo miał na sobie jasne spodnie z kozłowej skóry, karabin przewieszony przez pierś, inaczej niż wszyscy, a na koniu siedział tak, jak gdyby przyszedł na świat z siodłem między nogami. Nieco więcej kłopotu sprawiało rozpoznanie jeźdźców towarzyszących Dickowi w szpicy. Zapewne byli to Botter, Davisworth oraz Insko, którzy normalnie pilnowali

stada, lecz tego dnia chcieli zabawić się trochę wypatrując bizonów i najdogodniejszego szlaku i polując, by po tej stronie przełęczy zaopatrzyć karawanę w suszone mięso. Daleko przed strażą przednią Brownie dostrzegł bizony — niewielkie stado, które jak gdyby pływało w blaskach porannego słońca. Za jeźdźcami wozy sunęły długim sznurem, chwiejąc się w lewo lub w prawo, gdy koło trafiało na kępę szałwii. Pierwszy był furgon Daugherty'ego, okryty czerwoną plandeką, za nim Fairmanowie, ojciec i matka, później Holdridge, Gorham, Tadlock. Chłopiec przebiegał wzrokiem tabor, próbował odróżnić kolejne zaprzęgi, niektóre rozpoznawał po drepcących obok psach lub dzieciach. Nie można się pomylić co do gromady młodych Brewerów. A zresztą — Byrd i Daugherty też wiodą liczne potomstwo, no i McBee.

Chłopcu przyszło na myśl, że furgon McBee poznałby z zamkniętymi oczyma, gdyż Mercy idzie obok sprzężaju, popędza woły. Ze znacznej odległości widział tylko rozwiana na wietrze sukienkę i cień poprzedzający dziewczynę, lecz odnosił wrażenie, że ma przed sobą jej smukłe- ciało, silne, chociaż drobne, i twarz, co uśmiecha się rzadko, lecz przemawia oczyma. Przypomniał sobie wieczór nad Laramie i głos Mercy — nie słowa: „Dziękuję, Brownie. Nic mi się nie stanie”, lecz ton miękki i łagodny. Zastanowił się, czy innym ona wydaje się równie ładna, czy podobnie chwyta ich za serce. Co myślą o niej Davisworth, Hig, Botter, Moss — którykolwiek z wolnych mężczyzn... Albo i żonatych. Na przykład Mack? Brownie odczuł nagłą wdzięczność dla Macka, który odnosił się życzliwie do rodziców Mercy, chociaż inni za nic ich sobie mieli. Nie! Wrażenia, myśli o niej należą do niego, tylko do niego, bo nikt inny nie czuje podobnie. Zachowa je dla siebie, utrzyma w sekrecie, aż czas sam przemówi.

Konie i muły szły tuż za furgonami pod dozorem Higa i Willie'ego Brewera. Dalej Gorham. McBee, Shields i Patch poganiali bydło, które wlokło się leniwie, niechętnie pokonując przestrzeń. Cały tabor odbył już przeprawę przez rzekę, która kręto zmierzała ku Devil's Gate, a bieg jej znaczyły zarośla i popielata szałwia.

Za kolumną ulatywały tumany kurzu, miecione poprzez Sweetwater porywistym wiatrem. Dziwny kraj, gdzie dmie wciąż, chociaż na niebie nie ma jednej chmurki.

W dole, w cieniu skały, Nellie przytupywała oganiając się od owadów. Na ścianie nie było much ani siekącego w twarz pyłu, po cienistej stronie kamień zachował jeszcze chłód nocy i człowiek słyszał w wietrze śpiew przestrzeni dochodzący od wielkiej przełęczy, od opiewanej przez Dicka Green River, od Oregonu, gdzie, jak powiada ojciec, pszenica rośnie suto, tuczy się bydło, a w rzekach płynie woda aż gęsta od ryb.

Jakaś zmęczona kobieta szła uczepiona luśni furgonu — furgonu Mercy — więc musiała to być pani McBee, osoba słabowita, gadająca wciąż o chorobach i lekach, aż ludzie zdrowi uśmiechali się ironicznie za jej plecami. Może inaczej odnosiliby się do tej rodziny, gdyby znali prawdę? Może McBee nie napotkali nigdy szansy życiowej, a gdyby napotkali, byliby zupełnie inni? W Oregonie on, już jako pan George Brown Evans, zrobi grube pieniądze, będzie miał dużo ziemi i liczne stada. Wtedy urządzi swoich teściów. Powie niedbale: „Ależ to nic. Drobiazg”. A oni pokażą, na co ich stać: stary McBee zacznie się golić i wszyscy zobaczą, że trudno o milsze familijne grono.

Marzenia nie rysowały się wyraziście — ulatywały szybko, przesłonięte myślą o śmierci. Tod Fairman postradał nagle życie, a jego matkę dławił płacz w czasie pogrzebu. Przedtem został Martin, po którym nikt nie rozpaczał, bo miał tylko siostrzeńca w Illinois i jemu pewno dostaną się pieniądze, jakie w Laramie przyniosła licytacja skromnego dobytku. Czy Martin i Tod Fairman są teraz w niebie? Może to ich głosy zawodzą w wietrze, może to oni biadają, że odeszli? Czy spod skrzydeł Boga spoglądają na ziemię — widzą, rozumieją?

Chłopiec nie potrafił wyobrazić sobie własnego konania, lecz widział się po śmierci. Oto leży biały i zimny, matka lamentuje nad nim, tata powtarza: „Synu! Mój synu”, a Mercy nie wstydzi się już szlochać i otwarcie wyznaje tajone dotąd uczucia. Jak zginął? Sam stawił czoła hordzie indiańskich wojowników, gdy reszta karawany schroniła się w zagrodzie. Śmiało stanął za osłoną konia, pewną ręką i niezawodnym okiem wziął na cel wodza i nie chybił. A gdy jego wierzchowiec padł, Brownie skrył się za nim niby za szańcem, dobył pistoletów (przypadkiem miał przy sobie pistolety Dicka) i położył dwu wrogów, zanim dosięgła go strzała. Ci, co podnieśli później zwłoki i wyciągnęli z nich strzałę, mówili, że nie widzieli nigdy waleczniejszego młodzieńca.

Waleczny, ale martwy! Brownie przepędził z głowy niedorzeczne mrzonki. Nie mógł powstrzymać śmiechu na myśl, że struga bohatera, a zapewne narobiłby w spodnie, gdyby samotnie stanął oko w oko z Indianinem. A może odwróciłby się i dał drapaka? Trudno przewidzieć, jak postąpiłby rzeczywiście. Prawdopodobnie jest od środka słaby, galaretowaty. Jego śmiałe postępki są śmiałe jedynie na pozór. Na przykład dzisiaj: został samotnie na skale, ale to żadne ryzyko.

Zamierzał właśnie wstać i wspiąć się nieco wyżej, gdy dostrzegł psa biegnącego od strony taboru. To Rock sunął podskokami wśród szałwii, przystawał, wysoko zadzierał głowę, bez wątpienia chciał sprawdzić, czy z jego młodym panem wszystko w porządku.

— Rock! Rock! Tutaj, piesku! — zawołał Brownie przekrzykując wiatr.

Szybko zsunął się po stromym zboczu.

— Tutaj, Rock! Jestem. Wyszedłem ci na spotkanie tak, jak ty mnie, stary.

Pies przydreptał mokry po przeprawie przez strumień. Merdał ogonem, podnosił głowę zachęcając, by go drapać, chłodnym nosem dotykał rąk chłopca.

— Czemu tak pędziłeś, Rock? Nie trzeba. Jeszcze kulejesz. Pewno pomyślałeś, że trochę mi strach samotności i przyszedłeś dodać mi ducha?

Słowa dźwięczały słabo na tle przestrzeni i wichru.

— I co? Drugi raz muszę piąć się na skałę. A ty potrafisz, piesku? — zapytał Brownie.

Postąpił kilkanaście kroków, przystanął, zawołał Rocka. Pies przechylił na bok głowę, jego niebieskawobiałe oczy przybrały wyraz zastanowienia. Później, jak gdyby zdobył się na stanowczą odpowiedź, ruszył jednym długim susem na skalną ścianę, znalazł oparcie dla łap, przywaro- wał, wreszcie jął pełznąć i wspinać się szybciej, niż mógłby to zrobić człowiek.

— Spokojnie, Rock! Wolniej. Co sobie wyobrażasz? Że jestem ptakiem. Ty nie masz nic do dźwigania, młotka ani dłuta, nic, tylko siebie.

Brownie stosował się tym razem do przestróg Dicka, a pies sunął skokami, z kamienia na kamień, przystawał, spoglądał na młodego pana, jak gdyby pytał: czemu tak wolno? Wkrótce wyprzedził chłopca, uspokojony widać i pewien dalszej drogi.

Niedaleko szczytu zobaczył słońce żeglujące wolno po niebie tak błękitnym, że niepodobna wyrazić tego słowami. Skrawek ognistej kuli wyjrzał zza skalistego zrębu i Brownie pomyślał: Jesteś. Czekasz na ranie, abym się ukazał od zachodu. On także mógłby być słońcem, mógłby spoglądać na rzekę, równinę, wzgórza, a ludzie powiadaliby: Brownie wzeszedł. O, patrzcie, Brownie świeci nam nad skałą.

Wspinaczka systemem Dicka nie zajęła wiele czasu i nie była męcząca. Niebawem Brownie dotarł do miejsca, gdzie wierzchołek skały, niemal płaski, tworzył grzbiet pełen rozpadlin i wypukłości, całkiem niewidocznych z dołu. Mniej tu było nazwisk wykutych lub wyskrobanych w kamieniu albo namalowanych czarną czy czerwoną farbą. Przeważnie mężczyźni obierali północną i południową ścianę, gdzie można było zająć miejsce u stóp stromizny i pracować stojąc na skrzynce lub beczce.

Chłopiec znalazł wnet odpowiednie miejsce — krawędź niecki nie tkniętą pędzlem ni dłutem — zanim jednak usiadł, by przystąpić do roboty, wyprostował się i smagany wiatrem rozejrzał wokół. Widział jedynie odległe krańce i wierzchołki świata, bo resztę przesłaniały nierówności skały. Nie mógł zobaczyć wojującej z muchami starej Nellie, taboru, który zmierzał ku Devil's Gate, ani opuszczonego obozowiska, ani grobu małego Toda. Pośród wiatru i masy kamienia był sam z Rockiem tylko, przestrzenią i jej tajemniczym wołaniem.

Palcem zmacał ostrze dłuta. Naprzód wyryje jej imię. Tak będzie ładniej. Jej imię, nieco niżej własne, a także dzień miesiąca i rok, i, jeżeli zdąży, wszystko to otoczy ramką, by na wieki dać dowód w kamieniu, że we dwoje stanowią jedność.

Kiedyś, w dalekiej przyszłości, Mercy nie będzie chciała mu uwierzyć. Co? Już tak dawno mnie kochałeś? Nieprawda, Brownie! To złudzenie, wytwór twojej fantazji. Mnie nie nabierzesz. Ale już jako mąż i żona przyjadą tutaj dyliżansem, a kiedy wejdą na tę skałę, on wskaże ręką i powie: „Spójrz! Ja to wyryłem w czterdziestym piątym roku”. Ona pocałuje go, popatrzy nań oczyma pełnymi tkliwości, roześmianymi i zawoła radośnie: „Wiedziałam, Brownie! Nigdy nie podejrzewałam, że kłamiesz. Ale tak lubię słuchać o twojej miłości”.

Wykucie litery kosztowało nierównie więcej czasu, niż Brownie liczył. Uderzenie młotkiem w dłuto pozostawiało tylko białą rysę, którą należało pogłębiać i pogłębiać, aż bolała ręka pracująca młotkiem, a dłoń z dłutem drętwiała. Po niejakim czasie chłopiec odkrył, że lepiej starannie przykładać dłuto i mocno walić młotkiem. Robota szła prędzej, tylko trzeba było uważać na pryskające okruchy kamienia. Rock pogonił za jakimś małym ptaszkiem — wróblem albo czyżykiem skalnym — a kiedy wrócił, położył się i na potężnych łapach oparł pysk zaśliniony w jednym kąciku.

— Nie śpiesz się, stary, poczekaj. Niedługo będzie koniec.

Litera po literze wyrył imię dziewczyny — wyglądało bardzo ładnie — i nim zaczął pracować nad nazwiskiem, przeciągnął się, rozprostował dłonie, by nabrać sił. Odpoczywając myślał, co też powiedzieliby ludzie z taboru, gdyby odgadli, jaką on ma tutaj sekretną sprawę. Zapewne uśmiechaliby

się pobłażliwie i żartowali, bo zdawałoby się im, że to chłopięce uczucie, niegodne, by traktować je serio. Nic nie powie nikomu, nawet matce ani ojcu, póki czas nie wyjaśni wszystkiego, czas i bieg zdarzeń. Wówczas będzie inaczej. Wówczas ludzie zrozumieją, że drwiliby z czegoś nie zasługującego na drwiny.

— Tylko ty i ja — zwrócił się do starego psa. — Tylko ty i ja. Nikt więcej nie może wiedzieć. A ty, Rock, nie wątpisz, że tak jest.

Pies odpowiedział powolnym ruchem ogona.

Tylko on i Rock, i małe ptaszki, a także ciekawie podglądające słońce i być może Mercy, która pogania sprzężaj, lecz kobiecym instynktem wyczuwa pewno, że Brownie pozostał na skale, by kamieniowi zwierzyć ich tajemnicę. Tylko oni i wiatr, co mówi, ale nic nie opowiada.

Czy wyryć swoje imię zdrobniałe, czy też w całej okazałości: George Brown Evans? Zdrobnienie bardziej odpowiada liczbą liter jej imieniu, niech więc będzie Brownie. Mercy McBee. Brownie Evans. 2 lipca 1845. Przyłożyć dłuto. Uderzyć młotkiem. Przyłożyć dłuto. Uderzyć młotkiem. Słońce wzniosło się już wysoko.

Zanim praca dobiegła końca, Rock dźwignął się na przednie łapy, spojrzał w stronę południa i warknął głucho, jak gdyby, chwytając wiatr w nozdrza, tłumił szczekanie.

— Co tam zwietrzyłeś, stary? — zapytał Brownie. — Może niedźwiedzia?

Dokoła nie było widać nic nowego. Jeżeli więc Rock naprawdę coś zwietrzył, nie zaniepokoiło go to powtórnie, bo ułożył się znowu, jak gdyby stracił wiarę w swoje powonienie.

Przyłożyć dłuto. Uderzyć młotkiem. Wszystko gotowe, prócz ramki. Przyłożyć! Uderzyć! Przyłożyć. Koniec. Chłopiec siedział jeszcze przez moment, aby obeschnąć z potu na wietrze. Pot jest tu zupełnie inny niż w Missouri. Występuje i niknie. Nie lepi się do ciała, nie przesiąka ubrania, nie ścieka obrzydliwie z nosa ani nie zalewa oczu.

Brownie wstał zesztywniały od długiego siedzenia i zanim się odwrócił, pomyślał z dumą: Porządna robota, jeszcze ładniejsza dzięki temu, co wyraża.

— Skończone, stary — powiedział do Rocka. — Teraz zejdziemy.

Wyrycie napisu trwało o wiele dłużej, niż chłopiec przewidywał. Kiedy stanął na grzbiecie skały, zobaczył, że karawana zniknęła za Devil's Gate — może szykuje się już do południowego postoju, bo słońce stoi wysoko na niebie. Zaraz skoczy na grzbiet Nellie, ruszy galopem. Będzie się spieszył, bo teraz, kiedy skończył robotę i nic nie zaprząta jego myśli, przykro odczuwa samotność i pustkę. To nie strach, nie lęk przed czymś określonym. Po prostu dokuczliwe wrażenie samotności i pustki. Przypomniał mu się kret, którego dawne temu wydostał z nory. Oszołomiony światłem, powietrzem, blaskiem słońca, biedak uganiał nieprzytomnie po murawie, daremnie szukał drogi do przytulnych, mrocznych ścian domu.

Rock zatrzymał się, warknął znowu. Nastroszył sierść między łopatkami. Węszył zawzięcie poszukując oczyma czegoś, co węch mu zasygnalizował.

— Co ty wyprawiasz, Rock? Chcesz mi napędzić strachu? Nie rób niemądrych kawałów.

Pies dał znać tylko poruszeniem jednego ucha, że usłyszał głos pana.

Brownie schował do kieszeni młotek i dłuto, aby przy schodzeniu ze skały mieć wolne ręce. Ruszył w dół drobnym krokiem, odgięty do tyłu, gotów podeprzeć się dłońmi w razie poślizgnięcia.

— Chodźże, Rock! — zawołał. — Stary pies, a głupi.

Rock popatrzył nań z góry, jeszcze raz spojrzał w niepokojącym go kierunku i niby wartownik, co opuszcza posterunek, począł zsuwać się ze skały, nie przestając jednak warczeć.

Na dole Nellie ogania się od much, strzelba stoi pod skałą, tam gdzie ją zostawił, wyraźny szlak wiedzie za Devil's Gate. Za minutę Brownie znajdzie się w siodle, wkrótce doścignie tabor i ludzie będą mówić: „Jak się masz, Brownie? Gdzie się zawieruszyłeś? Złamałeś nogę w borsuczej norze?”

Wpół drogi od podstawy skały Rock zatrzymał się na sztywnych nogach, spojrzał w dół, bulgot w jego krtani zmienił się w zajadłe szczekanie.

Wówczas chłopiec zrozumiał powód psiego niepokoju. Nad kolanem strumienia zobaczył Indian, którzy siedząc na koniach skuleni chronili się od wiatru za brunatnymi skórami bizonów. Twarze mieli zwrócone w jego kierunku, więc Brownie skamieniał na ich widok, a Rock z donośnym ujadaniem skoczył do przodu.

Chłopiec mógł zawrócić, jeszcze raz wspiąć się na szczyt, choć Indianie słowami i gestami zachęcali go, by zszedł, a jeden nawet uniósł łuk. Mógł uciekać, lecz niewątpliwie dognaliby go lub dostałby strzałą w plecy. Mógł też zeskoczyć — od Nellie dzielił go jeden długi skok z poślizgiem — ale prawdopodobnie złamałby nogę, zdarł skórę z zadka, a Indianie dopadliby go, nim by zdążył sięgnąć stopą strzemienia.

— Rock! — zawołał bez zastanowienia i zdziwił go dźwięk własnego głosu. — Wróć! Rock, do nogi!

Powitalnym ruchem podniósł rękę tak, jakby to zrobił na widok Higa lub Bottera. Ruszając w dół, tłumił wewnętrzną trwogę, starał się, aby jej cień nie odmieni! wyrazu twarzy, chciał stąpać energicznie, mieć pewne, spokojne ręce. Łatwa to była droga, łatwa i niedługa. W połowie Brownie zdobył się na zająkliwe:

— Dzień... dobry...

Jeden Indianin zeskoczył z konia, podbiegł do opartej o skałę strzelby, chwycił ją i uniósł nad głową niby cenną zdobycz. Inni otrząsnęli się ze zdziwienia, jakie odczuli na widok chłopca, ruszyli truchtem w stronę Nellie; ciemne twarze zwracali ku górze, spod kołtuniastych włosów patrzyli zmrużonymi oczyma. Wiatr przyniósł ich zapach — zatęchły fetor dymu, tłuszczu, nie domytych ciał. Nellie poczuła go również, bo szarpnęła uździenicą, stanęła dęba, próbowała oderwać się od kępy szałwii. Młody Indianin z długą blizną przez cały policzek zsunął się z konia, przystąpił do Nellie i uspokoił ją uderzeniem kamienia, który podniósł po drodze, a gdy stanęła drżąca, oszołomiona ciosem w głowę, ściągnął z niej siodło.

Krzyczeli jeden przez drugiego. Później wszyscy zaczęli wrzeszczeć, zachęcając znów chłopca gestami, by zszedł ostatnie kilkanaście kroków. Podskakiwali przy tym, wznosili dzidy, wymachiwali łukami. Rzucali się ku niemu, jak gdyby go chcieli przebić, i wciąż krzyczeli, a wiatr tarmosił pióra

zatknięte we włosy. Ten z blizną na policzku przymierzał siodło Nellie do własnego konia.

Brownie nie miał wyboru. Musiał ruszyć ku dzidom, łukom i starej skałkówce, z której inny młody wojownik mierzył doń od dawna. Wykrzykiwał coś głośno, widocznie gotów zabijać, bo kilku towarzyszy podbijało mu strzelbę.

Chłopiec był daleko, bardzo daleko ciałem i myślami. Strach odczuwał niby w nocnym koszmarze, lecz jego wzrok widział wszystko wyraziście i jasno: co najmniej dwudziestu Indian okrytych niegarbowanymi skórami bizonów lub chustami, w skórzanych spodniach... Jeden nie ma na sobie nic prócz mokasynów i muszelek zwisających z uszu... Nędzne szkapiny, równie nędzna uprząż, muł w kantarze używanym przez białych... Dalej chude psy zawzięcie odszczekują się Rockowi.

Brownie stanął na dole. Indianie obskoczyli go z wrzaskiem, jęli szarpać, obmacywać, zaglądać mu w twarz wypatrując strachu w jego oczach.

— Spokojnie! Ciszej! — odezwał się głosem, któremu chciał nadać stanowcze brzmienie. — Ja przyjaciel.

Jeden zdarł mu kapelusz z głowy, drugi koszulę z grzbietu. Nie było co marzyć o obronie. Brownie mógł jedynie cofać się, udawać dojrzałego, dzielnego mężczyznę, kiedy Indianie oblegali go, tarmosili, wznosili łuki, wymierzali w niego groty dzid.

Nagle, wśród piekielnego zgiełku, Brownie usłyszał basowy głos Rocka, później charczenie i przejmujący skowyt bólu. Skoczył do przodu, poza krąg Indian, i zobaczył swojego psa otoczonego sforą indiańskich wilczurów. Rock padał, dźwigał się, znowu padał, napastowany ze wszystkich stron odgryzał się kilkunastu przeciwnikom, błyskał zębami, a siwiejąca sierść na pysku była już szkarłatna od krwi. Nagle opuścił starą głowę — wnet zabrzmiało żałosne wycie, cienkie jak gwizdek; jeden wilczur uskoczył w bok na trzech nogach i kłębowisko potoczyło się dalej.

Rock niknął pod ciałami napastników, wyłaniał się znowu niby głaz z wodnego wiru, uwalniał się i zamiast uciec, odwracał się, walecznie stawiał czoła kolejnemu atakowi, który go walił z nóg.

Musi zginąć. Zbyt wiele ma przeciw sobie zębów, za dużą masę. Zginie po bohatersku, nie będzie umykał ani błagał o litość czy o słusznie należną pomoc. Zginie i przed śmiercią wybaczy opiekunowi, który patrzy bezradnie, bo strach mu Indian, chociaż i oni przerwali własną zabawę, by obserwować ciekawie zapasy psów.

Brownie poczuł w kieszeni ciężar i uprzytomnił sobie, że to młotek, którego mu dotychczas nie odebrali. Wyszarpnął go i wrzeszcząc raz jeszcze przerwał kordon Indian, skoczył w psie kłębowisko, wymierzył potężny cios jednej głowie, później drugiej. Nie baczył na szalejącą wokół walkę, na kły szarpiące go za łydki.

Połączonymi siłami Rock i jego młody pan szybko uporali się z wilczurami. Dwa ocalałe umknęły z ujadaniem i warczeniem. Brownie przyklęknął, stwierdził, że Rock nie ma poważnych obrażeń, pogłaskał go i przykazał trzymać się nogi, ponieważ banda. Indian już nadciągała. Czekając na nich mocno ściskał trzonek młotka, bo podejrzewał, że chcą zabić Rocka. Ale Indianie poczęli kiwać głowami, wzajemnie pokazywać

sobie stare psisko, wykrzykiwać coś, jak gdyby sławili męstwo. Zamęt przycichł na moment, więc chłopiec odczuł coś na kształt ulgi.

Ale wrażenie okazało się złudne, bo Indianie skoczyli znów ku niemu, odebrali mu młotek i wykręcając ręce zmusili, by usiadł na ziemi. Zdążył tylko krzyknąć do Rocka, by trzymał się z dala, po czym dwaj Indianie zajęli miejsca obok niego i zwrócili ku bokom jeńca dzidę i grot strzały tak, że nie śmiał się poruszyć. Reszta poczęła znowu gadać, tym razem ciszej, jak gdyby tocząc jakiś spór. Wszyscy — prócz tego z blizną, który poszedł dobijać okaleczone wilczury — kręcili się wokół chłopca, rozprawiali zawzięcie, wymachiwali bronią.

Indianin z blizną wrócił, przyłączył się do rozprawy gardłując głośniej, gwałtowniej niż inni. Wyglądało na to, że młody wojownik, zbrojny w skałkówkę, i drugi, ze zdobycznym karabinem, opowiadają się po jego stronie. Wszyscy trzej przyskakiwali do jeńca, kuksali go — jeden tylcem dzidy, inni kolbami broni palnej, odwracali się i wrzeszcząc tłumaczyli coś kamratom — pewno, że trzeba skończyć z bladą twarzą. Później wracali i znów uwijali się wokół jeńca.

Ilekroć Brownie próbował zmienić pozycję, dostrzegał wyraz drwiny w oczach zawziętej trójki, czuł na plecach ostrza dzidy i strzały, więc starał się siedzieć spokojnie i tłumić trwogę, trzymać ją w karbach tak, by nie zmusiła serca do żywszych uderzeń, nie znalazła odbicia w wyrazie twarzy ni spojrzeniu.

Zawzięta trójka podniecała resztę. Wszyscy zaczęli znów wrzeszczeć, podskakiwać, wywijać bronią; raz po raz wskazywali jeńca, który widział i słyszał wszystko jak przez mgłę i z coraz większym wysiłkiem panował nad biciem serca. Twarze o skośnych oczach zdradzały głód krwi hamowany przebłyskami rozsądku, na brunatnych policzkach widać było ślady nie zmytego dokładnie wojennego malowidła. Najwyraźniej oponował zawziętej trójce stary Indianin o orlim nosie, orlich oczach i cerze naznaczonej głębokimi dziobami po ospie. Głośno do nich przemawiał, gestykulował, krzykiem odpowiadał na krzyk, coś perswadował.

Jednakże Brownie nie dostrzegał litości w twarzy starego Indianina ani w żadnej innej twarzy i nie był w stanie wyjaśnić tym ludziom, że wcale źle im nie życzy. Pomyślał, że nie zdoła już długo patrzeć, słuchać spokojnie i panować nad strachem. Człowiek potrafi wytrwać do pewnego momentu, później załamuje się, pragnie, aby nastąpił wreszcie koniec — wszystko jedno dobry czy zły. Miał wrażenie, że od wielu godzin Indianie obskakują go, podnoszą wrzask, wymachują bronią, a on zszedł -»e skały chyba jeszcze rok temu. Już lepiej umrzeć szybko, lepiej rzucić się w wir walki, niż siedzieć potulnie niby kurczę, gdy tamci kłócą się, czy przebić go dzidą, zastrzelić, czy kark mu skręcić, co ostatecznie zrobią wcześniej lub później.

Słońce zaczęło zniżać się na niebie, zmierzać w stronę zachodniego widnokręgu oraz taboru. Gdzieś daleko karawana sunie naprzód. Ludzie myślą już o biwaku, kolacji, odpoczynku. Dick jedzie w straży przedniej, szuka wzrokiem drzewa na opał, dobrej wody. Matka i ojciec są niespokojni o niego, bo nie liczyli się z tak długą nieobecnością syna. Brownie poczuł, że łzy cisną mu się pod powieki, hamowany płacz dławi gardło. Niechaj poderwą się zdrętwiałe nogi i ręce poczną zadawać ciosy. Niech przebodzie pierś grot dzidy.

Kiedy Brownie wahał się między trwaniem na miejscu i pragnieniem czynu, umilkły krzyki, odwróciły się głowy, a on mógł popatrzeć śladem indiańskich spojrzeń nie nękany przez dzidę ani strzałę. Dźwignął się nieco i zobaczył Dicka Summersa, który nadjeżdżał konno, jakby to była odpowiedź na jego modły. Stary Dick Summers! Oto galopuje przez równinę prosto jak strzelił, a jego nie okryte kapeluszem włosy srebrzyście połyskują w słońcu. Dick nie boi się jednego Indianina, ani całego plemienia, przybywa więc uwolnić z opałów nieostrożnego chłopca! Nowy pomruk indiańskich głosów pochłonął wołanie jeńca bardzo podobne do szlochu.

Stary wyga ściągnął wodze, przeszedł w kłus, a gdy znalazł się jeszcze bliżej — w stępa. Wsunął strzelbę pod pachę, wydobył fajkę, nabił i podniósł w wyciągniętej ręce. Później zatrzymał się w odległości jakichś dwudziestu stóp. Objął wzrokiem Indian, spojrzał na skałę sterczącą po prawej stronie, przemówił donośnie, gardłowo jak Indianie; począł gestykulować wyraziście. Na młodego Evansa zerknął tylko przelotnie, lecz wśród indiańskiej mowy przemycił zrozumiałe zdanie.

— Spokojnie, synku, szykuję lek.

Odpowiedział mu Indianin o orlej twarzy, mówiąc równie głośno i poruszając rękami bardzo podobnie.

Brownie spostrzegł, że młody wojownik manipuluje strzelbą, jak gdyby świerzbiły go ręce, by wystrzelić, a że straż przestała zważać na jeńca, stanął tuż obok niebezpiecznego Indianina.

Dick zabrał głos powtórnie. Mówił niezmiernie długo, gestykulował, odwracał się w siodle, ręką wskazywał kierunek, w którym musiał znajdować się tabor. Brownie pomyślał, że cała postawa Summersa, spokój, widoczny brak lęku, poważna twarz i szare oczy — wszystko to trzyma w ryzach indiańskie strzelby i mocno zaciętym ustom każe milczeć.

Ten o orlej twarzy odpowiedział krótko, Dick przemówił raz jeszcze i na moment zapanowała cisza, którą młody Indianin z blizną przerwał podejmując spór mimo wrażenia, jakie wywołał Summers. Dodało to odwagi parze jego popleczników, więc we trzech stanęli przed tym o orlej twarzy i znowu zaczęli wrzeszczeć i wymachiwać rękami.

Dick powiedział coś krótko, niedbałym ruchem zwrócił strzelbę w stronę skały, jak gdyby coś po prostu wskazywał. Huknął strzał i na miejscu, gdzie siedziały dotąd małe ptaszki, zostało trochę piór przylepionych krwią do kamiennej ściany.

Indianie wznieśli ręce do szeroko otwartych ust. Spojrzeli ze zdziwieniem naprzód po sobie, później na Summersa, który znów przemówił w ich języku, lecz znacznie spokojniejszym tonem.

— Jedziemy, Brownie. Już po zmartwieniu. Bierz Nellie — zwrócił się na koniec do chłopca.

— Zabrali mi strzelbę i siodło.

— O tym potem. Ciesz się, że masz włosy na głowie.

Ani jeden Indianin nie podniósł ręki, gdy jeniec dosiadał na oklep Nellie i przywoływał Rocka. Przyglądali mu się w milczeniu, a następnie ruszyli ku swoim koniom, które szukając lepszej trawy zawędrowały nad rzekę.

Brownie jechał obok Dicka, w asyście Indianina o orlej twarzy i dwu innych wojowników. Reszta wlokła się za nimi. Indianie nie hałasowali, wymieniali tylko krótkie zdania w spokojnym tonie.

— Siuksowie — powiedział Dick. — Tetoni albo jakieś inne pieskie plemię.

— Dick.

— Gdzieś niedaleko mają obóz, więc tak sobie węszyli po okolicy.

— Dick.

— Mów śmiało. Nie zrozumieją.

— Bardzo ci jestem wdzięczny. Dziękuję, Dick.

— Nie ma za co.

— Dick.

— Co, synku?

— Kiepsko się spisałem, Dick.

— Czyżby?

— Będzie mi lżej, jak ci powiem. Strasznie się bałem.

Stary wyga poklepał chłopca po kolanie.

— Drobiazg. Każdy ma pietra w opałach.

— Pewnie. Ale nikt nie bałby się tak jak ja.

— Nie opowiadaj. Podkradłeś się do Indianina ze strzelbą, by w razie czego podbić mu rękę. Widziałem to na własne oczy.

Summers obejrzał się, jak gdyby chciał sprawdzić, czy nie grozi napaść od tyłu.

— Na przyszłość strzeż się co młodszych Indian. Widzisz, Siuksowie nie bardzo słuchają swoich wodzów.

— Jak załatwiłeś sprawę, Dick?

Summers nie odpowiedział zaraz. Naprzód wymienił kilka słów z tym o orlej twarzy.

— Jak załatwiłem sprawę? Przede wszystkim zapytałem, czy nie widzieli wielkiej wojennej wyprawy białych. Naturalnie miałem na myśli pułkownika Kearny'ego i jego ludzi.

— Widzieli ich?

Dick przecząco pokręcił głową.

— Następnie powiedziałem, że mówimy jednym z nimi językiem i zmierzamy w stronę wielkiej wody, a po drodze będziemy zabijać wrogów walecznych Siuksów, a szczególnie Czarne Stopy. Dodałem, że mamy dla nich czerwoną farbę do twarzy, paciorki, szydła i może nawet trochę ognistej wody w wydrążonym drzewie, to znaczy whisky w baryłce. Teraz rozumiesz, czemu wloką się za nami? Jadą po prezenty — zakończył Dick i podjął rozmowę z indiańską eskortą, swobodnie, wesoło, niby ze starymi przyjaciółmi.

Nad rzeką wszyscy pozwolili napić się koniom, w bród odbyli przeprawę i ruszyli dalej ku skałom Devil's Gate złocistobrązowym w blaskach słońca. Brownie zorientował się, że wiatr ustał prawie zupełnie, i porównał go z potężną zawieruchą, która szalała w jego własnych myślach, obecnie zaś ucichła pozostawiwszy zmęczenie, ale i pogodę. Ostatecznie Dick twierdzi, że spisał się nie najgorzej. Każdy ma pietra w opałach, zwłaszcza jeżeli coś takiego spotyka go po raz pierwszy.

— Nie spodziewałem się, że wystrzelisz.

— Widzisz, Brownie, pytanie o Kearny'ego i spodziewane upominki nie uspokoiły Indian wystarczająco. Wobec tego dodałem, że mamy w taborze trzydziestu mężczyzn, którzy dadzą im łupnia, jeżeli ciebie spotka coś

złego. Powiedziałem, że wszyscy mają oko nie gorsze niż moje, i w tym momencie wystrzeliłem.

— A gdybyś nie trafił tego ptaszka? Co wtedy, Dick?

Stary wyga uśmiechnął się na swój sposób.

— Wtedy? Powiedziałbym niedługo: „Miło mi, że cię widzę, Panie Jezu. To mój młody przyjaciel, Brownie Evans” — uśmiech zniknął, zostawiając po sobie wesoły wyraz twarzy. — Nie spojrzałeś, synku, na moją broń. To ta druga, dwururka. Wziąłem ją, bo chciałem zapolować na ptactwo. Widzisz, lufa, z której wygarnąłem, była naładowana drobnym śrutem.

Rozdział XIX

Evans obudził się wcześnie, zanim powstał jakikolwiek ruch w obozie. Odczuwał wyczerpanie, zarazem jednak odprężenie — wyczerpanie wczorajszym długotrwałym niepokojem, odprężenie — ponieważ Brownie był w pobliżu i nic strasznego nie wynikło z jego spotkania ze Siuksami. Począł nasłuchiwać i złowił uchem sapanie syna dochodzące z posłania rozłożonego pod gołym niebem obok namiotu. Przy sposobności usłyszał również stąpanie miękkich łap, domyślił się więc, że Rock wstał wcześnie i obwąchuje nowy dzień.

W namiocie było ciemno, tak ciemno, że obecność leżącej przy nim żonę Lije wyczuwał tylko dzięki jej spokojnemu oddechowi. Na dworze z pewnością nie świta jeszcze i wszystko jest mętne, zniekształcone, spowite nadal tajemnicami nocy, co opornie ustępują wobec słabych ataków słońca.

Evans rozluźnił mięśnie, odpoczywał, przeżywał powolny nawrót wiary w powodzenie wyprawy do Oregonu, w powodzenie wszystkiego. Naturalnie wędrowców czekają liczne trudności. Mają przed sobą najcięższy odcinek szlaku, najbardziej strome podjazdy, najpotężniejsze rzeki. Muszą zdobywać się na coraz więcej wytrzymałości, energii. Ale on, Lije Evans, sprosta wszystkiemu. Leżał spokojnie, odpoczywał i nie miał wątpliwości, że sobie poradzi.

Człowiek może odmienić się w ciągu jednego dnia, w ciągu godziny — od kompletnego upadku ducha potrafi przejść do nadziei. Wczoraj, pod brzemieniem niepokoju, chciał dać za wygraną, zawrócić ku swojskiej nudzie życia w Missouri. Nie mógł powstrzymać się od odwracania głowy, wypatrywania syna, jakkolwiek wiedział, że Rebeka śledzi go z ławki w drugim furgonie, podsyca własne obawy tak jak on swoje. Za Devil's Gate zniknęła z oczu skała Independence i ku wschodowi widać było tylko grzbiet, który tabor pokonał, by ominąć skaliste bezdroża przełomu Sweetwater. Wzrok mógł wędrować jedynie do przodu, wzdłuż wznoszącej się łagodnie, szerokiej, płaskiej, porosłej szałwią doliny, zakończonej nikłą sylwetką skały zwanej Split.

Evans miał wrażenie, że to, co pozostawione w tyle, odeszło na zawsze, że powrót nie wchodzi w grę i można jedynie dążyć naprzód i naprzód. Nigdy uprzednio nie czuł tak mocno, że rozmyślić się nie sposób, bo karawana jest odcięta od dawnego świata — z tyłu i z obydwu stron: z prawej wznoszą się skaliste urwiska, z lewej tarasowate, zielone wzgórza. Gdzie się ten chłopak podział? Czy zdmuchnął go diabelski wiatr przybierający wciąż na sile?

— Nic mu nie będzie, Becky — zawołał spoglądając przez ramię na żonę i wymuszając uśmiech. — Wiesz, jacy są chłopcy. Wszystko muszą obejrzeć po drodze, no i czas nic dla nich nie znaczy. Denerwujesz się niepotrzebnie.

Jednakże sam też był zdenerwowany. Co się stało? Co może dziać się w tej chwili? Prawie już pora na nocny postój, a chłopaka jak nie ma, tak nie ma. Przez tyle czasu zdążyłby wyryć imiona i nazwiska całej kompanii.

Przepędzał z myśli wszelkie nasuwające się okropności. Grzechotnik czyha na skalnym występie, gotów ukąsić macającą drogę rękę. Klacz potyka się, pada, przygniata jeźdźca. Indianie wyskakują z zasadzki, w pogotowiu trzymają napięte łuki i noże do skalpowania. Evans powtarzał sobie, że śmierć Toda wytrąciła go z równowagi, mimo to jednak obawy powracały nieustannie. Szkoda, że nie zawrócił z Summersem. Należało wybrać się z nim i poprowadzić patrol, chociaż Dick odradzał. Oczywiście, to dzielny człek, zaradny, lecz co sam wskóra wobec gromady Siuksów? Co mu tam Oregon? Oregon bez Brownie'ego nie miałby wartości — jak dla Fairmanów utracił sens po śmierci Toda.

Wyrastające przed taborem kształty zdawały się cudaczne, groźne. Surowe i nagie rysowały się fioletem i purpurą pod promieniami nużącego słońca. Evans pomyślał, że to zapewne przestroga, ostrzeżenie, by nie iść dalej, nie zapuszczać się w dziką, bezludną krainę, nie tkniętą stopą takiego jak on człowieka. Gdzież się podział ten smarkacz?

Otrząsnął się z babskiego biadania, zirytował się na siebie, syna, karawanę, ten zakazany kraj i całą tę przeklętą wyprawę. Lepiej było w Missouri. Nuda i ciężka harówka, ale przynajmniej nie dręczyły człowieka żadne lęki.

Przystanął, zwrócił się do żony, która siedziała na swojej grzędzie w drugim furgonie.

— Pojechałbym go szukać, gdybym był tak jak ty roztrzęsiony.

— To ty się denerwujesz.

— Przez ciebie — powiedział Evans zły, że Becky jeszcze raz na wskroś go przejrzała.

— Nie blaguj, Lije.

— Wcale nie blaguję. A jemu nic nie będzie.

— Daj Boże. Weź kilku ludzi, Lije.

— Aha.

— Bardzo cię proszę.

— Bo sam sobie nie poradzę, co? Twój sprzężaj uwiążę do luśni pierwszego furgonu. Poprowadzisz oba, Becky, łatwo poprowadzisz. A teraz, wysiadaj.

Przyśpieszył kroku, aby pogonić woły i przywiązać do luśni swojego furgonu, z którego wydobył karabin.

— Tylko nie jedź sam. Bardzo cię proszę.

— Nie martw się o mnie. Pilnuj furgonów.

Zawrócił i zmierzając pod prąd kolumny myślał, że musi pożyczyć od kogoś konia. Był przy środkowych sprzężajach, gdy daleko za prowadzonymi luzem końmi, za stadem bydła, dostrzegł wyłaniające się nad grzbietami wzgórz głowy, później ramiona jeźdźców, prawdopodobnie Indian. Nie był pewien, czy dobrze widzi, więc przystanął i sparaliżowany strachem patrzył i patrzył, póki nie odróżnił dwu postaci niepodobnych do reszty; jedna z nich wyraźnie przypominała Dicka Summersa. Evans wytężył wzrok, aż oczy mgłą zaszły. Wiedział teraz, jak ma postąpić.

Wiedział, co mimo wszystko winien zrobić kapitan.

— Botter! — zawołał. — Dawaj konia! Prędko!

Skoczył na siodło i odjeżdżając krzyknął:

— Indianie! Pędzić konie do przodu! Furgony w zagrodę!

Pogalopował ku czołu kolumny.

— Indianie! — krzyczał po drodze. — Trzymać się! Za mną!

Cwałem pogonił w stronę potoku, gdzie w razie oblężenia nie brakłoby wody. Na brzegu począł zataczać krąg.

— Ładować broń! Nałożyć spłonki. Wszyscy do środka! Sam pojadę na zwiady!

Zawrócił w miejscu i mijając własne furgony rzucił:

— Becky, widziałem Dicka i, zdaje się, naszego chłopaka!

Nie czekał odpowiedzi, lecz ścisnął piętami konia i chociaż go dobiegła prośba żony, by zabrał kogoś ze sobą, ruszył sam na spotkanie przybyszów. Tymczasem straż podprowadzała konie i zapędzała bydło nad strumień.

— Davisworth — zawołał gniewnie Evans. — Konie do zagrody. Ruszaj się! Ty i reszta. Nie macie za wiele czasu.

Rzeczywiście, nadjeżdżali właśnie Indianie, a z nimi Dick i zapewne Brownie — tak, niewątpliwie Brownie! Na Boga! To oni i Rock drepcze przy nich.

Jechał dalej w stronę zmierzającej ku niemu gromady, a gdy znalazł się w odległości trzydziestu stóp, Summers ściągnął wodze i podniósł rękę, aby zatrzymać resztę.

— Kapitanie — powiedział. — Prowadzę najgrubsze ryby spośród Siuksów.

Evans miał na języku sto pytań, lecz tylko dwa znalazły wyraz:

— Obydwaj cali? Indianie usposobieni pokojowo?

— Nie bój się, kapitanie. Mogą nas zaczepić, ale tylko żartem.

— Co robić, Dick?

— Wyciągnij fajkę i zrób taki ruch, jakbyś ją nabijał. To znak przyjacielskich zamiarów.

— Dobrze.

— Niech staną tu obozem i pogadamy z nimi. Myślę przetrzymać ich do rana, bo wioska musi być gdzieś niedaleko, a wolę nie mieć na karku całego plemienia.

— Mogę zabrać Brownie'ego?

— Niech na razie zostanie. Oni chcą go przehandlować, jak skórkę bobrową czy coś takiego. Ale go zaraz przyprowadzę.

Evans przebiegł wzrokiem brunatne twarze Siuksów, ich łuki, dzidy, oczy ponuro spoglądające spod przybranych piórami włosów. Nie mógł powstrzymać słów:

— A nie mówiłem, Brownie, że to niebezpieczna historia?

— Wybierz kilku mężczyzn, którzy popalą z tymi małpami, bo to diabelnie honorowe skurwysyny. W ten sposób nie wepchną się do zagrody.

— Dobrze.

— Nie bój się, Lije. Nie ma dużego ryzyka, jeżeli zachowamy ostrożność. Niech strzelcy stoją w pogotowiu. Widzisz, nic tak nie podnieca apetytu Indian, jak łatwe do zdobycia skalpy.

Dick przemówił do Siuksów, którzy zaczęli gadać między sobą, zerkając na Evansa, jak gdyby chcieli się upewnić, czy w gruncie rzeczy to

przyjaciel, czy wróg. Później ruszyli w dół rzeczki i zatrzymali się o półtora wołania.

Evans nie czekał odjazdu Indian, lecz ruszył ku zagrodzie i nim zdążył wydać rozkazy, powiedział Rebece:

— Wszystko w porządku. Przehandluję trochę paciorków na Brownie'ego. Nie smuć się. Nie ma teraz czasu na rozmowy.

Następnie wybrał „palaczy", którzy mieli mu towarzyszyć na konferencję: Patch, Byrd, Carpenter, Mack, Gorham i — po namyśle — Tadlock, bo z karabinem w ręku mógł narobić więcej złego niż z fajką. Na straży mieli pozostać co lepsi strzelcy — Daugherty, Hig i Shields.

Niebawem zjawili się Siuksowie pod przewodnictwem Dicka. Przed konferencją umazali uroczyście twarze czerwonym i czarnym barwidłem. Na ich spotkanie wyszedł Evans w otoczeniu „palaczy". Dick powiedział białym, aby usiedli półkolem, i to samo musiał powtórzyć Siuksom, bo zsunęli się z koni i zajęli miejsca na murawie. Tylko jeden młodzik pozostał przy nędznych wierzchowcach.

W czasie gdy się sadowili, Evans podszedł do syna.

— Jak się czujesz, Brownie? — zapytał.

— Oni mają dotąd moją strzelbę i siodło.

— Wiedziałem z góry, że nie powinienem zostawiać cię na skale dla byle głupstwa — rzucił Evans i dodał znacznie łagodniejszym tonem.

— Nie przejmuj się, chłopcze. Ostatecznie wyszedłeś cało.

— Gotowe, Lije — zabrzmiał głos Summersa.

— Myślę, że nim zaczniemy palić, trzeba wydostać od nich strzelbę i siodło.

— Słusznie — przyznał Dick. — Wyleciało mi to z głowy.

Zwrócił się do starego Siuksa — wodza, sądząc z jego postawy i zachowania innych. Indianin coś odpowiedział, a następnie skinął na młodego wojownika z blizną na policzku. Chłopak ruszył z posępną miną w stronę biwaku nieproszonych gości.

Wszyscy oczekiwali jego powrotu,. Nieuzbrojeni biali siedzieli półkolem, milczeli, od czasu do czasu zerkali ukradkiem ku zagrodzie, aby upewnić się, że strzelcy stoją w pogotowiu. Indianie pomrukiwali między sobą, lecz odłożyli również łuki i dzidy, jak się zdaje, na polecenie Summersa.

Młody wojownik nadszedł rychło z siodłem i strzelbą, położył je przed wodzem i z wyrazem twarzy nie mniej pochmurnym niż uprzednio zasiadł wśród swoich. Wódz rzucił krótkie zdanie, gestem ręki wskazał skradzione rzeczy, które Dick zabrał i umieścił przed Brownie'em. Siodło było pocięte nożem — z czystej złośliwości, jak podejrzewał Evans.

Pierwszy przemówił wódz, donośnym, opanowanym głosem, pomagając sobie ruchami dłoni. Całą postawą wyrażał siłę i zadowolenie z siebie, godne białego polityka, który zwracał się do tłumu słuchaczy. Mówił długo, ale Dick poświęcił znacznie mniej czasu angielskiemu przekładowi jego słów. Indianie mają szlachetne serca. Ziemia ta do nich należy, radzi jednak pozwalają przechodzić białym braciom. Pozwalają im też zaopatrywać się w mięso, jakkolwiek biali bracia płoszą bizony i Indianie muszą później szukać żywności w odległych stronach, a dzieci ich w wigwamach płaczą z głodu. Natomiast biali ludzie mają zwyczaj składania darów w postaci prochu, ołowiu, paciorków i szkarłatnego barwidła do

twarzy. To dobry zwyczaj, więc biali ludzie odchodzą w pokoju, chociaż płoszą zwierzynę.

Evans zdał sobie sprawę, że na niego przyszła kolej. Jako kapitan powinien zabrać głos w imieniu białych. Przeróżne zdania przychodziły mu na myśl.

— Gadaj cokolwiek, Lije — szepnął Dick. — Ja zrobię z tego mowę w indiańskim stylu. Powiedz, że mamy też szlachetne serca, lecz ręce krzepkie w razie potrzeby, a ty zamierzasz dać im prezenty jako dowód serdecznej przyjaźni. Powiedz, że jesteśmy tu przejazdem i wcale nie chcemy osiąść. Rozprawiaj długo, gestykuluj. Brownie, sięgnij do moich juków po worek z towarem dla Indian.

Kapitan zdobył się na potoczyste, mocne przemówienie, puścił w ruch ręce. Biali ludzie zmierzają ku zachodowi oraz wielkiej wodzie, gdzie ziemia należy tylko do ich potężnego ojca. Przybywają jako przyjaciele — co niewątpliwie Siuksowie widzą — bo towarzyszą im kobiety i dzieci. Na wojnę nikt nie zabiera przecież żony ni potomstwa. Wszyscy w taborze są usposobieni życzliwie, lecz silni i odważni, a w razie potrzeby skorzy do walki. Każdy mężczyzna posiada strzelbę i wie, jak się nią posługiwać. Przywieźli upominki dla Indian i piękne ozdoby dla ich niewiast, a teraz chętnie zapalą fajki w towarzystwie swoich przyjaciół, Siuksów.

Summers przetłumaczył mowę i zwrócił się do Browniego.

— Może rozdać im szydła, po jednym na głowę. Później tytoń. Lije, obiecałem im też trochę whisky, bo sytuacja wyglądała bardzo kiepsko.

Summers poszedł do zagrody, skąd przyniósł tlącą się szczapkę, wiadro i kubek.

— Nie starczy tego, by obudzić w draniach szatana. Dolałem sporo wody — powiedział. — A teraz, Brownie, wręcz wodzowi paciorki i karmin.

— Nie podoba mi się, Summers, ten pomysł z whisky — odezwał się Tadlock, pierwszy z białych ludzi.

— Trudno.

— Myślisz, że trzeba dotrzymać obietnicy nawet danej dzikim?

— Na ogół tak postępowałem — rzucił krótko Dick i sam jął nalewać Indianom, którzy pili hałaśliwie, niczym konie, a następnie łakomie zerkali ku opróżnionemu wiadru.

Z kolei dobył fajkę — indiańską kamienną fajkę o długim cybuchu — zapalił od szczapki i nim podał Evansowi, zwrócił cybuch na północ, południe, wschód, zachód, a także w górę i ku ziemi.

— Zrób początek, Lije — powiedział — i puść dalej.

Wszystko poszło gładko. Po wypaleniu kilku fajek nabitych tytoniem Summersa Indianie dostali pożegnalny prezent — dużą ćwierć upolowanego przez białych bizona — wstali i odeszli do swoich koni. Później ogieniek ich biwaku w dole strumienia mrugał jak iskra, gdy przesłaniały go poruszające się postacie.

To ja jestem — medytował Evans wylegując się w pościeli. — Zaharowany farmer. Kapitan. Mówca. Mówca i aktor. Lije Evans, który nie cierpi publicznych występów i komedianctwa, pozostawia je wszystkim Tadlockom świata. Kto mnie słyszał i widział? Kilku białych i kolorowi, co z kolanami pod brodą przycupnęli na ziemi prawie nadzy; ich uszy nie chwytały słów, ciemne oczy spoglądały na mnie pytająco, pomiędzy skąpymi łachmanami na ich półnagich ciałach ramiona i brzuchy

połyskiwały w ukośnych promieniach zachodzącego słońca barwą garbowanej skóry.

Śmiać mu się chciało na myśl, że nie bez pewnej satysfakcji wygłaszał przemówienie i, kiedy rozbrzmiewały słowa, czuł się bardzo mocny, pewien siebie. Niewątpliwie bieg zdarzeń odmienia ludzkie pragnienia i chęci.

W kompanii także nastąpiły zmiany. Chociażby obowiązujące reguły. Nikt słowa nie pisnął na widok whisky Dicka. Reguły? Kto o nich pamięta? Uchwala się je zależnie od okoliczności i czasu, a później zostawia w spokoju. Nie wolno mieć whisky. Nie wolno kląć. Chłosta grozi za gwałt, cudzołóstwo, nierząd. Przepisy prawa moralnego! Chyba kompania jest wystarczająco moralna? Kapitan nie zauważył, by którakolwiek kobieta zachowywała się wyzywająco, a bodaj jeden mężczyzna zaczepnie. Ale jeżeli chodzi o mężczyzn — zwłaszcza o nieżonatych — reguły spełniają być może zadanie. Z faktu, że nikt nie łamie przepisu, nie wynika jego zbyteczność. Evans uśmiechnął się. Jemu nie grozi chłosta. Żaden mężczyzna nie waży się napastować Rebeki. Ostrożnie, aby jej nie zbudzić, dotknął palcami ramienia żony.

Wystrzał strażnika poderwał go z posłania. Rebeka drgnęła, więc rzucił:

— Czas, Becky. Wstawaj.

W półmroku namiotu wciągał spodnie, koszulę, kurtkę chroniącą przed nocnym jeszcze chłodem. Brownie już wstał, był gotów zająć się wraz z innymi spędem bydła.

— Dzień dobry — zagadnął go ojciec. — Co ci się śniło, synku? Niedźwiedź?

— Indianie — uśmiechnął się chłopiec.

Evans zebrał kilka patyków i trochę wiórów, rozniecił ogień, a gdy Rebeka wyszła z namiotu, począł rolować posłania, zwijać namiot, ładować bagaż na furgony. Rano czas naglił. Trzeba było przypędzić stworzenia z paszy, założyć woły, osiodłać Nellie, wszystko uporządkować, sprzątnąć, przyrządzić i zjeść śniadanie, a następnie zmyć naczynia. Pracując zawzięcie Evans wyczuwał i widział wokół siebie ruch przy innych furgonach. Należy kończyć, a później pragnąć tylko, by uchodziły mile.

Słońce wzeszło wydęte niby dynia. Evans zobaczył w dole rzeki ślady indiańskiego koczowiska, ale nie dostrzegł Indian. Prędko się uwinęli — pomyślał. — Tym lepiej.

W tym momencie zjawił się Tadlock.

— Czerwone diabły ukradły mi dwa konie — oznajmił.

— Nie może być!

— Aha. Szkapy były wychudzone. Chciałem, żeby pojadły przez noc. Wytarłem je porządnie i uwiązałem przy kołkach zaraz za furgonami.

— I przepadły?

— Mogę przysiąc, że nic nie słyszałem, chociaż kobyła miała dzwonek na szyi.

— Bodaj to licho! Hej! Dick!

Summers nadszedł tak cicho, że kapitan zdziwił się, gdy zobaczył go nagle.

— Indianie zwędzili Tadlockowi dwa konie.

— Te, co stały za furgonami? — zapytał Dick poszkodowanego.

— Tak.

— Muszę przyznać, że postąpiłeś ryzykownie.

— Nie mogłem szkap na śmierć zagłodzić.

— Cóż, lepsze kości niż ślady kopyt.

— Co myślisz robić? — zwrócił się Tadlock do Evansa.

— Zjeść śniadanie i jechać dalej.

— Nie pomożesz mi odzyskać straty?

— Gra niewarta świeczki, Tadlock.

— Zwłaszcza że to nie twoje konie, prawda?

— Zastanów się, człowieku! — wybuchnął kapitan. — Przecież ty chciałeś jechać dalej, kiedy Martin konał.

— Całkiem inna sprawa. Martina nic nie mogło uratować. A tym czerwonym diabłom przyda się nauczka.

— Tylko patrzeć, jak zostawimy za sobą kraj Siuksów — wtrącił Summers.

— Miej na względzie, Evans — podjął Tadlock — że to twój syn naraził mnie na stratę.

— Jakim cudem?

— Przez niego wynikła cała chryja.

Evansa zirytowały te słowa. W głowie mu nie postało, by w podobny sposób potraktować sprawę, bo bez wątpienia na taki pomysł nie wpadłby nikt z wyjątkiem Tadlocka lub może jakiegoś prawnika. Stropił się jednak, bo nie był zupełnie pewien swojej racji.

— Nie zgadzam się z tobą, Tadlock — powiedział — ale chętnie decyzję zostawię radzie starszych. Jeżeli wypowie się przeciwko mnie, nagrodzę ci stratę.

Tadlock mruknął gniewnie.

— Posłałbyś go do wszystkich diabłów, Lije — odezwał się znów Summers.

— Chcę postąpić sprawiedliwie.

— Sprawiedliwie! — parsknął Tadlock z taką furią, jak gdyby nagle wspomniał wszystkie swoje niefortunne przypadki. — Ale nie pomożesz mi tropić Indian, co?

— Nie pomogę.

— I tak uśmiercę paru przed końcem podróży.

— Zabijanie kogoś, kto nic ci nie zawinił, nie ma sensu — odparł Evans.

— Jeden czerwony diabeł wart drugiego.

— Ale sam zbeształeś Macka za to, że strzelał do tamtego Kaw.

— Chyba przyznasz, że dziś okoliczności wyglądają całkiem inaczej.

— Posłuchaj, Tadlock — odparł kapitan. — Cierpliwy ze mnie człowiek, ale, jak Boga kocham, z trudnością powstrzymuję się, żeby ci nie dać w pysk.

— Prawda w oczy kole, hę?

— Gadaj, co chcesz. I tak nie będziemy ścigać Indian, a jeżeli masz zamiar jechać z nami dalej, pakuj manatki.

— Jesteś kapitanem, Evans — rzucił z pasją Tadlock.

— Aha. Tak wszyscy mówią.

Tadlock odwrócił się na pięcie i odszedł.

Evans zauważył, że żona obserwuje go podsycając ogieniek chrustem, i zastanowił się, ile też mogła słyszeć? Najprawdopodobniej mało — z tak znacznej odległości.

— Słusznie, Lije — powiedział Summers. — Słusznie postawiłeś się pyskaczowi. Ale niemało trzeba, żeby ci zaleźć za skórę.

— Niemało, powiadasz?

— Nawet bardzo dużo.

— Czy ja wiem? Może Brownie ponosi część winy.

— Brownie? Na Boga! Przecież nie chodzi tylko o te szkapy. Nic podobnego. Stary ogier nie może przeboleć, że dostał cięgi. Któregoś dnia, Lije, będziesz go musiał wywałaszyć.

— Wcale tego nie chcę — odparł Evans.

Rozdział XX

Kwitnąca wyżyna wzdłuż brzegów górnej Sweetwater. Odosobnione wzgórza zwane dziś Oregonami, Big Sandy, Little Sandy, Green River — Rzeka Zielona — znana traperom jako Prairie Hen lub Seeds-kee-dee, a jeszcze dawniej Rzeka Hiszpańska, której kręta, wytyczona drzewami wstęga przecina gładką niby stół wysoką płytę, popielatą od szałwii. Podgórska kraina, chłodna nocami od śniegu na szczytach Wind, bezludna i dobra, jak w czasach gdy Dick Summers widział ją po raz pierwszy, ale naznaczona bliznami — koleinami, które pogłębiać będą koła przyszłych taborów. Na widnokręgu wyrasta wspaniale łańcuch Wind promienny w słońcu, ponury o zmroku, kryjący doliny, w których Dick stawiał ongi pułapki, kryjący wstydliwie brak bobrów tam, gdzie było ich niegdyś pełno.

Stary wyga pociąga nosem i czuje dym drewna drżącej osiki. Patrzy przed siebie i widzi mały ogieniek, przy którym siedzą Jim Deakins, Boone Caudill i on, a mięso skwierczy na prętach. Nastawia uszu i słyszy gwar głosów na punkcie zbornym — wesołych, młodych głosów, co drwią ze starości i zmian przez czas przyniesionych — głosów mocnych od wewnętrznych sił i whisky, rozprawiających donośnie o wyścigach albo indiańskiej walce wręcz, albo weselej i łagodniej nieco o indiańskich dziewczętach. Nisko snuje się dym obozowych ognisk. Sie masz, Bill! Sie masz, Buck! Konie raźne o poranku, nocami wyśpiewują kujoty, jaskrawe chusty na krągłych ramionach Indianek usiłujących zakryć młode piersi. A wszędzie wokół młoda kraina, piękne doliny górskie, bobrowe strumienie, zwierzyny pod dostatkiem, młodość w ziemi, młodość w sobie, młodość z młodością i... I kto by pomyślał, że to wszystko minie?

Deakins nie żyje, Caudill gdzieś przepadł, została ledwie garstka ludzi, w których kompanii młody Dick Summers polował, dwoił się i troił, figlował z indiańskimi dziewczętami. Teraz spotyka ich niezbyt chętnie, bo lata mają na twarzach, ból w kościach, a w głowach przeszłość, kiedy więc whisky podsyci dawny ogień, potrafią mówić tylko o tym, co wydarzyło się w odległym czasie. Na przykład taki Joe Walker, najwspanialszy chyba człowiek z gór. Karawana spotkała go na przełęczy, lecz biedak tak się zmienił, że Summers z trudnością go poznał. Jest jeszcze mocny, sprawny, ale ma w sobie nieokreślony smutek, żałobę po tym, co przebrzmiało. Albo Tom Fitzpatrick, który jako przewodnik odbywał drogę z dragonami pułkownika Kearny'ego; Dick widział go wcześniej niż Joe'go. Tom nie należy do ludzi, którzy lubią okazywać swoje uczucia, ale i on miał w oczach wspomnienia. Niewątpliwie Jim Bridger i Old Vaskiss okazaliby się bardzo podobni, gdyby nastąpiło spotkanie w ich forcie przy rozwidleniu Green River.

Dick postanowił ominąć fort i trudnym skrótem odbyć drogę do Green River, a następnie do Rzeki Niedźwiedziej. Zdecydował się na to, bo karawana miała wystarczający prowiant, woły były podbite mniej niż

uprzednio, furgony przeważnie w dobrym stanie, jakkolwiek roztrzęsione nieco po uciążliwych, długich milach piachu między Pacific Springs a Little Sandy.

Jednakże do ostatka żywił wątpliwości, gdyż wyboista pustynia nad Green River jest niełatwa nawet dla zahartowanych łowców i koni lekko objuczonych. Czy poradzą sobie z nią furgony i woły, farmerzy i mieszczuchy z żonami i potomstwem? Wyławiał skrót z pamięci, znowu przemierzał na koniu te czterdzieści mil wiecznie spragnionej szałwii i żwirowatych pagórków — czterdzieści mil zakończone urwistym zjazdem w dolinę Green River. Wiatr będzie dął prosto w twarz, przyjdą dni lodowato zimne albo upalne tak, że grozi udar słoneczny, bo na pustyni nigdy nie ma pośredniej pogody. Ale najbardziej istotną kwestię stanowi woda lub raczej brak wody.

— Czy ja wiem? — powiedział Summers zwołanej przez Evansa radzie starszych. — Myślę, że powinno się udać. Ale to ciężka droga i ryzykowna.

— I co, jeżeli się uda? — zapytał Mack.

— Oszczędzimy co najmniej dwa dni.

— A w przeciwnym razie?

— Nie może być mowy o przeciwnym razie.

— Chyba to odcinek gorszy niż wszystko poprzednie — zabrał głos Evans.

— Nieporównanie.

— Czy także gorszy od tego, co mamy przed sobą?

— Widzisz, Lije, czeka nas nie lada piekło, kiedy miniemy Fort Hall.

— W takim razie warto poznać przedsmak piekła.

— Słusznie — zgodził się Tadlock. — Nie podróżujemy dla przyjemności, no i może uda się przeciąć drogę karawanie, która nas wyprzedziła.

— Jeżeli przyjdzie upał, będziemy jechać nocą — powiedział Dick.

— Trudno — odparł Evans. — Nie zlękniemy się ciemności.

W rezultacie wszyscy opowiedzieli się za skrótem trochę z upodobania do śmiałych przedsięwzięć, trochę dlatego, jak Dick myślał frasobliwie, że nie zdawali sobie sprawy z trudności i niebezpieczeństwa drogi.

Nad Little Sandy tabor skręcił w prawo, przebył dział wodny i po zjeździe w dolinę Big Sandy napełnił wiadra, baryłki, opróżnione beczki, aby następnie czekać wieczornego chłodu, gdyż słońce paliło żywym ogniem. O czwartej, według zegarka Evansa, Summers poprowadził wędrowców w dalszą drogę.

Jechali całą noc. Koła podskakiwały na kępach szałwii, zgrzytały przebywając słone dna wyschłych jeziorek, z trudem pokonywały żwirowe wydmy. Księżyc wszedł i długo spoglądał na śmiałków, a następnie znużony patrzeniem udał się na spoczynek. Zapadły ciemności tak nieprzeniknione, że Dick powątpiewał, czy dopisze mu zmysł kierunku.

Gdy brzask rozjaśnił pustynię, zatrzymali się, wydzielili wodę zwierzętom i popędziwszy je na skąpą paszę, sami zjedli śniadanie złożone z suszonego mięsa i podpłomyków upieczonych poprzedniego dnia. Później nałożyli znów jarzma wołom i ruszyli dalej, chociaż opuścił ich nocny wigor. Twarze mieli teraz mizerne, ciała słabe, z wysiłkiem dobywali z piasku utrudzone stopy. I to ma być najłatwiejsza część skrótu! Za nimi rozgorzało słońce, przed nimi dal tańczyła od skwaru.

Krótko przed południem Summers pomyślał, że jak żyje nie widział podobnego dnia i nie pamięta równie dusznego upału. Wyjeżdżał naprzód, wracał, łowił dawne wspomnienia, śpieszył z pomocą woźnicom furgonów i straży przy stadzie. Jak żyje nie widział podobnego dnia i nigdy nie ciążyło mu tak ludzkie zaufanie.

Jazda! — krzyczał w myśli. — Naprzód! Śmiało zaharowani farmerzy! Naprzód! Inaczej zginiecie, więc naprzód, chociaż w gardłach macie skołatane serca. Śmiało! Do Green River. Możecie dławić się kurzem, ale poganiajcie przeklęte woły. Jazda! A ty, Summers, uważaj, dobywaj prawdę z pamięci. W prawo teraz czy w lewo? A może prosto przed siebie. Dawno tu byłeś, ale pomylić się nie masz prawa. Dokąd tutaj? W lewo, z pewnością w lewo! Ręką daj znak w tamtym kierunku.

Mała McBee sprawia wrażenie chorej; jest blada, oblana potem. Na furgon, dziewczyno, pod plandekę! Czy chcesz dostać porażenia słonecznego? Piasek oblepia niechlujny zarost Hanka McBee. Pot żłobi bruzdy wśród piasku pokrywającego inne twarze. Krwawe wypieki na policzkach, pustka w oczach kobiet — pustka oraz tęsknota do odrobiny cienia. Wół pada, nie reaguje na uderzenia batem, oczy ma wielkie, żałosne. Dobić go z czystego miłosierdzia, bo kruki czekają już żeru. Dobić, sprowadzić drugiego i jazda! Na takim szlaku, Brewer, jeden wół się nie liczy. Naprzód! Byle do Green River!

Fairman zasłabł, leży teraz w furgonie, a jego żona płacze. Źle także wyglądają Daugherty i Byrd; płoną od żaru ich twarze o jasnej cerze. W takich warunkach spieczone wargi to drobiazg. Prawda, Daugherty? Prawda, Byrd? Naprzód! Poganiać woły, które opuściły łby i zachrypłym rykiem proszą o wodę. Śmiało, kobiety! Naprzód okulawione dzieci! Pilno wam było do Oregonu! Módl się, Weatherby, módl się, ale człap naprzód. Nie oponuj woli Boga!

Na Chrystusa Pana! — medytował dalej Summers. — To mocni ludzie, a jeżeli nawet ciała mają słabe, nie brak im siły woli. Rebeka Evans kroczy śmiało, pewnie, niczym dobra klacz. Lije ma policzki brunatne od pyłu, lecz pomaga komu może, a serca dodaje wszystkim. Patch, Mack, Brewer, Shields, Tadlock — niech go piorun spali! — i ich kobiety, i trzody w obłokach kurzu. Judie Fairman powozi dzielnie, chociaż łzy twarz jej zalewają. Żona Macka maszeruje energicznym krokiem, zezem patrzy na świat, ale twarz zwraca uparcie ku zachodowi. Daugherty idzie nie dbając o dręczącą go chorobę.

Mocni ludzie, lecz w imię czego? Ich cel to Oregon, rzeki pełne ryb, farmy, pszenica, owce.

Dickowi w głowie szumiało od żaru, lecz uprzytomnił sobie, że jego towarzysze bardzo różnią się od ludzi z gór. On nic nie pragnie. Ma wszystko, czego chcieć może.

A teraz ciągnąć, czepiać się szprych, popychać, bo ten i ów sprzężaj nie daje sobie rady pod górę. Więc pomagać własnymi siłami albo podwajać jarzma przy furgonach. Pchać, chociaż oddech rzęzi, pot płynie strumieniami, w skroniach łomocą młoty. Pchaj, Lije! Przecież z ciebie tytan pracy. Do roboty, Tadlock i Mack, Brewer, Patch, Shields. Silni jesteście jak konie. Razem! Już niedaleko. Krócej to trwało, niż należało liczyć. Na Boga! Otóż Green River!

Otóż i ona — Green River — a wraz z nią cień i odpoczynek dla ludzi, dobre pastwisko dla wyczerpanych zwierząt. Pozostaje jeszcze sześć mil — stromy zjazd, a następnie szlak wiedzie przez wyboiste dno doliny, ale sam widok Green River działa jak podwójna whisky — uśmiech rozjaśnia zgrzane twarze, ochrypłe głosy zaczynają dowcipkować. Co powiadałeś, Summers? Że to ciężka droga? Ryzykowna? Zbyt słabe słowa. Ale tak nam gładko poszło... Kobiety i dzieci wygrzebywały się z furgonów, stawały obok, by pogawędzić. Mijało rozdrażnienie, ciężar w strudzonych nogach ustępował.

Mężczyźni zdjęli jarzma wołom i na linach spuszczali furgony. Spoważnieli znów przy harówce, od której boleśnie trzeszczały w stawach ręce. Zajadle pracowali pod promieniami straszliwego słońca.

Gdy się z tym uporano i woły zostały sprowadzone i zaprzężone znowu, Summers zwrócił się do Evansa:

— Lije, stworzenia oszaleją, jak zwietrzą wodę. Wiesz, co zrobią? Wyrwą się i pójdą w rzekę z furgonami, ze wszystkim.

— Co ty mówisz, Dick?

— Najlepiej będzie podjechać trochę, wyprzęgnąć woły i pędzić luzem, póki wody nie poczują. Później będzie czas na przyciągnięcie wozów.

— Dziękuję, Dick. Przepadłbym bez ciebie. Byłbym malowanym kapitanem.

— Nie gadaj, Lije. Na malowanego kapitana pstrzyłyby muchy. A jakoś tego nie widać.

— Konie, woły i stado każę pogonić szeroką ławą, żeby stworzenia nie potratowały się nawzajem. Jak tutaj z Indianami?

— Dobrze. Nie warto o nich myśleć.

Stało się tak, jak Summers przewidywał. Zwietrzywszy wodę zwierzęta nie mogły wytrzymać. Pocwałowały w tamtym kierunku, jęły rzucać się do rzeki. Jeden wół zniknął pod powierzchnią i przez moment widać było nad nim jedynie wir. Później, kiedy najgorszy skwar przeszedł, mężczyźni zebrali siły i sprowadzili furgony. Jak się okazało skrót nie był zbyt ciężki, lecz w każdym razie dość wyczerpujący. Jeden wół zginął z pragnienia, jeden utonął w Green River. Z ludzi nikt nie postradał życia, a chorzy rychło przyszli do siebie — wszyscy, nawet Charlie Fairman.

*

Obecnie, kiedy skrót mieli za sobą, Summersa znów opadły wspomnienia minionych dni, więc by oderwać od nich myśli, wszczął pogawędkę z kaznodzieją, który jechał obok niego w szpicy.

— Niedaleko stąd do Rzeki Niedźwiedziej — powiedział. — Jeżeli nic nie wypadnie, dojedziemy tam krótko po zmroku.

Weatherby zwrócił ku niemu mizerną twarz.

— Podziwiam twoją pamięć. Znasz każde wzgórze, każdy zakręt.

— Tak być powinno. Nieraz się tędy tłukłem.

— Ale dziwię się w każdym razie. Tyle tego wszystkiego!

— Rzeczywiście, sporo — przyznał Summers i uprzytomnił sobie, że nie zmieniła się jedynie ziemia.

Te same góry spoglądają na rośliny, co kwitną i wydają nasienie, na przychodzących i odchodzących ludzi. Naprzód byli tu Indianie, po nich

rozmiłowani w przygodzie i samotności traperzy ściągali, by plądrować dziewicze strumienie, a dzisiaj zamykają przebrzmiałe lata poszukiwacze nowych domów, łowcy fortuny, przyszli twórcy wielkiego narodu.

Dick nie potępia Oregończyków, jak niektórzy starzy ludzie z gór. Każdy na własny sposób buduje swoje życie, każdy czas ma swój odrębny styl. Przyszłość musi różnić się od przeszłości. Traperzy nie mieli tu prawa własności, nawet w charakterze odkrywców. Na takiej zasadzie ziemia należałaby do Indian i do jakichś innych ludzi przed Indianami, dawniej zaś jeszcze do kogoś. Niepodobna opierać się nurtowi zmian i czasu.

Czas. Czemu nie da się go zawrócić? — pytał stary wyga samego siebie. Dokąd czas odszedł? Nie godzi się z rozsądkiem fakt, że wszystko mija i pozostają jedynie starcy, co przeżuwając wspomnienia obracają w bezzębnych ustach cybuch fajki. Chwilami człowiek sądzi, że gdzieś musi istnieć wielki dziennik podobny do dzienników, jakie prowadzą podróżnicy. Wystarczy odwrócić kartę, by zobaczyć znowu dziewiczą krainę i samego siebie młodym, pełnym energii, krzepkim — jak nad Popo Agie, jak z tamtą Indianką Crow.

Ashia — bieżąca woda, zawieruszona w bieżącym czasie. Summers dziwił się chwilami, że wspomina często tamtą, która była tylko jedną z wielu, i Popo Agie — jeden z bardzo wielu strumieni. Nie wiedzieć czemu dziewczyna i rzeczka stały się symbolami wszystkich Indianek, wszystkich rzek, rozrywek, szaleństw, obozowych ognisk o zmroku, pełnego życia, wyniosłych przełęczy, śmiałych poczynań i wiecznotrwałego czasu, co upłynął tak szybko.

Będąc nad Sweetwater, Dick miał ochotę zboczyć ku Popo Agie o niedługi skok. Pragnął zobaczyć rozśpiewany strumień, znajome drzewa, miejsce gdzie biwakował, ziemię, na której leżeli obydwoje, która być może zachowała dotychczas odciski ciał — nikłe, niewidzialne dla oka.

— Wciąż mi na myśl przychodzi — podjął Weatherby błądząc wzrokiem w oddali — że to kraj całkiem różny niż Indiana.

— Albo Missouri.

— Albo Missouri — powtórzył kaznodzieja.

Myśli o Missouri nieczęsto nawiedzały Summersa w czasie wędrówki pośród miejsc głęboko wyrytych w pamięci, gdy mijał przełęcze, pierwsze na zachodzie zbiorniki wodne, nazwane przez dawniejszych emigrantów Pacific Springs, obie Sandy, Green River, stożkowate szczyty pasma górskiego Uintah, gdzie śnieżne chmury kryją grotę zwaną Brown's Hole. Zdawać się mogło, że stan Missouri nie istnieje, że nie istniała nigdy farma ani Mattie z jej malarią. Były to dni rezygnacji, starzenia się przed czasem dlatego, że jego świat postarzał. A dziś, u licha, Dick Summers nie jest stary, jak jego myśli nasycone wspomnieniami z gór. Ma czterdzieści dziewięć lat, żelazne mięśnie, niezawodne oko, no i potrafi jeszcze sprostać wymaganiom kobiety. Wieku dodaje mu jedynie sposób myślenia, świadomość, iż przeżył własne czasy. Potrafiłby gospodarować na farmie w Oregonie, rosnąć wraz z nowym krajem, jak powiada Lije. Stać by go było na to, gdyby uważał, że gra warta świeczki, gdyby nie znał Popo Agie.

Dzień po dniu, noc po nocy wracają doń okruchy dawnych lat, odblask spraw zapomnianych, dobytych teraz z wirów myśli dzięki znajomym wodom i wyżynom, dzięki zajęciom przypominającym odlegle dni. Suszy mięso i oto są z nim znowu Jim i Boone: dopiero co przywędrowali z

Powder do Wind; jedzą mięso starego buhaja i posiniali jeszcze od chłodów zimy rozprawiają o wiosennych łowach. Wystarczyło jednak pokonać przełęcz, aby napotkać pogodny, ciepły dzień i kaktusy kwitnące żółto i czerwono. Powiedział wtedy: „Ładnie tu, prawda? Zachwycająco”. A stary Etienne Provote splunął i odburknął krótko: „Zachwycająco, ale kłująco”. Dzisiaj potężny łańcuch Wind wyrasta tak samo po prawej stronie, więc Dick uśmiecha się z niedowierzaniem, myśli: Czy to prawda? Czy rzeczywiście znów tu jestem? Green River. Rzeka Zielona! Kiedy widziałem ją po raz pierwszy, roiła się od bobrów, a świat wydawał się radosny, wspaniały niby w dziecięcym śnie.

Żył w czasie teraźniejszym i przeszłym naraz. Gawędził z bratem Weatherby lub innymi, prowadził karawanę, udzielał rad, przekomarzał się z młodszym i starszym Evansem, lecz myśli miał wciąż pełne minionych lat i ludzi, co odeszli. Summers! Naprawdę, Summers! Bodaj cię licho, stary borsuku! Nie widzieliśmy się od tamtego biwaku w dolinie Rees. Jak ci się wiedzie? Trzymam zakład, że byczo. Słychać głosy z odległych lat, śmieją się usta, łapy klepią po ramionach. Takie spotkanie warte pęku bobrowych skórek. Co słychać, stary hyclu? Jeżeli masz suszone mięso, znajdzie się kropla whisky.

Weatherby popędził konia, zrównał się z Dickiem, bo daleko w dole, za dwoma niskimi pasmami, widać było rozwidlenie Green River zwane Muddy Fork, a jeszcze dalej bogatą, zieloną dolinę Rzeki Niedźwiedziej.

— Boże dobry i wszechmogący — szepnął obejmując spojrzeniem rozległy widok. — Niezbadana jest Twoja potęga.

— Racja — przyznał Summers. — To potężny widok.

— Nie uwierzyłbym w coś podobnego — podjął Weatherby kręcąc głową. — Nawet teraz trudno mi uwierzyć.

— A jednak to istnieje.

Rzeka Niedźwiedzia. Przecina lesistą, obfitą w jagody wyżynę, płynie prosto, spokojnie przez dzikie pustkowia. Nie przypadkiem otrzymała nazwę, gdyż Bóg Weatherby'ego umieścił wzdłuż jej brzegów niedźwiedzie — brunatne, czarne oraz króla między nimi, szarego olbrzyma, który żywi się mrówkami i runem leśnym i nie zna uczucia strachu. Pewnego razu Dick dźwignął pułapkę ciężką od bobrów, odwrócił się, rozgarnął wierzbowe gałązki i spojrzał prosto w twarz Starego Efraima. Spojrzał i zrozumiał, że jeden z nich musi zginąć, bo świat jest zbyt ciasny dla obydwu. Wystrzelił mierząc w piersi, tam gdzie można zmacać bicie serca, lecz niedźwiedź ryknął groźnie, skoczył do przodu, obalił go, przygniótł całym ciężarem. Człowiek począł szamotać się, szukać ręką noża tkwiącego za pasem; w ustach miał kudły, w nosie zapach piżma i krwi, czuł na sobie brzemię, jak gdyby dostał się pod obalonego konia. Nagle uprzytomnił sobie, że niedźwiedź nie żyje, pośrodku piersi ma ranę, w którą wszedłby trzonek motyki. Nie żyje potężny, zawzięty, pamiętliwy Stary Efraim z rozdartym walecznym sercem.

— Zaczekamy na tabor — zwrócił się Summers do kaznodziei. — Trzeba ominąć tamten stok, żeby stworzenia nie dorwały się do źródeł, o ile sobie przypominam, trujących. Sądzisz, że takie źródła to też robota Boga?

Twarz brata Weatherby'ego spochmurniała.

— Skoro stworzył je, nie uczynił tego bez celu.

— Żeby truć niewinne zwierzęta, co?

— Nie wątp, Summers, w mądrość bożą.

— Nie wątpię. Mam wątpliwości tylko w kwestii tych źródeł.

Kaznodzieja pochylił głowę.

— Gorąco pragnę, Summers, abyś przejrzał. Dobrym jesteś człowiekiem, nie zasługujesz na potępienie.

— Mnie nic nie zbawi. Lepiej zachowaj swoje nauki dla Indian. Niejednemu z nich przyda się błogosławieństwo.

— Sam mówiłeś, że z nimi mało wskóram.

— Nie przypominam sobie, abym mówił coś takiego, a Indianie dopominali się przecież o twój lek.

— Lek, lek! Wciąż słyszę o tym leku, jak gdyby wiara w Boga i drogi zbawienia były zabobonem.

— Czy ja wiem? Może uda ci się nauczyć Indian, że krzyż ma większą moc niż torba leków.

— Smutno mi, kiedy słucham słów tak lekkich. Nie mniejszy jest również smutek Boga — powiedział Weatherby i westchnął.

— Nie chcę ci robić przykrości, Weatherby. Przyzwoity z ciebie klecha. No, a Bóg? Bóg niech lepiej nie staje pomiędzy nami.

Nim kaznodzieja zdążył odpowiedzieć, nadciągnęła kolumna, a woźnica czołowego furgonu, McBee, przystanął, spojrzał w dół ku rozległej dolinie i szarpiąc brodę zawołał:

— Jak Boga kocham! To się nazywa rzeką. Piękna!

Przewodnik doglądał zjazdu furgonów — dla uniknięcia stromizn jednym wskazywał taką drogę, drugim inną — później pośpieszył z pomocą przy trzodach. Przez cały czas trzęsąc się na siodle medytował o kaznodziei i jego zapatrywaniach. Czy ostatecznie istnieje jakiś porządek rzeczy? I czy teraźniejszość stanowi jego cząstkę, a człowiek to drobina niezdolna ogarnąć całość? Indianie. Traperzy — łowcy futer. Emigranci — łowcy farm. Kto przyjdzie po nich? Czy to wszystko stanowi nurt zmierzający dokądś, zawiera sens ogromny, nie do pojęcia? Do diabła! — obruszył się na siebie Dick Summers. — Zaczynam małpować Jima Deakinsa, który teraz nie żyje i może wie, jak to jest, ale za życia też się wciąż zastanawiał. Jeżeli nawet jakiś plan istnieje, to jest zawikłany, piekielnie zawikłany.

Trawa sięga wyżej kolan, wesoło faluje kwiatami, dojrzewają cierpkie śliwy wirgińskie. Kobiety i dzieci, które nie opuściły dotychczas furgonów, wysiadają pośpiesznie, twarze mają rozjaśnione, radosne, śmieją się, gwarzą ochoczo. Mężczyźni oglądają trawę, obcasami rozgrzebują ziemię, mierzą wzrokiem otoczoną wzgórzami dolinę. Przyznają, że to dolina idealna dla farmera, gdyby nie było tak daleko do wszystkiego.

Daleko do wszystkiego — do targowisk, sklepów, kościołów, żołnierzy, prawa, a przede wszystkim bezpieczeństwa. Daleko do drogi, która jest drogą tych ludzi. Summers znów odnowił w pamięci pierwsze spotkanie z rozległą doliną.

Rzeka i jej odnogi zdają się płynąć bobrami, w zaroślach czerwienieją dojrzałe jagody — Stary Efraim zajada, więc ma paszczękę umazaną jak gdyby krwią. Nie słychać nic prócz odgłosów natury, nie widać białej twarzy, słońce jest ogromne, księżyc ogromny i cały ten wspaniały świat

należy do niego — Dicka Summersa — i nikt nie stanie obozem w sąsiedztwie.

— W rzece są pstrągi — zwrócił się Dick do Brownie'ego — długie jak ręka.

Przynaglił konia i doścignął Evansa, który zwrócił w jego stronę rozpromienioną twarz.

— Dopiero teraz, Dick, naprawdę wierzę w Oregon — powiedział.

— Ładnie tu, co?

— Jak żyję nie widziałem nic piękniejszego, ale bez komarów mógłbym się obejść. Becky upiecze ciasto z agrestem i może znajdzie trochę jadalnej zieleniny.

— Rośnie tu szczaw i dzika cebula, jeżeli to lubisz. Pomyśleć, że mamy ledwie kilka mil do rozwidlenia Rzeki Niedźwiedziej — Smith's Fork — ledwie kilka mil, chociaż po drodze jest wzgórze.

— Słowo daję, Dick, myślałem, że znudziła mi się orka, ale w taką ziemię chciałoby się zapuścić pług.

— Aha.

Summers wyprzedził furgon Hanka McBee i jechał w szpicy sam, bo Weatherby zwlókł z konia stare kości i maszerował przy kolumnie.

Dzień zrobił się chłodniejszy. W dolinie było mniej gorąco niż na porosłych szałwią zboczach, a może u progu sierpnia czuło się powiew jesieni. Należałoby już pomyśleć o jesiennych wyprawach myśliwskich za Big Horn i w górny bieg Gallatin i Madison, gdyby znalazły się bobry. Słońce nabierało pozłoty zniżając się ku zachodowi, zdawało się zapowiadać miesiąc, który miał wnet wzejść.

Summers wspiął się na wzgórze, zjechał do właściwej doliny Rzeki Niedźwiedziej i zwróciwszy konia w stronę Smith's Fork zobaczył indiańską wioskę. Pomyślał, że z pewnością spotka plemię Wężów, przyjaźnie usposobionych Szoszonów, wśród których mieszkał i z którymi handlował dawnymi laty. Szoszoni! Mają jaśniejszą cerę dzięki domieszce jakiejś niewiadomej białej krwi, a ich kobiety są zupełnie ładne dla oczu człowieka z gór.

Skręcił w zarośla i ruszył dalej wydeptaną przez zwierzęta ścieżką — ostrożnie, ponieważ wolał się upewnić, że w wiosce zastanie Wężów, nie Bannocków, Crow albo Czarne Stopy, plemię, które lubi dalekie wędrówki. Kiedy piastując fajkę w dłoni wyjechał na otwartą przestrzeń, psy podniosły jazgot, wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę, a jeden z mężczyzn wstał z murawy, by wyjść na spotkanie gościa. Dick odniósł mgliste wrażenie, ze to Biały Jastrząb, postarzały, zmieniony od deszczów i wiatru, wytęża wzrok, by poznać twarz zmienioną nie mniej niż jego własna.

— Miło zobaczyć brata — powiedział Summers.

Biały Jastrząb krzyknął radośnie, jak rozbawione dziecko, podbiegł do gościa, a kiedy ten zsiadł z konia, uścisnął mu dłoń gorąco, na sposób białych ludzi.

— Wielki Łowca! — powiedział. — A myślałem, że odszedłeś już do krainy duchów.

Summers musiał szukać w pamięci słów, które niegdyś nasunęłyby się same.

— Nie, ale dawno was opuściłem, wiele odmian księżyca temu — odrzekł.

Pośród znanych mu plemion Szoszoni byli usposobieni najprzyjaźniej, życzliwie i ufnie, mimo to jednak potrafili okraść białego doszczętnie, jak wszyscy ich ziomkowie. Byli najserdeczniejsi i najpogodniejsi, więc teraz otoczyli go kręgiem — młodzi i starsi mężczyźni odziani w skóry, dzieci nagie niby świeżo wyklute pisklęta — ciekawi wyglądu, zachowania, stroju kogoś, kto wodza ich nazwał bratem. Kobiety zerkały z szałasów, a chude kundle obwąchiwały gościa pojednawczo.

— W szałasie moim nie brak mięsa — przemówił Biały Jastrząb. — Jest także skóra do spania.

— Dobry jest Biały Jastrząb — odparł Summers. — Wiodę teraz ku wielkiej wodzie licznych, bardzo licznych białych mężczyzn z ich kobietami.

— Swoją kobietę także?

— Moja kobieta nie żyje.

— Niedobrze jest mężczyźnie bez kobiety.

— Niedobrze, Biały Jastrzębiu. Czy nadal prowadzicie łowy nad Green i Lewis River?

— Tak. A bizonów szukamy za górami. Dawniej bronili drogi Czarne Stopy. Dziś są nieskorzy do walki. Coraz ich mniej.

— Wiem — Dick skinął głową. — Wielka zaraza.

— Mam mięso i skórę do spania — powtórzył Biały Jastrząb.

— Jesteś moim bratem.

— Dam ci także kobietę.

Nim Summers zdążył odpowiedzieć, Indianin zawołał coś głośno i z jednego z szałasów wyszła młoda dziewczyna o sarnich oczach i ciele smukłym, lecz z widocznie rysującymi się okrągłościami pod ubiorem ze skór.

— Zostaniesz jego kobietą, pokąd Wielki Łowca będzie palił z nami.

Indianka nie odezwała się ani skinęła głową, ale jej twarz wyrażała gotowość, jak gdyby stary Dick Summers mógł być jeszcze atrakcyjny. A może tak jest istotnie? — pomyślał. — Może długi post wzmógł moje siły? Miał jednak wątpliwości i nagle — na moment przedtem, nim odpowiedział — uprzytomnił sobie, że wątpliwości to symptom wieku. Stary człowiek nie wierzy w siebie, w sens życia i planowość porządku rzeczy. To wiek, tylko wiek. Młodzi nie wątpią.

— Dobry jest Biały Jastrząb — odparł. — Ale, czy ja wiem? Nie byłem z wami od wielu odmian księżyca. Długo wędrowałem. Stary jestem i słaby. Czy ja wiem, Biały Jastrzębiu?

— Usiądź teraz i zapal.

— Wprzód muszę poprowadzić białych ludzi do obozu. Pozwolisz, Biały Jastrzębiu, byśmy stanęli biwakiem w górze strumienia?

— Rzeknij, Wielki Łowco, białym braciom, by przyszli, a zapalimy razem, wymienimy dary i będziemy handlować.

Słońce osunęło się już za wzgórza po stronie zachodniej pozostawiwszy na niebie wysoką zorzę, furgony oraz namioty stały jak zwykle kręgiem, gdy spotkali się Indianie z białymi; fajka jęła przechodzić z rąk do rąk i rozmaite przedmioty zmieniały właścicieli. Podczas gwarnego, rojnego zgromadzenia noc zapadała ukradkiem, rozpościerała mrok nad zachodnim widnokręgiem, w zaroślach i wąwozach oczekiwała pory, by zgłosić swoje prawo do Ziemi. Później wypłynął na nieboskłon księżyc — ubarwiony zrazu purpurą — bieleją c w miarę wzbijania się wyżej i wyżej. W

jego srebrzystej poświacie Summers wyraźnie widział twarze palących mężczyzn, ciemne zarysy pni drzew, spiczaste indiańskie szałasy, odblask na źdźble trawy. Tuż obok niego siedział Evans, dalej Patch, Gorham, Carpenter, Daugherty, Biały Jastrząb i kilku jego ludzi. Tak, zwierzyny nie brak: kóz, jeleni, łosi, a ryb w strumieniach wiele i ogromnych. Biały Jastrząb dopatrzy, by Szoszoni nie okradli białych braci. Wojowników rozesłał już na posterunki. Ile mil pozostało do Fort Hill? Ile, Biały Jastrzębiu, dni drogi do angielskich osad?

Spokoju powietrza nie zakłócał najlżejszy powiew. Rozpalony ogieniek popielał i gorzało jedynie jego serce. Nie słychać było żadnych dźwięków, prócz jednostajnego szmeru komarzych skrzydeł i słów wymienianych leniwie, sennie. Dzieci poszły spać, kobiety oczekiwały mężów, nawet psy umilkły, a wilki i kujoty nie rozpoczęły jeszcze koncertu. Zdawać się mogło, że niebo i ziemia słuchają pytań wirujących w myślach Summersa.

Czemu miast działać zadaje sobie te pytania? Nie wierzy przecież w grzech potępiany przez kaznodzieję. Nie na próżno mężczyzna i kobieta są zbudowani odmiennie, jak samiec i samica każdego gatunku. Dawnymi czasy brał to, czego mu było trzeba, wstawał z posłania i zapominał — tyle że czasami myślał o dzieciach krwi mieszanej, które mogły za nim pozostać. Nie wątpił jednak, że nie najgorzej im będzie jako Indianom, lepiej niż wielu białym. Indianie nie zwykli poniżać bękartów i nigdy nie widzieli nic złego w ustępowaniu braciom swoich kobiet. Mają prawo do własnych poglądów, tak jak Weatherby. Dawnymi laty ludzie z gór przyjmowali za dobrą monetę to, co zastali, nie zadawali pytań.

Jednakże on nie mógł powziąć decyzji, jakkolwiek wiedział, że to sprawa wieku, bo młody Dick Summers nie marnowałby czasu na namysły. Nie zastanawiał się, czy to słuszne i sprawiedliwe, ale czy wolno staremu głupcowi wyobrażać sobie, że doścignie przeszłość, odnajdzie utraconą z wiekiem pogodę ducha i energię pod skórą bizona, obok ciała Indianki, która będzie zawszona, lecz powolna mu i gorąca. Z góry znał odpowiedź. Starannie okryje dziewczynę i legnie obok; nie warto na chwilę wskrzeszać dawno wygasłego ognia, a wirujące w głowie myśli i tak nie dadzą odpocząć spokojnie, zdrowo, jak niegdyś. Jednakże mimo wszystko... Mimo wszystko...

Nad głową usłyszał szum skrzydeł nocnego ptaka i w tym momencie odnalazł w pamięci imię tamtej znad Popo Agie. Złamane Skrzydło! To możliwie najwierniejszy przekład z mowy Indian Crow. Dziewczyna ze złamanym skrzydłem...

Powiał wiatr, rozżarzył szare popioły ogniska. Indiańskie psy zbudziły się raptownie, poczęły obszczekiwać niebo.

Summers pomyślał, że stary ogień ma prawo płonąć, jeżeli pozostało dość zarzewia, a psom wolno wyć do księżyca.

Powstał lekko, swobodnie.

— Czemu uśmiechasz się, Dick? — zapytał Evans.

— Uśmiechałem się? Naprawdę? Chyba dlatego, że doskonale się czuję.

Rozdział XXI

Evansa tylko częściowo pochłaniało polowanie. Przede wszystkim skupiał się na tym, co widział, robił i odczuwał, od czasu kiedy bardzo już dawno, wiosną, rozstał się z Independence. Nie zapominał także o Big Timber, gdzie karawana zatrzymała się wcześnie, aby zwierzęta odżywić nieco i po odpoczynku przygotować do ciężkich mil. W żadnej sytuacji nie potrafił zapomnieć zupełnie o kompanii. Zawsze i wszędzie powracał niepokój o stan furgonów i wołów, żałoba Fairmanów, czekające w przyszłości trudne odcinki drogi — znana z opowiadań wielka rzeka Kolumbia o zdradliwych rwących prądach. Ilekroć, jak obecnie, oddalił się od taboru, miał wrażenie, że jest tam niezbędny. Przecież mogło się coś wydarzyć. Trudno — funkcja kapitana nakłada obowiązki, więc człowiek czuje się winowajcą, gdy je bodaj na moment zlekceważy.

Jechał na Nellie dnem doliny, błądził wzrokiem po prerii, zaroślach, zboczach, wypatrując antylop, wapiti czy owiec górskich. W obozie nie brakowało mięsa. Nic podobnego! Przecież Dick Summers polował ustawicznie, zwierzyny było w bród, a pstrągi w Rzece Niedźwiedziej łakomie chwytały przynętę. Evans wyjechał z obozu, bo chciał wyrwać się trochę, zrzucić na moment brzemię kapitańskich zadań, odetchnąć swobodnie, wypocząć. Dotychczas nie robił nic lub prawie nic z tego, o czym myślał w Independence. Nad Platte zabił dwa bizony, w tym starego żylastego buhaja, którego mięso nie zmiękło mimo długiego gotowania. Położył też antylopę — i na tym koniec. Nawet nie zamoczył rybackiej linki w wodach Rzeki Niedźwiedziej. Nie brakło mu czasu na rozrywki, tylko ochoty. Zanadto przejmował się obowiązkami i to ostatnio bez wyraźnych racji.

Wszystko szło gładko. Nikt nie chorował w obozie, nie dawała o sobie znać malaria czy dyzenteria. Indianie nie zranili nikogo. Nie było też nieszczęśliwych wypadków. Nad Rzeką Niedźwiedzią karawana zwolniła nieco, celowo zresztą, by konie, bydło, szczególnie woły, nabrały sił przed zapowiedzianą przez Dicka kamienistą pustynią powyżej Snake. Wędrowcy dwukrotnie przeprawiali się przez Rzekę Niedźwiedzią, dzięki czemu ominęli góry od wschodu i uniknęli stromych podjazdów, chociaż nadłożyli sporo mil. Ale nurt był spokojny, leniwy i na brzegach gęsto rosły drzewa, którymi można było wzmocnić co słabsze, przeciekające furgony. Evans pragnął gorąco, by Snake — Rzeka Wężowa — okazała się równie przychylna. Wiedział jednak, że to niemożliwe.

Po raz dziesiąty lub dwudziesty powtarzał sobie, że w kompanii dobrze się dzieje. Może polować, jakkolwiek wróci prawdopodobnie z próżnymi rękami. Z Indianami stosunki były znośne, chociaż zwinni Węże mieli lepkie ręce, znikały więc naczynia kuchenne, noże, jedna strzelba i kilka sztuk garderoby — w tej liczbie opatrzona wieloma kieszeniami ulubiona kurtka Tadlocka. Były kapitan miotał się jak niedźwiedź wypłoszony z

barłogu i popadł w jeszcze sroższy gniew, gdy Biały Jastrząb nie potrafił skłonić swoich ludzi do zwrócenia łupów. Jego zdaniem wódz mógłby nakazać posłuch złodziejom, gdyby naprawdę zechciał, ale nie chce, bo zapewne sam ukrywa kurtkę, w co Evans nie mógł uwierzyć. Był przekonany, że Białemu Jastrzębiowi zależy na powstrzymaniu kradzieży i zwrocie skradzionych rzeczy. Na ogół jednak słowa nie są w stanie zapobiec złodziejstwu ani zmusić złodzieja — czy to będzie biały, czy kolorowy — do zrezygnowania z korzyści. Ale nie opłacało się dyskutować z Tadlockiem, który uważał, że szef nie jest szefem, jeżeli reszta społeczności nie słucha go ślepo.

Inni też się irytowali z powodu strat. Daugherty tęsknił do swojej skałkówki, Holdridge odczuwał brak noża i uździenicy, Brewer rad odzyskałby rondel z pokrywą, a Shields powiadał, iż jego żonie zginęła spódnica. McBee złościł się także, chociaż nic mu nie skradziono.

Cóż — medytował Evans błądząc spojrzeniem po zboczach doliny — zły nastrój przejdzie. Trudno dąsać się długo w tak wspaniałym kraju. Zła krew nie pasuje do dzikiego owsa, jęczmienia, żyta, po których cicho i miękko stąpa Nellie. Nie pasuje do cudownego słońca i kwiatów lnu błękitniejących pośród traw.

Rozluźnił wodze, by Nellie mogła skubnąć kilka kęsów, co też zrobiła skwapliwie. Evans spokojnie siedział w siodle, od czasu do czasu zerkał, jak zielony sok kapie klaczy z pyska. Tak, to szczęśliwy kraj, gdzie dzieci baraszkują bezpiecznie, żują balsamiczną żywicę, staczają kamienie stromym stokiem, a kobiety warzą mięso przyprawione dzikimi ziołami i przy ogniskach rozprawiają o kazaniu, jakie brat Weatherby wygłosił w ostatnią niedzielę. Uśmiechnął się na wspomnienie tamtego dnia; kaznodzieja obrał za motto zwrot z „Listu do Efezjan”: „Obudź się, który we śnie pogrążony jesteś”. W kraju pełnym złodziei była to rada dobra, w sensie nie zamierzonym zresztą przez brata Weatherby'ego.

Pozwalał Nellie człapać krok za krokiem, szczypać bujną trawę. Nie widział nigdy bogatszych, spokojniejszych okolic: lasy, obfitość wód, pastwiska, ziemia stworzona pod orkę i wszystko to razem osłonięte wzgórzami rysującymi się na pogodnym niebie. Lepiej tu niż nad Green River, Sweetwater albo, zmiłuj się Boże, nad Platte. Może nawet lepiej niż w Oregonie, tyle że człowiek żyłby nad Rzeką Niedźwiedzią samotnie, niby na bezludnej wyspie. I te strony zostaną kiedyś skolonizowane. Tak się stać musi i Evans nie wątpił o tym. Nic nie powstrzyma ludzi, co jak on prą na Zachód — nie zastanawiając się dlaczego, lecz ulegając impulsom, jak gdyby taka była wola Boga. Miał wrażenie, że widzi przyszłych wędrowców, którzy tabor po taborze suną wzdłuż krętego koryta Platte, wspinają się na górskie szlaki, wpław przebywają oporne rzeki. Część z nich nabawi się chorób, część umrze po drodze, ale reszta nadciągnie, bo ich sprawa jest większa niż wszelkie przeciwności. Wyimaginowana linia postępu przemawia do wyobraźni, sprawia cuda, budzi w człowieku przekonanie o własnej wielkości.

Evans ścisnął piętami boki Nellie, która podniosła głową, jak gdyby chciała sprawdzić, czy zrobił to celowo. Po czym zaczęła pokrzepiać się dalej, a on nie brał jej tego za złe. Przecież wyjechał z obozu nie tylko na polowanie.

Nowe czasy — myślał. — Historię piszą na ziemi koła furgonów. Nowe, dobre czasy dla wszystkich, z wyjątkiem ludzi pokroju Summersa, którzy nie czują porywającego rytmu teraźniejszości. Raz na zawsze ukształtowało ich to, co już dziś przebrzmiało: bobry, Indianie, niebezpieczeństwo, samotność. Są jak alkoholicy — ciągle im mało tego, czego raz zakosztowali.

Może Dick jest inny. Może przejrzy ostatecznie, osiedli się w Oregonie, będzie tam ważną osobą, na co go niewątpliwie stać. Evans wiedział, że Summers potrafi zajść daleko, jeżeli popracuje głową. Może zostać gubernatorem, deputowanym do Kongresu, Bóg wie czym jeszcze. W Oregonie też można polować obozując pod gołym niebem.

Zastanawiając się nad Dickiem, Evans uświadomił sobie przy okazji, czemu tak często powtarza, że w taborze wszystko idzie gładko. Otóż Summers usunął się trochę na ubocze, jak gdyby chciał zdać kapitana bardziej na jego własne siły. Naturalnie stawiał się na wezwanie, udzielał rad, jeżeli go pytano, ale w pewnym stopniu zaniechał stałej i bliskiej współpracy, bardzo dla Evansa krzepiącej. Zmienił się w sposób niełatwy do określenia, jak gdyby widok miejsc z dawna znajomych pozbawił go zainteresowania karawaną. Jak gdyby spotkał dawną kochankę i porzucił dla niej małżeńskie łoże. Evans złościł się na siebie za podobne myśli — niedorzeczne jego zdaniem i babskie — i postanawiał, że niech się co chce dzieje, a on sam też sobie poradzi. Najwyższa pora, by zaczął liczyć tylko na własne siły.

Ale Dicka nie mógł przepędzić z myśli. Przed Big Timber karawana napotkała czterech ludzi Bridgera[1]; śniadzi, ogorzali, niechętnie wdawali się w rozmowy z obcymi, a między sobą używali języka czasami trudnego do zrozumienia.

Evans zasiadł wieczorem przy ich ognisku, kiedy jednak whisky Dicka zaszumiała im w głowach i rozwiązała języki, poczuł się intruzem, nawet wobec Summersa, bo zobaczył go od nie znanej dotychczas strony. Treść rozmów ludzi z gór stanowiło dziwne pierwotne życie, którego cząstką — i to wcale niepoślednią — był przewodnik z Independence. „Pamiętasz, Summers, jak ci dranie Crow opróżnili nam sidła? Pamiętasz? Poszedłeś po lek, a wróciłeś nie tylko z futrami, ale i z ładną dziwką na dokładkę. Dotąd nie wiem, jak sobie poradziłeś. Pewnie przydusiłeś ją w krzakach, pokazałeś jej, co potrafisz, i namówiłeś, żeby pomogła ci wykraść naszą zdobycz. Całkiem straciła dla ciebie głowę! „A pamiętasz tego czerwonego, coś go wykończył nad Siskadee? Dobierał się, skurwysyn, do naszej pułapki i co? Ani się obejrzał, jak przyciąłeś mu łapę w żelazach, dałeś po skórze i w łeb draniowi strzeliłeś. Jak pragnę Boga, to były czasy!"

Evans słuchał podobnych rozmów, spoglądał na starego wygę i rozumiał, że Summers ściska teraz dłoń człowieka, jakim sam był dawniej.. Powtarzał sobie, że minie to przeżuwanie odległych lat, ale odczuwał coś na kształt straty, gdy w czasie posiłków na biwaku Summers był bardziej małomówny niż zwykle, nie żartował z Rebeką, nie przekomarzał się z Brownie'em. Uprzytomnił sobie, że tkwiąc na miejscu z pewnością nie

[1] James Bridger (1804—1881) — wielki handlarz futer, jeden, z najbardziej znanych „ludzi z gór".

zdobędzie mięsa, więc szarpnął wodze i w tym momencie dostrzegł jakiś ruch na skąpo porosłym stoku. Wapiti! Młody byczek. Za daleko jeszcze.

Pod osłoną zarośli Evans podjechał nieco, uwiązał Nellie wśród kępy drzew, gdzie nie powinny jej wyśledzić złodziejskie oczy. Dalej szedł pieszo wyrzucając sobie, i że nie potrafi naśladować Dicka. Ten rusza się jak prawdziwy łowca! Niech mu mignie zwierzyna, wnet zmieni się w bezszelestny, niedostrzegalny fragment krajobrazu, jak łasica w trawie albo wąż wylegujący się na słońcu.

Dał nurka pod gałęzie zwisające nad ścieżką wydeptaną przez zwierzęta, postąpił kilka kroków i zobaczył wapiti — młodego byczka — na nie porosłym skrawku zbocza. Stanął w gotowości, lecz nie podnosił strzelby. Zdawać się mogło, że wygląda znaku, by kolbą dotknąć ramienia, spojrzeć przez celownik na muszkę, dać ognia. Czekając tak medytował, jak bardzo człowiek zmienia się z wiekiem. Chłopiec lub niedorostek myślałby jedynie o zabijaniu, tłumiłby przyśpieszony oddech, ściskał broń gorączkowo. Nie dzieliłby uwagi między wapiti, Dicka Summersa, obóz, spodziewane trudności dalszej drogi, urok pogodnego dnia w pięknym kraju. Nie widziałby pokłonów modrego lnu ani desenia, jaki słońce rzuca na murawę. Zdobycz — byczek o brunatnej skórze, młodych rogach, szklisto-łzawych oczach — przesłoniłby mu wszystko. A człowiekowi przykro czasami, że życie trzeba karmić innym życiem.

Trafiony kulą, wapiti runął z łoskotem w zarośla. Myśliwy podszedł, spuścił krew byczkowi, wypatroszył go spiesznie i wrócił do Nellie.

Wkrótce poprowadził klacz w stronę obozu i od czasu do czasu spoglądał przez ramię, by sprawdzić, czy zdobycz, rzucona w poprzek na siodło, nie spadła. Wygląd i zapach wapiti nie podobał się widać Nellie, gdyż chrapała raz po raz i płoszyła się, gdy obijał jej boki.

— Wio, Nellie! Byczek cię nie ugryzie.

I tak ma co dźwigać, biedaczka, chociaż dla jeźdźca jeszcze jest miejsce.

Kiedy ukazał się biwak, słońce zniknęło już za górami, lecz na kolację było za wcześnie. Evans podchodził coraz bliżej; miał przed sobą ładny widok: regularnie ustawione furgony, nieco dalej ku wschodowi bydło na pastwisku, namioty jasne na zielonym tle łąki i gaju, pióropusze dymu, wyniosłe, nie naruszone najdelikatniejszym bowiem powiewem. Wieczór będzie przyjemny — przyjemny też dla komarów, które po zmroku chmurami ruszają na żer. Że też człek zawsze musi szukać dziury w całym! Widok obozu przypomniał kapitanowi, że jest głodny. Miał nadzieję, że Becky przyrządziła gulasz z siekaną dziką cebulą i kluskami. Jej gulaszom nic nie dorówna!

Dopiero wołanie od obozu zwróciło jego uwagę na gromadkę mężczyzn nad rzeką. Pomyślał, nie bez żalu, że kiepski byłby z niego człowiek z gór. Dick natychmiast by to spostrzegł.

W ośmiu, może dziesięciu stali zwartą grupką pod konarami rozłożystego drzewa. Tadlock — myślał Evans zmierzając ku nim — brat Weatherby i Brewer, i McBee. Innych nie próbował rozpoznać, bo w otoczeniu białych zobaczył Indianina nagiego do pasa, z rękami założonymi w tył. Brewer trzymał karabin zwrócony w jego kierunku. Tadlock i Weatherby sprzeczali się najwyraźniej. Tadlock miał powróz w ręku.

Evans nie wierzył oczom. Spojrzał ku furgonom szukając oznak codziennego życia. Było pusto. Tylko pani Brewer uprowadzała z pola widzenia stadko swoich pociech. Wytężył wzrok i dopiero wówczas zobaczył wychylone z namiotu głowy kobiet. Wypuścił z palców uździenicę Nellie.

Zgromadzeni pod drzewem mężczyźni nie zauważyli go, póki się nie odezwał:

— Co tutaj robicie?

Tadlock odwrócił się, mocniej ścisnął powróz.

— Oczu nie masz? Nie widzisz? — odburknął z bardzo niezadowoloną miną.

— Chcą powiesić człowieka! — wybuchnął brat Weatherby i długi, kościsty palec zwrócił w stronę Tadlocka. — Ostrzegam, bracie Tadlock, że pogwałcisz przykazanie boże. Na ciebie spadnie brzemię grzechu.

— Jeżeli to ma być grzech, zgrzeszymy wszyscy.

— I brzemię jakoś zniesiemy — podchwycił McBee. — Chcesz może, byśmy pięknie podziękowali złodziejowi?

— Nie zabijaj!

— Długo myślicie się certować z kaznodzieją? — zapytał Daugherty.

— Odczep się! — Tadlock odepchnął Weatherby'ego. — Spełniłeś obowiązek. Nie przeszkadzaj teraz.

Gdy biali ujadali nawzajem na siebie, Indianin stał spokojnie — tylko jego oczy były w ruchu. Ustawicznie przenosił wzrok z twarzy na twarz.

Jeszcze chłopiec — pomyślał Evans — mało co starszy od mojego Brownie'ego. Indiański chłopak, prawie nagi, tylko w skórzanej przepasce na biodrach i z nędznym piórem we włosach. Stoi z godnością. Ukrywa strach przed śmiercią, jeżeli go w ogóle odczuwa. A banda starych bladych twarzy gotuje się, by go powiesić!

— Co ukradł? — zapytał.

— Tyle, że wystarczy.

— Co ukradł?

— Niech cię grom spali! Po pierwsze miał na sobie moją kurtkę. Po drugie Shields przyłapał go, jak drań uprowadzał jego konia.

— To jeszcze nie powód do stryczka.

— Dla nas — tak. Łatwo o wyrozumiałość komuś, komu nic nie zginęło, jak tobie, Evans.

— Przecież mówiłem, że nagrodzę ci stratę tamtych koni, jeżeli rada tak postanowi.

— Właśnie! Rada!

— Czemu Shields nie zastrzelił złodzieja?

— Czemu? — Daugherty splunął. — Shields to handlarz. Miał przy sobie dwie cholerne skóry bizonów i trochę ryby, nie karabin.

— Ale drania złapałem — powiedział Shields

— I lepiej się stało — rzucił Tadlock pod adresem kapitana. — Postąpimy według prawa. Powiesimy chłopaka i niech podynda trochę. Będzie to przestroga dla innych złodziei. Poznają prawo białego człowieka.

— Prawo? — obruszył się Evans.

— No, do roboty! — wtrącił McBee.

— Odbył się sąd i głosowanie — odpowiedział Tadlock Evansowi.

— Kto głosował?

— Ci, których można było znaleźć. Inni łowili ryby albo polowali.

— Ale ich nie szukaliście, bo mogliby się sprzeciwić, co, Tadlock?

— Zwołaliśmy, kogo się dało. Nie przeszkadzałbyś, Evans. To będzie tylko z korzyścią dla innych emigrantów.

— Ty nie dbasz o innych emigrantów, Tadlock — powiedział Evans.

— Ani o Dziesięcioro Przykazań — dorzucił Weatherby wznosząc znów długi, kościsty palec.

— Dbamy o sprawiedliwość. Przeciw egzekucji były dwa głosy, nie licząc kaznodziei: Fairmana i Byrda — Tadlock starannie zadzierzgnął pętlę. — Jeżeli nie masz ochoty patrzeć na wymiar sprawiedliwości, zabieraj się jak tamci — w jednej dłoni trzymał pętlę, w drugiej zwój sznura. — No, z drogi, Evans!

Indianin stał prosto, oczy miał teraz nieruchome, ręce wciąż za plecami. Evans uprzytomnił sobie nagle, że są związane.

— Gdzie Summers? — zapytał.

— Nie wiem. Pewno włóczy się ze starymi kamratami z gór. A co to ma do rzeczy?

— Mówiliśmy nawet, że dalej można by się powlec bez niego — powiedział milczący dotąd Holdridge.

— Aha — dodał Brewer, który też zabrał głos po raz pierwszy. — Poradzimy sobie. No nie?

Przez chwilę wszyscy spoglądali na Evansa, który wyczytał w ich oczach własną słabość.

— Gdzie Summers? — powtórzył.

Pochylił czoło i jego wzrok powędrował ku Weatherby'emu, który cicho stał na uboczu, jak gdyby się modlił. Następnie wrócił do stóp indiańskiego wyrostka, wspiął się wyżej, objął brudnego, wychudzonego chłopaka, nieustraszonego w obliczu śmierci. Evans uświadomił sobie, że biedak ma umrzeć za coś, co mu wpajano od urodzenia. Pod wpływem oburzenia i wstydu uległ nagłej pasji.

— Nie! — wybuchnął. — Jak Bóg na niebie, nie zrobicie tego!

Z twarzy mężczyzn wyzierał głód krwi, jaki niegdyś Evans widział w oczach Siuksów — głód krwi, uraza, bolesny zawód Tadlocka, tchórzliwe lizusostwo Hanka McBee, piętno przebytych trudów, trosk, rozczarowań, nudy — wszystko, co miało znaleźć ujście w morderstwie indiańskiego chłopca.

— Rzuć stryczek, Tadlock!

Tadlock mocniej ścisnął w garści powróz.

— Słyszałeś? Rzuć! — Evans postąpił w stronę byłego kapitana, a gdy Daugherty próbował stanąć między nimi, gwałtownie go odsunął. — Was to nie obchodzi. Nie wtrącać się! Mam z Tadlockiem sprawę, która od dawna dojrzewa.

Tadlock rzucił sznur, uskoczył nieco, przyjął obronną postawę.

Evans nie uderzył nigdy człowieka — w każdym razie nie jako dorosły mężczyzna. Obecnie, kiedy szykował się do ciosu, miał wrażenie, że robi to ktoś obcy, zupełnie inny.

Chybił, odsłonił się i Tadlock uderzył go dwa razy szybko i mocno, jak ktoś, kto umie posługiwać się pięściami. Evans zamierzył się powtórnie, chybił i znowu poczuł dwa ciężkie niby młot ciosy doświadczonej ręki.

Oszołomiło go to, zaskoczyło. W głowie miał szum, świat wirował mu w pełnych iskier oczach. Zdawał sobie sprawę, że nogi stawia nieporadnie, rękami macha jak cepami, walczy bez refleksu i wprawy. Nie wystarczała siła mięśni, dzięki której mógł dźwignąć kloc za ciężki dla dwu ludzi — raz po raz odsłaniał głowę i brzuch, wystawiając je na druzgocące ciosy.

Kiedy pięść wylądowała na jego policzku, Evans omal nie upadł, a gdy odzyskał równowagę, stał chwiejnie, nie pamiętając nie tylko o ataku, lecz nawet o obronie. Okrzyki słyszał niby dalekie echa, jak przez mgłę widział krąg gapiów, młodego Indianina, który przyglądając się ciekawie stał ze związanymi na plecach rękami, i Becky biegnącą od furgonów na czele innych kobiet.

Odbiera cios po ciosie. Jest ogłuszony, na pół ślepy. Jego pięści nadal chybiają celu. W ustach czuje słony smak krwi. Jest silny, walczy w dobrej sprawie i dostaje lanie. Ale musi wytrwać, przyjmować uderzenia, jak najdłużej utrzymać się na nogach. Musi wytrwać dla żony, syna, wszystkiego, co uważa za sprawiedliwe i słuszne.

Stoi nadal i pod gradem uderzeń uprzytamnia sobie, że potrafi tak stać długo, bardzo długo, bo Tadlockowi nie starczy siły w pięściach ani tchu w płucach, aby go powalić. Oto cofa się, otwartymi ustami chwyta powietrze jak ryba, wzrok ma niepewny, na twarzy krew i strumienie potu, w oślepłych oczach zdziwienie. Oto niewprawna, zawzięta pięść znajduje cel. Przeciwnik pochyla się, próbuje unieść łokieć, by odparować drugi cios. Z trudnością utrzymuje równowagę. Jeszcze dwa uderzenia. Tadlock zatacza się znowu,. Evans z całej siły trafia w jego wydatną dolną szczękę.

Tym razem były kapitan nie uskakuje, nie chwieje się nawet. Jak kłoda pada na wznak, porusza się niemrawo, a później leży spoglądając w niebo półprzymkniętymi, nieprzytomnymi oczyma.

Zwycięzca oddycha głęboko, spogląda na krąg gapiów, poznaje Brewera, Holdridge'a, Daugherty'ego, resztę. Później zbliża się do chłopca, rozwiązuje mu ręce.

Nie widział nawet, jak i kiedy Indianin zniknął w zaroślach, bo po chwili, gdy sznur osunął się na ziemię, Rebeka szarpnęła go za ramię.

— Chodź, Lije.

— Co?

— Jak wygląda twoja twarz.

— Nie szkodzi.

— Zaraz cię opatrzę. Chodź.

Evans stał na niepewnych jeszcze nogach, a wokół wszystko uspokajało się stopniowo. Drzewa tkwiły nad rzeką nieruchomo i prosto, ludzie nabierali normalnego wyglądu, twarz Rebeki nie była już niewyraźną plamą, lecz prawdziwą twarzą o oczach wyrażających dumę i prośbę. Nad Tadlockiem pochylała się jego żona, a także Weatherby. Inni obserwowali całą scenę z nie pozbawionym rezerwy zaciekawieniem. Nellie widać pogodziła się z ciężarem wapiti na grzbiecie, bo nieco dalej pasła się spokojnie.

Pasja przygasała z sekundy na sekundę, lecz Evans był z niej dumny; dzięki temu mógł teraz spojrzeć na stojących wokół mężczyzn i powiedzieć chłodno:

— Naprzód trzeba się zająć Tadlockiem. Nie chciałem go skrzywdzić.

Później był trochę przygnębiony, zarazem jednak bardziej pewien siebie. To nie kpiny powalić silnego mężczyznę! To zostawia ślad głębszy niż podbite oczy i pokaleczone wargi. Cóż, zrobił wybór, opowiedział się za słuszną sprawą, bronił jej, wytrwał i temu właśnie zawdzięcza wiarę w siebie.

Po powrocie do obozu Summers powiedział ze swoim spokojnym uśmiechem w oczach:

— Słyszałem, Lije, że tęgo się spisałeś.

Ale kapitan nie potrzebował już słów Dicka, by czuć się silnym.

Rozdział XXII

Pośród gwaru stłoczonych wokół dzieci, Mercy McBee napełniła kubek musującą wodą, dosypała łyżeczkę cukru i zamieszawszy podała Tomowi Byrdowi. Młode, miękkie usta ssące łakomie brzeg kubka przypomniały jej wargi suma.

— Teraz na mnie kolej! — Doiły Brewer starała się przekrzyczeć resztę. — Na mnie! Prawda, Mercy?

— Nie! Ja następny!

— Nic podobnego! Ja!

— Właśnie, że ja!

— Opowiadanie!

— Prędzej, Tom!

Dzieci wrzeszczały na Mercy i siebie wzajemnie, potrącały się, przepychały — jej bracia i siostry, mali Byrdowie, Brewerowie, Daugherty, Harry Gorham. Wszystkie chciały być pierwsze przy wodzie sodowej, która tryskała z niskiego białego pagórka, a z dodatkiem cukru ofiarowanego przez panią Tadlock i panią Mack stanowiła słodki i orzeźwiający napój gazowany.

— Za pomyślność nowego kraju — odezwała się dziewczyna. — Czekajcie. Wszyscy dostaną.

Nabierała do kubka i słodziła musującą wodę nie zastanawiając się nad jej smakiem, bo dostawała od tego nudności, jak od zapachu smażonego bekonu albo gulaszu przyprawionego cebulą.

— Wszyscy dostaną — powtórzyła. — Od najmniejszego do największego, po kolei. Tak będzie sprawiedliwie.

Hałas przycichł trochę i Mercy usłyszała jednostajne syczenie drugiego, bliższego rzeki źródła gazowego. Przypomniały jej się parowce, które widywała na Ohio.

Przez całą noc nasłuchiwała tego szumu, głośniejszego niż plusk wody w rzece lub szepty wiatru między gałęziami drzew. Szszsz... — dobiegało ją wciąż. — Szszsz... — jak gdyby źródło wiedziało.

— Masz, Dolly.

Karawana obozowała nieco dalej od rzeki i miejsca, w którym Mercy McBee napełniała kubek. Dziewczyna spoglądała od czasu do czasu w tamtą stronę. Kobiety krzątały się pracowicie, podsycały ogień, ustawiały przenośne kuchnie i piekły placki używając wody ze źródeł zamiast drożdży. Pełno było tych źródeł. Cała okolica tryskała wodą z obfitującej w sodę ziemi.

— Chodź teraz, Billy.

— Później ja, prawda?

— A ja po tobie.

Mężczyźni polowali i łowili ryby w górnym biegu Rzeki Niedźwiedziej albo pilnowali stad przepędzonych na drugi brzeg, gdzie trawa była lepsza.

Tylko Brownie Evans plątał się między furgonami i namiotami, jak gdyby szukał towarzystwa.

— Na mnie kolej, Mercy! Na mnie!

Lżej było dziewczynie pośród krzyku i przepychania się dzieci, ponieważ umysł i ręce miała zajęte.

— U nas wszystko w porządku — powiedziała do pani Brewer, która przyczłapała z obozu z niemowlęciem na ręku.

— Dosyć już tego dobrego — odrzekła kobieta. — Matki niepokoją się o dzieciaki.

— Aha. Zaraz będzie koniec cukru.

Pani Brewer stanęła opodal milcząca i ciężka, niezgrabna jak cielna krowa. Nie chciała usiąść na trawie, aby, jak domyślała się Mercy, nie mieć kłopotu ze wstawaniem. Wreszcie kiedy nie było już ani ziarnka cukru, popędziła trzódkę dzieci w stronę biwaku.

Mercy spoglądała ich śladem, słuchała chóru młodych głosów. Później przycupnęła pośród trawy. Na palcu kołysała kubek, łowiła uchem przycichający gwar i myślała, że mógłby być koniec świata — właśnie teraz, tu, gdzie rzeka płynie donikąd, słońce na zawsze udaje się na spoczynek, ciemnieją wzgórza, a musująca woda powtarza swoje ostatnie „szszsza, szszsza”... To samo będą mówić ludzie, jeżeli świat potrwa dłużej. „Szszsza... Mercy McBee! No powiedzcie!” Niech będzie koniec, jej nie zależy. Koniec to przynajmniej spokój i odpoczynek — bo wszystko traci znaczenie.

Schyliła pękającą od myśli głowę — a może tak nie jest. Przecież nie musi być, nie może, nie jest! Stanowczo jeszcze za wcześnie, by coś pewnego wiedzieć. Niedługo będzie wspominać te dni i śmiać się z siebie, że niepotrzebnie, bez żadnego powodu uległa złym przeczuciom, obawom. Myślami wybiegała w przód — próbowała patrzeć na siebie, gdy siedzi tak zawstydzona, smutna. Jakby w niej były dwie osoby — ta przyszła, pogodna i ta przy źródle, pełna lęku. Przecież starannie badała własne ciało dziesiątki razy, ilekroć zarośla dawały po temu sposobność albo w namiocie nie było nikogo. Oglądała i obmacywała brzuch i nie znajdowała nic podejrzanego. Była smukła i płaska jak dawniej. Z pewnością wszystko jest w porządku — pomyślała i na jakiś czas znalazła uspokojenie i odwagę. Nic się nic stało. Nie warto się zamartwiać na zapas. Wiele niebezpieczeństw istnieje tylko w naszej wyobraźni.

W tym momencie poczuła mdłości. Kubek zadrżał jej na palcu, więc postawiła go na ziemi, usiadła obejmując dłońmi kolana. Próbowała zawładnąć strachem, przepędzić go z rąk, nóg, głowy, ukryć głęboko, na dnie serca. Mama wzniesie ramiona ku niebu i zacznie okropnie wrzeszczeć: „Nie mówiłam, trzymaj się z dala od chłopców? Ale nie! Byłaś mądrzejsza! Dorobiłaś się! Masz za swoje! Jak Boga kocham, nie wiem, co ci do łba strzeliło!” Mercy nie miała pojęcia, co tata zrobi albo powie. Może pójdzie do pana Macka, zacznie biadać i wróci z koniem czy wołem, zadowolony, jakby to była odpowiednia za nią cena. Ale to do niego podobne.

Walcząc z obawami uprzytomniła sobie, że to ciotka Bess nauczyła ją widzieć w ojcu człowieka słabego, bez zasad — „mięczaka”, jakby to ona powiedziała, choć nigdy go tym epitetem nie obdarzyła. Kiedy sprawy domowe źle wyglądały — a tak bywało najczęściej — Mercy mieszkała u

ciotki Bess, która często otwierała jej oczy. Dzięki temu po powrocie do domu dziewczynka dostrzegała jego brud i szpetotę i zdawała sobie sprawę, że z biegiem czasu matka jest coraz bardziej zaharowana i wrzaskliwa.

Ach, pomówić z panem Mackiem! Oprzeć głowę na jego piersi! Wypłakać smutną prawdę! Ale on nie szukał spotkań. Po odjeździe z Laramie widzieli się tylko raz — bardzo dawno — i Mercy mogłaby uznać to wszystko za sen, gdyby nie nudności, gdyby jej czas nie przeszedł. Mimo to wciąż pan Mack był z nią. Wieczorem kładła się z nim na posłaniu, z nim wstawała z rana, razem podróżowali przez całe dnie, a ona często odgarniała niesforny lok z jego czoła, przepędzała widoczny na twarzy wyraz zatroskania. Nie było to fizyczne pożądanie — ani teraz, ani dawniej. Nic podobnego! Mercy szukała po prostu jego siły i czułości, by móc ją odwzajemniać. Na biwakach i w drodze szukała wzrokiem pochmurnej twarzy i ruchliwej sylwetki pana Macka, jakkolwiek udawała, że wcale nie patrzy w jego stronę. Czasami, gdy spotkały się ich spojrzenia, uśmiechał się, mówił: „Jak się masz, Mercy?” tak zwyczajnie, że zastanawiała się, czy on pamięta. Czy przechowuje drogi sekret? Czy wzywa ją tęsknie bez słów?

Mdłości ustąpiły, więc Mercy wróciła myślami do chwili obecnej i swojego stanu i usta ułożyły się w słowa modlitwy: „Spraw, o Boże, by tak nie było. Pomóż mi, wybacz, że zbłądziłam, i pozwól, abym mogła pomówić z panem Mackiem. Błagam cię, Boże, spraw, by tak nie było”.

— Dzień dobry, Mercy — usłyszała nagle głos Brownie'ego Evansa. — Czemu płaczesz?

Spiesznie otarła oczy, próbowała wstać, ale poczuła taki zawrót głowy, że została na miejscu.

— To ta musująca woda. Za dużo wypiłam.

— Aha — bąknął chłopak, a Mercy zobaczyła jak przez mgłę jego stopy poruszające się niepewnie, jakby nie wiedział, co z nimi zrobić. — Można usiąść przy tobie?

— Właśnie miałam iść.

— Szkoda.

— Wszystko jedno. Siadaj.

Brownie przycupnął na murawie.

— Chciałbym z kimś porozmawiać — podjął.

— Są inni, nie ja jedna.

Poskromiła już strach, zamknęła głęboko w sobie. Tylko na sercu było jej trochę ciężko.

— Wolę ciebie — powiedział chłopiec. — Ładne strony, co? Byłaś przy Piwnych Źródłach?

— Nie.

— Tata mówi, że woda w nich jak stare piwo, całkiem zwietrzałe.

— Nie znam smaku takiego piwa.

— Ja raz popróbowałem. Aż mi się niedobrze zrobiło.

Mercy milczała, wobec czego młody Evans zaczął znowu:

— Nie przeszlibyśmy się do Piwnych Źródeł?

— Mam moc roboty.

— Sama się zrobi.

Ponieważ lęk przycichł, obeschły również łzy i Mercy ośmieliła się spojrzeć chłopcu w twarz. Była to twarz poczciwa; spod płowej czupryny patrzyły oczy, które z pewnością nie potrafią przeniknąć cudzego sekretu; liczne piegi pod opaleniznę wyglądały jak ciemniejsze plamki.

— Chodź, przejdziemy się — powtórzył Brownie.

— A robota sama się jakoś zrobi, co? — powiedziała tonem, któremu usiłowała nadać beztroskie brzmienie. — Ładne rzeczy.

— Ty jesteś ładna.

Słowa dobyły się z jego ust, niby musująca woda z pobliskiego źródła — jak gdyby tajone długo i powstrzymywane, same znalazły ujście. Krew napłynęła chłopcu do twarzy, pochłonęła zarówno opaleniznę, jak piegi.

— Tak ładna, jak ładnie postępuję — powiedziała Mercy, zanim zdążyła pomyśleć.

— Pewnie, że ładnie.

— Nic o mnie nie wiesz, Brownie.

— Trochę wiem. Masz ochotę się przejść?

Mercy pomyślała, że Brownie ma w tej chwili oczy trochę podobne do starego Rocka, który przyczłapał za nim, a teraz siedzi opodal i patrzy na nią okrągłymi ślepiami. Zanim w spojrzeniu chłopca wyczytała otwarte błaganie, powiedziała.

— Nie mogę zostać z tobą długo — powiedziała.

Kiedy podniosła się z ziemi, nie podał jej ręki, co z pewnością zrobiłby pan Mack. Stał tylko zmieszany i patrzał. Ale dziewczyna poczuła nagle, że to ktoś bliski, wobec kogo ma w pewnym sensie dług wdzięczności, ponieważ odniósł się do niej ciepło, życzliwie, kiedy była bardzo biedna i samotna. Czy zachowałby się tak samo nawet gdyby wiedział? Takie pytanie zadawała sobie Mercy czekając, by przeszedł zawrót głowy.

Ruszyli z biegiem rzeki, za biwak i źródła syczące niby statki parowe. Przy Piwnych Źródłach Brownie spróbował wody, później usiedli pod białym stożkowatym pagórkiem, na suchym miejscu. Biały osad z wody zdawał się jeszcze bielszy w blasku słońca zniżającego się z wolna ku wzgórzom.

— Myślałaś kiedy, co będziesz robić, jak dotrzemy do Oregonu? — zapytał Brownie.

— Co będę robić? Pomagać mamie i tyle.

— To z początku. A później?

— Nie zastanawiałam się nigdy.

— Ja tam wciąż o tym myślę. Wezmę się do pracy i jakoś pójdzie. Dorobię się porządnej własnej farmy i wtedy będę miał czas na polowanie i łowienie ryb — odchylił się do tyłu i podparł się rękami. — O różnych sprawach myślę. Na przykład o tobie.

— Masz o czym, Brownie! — obruszyła się i zaraz pożałowała niewczesnych słów, które, choć szczere, wyglądały na prowokację.

— Pewno, że mam. Gdybym śmiał powiedzieć...

Nie zamierzała dodać mu odwagi, pomóc w rozplataniu języka. Przecież nie chce Brownie'ego, a gdyby nawet chciała, nie ma do niego prawa. Tak! Nie ma prawa! Strach dławiony dotychczas, trzymany na wodzy, znowu dał znać o sobie. Mercy zapragnęła umknąć, poszukać w pustkowiach kryjówki albo rozszlochać się, paść na ziemię i płaczem zwierzyć jej wszystko.

— Mam prawie osiemnaście lat, Mercy.

— Chyba już sobie pójdę.

— Ojciec był młodszy, kiedy się żenił.

Mercy milczała. Zmagając się ze strachem, próbowała zapędzić go z powrotem w tajniki serca.

— Chyba wiesz, Mercy, o co mi chodzi.

Padły decydujące słowa, więc Brownie nabrał odwagi, zwrócił się do Mercy, a jego oczy, twarz, cała postać wyrażały serdeczną prośbę, uczciwe pragnienia.

— Gdybym wiedział — podjął — że czujesz do mnie to, co ja do ciebie, nic mnie nie powstrzyma, w Oregonie ani gdzie indziej.

Powinna odpowiedzieć: Nie. Brownie, nie mów do mnie w taki sposób. Ale wyraz twarzy chłopca wzruszał ją do głębi, oczy przesłoniły łzy.

— Nigdy, Brownie, nie zastanawiałam się nad takimi sprawami. Teraz nie czas. Nie mogę. Nie wiem, co do ciebie czuję, ale... Ale... dziękuję ci, Brownie.

Nieoczekiwanie wybuchła łkaniem, które dobyło się samo, skądś z głębi. Podniosła dłonie do oczu. Poczuła obejmującą ją rękę.

— Ale, Mercy, nie przejmuj się, to nie powód do płaczu, że chcę się z tobą ożenić. — Brownie zamilkł, bo czuł, że ona musi się wypłakać, chociaż nie zdawał sobie sprawy dlaczego.

Po chwili Mercy otarła oczy brzegiem spódnicy.

— Ja tak nie chciałam. Głupia jestem.

— Wcale nie jesteś głupia.

Brownie ujął ją pod brodę, zwrócił ku sobie twarz dziewczyny. Jego wzrok wyrażał troskę, zaciekawienie, współczucie. Patrzał przez moment, nagle schylił głowę i złożył na jej policzku pocałunek — dobry, serdeczny pocałunek szczerego przywiązania, nie pragnienia.

— Zawsze jesteś taka smutna, Mercy — podjął opuszczając ręce. — A ja bym chciał, żeby tak nie było, ja bym dla ciebie zrobił wszystko.

— Dobry jesteś, Brownie. I wiem, że będziesz dobry bez względu na wszystko, co stać się może.

Dziewczyna wstała, bo więcej nie zdołałaby powiedzieć bez płaczu. W powrotnej drodze milczeli obydwoje i Brownie odezwał się dopiero w pobliżu biwaku:

— Mercy, to chyba nie ostatni nasz wspólny spacer?

— Nie wiem.

Dziewczyna podeszła do swojego furgonu i usłyszała głos ojca:

— Jak Boga kocham, stara, uwijaj się z żarciem. W tym kraju człowiek zjadłby konia z kopytami.

Mercy McBee czekała wśród ciemności. Miała nadzieję, że w razie czego wezmą ją za cień krzaka albo obłok przysłaniający gwiazdy, które świeciły na niebie, chłodne i bardzo odległe. Księżyc jeszcze nie wszedł. Wiatr hulał przy ziemi, owiewał łydki Mercy i odpływając dalej szeptał o sekretach nocy, od których dziewczyna drżała.

Raz po raz docierały do niej echa biwaku sposobiącego się do odpoczynku: szczęk pokrywy, którą ktoś położył na wyczyszczonym kociołku, zmęczony głos pani Byrd strofującej jedno ze swoich dzieci, spokojne przedsenne pogawędki mężów z żonami. Łączyły się z tym inne odgłosy: „szszsza...” powtarzane wciąż przez źródła, żałosne, dobiegające

z oddali zawodzenie kujotów, ryk krowy nad niedawno urodzonym cielęciem, które Garhamowie wieźli za dnia w furgonie.

Dziewczyna była sama z tymi dźwiękami. Gdyby jej nie było, nie byłoby dźwięków — i odwrotnie. Była dla nich czymś w rodzaju ucha.

Otulała się żakietem i powtarzała sobie, że musi czekać, aż dobiegnie końca ostatnia krzątanina w obozie.

Niegdyś sądziła, że gwiazdy są przyjazne. Niegdyś prosiła, by nad nią czuwały, bliskie, życzliwe, jasne. Teraz cofają się, świecą z daleka, bo wstyd im za nią. Wtedy grała muzyka i w jej takt nogi sunęły do tańca, dziś też gra muzyka i jakieś inne nogi tańczą. Tony skrzypiec przeczyły smutkowi, a Hig śpiewał piosenkę o miłości i śmierci — bardzo ładną zdaniem uśmiechniętych ludzi.

Zapomnij, Mercy, o echach muzyki, szepcie źródła, lodowatym wejrzeniu gwiazd. Jesteś wytrącona z równowagi. Czemu? Zapewne przez tę musującą wodę, zawodzenie kujotów, porykiwanie świeżo wycielonej krowy i to nieustanne „szszsza”. Piegi pod opaleniznę i „ja bym dla ciebie zrobił wszystko”, a przedtem czarny lok na pochmurnym czole. Mogłaś powiedzieć „nie”, Mercy. A teraz wokół nic prócz nocy — tylko noc i strach, coraz bardziej natarczywy strach. Boję się, panie Mack, boję. Szszsza... Czekać, Mercy, czekać...

Pies, niewidoczny w mroku, podszedł, dotknął nosem jej dłoni. Wzdrygnęła się, lecz odzyskała spokój, bo wyczuła, że to Rock, więc zatrzymała go przy sobie na czas oczekiwania.

Poznała Macka — smukły cień, czarniejszy na tle nocy. Opuściła ją śmiałość, zadygotały pod nią nogi. Zapewne wyszedł przed snem za swoją potrzebą, może zacznie, zanim ją zobaczy; powinna przyczaić się, rozpłynąć w ciemności, bo zawstydzi się, że go tak przyłapała.

— Panie Mack — powiedziała i własny głos wydał jej się szeptem zagłuszonym przez nieustanne „szszsza”... źródlanej wody. — Proszę pana.

— Co? Kto tam? — zapytał i dodał zniżonym głosem. — Oo... Dobry wieczór...

— To ja... Mercy McBee.

— Widzę... Jak się czujesz?

— Proszę pana...

Podszedł do niej bez słowa, a ona pod osłoną nocy odważyła się poszukać wzrokiem jego twarzy. Przy blasku gwiazd dostrzegła zarys policzków, niewyraźne plamy oczu.

— Proszę pana...

— Długo markujesz po nocy.

— Nie chce mi się spać.

— A noc stworzona do snu.

— Proszę pana... — Co powiesz?

— Moglibyśmy odejść trochę, porozmawiać?

Mack nie odpowiedział. Wziął ją pod rękę i odeszli od biwaku w kierunku syczących źródeł.

— Myślałem, Mercy — odezwał się po chwili — że lepiej, żebyśmy unikali spotkań.

— Ja też nie szukałabym spotkania, ale... ale...

— Ale co?

— Boję się, proszę pana, strasznie się boję.

— Boisz się? — zapytał bardziej szorstkim tonem.

Nie mogła dobyć głosu, bo zrozumiała nagle, że pan Mack chce na nią złożyć winę.

— Czego się boisz?

— Pan wie...

— Wielki Boże! — krótka pauza. — Czy... czy ci się nie zdaje?

— Próbowałam to sobie wmawiać.

— I co?

— Nic z tego.

— Trudno mi uwierzyć, Mercy.

— Co robić, jeżeli przyjdzie to najgorsze.

— Nie przyjdzie, Mercy. Na pewno.

— Ale jeżeli przyjdzie.

— To przyjdzie.

— Co robić wtedy? Może pan wie.

— A co ja mam zrobić? Jak ci się zdaje?

— Nic. Chyba tylko wracać do obozu.

— Widzisz. Sama rozumiesz...

— Tak. Nie chcę sprawiać panu kłopotu...

— Sprawiać kłopotu? Mnie?

— Chciałam powiedzieć, że nie mam do pana urazy.

Głos mężczyzny złagodniał nagle:

— Przepraszam, Mercy. Bardzo mi przykro. To dlatego, że ja sam nie wiem, co robić. Nie mam pojęcia.

— Nic nie można zaradzić?

— Nie. Tylko czekać, co z tego będzie.

— Co ja sobie narobiłam — powiedziała dziewczyna tonem, którego spokój zdziwił ją samą; głos był słaby, lecz pewny, brzemienny siłą, co nie podda się łzom.

Nim skończyła zastanawiać się nad tym, dobiegło ją pytanie:

— A nie myślałaś o małżeństwie, Mercy?

— O małżeństwie? Z kim?

— Z kimkolwiek.

— I żeby mu nic nie powiedzieć?

— Czy ja wiem?

Mercy usłyszała własny głos:

— Nic z naszej rozmowy nie przyjdzie. Pewnie żona czeka na pana.

— Mercy! Tak mi przykro! — zawołał mężczyzna cicho, ale tak namiętnie, że Mercy pojęła jego rozterkę. — Mogę tylko powiedzieć, że mi niezmiernie przykro.

Odszedł. Nie pogłaskał jej nawet, nie dotknął, nie obdarzył pocałunkiem, w którym mogłaby znaleźć pewną pociechę. Mercy uprzytomniła sobie z bólem rozdzierającym do głębi, że Mack chciał jej na krótko, powodowany jedynie cielesnym głodem i nigdy, nigdy nie wróci, nawet po to samo.

Odżyły znów nocne głosy: westchnienia rzeki, szum przypominający parowce, zawodzenie kujotów, głośniejsze teraz gdy księżyc wszedł. Mercy nasłuchiwała zadając sobie pytanie, czy wolno jej skrzywdzić chłopca takiego jak Brownie.

Curtis Mack nie od razu wrócił do namiotu. Rozstawszy się z Mercy ruszył w tamtą stronę, pomyślał jednak, że Amanda nie zasnęła jeszcze, więc zmienił zamiar i powędrował wzdłuż doliny. Nie wątpił o faktycznym stanie rzeczy, ale czuł się bezradny.

Księżyc wydobył na niebo zarysy dalekich wzgórz, a bliżej w rzece skarżyła się żałosnym szumem woda wyczarowana z mroków ukośnymi promieniami.

Nic nie mógł zrobić, nic — jedynie czekać, jedynie wracać do obozu, jak powiedziała tamta dziewczyna, kiedy strach podsunął mu ostre słowa: „Nic. Chyba tylko wrócić do obozu” — rzuciła z pełną urazy odwagą, której wspomnienie dręczyło go bardziej niż cała sprawa. Nie płakała. Nie obarczała go winą. Nie groziła. Po prostu zadała kilka pytań, wysłuchała odpowiedzi i odprawiła go z młodzieńczą, pełną odwagi beznadziejną godnością.

Myśląc o niej Curtis czuł obrzydzenie do siebie, swoich mętnych, nikczemnych słów, zdawkowej rady, by Mercy poszukała sobie męża. Mógł ją przecież wesprzeć. Mógł starać się dodać jej ducha albo chociaż okazać jaką taką tkliwość. Mógł, ale po co? Żeby komplikować sytuację i tak już nie do wytrzymania? Żeby robić jej nadzieję?

Wiedział, że te wszystkie argumenty zmierzają do tego, by uspokoić własne sumienie. Mogły być nawet sensowne, ale wtedy o nich nie myślał. Przede wszystkim był to samczy niepokój, chęć wykręcenia się od przykrej, poniżającej odpowiedzialności. Dziw, iż nie zapytał, skąd może wiedzieć, że nie miał wspólnika.

— Niech to cholera! — potknął się, lecz zaraz odzyskał równowagę.

Jest głupcem, łotrem albo człowiekiem, którego zmusiły do tego okoliczności — szaleńczy, pozbawiony logiki, bezmyślny bałagan życia. Nie pragnął tego fermentu, który w nim siedzi i znajduje ujście w morderstwie Indianina Kaw, w zniszczeniu tamtej dziewczyny. Dobrze kaznodziejom gadać o moralności, jak gdyby wszyscy rodzili się tacy sami i dorastali w jednakowym świecie. Przecież moralność jest różna dla każdego, zależy od tego, co człowiek ma w sobie i w jakich żyje warunkach.

Mimo wszystko jednak jest w nim poczucie winy. Nie może zapanować nad sobą ani nad warunkami, lecz, głupiec, zachowuje poczucie winy. Jest ono niedorzeczne jak pretensja idioty, że na świat przyszedł idiotą. Ale to poczucie winy istnieje, bo zakorzeniły je nabożne pieśni, Pismo święte, płomienne kazania na temat nagrody i kary. Mimo że rozum dochodzi do głosu, uczucia pozostają, może na zawsze. Człowiek przestaje wierzyć w Boga opierając się na sprzecznych z jego istnieniem przesłankach, lecz pewne nawyki pozostają. Grzeszy, bo zmusza go do tego życie, ale pragnie pokutować, poniżać się, biczować, obiecywać poprawę. W tym znajduje pociechę, której on, Curtis Mack, szukał po zabiciu Indianina w ciężkiej pracy i wyrozumiałości w stosunku do Amandy.

Taki już jest porządek rzeczy — myślał — że teraz, kiedy nastąpiło jakie takie porozumienie między nim a żoną, dają o sobie znać skutki nieporozumień. Zazwyczaj zbyt późno przychodzi spełnienie.

A to było tak proste, proste i rozsądne, że Mack nie mógł nadziwić się własnej ślepocie. Niedaleko za Southern Pass leżał na posłaniu obok Amandy, spragniony, wezbrany żądzą, a jednak powściągliwy w słowach.

— Żebyś ty chciała, Amando. Żebyś mogła.

— Niczego bardziej nie pragnę.

— Rozumiem twój strach, Amando, ale to nie wszystko. Nie tylko boisz się ciąży.

— Nie tylko — przyznała krótko i czekała dalszych słów męża.

— Może to i uraza, którą teraz rozumiem. Nikt nie lubi ulegać cudzym zachciankom.

— Nie lubi — przyznała powtórnie.

— A sama zdajesz sobie sprawę, co to jest?

— Wiem tyle, że coś staje na przeszkodzie i nie mogę... po prostu nie mogę.

— Zawsze?

— Nie. Dobrze wiesz, że nie zawsze.

— A pragnienia nie odczuwasz? Nigdy?

Curtis nie otrzymał odpowiedzi, poczuł nawet, że Amanda jak gdyby zesztywniała w pościeli. Zapewne obrał niewłaściwą drogę. Dawne gorące słowa zaczęły cisnąć mu się na usta, ale powstrzymał je, jął myśleć o Indianinie Kaw, własnej oczyszczającej skrusze, Amandzie i jej obcości, na którą nie miała wpływu i która przez to, że stanowiła dla niego torturę, nie była wcale lżejsza do przezwyciężenia.

— Zaczekajmy — podjął. — Może kiedyś, jeżeli będziemy cierpliwi... — urwał i odwrócił się na posłaniu.

— Niczego bardziej nie pragnę, Curt.

— Może ja nie potrafiłem... — odezwał się i nagle uprzytomnił sobie, że tak musiało być. — To przeze mnie nabrałaś niechęci, bo zawsze tylko cię pożądałem. Gdyby mogło to wszystko wrócić, byłoby zupełnie inaczej.

— Jak, Curt?

— Gdybyśmy mogli spróbować raz jeszcze, może zdołałbym cię przekonać, że nie pragnę cię tylko duchowo czy tylko cieleśnie, ale chcę i jednego, i drugiego. I nie żądałbym, Amando, nie wymagał. Postarałbym się dać ci do zrozumienia, że szukam pomocy, której ty możesz mi udzielić, a nic przecież nie poradzę na to, że taka pomoc jest mi potrzebna. Nie wiem, czy wyraziłem się jasno. Śpij, Amando.

Przez długi czas kobieta leżała bez ruchu. Później objęła go ramieniem, prawie lękliwie. Dłonią poszukała jego dłoni, jak gdyby prosiła nieśmiało, by odwrócił się w jej stronę.

Nie był durniem. Nie wyobrażał sobie wówczas, że to kres kłopotów. Przy tak wielkiej różnicy temperamentów cud nie mógł się zdarzyć. Bądź co bądź jednak został zrobiony początek, więcej niż początek. Zaczęli się rozumieć, myśleć nawzajem o sobie. I to mu dało zadowolenie — wiedział, że kocha żonę nad wszystkie inne kobiety. Ale na tym bożym świecie przypadek musiał pokrzyżować szyki. Porządek rzeczy nie przewiduje trwałego szczęścia.

Curtis przystanął, zawrócił raptownie i ruszył w stronę biwaku. Wolał się nie tłumaczyć ze zbyt długiej nieobecności, jeżeli Amanda czeka. Doskonale zdawał sobie sprawę, że działa pod wpływem strachu. Nie strachu przed awanturą czy wstydem — niech to licho! Nie boi się też żony, lecz jej utraty, czy może nawet nie tego, bo Amanda przecież nie odejdzie, boi się utraty jej miłości. Do niedawna, do dzisiaj, nie zdawał sobie sprawy, ile dlań znaczy ta miłość.

Szedł ciężkim krokiem, w blasku księżyca i rozmyślał: a zatem martwię się o siebie, nie o Mercy. To przecież prawie dziecko, osamotnione i w ciąży, a ja martwię się tylko o siebie. Taki jest porządek rzeczy — instynkt samozachowawczy... ale to wcale nie usprawiedliwia, to też samolubstwo, jak wszelka skrucha, pokuta, błagania o przebaczenie. Czy żałowałbym za swój grzech, gdybym nie lękał się następstw?

Usiłował podejść do zagadnienia uczciwie i zrazu nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Ale nie, nie żałowałby, nie miałby wyrzutów sumienia, gdyby Mercy nie doznała krzywdy innej niż sam akt płciowy, jeżeli można to nazwać krzywdą; gdyby obeszło się bez ciąży, kompromitacji, wstydu, rozpaczy, obwołania dziewczyny ladacznicą. Nie żałowałby nawet własnej niewierności, uzasadnionej wtedy przecież.

Czy Bóg istnieje, czy nie — istotne jest to, czy człowiek potraktował uczciwie drugiego człowieka. Curtis Mack oczyma wyobraźni zobaczył Mercy, kiedy tak stała drobna, odważna, żałośnie dostojna wśród ruiny własnego życia. Tak, zna już odpowiedź na to pytanie.

— Mój Boże! — westchnął, wzdrygnął się i przyśpieszywszy kroku, jak gdyby człowiek mógł uciec od własnych myśli, niebawem znalazł się w namiocie.

— Już zasypiałam, Curt — usłyszał w mroku głos Amandy.

— Dziś taka piękna noc — powiedział; usiadł i zabrał się do zdejmowania butów.

Właśnie dziś musiała na mnie czekać — pomyślał układając się na posłaniu. — To też pasuje do ogólnego porządku rzeczy. Pewno gdzieś bardzo daleko ci, co kierują ludzkim losem, uśmiechają się do siebie.

Długo po zaśnięciu żony Mack leżał nasłuchując szmerów nocy i odległego wycia kujotów. Zastanawiał się, czy piętnasto- lub szesnastoletnia Mercy McBee również czuwa, bo dreszcze trwogi płoszą jej sen i dziewczęce marzenia. Zastanawiał się, czy zabity przez niego Indianin Kaw jest szczęśliwy w krainie wiecznych łowów.

Jedno wiedział na pewno: cokolwiek się zdarzy, jak długo żyć będzie i dokąd by trafił, zawsze i wszędzie podąży za nim świadomość winy.

Rozdział XXIII

— Na mój rozum dostaniecie za swoje — powiedział stary człowiek z gór. — Niedawno jeden gość był na waszym szlaku i mówił, że kiepsko tam wygląda.

Jest chyba w tym samym wieku co wzgórze, sto lat mniej, sto lat więcej, to się nie liczy — pomyślał Lije Evans. — I niby wzgórze siedzi na ziemi wygodnie, pewnie, jak gdyby nie używał nigdy stołka ani krzesła z oparciem.

Starzec nazywał się Greenwood, Kaleb Greenwood.

— No nie, kapitanie? — dorzucił.

W ośmiu albo dziesięciu siedzieli kręgiem na dziedzińcu Fortu Hall, przed budynkiem z niewypalanej cegły, który służył kapitanowi Grantowi za kantor i mieszkanie. W powietrzu czuć było już noc i placyk tonął w cieniu, bo słońce skryło się za murami fortu.

Pośród zgromadzonych stał jedynie kapitan Grant — typowy Anglik od stóp do głów — i z poziomu ziemi wydawał się jeszcze bardziej rosły, niż był rzeczywiście. Palcami przyczesał brodę, zanim odpowiedział staremu Kalebowi.

— Hudson's Bay Company nigdy nie próbowała przeprowadzić tamtędy karawany furgonów.

— Dlaczego? — zainteresował się Gorham.

Grant wzruszył ramionami dając do zrozumienia gestem więcej, niż mogłyby wyrazić słowa.

Evans zastanawiał się, czy kapitan nie podoba mu się tylko dlatego, że jest Brytyjczykiem. Ostatecznie emigrantów przyjął życzliwie, życzliwiej, niż należało oczekiwać od przeklętego Anglika. Powitał ich nie bez serdeczności, handlował z nimi, a że przy sposobności zarobił trochę pieniędzy... Trudno się dziwić. Przecież po to prowadzi interesy. Po dwadzieścia dolarów za stufuntowy worek kupowało się u niego mąkę sprowadzaną z brytyjskiej kolonii Oregon morzem, a następnie na grzbietach jucznych koni. Koń kosztował od piętnastu do dwudziestu pięciu dolarów — jeżeli zaś brakło komuś gotówki, kapitan chętnie nabywał podbite woły, płacąc za sztukę od pięciu do dwunastu dolarów. Ale, dobry czy zły, był Brytyjczykiem, więc nie życzył sobie, by Amerykanie masowo wędrowali do Oregonu. Temu również trudno się dziwić, lecz należy przyjmować z rezerwą to, co gość opowiada o czekającej ich drodze.

— Trochę was przejdzie, no i może parę furgonów — podjął Greenwood, wyjął z ust fajkę i rozejrzał się wokół. — Ma się rozumieć nie przejdzie cały tabor i część z was zostanie po drodze. Ale ci, co przejdą, będą mieli frajdę.

— Jaką? — odezwał się Tadlock.

— Jaką? Wspomnienia. Widzisz, bracie, głód, pragnienie i to jak się człowiek topił, to w późniejszych latach wielka frajda, ma się rozumieć dla tego, co wyżył i może wspominać.

— Dotychczas radziliśmy sobie — powiedział Evans.

— A pewnie, pewnie, chłopcze. Twoi ludzie gadają, że nawet całkiem dobrze. Ale teraz, rozumiesz, nadchodzi sierpień.

— Co z tego?

— Im dłużej myślę — stary Kaleb urwał, aby zwiędłymi wargami ująć cybuch, podtrzymać ogień w fajce — tym chętniej widziałbym was na szlaku. Ale na innym: do Kalifornii. To kraj obłaskawiony i droga całkiem nietrudna. Żadnych niebezpieczeństw. No i żadnych wspomnień — poza tym, że łatwo było i bezpiecznie.

Starzec dokończył fajki, więc usypał nieco popiołu i zastąpił go świeżym tytoniem, by obejść się bez powtórnego zapalania.

— Bliżej też do Kalifornii, o wiele bliżej, ale ktoś musi pokazać drogę. Mogę to zrobić i, na Boga, zrobię, jeżeli poprosicie.

— Co, mówiłeś, uprawiają w Kalifornii? — odezwał się Patch.

— Nic. Ludzie żyją z tego, co znajdą w ziemi albo co samo pasie się na trawie. To piękny kraj, przyjemny i taki słoneczny, jakby nigdy nie było zmian pogody. Całkiem inaczej niż w Oregonie.

— Pogadajmy otwarcie — zabrał głos Tadlock i nie wstając z ziemi przysunął się do Grenwooda. — Dlaczego sądzisz, że nie dotrzemy nad Willamette?

— Nic podobnego nie mówiłem. Powiedziałem, że trochę was przejdzie i, jak Boga kocham, trochę przejdzie. Tylko że trzeba dwa razy odbyć przeprawę przez Snake, chyba że pierwszy raz spróbujecie tutaj, w Hall, ale wpadniecie paskudnie, jak to się przytrafiło Wyethowi, pamiętasz, Dick? W trzydziestym czwartym roku czy kiedy tam. No i Snake to nie byle struga, chociaż stąd może się tak zdawać. Ale, powiadam, przejdziecie prawie wszyscy. Ba! Może nawet przeprawicie część furgonów. Będzie zabawa, będzie! Tyle że ja na waszym miejscu nie ryzykowałbym z furgonami. Po co? W Oregon City można kupić, ile kto chce. Może nie, kapitanie?

— Ja zostawiłbym tutaj ciężki tabor — powiedział Anglik.

— Dawniej nie szły tym szlakiem furgony? — zapytał Gorham.

— Trochę — odparł Kaleb.

— Powiedz nam więcej — odezwał się Tadlock.

— Niewiele więcej mogę powiedzieć. Ale niech skonam, jeśli nie będziesz jechał wzdłuż Snake i całymi dniami nie zaczerpniesz wody dla człowieka ani stworzenia. A rzekę będziesz miał blisko, ale głęboko, a zbocza tak strome, że stracisz czas od wschodu do zachodu, by zleźć i wdrapać się z powrotem.

Zmierzch pachniał dymem kuchennym ogni, które dogasały w zabudowaniach okalających dziedziniec. Evans pomyślał, że dym osnuwa też biwak, rozbity o niespełna milę na południowy zachód od fortu. Kolację zjedzono tam wcześnie, więc Rebeka zdążyła już zapewne wyszorować talerze i garnki, a Brownie wraz z innymi pilnuje stada — ma na oku życzliwych, ale skorych do kradzieży Wężów. Tu nie tylko dym pachnie. Czuć również wędzone mięso, ryby, surowe skóry, tytoń, kwaśny fetor pozostawiony przez Indian, mleko, z którym przeszła opodal jakaś

metyska. Mleko przypomniało Evansowi Independence, dom, oborę, Missouri płynącą niedaleko od jego farmy.

— Wiemy coś niecoś o rzekach — powiedział.

— Ma się rozumieć, chłopcze — podchwycił stary Kaleb. — Znacie Missouri albo Missisipi. To ładne rzeki, bardzo ładne, chłopcze. A co myślicie zrobić z bydłem?

— Popędzić dalej.

— A jeszcze większa będzie frajda, jak dojdziecie do źródeł Snake czy jak ją czasem nazywamy, Lewis River. Będziecie mogli gadać, że widzieliście wodospady, wiry i, jak Boga kocham, czarne skały całe w pianach! Widok — słowo daję, wart obejrzenia.

Evans przenosił wzrok z twarzy na twarz. Chciał sprawdzić, czy wszyscy reagują w zbliżony do niego sposób: nie bardzo wierząc wygadanemu dziadkowi z gór, po trosze jednak ulegając wrażeniu jego słów na temat przyszłych trudności i niebezpieczeństw. Dnia poprzedniego, za Rzeką Niedźwiedzią, tabor przebył trudny odcinek trasy pośród czarnych skał i obłoków pyłu, by zejść znów w dolinę, zobaczyć wodę, gaje, trawę, żółte i szkarłatne kwiaty. Wobec tego kapitan był przekonany, że jego towarzysze nie ulękną się gadaniny Greenwooda i zechcą jechać dalej.

— Chyba wszyscy znacie Meeka, prawda? — powiedział. — Twierdzi, że znalazł lepszą drogę do Oregonu, w górę Malheur River, lepszą i krótszą o przeszło sto pięćdziesiąt mil.

— Steve Meek. Znam go — kapitan Grant skinął głową. — Porzucił karawanę, którą pilotował, i wrócił tu co tchu, aby przykleić się do innej. Dziwię się, że nie spotkaliście go po drodze. Co odpowiedzieliście Meekowi?

— Że dogadaliśmy się z Summersem.

— Słusznie. Ja nie próbowałbym tamtego szlaku. A ty, Summers?

Dick przecząco pokręcił głową, a stary Kaleb rozpoczął znowu swoją śpiewkę.

— Zaczęliście tak gracko, że pewno przed śniegiem zdążycie nad Willamette. Ma się rozumieć może się zdarzyć deszcz raz czy drugi, bo to już prawie pora. A co mówiliście, myślicie zrobić z bydłem, hę?

— Popędzić dalej.

— Aha. Niedługo napotkacie Indian. To pewne. Słyszałem, że szykują się na spotkanie białych, czernią już gęby. Ale to głównie rybacy. Z tymi nie będzie wiele kłopotu. Prawda, Dick?

Mack, który kreślił coś palcem na ziemi, podniósł wzrok.

— Spotkaliśmy już Pawnisów i Siuksów — bąknął.

— A pewnie, pewnie, chłopcze.

Evans ucieszył się, kiedy głos zabrał Summers, gdyż tylko on znał Oregon, mógł więc odpowiedzieć Greenwoodowi dobitnie i z sensem.

— Kto ci za to płaci, Kaleb? — zapytał.

Starzec zerknął z ukosa na Dicka i dalej mówił swoje:

— Chodzi jeszcze o malarię. Niektórzy powiadają, że malaria panuje w dolnym biegu Snake. Ja też tak myślę, ale nie jest tak źle — albo nie odróżnię Indianina od białego. Gadałeś, Evans, że bydło myślicie popędzić dalej, hę?

Kapitan Grant wszedł do swojego domu i wrócił rychło z dzbankiem i kubkami. Whisky była dobra, znacznie lepsza od tej, którą stary Hitchcock

sprzedawał w Independence. Gospodarz fortu szarmancko częstował gości. Cóż, trzeba przyznać, że Anglicy mają na ogół dobre maniery.

Evans był zdziwiony, że McBee zdołał dotąd utrzymać język za zębami; prawdopodobnie hamował się przez wzgląd na Tadlocka. Obecnie popłukał usta whisky, przełknął i powiedział raźno, jak gdyby liczył, że zaraz ktoś go poprze.

— Jak Boga kocham, nie wyjechałem na Zachód, żeby żyć podle. Dosyć się tak nażyłem.

— Nie myślę was straszyć, chłopcy, słowo daję — podjął Greenwood. — Macie przed sobą jakieś osiemset mil, nie więcej. Pewno się wam uda, chłopcy — przechylił w tył głowę, wysączył whisky. — Później będziecie opowiadać o tych indiańskich trupach za Dalles. A jest na co popatrzeć, jest! Umarli pływają na tratwach, leżą wzdłuż szlaku. Jak Boga kocham, nigdzie nie zobaczysz lepszych Indian.

— Bitwa tam była? — zapytał Tadlock.

— Nie słyszałem. Pewno tak poumierali. No nie, kapitanie?

Grant, który siedział teraz w kręgu emigrantów, przytaknął ruchem głowy.

— Aha. Bitwy nie było. Z pewnością to skutki głodu i chorób — powiedział. — Zawsze się nad tym zastanawiałem.

— Mówmy lepiej o bydle — zmienił temat stary Kaleb. — Na miejscu dostaniecie bydła, ile kto zechce. Wielkie stada przypędza się z Kalifornii do Oregonu.

— Pamiętajmy, bracia, że wszystko w ręku Boga — powiedział Weatherby po to zapewne, by wprowadzić do rozmowy Pana nad pany zamiast spierać się z Greenwoodem.

— Racja! — podchwycił Kaleb. — Święta racja! Na waszym szlaku przyda się modlitwa jak nigdzie.

— Jak wyglądają sprawy na kalifornijskim rynku? — zapytał Tadlock.

— Cóż, jeżeli chcesz, chłopcze, gadać o Kalifornii, to powiem, że z rynkiem nie ma tam zmartwienia. Ceny stałe. Pszenica po dolarze buszel, kukurydza po pięćdziesiąt centów; owca dolar, nawet dwa.

— Kto kupuje?

— Hudson's Bay Company. W takim porcie jak San Francisco zobaczysz pełno statków z ładunkiem dla Oregonu.

Summers powtórzył swoje pytanie:

— Kto ci płaci, Kaleb?

Ale Tadlocka interesowała bardziej inna kwestia.

— Myślę, że w Kalifornii trzeba ludzi — powiedział.

Greenwood zwrócił ku niemu oczy okolone zmarszczkami. Evans pomyślał, że stary wyjadacz potrafi rozegrać partię z takim Tadlockiem. Ucieszył się, że Kaleba nie było na miejscu wczoraj, gdy tabor zatrzymał się na postój, że pokazał się niedawno, wróciwszy z polowania czy jakiejś innej wyprawy. W przeciwnym razie wszystkich — zwłaszcza kobiety — zwerbowałby do Kalifornii.

— Pewnie, że trzeba, Tadlock — odpowiedział starzec — solidnych ludzi, z głową na karku, nie byle jakich. Śmiecia tam nie brak, jak, na mój rozum, wszędzie. Ale mocnych ludzi trzeba w Kalifornii bardziej niż w Oregonie, gdzie jest ich aż za dużo.

— No a Meksykanie?

— Niby Hiszpanie? Nie wadzą. Zostawić im tylko klechów i papieża, a siedzą cicho niczym Irlandczycy. Bywałem w Kalifornii i, na mój rozum, tylko patrzeć, a będzie z niej prawdziwy kraj białych ludzi.

— I dlatego właśnie chcesz nas skaptować, co? — wtrącił Evans.

Starzec rozpostarł ręce, jak gdyby odsłaniał swoje zamiary, myśli i całe serce.

— Źle kombinujesz, chłopcze — powiedział. — Przecież gadałem, że Oregon to kraj jak się patrzy. No nie? Wolno mi też być zdania, że Kalifornia nie gorsza, może nawet lepsza, bo już należy do Stanów. Co ci tak pilno do Oregonu? Chyba nie śpieszy ci się, żeby zostać angielskim poddanym, hę?

Dobre pytanie — pomyślał Evans. — Na pozór szczere a cięte.

Kapitan Grant poruszył się niespokojnie.

— Znam gorsze nieszczęścia niż angielskie poddaństwo — rzucił cierpko.

— Bez urazy, kapitanie — podchwycił stary Kaleb. — Każdy ma własne racje.

— Każdy powinien trzymać ze swoim narodem.

— A czego przyczepiłeś się do Irlandczyków? — zapytał Daugherty, którego słowa Greenwooda wywarły z upartego milczenia.

— Ja przyczepiłem się do Irlandczyków? Słowo daję, ani trochę!

— Mniejsza o to — zaczął znów Tadlock. — No i co, Greenwood, chcesz poprowadzić karawanę do Sacramento?

Aha — pomyślał Evans. — Już się decydujesz. Nie szkodzi. Ciasno ci z nami, bo nie jesteś kapitanem i na domiar złego zostałeś zdjęty z tej funkcji. Pójdzie z tobą McBee, cała jego familia i Mercy, za którą Brownie zaczyna latać. To dobrze. Nie trzeba nam McBee ani zakutego łba Brewera. Już nie liczba stanowi o bezpieczeństwie taboru.

Stary Kaleb zatarł ręce.

— Hm, trudno gadać o karawanie — powiedział. — Ja mam jeden rozklekotany furgon i co z tego — chociaż chciałbym obrócić dyszel w tamtą stronę? Poczekam dzień albo i dwa tygodnie, zobaczę, czy ktoś z tych, co teraz łykają wasz kurz, do mnie przystanie.

— Ja powtórzę: niech żyje Oregon — odparł Evans i przebiegł wzrokiem twarze zgromadzonych, by zobaczyć, jakie wywołał wrażenie.

— A pewnie, pewnie — podjął Greenwood. — Wcale ci się nie dziwię, chłopcze. Zdrów jesteś, silny. Podoba ci się Oregon. Znam niejednego, któremu przypadł do gustu. Inna sprawa ze słabszymi od ciebie, chorowitymi. Takim radziłbym Kalifornię, bo to i droga łatwiejsza i, na mój rozum, mało kto tam umiera.

— Zawracanie głowy — odezwał się Summers. — Nie pamiętasz, Kaleb, co Lewis albo Clark mówili po powrocie z Kalifornii?

Greenwood roześmiał się beztrosko.

— A pewnie, pewnie, chłopcze. Masz trochę racji, ale niech ci się zdaje, że mnie przegadasz. Whisky jest tym mocniejsza, im dłużej dojrzewa. Nie powiesz chyba, Dick, że Snake to taka sobie rzeczka albo Kolumbia, co? Nie powiesz, że na waszym szlaku nie braknie wody ani mięsa.

— Nie powiem. A tobie, Kaleb, kto płaci?

— Cieszę się, Dick, że o to pytasz. Na uczciwe pytanie, odpowiem uczciwie. Kapitan John Sutter z doliny Sacramento nie ma nic przeciw

Oregonowi, naturalnie, ale wbił sobie do głowy, że ktoś taki jak wy zechce może zmienić kierunek i ruszyć w jego stronę. On mi powiedział: „Kaleb masz tu trochę pieniędzy na stare lata i czy nie wybrałbyś się do Fortu Hall, aby kilku biedakom pokazać właściwą drogę?” To dobry człowiek, bardzo dobry i z pewnością każdego powita serdecznie.

— Powiedz mu — odparł Evans — że cenię sobie życzliwość, ale ci, co nie chcą rozstać się ze mną, pojadą do Oregonu.

Patch twierdząco skinął głową, a za nim Daugherty, Mack, Gorham, Weatherby, więc Evansowi przyjemnie się zrobiło na myśl, że nie jest odosobniony. Dlaczego? Nie potrafiłby pewnie odpowiedzieć. Może tamci wolą nie zmieniać decyzji albo też nie ufają staremu Kalebowi i czują niechęć do kapitana Granta jako Anglika? Mniejsza z tym. Ostatecznie pobudki nie grają roli.

— Sądzę, że się nam uda — powiedział.

— Postąpicie, Jankesi, jak zechcecie. Wolno wam — rzucił kapitan tonem na poły urazy, na poły rezygnacji.

— Tak. Wolno nam spróbować.

— A co myślicie zrobić z bydłem? — zapytał jeszcze raz Greenwood.

— Z bydłem? Przeprawimy je wpław na południe od Dalles. Słyszałeś? — powiedział Summers i podniósł się lekko.

W tym momencie Evans zobaczył swojego syna, który wszedł na dziedziniec fortu i przystanął w kręgu mężczyzn. Zrazu zdawało mu się, że chłopiec ma twarz zatroskaną, przypisał to jednak cieniowi.

— Masz coś do mnie, Brownie? — zapytał.

— Nie. Tylko… tylko ktoś chciał pomówić z Dickiem.

Nim Summers odszedł z chłopcem, spojrzał przez ramię na starego Kaleba i rzucił z uśmiechem.

— Jak widzę, Kaleb, kalifornijska fasola diablo zawróciła ci w głowie.

Rozdział XXIV

Przy bramie czekał pies Evansów — półkrwi chart o smutnych oczach. Kiedy Summers i Brownie wyszli z fortu, wolno zamerdał ogonem i ruszył ich śladem.

— Czy to twój pies, czy twojego ojca? — zapytał Summers i podjął nie doczekawszy się odpowiedzi. — A może Mercy McBee, bo, jak widzę, do niej też się przyznaje? No, gdzie ten ktoś, co chciał ze mną pogadać?

Chłopiec milczał oddalając się coraz bardziej od fortu.

— Gdzie jest ten ktoś, Brownie?

— Posłuchaj, Dick...

— Aha.

Brownie przystanął. Spojrzał Summersowi w twarz i spuścił oczy.

— Posłuchaj, Dick... Miałbyś czas ze mną porozmawiać?

— Naturalnie, synku! Czasu mam aż za dużo, bo nie ruszymy do jutra.

— To nic kłopotliwego dla ciebie, Dick.

— Śmiało, Brownie. Trafiłeś na kogoś, kto chętnie gada. O co chodzi?

Brownie otworzył usta raz i drugi, ale nie dobył głosu i dopiero wtedy Summers dostrzegł wyraz przygnębienia na jego twarzy.

— Nie najlepsze tutaj miejsce do rozmowy — powiedział — ze wszystkich stron otwarte. Chodźmy gdzieś dalej.

Chłopiec przytaknął ruchem głowy.

— Ja najlepiej lubię gadać nad wodą, pod drzewami, a do rzeki stąd blisko — podjął Summers.

Miał nadzieję, że Brownie przyjdzie do siebie po drodze. Biedak wlókł się opornie, z głową pochyloną, jak gdyby ciężką od myśli. Zapewne czeka, aż mrok zapadnie na dobre — myślał Dick. — Czasami słowa dobywają się łatwiej z ust, których nie można widzieć.

Kiedy mijali indiański szałas, spojrzała na nich tępo kobieta o pucołowatej twarzy, a dwa chude psy wybiegły z warczeniem, lecz cofnęły się po gwałtownej odpowiedzi Rocka.

— Zadowolony jestem, Brownie, że przyszedłeś po mnie — odezwał się Dick. — Wyżej uszu już miałem gadaniny starego Greenwooda, z której wynikało, że nad Willamette zdoła dotrzeć tylko bóbr albo klucz ptactwa.

— Naprawdę stary Greenwood gadał coś takiego? — zapytał Brownie bez zainteresowania.

— Mniej więcej. Z góry wziął za to pieniądze. No i chyba skaptował paru ludzi.

— Ciebie, Dick, nie nastraszy. Nie masz zmartwienia, co?

— Mam niejedno, tylko nie z powodu starego Kaleba.

Nad rzeką usiedli na murawie. Brownie wziął suchą gałąź, rzucił do wody. Przez moment była widoczna, później pochłonął ją ciemny nurt. Rock począł węszyć dokoła, aby niebawem odejść wzdłuż brzegu i zniknąć. Rzuciła się ryba i spadając głośno plusnęła o wodę.

— Z ryb bywa pociecha, jak głód przyciśnie — zaczął znów Summers — ale to nie bizony. Widzisz, Brownie, całe zmartwienie z tym Oregonem, że bizonów tam skąpo.

Nie otrzymał odpowiedzi, więc pomyślał, że równie dobrze mógłby milczeć, lecz mówił dalej sądząc, że słowami sprowokuje w końcu słowa. Jednocześnie zastanawiał się, co może dręczyć chłopca. Najprawdopodobniej nic ważnego. Młodość potrafi robić z igły widły.

— Kiedyś wybierzesz się w górę Snake — tam jest kraj: Jackson Hole, Tetony, Henry's Fork, no i Yellowstone, skała, którą dawniej nazywaliśmy z francuska Roche Jaune. To prawdziwy dach świata, wyżynny kraj i taki dziwny, że wody zdają się płynąć, w którą spojrzysz stronę. Leży tam śnieg i biją gorące źródła, i raz po raz słychać podziemne grzmoty. Warto, żebyś zrobił tam wycieczkę.

— Nie mogę teraz myśleć o wycieczkach. Nie mogę, Dick.

— Dlaczego?

— Bo myślę o małżeństwie — odparł chłopiec cicho, z wysiłkiem.

— I masz z tym zmartwienie?

Noc zapadała szybko. Zerknąwszy z ukosa ku chłopcu Dick zobaczył tylko jasną plamę twarzy i mętny zarys sylwetki z opuszczonymi ramionami i pochyloną głową.

— Trudno mi odpowiedzieć — bąknął chłopiec.

Summers milczał. Był zdania, że cisza zrobi swoje.

— Chciałem z kimś porozmawiać, a nie mam nikogo prócz ciebie, Dick.

Stary wyga zerwał źdźbło trawy, począł je żuć z namysłem. Miało już smak jesieni — smak i suchą twardość.

— Może nie powinienem rozmawiać z tobą ani z nikim, ale musiałem, Dick, musiałem.

Noc pochłonęła już rzekę wraz z przeciwległym brzegiem, stopiła w jedno wodę i ziemię. Rock wynurzył się z mroku, zaczął węszyć czujnie, później odbiegł za jakimś tropem.

— Ciężko mi zacząć, Dick.

— Więc nie zaczynaj, synku.

— Wolałbym nic nie mówić, ale myślę, Dick, że pomożesz mi znaleźć odpowiedź.

— Nie wiesz co postanowić: tak czy nie?

— To nie wszystko, Dick.

Odpowiedź — medytował Summers oczekując dalszego ciągu. — Brownie szuka odpowiedzi. Wszyscy wciąż chcą pełnych, ostatecznych odpowiedzi, bo nie zdają sobie sprawy, że mogą one usunąć wątpliwości tylko na krótki czas i nie całkowicie. Jutro zmienia się to, co dziś uważasz za rozumne i słuszne, bo wszystko zależy od czasu, wieku, przypadku, od tego, czy cię boli brzuch, czy nie. To wszystko się wiąże: funkcje mózgu i żołądka, żołądka i mózgu, a także temperatura ciała i to, o czym człowiek śnił poprzedniej nocy.

— Wyobraźmy sobie, Dick...

— Aha. Wyobraźmy sobie...

— ...Dziewczynę i mężczyznę, który ma zamiar ożenić się z nią, jeżeli dziewczyna powie „tak”.

I tym razem Summers milczał, czekał na dalsze oporne słowa.

— Przypuśćmy, że on dowiaduje się o niej czegoś...

— Mów. Słucham uważnie.

— ...Na przykład, że dziewczyna spodziewa się dziecka.

— Aha. Dowiaduje się czegoś takiego. Od kogo?

— Od niej. I dziewczyna nie wie, czy go kocha, nie wie, czy go nie kocha, ale musi wydać się za kogoś.

Pod pozorami spokoju chłopca Summers wyczuł krzyk, tym bardziej wzruszający, że powściągany — krzyk bólu, niezrozumienia, błagania o pomoc, o odpowiedź.

— No, a ten mężczyzna?

— Niech go piorun spali! Zabiję drania, Dick! Na Boga, zabiję!

— Spokojnie, synku.

— Albo powiem wszystkim. Zobaczę, jak odbiera chłostę.

— Spokojnie, powiadam.

— Myślisz, że tego nie zrobię.

— Myślę, że nie zrobisz.

— A co mam robić, Dick?

— Powiedzieć mi resztę. Wiem już wszystko, prócz nazwiska tamtego mężczyzny.

— Mack.

— Właściwie nie powinienem pytać o to, Brownie. To wszystko jedno. Cóż... Trzeba się zastanowić.

Summers znów umilkł, począł szukać stosownych słów. Próbował postawić siebie w miejscu Brownie'ego, lecz siebie z odległych lat, nie dzisiejszego, który załamał się i zwątpił pod ciosami życia. Trudno wytłumaczyć niedorostkowi, jak mało spraw ma znaczenie i jak ono bywa nikłe. Trudno mu wytłumaczyć, że całą resztę zmywa czas, że człowiek oglądając się wstecz parsknąłby śmiechem, gdyby przeszłość była warta bodaj śmiechu. Bieg lat pochłania wszystko. Wyśnione marzenia, pielęgnowane nadzieje, dotkliwe rany, razy, które sprawiały ból, znajdują wieczny spoczynek w pamięci. Później odgrzebane wydają się mętne, nijakie, dziwaczne, jak dziwaczna mogłaby wydać się psu odkopana po jakimś czasie kość z ogniłymi resztkami mięsa, którą sam ukrył w ziemi.

A prawa? A zasady? Ludzie ustanawiają je, łamią, cierpią z tego powodu. Na przykład potępiają instynkt naturalny. Czyżby zwierzęta miały więcej rozumu? Czemu dziewczynie nie wolno przespać się z mężczyzną, pokąd kaznodzieja nie rzeknie „amen”? Cała historia wydaje się dziś chłopcu ważna, lecz inaczej spojrzy na nią po latach. Jak osądzi wtedy Macka? Ostatecznie mężczyzna jest mężczyzną i gdy dojrzeje, bierze, co się da — chytra że jest przesadnie religijny. A jak nie weźmie — uważa się za idiotę. Sam w tym wieku tak błądził w obłokach, że się uśmiechnął na wspomnienie wszystkich straconych okazji.

Długotrwałą ciszę zakłóciły słowa Summersa:

— Nie powinna ci tego mówić, Brownie.

Mniejsza o to, co odkrywa dojrzały mężczyzna. Marzenia chłopca strzelają w niebo, niby wysokie, zielone pędy. Marzenia o dobroci, szczęściu, prawdzie, wiecznej miłości. A gdy je człowiek traci, to traci coś decydującego o wartości życia. Niełatwo orzec, czy dojrzały mężczyzna wart jest chłopca, którym był niegdyś. Niech zatem trwa marzenie, niech rośnie piękny pęd. Summers pomyślał, że on go nie zetnie. Musi to zrobić czas, życie, to robota zbyt brudna dla człowieka.

— Nie powinna ci tego mówić, Brownie — powtórzył.

— A ja sądziłem, że to dowód wielkiej uczciwości.

— Czy ona nie rozumie, że jest w tobie zakochana? Mogłaby ci to powiedzieć zamiast gadać, że nie wie.

— Nie jest we mnie zakochana. Może nie zakocha się nigdy.

— Pod tym względem nie mam wątpliwości — uśmiechnął się Dick.

— Naprawdę, Dick? — ożywił się Brownie.

— Ani trochę.

— Ale, Dick, ja i tak nie wiem — głos chłopca zabrzmiał znów głucho. — Człowiek niechętnie bierze mniej, niż się spodziewał.

Słusznie — pomyślał Summers, lecz nie wyraził tej myśli. — Słusznie. Człowiek niechętnie bierze mniej, niż się spodziewał. Ale brać musi.

Może tak brzmi wielka nauka, której udzieliło mu życie? Może nikogo nie zdoła nauczyć więcej niż to, że człowiek winien brać pół, skoro nie może dostać całości?

— A czy ty, Brownie, nie możesz bez niej?

— Nie, wydaje mi się, że nigdy nie mogłem... tylko

— Chciałeś odpowiedzi. To ją masz! — powiedział Summers i uprzytomnił sobie, że taka ona musi być — jasna jak słońce, bliższa od zawiłych dociekań. Brownie znał ją, ale nie dostrzegał.

— Jak to, Dick? — zdziwił się Brownie.

— Na Boga! Bierz tę dziewczynę!

— Szczerze mi radzisz?

— I nigdy nie wygrywaj przeciwko niej tego, co zrobiła. Zapomnij, a będziesz miał dobrą żonę.

— Więc twoim zdaniem, Dick, ona jest coś warta?

Summers osądził, że chłopiec szuka oparcia, potwierdzenia własnych pragnień, więc nie poskąpił mu zachęty:

— Po co, u licha, to niemądre pytanie? To pierwszorzędna dziewczyna! Nie udali się jej rodzice, więc może chciała zrobić im na złość. Albo zawrócił jej w głowie człowiek starszy, bogaty. Zapomnij, bierz ją i uważaj się za szczęściarza.

— Dick...

Brownie dobył z trudnością to jedno słowo, którego ton wzruszył i zabolał Summersa, więc stary wyga poderwał się żywo.

— Wystarczy, synku. Chodźmy. Ja zapomnę to, co usłyszałem od ciebie.

— Dick... a jak będzie dziecko?

— Chodźmy.

— Jak będzie dziecko, Dick, to co?

— Nietrudno, synku, przywiązać się do dziecka, wszystko jedno czyjego.

Brownie wstał również.

— Muszę powiedzieć tacie, że chcę się żenić.

— Bądź spokojny. Lije myśli przede wszystkim o twoim szczęściu.

— Wiem. A tobie, Dick, jestem wdzięczny. Bardzo dziękuję.

— Nie ma za co.

— Rock! Gdzie ten pies polazł? Rock!

— Pewno myszkuje gdzieś niedaleko.

— Albo wybrał się do Mercy.

W powrotnej drodze Summers myślał, że człowiek to istota skomplikowana. Chociażby on! Wie, że źle się stało, kiedy jednak wspomina poważną twarz i smukłe, zaokrąglone kształty tamtej dziewczyny, rozumie Macka, rozumie, jak do tego doszło.

Rozdział XXV

Lije Evans ścisnął konia obcasami, wyprzedził tabor prawie już gotów do drogi. Furgony były przejrzane i naprawione, zapasy uzupełnione, cała gadanina załatwiona, małżeństwo zawarte. Więc jazda! Naprzód! Trudno marnować dzień z powodu ślubu i psa, co się gdzieś zawieruszył. Tylko patrzeć, a w Oregonie zacznie padać śnieg. W drogę, panie George Brown Evans z małżonką.

Kapitan poprawił się w siodle, jeszcze raz popędził Nellie. Dzień był chłodny. Dął zimny wiatr i zanosiło się na deszcz — drobny, zacinający z boku, całkiem inny niż letnie ulewy. Dobra pogoda na wesele — w każdym razie na takie wesele. Dobra pogoda, by wejść w stosunki familijne z Hankiem McBee.

Ale nie warto biadać, medytować. Nie warto płakać nad rozlanym mlekiem. Lepiej myśleć o szlaku przed karawaną, życiu u kresu podróży, przyszłym domu, o Kalifornii i tych, co zostali w Forcie Hall, aby pójść za radą Greenwooda. Tadlock, Brewer, Davisworth, McBee... Oto McBee wraca znowu — powinowaty — ze swoją zasmarkaną rodzinką. Tyle że jest pociecha: będą mieli do czynienia tylko z jedną McBee. Obraz nie przedstawia się całkiem czarno; ma jaśniejsze przebłyski — jak tamta deszczowa chmura na zachodzie.

Evans szorstko potraktował Hanka McBee, gdy dał mu do zrozumienia tuż przed ślubem, że mógłby zmienić plany i nie pojechać do Kalifornii.

— Nigdy nie wiadomo, co się może stać — powiedział wtedy, a kapitan dostrzegł w jego wodnistych oczach dziwny błysk, może zachęty, by zaproponować dalszą wspólną drogę. — Żałuję, że się od was odłączyłem.

— Myślę, że spodoba ci się w Kalifornii — odparł Lije.

— Aha. Z pewnością. Dobrą dziewczynę dostał twój syn. Jak powiedziałem... — wodniste oczy błysnęły znowu, tym razem chyba dawną niechęcią. — Jak powiedziałem, nigdy nie wiadomo, co się może stać.

— A nie wiadomo — przyznał Evans i odwrócił się na pięcie.

Wspominając tę scenę był przekonany, że postąpił słusznie. Nie to, żeby żałował Hankowi pomocy. Evans nie uważał się za skąpca. Nic podobnego! Wystarczy po prostu, że McBee to McBee, a jego żona to jego żona i że obydwoje są nic niewarci. Ładna historia mieć takich na karku! To mój powinowaty, Hank McBee; myślę, że za tą szczeciną kryje się jakaś twarz, a pod łachami coś, co może uchodzić za człowieka.

Evans obejrzał się i zobaczył kolumnę furgonów uszykowaną już do drogi. Dick jechał konno przy czołowym sprzężaju. Został tam, bo zapewne sądził, że są chwile, gdy człowiek woli oswajać się z przykrym wydarzeniem w samotności.

Dla Hanka McBee i jego żony wydarzenie nie było chyba przykre. W każdym razie pogodnie przyjęli tę nagłą wiadomość. Pozbywali się jednej gęby do karmienia, chociaż Mercy uczciwie zarabiała na siebie. Pomagała

przy gotowaniu strawy i opiece nad młodszym rodzeństwem, poganiała woły, nie skarżyła się nigdy. A może jej rodzicom imponowało trochę powinowactwo z tą przyzwoitą rodziną?

Evans wcisnął kapelusz na czoło, uniósł ramię, by zasłonić się od wiatru, i powiedział sobie: co się stało, to się nie odstanie. Lepiej nie myśleć o tym. Lepiej zapomnieć o minionej nocy i rozmowie z synem — rozmowie, która nic nie przyniosła. Słowa na wiatr i tyle!

— Chcesz się ożenić! — powiedział wówczas tonem niedowierzania.

Po spotkaniu z Greenwoodem Brownie czekał w ciemnościach za bramą fortu, żeby oznajmić ojcu, co się święci.

— Chcę, tato.

— Kiedy?

— Jutro rano.

— Z kim?

— Przecież tata wie. Z Mercy.

— Zaraz... Widzisz, Brownie... W takiej sprawie nie można decydować się nagle.

— Jestem zdecydowany.

Nigdy dotąd Brownie nie rozmawiał z nim w podobny sposób, nie informował tak uparcie, jak gdyby nic, co usłyszy, nie mogło mieć znaczenia. Evans zapragnął nagle światła, przy którym widzieliby nawzajem swoje twarze, byli znów ojcem i synem, nie tylko dwoma głosami w ciemnościach. Uczepił się pierwszego argumentu, jaki mu przyszedł na myśl.

— Posłuchaj... ci McBee... chociażby stary Hank.

— Nie z nim się żenię.

— Tak ci się zdaje.

— Wszystko mi jedno.

— Rozmawiałeś z nim?

— Jeszcze nie.

— A z dziewczyną?

— Czeka teraz na mnie.

— Wie, że matka i ojciec wybierają się do Kalifornii?

— To też nie ma znaczenia. No i przynajmniej nie ożenię się ze starym Hankiem, o czym tata mówił.

— Dopiero co skończyłeś siedemnaście lat.

— Starszy jestem niż tata w dniu ślubu i pokazałem, że umiem pracować.

— Nie załatwisz tu formalności. Nie będziesz miał przyzwoitego ślubu.

— Pewno podpiszemy jakiś papier, no i jest brat Weatherby.

Wszystko, co Evans mówił, obracało się przeciwko niemu, więc z wysiłkiem hamował gniew wywołany bezradnością.

— Poczekaj, Brownie. Zajedziemy do Oregonu i, jeżeli ci się nic nie odmieni, na miejscu załatwimy wszystko jak trzeba.

— Jeżeli się nie ożenię, ona nie pojedzie do Oregonu, bo jak sam tata powiedział, jej rodzina wybiera się do Kalifornii. Zresztą nie chcę czekać. Nie chcemy obydwoje.

— Rozmawiałeś z Dickiem. Widać dogadałeś się z nim.

— Tato, nie miej urazy do Dicka. Sprawa i tak była przesądzona.

— Skąd wiesz, że to taka dziewczyna, jakiej chcesz? Prawie jej nie znasz.

— Tylko nie mów o niej nic złego, tato. Wiem, jaka jest, i tyle. Dobra. Więcej niż dobra. Nie można szacować jej według rodziców.

— Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

— Proszę cię, tato!

— Tak już jest na świecie.

— Nie mów nic, co mogłoby nas poróżnić!

Wówczas Evans rzucił pytanie, od którego powstrzymałby się po zastanowieniu.

— Stawiasz ją wyżej niż mnie? Wyżej niż matkę?

— Gdybym musiał wybierać... — odparł Brownie po długiej, uciążliwej pauzie.

Evans utrzymał język za zębami. Pośród wirujących myśli starał się uchwycić najlepszą, taką, która przywiodłaby chłopca do opamiętania. Tymczasem ogień jego gniewu przygasał, obracał się w popioły.

— Brownie, matce należy się rozmowa z tobą.

— Naprzód muszę zobaczyć Mercy.

— Nie chcesz pomówić z matką?

— Chcę, byle nie na temat — żenić się czy się nie żenić.

— Nie zmienisz zdania?

— Bardzo mi przykro, tato, tym bardziej że ciebie to drażni.

— Mną się nie przejmuj. Myślę przede wszystkim o tobie.

— Bądź spokojny, tato. Robię to, na czym mi zależy.

— Wątpię, czy jesteś tego zupełnie pewien.

— Najzupełniej, tato.

— Umówiłeś się z kaznodzieją?

— Jeszcze nie.

— No i nie masz namiotu. Nie masz nic.

— Będziemy sypiać na dworze albo pod furgonem.

— Młode małżeństwo! I będą sypiać pod furgonem!

— Trudno, jakoś...

— Mniejsza z tym — przerwał szybko Evans, bo wyczuł ton udręki w głosie syna i sam był naprawdę zmartwiony.

— Jakoś się urządzimy — dokończył Brownie.

— Jeżeli nic cię nie powstrzyma, Brownie, spróbuj kupić namiot.

— Tato!

— Jesteś dorosłym mężczyzną, tylko ja nie widzę tego, bo pamiętam twoje dzieciństwo. Obstajesz przy ślubie jutro rano? Niech będzie. Sam pomówię z Weatherbym.

Evans odwrócił się ciężko, poczuł, że jest bardzo zmęczony.

— Gdzie Rock? — zapytał.

— Nie wiem. Poszedł dokądś.

Wspominając rozmowę z synem Evans był zdania, że postąpił najwłaściwiej, użył najstosowniejszych słów. Nic nie mogło przeszkodzić ślubowi, żaden argument — nic, z wyjątkiem stanowczego „nie”, na co nie potrafiłby się zdobyć. Brownie nie zawróciłby z obranej drogi, nie przyszedłby na wołanie, tak jak nie przychodzi Rock. Gdzie, u licha, ten pies się zawieruszył?

Kapitan obejrzał się, niemal pewien, że zobaczy człapiącego za Nellie Rocka. Jednakże między sobą a taborem widział jedynie trawy falujące na wietrze. Nie martwił się, w każdym razie nie bardzo, bo sądził, że pies odnajdzie się z czasem. Prawdopodobnie napotkał sukę w okresie cieczki, gdyż nic innego nie mogło zatrzymać go od poprzedniego wieczora niemal do południa.

Zapewne należało szukać Rocka dłużej, lecz z przyczyny ślubu tabor stracił dużo czasu. Ponadto Evansowi było trochę głupio gwizdać i nawoływać wokół fortu oraz indiańskich szałasów i patrzyć, jak Tadlock uśmiecha się ironicznie, jak gdyby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem na samym początku, że psy to mitręga w drodze?” Ale nie Tadlock skłonił go do odjazdu z Fortu Hall, lecz czas, co nagli, i wczorajsza rozmowa o rychłym śniegu, i wewnętrzny niepokój z racji nieoczekiwanego postępku syna. Pies odnajdzie się z czasem — powiedział Browniemu, tak przejętemu ślubem, że nie pamiętał nawet o Rocku. Pies odnajdzie się z czasem — rzeczywiście w to wierzył. Wróci z psim uśmiechem na otwartym pysku i oczyma pełnymi nocnych wspomnień. A tymczasem trzeba ruszać w drogę. Niepodobna żądać, by ludzie czekali na jednego zaginionego psa — jeżeli nawet tym zaginionym psem jest Rock.

Evans zmienił znowu pozycję w siodle, drugim ramieniem osłonił się od wiatru. Gdyby nie zła pogoda, nie myślałby wcale o ciągnących się przed nim trudnych milach. Szlak był równy, gładki. Zdawać się mogło, że niebezpieczne brody i przepaściste góry istnieją tylko w wyobraźni starego Greenwooda. Do Boise mają trzysta mil albo coś koło tego — więcej szlakiem przez Walla-Walla, ale tamtędy nie pojadą, bo Summers powiedział, że nie warto. Osiemset mil do nie widzianego nigdy domu. Osiemset mil do progu nowego życia. A nuże, Nellie! Naprzód!

Zapomnieć o szarym niebie, zapomnieć o wietrze, a okolica przedstawi się pięknie, spokojnie. Wzdłuż szlaku pasą się konie i krowy. Gromada Indian zmierza do Fortu Hall; ich szkapy dźwigają drągi obładowane towarem na sprzedaż. Trawa rośnie zielona, wysoka, drzewa wytyczają nurt Snake. Tyle że ołowiane niebo i wichura przywodzą na myśl zimę — prędko spodziewaną zimę. Czuć ją w powietrzu, jak niekiedy czuć zapach czegoś niewidocznego za kolanem drogi. Bliskość zimy kusi, by powiedzieć: „dosyć”, by do wiosny czas spędzić w zasobnej w trawy dolinie Snake, może nawet zostać na stałe w sąsiedztwie Fortu Hall. Można tu hodować bydło, konie i zapewne uprawiać zboże, chociaż nikt jeszcze nie ruszył tej ziemi łopatą. No i Indian się pozbędą. Evans zadawał sobie pytanie: Co w takim razie popycha ludzi naprzód? Ale nie znalazł odpowiedzi, chyba tylko, że Oregon ich urzekł.

Oregon urzekł wszystkich, prócz Tadlocka, Davisworthа, Brewera, McBee. Uległa mu tylko jedna osoba z rodziny McBee i tę Evans postara się traktować po ojcowsku, jak kogoś naprawdę bliskiego, tak jak doradzała mu żona ostatniej nocy. Rebeka przyjęła nowinę spokojnie, niby coś spodziewanego. Evans nie słyszał, by przekonywała syna, łajała go, próbowała nakłonić do zwłoki. Rozmowa z Brownie'em zajęła sporo czasu, lecz Evans trzyma się na uboczu, bo nie ufał sobie, lękał się, że powie coś niepotrzebnego. Ostatecznie legł na posłaniu i długo słuchał dochodzącego przez płótno namiotu szmeru głosów. Po powrocie Becky milczała przez

pewien czas. Rozebrała się spokojnie, położyła obok męża i dopiero wtedy dotknęła jego ramienia, jak gdyby wiedziała, że nie śpi.

— Oczywiście nie o tym marzyłam, Lije — szepnęła cicho, aby Brownie nie mógł usłyszeć.

— Ja także.

— Ale wszystko może się ułożyć dobrze. Trzymaj się, Lije.

— Przecież mu powiedziałem: zgoda, jeżeliś taki uparty.

— I ty byłeś młody. Pamiętam cię z tamtych czasów. Ty też nie zapominaj.

— Ja dostałem kobietę jak się patrzy.

— On chyba też. To dobra dziewczyna. Nie wolno sądzić zbyt pochopnie.

— Widzę, że jesteś zadowolona.

Rebeka pogłaskała dłoń męża.

— Trzeba brać to, co jest, i mieć dobrą wolę. Bądź dla niej miły, Lije.

— Wolę nie gadać więcej — obruszył się Evans. — Zmęczony jestem i trochę zły.

Najbardziej irytowała go świadomość, że żona ma rację. Z rana Rebeka miała wielkie zmartwienie, co panna młoda na siebie włoży. Kobiety bywają czasami dziwne — nawet Becky. Okazało się jednak, że dziewczyna wystąpiła zupełnie przyzwoicie. Na nogach miała trzewiki i była ubrana w suknię z falbaniastym kołnierzem. Włosy upięła wysoko, więc twarz wydawała się drobna — drobna i ładna, jeszcze ładniejsza niż zwykle. Tak, trudno było odmówić Mercy urody.

Weatherby prędko uporał się z ceremonią, gdyż wiedział, że czas w drogę — ale i tak węzeł małżeński zadzierzgnął chyba mocno, zbyt mocno, by go rozplatać. Ślubu udzielał z zadowoleniem, pewno dlatego, że to przeciwieństwo pogrzebu, można więc gadać o progu, nie kresie życia. Jak to brzmiało? Aha! Co Bóg złączył, człowiek niech się nie waży rozłączyć.

Kuląc się na wietrze, co przenika ubranie i tłucze się po żebrach, Evans oczyma wyobraźni widział ślub. Gromada kobiet i mężczyzn na dziedzińcu fortu, pod osłoną murów — biali i nieliczni uprzywilejowani Indianie radzi popatrzeć na czary bladych twarzy. Brownie niezwykle sztywny. Panna młoda skupiona i blada. Weatherby pyta kapłańskim tonem, czy jedno chce wziąć sobie drugie za męża lub żonę. Mama McBee płacze; jej spiczasty nos sterczy między zaczerwienionymi oczami. Hank McBee jest ważny, jak gdyby tylko dzięki niemu doszło do tak podniosłej uroczystości.

Emigranci, z niewieloma wyjątkami, byli usposobieni życzliwie dla obojga nowożeńców. Poczekajcie — zapowiadali. — Niech no tylko dojdziemy do Oregonu, urządzimy prawdziwe wesele! Mack chciał dać w prezencie ślubnym jarzmo wołów, lecz Brownie odmówił — nawet dość szorstko — jak gdyby upominek świadczył, że on sam dorobić się nie zdoła.

A więc już po wszystkim; w powietrzu czuć zimę lub co najmniej przedsmak zimy. Nim rzeczywiście nadciągnie i jeżeli Bóg pozwoli, Evans znajdzie się w Oregonie, zdąży postawić chatę. Oto siedzi w jej wnętrzu. Ogień trzaska w nowym palenisku, a na dworze deszcz tłucze o szyby albo śnieg ulatuje z wiatrem. Ale jemu ciepło i wygodnie, może zatem rozmyślać, co będzie robił, kiedy ustaną nawałnice. Siedzi w izbie, gdzie jest także Becky i Brownie — nie, pan George Brown Evans z małżonką, z domu McBee. Ściany zdobią samodziały, na półce dzieże z ziarnem do

wiosennego siewu. Pachnie podsmażone mięso i ciasto w piecyku — a może chleb? — więc stary Rock zaczyna się oblizywać. Porządny zbudowaliśmy dom, prawda piesku? Na zimę starczy. Pamiętasz, jaki wiatr wiał za Fortem Hall? Pamiętasz, jak nam było zimno? A tu ciepło, przytulnie, hę?

Evans wypoczywał w przyszłej chacie, lecz ponieważ jednocześnie jechał konno, zobaczył, że coś leży daleko przed nim, na styku ziemi i nieba. Sądząc z rozmiarów mógł to być nieżywy bizon, albo raczej wapiti, wół czy krowa — może nawet żywy, tylko chory lub po prostu śpiący. Przyglądał się, lecz myślami był w nowej chacie nad Willamette. Na ścianie wiszą skóry — jedna ściągnięta z niedźwiedzia, którego upolował Brownie, druga z jelenia, połyskująca rudawą czerwienią jesiennego lasu, Niech się poprawi pogoda, zbudujemy, Brownie, drugą chatę, a w tej położymy podłogą. Trudno czekać wiosny, tak nagli robota.

Z bliska widać, że to nie może być krowa. Ale nawet przy szarym niebie niepodobna ufać wzrokowi w kraju, gdzie skowronek wydaje się duży jak kura. W każdym razie to coś, co leży przy szlaku, targane wiatrem, sprawia wrażenie smutne — smutne jak ten pochmurny dzień.

Evans uprzytomnił sobie nagle, co to jest, więc ściągnął wodze. Nie chciał uwierzyć oczom. Rozróżniał łapy, tułów, głowę, sierść w białe cętki.

— Rock! — rzucił Evans. — Hej, Rock!

Popędził Nellie i znalazłszy się koło psa zastygł w siodle, zaniemówił. Patrzał na zaklęsłą czaszkę, wysadzone jedno oko, zastygłą krew na siwiejącym pysku, po którym wędrowała mucha walcząca z wiatrem. Patrzał na to, lecz przed oczyma rysowały mu się inne obrazy: Rock, jako szczeniak i maleńki Brownie swawolą, rosną razem, aż weselej w domu od poszczekiwania, dziecięcego krzyku, figli. Stary już Rock podchodzi do swojego pana, kładzie mu na kolanie głowę o rozumnych oczach i mordce posiwiałej z wiekiem.

Zsunął się z siodła, nachylił i ujął psią łapę, której sztywność zdradziła, że stało się to dawno.

Evans zamyślił się, szukał odpowiedzi na pytanie: Kiedy? Dlaczego? Kto? Przypomniał sobie Tadlocka i jego uśmiech, a gdy spojrzał w kierunku fortu, dostrzegł w odległości około mili tabor posuwający się wolno. Nie Tadlock. On ma swoje wady, lecz jest zbyt męski, by coś takiego zrobić.

Więc kto? Nie musiał zgadywać. „Nigdy nie wiadomo, co może się stać” — i nieżyczliwy błysk w wodnistych oczach. W taki sposób McBee poinformował go, upewnił się ponad wszelką wątpliwość, że kapitan będzie wiedział. To był pożegnalny śmiech, wyrównanie rachunku za rany zadane nędznej pysze. A on nic nie zrozumiał, chociaż w swoim czasie sam miał się na baczności przed podstępnymi chwytami Hanka.

Spędzając muchę z psiego pyska poczuł pod palcami skorupę zakrzepłej krwi. Ścisnął pięść, spojrzał na nią, wspomniał bójkę z Tadlockiem i ponownie zwrócił wzrok w stronę coraz bliższej karawany. Nie widać stąd niżej położonego fortu, ale z pewnością jest tam McBee — powinowaty Hank McBee.

Evans nie czuł jeszcze pasji, lecz nieokreślony smutek i zastanawiając się, co robić, usiłował jednocześnie odtworzyć przebieg wydarzeń. McBee sądził, że nic mu nie grozi, ponieważ miał odłączyć się od kompanii. Prawdopodobnie wyszedł z fortu zdecydowany na Kalifornię i przy swoim

furgonie zobaczył Rocka, który drzemał oczekując powrotu Mercy. Nagle, błyskawicznie olśnił go pewien plan. Posłużył się młotkiem, pałką albo żelaznym buksem, później załadował psie zwłoki na konia i wywiózł tam, gdzie na razie nie mogło ich wypatrzyć ludzkie oko. I wrócił do obozu, uśmiechnięty, pewien, że Evans nie zawróci z drogi, by w forcie zacząć sprawę bez żadnych dowodów.

„Nigdy nie wiadomo, co może się stać". Co miały znaczyć te słowa, do czego zmierzał Hank McBee? Może — chociaż trudno uwierzyć — próbował usprawiedliwić się. z rana, dać do zrozumienia, że nie postąpiłby tak, gdyby wiedział wtedy o projektowanym małżeństwie. Więc co robić?

Wrócić do fortu? Wszcząć bójkę? Pięścią wtłoczyć w szczeciniastą gębę ten pożegnalny śmiech? Pomścić starego Rocka, który zginął nie za własne winy? Wszcząć bójkę, to znaczy dobyć na światło dzienne obrzydliwą sprawę. A Brownie i jego świeżo poślubiona żona? Jaka może wyniknąć stąd krzywda dla nich? Oczywiście Brownie nie będzie winił Mercy za uczynek Hanka, ale na obydwoje padnie cień tego uczynku i może przypominać im w przyszłości, że ich wspólne życie rozpoczęła utarczka ojców.

Evans wyprostował się, jeszcze raz spojrzał ku nadciągającej kolumnie. Zrozumiał, że ma tylko jedną drogę — niedobrą, lecz najlepszą z możliwych. Brownie ani Mercy, ani nawet Rebeka nie dowiedzą się. Nikt nie zostanie wtajemniczony, z wyjątkiem jego samego i Hanka.

Podprowadził Nellie, ustawił pomiędzy sobą a taborem, dźwignął sztywne zwłoki i ułożywszy je w poprzek siodła, usadowił się za nimi. Później odjechał zasłaniając Rocka, by nie dojrzało go bodaj najbystrzejsze oko.

Nad rzeką był gęsty lasek. Evans okrążył go i po przeciwległej stronie zeskoczył z siodła, by ponieść psa w zarośla i tam ułożyć.

— Myślę, że ty rozumiesz, Rock — powiedział głośno nie biorąc pod uwagę, że jego słowa brzmią niedorzecznie.

Poprawił jedną łapę, bo wydało mu się, że pies leży niewygodnie, odwrócił się i odszedł.

Na skraju lasku spostrzegł, że zacina deszczem.

Rozdział XXVI

Obecnie każdy dzień wydawał się Evansowi podobny do innych, a wszystkie były złe. Wypełniały je troski, praca, trud, kurz, żar słońca, wicher. Następnie przychodziła noc, a po niej znowu słońce i harówka. Daremnie próbował przywoływać dawne, śmiałe nadzieje. Przepadły. Zmełły je na proch koła furgonów. Zaginęły pośród przepaści i stromych urwisk. Rozpłynęły się w dali. Nasłuchiwał, wypatrywał ich, lecz oczy mgłą zachodziły, a uszy wypełniało tylko żałosne skrzypienie kół. Osiem mil, piętnaście, osiemnaście, dwadzieścia trzy — wszystko jedno. Straszliwy kraj zdawał się nie mieć końca.

Dzień mijał po dniu, warstwa kurzu pokrywała warstwę kurzu i trzeba było rozbijać biwak, piąć się pod górę, robić objazdy. Pod zdartymi obręczami kół zgrzytał kamień, grzechotały kamienie, zmiażdżona szałwia wydzielała ostry zapach. Gdzie trawa? Gdzie woda? Zwierzęta chudną i trudno zebrać je z rana. Twarze mizernieją, wzrok tępieje albo ożywia się wyrazem trwogi na myśl o przeprawie przez Snake. Kobiety i dzieci są rozdrażnione. Z pokrytych pyłem ust mężczyzn padają gniewne słowa. Bat i kij nie próżnują, chociaż sprzężaj jest zanadto zdrożony, by reagować na razy.

Okrutna ziemia — spękana, pofałdowana od ognia i żaru w czasie, kiedy Bóg stwarzał świat. Królestwo grzechotnika, zająca o szczególnie długich uszach i skokach, kaktusów kłujących zaciekle jak żmije. Ojczyzna wszystkiego, co nędzne, jadowite i... I czy naprawdę za tym wszystkim może znajdować się Oregon? Pojawiają się i nikną góry bliskie i odległe; nużą wzrok. Wielki jar Snake sięgający chyba wnętrza ziemi — jar o zboczach tak stromych, że konno niepodobna zjechać do rzeki, a piechur ledwie wytrzyma zejście i powrotną wspinaczkę. Osiem mil, dwadzieścia, dwanaście — nadal nie robi to różnicy.

Evans wiedział, że zły czas musi minąć. Słusznie wybrał Oregon i z pewnością sobie poradzi. Tyle że ten kraj przytłacza człowieka, że nadzieje spływają wraz z potem. Tyle że niepodobna troszczyć się o przyszłość, bo człowiek musi walczyć o dzień dzisiejszy; że Rock nie żyje i próżne są miejsca, gdzie powinien dreptać; że Brownie i Mercy tak śmiertelnie serio traktują swoje małżeństwo. Mój Boże! — myślał Evans — kiedy ja dostałem Becky, cały byłem radością i śmiechem i nie mogłem rąk od niej oderwać nawet wtedy, kiedy nie byliśmy sami. Po co małżeństwo traktować z takim namaszczeniem? Czemu nie cieszyć się, nawet po śmierci Rocka? To przecież czas wesoły, jakkolwiek wypełniony ciężką pracą — nie inaczej niż dla wszystkich.

W Forcie Hall Evans nie uwierzyłby nigdy, że droga może być aż tak ciężka. Nie bardzo w to wierzył po dwu dniach wędrówki, gdy tabor za brodem Portneuf mijał American Falls. Powyżej tego wodospadu były źródła, a pośrodku rzeki wyspa obfitująca w trawę doskonałą dla bydła. Ale

teren był zbyt piaszczysty, porosły przeważnie szałwią, i Snake zapadała w parów niepokojąco głęboki. Następne dni ukazały Evansowi to, czego nie potrafił dostrzec oczyma wyobraźni.

Żaden szczególny dzień ani żaden szczególny odcinek drogi nie zmęczył kompanii. Uczyniły to wszystkie kolejne dni i piasek, kamienie i szałwia, i wichura. I wrażenie, że szlak prowadzi donikąd, a tabor stoi w miejscu mimo uciążliwej pracy kół. Odrobinę zieleni i wody zawsze witano radośnie, lecz szare mile wydawały się później jeszcze gorsze. Wszystkie myśli wracały do tamtych chwil odprężenia, jak myśli kapitana do Raft, gdzie szlak do Kalifornii skręcał w lewo, ku odległemu o milion mil stożkowatemu szczytowi. Tam Greenwood oraz Tadlock ze swoimi ludźmi mieli rozpocząć wędrówkę w kierunku południa. Ale nie ich wspominał Evans, gdy patrzył później na koniki polne rozkładające zakurzone skrzydła. Myślał o wodzie i trawie. Przywoływał w pamięci smakowite mlaskanie zwierząt na sutym pastwisku i świeżą wilgoć we własnych ustach. Raft to bagienko, przy którym tabor biwakował owej nocy, chrupanie soczystej trawy, które słyszał nawet przez sen; to kolano Snake opuszczającej tam parów, potok Rock Creek z Wodospadami Łososiowymi. Ożywiały go te wspomnienia, gdy woły o zapadłych bokach człapały z trudem w stronę brodu przez Snake.

Snake! Rzeka z piekła rodem albo jeszcze trafniej — rzeka przecinająca piekło, piekło dla potępionych dusz, co nie mogą sięgnąć jej wody. Pewnego dnia Summers przywołał Evansa i poszli razem nad krawędź przepaścistego jaru, by zobaczyć spienioną wstęgę rzeki zarysowaną w bezdennej głębi. Evans pomyślał wówczas, że póki żyje, nie oglądał wody równie dalekiej a srogiej. Średniej miary wodospady, średniej szerokości nurt, łoskot średnio potężny, a wszystko razem stwarza wrażenie jakiegoś zamętu i wiru, i grzmotu — aż trudno uwierzyć w coś podobnego.

— Słyszałem w Forcie Hall, że można zrobić szerokie okrążenie i dzięki temu uniknąć dwu przepraw. Czy to prawda, Dick? — zapytał.

— Można — przyznał stary wyga przecząc sobie wyrazem oczu. — Ale na mój rozum wszystko jedno — utonąć czy zdechnąć z głodu. Myślę, że nie chciałbyś, Lije, stracić całego stada? Widzisz — dodał z uśmiechem — niżej rzeka jest trochę spokojniejsza. Poradzimy sobie, stary.

Niełatwo było w to uwierzyć wspominając biwaki wzdłuż parowu Snake. Raz musieli pędzić stado przeszło milę, by znaleźć zejście do rzeki, bardziej stosowne dla kóz niż dla bydła. Ale była tam woda i jaka taka trawa, więc stado zostawili pod nieliczną strażą, a wodę dostarczyli do obozu. Innym razem, gdy wyruszyli w drogę później, bo trzeba było pozbierać rozproszone bydło, biwakowali kompletnie na sucho, rano zaś stwierdzili, że stado rozpierzchło się jeszcze bardziej.

Ludziom doskwierało pragnienie i wzmagająca się słabość, lecz przede wszystkim inwentarzowi dawał się we znaki głód. Poganiając sprzężaj woźnica widział doły pod kośćmi biodrowymi wołów i łańcuch kręgosłupa wzdłuż grzbietów. Kiedy zdejmował jarzmo, woły spoglądały nań z łagodnym wyrzutem, jak gdyby pytały, czemu są tak okrutnie traktowane. Czasami kładły się w zaprzęgu i nie można ich było ruszyć batem, kijem, widłami, a człowiek, który próbował to zrobić, wydawał się sobie zwierzęciem bardziej bezdusznym niż one. Niekiedy trzeba było zostawić na szlaku wyczerpanego do ostatka wołu; ludzie liczyli wówczas tylko na

cud, który mógłby go ocalić — kładli nieraz obok niego część swojego bagażu: skrzynkę, ulubione krzesło, kamień do żaren — gdyż liczył się obecnie każdy funt na furgonie. Daugherty nagryzmolił na desce „Do wzięcia” i umieścił ją obok porzuconych rzeczy dla przyszłych emigrantów. Ten wisielczy humor był skutkiem straszliwego utrudzenia. Do wzięcia! Tylko że biedacy nic nie zdołacie wziąć.

Ilekroć biwak wypadał w dogodnym miejscu, gdzie nie brakło trawy i wody, ludzie nabierali nadziei, że mają już za sobą najgorsze. Powracał dobry humor, głosy dźwięczały wesoło — póki znów nie przyszło mozolić się wśród piasków i skał pustyni. Takie były postoje nad Potokiem Łososiowych Wodospadów i Łososiowymi Wodospadami. Skąpo tam było trawy i opałowego drewna, ale Indianie mieli świeże łososie oraz płaty ikry i chętnie zamieniali je na odzież, proch, noże i haczyki do wędek. Haczyki cieszyły się największym powodzeniem, a Dick pomyślał, by zabrać ich pod dostatkiem. Po dniach odżywiania się suszonym mięsem — na zimno albo duszonym — łosoś smakował wybornie, ikra zaś jeszcze lepiej. Jednakże Evans nie zamieniłby na rybę ociekającego krwią mięsa.

Patrząc na Indian znad Wodospadów Łososiowych kapitan zdawał sobie sprawę, czemu Summers wyrażał się z lekceważeniem o plemionach, które żyją głównie rybami. Ludzie ci byli usposobieni życzliwie, rozmowni, czasami bardzo zabawni, ale umysły mieli dziecinne, byli brudni i nadzy poza nędznymi zajęczymi skórami, a jedli wszystko: jaszczurki, koniki polne, obrzydliwe świerszcze, które białemu człowiekowi stanęłyby w gardle. Ich szałasy z trawy oraz wierzbowych gałęzi były półokrągłe, otwarte w stronę południa, bardzo podobne do jaskółczych gniazd, tyle że ptaki wydawały się lepszymi budowniczymi.

Mimo kłopotów z drewnem na opał i trawą, mimo niechlujnej nędzy Indian, biwak był dobry lub w każdym razie nie tak zły jak wiele innych. Kompanii posłużyła nie tylko zmiana wiktu, lecz również świadomość, że jakie takie życie ludzkie może krzewić się w tym kraju. Nowego tematu rozmów dostarczyły potężne źródła, tryskające jedno za drugim z północnej, skalistej ściany parowu Snake — niby podziemne rzeki, co znajdują wreszcie ujście.

Później były znów piaski, szałwie, kamienie, beztrawie, bezwodzie, nowe przypadki zupełnego wyczerpania zwierząt — całe piekło Snake, jakkolwiek tabor oddalił się do rzeki, aby ściąć skrótem jej kolano.

Wreszcie powrócili nad parów, aby opuścić się zboczem i popróbować brodu; Evans uznał, że jeżeli jakaś karawana dojdzie do Oregonu, to chyba właśnie ta. Ma doskonałego pilota, który jest człowiekiem niepośledniej miary. Inwentarz żywy jest słaby, ale nie słabszy niż inne. Furgony są równie dobre jak tabor przyszłych wędrowców w momencie, kiedy znajdzie się u brodu Snake. Ale najbardziej liczą się ludzie oraz duch panujący w kompanii. Oczywiście mają swoje wady; miewają też wzajemne żale, nieporozumienia. Odzywają się szorstko, bo są rozdrażnieni tym, że usta pełne piasku i głowy ciężkie od zmartwień, ale są sobie życzliwi i trzymają się razem. Nad Snake, gdzie podobno rozpadła się niejedna karawana, jego kompania wytrzymała razem. Kiedy ukazał się długi zjazd do parowu, Evans przebiegł wzrokiem kolumnę od początku do końca i odczuł swojego rodzaju dumę. Niech licho porwie Snake z jej przeklętymi piaskami i szałwią! Niech licho porwie trudny bród. Poradzą z nim sobie — on,

Summers, Patch i Mack, Daugherty, Shields i Gorham, i wszyscy, wszyscy, nie wyłączając ciemięgi Byrda. Poradzą sobie lub pójdą na dno. Ale i tak niech licho porwie piekielną Snake!

Raz w czasie podróży zastanawiał się, czy towarzysze nie pozbawią go funkcji kapitana. Było to wtedy, gdy pobił Tadlocka za to, że chciał powiesić Indianina. Ale wszystko się dobrze skończyło, a tamci nawet dyskretnie dawali do zrozumienia, że nie chowają urazy; może w ten sposób przyznawali, że zamierzali źle postąpić. Jeden Daugherty wyraził się wówczas jasno:

— Spodziewam się, kapitanie, że zapomnisz o tej sprawie. Diabeł wdał się w to i kusił nas do grzechu śmiertelnego — uśmiechnął się i dodał, jak gdyby chciał podkreślić swoją niezależność. — Ha, miejmy nadzieję, że Indianie zaniechają złodziejstwa, bo drugim razem mógłbym jednak wyprawić którego do piekła.

Obecnie Evans spoglądał na Dicka, który badał właśnie zjazd do parowu, i nie pierwszy raz powtarzał w myśli, że ludzie z nim trzymają, a on z nimi i wszyscy ze sobą nawzajem, więc przeprawią się przez Snake i szczęśliwie dotrą do Oregonu.

— Myślę, że poradzimy sobie bez lin do hamowania i podobnych historii — odezwał się Dick podjechawszy konno do kapitana. — Stromo, ale można wytrzymać.

— Stój! — krzyknął Evans do Patcha, którego dwa czołowe furgony były już niedaleko krawędzi parowu.

Następnie podniósł rękę, by zatrzymać dalsze wozy, które dołączały stopniowo. Woły zatrzymywały się bez rozkazu i pochylały karki pod nieznacznym ciężarem jarzma.

— Chyba lepiej przywiązać linę do pierwszego furgonu i pójść przy nim w kilku, tak na wszelki wypadek — zwrócił się Evans do przewodnika, który przytaknął ruchem głowy.

Kapitan odwrócił się twarzą do kolumny, złożył dłonie przy ustach.

— Kto żyw z furgonów! — zawołał, jakkolwiek wysiedli już prawie wszyscy.

Rozkaz podano do tyłu, a Evans stał i patrzał, póki nie zdążyła wysiąść ostatnia osoba — pani Byrd, w bardzo już zaawansowanej ciąży. Na jej widok Evans pomyślał, że mógł przecież pozwolić ludziom siedzieć spokojnie do czasu, kiedy przyjdzie ich kolej. Ruszając wzdłuż kolumny skinął na kilku bliżej stojących mężczyzn.

— Mack! Fairman! Carpenter!

Pospieszył za nimi brat Weatherby, szary niczym pustynny konik polny, gdyż maszerował dotąd wśród tumanów kurzu, by nie przemęczać konia.

— Summers powiada, że zjazd jest nie najgorszy. Ale na wszelki wypadek pójdziemy przy pierwszym furgonie. Przytrzymamy go, gdyby zanadto się śpieszył.

U czoła kolumny Patch stał przy swoim sprzężaju, a Summers czekał, by wskazywać drogę. Ktoś umocował linę do tylnej osi furgonu. Przy drugim sprzężaju czuwała pani Patch, chłodna i spokojna jak zawsze. Evans spojrzał na nią i pomyślał, że nic nie zmoże tej pary zawziętych Jankesów. Twardzi z nich ludzie!

— Gotowe, Dick — powiedział. — A ty, bracie Weatherby, nie musisz nam pomagać.

— Dlaczego? — oburzył się kaznodzieja, jak gdyby nic nie tłumaczyło takiego stanowiska, nawet jego sześćdziesiąt cztery lata.

Patch strzelił z bata. Woły ugięły się pod jarzmem, koła wozu zgrzytnęły i poczęły zsuwać się po pochyłości.

Droga była długa i stroma, lecz dzięki wybieranym przez Dicka zakosom z każdym wozem poradziłoby sobie w razie potrzeby dwu albo trzech ludzi — zależnie od jakości sprzężaju i wagi ładunku. Patch zjechał na dno parowu prawie bez pomocy, postanowiono jednak, że na wszelki wypadek będzie sprowadzać wszystkie furgony w asyście.

Taki system kosztował wiele czasu i pracy, lecz działał sprawnie i bezpiecznie. Za furgonami zeszło stokiem luzem pędzone bydło, które na stromiźnie ostrożnie wybierało drogę, następnie zaś ruszyło ciężkim galopem ku wodzie.

Evans, zanim obejrzał bród, zdążył zauważyć, że i ten teren nie obfituje w trawę. Obserwacja ta pomnożyła jego przesadzone być może troski, osądził bowiem, że nieszczęsne woły nie najedzą się do syta przed trudną walką z nurtem Snake.

Jednakże przeprawa nie wydawała się groźna dzięki dwóm wyspom, rozsiadłym na wodzie płasko niby tratwy.

— Rzeka jest szeroka i prąd ma bystry — powiedział Summersowi i grupie mężczyzn stojącej nad brzegiem — ale chyba nie bardzo głęboka. Prawda, Dick?

— Głębsza, niż sądzisz — odparł stary wyga. — Tylko pod czystą, przezroczystą wodą dno wydaje się blisko.

Evans spojrzał na Dicka, który nieruchomo tkwił w siodle, pogrążony w myślach.

— A jak tu głęboko? — zapytał.

Przewodnik wzruszył ramionami.

— Nie zanadto. Bród jest trudny, ale do pokonania. Damy sobie z nim radę.

Evans przechylił na bok głowę, spojrzał w stronę oślepiająco białego słońca bliskiego już zachodu.

— Dick — podjął — na wyspach jest pełno trawy.

— Aha. Starczy.

— Słuchajcie! — Evans zwrócił się nie tylko do Summersa, lecz również do innych. — Przeprawimy tam bydło. Niech napcha brzuchy. Rano ściągniemy stworzenia z powrotem, ale nocą najedzą się i wypoczną.

— Właśnie! — zawołał Byrd.

Na jego twarzy o jasnej cerze i skąpym zaroście Evans dostrzegł wyraz zaniepokojenia; zdziwił się nie po raz pierwszy, że taki człowiek zdobył się na wyruszenie do Oregonu. Przecież to urodzony mieszczuch!

— Dobry pomysł — orzekł Summers, a inni kiwali głowami.

— Ustawimy furgony w zagrodę, chociaż pewno obeszło- by się bez tego — podjął Evans. — Na wyspy przeprawimy naprzód pociągowe zwierzęta.

Wyprzęgając z pomocą syna swoje woły, nadal myślał o Byrdzie z pewnym zakłopotaniem, jak gdyby był winien jego słabości. Byrd, jak wielu mało zaradnych mężczyzn, musi być dobry w łóżku; dowodzi tego stadko dzieci. Evans nie miał ochoty odpowiadać za takiego człowieka, mimo to jednak czuł się odpowiedzialny — zwłaszcza od czasu, gdy Mack powtórzył

mu zasłyszaną przypadkiem rozmowę. W Forcie Hall Tadlock starał się pozyskać Byrda dla kalifornijskiej kampanii, ten jednak odpowiedział: „Wolę zostać z Evansem i Summersem. Tacy dwaj zaprowadzą tabor dokąd trzeba, jeżeli to w ogóle możliwe”.

Zdaniem Evansa słowa te stanowiły wyraz zaufania — może poniekąd kobiecej wiary — były więc zobowiązujące.

Położył na ziemi jarzmo, pozwolił odejść wołom i uniósłszy wzrok zobaczył spoglądającą nań synową.

— Zmęczona jesteś? — zapytał siląc się na uśmiech.

Mercy uśmiechnęła się równie blado.

— Nie. Nic mi nie jest.

Evans wstał wcześnie. W parowie leżał jeszcze mrok, chociaż kopuła nieba zaczynała już jaśnieć. Wyszedł z namiotu i spojrzał w kierunku rzeki — płynnej ciemności bez odblasku słońca, księżyca ani gwiazd. Usłyszał jej głos — jednostajny, zawzięty pomruk. Dobiegał go przez całą noc, nawet pośród marzeń sennych.

Wzdrygnął się, bo odczuł przejmujący chłód i coś w rodzaju lęku. Zapragnął nagle, by wszyscy byli już na nogach, gotowi do ryzykownego przedsięwzięcia, bo oczekiwanie ciążyło mu coraz bardziej. Teraz, kiedy po nocy krew krążyła wolno, a myśli snuły się leniwie, kapitan uznał, że nie jest lepszy od Byrda — bezradny wobec rychłego niebezpieczeństwa. Do licha! Przeprawi się wszystko, do ostatniej kwoki, ostatniego kurczęcia! Tylko on się czuł nieswojo dlatego właśnie, że mu przypadła rola koguta w tym stadzie.

Zmierzając nad wodę Evans spłoszył z ziemi jakiegoś ptaka, który odleciał z łopotem skrzydeł. Rzeka była nadal czarna, dno niedostrzegalne. Pośrodku nurtu tkwiły wyspy niby obłoki uwite z nocnego mroku. Panował na nich nieokreślony ruch — z pewnością pasące się zwierzęta.

Trzeba sprowadzić stada, a następnie, po śniadaniu, przystąpić do roboty, udając, że to nic wielkiego: taka sobie przeprawa jak inne. Naturalnie miejscami stworzenia będą musiały pływać, walczyć z dość bystrym prądem, ale to drobiazg. Po odpoczynku i pokrzepieniu się dobrą trawą woły w zaprzęgu będą raźniejsze. mocniejsze.

Ha, zobaczymy niedługo — pomyślał kapitan i przypomniał sobie, jak nurt znosił jego konia podczas wieczornej przeprawy stada. Teraz niebo czerwienieje na wschodzie. Jak rzeczywiście będzie, okaże się za parę godzin. Trzeba przygotować i zjeść śniadanie, uprzątnąć naczynia, zwinąć namioty, załadować bagaż, sprowadzić z wyspy i zaprzęgnąć woły. Potem okaże się, jak rzeczywiście będzie.

Furgony były nie załadowane, lecz poza tym gotowe do przeprawy. Poprzedniego dnia przed wieczorem mężczyźni za radą Dicka wybrali się na poszukiwanie drewna. Wrócili w większości z drobnicą. Evans był zdania, że to mało, ledwie starczyłoby na opał, więc zwrócił się do Summersa:

— Takie patyki nie utrzymają na wodzie furgonów.

— Nie myślę, Lije, o spławianiu wozów — odparł Dick.

— Nie myślisz?

— Zbyt wartki nurt. Pływający furgon mógłby pociągnąć za sobą sprzężaj.

— Więc po co ci drewno?

— Chodzi o to, Lije, żeby koła pewniej trzymały się dna. Drewno ułoży się pudłach wozów, będzie dodatkowe obciążenie, a mąkę i inne zapasy umieścimy na wierzchu, żeby nie zamokły.

Ale drewna nie starczyło nawet na to, bo mężczyźni znajdywali tylko gdzieniegdzie samotne, liche drzewka albo sczerniałe kloce wyrzucone przez rzekę; z pomocą przyszły więc siodła, pługi, skrzynie, których zawartość przepakowano inaczej.

Evans odwrócił się od rzeki, bo z biwaku poczęły dobiegać poranne odgłosy. Zobaczył nadjeżdżającego konno Summersa, a dalej plandeki furgonów wyłaniające się z mroku.

— Kombinujesz, Lije, jak to będzie? — zagadnął kapitana.

— Właśnie. Trzeba tylko uporać się z przeprawą i zacząć myśleć o następnej.

— Druga, ta niedaleko Boise, jest lepsza. No i w razie potrzeby znajdziemy tam pomoc — Summers uśmiechnął się, spojrzał bystro na kapitana. — Spałeś trochę?

— Ma się rozumieć.

— Niepodobna, Lije, zabezpieczyć się od wypadków. Jeżeli coś złego się zdarzy, nikt nie może mieć do ciebie pretensji, chyba ty sam.

— Wiem.

— Wiesz, ale się przejmujesz. — Dick powędrował wzrokiem ku przeciwległemu brzegowi. — Chyba właśnie dlatego jesteś dobrym kapitanem, ale trochę ci ciężko, co? — spojrzał znów na Evansa. — Słowo daję, Lije, w Missouri nigdy bym nie pomyślał, że będziesz jak kwoka wodząca kurczęta.

— Ja też nie.

— Dla pewności założy się po cztery jarzma do furgonu, a niektórych nawet sześć.

— W takim razie trzeba będzie używać wołów dwa razy.

— Ale w długim rzędzie jedne zwierzęta będą miały grunt, kiedy go inne stracą.

— Rozumiem.

— No i przy każdym wozie pojedzie dwu ludzi na koniach. Ten od strony górnego biegu będzie miał linę i poprowadzi pierwsze jarzmo.

— A drugi, od strony dolnego biegu, będzie miał żerdź, prawda? Które stanowczo jest bardziej niebezpieczne?

— To drugie. Spójrz, tam jest wir. Kiepsko byłoby dostać się w niego. Na jeźdźców, Lije, wybierz dobrych pływaków.

— W sam raz dla mnie robota.

— Racja — zgodził się Summers. — Higa też trudno pobić. Widziałem go w Rzece Niedźwiedziej.

— Pogadam z nim.

Dick kląsknął na konia.

— Zbadam bród — powiedział. — Przeprawię się i sprawdzę, którędy najlepsza droga.

Koń wszedł do rzeki. Człapał niechętnie, ale był posłuszny pod pewną ręką. Dalej od brzegu trwożnie szukał gruntu, później musiał przepłynąć

kawałek, a Dick uniósł się w strzemionach, by jak najmniej zamoknąć. Koń i jeździec wylądowali na pierwszej wyspie ociekając wodą.

Evans odwrócił się, ruszył w stronę biwaku. Miał niejedno do załatwienia.

Słońce wzbiło się nad wzgórza, nim tabor stanął gotowy do przeprawy. Evans umieścił własne wozy u czoła kolumny, gdyż uważał, że jako kapitan winien pierwszy wystawić się na niebezpieczeństwo. Większy furgon ciągnęło sześć jarzm wołów, mniejszy — cztery, za nimi pozostałe wozy uformowały kolumnę. Jedne były w pogotowiu, inne czekały na sprzężaj. Ludzie stali obok furgonów, siedzieli w środku lub gromadzili się nad brzegiem rzeki. Rozmawiali niewiele, ponieważ wszystkie myśli krążyły wokół tego, co ma wkrótce nastąpić.

Evans był na posterunku, przy czołowym jarzmie. Obróciwszy się w siodle zobaczył syna, który siedział na koźle większego furgonu obok Mercy. Podjechał do nich i odezwał się ściągając wodze:

— Nie jestem zadowolony. Ja powinienem być na waszym miejscu przy pierwszej próbie. Wy, młodzi, przeprawilibyście się później.

— Była już o tym mowa, tato — obruszył się Brownie. — Ja miałem poprowadzić pierwszy furgon. Nie boimy się wcale — ani ja, ani Mercy. I tak musielibyśmy kiedyś odbyć przeprawę.

— Im później, tym lepiej. Zobaczmy naprzód, co się święci.

— Jeżeli, tato, wszystkim każesz czekać, będziesz musiał sprowadzić po nich furgony z tamtego brzegu. Mielibyśmy wtedy aż trzy przeprawy.

Evans począł gładzić palcami rozłożony na dłoni rzemień cugli, jak gdyby ważył wszelkie za i przeciw, chociaż wiedział, że kwestia została rozstrzygnięta. Trudno nastraszyć młodych, którzy wierzą, że będą żyli wiecznie. Niebezpieczeństwo ich fascynuje. Chociażby teraz! Brownie i Mercy mają w oczach wyraz podniecenia, oczekiwania, bardziej stosowny dla świeżo poślubionej pary niż ich zwykła cudaczna powaga. Evans powędrował spojrzeniem ku drugiemu furgonowi, na którego koźle siedziała Becky wylękniona trochę, lecz opanowana, jak gdyby powiedziała sobie, że czeka ją coś, czego uniknąć nie sposób.

— Jak żyję nie wygrałem żadnego sporu — powiedział. — Tylko uważaj, Brownie. Trzymaj się Dicka.

W tym momencie przypomniał sobie, że nie wziął żerdzi do popędzania wołów, podjechał więc do drugiego furgonu, obok którego tkwiła.

— Poradzimy sobie, Becky — zagadnął żonę. — I do Oregonu trafimy.

Spojrzała na niego wymownie.

— Bądź ostrożny, Lije. Strasznie się o ciebie boję.

Podniósł żerdź, jak gdyby chciał jeszcze raz dać jej do zrozumienia, że sobie poradzi. Później zawrócił szybko konia i odjechał.

Czekali już na niego. Hig siedział na koniu po lewej stronie sprzężaju; w ręku trzymał koniec linki uwiązanej do rogów czołowego wołu. Summers tkwił w siodle gotów wskazywać drogę.

— Możemy ruszać, prawda? — zapytał Evans i w tej chwili spostrzegł, że przewodnik przygląda się czemuś za jego plecami.

Odwrócił się i zobaczył nadchodzącego spiesznie Byrda.

— Evans... posłuchaj — zaczął Byrd. — Niepokoję się: o dzieci.

— Nic im nie będzie.

— Wiem, ale czy ty nie mógłbyś ich pomieścić?

— W pierwszych furgonach? — zdziwił się kapitan.

— Aha. Wozy masz lepsze, woły silniejsze.

— Przecież później możesz zaprzęgnąć moje woły.

— Mogę. Ale mam tylko jeden furgon.

— A bagaż ciężki — uśmiechnął się Evans i przypomniał sobie, że drugi wóz Byrda, lekki i słaby, rozleciał się po przeprawie przez Green River.

— No i nie najlepszy ze mnie woźnica — dodał Byrd, jak gdyby uważał, że w innych dziedzinach jest najlepszy. — Wolałbym...

— Nie lepiej zaczekać, aż my wypróbujemy bród?

— Wolałbym, żeby dzieci odbyły przeprawę w twoich furgonach.

Znowu to samo! — pomyślał Evans. — Ta babska wiara we mnie! Trochę mi głupio z tej racji, a trochę czuję się odpowiedzialny.

— Jeżeli tak ci na tym zależy, sprowadź je, Byrd — powiedział.

Wkrótce troskliwy ojciec przypędził gromadkę dzieci. Było ich dziewięcioro, bez ostatniego, nie narodzonego jeszcze. Najstarszy Jeff — dwunastolatek o przypominającej ojca jasnej cerze i niemrawym wyrazie twarzy — wspiął się na furgon Brownie'ego i przyjął raczkujące jeszcze maleństwo, które ojciec podał mu z ziemi. Trójka średniaków pośpieszyła za starszym bratem. Resztę miał pomieścić furgon Becky.

— Gotowe! — oznajmił Evans.

— Śmiało, chłopcze! — rzucił Summers pod adresem Brownie'ego, ścisnął konia piętami i zebrał wodze.

Brownie krzyknął donośnie na sprzężaj.

Woły zaczęły brodzić wolno, spoglądając ku przeciwległemu brzegowi, jak gdyby obliczały szanse przeprawy. Bystry prąd atakował już konia Summersa.

Odcinek od brzegu do pierwszej wyspy był najgłębszy, lecz nie najbardziej ryzykowny. Woda podnosiła się szybko; sięgała kolan pierwszych wołów, brzucha, boków, przesączała się przez niewielką tamę, jaką tworzyły ciała zwierząt. Evans trzymał się blisko, aby w razie potrzeby skutecznie użyć żerdki.

Pierwsze woły zapadły się w dół; gdy się wyłoniły, zaczęły płynąć walcząc z nurtem. Ich pyski leżały płasko na wodzie. Evans jął popychać je żerdką.

— A nuże! Nuże! Wiśta! — wołał przekrzykując szum rzeki.

Czuł chłód wspinający się coraz wyżej po nogach. Niebawem odczuł też pod sobą płynne ruchy, zorientował się więc, że i koń stracił grunt. Mocniej zdarł wodze, ustawił go skośnie pod prąd i jął energicznie pracować żerdką. Nad grzbietami płynących wołów widział linę Higa napiętą niby struna skrzypiec.

Pierwsza para wołów odzyskała grunt, ruszyła naprzód, pociągnęła za sobą następne jarzmo. Evans obejrzał się przez ramię, zobaczył rozkołysany furgon, uśmiech na twarzy syna, Mercy piastującą po macierzyńsku najmłodszego z Byrdów.

Wyspa zbliżała się stopniowo, jak gdyby to ona płynęła po bystrej, hałaśliwej wodzie. Woły rwały się do niej, wlekły za sobą furgon.

— Jak tam?! — krzyknął Evans pod adresem syna, gdy sprzężaj przystanął na moment, aby chwycić dech.

— Lepiej przeciągnęłyby nas kaczki! — odkrzyknął z humorem Brownie.

— Uważaj na ostatnie jarzmo!

Summers poprowadził ich przez wyspę i dalej ukosem pod prąd. Woły, z ociekającymi wodą zadami, poczęły znowu brodzić. Człapały ciężko, noga za nogą, wlokąc furgon, który podskakiwał na wyboistym dnie. Niedaleko drugiej wyspy Dick skręcił raptownie w lewo, ku miejscu poznaczonemu dawnymi śladami kół.

Kiedy przystanęli na lądzie, by dać wytchnienie wołom, Summers zwrócił się do Evansa i Higa:

— Ten odcinek będzie najgorszy. Sami się przekonacie — podniósł głos, żeby go dosłyszał Brownie. — Zaczniemy pod prąd, jakieś dwa pręty, później skręcimy lekko z prądem i po sześciu prętach, przez piętnaście, może dwadzieścia, zaczniemy znów brodzić w dawnym kierunku. Następnie skręcimy ku miejscu zrytemu koleinami. Prąd tutaj bystry, ale nie tak głęboko, jak za nami. Uważać na tamten wir. Musimy minąć go od strony górnego biegu — uśmiechnął się do młodego Evansa. — Najbardziej mi strach, żeby woda nie zmyła twojego taty. Biedak pływa tylko ciut lepiej niż łosoś.

Evans walczył zawzięcie z rwącym nurtem, obejmował wzrokiem rozhuśtany furgon, woły potykające się na wybojach i myślał, że jedynie ludzie z gór mogli nazwać podobne miejsce brodem. Tylko oni byli w stanie odkryć je, a następnie orzec, że da się przeprowadzić tędy pojazdy kołowe. Bystrą, głęboką wodę o nierównym dnie należałoby raczej nazwać topielą, nie brodem. Niech ktoś spróbuje przeciągnąć furgon poniżej tego wiru po lewej stronie. Niech spróbuje bodaj przejechać tam konno! A nuże, stworzenia! Nuże! Prąd napiera na sprzężaj, koła i pudło furgonu, pieni się biało od przodu i z tyłu. I tym razem można by sądzić, że to ląd płynie ku walczącym z żywiołem ludziom i zwierzętom. Ale dopłynął! Woły wygramoliły się z wody. Koła zgrzytnęły na suchym żwirze.

— Udało się! — krzyknął Evans do Higa jadącego po przeciwnej stronie czołowego jarzma. — Udało się! Jak Boga jedynego kocham!

Hig milczał. Nie musiał nic mówić. Szeroki uśmiech na jego zmiętej twarzy stanowił wystarczającą odpowiedź.

— Dick! Udało się!

— Jak przewidywałem.

— Ale frajda — wtrącił Brownie z kozła furgonu.

— Odjedź no, Brownie, trochę dalej i obydwoje z Mercy uważajcie na dzieci. Niech nie wysiadają, bo mogłyby się dostać pod racice bydląt.

— Przeprawimy woły na tamten brzeg? — zapytał Brownie.

— Naprzód je wyprzęgniemy i niech sobie odpoczną. Użyje się ich drugi raz, ale naprzód przeprawimy inne sprzężaje.

Później, kiedy bród mieli już za sobą Becky, Mack, Shields, Carpenter, Evans przekonywał się, że mieli wczoraj rację: ostatecznie przeprawa okazała się nie najgorsza. Rzeka wygląda groźnie i rzeczywiście jest groźna; ma wartki prąd i głębie. Ale to nic wielkiego, jeżeli człowiek uważa, za przewodnika ma Summersa, a Hig jedzie po drugiej stronie sprzężaju. Do południa, może nawet wcześniej, cała kompania zostawi Snake za sobą.

Wróciwszy na południowy brzeg rzeki Evans zostawił przemęczonego konia i wziął Nellie.

— Gotów jesteś, Byrd?

— Gotów.

— Nie wysilaj się zanadto. Możesz spokojnie siedzieć obok żony.

— Od razu wiedziałem, że dzieciom będzie najbezpieczniej z tobą. Bardzo dziękuję, Evans.

— Nie ma za co. Gotów jesteś, powiadasz?

Byrd — czujny i skupiony, niby szop zagnany w pułapkę — twierdząco skinął głową. Jego żona była również spokojna. Summers powiedział niegdyś, że pani Byrd przypomina gołębia, teraz, Evans osądził, podrosła do rozmiarów kaczki.

Za furgonem Byrdów czekały inne. Patch nie przeprawił się jeszcze ani Daugherty. Na ostatku Ińsko, Gorham, Holdridge i Botter poprowadzą na drugi brzeg stado — znacznie mniejsze od czasu, kiedy Tadlock opuścił kompanię.

— Masz chęć na jeszcze jedną wycieczkę? — zażartował Evans zwracając się do Higa, który siedział w siodle sztywno, jak kołek — cokolwiek zresztą krzywy.

Istny szkielet z tego Higa, a jego twarz przypomina nadpsuty kartofel. Ale doskonały z niego jeździec i pływak, potrafi też naprawić strzelbę, a przede wszystkim ma głowę na zwiędłym, pomarszczonym karku.

— Ma się rozumieć — odpowiedział Hig. — Dla mnie to chleb z masłem.

— Prowadź, Dick!

Sześć jarzm zaprzęgnięto do furgonu Byrdów, ponieważ był dość ciężki, a woły przemęczone i zbyt chuderlawe do morderczej harówki. Z początkowym odcinkiem uporały się dobrze. Grunt traciły rzadko i na krótko, gdyż po wielu przeprawach poznano już najdogodniejszą drogę. Kiedy czołowe jarzmo gramoliło się na brzeg pierwszej wyspy, Evans zerknął przez ramię i odniósł wrażenie, że Byrd przypomina duchownego, który pierwszy raz w życiu stanął twarzą w twarz z grzechem, ujrzał zło w cielesnej postaci.

Drugi etap też minął gładko. Woły poszły ukosem pod prąd, skręciły w lewo i wydostały się z wody nie gorzej niż poprzednie sprzężaje. Gdy odsapnęły nieco, Evans zwrócił się do Byrda:

— No, jeszcze jeden odcinek.

— Jestem przekonany, że stąd wygląda gorzej, niż przedstawia się naprawdę.

— Jest wcale niezły. Boi się pani, pani Byrd?

Odpowiedziała przecząco.

— Grunt to się trzymać.

Kapitan podjechał do czołowego jarzma, skinął na Dicka, który znów wjechał do wody na swoim wierzchowcu.

Wypadek zdarzył się nieoczekiwanie, tuż koło brzegu, bez widocznej przyczyny, jak w sennych majakach. Sprzężaj szedł śmiało, furgon sunął tnąc sfałdowaną powierzchnię rzeki. Nagle prawy wół czołowego jarzma pośliznął się, rozpaczliwie szukając gruntu. Wreszcie uległ prądowi i pociągnął za sobą towarzysza jarzma. Zepchnięte na Evansa zwierzęta zaczęły wierzgać rozpaczliwie, ubijając wodę na białą pianę, wreszcie wytrąciły z równowagi następne jarzmo.

— A nuże! Nuże! — wrzasnął z przyzwyczajenia Evans i puścił w ruch żerdkę.

Nad kłębowiskiem bydlęcych ciał widział Higa i jego konia wleczonych z prądem u końca naprężonej liny.

— A nuże!

Nellie spłoszona i wyczerpana nie wytrzymała naporu wołów, jęła się cofać. Najbliższe furgonu jarzmo obróciło go w kierunku wiru i groźnej głębi za nim.

Tymczasem nurt znosił furgon, którego koła raz zapadały się w doły, raz zgrzytały po żwirze. Jego ciężar wlókł za sobą sprzężaj, wyginał w łuk linię wozów, później prostował ją równolegle do brzegu rzeki. Nellie, popychana ustawicznie, straciła grunt i nie mogła płynąć wśród ogólnego zamieszania.

Kiedy czołowe jarzmo trafiło na płytsze miejsce, było za późno. Cały sprzężaj zmylił kierunek, był wystraszony, zdezorientowany. Jedne woły usiłowały pływać, inne zachować równowagę, jednakże wszystkie cofały się z prądem i ląd oddalał się stopniowo.

Hig wykrzykiwał coś, wtórował mu Byrd, lecz łoskot wody pochłaniał słowa. Evans widział niby przez mgłę ludzi na brzegu, Dicka prowadzącego konia. Nagle furgon trafił na głaz, niewidoczny pod wodą, zahamował na moment, pudło przechyliło się gwałtownie i upadło na bok, nad falami mignęły koła.

Dalsze błyskawiczne wydarzenia Evans oglądał jak gdyby w zwolnionym tempie: Byrd usiłuje schwycić swoją żonę, lecz spóźnia się o mgnienie oka. Kobietę porywa nurt, a on zwinnie niczym wiewiórka wdrapuje się na bok obalonego furgonu. Po chwili pani Byrd wygląda jak kura wyjęta z sadzawki.

Tyle że to nie sadzawka! To potęga, przy której ludzka siła jest niczym. Prąd z furią atakuje Evansa, czepia się rąk i nóg, próbuje zmylić mu kierunek. A on ma tuż przed sobą usta pani Byrd, otwarte niby dziób pośród przemokłego pierza kury, która usiłuje zagdakać po raz ostatni.

Dziób zapada się w wodę, ale pod jej powierzchnią, poprzez białą pianę, Lije dostrzega szafirową plamę sukni. Łapie ją, ciągnie, stara się płynąć w kierunku brzegu. Ma niedaleko — bez obciążenia jedno uderzenie ramion, jeden skok na spokojnej wodzie. Ale Evans musi walczyć, zmagać się z prądem i wie, że nie da rady. Brak mu tchu, brak siły w rękach i nogach. Poprzez zalewające mu twarz fale widzi gromadkę ludzi, stojącą obok nich Nellie, furgon zniesiony w stronę lądu i gramolące się na brzeg czołowe jarzmo.

Później przesłania wszystko wyższa fala. Wokół jest tylko woda i przez jej rozpryski widać oślepiająco jasne słońce. Evans czuje dziwną ociężałość w nogach i rękach. Słyszy gniewny głos wody i na tle jej szumu inny głos nawołujący:

— Lije! Lije!

Poznaje głos i sylwetkę Summersa na koniu, widzi linę w jego dłoni i zamach ręki. Próbuje chwycić pętlę, chybia, powtórnie czepia się jej rozpaczliwie.

Summers ciągnie linę powoli, by nie wyrwać jej z palców Evansa. Zeskakuje z konia, odnosi panią Byrd dalej na brzeg. Nadbiegają ludzie. Pierwszy z nich, Byrd, wrzeszczy na całe gardło:

— Ruth! Ruth!

— Żyje — bełkoce z trudem Evans. — Na pewno żyje. Krótko była pod wodą.

— Ruth!

— Spokojnie — mówi Dick, obraca niedoszłą topielicę twarzą do ziemi, ujmuje wpół, podnosi, aby wycisnąć z niej wodę.

— Nic ci nie jest, Lije? — pyta Becky i nie wiadomo za co karci męża surowym spojrzeniem.

— Nic. Zmęczyłem się i tyle.

Wszyscy stoją dokoła. W milczeniu gapią się na Dicka zajętego panią Byrd.

— Przychodzi do siebie — mówi Summers. — Już czuć w niej życie.

Kobieta, ułożona na murawie twarzą do góry, odmyka powieki, a mąż obciąga jej suknię, by zakryć nogi.

— Jak się czujesz, Ruth?

Żona nie odpowiada, toczy wokół szeroko otwartymi, wilgotnymi oczyma, przenosi spojrzenie z twarzy na twarz, jak gdyby chciała zapytać: „Co ja tu robię na ziemi, otoczona kręgiem gapiów?" Nagle wykrzywia twarz, zaczyna szlochać. Evans odwraca wzrok.

Ostatecznie jednak nic się nie stało pani Byrd. Nie mogła tylko pohamować płaczu. Niebawem wstała przy pomocy męża i kaznodziei, którzy odprowadzili ją w stronę furgonów.

— Lepiej niech się położy — orzekła Becky i ruszyła za oddalającą się trójką, aby rozesłać derkę.

Inne kobiety podążyły jej śladem.

— Źle zrobiłeś, Lije, wybierając się do Oregonu — powiedział Evansowi Summers, lecz jego uśmiech mówił coś zupełnie innego.

— Co im zginęło?

— Nie miałem czasu sprawdzić — odparł stary wyga.

Hig pokiwał głową, jak gdyby nie mógł uwierzyć w równie pomyślne zakończenie.

— Chyba nic — powiedział. — Złamany dyszel, zamoczone to i owo, i tyle.

— Nie przepadło ani jedno stworzenie?

— Ani jedno. Nie wiadomo czemu, furgon przybił do brzegu. Ja czepiałem się liny, sprzężaj robił, co mógł, i jakoś się udało.

— Co robił Byrd?

— Nic. Siedział spokojnie.

— Jak Boga kocham! A co teraz trzyma furgon?

— Woły. Jeszcze nie wyprzęgnięte.

W tej chwili nadszedł Byrd.

— Wszystko w porządku? — zapytał kapitan.

— Aha. Nic jej nie będzie. Zapomniałem ci podziękować. Po to teraz wróciłem, Evans.

— Zapomnijmy o tym, Byrd. Dobrze, że umiem pływać.

— Ja nie zapomnę do końca życia — podjął Byrd i odszedł po chwili, gdyż Evans nie potrafił wymyśleć stosownej odpowiedzi.

— Pocieszny facet — odezwał się Summers. — Ale myślę, Lije, że nieraz jeszcze ludzie będą ci dziękować.

— Naprzód ja muszę podziękować tobie, Dick — odparł Evans, odwrócił się, przeliczył wzrokiem furgony oczekujące na przeciwległym brzegu. — Tutaj zrobimy postój. Trzeba jeszcze tamtych przeprawić. Trzeba wyciągnąć na brzeg i doprowadzić do porządku furgon Byrda. Drewno

załadowaliśmy na wozy, więc opału wystarczy. Jak tam? Zgadzają się wszyscy?

Zebrani wokół mężczyźni twierdząco skinęli głowami.

— No i stworzenia będą miały dosyć trawy — dorzucił Summers. — Podjedzą sobie jeszcze. To dobrze, bo przed nimi ciężka droga.

Evans miał oczy szeroko otwarte. Chociaż niepokój minął, nie mógł zasnąć skutkiem przemęczenia i napięcia nerwowego. Sforsowali Snake, naprawili furgon Byrda, wysuszyli jego bagaż, jak się dało, a pani Byrd czuła się zupełnie nieźle.

Przewracał się na posłaniu, usiłował przepędzić obraz wody. Ale płynęła tuż-tuż, ilekroć przymknął powieki. Szarpała sprzężaj i wozy, tryskała dokoła nich białą pianą. Połyskiwała jasno nad szafirową suknią pani Byrd. Ów połysk, szafirowa barwa, parcie wartkiego nurtu na piersi i ramiona — wszystko to zlewało się w twarz Rebeki, z której ust padały słowa: „Nie zamieniłabym cię na całą gromadę Byrdów. Pamiętaj, Lije”. Pamiętał, a wspomnienie łączyło się z kipiącą wokół topielą.

Wiatr poruszył namiotowym płótnem, jego szept zmieszał się z pomrukiem rzeki. Opodal koń parsknął głośno, raz i drugi. Evans łowił uchem te odgłosy i miał wrażenie, że jeżeli natęży słuch wystarczająco, usłyszy także człapanie miękkich łap starego Rocka, którego duch odbywa z nim wędrówkę do Oregonu, obecnie zaś krąży dokoła namiotu. Przez ile nocy leżał tak, nasłuchiwał?

Przez ile nocy obracał i obracał w myślach to, co robił za dnia? Jak wiele razy przebywał odcinki szlaku zostawione za sobą? Jak często oczekując snu słyszał nawoływanie nocnego ptaka, wycie wilków, głuchy pomruk bizonów? Długie nocne nasłuchiwania, rozważania, wybieganie myślami naprzód — do Boise i Blue Mountains, i wielkiej rzeki Kolumbii, i Dalles. No i co robić z bydłem? Nie zadał Summersowi tego pytania; nie śmiał, bo odnosił wrażenie, że świadczyłoby o braku zaufania, na co Dick przecież nie zasłużył. Ale dręczyło go to, gdy w wyobraźni jego koń zapadał się coraz głębiej i głębiej w bystrą wodę.

Odwrócił się i odczuł poruszenie Rebeki — tej Rebeki, co nie zamieniłaby go na tuzin Byrdów. Była z nim na złe i dobre — przeważnie zresztą dobre. A może złe? Bo jak nazwać upał, kurz, błoto, deszcz, kamienie lub rwącą wodę? Dobre czy złe? Evans pomyślał, że jest zapewne na pograniczu snu, skoro gubi się w takich dociekaniach.

Rebeka zaczęła chrapać miarowo, cicho, tak samo jak przez dziesięć tysięcy innych nocy. Ciekawa historia! Każde inne chrapanie wydawałoby mu się wstrętne — każde, ale nie jej. Czemu nie dostrzega nic niełądnego w wyglądzie lub zachowaniu Becky? Może inni mężowie widzą brzydotę swoich żon? A może on jest po prostu zwyczajnym człowiekiem i dlatego właśnie różnym niż większość? Gorąco życzył podobnego związku Brownie'emu i jego żonie.

Ładne czy brzydkie — kobiety robią swoje, nawet więcej. Ramię w ramię idą z mężczyznami. Nie są tchórzliwe, nie wymagają ulg. Becky, pani Patch, okryta ciężką żałobą Judyta Fairman. Pani Mack, pani Daugherty i naturalnie Mercy. Tak! Mercy również. Mają w sobie odporność, o którą trudno byłoby je posądzić w warunkach domowych. Dopiero na szlaku

doszły do głosu, a mężczyźni słuchają ich tak, jakby słuchali innych mężczyzn. Całe szczęście, że tak niewielu emigrantów odbywa drogę- do Oregonu w towarzystwie żon — w przeciwnym razie nie odzyskaliby swojej pozycji.

Wiatr zaszemrał znowu. W namiocie zaczęło ciągnąć chłodem od ziemi. Evans pomyślał, że gwiazdy na niebie muszą świecić jasno, bo wieczór był szczególnie pogodny. Świecą jasno i połyskują w bystrej wodzie, która otaczała go tak niedawno. Łagodny powiew przyniósł tupot kroków. Odezwał się czyjś głos:

— Evans! Kapitanie!

— Kto tam?

— Byrd.

— Aha.

— Moja żona...

— Co jej się stało?

Rebeka przestała chrapać. Evans był pewien, że nasłuchuje bacznie — jakby ją widział.

— Chyba zaczyna rodzić... Przed czasem, Evans.

— Becky!

— Słyszę — szepnęła i dodała głośniej. — Już idę do niej, panie Byrd.

— Bardzo proszę.

— Zaraz przyjdziemy — powiedział Evans.

— Tylko rozpalcie ogień! — poleciła Rebeka mężczyznom i szybko podniosła się z posłania.

Byrd odszedł i gdy cichły jego kroki, Evans zapytał szukając po ciemku ubrania:

— Kiedy jej czas?

— Teraz idzie na szósty miesiąc. Noworodek nie będzie żył — odrzekła Becky, którą wyczuwał raczej, niż widział.

— Pewno to ze strachu, a może uderzyła się o coś pod wodą.

— Ani jedno, Lije, ani drugie. Zbyt harowała ciężko, za dużo miała kłopotów.

— Rzeczywiście. Nie mówiła nic o uderzeniu.

— Poszukałbyś świecy, Lije. Chyba paczka jest w dębowym kuferku.

Evans (znalazł świecę i wraz z żoną poszedł do namiotu Byrdów. Po drodze wziął z ogniska nieco żaru, aby świecę zapalić pod osłoną płótna.

Zrazu zobaczył tylko roztańczone cienie. Później odróżnił posłania i wpatrzone w siebie dwie pary dziecinnych oczu. Namiot był obszerny, bo inaczej nie pomieściłby aż czterech posłań. Pani Byrd leżała z najmłodszym dzieckiem wśród rozgrzebanych koców. Mąż pochylał się nad nią, ona zaś mówiła coś szeptem do Becky. Evans węgielkiem zapalił świecę i przylepił do wiadra odwróconego do góry dnem.

Rebeka uklękła obok chorej, przez ramię zerknęła na męża.

— Zabierz dzieci, Lije — zakomenderowała. — Kilka możesz ułożyć na naszym posłaniu. Reszta pomieści się chyba u Macków, Fairmanów albo Patchów.

— Wstawać, dzieci! — powiedział Byrd. — Żywo? Wszystkie! Elisabeth! Mama zachorowała. Nie musicie się ubierać.

Dzieci wstawały szybko. Oczy miały szeroko otwarte i, jak zdawało się Evansowi, rozumiały wszystko, chociaż nic im nie powiedziano. W

milczeniu stłoczyły się przy wyjściu i opuściły rodzinny namiot. Spiesząc za nimi, Evans zobaczył, jak żona bierze na ręce najmłodsze z Byrdów i układa je na opróżnionym posłaniu.

Kapitan i Byrd rozlokowali dzieci. Wróciwszy podsycili ogień i nastawili drugi kociołek wody. Noc była ciemniejsza, niż sądził Evans, albo też świat sczerniał w porównaniu z blaskiem płomieni. Widział czerwonawy krąg wokół ogniska, zarys namiotu, garb plandeki furgonu. Dalej wzrok nie sięgał.

Byrd grzebał drągiem w ognisku, on zaś wszedł schylony do namiotu.

— Z dziećmi załatwione — oznajmił — i gotują się dwa kociołki wody. Potrzeba ci, Becky, coś więcej? Zaraz będzie tu pani Mack, pani Patch i Judyta. Przydadzą się pewno.

Nim skończył mówić, dziwny grymas wykrzywił twarz pani Byrd, jej ciało drgnęło pod kocami. Rebeka kiwnęła głową, jak gdyby chciała powiedzieć: Byrd się nie mylił. To początek.

Grymas wnet zniknął. Położnica miała teraz twarz spokojną, ale zmęczoną. Uniosła powieki, jakoś tak dziwnie spojrzała prosto w oczy Evansowi, który uprzytomnił sobie nagle, że nie patrzy na panią Byrd ani na żadną inną określoną osobę, lecz ma przed sobą Becky, Brownie'ego i Mercy, i całą kompanię, nie wyłączając samego siebie. Bowiem pokorny, udręczony, pełen trwogi wzrok tej kobiety wyraża istotę człowieczeństwa.

Opuszczając namiot spotkał nadchodzącą panią Mack. Obok furgonu Fairmanów połyskiwał płomień, a w jego świetle Judyta poruszała się jak widmo. Zapewne gotowała rosół dla pani Byrd. Nad ogniskiem, do którego Byrd dorzucał chrustu, unosił się obłok pary z kociołków. Byrd spojrzał pytająco na Evansa, ten jednak nie mógł wymyślić nic rozsądnego. Usiadł przy ogniu, by dotrzymać towarzystwa wylęknionemu mężowi.

Porównywał panią Byrd do gołębia, później do kaczki i kury. To kobieta mdła, niezdolna wywrzeć na nikim silniejszego wrażenia. Nawet jej jęki dobiegające z namiotu są bardzo słabe. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, za dziesięć lat nikt z kompanii nie zdoła przypomnieć sobie jej nazwiska. Ludzie będą mówili: „Jakże się nazywała? Pamiętasz? Taka drobna, spokojna kobiecina?”

Ale przez chwilę, gdy Evans spoglądał w oczy pani Byrd, czuł, że jest mu bliska.

Później dowiedział się od Rebeki, że dziecko przyszło na świat martwe, na godzinę lub nieco więcej przed różowością brzasku nad wschodnim widnokręgiem. Zostało pochowane bezimiennie i brat Weatherby odprawił stosowne modły. Później urządzono w furgonie posłanie dla pani Byrd i tabor ruszył w kierunku Boise.

Był piętnasty sierpnia.

Któż mógł wiedzieć, kiedy śnieg zacznie sypać w górach?

Rozdział XXVII

— Musimy zadecydować o różnych sprawach — powiedział Evans otwierając zgromadzenie rady starszych.

Skład jej był zmieniony, gdyż Tadlock z Brewerem odeszli, a zastąpili ich Patch i Shields. Nowe towarzystwo, ale lepsze — pomyślał Curtis Mack zasiadając na ziemi w kręgu innych.

Evans nie spieszył się. Milczał, składanym nożem obcinał paznokcie. Pod jego znoszoną koszulą rysowały się potężne mięśnie. Zrównoważony ten Evans — medytował dalej Mack — ciężki, powolny, ale zrównoważony i wraz z kapitańską funkcją nabiera powagi, godności. Nie bez ukłucia zazdrości wyobraził sobie, że taki człowiek musi wybić się w Oregonie, przywodzić organizatorom nowego terytorium, reprezentować je na jakimś ważnym stanowisku w centralnych władzach. Ale uczucie zazdrości budziła osoba, nie przyszłe sukcesy Evansa. Jego postawa i zachowanie wskazywały, że ten człowiek żyje w zgodzie z samym sobą, a prostotą i skromnością pozyskuje innych. Czy nie miewa wewnętrznych walk, tajonych słabości? — zastanawiał się Mack. — Czy jest wolny od wad, poza brakiem pewności siebie i niezdecydowaniem, które też już stopniowo pokonuje? Czy zna moc nikczemnych pokus? Czy nocami budzi się niekiedy z pragnieniem uniknięcia sprawiedliwego sądu?

Curtis Mack oderwał wzrok od szerokiej, pochylonej twarzy kapitana. Niebo było ciemne, lecz deszcz nie groził. Przez chmury na zachodzie przeglądała jaśniejsza plama słońca.

— Przede wszystkim musimy się zdecydować — powiedział Shields — na rozstanie z tym fortem i rybami. Bodaj je licho!

Rada zebrała się opodal zagrody z furgonów, od strony rzeki. Za biwakiem przysiadł Fort Boise, ale ryby cuchnęły dokoła — świeże, suszone, nadpsute — odpadki skarbów wyławianych ze Snake.

— W nocy tak szelmy tłukły o wodę, że spać nie mogłem — ciągnął Shields. — Ryby w uszach, ryby w nosie i, jak Boga kocham, ryby w tytoniu, który człowiek żuje. Nie napotkaliśmy dotąd gorszego fortu.

Inni zawtórowali Shieldsowi, a Mack przyznał bez słów, że Fort Boise jest rzeczywiście najgorszy: najbrudniejszy, śmierdzący, najmniej dbały o jaki taki ład. Dokoła roją się spasieni na rybach, obdarci Indianie, tak tępi, jak powiadają ludzie z fortu, że nie są w stanie nauczyć się robienia zapasów na głodowe zimy. Tak, poprzednie forty przedstawiały się lepiej. Chociażby Hall lub Laramie... Laramie? Jak różnymi drogami wracała tam myśl...

W tej chwili dobiegł Macka głos kapitana.

— Jutro ruszamy w drogę, bo zakończyliśmy sprawy handlowe. Suszonej ryby mamy dostateczny zapas. Mnie do końca życia starczy.

— Z przyjemnością pożegnam Snake — podchwycił Patch. — Niech biorą ją Anglicy.

— Najważniejsza kwestia to, co robić z bydłem — ciągnął Evans — pytanie, które stary Greenwood wciąż powtarzał.

Jego słowa przypominały Mackowi kamyki rzucane do stawu lub raczej koła, jakie rysują się na spokojnej wodzie po wrzuceniu kamyka. Rozpływały się, a myśl wracała ku Laramie, Laramie i jeszcze jednemu wieczorowi na szlaku, do dziewczęcej rozpaczy przy musujących źródłach i Fortu Hall, gdzie odbył się ślub, a Brownie odrzucił z dumą woły, które nie miały przecież być prezentem, lecz skąpą ceną za spokój sumienia.

— Myślę, że jakoś przeprowadzimy bydło — zabrał głos Patch. — Szlak od Dalles do Willamette nie może być gorszy od wielu, które mamy za sobą.

— Przeprowadzimy? To znaczy kto? — zapytał Evans.

— No, jeden z nas. Kilku z nas.

— Pamiętaj, że nie istnieje tam szlak godny tej nazwy. Trzeba będzie szukać drogi, bo nikt jej nie zna, z wyjątkiem może jednego Summersa.

— Więc dlaczego nie Summers?

— Powiedział, że przeprowadzi stado.

— I co?

— Moim zdaniem nie powinniśmy na to pozwolić.

— Czemu, u Boga Ojca? — zdumiał się Daugherty.

— Zapłaciliśmy mu do Dalles, i to skromnie, a robił więcej, niż mieliśmy prawo wymagać.

Curtis Mack po raz pierwszy wtrącił się do rozmowy:

— Nic nie przeszkadza nowej umowie. Możemy mu dać więcej.

— Nie wszyscy jesteśmy równie jak ty zasobni — odparł spokojnie Evans.

Zabrzmiało to niemal jak wymówka, więc Mack podchwycił żywo:

— Sam policzę się z Summersem. Chętnie zapłacę za całą kompanię.

W oczach towarzyszy dostrzegł wyraz zastanowienia i jednocześnie usłyszał opanowany głos Evansa.

— Na to nie moglibyśmy przystać.

— Czemu — zapytał Mack, lecz zrozumiał wszystko bez wyjaśnienia.

Evans to człowiek mocny, ambitny, sądzi więc, że i reszta dorównuje mu dumą. Ma trochę pieniędzy, jak Patch lub Fairman, ale trzyma z biedakami, by oszczędzić im poniżenia cudzej łaski. Tamci dwaj pójdą za nim, będą udawać, że nie są bogatsi niż Byrd, Shields i Daugherty, więc propozycję odrzucą.

Nie! — pomyślał Mack. — Wciąż tylko: nie! Brownie powiedział: nie, Evans, rada starszych. Jak gdyby moja sytuacja materialna była przestępstwem, wykluczała mnie z ich grona. Nie pozwalają mi wyświadczyć przysługi, choćbym nie wiedzieć jak pragnął.

— Nie moglibyśmy przystać, i tyle — odrzekł mu Evans.

— Nie chcecie przyjąć pieniędzy, trudno. Ale możecie pożyczyć ode mnie, oddać, kiedy będziecie mogli.

Zanim Mack skończył mówić, nadszedł bosy i nagi Indianin z rybą nadzianą za skrzele na palec. Evans pokręcił głową, niecierpliwie machnął ręką.

— Nie ma handlu — powiedział. — Nie ma teraz. Może później.

Dał Indianinowi prymkę tytoniu i odprawiwszy go w ten sposób, zwrócił się do Macka:

— Pochwalam twoje stanowisko, Curtis, ale zastanówmy się jeszcze, czy nie ma innego wyjścia.

— Mówiłeś, że Summers godzi się przeprowadzić bydło, prawda? — zapytał Shields.

— Oczywiście nie sam — odparł Evans i urwał na moment, jak gdyby lękał się, że tamci chcą wykorzystać Dicka. — Jak wszystkim wiadomo, mogliby obrać drogę na północ, przez Walla-Walla.

— To dodatkowe mile — wtrącił Patch.

— Tak. Ale w tamtejszym forcie przyjęliby zapewne nasze stado, a w zamian dali przekaz do zrealizowania w Forcie Vancouver. Słyszałem, że tak załatwiali dawniej podobne sprawy.

— Trudno przewidzieć, czy i teraz załatwią — powiedział Fairman.

— Pewni być nie możemy — odparł Evans — ale tutaj w Boise mówił jeden człowiek... Jakże on się nazywa? Aha, Craigie. Więc Craigie mówił, że najprawdopodobniej pójdą na to.

— I z Walla-Walla odbędziemy podróż wodą — podchwycił Patch. — To również będzie kosztowało. Za indiańskich wioślarzy i łodzie trzeba płacić pieniędzmi lub świecidełkami, jeżeli pozostały nam dotąd jakieś świecidełka.

— Nie chciałbym też zawdzięczać Anglikom więcej, niż to konieczne.

— Ostatecznie Anglicy postępują przyzwoicie i witają nas gościnnie.

— Nie przeczę, chociaż zauważyłem, że bezpłatnie dają tylko jeden posiłek. Za wszystko inne liczą dziesięciokrotne ceny. Ale nie w tym sęk. Miałem na myśli, że to przecież nie ich ziemia.

Głowy przytaknęły z uznaniem i zapadła cisza, wśród której Mack odniósł wrażenie, że całe zagadnienie widzi jasno, jak na dłoni. Mają do wyboru Walla-Walla i problematyczną transakcję z bydłem albo znacznie bliższe Dalles, skąd Summers — opłacony lub nieopłacony — podejmuje się przeprowadzić stado drogą lądową. Dick powiedział, że gotów jest iść darmo. Mack powiedział, że chętnie mu zapłaci. Mimo to rada starszych waha się, jak gdyby liczyła, że nie wiadomo skąd nadejdzie magiczne rozwiązanie.

Evans zabrał głos po długiej pauzie.

— Krowy są wyczerpane. Wiadomo. Nie mówię nawet, ile przepadło po drodze.

— Strach pomyśleć o nowych ciężkich przeprawach — powiedział Shields. — Ostatnie dni nad rzeką Boise prawie mnie zrujnowały.

— Kogo nie zrujnowały? — podchwycił Daugherty. — I to niby dobry Pan Bóg stworzył tę rzekę i drzewa.

— No, a nieżonaci mężczyźni? — rzucił Patch.

— Kto?

— Higgins, Botter, Insko, Moss.

— Co od nich chcesz? — zapytał Evans.

— Wybierają się do Oregon City, prawda?

— Tak uzgodniłem ze swoimi — powiedział Fairman.

— Podobny zamiar mają też Moss i Insko — dodał Mack. — Nie mogliby pogonić stada?

— Widzicie — odparł kapitan — na ciężkim szlaku łatwo porzucić przemęczone bydlę, a nawet całe stado, zwłaszcza jak nie twoje. Przedsięwzięcie może też się udać, ale trudno wymagać, żeby ci czterej

wzięli na siebie całą odpowiedzialność — zamknął scyzoryk, począł obracać go w palcach.

— Ja pójdę z nimi! — zawołał Mack, nim myśl zdążyła się ukształtować.

— Ty? — zdziwił się kapitan.

— Aha.

— Nie jesteś obowiązany do tego bardziej niż ktokolwiek z nas.

— Mam najwięcej bydła, a tylko jedną osobę pod opieką.

— Właśnie? Co z nią będzie?

— To zależy. Możliwe, że cała karawana wyruszy drogą lądową. Mam na myśli ludzi z naszej kompanii i z innych.

— Zapewne, ale nie na kołach. Dick jest zdania, że to droga nie dla furgonów.

— Więc na koniach, co? W takim razie ktoś z was zająłby się spławianiem mojego bagażu w dół rzeki. A gdyby karawany drogą lądową nie było, Amanda mogłaby zabrać się z wami.

— Naturalnie — odpowiedział z rozwagą Evans i zerwał źdźbło trawy.

— Więc co powiecie?

Mack zorientował się, że mówi natarczywie, zdradza, jak bardzo mu zależy na przyjęciu propozycji. Wszyscy mieli skupione twarze, zdawali się ważyć w myślach wszelkie za i przeciw.

— Nie chciałbym prosić cię o coś takiego — bąknął Evans.

— Nie prosisz, ani prosiłeś.

— Bardzo ładnie z twojej strony — odezwał się z wahaniem Shields, jak gdyby sprawa wymagała dalszych komentarzy.

Evans przenosił wzrok z twarzy na twarz.

— No i cóż wy na to?

Zrazu nikt nie zabierał głosu, jednakże Mack z góry przewidywał odpowiedź. Bez żalu myślał, że ci ludzie odrzucili jego pieniądze, lecz bez wahania przyjmą wysiłek, pot i czas, bo to sami mają do zaofiarowania. Było to stanowisko słuszne — słuszne z ich punktu widzenia i z jego.

— Niemała to hojność — zwrócił się Fairman do kapitana — chyba nawet zbyt wielka. Ale jeżeli Curtis sobie życzy...

Inni twierdząco kiwali głowami, więc Mack zerwał się żywo.

— W takim razie interes ubity! Ja poprowadzę stado. Ja i nieżonaci mężczyźni.

Nocą leżąc w pościeli słuchał, jak łososie rzucają się w rzece, i rozmyślał o swoich sprawach. Nie wierzy w Boga, a już z pewnością nie w Boga, jakiego uznają inni. Z powątpiewaniem odnosi się do zasad moralnych i nie umiałby powiedzieć, na czym polega grzech, jeżeli w ogóle istnieje. Przyznaje uczciwie, że przy sposobności mógłby znowu naruszyć obowiązujące reguły. Ostatecznie popełnionego czynu nic nie zdoła przekreślić. Żadna ofiara z mienia, trudu, czasu nie jest w stanie odrobić tego, co się stało. Najlepiej zapomnieć. A zresztą rychło świeże wyrzuty sumienia usuwają w cień dawne. Może i on skrzywdził dziewczynę po to, by w nowej skrusze utopić żałosne wspomnienie o niedorzecznym zamordowaniu Kaw?

Nie! Działał raczej pod wpływem pragnienia, rozczarowań, gniewu, postu, którego dłużej znieść nie potrafił. Z takich powodów zastrzelił Indianina i uwiódł biedną dziewczynę. Czy można go winić? Czy nie był to

zbieg okoliczności. lub wola Boga, którego on nie uznaje? Najlepiej zapomnieć. Po prostu zapomnieć.

Jednakże wymazanie z pamięci spraw minionych nie udawało się Mackowi, jak nie udałoby się nikomu na tych co on wzorach uformowanemu, na przekór rozsądkowi obciążonemu balastem dawnych zakazów i nakazów. Więc co? Człowiek winien być doskonały, a że doskonałość jest niepodobieństwem, niech dźwiga brzemię winy, żałuje za grzechy, pokutuje.

Słusznie! Tak właśnie postąpi niedowiarek. Poprowadzi stado do miejsca przeznaczenia, a uczyni to dla dobra własnej nie istniejącej duszy. Żal za grzechy? Pokuta? Zadośćuczynienie? Kościelne słowa. Pobożne słowa. Napuszone słowa Weatherby'ego. Do diabła z nimi. Nie Bogu składa przecież ofiarę, nie Bogu Ojcu ani Jezusowi, ani Duchowi Świętemu. Pragnie przysłużyć się towarzyszom podróży oraz samemu sobie. Chce wyrównać rachunki i w oczach Curtisa Macka mieć prawo chodzić z podniesionym czołem. Tyle w nim pozostało z nauk, którym zawdzięczać miał drogę do nieba.

Był już śpiący, bardzo zmęczony i śpiący, lecz nim zapadł w nieświadomość, uprzytomnił sobie, że dzisiaj podobne rozważania nie są dla niego już tak bolesne jak dawniej. Poczuł jedyny w swoim rodzaju, przypominający świeże mleko, zapach ciała Amandy. Złowił uchem jej spokojny, miarowy oddech.

Przeprowadzi trzodę przez góry!

Dawno nie czuł się tak dobrze.

Rozdział XXVIII

Między Boise a Dalles znajdował się punkt newralgiczny szlaku, a zarazem kres trudnej Próby, „tak” lub „nie” Oregonu. Tutaj ślady kół ciężkich furgonów miały wreszcie wypisać odpowiedź na pytanie rzucone przed laty, w przeszłości tak odległej, że jej początki ginęły w bezkresie równin, szczytów, drzew, szałwii, piasku, kamieni. Evans mylił wydarzenia podróży z dawniejszymi miejscami, ludźmi, poczynaniami i nieraz zadawał sobie pytanie, czy Missouri, Independence, coś, co nazywał niegdyś domem, istnieje rzeczywiście, czy też stanowi twór wyobraźni.

Równie dobrze mógł zapytać, czy istnieją Dalles, Oregon, Kolumbia — rzeka, której nie widział nigdy, lecz wciąż miał przed oczyma jej bogate wody toczące się ku morzu? Czy w ciągu całego życia było za nim lub przed nim coś więcej niż sunąca miarowo ziemia i przestrzeń, którą trzeba zwyciężać, by móc zwyciężać dalszą przestrzeń? Na pewno wiedział tylko, że idzie, szedł i będzie szedł przy sprzężaju.

Jednakże minęły dni największych wątpliwości — wszelkich wątpliwości. Evans mógł nie powtarzać sobie tej prawdy: była w nim, przepełniała jego myśli, nastrajała mięśnie, radosną nutą syciła słowa. Od dzieciństwa nie czuł się podobnie — od dnia, gdy jego rodzinne miasteczko Saint Charles sposobiło się do uroczystości i widział wielkie ognie na ulicach.

Obecnie musiał trzymać się w garści, by nie popędzać karawany, nie wymagać od ludzi i zwierząt więcej, niż są w stanie dać. Musiał pamiętać, że natura obdarzyła go siłą, jakiej nie posiadają inni. Wkrótce — chociaż nie tak rychło, jakby sobie życzył — wszyscy zobaczą wzgórza okalające dolinę Kolumbii i nieco niżej wielką rzekę. Spoglądał na nią oczyma wyobraźni, kiedy przynaglał sprzężaj, szedł obok furgonu, niósł pomoc słabszym. Spoglądał na jej połyskujące w słońcu wody i tłumił potężny, triumfalny okrzyk na powitanie ziemi obiecanej.

Codzienny etap odliczał od mil pozostałych przed karawaną. Malheur. Birch Creek. Rozstanie ze Snake, pożegnaną bez żalu. Burnt River. Powder River. Ciężki szlak wiodący grzbietem górskim ku Grandę Ronde.

Burnt River — rzeka, którą Dick nazywał Brule — wciśnięta między góry o zboczach tak zarosłych krzewami i wrzosem, że nikt nie ważyłby się ich forsować, gdyby nie wiedział, że dawniej robili to inni.

Dwa dni. Dwa dni drogi tak trudnej i wyczerpującej, że po przybyciu na biwak zwierzęta i ludzie byli zdolni tylko do odpoczynku. Uwolnione z jarzma woły odchodziły leniwie i stawały opodal, by nabrać sił do skubania trawy. Mężczyźni pracowali powoli, z trudnością zmuszając do wysiłku zesztywniałe mięśnie. W oczekiwaniu na posiłek przygotowany przez oklapłe kobiety stawiali namioty, rozniecali ognie, spychali nieuniknione drobne roboty. Wokół dźwięczały głosy rozdrażnionych, sennych dzieci, które znudzone ciężkim dniem kłóciły się między sobą.

Mimo wszystko jednak dni wątpliwości minęły i Evans czuł niezawodnie bliskość uroczystej chwili. Karawana pokonała morderczy szlak — cały oprócz niewielu końcowych mil. Pokonała Platte, Green River i Snake, pustynie i góry, z pewnością zatem pokona i resztę.

Niekiedy przemyśliwał o cenie zwycięstwa: śmierci Martina, małym Todzie Fairmanie pogrzebanym ze zżartą jadem nogą, przedwczesnym rozwiązaniu pani Byrd, Rocku, który gdzieś gnije tam zamiast dreptać za nimi. Wspominał także inne koszty: swoją bójkę z Tadlockiem, woły pozostawione na śmierć wzdłuż szlaku, rzeczy skradzione przez Indian, energię i odwagę zaprzepaszczoną wśród udręki. Każdy etap drogi pobierał myto: Platte, Sweetwater, Green River, Rzeka Niedźwiedzia, Snake. A. przecież... Przecież gra warta była świeczki! Nic nie przychodzi darmo. Bezpłatne grunty mają swoją wartość, a na drogę do lepszego życia trzeba jakoś zapracować. Cena była wysoka, któż jednak powie, że za wysoka? Chyba ci, którzy sami tak drogo płacili.

Zapewne Byrd, chociaż nie ma po temu pełnego prawa, trudno bowiem opłakiwać szczerze martwo narodzone dziecko, obcą istotę, która nie mogła zapisać się w pamięci. Ostatecznie jednak Byrd mógłby sądzić, że cena była zbyt wygórowana. Przyszedł na świat jako człowiek nieśmiały i na domiar złego pechowiec. Akurat jego furgon — jedyny pozostały — stracił koło w drugim dniu pochodu nad Brule.

Wystarczająco ciężki był już pierwszy dzień na wąskim, wyboistym, kamienistym szlaku, który przecinał rzekę po to jedynie, by wrócić zaraz na poprzedni brzeg, zagłębiał się w gęstwinę zarośli, piął na zbocza, rozpadliny wśród wysokich gór. Tamtego dnia zrobili ledwie dwanaście mil, a na biwaku wszyscy zwalili się na pościel, pełni nadziei, że najgorsze już przeszło.

Nic podobnego! Najgorsze mieli przed sobą. Evans, który prowadził czołowy furgon kolumny, zatrzymał sprzężaj w miejscu, gdzie szlak ginął w gąszczu topoli, olch, kolczastych krzewów, olbrzymiego wzrostu. Dalej skalne zbocza napierały na strumyk.

— Jak Boga kocham, Dick! — powiedział ocierając rękawem czoło.

— Droga na pozór nie do przebycia — odparł z konia Summers, jak gdyby wierzył, że naprawdę jest inaczej.

— Miejsca starczy ledwie dla dwukółki — podjął Evans. — No i gałęzie zerwą pokrycie furgonów.

— Inni tędy przeszli.

— Woźnica będzie musiał siedzieć na koźle, bo nie zmieści się obok sprzężaju. Ci, co szlak przecinali, powinni zrobić drogę, a nie taki piekielny przesmyk, dobry dla kreta.

Summers milczał. Błądził wzrokiem po widocznych w oddali, urwistych, prostopadłych zboczach.

— Dalej natkniemy się znów na jakieś diabelskie wzgórza — ciągnął kapitan. — Kaktus mi na dłoni wyrośnie, jeżeli dziś nie połamiemy dyszli.

— Chcesz wrócić? — uśmiechnął się cierpko stary wyga.

— Ee... Jeszcze nie — bąknął Evans i gdy zaczęły nadciągać dalsze furgony, dodał: — To nie chleb z masłem, Dick.

Wgramolił się na kozioł i krzyknął na woły, a Summers ruszył przodem.

Evans miał wrażenie, że wierci tunel wśród zarośli; gałęzie smagały sprzężaj, tłukły o wydętą plandekę, bębniły po wspierających ją

łukowatych drągach, a koła podskakiwały na pieńkach i korzeniach. Widział jedynie potykające się woły i zwartą zieleń, co ustępowała na boki, niby woda przed dziobem łodzi. Werbel na pokryciu furgonu przypominał szum ulewnego deszczu.

Dalej szlak prowadził po stromiźnie do rzeki i na przeciwległym brzegu wspinał się ku długiej i wąskiej ostrodze skalnej.

Przebywszy bród Evans powtórnie zatrzymał woły. Taki żleb nazwać szlakiem! Przecież furgon musi stracić tam równowagę, bo tak już jest zbudowany. Kiedy stał i patrzał, Summers zawrócił konia, podjechał bliżej.

— Co tak medytujesz, stary?

— Wcale nie medytuję. Wyobrażam sobie wozy dnem do góry.

— Rzeczywiście, przejazd trudny.

— Warto by mieć furgon z bocznymi kołami od strony skały.

— Właśnie. I zaprzężony w stworzenia, które potrafią chodzić po prostopadłej ścianie, hę?

— Podjadę trochę, tam gdzie się to diabelstwo zaczyna. Zrobię miejsce dla innych. Później przeprowadzimy furgony po jednym albo po dwa. Ubezpieczy się je kilkoma ludźmi, którzy staną od strony skały. Myślę, że damy jakoś radę.

— Ma się rozumieć. Nasi poprzednicy sobie radzili. Inaczej szlak nie prowadziłby tędy.

Evans popędził woły, przystanął raz jeszcze i czekał, aby inni wydostali się z gęstwiny. Następnie przeszedł wzdłuż kolumny wyjaśniając po drodze, jak myśli pokonać wąską ścieżkę nad urwiskiem.

— Na kogo przyjdzie kolej — mówił — niech lepiej wyładuje ludzi. Nie chciałbym widzieć kobiet i dzieci w furgonie, który może fiknąć. Naprzód ja zrobię próbę, a jeżeli wszystko pójdzie gładko, zaczniemy przeciągać po dwa albo trzy wozy naraz. Dobrze tak będzie, co? Carpenter! Gorham! Zechcielibyście mi pomóc?

Po przedpołudniowym marszu Carpenter i Gorham mieli już twarze znużone i oczy załzawione od oślepiającego blasku słońca.

— Poprowadź woły, Carpenter — podjął Evans. — Widzisz, jestem silniejszy od ciebie. Tylko trzymaj się z dala od furgonu, bo w razie czego mógłby cię przydusić.

Poradzili sobie. Wóz przeciągnęli, chociaż raz koła od strony skały poszły w górę i ledwie wróciły na kamienistą ścieżkę. Bez pomocy furgon nie zdołałby odzyskać równowagi.

— Nieźle — rzekł Evans. — Drugim razem będziemy lepiej wiedzieli, jak to załatwić. Odprowadź woły, Carpenter, uwiąż gdzieś na boku. My tymczasem wrócimy po następny furgon.

W tej chwili zobaczył, że następny sprzężaj już rusza, a Patch kroczy obok niego.

Harówka była przewlekła i ciężka — tym gorsza, że za ostrogą, gdzie Evans spodziewał się szerszej doliny, szlak zwężał się znowu; po nieco przestronniejszym miejscu, na którym ustawiano wozy, niknął w zarosłym krzewami przełomie potoku.

Evans, Dick i Gorham wracali nieraz, aby kolejno przeprowadzić wozy. Człapiąc ciężko Lije żałował, że te trudne chwile, skoro już przyjść musiały, nie przyszły z rana, gdy raźniejsi są ludzie i zaprzęgi. Około południa zmęczenie zaczyna dawać o sobie bezlitośnie znać. Sam nie był

wyczerpany. Nic podobnego! Gdyby to od niego zależało, tabor zrobiłby do wieczora więcej mil, niż można się spodziewać. Kolumbia płynie za Blue Mountains, tuż-tuż, a w każdym razie niedaleko.

Powietrze było prawie nieruchome, więc kapitan zdjął kapelusz, by ochłodzić głowę.

— Jak myślisz, Dick? Dużo czeka nas podobnych przepraw?

— Najgorsze powinno skończyć się do wieczora, jeżeli nie wyniknie coś niespodziewanego.

— Daj Boże! — westchnął Gorham. — Nie czas już, żeby podjeść?

Kilka kobiet i dzieci szło za furgonem, który Daugherty prowadził zakosami po zboczu. Miał już za sobą najgorszą część drogi. Evans, Summers i Gorham ustąpili mu z drogi, Daugherty splunął na koło i rzucił:

— A ludzie gadają, że droga do piekła jest stroma!

Z gromadką kobiet nadciągała Rebeka, a także Judyta Fairman, Mercy i pani Gorham.

— Zrobimy tutaj południowy postój. Niech tylko przeprawi się reszta — oznajmił Evans.

Nagle uprzytomnił sobie, że Becky bez żadnych wyborów przewodzi kobietom. Zrozumiał, iż jego żona posiada niewyczerpany zapas sił i odporności — zapas, z którego suto czerpią inne. Jak radziłaby sobie bez niej taka na przykład Judyta Fairman?

— Zmordowana jesteś, prawda? — zapytał, żeby powiedzieć coś do Becky.

Dwaj chłopcy — Jeff Byrd i George Carpenter — przywlekli nad skraj przepaści odłamek skały.

— Patrzcie! Patrzcie tylko! — krzyczeli popychając głaz, który ruszył z wolna, jak gdyby wolał pozostać na miejscu, a następnie nabierając szybkości potoczył się zboczem, runął z łoskotem w zarośla i wypłoszył stado kaczek z ukrytego w dole strumienia.

— Sam byś sobie chętnie rzucił, Lije, co? — uśmiechnął się Summers.

— Ja?... Chyba tak.

Uśmiech zniknął z twarzy starego wygi, ustąpił miejsca wyrazowi zadumy.

— Nie pora teraz na rzucanie kamieni.

— Aha. Naprzód trzeba przeprowadzić resztę — przyznał Evans nie dociekając, co właściwie Dick chciał przez to powiedzieć.

Byrd czekał na nich. Głowę miał zadartą, twarz zwróconą ku trudnemu przejściu. Evans pomyślał, że lata mijają nie dając temu człowiekowi sprytu dojrzałego wieku, a tylko wygląd podstarzałego niedorostka.

— To nic wielkiego — zwrócił się do pani Byrd, która odpoczywała w wątpliwym cieniu karłowatego cedru.

Do twarzy jej było, gdy siedziała spokojnie, z godnością, mając u boku dwoje z licznej dziatwy. Oczom, co nie przeniknęły jej w momentach trwogi, mogłaby — jak niegdyś — wydawać się łagodną gołębicą.

— Na furgon wsiądzie kilku mężczyzn, to pozwoli utrzymać równowagę — ciągnął kapitan. — Co powiesz, Dick? Ty, Gorham i ja? Wystarczy! — wspięli się na wóz. — Jazda, Byrd!

Przeprawa w poprzek stromego zbocza udałaby się zapewne, gdyby sprzężaj i furgon były lepsze. Woły ciągnęły wolno, lecz wytrwałe. Trzej mężczyźni zapewniali jaką taką równowagę. Katastrofa wydarzyła się w

połowie drogi, gdy przednie koło od strony urwiska trafiło na duży odłamek skały. Evans nie widział go ze swojego miejsca. Usłyszał tylko zgrzyt obręczy i trzask łamanych szprych. Furgon opadł, jak gdyby krowa uklękła na jedno kolano, zatrzymał się na moment, pochylił ku stromiźnie i przewrócił.

Kapitan stał od strony skały, trzymał się krawędzi pudła pod plandeką, nie zdążył więc wyskoczyć w porę. Przekoziołkował wraz z wozem, uderzył o jedno z żeber, wypadł i przez chwilę leżał bez ruchu.

— Dick! — zawołał, gdy wreszcie wygrzebał się i stanął.

— Bodaj to wszyscy diabli! — zaklął Gorham, który wypadł również i dopiero co przyklęknął na jedno kolano.

— Bardzo się uderzyłeś, Gorham?

— Nie. Gdzie tam. W tej chwili Summers wyszedł zza furgonu.

— No i co? Wyskoczyliście w porę?

— Ma się rozumieć — odparł Evans.

— Jak Boga kocham! Co tu się dzieje — powiedział Gorham zajrzawszy pod plandekę.

Evans nie pomyślał dotąd o Byrdzie, który stał przy sprzężaju i milczał, jak gdyby pośród nadmiaru słów nie mógł znaleźć właściwych. Jego twarz wyrażała beznadziejną klęskę, co tym bardziej zirytowało Evansa.

— Wygląda na to, Byrd — powiedział — że kłopoty nie opuszczą cię nigdy. Kiepskie kupiłeś furgony.

— Bardzo mi przykro... Doprawdy...

Przykro mu, żałosnemu niedołędze! Tkwi przy furgonie z połamanym kołem, uszkodzonym pudłem, z cholernym bałaganem w środku, i przykro mu.

Nagle i kapitanowi zrobiło się przykro.

— Głupstwo, Byrd — podjął. — Jakoś naprawimy furgon.

Pani Byrd z najmłodszym dzieckiem w ramionach nadbiegła karkołomną ścieżką.

— Nic ci się nie stało, Clarence? Nie jesteś ranny?

Od strumienia ciągnęli ludzie: naprzód młodzież, za nimi mężczyźni, a także Becky i pani Gorham. Gromadzili się obok wywróconego furgonu.

Pani Byrd postawiła dziecko na ziemi. Zapytała, czy mężowi nic się nie stało, i zaniemówiła znowu. Evans zwrócił się do rosnącej stopniowo gromadki.

— Garnki na ogień! Urządzimy tu popas — uśmiechem odpowiedział żonie pytającej o niego bez słów. — No, do roboty. Wszyscy, pani Byrd, pani także. Niech tam ktoś odczepi woły od furgonu Byrda. Reszta wyładowywać bagaż.

Ludzie posłuchali rozkazu, a kapitan przyglądał im się jakiś czas; później odszedł, by zamienić kilka słów z Byrdem.

— Nie chciałem być dla was szorstki — zaczął. — Widzisz, po prostu zdenerwowałem się.

— Możesz się nie usprawiedliwiać.

— Hm... Teraz przyda się piła.

— Piła?

— Żeby przerżnąć na pół twój furgon. Zrobi się dwukołowy wóz.

— Aha... Rozumiem. — Znajdziemy miejsce dla twojego bagażu i potomstwa.

Byrd milczał. Tępym spojrzeniem obejmował na przemian swój furgon, zarośnięty gęstwiną potok na dnie doliny, luzem pędzone bydło, które zaczynało ostrożnie wchodzić na karkołomną ścieżkę, góry sterczące w oddali, kopułę niebios.

— Jak widzisz — ciągnął Evans — jeszcze nie jest najgorzej. Hig zrobi pierwszorzędny wóz na dwu kołach.

Byrd nadal błądził wzrokiem w przestrzeni.

— Strasznie daleko wracać — bąknął.

— A owszem. Zdążymy wziąć się do piły przed obiadem.

Brat Weatherby objął ostatnim długim spojrzenie szczupły krąg graczy i odszedł powoli. Kompania wymaga odpoczynku — to zrozumiałe — niestety jednak nawet odpoczynek bywa niekiedy grzeszny. Lepiej harować na szlaku, poganiać umęczone bydło, utrudzać ciało, niż zaprzepaszczać duszę, Szulerka była tym obrzydliwsza, zawzięte trzaskanie kartami tym bardziej niecne, że wyczuwało się tu obecność Boga. Grandę Ronde. Tak ludzie nazwali miejsce, które za piękne musiałby uznać nawet Adam po urokach raju. Nogi stąpają po bujnej murawie. Błądzący wzrok spoczywa na koniczynie, dzikim lnie, drzewach, co wytyczają bieg potoków i strumieni. Godne tło zaś tworzą wyniosłe, strzelające ku niebiosom góry. Nieprzebrana obfitość jeleni, wapiti, niedźwiedzi, ryb — potrafiłaby wykarmić rzesze i bez cudu. A w obliczu tego wszystkiego ludzie grają w karty!

Podobne miejsca sprzyjają medytacjom. Właśnie! Medytacjom, pojednaniu się z Bogiem, uczestnictwu w Jego miłości. Kaznodzieja pokornie ulatywał duchem aż do stóp swego Stwórcy. Jak niewiele potrzeba dla zyskania łaski uświęcającej! Wystarczy oddać cześć Panu nad pany, łagodnie przyjąć jego wolę, aby odczuć najświętszą obecność.

Weatherby wędrował samotnie, oglądał słońce układające się do snu w majestacie ognia, snuł rozmyślania o przewrotności mężczyzn i kobiet. Grają w karty, gwałcą święta, przeklinają, czytują romanse, ubierają się strojnie. Jak można wybrać krótkotrwałe, grzeszne przyjemności, skoro cenę stanowi zbawienie?

Chwilami kaznodzieja odnosił wrażenie, iż nie spełnił zadania. Mimo ustawicznych napomnień emigranci nadal gwałcili święta, usprawiedliwiając grzech wykrętem, że jest to nieodzowne. Chętnie słuchali skrzypiec Higa. Tańczyli, przeklinali, grywali w karty. Niektórzy pochwalali na głos poglądy deistów, jak gdyby to Boga nie gniewało. Daj mi siłę, o Panie! — błagał kaznodzieja. — Obdarz mnie mocą!

Chwilami jednak wątpliwości zdawały mu się niegodne. Bóg wyznaczył mu pracę. Bóg dał staremu ciału wytrwałość równą ogromowi zadań. Bóg przeprowadził go bezpiecznie wśród srogich przeciwności losu. Na Zachód powołał go Bóg — wieczna chwała Jego imieniu!

Człowiek nie ma prawa sprzeciwiać się Panu nad pany. Cnotliwy przyjmuje Jego wolę i doświadczenia pokoju. Grzesznik zżyma się, buntuje i w ogniu trawiącym duszę znajduje przedsmak piekła. On również zna ów przedsmak, bo za dni młodości przeżywał męki pragnień i ulegał im po to, by przeżywać następnie męki ducha. Ale Bóg pozwolił mu przejrzeć i oto

namiętności przerodziły się w zbożne pasje, a żądze w umiłowanie Chrystusa.

Jednakże szatan czyha — nawet obecnie. Mimo lat walki Weatherby nie wyzbył się słabości. Czasami myśli o kobietach, o Mercy Evans i jej mężu, młodych ciałach i ciepłej pościeli. W takich przypadkach odtrąca kusiciela, pokornie błaga Boga o wybaczenie i siły. Później napomina grzesznych z przedziwną mocą, skuteczniej niż zwykle budzi w nich chęć pokuty, co niewątpliwie dowodzi stanu łaski.

Z przeciwnej strony nadjechał konno Indianin — niewątpliwie z plemienia Cayuse, a może Nez Perce. Oto jeszcze jeden dowód potęgi prawdziwej wiary — okoliczni Indianie, dobrze odziani i czyści. To wytrawni rolnicy i rzemieślnicy. Pszenicę, kukurydzę, warzywa oraz garbowane skóry zamieniają chętnie na gotową odzież, perkal i płótno. Bydło kupują za zupełnie niezłe konie. Ich kobiety są skromne, pracowite i za niewyszukany podarek rade naprawiają mokasyny lub szyją nowe. Pośród tych plemion zniknęło pierwotne bałwochwalstwo, a sprawiła to wiara chrześcijańska, sprawili to dwaj dzielni i światli ludzie — doktor Whitman i Spalding — którzy gdzieś niedaleko na północy założyli misję promieniującą światłem prawdy.

— Dobry wieczór — pozdrowił Indianina.

— Dzień dobry — odpowiedział ten z uśmiechem i ściągnął wodze. Siedział w domowej roboty siodle, za którym był uwiązany pęk skór.

— Cayuse? — zapytał brat Weatherby.

— Ja chrześcijanin.

Weatherby uznał odpowiedź za bardzo trafną, więc podjął przyjaznym tonem.

— Ja także jestem chrześcijaninem i duchownym.

Indianin skinął głową, jak gdyby rozumiał tylko co drugie słowo.

— Dobra człowiek się modli — powiedział.

— Tak. Pomodlimy się. Przemówimy do Ducha Świętego.

— Pomodlimy? Teraz.

— Tak. Teraz.

Indianin zsiadł z konia, ukląkł na trawie obok Weatherby'ego, który starał się ułożyć modlitwę jak najprostszą.

— Dzięki Ci, o Panie, za Twoje łaski. Dzięki Ci za życie, zdrowie i bezmiar Twojej miłości. Dzięki Ci, że kochasz, o Panie, wszystkich ludzi na ziemi, zarówno białych, jak czerwonych. Wspomagaj nas, abyśmy czynić mogli Twoją wolę. Wspomagaj nas, abyśmy nie przeklinali, nie oddawali czci fałszywym bogom i bałwanom, nie pili wody ognistej, nie grzęźli w rozpuście. Oby zmiłowanie Twoje, o Boże, było z nami.

Mówiąc tak, Weatherby modlił się bez słów o siłę i mądrość dla siebie, aby potrafił szerzyć słowo boże wśród nieszczęsnych pogan w Kolumbii — nie mniej skutecznie niż Whitman i Spalding czynią to wśród tych plemion.

— Amen — zakończył, a Indianin powtórzył:

— Amen.

Weatherby powstał z klęczek pokrzepiony, jeszcze bardziej niż zwykle pewien, że został wybrany. Ufał w tej chwili sobie i własnym siłom, był przekonany, iż Bóg objawił się w tym spotkaniu białego człowieka z czerwonym, w prostej wspólnej modlitwie.

— Ja do obóz — powiedział Indianin wskazując ręką biwak i poprowadził konia w tamtą stronę.

Gracze nadal byli tak pochłonięci kartami, że chyba tylko Summers zauważył nowo przybyłych. Weatherby spróbował przeprowadzić gościa okrężną drogą: nie chciał mu pokazywać przykładu nieobyczajności białych i bał się, by prostaczek nie uległ pokusie.

Ale Indianin nie pozwolił sobą kierować. Przystanął za kręgiem graczy, obserwował ich długo i na koniec, gdy spostrzegł pytające spojrzenie Summersa, przemówił ku zdumieniu, satysfakcji i niezmiernej radości kaznodziei:

— Niedobra! Bardzo zła!

Weatherby rad uwierzył, że to właśnie napomnienie położyło kres grze.

— No, chłopcy! Pula skończona — odezwał się Summers i podjął, kiedy inni zaczęli wstawać. — Jeżeli nie robiłeś nigdy nic gorszego, diabelnie z ciebie dobry Indianin.

Z ironicznym, złośliwym uśmiechem w szarych oczach spojrzał na kaznodzieję, który napomniałby go niezawodnie, gdyby był mniej oszołomiony i zaskoczony wystąpieniem swojego gościa.

Kiedy odchodził, Daugherty prowadził z Indianinem targ o jelenią skórę. Ale w uszach kaznodziei dźwięczały słowa: „Niedobra! Bardzo zła" — słowa, za których pośrednictwem Bóg dał wyraz prawdzie przez usta człowieka dzikiego i prostaczka. Obrał te właśnie usta, ponieważ wielkość Jego bezmierna, a drogi niepojęte. Jaka szkoda, że Whitman i Spalding nie są metodystami.

Evans rwał się do drogi, ale pozwolił kompanii leniuchować trzy dni w okolicy Grandę Ronde. Ludziom i zwierzętom należał się odpoczynek, a Byrdowie potrzebowali czasu, by przyjść do siebie. Ponadto Patch dostał silnego rozstroju żołądka i przez czas jakiś wyglądał tak nędznie, że wątpić należało, czy będzie zdolny do dalszej podróży. Znalazły się też inne racje — mniej lub więcej ważne. Kobiety miały mnóstwo prania. Handel z Indianami Cayuse przynosił korzyści, a pośród kolorowych chrześcijan brat Weatherby czul się tak bliski nieba, jak to możliwe na ziemi. Mitręga winna przynieść w zysku końcowe mile bez następnego postoju.

Pogoda dopisywała i nic nie świadczyło o obecności śniegu w wyższych partiach Blue Mountains. Ku zachodowi góry te rysowały się potężnie na tle bezchmurnego nieba, więc odpoczynek był tym przyjemniejszy, a kapitan nabierał przekonania, że niepokoił się przedwcześnie. Do śniegu było jeszcze bardzo daleko.

Ale nastała już jesień. Świadczyły o tym pierwsze liście woskowożółtej barwy, trawa usychająca w dolinach potoków, dni coraz krótsze. W swoim czasie zacznie sypać śnieg, a dolny bieg Kolumbii nawiedzą deszcze. Im wcześniej więc potoczą się koła furgonów, tym lepiej. Nie ma już wątpliwości, że karawana dotrze do Oregonu. Sęk w tym, by zbudować chaty, znaleźć schronienie przed ulewnym deszczem, który niosą wiatry od oceanu.

W czasie postoju emigranci polowali, łowili ryby, handlowali z Indianami wyzbywając się wszystkiego, do ostatniej pary spodni. Pewnego dnia nadciągnął zdrożony, wyczerpany tabor furgonów i przysłał jeźdźca

do obozowiska położonego pół mili od szlaku. Była to, jak mówił jeździec, kompania kapitana Welcha, lub raczej to, co zostało po jej dawnym już podziale. Oni również mieli swoje zmartwienia. Jeden pogrzeb. Kłopoty z przeklętymi Indianami znad Snake, którzy kradli konie, by otrzymywać nagrody za ich odnajdywanie. Ile karawan jest jeszcze w drodze? Bogu to tylko wiadomo. Ten tabor podróżuje lekko i spiesznie. Nie mogą zatrzymać się na postój. Chcą jak najprędzej przybyć do Oregonu. A co wiadomo o kompanii, która ma dotrzeć aż do Malheur drogą lądową?

Evans patrzał na mijającą biwak kolumnę wozów i nie bardzo martwił się, że go wyprzedzają. Trawy starczy dla wszystkich, a jemu nie zależy, by opowiadać w przyszłości, że był najpierwszy. Naprawdę liczyły się karawany nadciągające za owym taborem: tysiące ludzi spragnionych nowych domów, tysiące śmiałków o nieugiętych sercach. Przymykał oczy i odnosił wrażenie, że widzi ich szarych od pyłu, wymizerowanych przez trudy, lecz świadomych celu, z błyskiem wiary w zapadłych oczach. Ciągną mężczyźni, kobiety, dzieci, niemowlęta przy piersi, dojne krowy, muły, konie. W furgonach nie brak pługów, nasion, które dadzą kwiaty ogródkom przed nie istniejącymi domami, książek do nauki w nie zbudowanych szkołach, przeróżnych drobiazgów, co znajdą miejsce w przyszłych izbach. Czyj jest Oregon? Oto jasna odpowiedź dla Anglii.

Jednakże Evans rwał się do drogi, chociaż nie zazdrościł wyprzedzającym go emigrantom ani nie dbał już o śnieg w Blue Mountains. Oczyma wyobraźni oglądał setki razy Kolumbię, szeroką wstęgę wody, co zmierza ku Vancouver i ujściu Willamette. Kiedy nareszcie stanie nad tą rzeką, uzna wędrówkę za ukończoną. A stanie tam pomimo zgonów, chorób, nieszczęśliwych przypadków, postojów dla naprawy sprzętu. Pod jednym względem Tadlock miał niewątpliwie słuszność: trzeba unikać zbytecznej zwłoki, bo koniecznej i tak nie sposób uniknąć.

W prześliczny dzień pociągnęli dalej. Wypoczęli i pełni zapału, jęli piąć się przez Blue Mountains i łatwo pokonali pierwszy dwumilowy podjazd, miejscami tak stromy, że do furgonów trzeba było zaprzęgać po sześć jarzm. Wyżej rozciągał się pagórkowaty teren, porosły tu i ówdzie kępami żółtej sosny. Wił się tamtędy kamienisty szlak, który następnie schodził do brodu przez Grandę Ronde River i do dna doliny, gdzie tabor zatrzymał się na noc. Evans obliczał, że zrobili siedem lub osiem mil — wcale nieźle, biorąc pod uwagę trudne warunki.

Następnego dnia radzili sobie nieco lepiej na szlaku równie ciężkim: pod górę i wzdłuż grzbietu przeciętego kilkunastoma głębokimi parowami o stromych zboczach, później przez usypisko głazów i jeszcze jedną pagórkowatą równinę porośniętą gajami o grubej ściółce z igliwia. Dokoła roztaczały się widoki tak wspaniałe, że woźnice musieli panować nad sobą, by uważać na drogę przed sprzężajem. Prostopadłe skaliste ściany wystrzelały ku niebu, a w dole, tuż obok kół, ziały przepastne czeluści. Drzewa raz gęstniały, raz tworzyły ażurowe zasłony, a tu i ówdzie odsłaniały łąki upstrzone górskimi kwiatami. Po dziesięciu milach drogi wędrowcy rozłożyli się biwakiem na jednej z takich łąk.

Ale najlepszy, chociaż nie łatwiejszy niż poprzednie, był bez wątpienia trzeci dzień. Wspinając się stokiem Evans popędzał woły i wyciągał szyję, aby prędzej zobaczyć panoramę przesłoniętą grzbietem wzgórza. Wreszcie zatrzymał sprzężaj, bo w oddali przed sobą miał pasmo Cascade — białe,

błękitnawe, olśniewające, a nad nim Mount Hood, wyniosłą górę, co jak królowa spowita w welony chmur, stanowi dowód sukcesu, obietnicę, bo u jej stóp płynie Kolumbia. Evans obejrzał się na zapatrzoną w dal Rebekę i poczuł, że żadne słowa nie wyrażą tego, co wzbiera w jego piersi. Tego dnia tabor zrobił dziewięć mil przecinając główne pasmo Blue Mountains.

Evans nie zgodziłby się już na postój — nawet gdyby żądała tego kompania. Ale nie żądała. Wszyscy podzielali uczucia kapitana. Na ostatnim etapie wędrówki, mając przed oczami drogowskazy wysokich szczytów — Mount Hood i Mount Saint Helens — nabierali niespożytych sił i odporności. Podskakując na wybojach furgony przebyły długi zjazd do Umatilli i zostawiwszy za sobą Blue Mountains, wjechały znowu w kraj prerii, z topolami wzdłuż potoków, dzikimi wiśniami i skrawkami ziemi uprawianymi przez Indian Cayuse, którzy w handlu zamiennym chętnie przyjmowali odzież.

Odbyli postój nad Umatillą, w czasie którego przepadł im koń, zabłąkany lub skradziony. Następnie tabor ruszył w dół rzeki, raz po raz odbywając przeprawy, pnąc się na stoki doliny, aż osiągnął wreszcie pofałdowaną, otwartą szeroko wyżynę, szczeciniastą od suchej trawy. A za ośnieżonymi szczytami Evans widział już dolinę Kolumbii — szeroką, spowitą w cienie.

Wielka rzeka pochłaniała wszystkie jego myśli, porywała je, niosła z prądem ku Dalles, zabudowaniom misji — miejscu, gdzie każda rodzina pozostawiona samej sobie zacznie starać się o spływ w dół Kolumbii. Ale czy jego rodzina będzie pozostawiona samej sobie? Czy zdoła uwolnić się od Byrdów i Fairmanów tak bardzo, chociaż w różny sposób, uzależnionych od niego i Becky? Nurt oczekiwanej rzeki uniósł te pytania, podobnie jak wiele innych. Na przykład — czemu Brownie i jego żona nadal są wobec siebie oficjalni, sztywni, niczym para nowych znajomych? Mercy jest bez zarzutu. Przyznał to szczerze, a Rebeka przepadała za nią. Spokojna, pracowita, ładna dziewczyna, silniejsza teraz niż na ojcowskim wikcie.

Dziesięć mil. Dobra trawa. Drzewa tylko nad strumieniami. Indianie Walla-Walla mają na sprzedaż kartofle i dziczyznę. Są brudni. Wcale nie przypominają plemienia Cayuse, bo, jak twierdzi brat Weatherby, nie znają Boga. Dwukołowy wóz Byrda toczy się sprawnie. Patch powrócił do zdrowia. Dick ostrzega przed indiańskimi brudasami, twierdzi, że nie kradną tylko tego, co przybito gwoździami. Ale widoki, słowa, uczucia, pytania — wszystko porywa rzeka, wszystko zagłusza swoim urojonym szmerem.

Evans dotarł do niej, gdy zachodziło słońce i zmierzch zaczynał snuć się między wzgórzami. Dotarł do niej po uciążliwym pochodzie przez pustynną, piaszczystą równinę, na której próbowały rosnąć gruszkowate tłustosze i różnego rodzaju cierniste krzewy. Nie było tam drzew, nie było trawy ani wody, a jałowa gleba trwale zachowywała koleiny. Nad samym brzegiem rzeki ciągnął się pas murawy, kwitły liche kąkole i złocienie.

Żałosny, pusty kraj, gdzie myśli zdają się dźwięczeć echem. Nowy i stary zarazem, rozległy, jałowy kraj — szkarłatno-fioletowy u progu zapadającej nocy. W podobnych okolicach człowiek czuje się mały i wraca myślami do pogodnych wspomnień: stodoły i podwórka, piania kogutów, kuchni pachnącej jadłem, odgrodzonej czterema ścianami od przestrzeni.

Ale tu właśnie płynie Kolumbia!

Evans przeniósł wzrok bliżej. Zobaczył żwirowate dno pod przezroczystą wodą. Powędrował spojrzeniem z jej biegiem, sięgnął do kresu srebrzystej wstęgi, do miejsca gdzie spotyka się z nocą. Wiedział, że niżej zwęża się koryto i rzeka tworzy wodospady i wiry, które trzeba będzie ominąć na kołach. Bądź co bądź jednak miał przed oczyma nadrzeczną drogę — szeroki, równy szlak, ostatni etap wyprawy do Oregonu. Miał przed oczyma obraz znany z wyobraźni — jak gdyby zapamiętane po drodze do domu wybrzeże, jak gdyby sam dom rodzinny.

Wzdrygnął się, gdy usłyszał głos Dicka. Odwrócił głowę w prawo i dopiero wówczas zauważył, że nie jest sam. Dopiero wówczas przypomniał sobie oczekującą wzdłuż brzegu kolumnę furgonów.

— No, do Dalles zostało jakieś cztery dni — powiedział Summers.

Rozdział XXIX

Judyta Fairman siedziała nad rzeką, która w sąsiedztwie zabudowań misji wydawała się jej dziwnie spokojna w porównaniu z tym, co tak niedawno oglądała ze szlaku. Tamte spienione, niespokojne wody przypominał tylko niekiedy raptowny wir lub błysk wyższej fali. Rzeka — myślała kobieta — jest albo niepokojąca, albo smutna, ale tak czy inaczej zawsze uchodzi do nieznanego morza. Każda kropla wody nadpływa, jest tutaj przez moment i umyka na zawsze. Wszystko przesuwa się, oddala: złamany kwiat złocienia, pniak odarty z kory martwa ryba, strzęp piany. Tylko odblask popołudniowego słońca trzyma się na powierzchni, czekając własnej pory, aby ustąpić.

Z oddali dobiegał przytłumiony gwar. Siekiery postukiwały w dole rzeki, gdzie przybyli wcześniej wędrowcy budowali krypy, którymi zamierzali popłynąć ku Willamette. Słychać było głosy mężczyzn, Indian, okrzyki dzieci nie zamordowanych przez grzechotnika.

— Ostrożnie, Beth! — zawołała Judyta. — Trzymaj się z dala od wody.

Córeczka Byrdów, która bawiła się rzucaniem patyków do rzeki, odwróciła głowę. Jej jasne włosy połyskiwały złotem w ukośnych promieniach słońca, oczy spoglądały na świat z wyrazem dziecięcego zdumienia.

— Trzymam się z dala — powiedziała schylając się po kolejny patyk.

Kobieta pomyślała, że jest zadowolona, smutna, lecz zadowolona. Przypomina po trosze kwokę, co czeka cierpliwie momentu, gdy ciepło jej ciała uwolni kurczę od skorupki jaja. Nie miała ochoty na rozmowę, chociaż Charles siedział obok, tak samo zapatrzony w rzekę.

Zadowolona? Spokojna wśród codzienności niosącej zapomnienie? Czasami gotowanie, poganianie wołów, przemęczenie, nieuniknione wymogi życia i podróży przepędzały z pamięci obraz Toda, do którego znów powracała z płaczem, pełna poczucia winy, przechowując pieczołowicie skarb swojej żałoby.

Czasami szukała ucieczki w rozmowach o Oregonie, marzeniach o nie narodzonym dziecku, w myciu małej twarzyczki i rozczesywaniu potarganych włosów córeczki Byrdów, którą wzięła pod opiekę po katastrofie ich furgonu.

— Proszę cię, Beth, nie zbliżaj się do wody.

— Ja uważam — mała podeszła, usadowiła się wygodnie na kolanach Judyty. — Chce mi się jeść.

— Już niedługo, Beth.

Kobieta poczuła delikatny świeży zapach dziecinnego ciałka. Tak kiedyś pachniał Toddie — pomyślała. — Mogłaby być moja. Dotknęła wargami jasnych włosów.

— Trzeba rozejrzeć się za jakąś łodzią — powiedział Charles nie odrywając wzroku od wody. — Kupić coś albo wybudować. Dwie krypy do

wynajęcia są na długi czas zamówione. No i kosztują drogo, chociaż nas zapewne stać byłoby na to.

— Przyjechaliśmy ledwie dzisiaj — odparła Judyta, gdyż nie chciała, aby mąż odszedł.

Beth zsunęła się z jej kolan, zaczęła układać kamyki.

— Tak, można zaczekać do jutra. Ale później będę musiał się przy tym zakręcić — powiedział Fairman.

Charles!... Zawsze musi o czymś myśleć, zająć codziennymi sprawami ciało i umysł. Czy w jego wspomnieniu Toddie został gdzieś bardzo daleko, za bezkresem czasu i ziemi, za rzekami, górami, równinami piaszczystych pustkowi? Czy zbladł obraz dziecka, głos rozproszył się wśród innych, aby powracać i dręczyć tylko czasami, nocą, gdy Tod znów żyje?

Dłoń męża dotknęła jej dłoni spoczywającej na żwirze wybrzeża. Judyta powitała ów gest życzliwie, nie odezwała się jednak. Rozmowa — pomyślała — to tylko rozgrzebywanie myśli. Po co rozmawiać? Po co usiłować coś wyrazić? Uczucia i myśli nie znajdują odpowiedników w słowach. Lepiej milczeć. Lepiej zaufać prądom, co płyną od serca do serca.

Czym jest żałoba? Czym jest bezustanny smutek? Co powiedziała Becky, kobieta wrażliwa pod maską surowej prostoty? Że nikt nie może sobie pozwolić na zbyt długie przeżywanie trosk. Jak gdyby żałoba była zbytkiem, luksusem niedostępnym dla kobiety, dbałej o obowiązki. Cóż, Becky sformułowała prawo nieuniknione w podróży do Oregonu, nieuniknione dla ludzi każdego pogranicza, nieuniknione być może w ogóle w życiu. Mimo to jednak prawo wydało się Judie potworne. Walczyła przeciw niemu udręczona boleścią i poczuciem winy, iż zagubiła Toda wśród harówki.

Ona wypełniała swoje obowiązki. Znajdowała siły, czerpała je od Becky. Jeżeli płakała, robiła to nocami i z rana wstawała wcześnie, by powitać nowy dzień. Ale tamtemu prawu rzuci wyzwanie. Będzie pracować i zachowa żałobę. Nie utraci Toda. Nie utraci teraz ani nigdy.

Nieoczekiwanie dla siebie westchnęła pośród zamętu myśli. Praca, nie narodzone dziecko, Oregon, Tod... Jak pomieści to wszystko w sercu i umyśle? To wszystko, no i naturalnie męża? Na takie pytania jedynie czas może odpowiedzieć — czas i dobry Bóg, jeżeli zechce.

Nadeszła Beth, aby dać Judycie znaleziony przed chwilą biały kamień.

— Ładny? — zapytała kładąc go tłustą rączką na otwartej dłoni opiekunki.

— Bardzo ładny.

— Do twojego domu. Schowasz go?

— Tak. To prezent od ciebie.

— Mogę przychodzić czasem do ciebie, jak wrócę do domu?

— Naturalnie. Ale nie wracasz do domu.

— Dom to Oregon — wyjaśniła mała i odeszła, by szukać znowu kamieni.

Dom to Oregon! Dziecko wraca do domu nie pamiętanego, nie widzianego nigdy, domu, którego jeszcze nie wybudowano. Wraca przez bezkresne równiny, wyniosłe góry, rzeki budzące lęk i smutne. Do domu.

Słowa te obudziły dobre myśli o przyszłych domach zdobytych energią i odwagą, wydartych pierwotnej krainie, powstałych dzięki pracy i cierpieniom. Judyta wyobraziła sobie ich przyszłe schronienie — naprzód

chatę z okrąglaków, jeżeli nie uda się przygotować ciosanego drewna, później może ceglany dom. Jego wygląd nie ma na razie znaczenia, ale tak czy inaczej u progu będzie bawić się dziecię, które obecnie nosi w łonie. Dzisiaj jest nowe, a w przyszłości czekają nowe jutra, nowe istoty, które można kochać.

— Czasami mam wrażenie, że jestem nielojalna — zwróciła się do męża.

— Nielojalna?

— Chyba rozumiesz?

— Aha. Rozumiem — pokiwał głową.

Nie wątpiła o tym. Wiedziała, że Charles wraca w tej chwili myślami do Oregonu, do wszystkiego, co mówił lub robił nie pamiętając.

— Czy to słuszne, Charles? Czy tak być powinno?

— Tak być musi, Judie. Musi. Z wszystkimi dzieje się podobnie.

— Ja nie chcę zapomnieć — powiedziała hamując łzy.

— I nie zapomnisz nigdy. Ale musimy iść naprzód.

— Chwilami nie wiem, czy myślę o Todzie, czy o tym drugim.

To drugie — chłopiec albo dziewczynka, zdrowe albo słabowite, jasno- albo ciemnowłose — musi stać się nowym Todem. Będzie nim i sobą zarazem, da ból i radość, pamięć i zapomnienie, rekompensatę. Ona obdarzy je całą miłością przeznaczoną dla Toda, całą miłością przeznaczoną dla nie narodzonego dziecka. Mimo to wybuchła.

— To drugie nie zajmie miejsca Toda! Nie może zająć! Dłoń męża spoczęła na jej ramieniu.

— Nie zadręczaj się, Judie.

— Nie może zająć miejsca Toda!

— Nie obawiaj się. Będziemy zawsze pamiętali, lecz życie ma swoje prawa. Na to nic nie poradzimy.

— Wiem — przyznała uderzona prawdą tych słów.

Charles podniósł wzrok ku niebu, po którym żeglowała jedyna chmurka. Z pewnością pomyślał, że tam znajduje się zmarły chłopiec.

— On chciałby, abyś kochała to drugie — powiedział.

Beth nadbiegła znad rzeki.

— Jestem głodna!

— Zaraz coś zjemy — uśmiechnęła się Judyta i wstając odczuła w sobie pierwsze, słabe poruszenie nowego życia.

Rebeka Evans oderwała wzrok od rozniecanego właśnie ognia i zobaczyła Fairmanów, którzy wracali znad rzeki. Mała Beth Byrd czepiała się ręki Judyty. Pozdrowiła ich ruchem dłoni i nachyliła się, aby na zarzewie dorzucić garść grubszych patyków.

— Dobra z niej kobieta — zwróciła się do Mercy i uprzytomniła sobie, że te same słowa powtarzała już wielokroć.

Ale Mercy nie należała do osób, które mogłyby to wytknąć. Zajęta porządkowaniem zapasów w furgonie powiedziała tylko:

— Tak.

— Stopniowo przychodzi do siebie. A z pewnością całkiem odżyje, kiedy urodzi dziecko.

Mercy spuściła wzrok. Nigdy nie mówi wiele. Widocznie myśli chowa na własny użytek. Ale ponura nie jest. Nic podobnego! Trzeźwa, powściągliwa, lecz nie ponura czy też usposobiona niechętnie. Milczy zazwyczaj, spogląda na świat z uwagą. Jest bystra, pracowita i oszczędna w słowach, jak gdyby obawiała się powiedzieć za wiele.

— Kiedy też mężczyźni wrócą? — podjęła Rebeka. — Myślę, że późno. Z moim starym i Dickiem nigdy nic nie wiadomo.

Wkrótce po przybyciu taboru do Dalles Evans i Summers wyjechali wierzchem i poprowadzili dwa juczne konie ciężko obładowane skórami bizonów. Rebeka nie bardzo rozumiała, po co, chociaż Lije wyjaśnił, że to wyprawa handlowa, bo nie warto obijać się po Dalles, gdzie niepodobna kupić ani nająć łodzi.

Rebeka nie naprzykrzała się pytaniami. W przeciwieństwie do niektórych kobiet nie myślała, jak i kiedy jej rodzina popłynie w dół rzeki. Lije załatwi to jakoś. Zawsze załatwiał wszelkie ważne sprawy, pozostawiając żonie troskę o drobiazgi.

— Brownie pewno zaraz wróci — odezwała się Mercy. — Widziałam ludzi, którzy odjeżdżali, by zmienić straż przy bydle.

— Niewiele będzie na kolację. Znowu ryba z ryżem. No i podpłomyki, i coś słodkiego. Szkoda, że nie mamy nic z jarzyn ani drobiu.

Wszystko było przygotowane: ryba oczyszczona i pokrajana w dzwonka, woda na ryż wstawiona, ciasto roz- czynione. Chwała Bogu zostało jeszcze w zapasach trochę kawy i cukru, bo w ostatnich dniach wikt przedstawiał się na ogół mizernie.

— Cóż, postawię na ogień kociołek z kawą i zaczekamy, Mercy. Przynajmniej chwilę posiedzimy spokojnie.

— Skoczę po wodę. Nie jestem zmęczona.

— Ale będziesz, jak się nie przestaniesz kręcić całymi dniami.

Usadowiły się z dala od ogniska, bo pod wieczór ochładzało się powoli. Rebeka spoglądała w górę rzeki ku skalistym wzgórzom. Dalles, ku któremu wędrowali tak długo. Misja metodystów, koniec podróży, nazwa, co urzekała, gdy wody było skąpo i brakowało trawy, gdy nadzieja zamierała w sercach. To punkt między górami a Kolumbią, mały labirynt wyniosłości i dolin, miejsce nie znane może nawet Indianom do czasu założenia tam misji, która dziś zdaje się obumierać. Jej zabudowania i rozproszone wokół indiańskie szałasy stwarzały pozór osady, ale Indianie nie zmienili się pomimo kościoła, szkoły i misjonarzy. Żyli w ciemnocie i pogaństwie, cuchnęli nadpsutą rybą i nadpsutym zajęczym mięsem, słabo reagowali na modlitwy brata Weatherby'ego. Przeważnie chodzili nago, zapewne dlatego — jak powiadał Dick — że łosoś nie ma futra.

Rebeka myślała, że nie widywano tu dawniej ludzi podobnych jej towarzyszom podróży. Że nie widywano brzuchatych, krytych furgonów, mężczyzn rozmawiających o przebytej drodze i oczekującej jeszcze podróży, plotkujących kobiet, świeżych przybyszów zawierających znajomości z dawniejszymi. Że nie słyszano dopytywania o łodzie i co wobec tego robić dalej, ani powitań: „Miło mi. Pochodzimy prawie z jednych stron”. Karawana z Independence, podobnie jak poprzednie przybyła wykończona drogą: sprzężaje były wychudzone, plandeki furgonów wyblakłe, szare albo czarne od brudu, kobiety wydarte do

ostatniego łaszka, mężczyźni — do ostatniej pary spodni, niektórzy w indiańskich skórzanych portkach.

Tutaj rozpadały się karawany. Kończyło się braterstwo szlaku. Mieszały się kompanie i każda rodzina zaczynała liczyć wyłącznie na siebie, oddalała się od ludzi do niedawna bardzo bliskich. Rozluźniają się więzy — myślała Rebeka — bo dobiegły końca dni dobre i ciężkie, które pamięć zachowa do śmierci. Zdawała sobie sprawę, że ona i Lije są teraz sami z synem i synową. Tyle że nie odsunęli się jeszcze zupełnie od Byrdów i Fairmanów, gdyż obydwoje sądzą zgodnie, że nadal są poniekąd odpowiedzialni za słabych z natury i osłabionych.

— Nie zaszkodzi nastawić ryż — powiedziała Rebeka dźwigając się z murawy, lecz Mercy uprzedziła ją, zasypała wrzątek ryżem i garnek ustawiła na ogniu tak, żeby się nie przewrócił. — Nie jestem taka stara — podjęła — żebyś mnie musiała wyręczać.

Obserwując zwinne ruchy i nikły uśmiech dziewczyny odczuła przypływ tkliwości. Wszystko jedno, jakich ma rodziców, wszystko jedno, jaka była sama, Mercy chwyta za serce. Chciałoby się otoczyć ją opieką, wziąć pod skrzydła, przytulić do siebie.

Opodal ogniska przeszła brzemienna kobieta z małym dzieckiem uczepionym ręki. Mnożą się ludziska — pomyślała Rebeka. — Nie brak dzieci, często urodzonych podczas drogi, we wszystkich karawanach. Nie brak też kobiet, co chodzą z brzuchami.

Prawie bezwiednie objęła spojrzeniem krzątającą się przy ogniu młodą mężatkę. Czy to już? Co mogło zwrócić jej uwagę? Pochylenie ramion? Trochę zbyt wydatny brzuch? Twarz rozjaśniona? W oczach szczególny wyraz? Nie chodzi o to, co zdradziło sekret Mercy. Tak czy inaczej — matka jej męża wiedziała.

Lipiec. Koniec lipca do dwudziestego pierwszego września. Niespełna dwa miesiące. Za wcześnie, by było znać, chyba że... chyba że... Bolesne wątpliwości nie ustępowały. Miewała je i dawniej, chociaż odmiennej natury. Czasami, jako matka Brownie'ego, chciała zapytać wprost, sądziła, że to jej prawo i obowiązek. Czasami była zdania, że podejrzliwość nie godzi się z macierzyńskimi uczuciami. To znów patrząc na zachowanie syna wobec Mercy podejrzewała, że on zna odpowiedź. W takich przypadkach odczuwała ból i pragnienie, by odpłacić winowajczyni.

Ale panowała nad sobą i uspokajała męża, który miał dosyć zmartwień bez tej dodatkowej przyczyny. Usiłowała pozyskać synową, rzeczywiście zastąpić jej matkę. Nie bardzo wiedziała dlaczego. Może poczuwała się do kobiecej solidarności w odwiecznej walce przeciwko rodzajowi męskiemu? Może lubiła Mercy dla niej samej? Albo też mimo wszystko próbowała robić dobrą minę do złej gry? Albo krzepiła się nadzieją, że to był Brownie — przed ślubem?

Ostatnie rozwiązanie przyjęłaby z chęcią, gdyby nie wydawało się dziwne. Brownie nie ma doświadczenia. Jest z natury nieśmiały. Nie wyrósł jeszcze z chłopięcego wieku. Więc kto? Kto kręcił się koło dziewczyny, nim Brownie zaprowadził ją do kaznodziei? Chyba nikt. Rebeka nie widziała, by Mercy kokietowała mężczyzn. Wszyscy ją lubili. Pan Mack był szczególnie życzliwy.

— Jest Brownie — zawołała Mercy. — O, właśnie wiąże konia.

— Dobry wieczór — rzucił nadchodząc Brownie.

— Dobry wieczór — powtórzyła Mercy.

— Nie ma jeszcze ojca i Dicka — oznajmiła Rebeka. — Ale niedługo wrócą. Trzeba wziąć się do roboty.

Smażyła rybę, gdy nadszedł Lije, uśmiechnięty, rozpromieniony, z dobrą nowiną.

— Będziemy na miejscu, zanim się obejrzycie — powiedział. — Jak tam trawa, chłopcze?

— Niezła. Ale musieliśmy popędzić bydło kawałek drogi.

— Gdzie Dick? — zapytała Rebeka.

— Wróci dopiero rano.

— Jak to? Chce gdzieś nocować? Bez prowiantu i pościeli?

— Furda! On nie dba o takie rzeczy.

Evansa rozpierały ważne wiadomości, więc żona pomyślała, że przy kolacji dowie się wszystkiego nie wypytując wiele.

— Ach, ten Dick! — podjął Lije sięgając po dzwonko ryby.

— Co Dick?

— Wie wszystko. Wszystko potrafi załatwić. Jutro będziemy na wodzie — Evans zrobił krótką pauzę, aby nasycić się zdumieniem rodziny.

— Myślałam, że łodzi nie ma.

— Bo nie ma.

— Więc co?

— Pamiętacie, że Dick kazał nam odzierać upolowane bizony i zachować skóry?

— No, tato! Mów, o co chodzi — wtrącił Brownie.

— Otóż w pewnym sensie popłyniemy na tych skórach — następna krótka pauza. — Indianie mają czółna, ale z odzieżą u nich krucho. Diabelnie marzną w zimie, więc przydadzą im się skóry bizonów.

— Co? Chcesz, żebyśmy się przeprawiali w byle jakich indiańskich dłubankach? — obruszyła się Becky.

Lije zaprzeczył ruchem głowy.

— Strasznie jesteś tajemniczy, Lije.

— Zrobimy tratwy. Zdejmie się koła od furgonów. boczne i tylne deski ułoży w poprzek czółen. Ba! Może nawet podniesiemy żagiel i — jazda do domu.

— A reszta naszych?

— Kto?

— Fairmanowie, Byrdowie?

— Właśnie dlatego Dick został. Targuje się o więcej czółen. Rano zobaczysz go, Becky, na czele całej floty.

— I wszystko pójdzie dobrze, Lije?

— Jak po maśle! Na taki koncept nie wpadłby nikt prócz Dicka. W jednym miejscu, nazywają je Wodospady, trzeba będzie sprzęt przenieść, ale z pewnością uda się nająć Indian do pomocy. Widział kto może Macka? Co myśli robić?

— Podobno wybiera się przez góry, szlakiem na południe od Mount Hood. Ktoś, zapomniałam nazwiska, pojechał obejrzeć drogę. Pani Mack mówi, że chcą nawet przeprowadzić furgony, jeżeli to możliwe.

Po wymianie nowin Lije i Brownie na serio wzięli się do kolacji. Rebeka wstała, aby uzupełnić zapas chleba, i tym razem udało jej się uprzedzić Mercy. Z niemałym zadowoleniem spoglądała na swoich mężczyzn, bo jedli

z apetytem i zdążyli uprzątnąć do czysta talerze, nim ona i Mercy pokosztowały pierwszych kęsów. Później otarli usta i przez chwilę siedzieli w milczeniu. Tylko Lije pykał fajkę, którą zapalił węgielkiem z ogniska.

Inne rodziny również kończyły wieczorny posiłek. Mężczyźni odchodzili od ognisk, aby w grupkach pogawędzić. Kobiety zmywały naczynia, kładły spać dzieci.

Evans zerknął spod oka na Mercy.

— A tobie kot odgryzł język czy co? Tobie i Brownie'emu?

Mercy zdobyła się jedynie na mętny uśmiech. Chłopak odpowiedział:

— O pilnowaniu krów nie ma co mówić.

— Nie ma co mówić, chłopcze, ale jest co robić — podjął Lije wstając. — Zdążymy jeszcze za dnia zacząć rozbiórkę furgonów.

Ojciec i syn pracowali do ciemnej nocy. Następnie oznajmili, że niebawem wrócą, i pociągnęli w stronę gwaru męskich głosów.

Czasem po całodziennej krzątaninie Rebeka wolała usiąść i pozwolić myślom błądzić, niż od razu iść spać. Tego wieczora patrzała na ożywiającą wspomnienia ciemną smugę rzeki, widoczne dalej jeszcze ciemniejsze góry i bladą gwiazdę mrugającą nad nimi.

Niebawem nadeszła Mercy i usiadła obok. Co robiła dotychczas, Rebeka nie wiedziała. Może rozścielała posłanie, na którym sypiała z Brownie'em. Obydwie milczały. Syciły się odpoczynkiem, wdychały go wraz z powietrzem, błądziły wzrokiem w łagodnym półmroku.

Becky czuła przy sobie obecność Mercy McBee, Mercy McBee Evans, synowej, przyszłej matki, czego oczywiście Lije nie zauważy, chyba że mu ktoś powie, nawet gdy dostrzegłby to ślepy. Mężczyźni nie mają oczu do takich rzeczy.

Kiedy usłyszy wreszcie, będzie pokrzykiwał z radości, bo przepada za dziećmi. A jak się dowie więcej, podniesie krzyk. Powie, że jego syn nie będzie chował cudzego bękarta. Mężczyźni strasznie się gorszą, jak przyłapią dziewczynę na tym, że robi to, czego od niej żądają inni mężczyźni.

Przez mgłę trosk i macierzyńskiej czułości dla Mercy Becky widziała męża, maszerującego śmiało pośród obłoków kurzu. Ogarnęła ją tkliwość również wobec niego — tkliwość odmiennego rodzaju. Mężczyźni są mężczyznami i Lije nie odpowiada za to, że do nich należy. Zresztą nie chciałaby go zmienić, gdyby nawet mogła. Jest lepszy od większości mężów, dla niej najlepszy ze wszystkich i, nie licząc drobiazgów, nigdy nie miała przed nim tajemnic.

Pośród ciemności zapłakało gdzieś niemowlę. Cienkie kwilenie przebijało przez inne odgłosy.

— Kiedy patrzę na dzieci — odezwała się Rebeka — mam nadzieję, że zaludnianie Oregonu nie potrwa długo.

— Mamo — szepnęła Mercy, pierwszy raz tytułując tak świekrę.

— Słucham, Mercy — odpowiedziała Becky ujęta serdecznym zwrotem.

— Ja, mamo... Zdaje mi się, że będę miała dziecko.

— I kto by się spodziewał! To bardzo dobrze.

— Jestem zupełnie pewna.

Rebeka zwróciła wzrok ku synowej i zobaczyła w mroku jej pochyloną głowę i opuszczone ramiona, wyrażające taką boleść, że bez namysłu przygarnęła Mercy do siebie.

— Nie martw się — powiedziała. — To bardzo dobrze.

Przełknęła coś, co dławiło ją w gardle, mocniej objęła dziewczynę i poczuła na szyi jej oddech.

— Bałam się przyznać mamie.

Strach, nagły strach opanował Rebekę. Przeraziła ją myśl, że Mercy pod wpływem rozpaczy, zbyt uczciwa, by taić prawdę, powie, jak to było. Odepchnęła podobną możliwość, odtrąciła daleko przez wzgląd na męża, na siebie i w tej samej chwili zdecydowała, że raz na zawsze przestanie to rozpamiętywać.

— Dziecko twoje i Brownie'ego powinno być udane — szepnęła.

Mercy leżała już w pościeli, gdy wrócił Brownie, słyszała jednak wszystko. Powiedział ojcu dobranoc, z miękkim człapaniem mokasynów podszedł do namiotu, zawadził o pal, odchylił płótno zasłaniające wejście i jął rozbierać się po ciemku, aby jej nie obudzić.

Oczy miała zamknięte, ale wydawało jej się, że widzi męża. Oto zbliża się do namiotu, zgina wpół, wchodzi, rozpina spodnie, pozwala im osunąć się na ziemię. Miała wrażenie, że widzi jego patykowatą figurę, płowe włosy, poważny wyraz twarzy — zbyt poważny w tak młodym wieku.

Pohamowała impuls, aby go powitać. Omal nie odezwała się: „Jestem, Brownie. Nie śpię”. Omal nie powiedziała, że Rebeka zna już część prawdy. Gdyby mogła zrobić początek — zaczęliby rozmawiać o drażliwej sprawie i rozładowali sytuację.

Nie mogła jednak i nasłuchując szmeru towarzyszącego poruszeniom męża, myślała, że nie zdobędzie się na to póki życia. Zawsze będzie ich dzielić przeszłość i jej macierzyństwo. Zawsze stanie pomiędzy nimi Curtis Mack. Będą go widzieli obydwoje. Dla tego nie pozwolą sobie na rozmowę.

Poczuła, że Brownie odchyla koce, kładzie się, przeciąga, okrywa, opiera policzek na dłoni. Jednakże nadal była osamotniona, jak gdyby przypadkowo spotkała kogoś obcego. Wśród ciszy łowiła uchem odgłosy pustki — nieuchwytne westchnienia wietrzyka, spokojne tętno nocy, ostrożne ruchy jakiegoś małego zwierzątka, odbite od poduszki echo bicia własnego zmęczonego serca.

Była pewna, że Brownie czuwa, może oczy ma szeroko otwarte i tak jak ona medytuje uparcie o ich trudnościach. Jest dobry dla niej, aż za dobry, tak samo jak Rebeka i Lije. Czemu więc ona musi stać na uboczu, zamykać w sobie nawet zwyczajną wdzięczność? Czemu nie potrafi poczuć się żoną tego chłopca?

Jesteśmy sobie obcy nie z jego winy — myślała Mercy — a od ślubu chyba także nie z mojej. W grę wchodzi to, co zrobiłam dawniej, padający między nas cień przeszłości, dziecko, które noszę, ten nieznany i groźny obcy przybysz.

Był to ciężar zbyt wielki dla dwojga młodych, kwestia zbyt zawiła, aby ubrać ją w słowa. Nie rozmawiali szczerze od czasu, kiedy ona zgodziła się na małżeństwo. Nie rozmawiali prawie zupełnie i nie zaznali szczęścia, prócz jednego momentu, gdy podczas przeprawy niebezpieczeństwo przesłoniło wszystko inne.

Nie z jej winy? Od ślubu? Czy nocami, już po Laramie, nie wraca do niej pan Mack? Czy nie wspomina bystrego i smutnego zarazem wyrazu

twarzy, loku, który koniecznie trzeba odgarnąć z czoła? Czasami śni, że jest z nim znowu, wspiera głowę na jego piersi, opowiada o swojej samotności i udręce wszystko to, co on na pewno zrozumie.

Niekiedy przychodziło jej na myśl, że pragnęła mężczyzny, a dostała chłopca, i zastanawiała się, czy taki musi być zawsze porządek rzeczy. Później czyniła sobie gorzkie wyrzuty, poczytywała siebie za niegodną. Przecież Brownie to prawdziwy mężczyzna — dzielny, szlachetny i dobry mimo rezerwy, z jaką odnosi się do niej. Powinna dziękować Bogu za takiego męża. Powinna być wdzięczna Brownie'emu, jego rodzicom, losowi, dzięki któremu spotkała podobnych ludzi. Czy zasłużyła na tak wiele? Nie. Jej się nic nie należy.

Ach, gdyby potrafiła z nim pomówić! Gdyby Brownie ułatwił jej to jakoś, dał odczuć kojące działanie przebaczenia! Przecież ona nie wie, czy mąż ją kocha. Nie wie od chwili, gdy wyznała prawdę, a on powiedział, że mogą się pobrać mimo wszystko. Była to jak gdyby utrata czegoś ocenionego właściwie poniewczasie.

W tym momencie Brownie odwrócił się, by sprawdzić, czy Mercy jest dobrze okryta. Podciągnął koc, przy czym musnął jej szyję, wygładził koc, cofnął rękę. Był przekonany, że ona nic nie wie. Ale dał jej upragnioną odpowiedź!

Olśnił ją ten gest i jego głębokie znaczenie. Leżała cicho, hamowała łzy, starała się oddychać równomiernie. Wzbierało w niej współczucie dla męża połączone z żalem, że nie zrozumiała go dawniej. Rosło, pęczniało, przemocą szukało ujścia w słowach, nie bacząc na podszepty dumy i rozsądku.

— Brownie — szepnęła nie zastanawiając się więcej.

— Nie śpisz?

— Dopiero co się obudziłam.

— Aha.

— Wiesz, Brownie... Zaczynam się uczyć... uczyć, jak cię kochać.

Brownie nie odpowiedział, ale zrozumiała, że nie może się zdobyć na słowa.

— Pomyślałam sobie, że będzie ci przyjemniej, jak ci to powiem.

Rozdział XXX

Zostało jakieś pięćdziesiąt mil — może czterdzieści — od Dalles do Vancouver, a stamtąd sześć mil do Willamette.

Evans otarł pot z czoła. Pomyślał, że nie ma już przeszkód na drodze, chyba że nastąpi raptowna zmiana pogody. W przeciwnym razie trzeba tylko zmontować ponownie tratwy rozebrane przez Cascade Falls — wodospadami, które oglądane teraz z nadbrzeżnej skarpy przypominają pokryte śniegiem pole. Dalej ciągnie się wstęga rzeki spokojnej, leniwej w pobliżu ujścia.

Przenoszenie sprzętu było uciążliwe i trwało długo, ale zostało ukończone. Przetoczono ostatnie luźne koło, przy- dźwigano nad wodę wszystkie czółna, deski, skrzynie, garnki, patelnie, resztki zapasów żywności. Wszyscy byli na miejscu — zadowoleni, raźni: Byrdowie, Fairmanowie, Mercy, Becky, Brownie, Dick, nie mówiąc nawet o najętych do pomocy Indianach. Ci stali teraz przy ścieżce wiodącej do rzeki i — kontenci z siebie, zaciekawieni — obserwowali dziwne poczynania białych ludzi. Jeden mężczyzna miał na sobie tylko derkę zapiętą na kołek. Młoda kobieta, która pociągnęła za swoimi, była ubrana w skąpą spódnicę z cedrowej kory.

— Zrobimy tu postój — przemówił Evans spoglądając na słońce, które zaczęło opadać ku mgłom na zachodnim widnokręgu. — Przed zmrokiem zdążymy sklecić tratwy na nowo.

Nie zaraz jednak wziął się do roboty i nie przynaglał nikogo. Nabił fajkę, znalazł krzemień, hubkę i krzesiwo i usiadłszy pod drzewem palił, przyglądając się odpoczynkowi innych. Ciężką mieli harówkę: cztery mile dźwigania! Część drogi wiodła przez indiański cmentarz, gdzie zwłoki spoczywały w cedrowych zagrodach albo na tratwach pływały po sadzawce. Wokół tkwiły nieudolnie ciosane rzeźby: ptaki, zwierzęta, jakieś demony. Weatherby nazwałby je bałwanami i nie oszczędził Indianom surowej nauki.

Evans mocno zaciągnął się dymem, aby zabić nawet wspomnienie odoru. Byrd rozpalał ognisko. Mercy i Becky rozmawiały tuż nad wodą. Opodal stał Fairman, zapatrzony w ospały nurt rzeki. Byrd sprzedał starą koszulę jednemu z Indian, który nie miał na sobie nic więcej, ale nowy nabytek nosił tak, jak gdyby to był strój uroczysty. Mały Jeff Byrd parskał śmiechem, ilekroć spojrzał na niego, ale Indianin nie przejmował się tym wcale, bo sam był również jak dziecko. Dick perswadował dwu innym czerwonym, żeby sobie poszli, bo ich zapach nie zachęcał do posiłku.

Weatherby znalazł sobie stosowne zajęcie, o czym powiedział w Dalles, przy pożegnaniu z Dickiem.

— Lepiej pojechałbyś z nami — zaproponował stary wyga. — Miejsce się znajdzie.

Kaznodzieja pokręcił siwą głową. Evans spojrzał na niego i uprzytomnił sobie, że z biedaka zostały tylko skóra i kości. Pochylił się też, zapewne pod brzemieniem cudzych grzechów i własnych ciężkich obowiązków.

— W dole rzeki jest też mnóstwo pogan — ciągnął Summers. — Nie ma obawy, by zabrakło ci pracy.

— To na później. Teraz chcę spędzić pewien czas w misji. Bardzo im potrzeba pomocy.

— Rozumiem — powiedział Dick.

— Wygląda na to, że religia nie przenika do głębi tutejszych Indian.

— Aha. Rozmawiałem z braćmi metodystami z misji. Brat Perkins zaczyna upadać na duchu.

— Nie dziwię mu się. A ty?

— Ja czynię dzieło boże i za to Bogu składam dzięki.

— Więc zostajesz? Stanowczo?

— Tak. Na razie. — Brat Weatherby oderwał wzrok od ziemi, w którą dotąd wpatrywał się wytrwale. — Bracie Summers — podjął i urwał na moment. — Przez całą drogę dbałeś, abym miał chleb dla ciała.

— Podjąłem się tego.

— Gorąco pragnę, abyś ode mnie mógł dostać chleb dla ducha.

Summers wyciągnął rękę i Evans dostrzegł w jego oczach nie tylko żartobliwy błysk, lecz również wyraz życzliwości dla człowieka tak bardzo różnego.

— Zgłoszę się do ciebie, jak poczuję głód — odparł stary wyga.

Gdy załatwiono wszelkie pożegnania, mała flota spłynęła na wodę. Jedną tratwę zajmowali Evansowie, drugą Byrdowie, trzecią Fairmanowie. Były to sprytnie pomyślane krypy, sklecone z pudeł furgonów, na indiańskich czółnach, poruszane niewielkimi żaglami przy pomyślnym wietrze, wiosłami w razie jego braku. Sunęły leniwym nurtem Kolumbii, pośród wysokich gór, na których zboczach widać było tu i ówdzie pnie drzew, jak gdyby skoszonych przez olbrzymy. Evans spoglądał na coraz potężniejsze sosny, czuł na twarzy powiew morskiego wiatru i wciąż powtarzał sobie, że to Oregon — obcy jeszcze i groźny, lecz mimo wszystko kochany.

Z ludzi pozostałych w Dalles — Mack zamierzał przeprowadzić furgony drogą lądową, przez góry; Patch czekał w kolejce na łódź do wynajęcia; Daugherty zabrał się do budowania tratwy.

Z tymi Evans rozstawał się beztrosko, gdyż nie wątpił, że wkrótce się spotkają. Naprawdę niepokoiło go przyszłe pożegnanie — na zawsze — pożegnanie nieuniknione, jeżeli nie zapobiegnie mu ostatnia rozmowa. Nieraz sprzeczał się z Dickiem na temat Oregonu, twierdził, że i on może osiąść tam, jak inni. Jednakże stary wyga kręcił tylko głową i przytaczał rozmaite racje, umacniające tylko odmowę. Nie był już potrzebny emigrantom. Spełnił wszystkie zadania. Zrobił nawet więcej, niż doń należało, i tutaj właśnie, za Cascade Falls, miał zamiar odejść.

Bolejąc nad tą stratą, Evans dźwignął się spod drzewa i wsunąwszy do kieszeni fajkę, zaczął pomagać przy spuszczaniu na wodę czółen i układaniu desek. Indianie, opłaceni tytoniem lub haczykami do wędek, zniknęli z biwaku. Kobiety uwijały się wokół ogniska, które rozniecił Byrd. Na tę noc powinno starczyć; może później rozpali się drugie. Dwaj mali

Byrdowie wdrapali się na drzewo. Judyta Fairman czuwała troskliwie nad Beth.

Na kolację mieli mięso z jelenia, którego Dick upolował poprzedniego dnia, bo, jak mówił, łosoś staje mu ością w gardle. Uzupełnienie stanowiły podpłomyki bez masła i nie słodzona kawa.

Noc, przesycona jednostajnym szmerem wody, była ciepła, trochę wilgotna od nadmorskich mgieł. Zdawać się mogło, że u kresu podróży nikt nie ma wiele do powiedzenia. Nawet dzieci mniej hałasowały i bez protestów kładły się spać. Mercy i Brownie siedzieli z dala od reszty kompanii, jak gdyby sycili się swoim nowym zbliżeniem. Cieszyło to Evansa, który milczał także, pozornie myśląc o miejscu postoju, a właściwie szukając argumentów do ostatniego sporu z Summersem.

Czekał cierpliwie, aż stary wyga wstanie, później pośpieszył jego śladem.

— Dick!

— Co powiesz, stary?

— Piękny wieczór, co?

— Niezły dla kogoś, komu odpowiada sąsiedztwo morza.

— Czy to coś złego sąsiedztwo morza? — obruszył się Evans.

— Nic złego. Tyle że osobiście wolę góry.

— I tu przywykniesz. Polubisz nowy kraj.

— Ja? Nic podobnego.

— A nie spróbowałbyś, Dick?

— Raczej nie.

— Co myślisz robić?

— Wrócić, Lije.

— Do Independence?

— Niekoniecznie.

— Kiedy?

— Jutro będzie nie gorszy dzień niż każdy inny.

— Jak poradzisz sobie bez konia, bez niczego?

— Mam strzelbę, krzemień i krzesiwo. Koń znajdzie się jakoś po drodze.

— Słowo daję, Dick! Ty ciągle swoje! Przecież człowiek nie może wałęsać się wiecznie.

Dick milczał przez czas pewien, a gdy się odezwał, Evans odniósł wrażenie, że to nie odpowiedź, lecz jakieś echo utajonych myśli:

— Słusznie, Lije. W końcu musi napotkać ocean.

— Czemu nie miałbyś popłynąć z nami?

— To nie dla mnie, Lije.

— Darmo będziesz miał ziemię, jak wszyscy. — Evans umilkł na moment i powiedział, w co święcie wierzył: — W Oregonie zajmiesz ważne stanowisko.

Wydało mu się w półmroku, że uśmiech wykrzywił usta starego wygi.

— Nie szukam w życiu ważnych stanowisk, Lije.

— Więc czego szukasz?

I tym razem odpowiedź nie padła zaraz, ale zbiła Evansa z tropu.

— Myślę, że jestem skazany na kręcenie się za własnym ogonem, jak szczeniak.

— Mógłbyś zamieszkać u nas, byłbyś najmilszym gościem.

— Wiem, Lije, wiem... Ty masz drogę prosto wytkniętą, dla siebie dobrą. Moja wygląda inaczej.

— Bo wbiłeś to sobie do głowy.

— I to właśnie jest najważniejsze — dokończył Summers.

— Dokąd się właściwie wybierasz?

— Naprzód na Bridger i zapewne Rzekę Niedźwiedzią. Potem może dalej na północ, do kraju Czarnych Stóp. Czy ja wiem, Lije?

— Spadnie śnieg, zanim zdążysz przebyć góry.

— Prawdopodobnie.

— Dick! Zuch z ciebie, ale nie masz zdrowego rozsądku.

— Nie mam, ani odrobiny. Co nie znaczy wcale, że nie lubię ciebie i twojej żony, i Brownie'ego. Naprawdę was lubię, Lije — Summers urwał, aby po chwili podjąć innym tonem. — Teraz przeszkadzasz mi, stary. Przyszedłem tutaj, żeby się wysikać.

Evans wyczerpał wszelkie argumenty. Mógł tylko bez słów opłakiwać stratę, mógł biadać, że marnuje się człowiek pokroju Dicka. Czemu on tak ciągnie do przeszłości? Co w chwilach, kiedy wydaje mu się, że nikt go nie widzi, maluje na jego twarzy wyraz tęsknoty? Traperka, Indianie, bizony? Może pierwotna, bezludna kraina? Evans nie potrafił zrozumieć takich uczuć. I on lubi rozległe przestrzenie, rozumie jednak, że świat musi iść naprzód. A ponadto jaką wagę mają sentymenty w porównaniu z Oregonem, z rysującymi się tam perspektywami? Nie koniec na tym. Tamto życie dziś nie istnieje — przeszło, minęło...

Kiedy Summers odwrócił się znów ku niemu, Evans zapytał:

— Czy to dla ciebie nic, że Oregon zajmiemy dla Ameryki?

— Ty się z tym uporasz, Lije. Ja wolę jeszcze raz zobaczyć Popo Agie.

Evans nie zapytał, co znaczy Popo Agie i czemu Dick chce to zobaczyć. Sprawa została przesądzona, a wszelkie pytania mogły wieść tylko do nowych niepojętych odpowiedzi.

— Tak czy inaczej, Dick, zobaczę cię z rana — powiedział jeszcze w powrotnej drodze na biwak.

— Ma się rozumieć, Lije.

Ale z rana Evans nie zobaczył Dicka, który wymknął się, nim ktokolwiek zdążył wstać.

Góry — wyniosłe, urwiste, zadrzewione i nagie, mglisto zarysowane szczytami na tle błękitnego nieba — cisnęły się po obu stronach szerokiej, powolnej rzeki, słonawej w bliskości ujścia. Na południowej ich ścianie potoki przypominały śnieżne wstęgi. Powietrze było wilgotne, nasycone oddechem morza.

Czas sunął leniwie nie wyprzedzając ciężkich kryp. Cienisty ranek, rozsłonecznione południe, cienisty wieczór. Noc przytłoczona obecnością gór, smutna po rozstaniu, ogień ledwie błyskający pośród bezmiaru ciemności. Ryż, podpłomyki, jeszcze raz ryba i sen, i mlaskanie wody obmywający bliski brzeg.

I wiatr! Wiatr zachodni od morza, przeciwny prądowi i wiosłom — ostatni zazdrosny strażnik Oregonu — co odpycha tratwy ku lądowi. Nieoczekiwanie jednak zmienia zamiar, przycicha, odwraca się, wydyma żagle — linie brzegów pozostają w tyle.

Statek pasażerski zmierza pod prąd ku wodospadom. Powitanie i pożegnanie. Dobrze się płynie. Jak jeszcze daleko? Później znowu samotność, jeszcze rozleglejsza pustka i wszystkie moce ziemi — woda, wicher, góry — przeciw trzem kruchym łupinom. Uczucie zagubienia, chwila zadumy, tęsknota do spokojniejszych zakątków świata, wspomnienie o Dicku, dobyte z zakamarków świadomości.

Ale pochłania to wszystko oczekiwanie, wewnętrzny głos wzywający wzgórza, by rozstąpiły się wreszcie, odkryły oczom widok od dawna wyśniony. Niedługo już, bo wiatr i góry to ostatni ciężki odcinek drogi. Za tym kolanem. Za tą spokojną smugą wody.

Trudy, kłopoty, rozstania? Tak, ale nadal przyśpieszone tętno. Bez zmartwień radość byłaby czymś nietrwałym, słabo zakorzenionym w glebie życia. Jak wysoko Evans ceniłby Brownie'ego, gdyby nie stracił pierwszego dziecka? Jak podobałby mu się Oregon bez potu i trudności na szlaku? Żal drąży serce, lecz wzbogaca je również i zadośćuczynienie czyni pełniejszym. Pewnej nocy nad Willamette Lije usłyszy człapanie Rocka i tym goręcej pokocha Oregon. Zobaczy Toda Fairmana i jego obrzmiałą nogę. Dostrzeże znowu w gołębich oczach niespodziewaną więź. Wśród ciszy wspomnień usłyszy głos Dicka: „Nie martw się, stary”.

Evans panuje nad sobą, gdy oddalają się, obniżają góry. Jeszcze nie — powtarza sobie zapatrzony w mniej groźny krajobraz. — Jeszcze nie. Jeszcze nie. Wreszcie za trawiasto-zieloną prerią drzemiącą w blasku słońca rysuje się Fort Vancouver i wielkie statki na redzie, a nieco dalej niewidoczna jeszcze, przesłonięta zalesionym skrawkiem lądu toczy swe wody Willamette!

Niegdyś, w zamierzchłej przeszłości, Evans zobaczył Platte i uległ jej potędze. Później stanął nad Kolumbią i odczuł przypływ nadziei. Teraz spogląda na swój dom i wzbiera mu w piersi coś dławiącego, wielkiego, tak podobnego do płaczu, że Lije lęka się spojrzeć w cudze oczy. Tam znajdzie dom, znajdzie żyzną glebę czekającą pługa i ciężkiej pracy rąk, i gwaru nienarodzonych jeszcze dzieci. Oto dokonali wielkiego dzieła. Zwyciężyli pozostawione za sobą mile. Za nimi przyszli inni, co przemierzyli bezkresne równiny, na pył przemełli oceany piasku, wspinali się na góry, w bród przebywali rzeki, napotykali niebezpieczeństwa. Oni! Twórcy narodu! Budowniczowie ojczystego kraju!

Evans ocknął się, rozejrzał dokoła. Na podążających jego- śladem tratwach zobaczył Byrdów i Fairmanów, na własnej — syna z niepotrzebnym już wiosłem w ręku, żonę, siedzącą obok niej Mercy. Rebeka powiada, że Mercy spodziewa się dziecka. Słodka, kochana Mercy! Da domowi niemowlę — myślał Lije — krew z mojej krwi, kość z kości, następne pokolenie.

Mrugnął do żony i zawołał głośno, aby przemóc drżenie głosu:

— Becky! Niech żyje Oregon!

KONIEC